



JAN BASZKIEWICZ



LUDWIK XVI

CYKL BIOGRAFICZNY „Ossolineum”

Ludwik XVI

Jan Baszkiewicz



Ossolineum



Księgozbiór DiGG



2010



I. KSIĄŻĘ BERRY



EDUKACJA KRÓLA

Maria Józefa Saska, żona delfina Francji Ludwika, nie była biegła w rachunkach: jej dzieci zawsze jakoś przychodziły na świat wcześniej, niż się spodziewała. Niemalę stąd komplikacje, bo etykieta dworska surowo nakazywała, by Dzieci Francji rodziły się publicznie. Każdy, kto znalazł się w pobliżu, miał wówczas prawo wystąpić w roli gapia. Pochodzenie ewentualnych następców tronu musiało być przecież poza wszelkim podejrzeniem o jakieś manipulacje! Gdy zatem 13 września 1751 r. Maria Józefa poczuła, że rodzi, krzyknęła natychmiast: „Króla! Króla i świadków!” Delfin pobiegł szukać owych świadków, ale nie zdążył. Lekarz-akuszer Jard poprosił więc księżnę, „by pottrzymała chwilę dziecko między nogami, póki świadkowie się nie zjawią”. Odrzekła spokojnie: „Bardzo dobrze; niech pan je tylko trochę odsunie, bo mnie kopie”. Spóźnionymi świadkami wydarzenia stali się wersalscy gwardziści i nosiciele lektyk: tylko tacy hołysze nawinęli się delfinowi pod rękę.

Tak się rodził najstarszy spośród pięciu synów delfina, Louis-Joseph-Xavier, książę Burgundii. Potem był książę Akwitanii Louis-Marie-Xavier, urodzony we wrześniu 1753 r.: miał niespełna pół roku, gdy zabił go koklusz. Na szczęście był już w drodze trzeci syn. Urodził się także przedwcześnie i bardzo szybko, 23 sierpnia 1754 r. między szóstą i siódmą rano. Króla Ludwika XV znowu nie zdążono zawiadomić – nie było go zresztą w Wersalu, siedział z większością dworu w pobliskim Choisy. Nie było też przy porodzie ani jednego księcia krwi, udało się jednak zgromadzić jako świadków kilku królewskich ministrów. Król przybył już po ochrzczeniu chłopca – nazwano go Louis-Auguste – i nadał mu tytuł księcia Berry. Z pewnością nie przypuszczał, że poznał właśnie swego następcę na tronie Francji i Nawarry, przyszłego Ludwika XVI.

Było jeszcze potem dwóch synów: w 1755 r. Louis-Stanislas-Xavier, hrabia Prowansji; w 1757 r. Charles-Philippe, hrabia Artois. To także przyszli królowie, Ludwik XVIII i Karol X. Przeżyją także dwie spośród trzech córek Marii-Józefy. Gruba Klotylda, młodsza o pięć lat od księcia Berry, zostanie wydana za mąż do Turynu, za następcę tronu Piemontu; cnotliwa Elżbieta, urodzona w 1764 r., padnie wiosną 1794 r. ofiarą rewolucyjnego terroru.

Rodzice tej czeredy Dzieci Francji mieli polskie akcenty w swoich życiorysach. Delfin był synem Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej; Maria Józefa to córka elektora Saksonii i króla Polski Augusta III. Żadnego zainteresowania sprawami Polski nie ujawniali.

Delfin Ludwik, idealizowany chętnie przez „partię dewotów” na wersal-

skim dworze, nie miał bynajmniej anielskiego charakteru. Otyły i ocieślały – także umysłowo – nie przepadał za polowaniem czy innymi ćwiczeniami fizycznymi; nie lubił gry, tańca ani teatru: z trudem skupiał się nad książką. Owszem, gustował w muzyce: ale prawdziwą jego namiętnością była bigoteria odziedziczona po Marii Leszczyńskiej. Pochłaniały go pobożne praktyki i lektury. Uwielbiał pouczać bliźnich i prawić im morały. Aby zaś móc wygłaszać owe kazania, strzygł uchem na wszelkie plotki i pomówienia: tę niemilą cechę przekazał w spadku Ludwikowi XVI. Niedyskretny, opryskliwy, kapryśny, władczy – był jednak wychwalany przez dworskich pochlebców, którzy lubili przedstawiać despotyczne skłonności jako siłę woli, a dewocję jako kwintesencję cnót moralnych.

Stosunki delfina z ojcem były niedobre. Oburzał się na złe obyczaje Ludwika XV – a więc na jego oficjalne metresy i tłumy przelotnych kochanek – co nie znaczy zresztą wcale, że sam był wzorem małżeńskiej wierności. Także polityka króla nie przypadła delfinowi do smaku. Ludwik XV bezskutecznie próbował nawiązać bliższy kontakt uczuciowy ze swym synem i prawowitym następcą.

Gdy delfin miał lat niespełna siedemnaście, zmarła po kilkunastu miesiącach małżeństwa jego pierwsza żona, piękna infantka hiszpańska Maria Teresa. Kochał ją bardzo. Już w następnym, 1747 r., ożeniono go z Marią Józefą. Przyjął niechętnie tę szesnastoletnią Niemkę, dość brzydką, bardziej od niego inteligentną i wykształconą, pobożną bez bigoterii. Dokonała sztuki niemałej: zdobyła sympatię królowej Marii Leszczyńskiej, której ojciec został przecież pozbawiony tronu polskiego najpierw przez jej dziada, potem, drugi raz, przez jej ojca. Była też w dobrych stosunkach ze swymi szwagierkami, siostrami delfina: Henrietą Adelajdą, Zofią, Wiktoria i Luizą. „Partia dewotów” w Wersalu, skupiona wokół królowej, zaaprobowała Marię Józefę. „Dewoci” nie mieli zresztą wpływu na króla i na politykę: pozbawiała go ich pani de Pompadour, kochanka Ludwika XV, a później także jego wszechmocny minister, diuk de Choiseul. Kilka lat zajęło natomiast Marii-Józefie osvajanie jej własnego męża. Gdy rodził się książę Berry, delfin przestał już okazywać żonie awersję. Maria Józefa umiała wywierać wpływ na niezbyt bystrego męża, ale robiła to dyskretnie. Delfin lubił ją i cenił. Guwernantką Dzieci Francji została Maria Luiza hrabina de Marsan, z domu Rohan-Soubise, przedsiębiorcza i raczej sympatyczna.

Należała, to jasne, do partii dewotów. Książę Berry nie zachował dla niej wielkiej czułości. Pani de Marsan szczególną uwagę poświęcała księciu Burgundii, w którym upatrywano przyszłego delfina i króla. Jej ulubieńcem był natomiast hrabia Prowansji. Książę Berry zajmował dopiero skromne trzecie miejsce. Opowieści o jego chorowitym dzieciństwie są przesadzone. W tamtym czasie sądzono, że zdrowe dziecko musi wyglądać jak poleć słoniny. Otóż książę Berry nie był grubasem, dopiero później powetuje to sobie z nawiązką. Rodzicielski niepokój o jego zdrowie wyszedł mu zresztą na dobre. Wiosną 1756 r. do trzech synów delfina wezwano na konsultację słynnego Szwajcara, doktora Tronchina, który im przepisał pobyt na świeżym powietrzu, poza Wersalem mającym reputację fatalnego klimatu. Część wiosny i całe lato 1756 r. ks. Berry spędził wraz z braćmi w

Meudon. Mimo opinii dziecka cherlawego chował się nie najgorzej. Pod patronatem pani de Marsan zaczął się uczyć czytania i pisania, zasad religii i moralności. Uczono go też, od samego początku świadomej egzystencji, znosić jarzmo etykiety i uczestniczyć bez ujawniania nudy w długich dworskich ceremoniach.

Starszy o trzy lata ksiązę Burgundii był dlań towarzyszem zabaw, a po trochu i wzorem. Toteż źle zniósł rozstanie z bratem, gdy w maju 1758 r. ksiązę Burgundii wyszedł spod opieki pani Marsan i przeszedł „w ręce mężczyzn”. Jego guwernerem został, z decyzji delfina, pięćdziesięcioletni Antoine de Quelen, diuk de La Vauguyon.

Był to osobliwy okaz dworskiej fauny, rodzaj arystokratycznego Tartuffe’a. Manifestował żarliwą pobożność, co mu nie przeszkadzało podlizywać się kochankom króla. Przez panią de Pompadour (którą delfin zwał jadownicie *maman-putain*) usiłował się wkraść w łaski Choiseula; później podlizywał się bezczelnie nowej metresie króla, pani du Barry. Hrabia d’Allonville przekazał zabawną anegdotę wyjaśniającą jego karierę przy delfinie. Oto La Vauguyon przekupił podobno lokaja delfina, który mu ujawniał regularnie tytuły lektur księcia. Czytał wszystko gorliwie i dzięki uczonym a pobożnym dyskusjom z następcą tronu „skłonił delfina do wiary w jego rozległą i zdrową erudycję”. Takim hipokrycie i prymitywnemu spryciarzowi delfin powierzył wychowanie swoich synów. Gdy w 1786 r. syn La Vauguyona starał się u Ludwika XVI o ten sam urząd guwenera, król odrzekł mu podobno: „Bardzo mi przykro panu odmawiać, ale sam pan wie, że my obaj zostaliśmy wychowani jak tylko można najgorzej”. Liczni świadkowie stwierdzali, że Ludwik XVI zachował kiepskie wspomnienie o zmarłym w 1772 r. La Vauguyonie, „pamiętając mu żalną edukację, którą otrzymał pod jego kierunkiem”. Wypowiadał się o nim krytycznie już wcześniej, wnet po swym małżeństwie z Marią Antoniną, które go uwolniło od La Vauguyona. Cesarski ambasador w Wersalu, hrabia de Mercy-Argenteau, raportował w 1771 r. do Wiednia: „Pewnego dnia [delfin] bawiąc u swych ciotek mówił dość pogardliwie o swym byłym guwernerze, skarżąc się na marną edukację, którą od niego otrzymał”. La Vauguyon to nie tylko świętoszek, ale i rasowy dworak: chciwy, ambitny, zawistny i próżny. Jego kultura umysłowa była bardzo mierna. Miał ogromną liczbę wrogów – głównie wśród filozofów i w partii Choiseula – ale też dawał im mnóstwo okazji do szyderstw.

Edukacja księcia Berry pod tym światłym kierownictwem trwać miała prawie dziesięć lat. Chłopiec „przeszedł w ręce mężczyzn” mając zaledwie sześć lat, a więc o rok wcześniej niż to było w zwyczaju. Dokładnie 8 września 1760 r. skwitowano panią de Marsan z opieki nad nim i oddano go La Vauguyonowi. Dostał męski ubiór: na portrecie pędzla Fredou, malowanym właśnie w 1760 r., ksiązę Berry nosi strojny frak z koronkami i gwiazdą Orderu Świętego Ducha.

Pośpiech, z jakim uznano, że wyrósł z dziecinnej sukienki, miał przyczynę smutną i ważną dla jego przyszłości. Wiosną 1760 r. niespełna dziewięcioletni ksiązę Burgundii został unieruchomiony przez gruźlicę kości: leżał w łóżku lub poruszał się na wózku. To wielki cios dla jego rodziców i dla

króla: dworacy od dawna piali z zachwytu nad najstarszym synem delfina. Był wprawdzie egoistyczny, leniwy i łakomy – ale władcze usposobienie pozwalało pochlebcom prorokować mu przyszłość wielkiego monarchy, nowego Ludwika XIV. Chory bardzo się nudził, postanowiono więc połączyć go z młodszym bratem.

Książę Burgundii bardzo teraz złagodniał; przykre cechy jego charakteru ustępowały przed żarliwą pobożnością. Rozwodzono się później nieraz nad wpływem, jaki agonia brata wywarła na Ludwika XVI, na jego stosunek do religii i śmierci. Bez wątpienia pozostała w jego pamięci. Przeżycie byłoby większe, gdyby książę Berry był trochę starszy i gdyby jego własna obłożna choroba nie odseparowała go na dłuższy czas od umierającego brata. Śmierć księcia Burgundii, 21 marca 1761 r., przybliżyła go do tronu Francji: od korony oddzielał go teraz jedynie zgorzkniały, dziwaczający, trzydziestodwuletni ojciec. Nowa sytuacja musiała oczywiście zwrócić nań baczniejszą uwagę wszystkich: rodziców, królewskiego dziadka, gubernera i nauczycieli, ministrów i dworzan. Tymczasem wśród synów delfina to właśnie Berry był najmniej aktywny, fizycznie i umysłowo. Poprzednio jego nieśmiałości i małomówności przeciwstawiano władcze dyspozycje księcia Burgundii: rodzice bez wątpienia łatwiej by się pogodzili z wyrokami Opatrzności, gdyby śmierć ugodziła jego, a nie najstarszego z braci. Teraz zaczęto się zastanawiać, czy nie jest fatalnym pechem dla Korony, że przyszłym delfinem ma być Berry, a nie żywszy i inteligentniejszy hrabia Prowansji. Strapiony delfin wezwał na pomoc zaprzyjaźnionego jezuitę, ojca de Neuville, do którego ocen miał wielkie zaufanie. Jego zadaniem było przyjrzeć się uważnie trzem synom delfina i ocenić „ich perspektywy na przyszłość, zwłaszcza najstarszego”. Ekspertyza brzmiała pocieszająco: zdaniem jezuity książę Berry „zapowiadał mniej żywości i ujawniał maniery mniej wdzięczne niż jego książęcy bracia; co się jednak tyczy solidności jego rozsądku i przymiotów serca, obiecywał, iż nie będzie od nich gorszy”.

Niemniej wszakże złośliwe opinie o debilizmie Ludwika Augusta księcia Berry krążyły po Wersalu. Przyczyniał się niemało do ich rozpowszechniania sam szef rządu diuk de Choiseul. Także raporty słane do Wiednia przez hrabiego de Mercy-Argenteau, bystrego obserwatora i niezłego psychologa, brzmiały nader krytycznie.

Przez rok po śmierci brata Berry był jedynym wychowankiem La Vauguyona. Wiosną 1762 r. dołączył doń 7-letni hrabia Prowansji, cieszący się – grubo na wyrost – opinią rodzinnego geniusza. Wicegubernierem Dzieci Francji był od początku edukacji księcia Burgundii markiz de Sinety, głównym preceptorem zaś – ksiądz de Coetlosquet, uprzednio biskup Limoges, zacny, ale intelektualnie zupełnie przeciętny. Teraz zaczęła się pojawiać cała sfera nauczycieli, specjalistów od kaligrafii, rysunku, matematyki, fizyki, geografii, historii, szermierki, tańca... Religii nauczał eks-jezuita ksiądz Berthier, jeden z licznych wśród kleru pogromców Woltera.

Delfin nie miał pełnego zaufania do La Vauguyona i jego pomocników: dwa razy w tygodniu, w środy i soboty, Coetlosquet prowadził obu chłopców do rodziców. Delfin kontrolował ich znajomość łacińskich autorów,

kościelnych i świeckich; Maria Józefa odpytywała synów z religii i historii. Pewne obserwacje, poczynione w tym okresie początków edukacji, wydają się wcale trafne. La Vauguyon dostrzegł za nieśmiałością zamkniętego w sobie księcia Berry skłonność do uporu i zarozumiałości. Delfin się niepokoił, że jego najstarszy syn wykazuje pilność w nauce wówczas jedynie, gdy lekcje go bawią. Jeśli się przyzwyczai do takiej lekkomyślności – to i sprawy państwa będzie traktował jak zabawę, porzucając je, kiedy go znużą. Ta obserwacja delfina warta jest, by ją zapamiętać. Jeszcze inne spostrzeżenie bardzo trafne: delfin stwierdził, że Berry ma doskonałą pamięć. Ta zaleta będzie towarzyszyła Ludwikowi XVI przez całe życie. Stąd też wcześniej rozbudzone zainteresowania chłopca dla historii i geografii, ale traktowanych jako zbiór szczegółowych faktów, dat, nazw miejscowości. Lata sześćdziesiąte były dla rodziny królewskiej niełaskawe. Delfin gorzkniał w zapiekłej nienawiści do polityki, którą w imieniu króla prowadził Choiseul, dodajmy: w pełnej komitywie z panią de Pompadour. Była to polityka autorytarna, ale kokietująca filozofów, między innymi wolnomyślnością w sprawach religii. Rząd zlikwidował domy zakonne jezuitów; sam Choiseul, sceptyczny grand seigneur, nie respektował postów, a w okładkach książki do nabożeństwa trzymał frywolne teksty Aretina. Ludwik XV demonstrował wprawdzie rewerencję dla religii i jej rytów, ale już od 25 lat nie spowiadał się i nie przyjmował komunii. Tymczasem delfin po śmierci księcia Burgundii popadał w coraz cięższą bigocję: potrafił wysłuchiwać trzech mszy w ciągu jednego dnia. Na złość Choiseulowi i filozofom popierał konserwatywno-katolickich, „antyfilozoficznych” pisarzy, takich jak Palissot, Freron, Moreau.

Delfina oburzały klęski Francji w wojnie siedmioletniej, usankcjonowane niekorzystnym pokojem paryskim (1763), a także zmiany we francuskiej dyplomacji – dokonane u progu wojny (1756) „odwrócenie aliansów”, gdy Francja zerwała z dziedziczną wrogością wobec Habsburgów i zawarła sojusz z Austrią. Delfin dąsał się ciężko na ojca i za to, że mu nie pozwolił dowodzić armią podczas wojny; wściekał się na Choiseula, który całkowicie go odsunął od wpływu na polityczne decyzje. Lubił chodzić incognito po Paryżu i nasłuchiwać, jak lud złorzeczy rządowi i królewskiej metresie. Od czasu do czasu próbował bez powodzenia intrygować przeciw Choiseulowi. Jedna z owych intryg skończyła się krzykliwą kłótnią, w której Choiseul miał ostatnie słowo. Gdy delfin odwrócił się odeń tyłem, minister zawołał arogancko: „Odchodzi pan; muszę jeszcze panu powiedzieć, że może mnie spotkać to nieszczęście, iż będę pańskim poddanym. Nigdy jednak nie będę pana sługą”.

Los oszczędzi Choiseulowi tego „nieszczęścia”. Śmierć markizy de Pompadour w kwietniu 1764 r. sprawiła, że delfin ożywił się i poweselał: liczył oczywiście na zbliżenie z ojcem. Maria Józefa z przyjemnością konstatawała w 1765 r., że jej otyły mąż schudł i wyprzystojniał. Nie od razu zdano sobie sprawę, że owa gwałtowna utrata wagi jest rezultatem szybko postępującej gruźlicy. W październiku 1765 r. musiano jednak uznać, że następca tronu jest skazany. Ale aż do początku grudnia kontrolował ciągle z łóżka postępy swych synów w nauce. Przed śmiercią – jak notował diuk de Croy – „przemawiał niczem anioł do swego starszego

syna”. Zmarł rankiem 20 grudnia, nie w Wersalu, lecz w Fontainebleau. Dwór miał stamtąd wyjechać zaraz po jego zgonie; gdy zobaczył przez okno, że na zamkowym podwórzu ładuje się wozy, rzekł podobno lekarzowi: „Czas wielki umierać, bo już niecierpliwie zbyt wielu ludzi”.

Ludzie z partii dewotów – pani de Marsan, La Vauguyon, marszałek Richelieu – nie wahali się rozpowiadać, że to Choiseul otruł delfina. Długo wmawiano tę bzdurę jego synowi, także gdy już siedział na tronie. Ludwik XVI w to chyba nie wierzył, ale odziedziczył po ojcu zapiekłą niechęć do Choiseula – tak samo, jak estymę dla ojcowskich, nielicznych zresztą, przyjaciół i zaufanych.

Książę Berry przeżył ciężki wstrząs. Nie tylko tracił ojca, dla którego miał wielki respekt; zarazem w wieku jedenastu lat stawał się nagle delfinem, następcą 55-letniego króla. Nie brakowało mu wysokiego wyobrażenia o swej pozycji i o swym przeznaczeniu, ale jego charakter formował się już jako dziwaczne przemieszanie nieśmiałości i uporu, niepewności i dobrego mniemania o sobie. Może miał rację głośny wówczas pisarz, akademik Marmontel, gdy upatrywał w nim „duszę, która ma przecucie swego przeznaczenia i swych obowiązków, ale nie śmie mieć nadziei, że zdoła ich dopełnić”. Marmontel zapewniał, iż „słabość jego edukacji była przeciwieństwem tej słabości, którą się z reguły zarzuca wychowaniu władców: zbyt go onieśmielono”. Delfin domagał się przed śmiercią od króla zgody na to, by edukacja jego dzieci pozostała w rękach matki. Otóż, zarówno ona jak i La Vauguyon wpajali natrętnie nowemu delfinowi kult zmarłego ojca: przedstawiali go, rozmijając się nierzadko z prawdą, jako zwierciadło wszelakich cnót i model do naśladowania.

Wyobrażenia Marii Józefy o wzorowym wychowaniu były przy tym niezmiernie konserwatywne. W sierpniu 1766 r. książę Berry po raz pierwszy uczestniczył w polowaniu już nie w karocy, lecz w małym odkrytym powozie; po raz pierwszy też dosiadł konia. Ale matka była niechętna ćwiczeniom fizycznym, grom i ruchowi na powietrzu; powstrzymała też lekcje angielskiego, które przypadły do smaku zwłaszcza hrabiemu Prowansji. Wdowieństwo popchnęło ją ku wzmożonej pobożności i oschłemu rygoryzmowi. Postanowiła uczyć następcę tronu zasad religii i moralności w sztywnej, katechetycznej formie, reguł zaś dobrego rządzenia – na fundamencie schematycznej, bezrefleksyjnej wykładni dziejów Francji. Wpajała mu maksymy proste a stanowcze: „Szanuj się sam, a będziesz szanowany”; „Nic nie jest tak niebezpieczne, jak słabość”; „Nie pozwól, aby inni tobą rządili”...

Ta edukacja nie trwała długo. Po ojcu z kolei matka padła ofiarą gruźlicy; bardzo surowa zima 1767 r. przyspieszyła rozwój choroby. Zmarła 13 marca tego roku w wieku niespełna 36 lat. La Vauguyon, wyraźnie odsunięty przez nią na bok, bardzo teraz umocnił swą pozycję wychowawcy Dzieci Francji. Ponieważ jednak nie odznaczał się intelektualnym przepychem, a pisanie przychodziło mu z dużą trudnością – korzystał z całego sztabu fachowców. Program uczenia delfina sztuki rządzenia poprzez wykładnię ojczyściej historii przygotowywał publicysta i historyk Jacob-Nicolas Moreau, którego już dawniej delfin-ojciec upatrzył

sobie do tego zadania. Pasował wybornie do całego otoczenia młodych książąt: był pobożny, konserwatywny, nienawidził „sekty filozofów” i ruchu umysłowego, który przyniósł Wiek Światła. Małe traktaty, które układali Moreau i jezuita Berthier miały formę rozmów pomiędzy guwernerem, La Vauguyonem, a młodym delfinem. Chodziło o to, jak pisał później Moreau, „by stały się przykładem metody, której należy się trzymać, aby zmusić książąt do [samodzielnego] odkrywania prawd, zazwyczaj podawanych im w postaci przeżutej, tak że oszczędza się im wysiłku przetrawiania”. W istocie czternastoletni delfin nie przeżuwał biernie prawd ojca Berthiera i Jacoba Moreau. Spisane na kanwie ich utworów *Refleksje wokół moich rozmów z diukiem de La Vauguyon* są niezmiernie interesującym tekstem przyszłego Ludwika XVI. Opublikowane dopiero w połowie XIX w., *Refleksje* nie są oczywiście pierwszym produktem jego pióra. Dwa wypracowania księcia Berry były nawet w r. 1766 drukowane – w bardzo małej liczbie egzemplarzy – na użytek dworu. Pierwsze z tych wypracowań to rodzaj przewodnika po lesie Compiègne; drugie stanowi wybór maksym moralnych i politycznych z *Telemacha* Fenelona. *Refleksje*, utwór obszerny, podzielone zostały na 33 rozmowy z La Vauguyonem o różnych problemach moralności, historii, polityki, prawa.

Dość banalne, moralizatorskie gadulstwo Berthiera i Moreau zostało tu poddane przez delfina różnym zabiegom, które wystawiają nie najgorsze świadectwo jego inteligencji i jego pióru. Delfin streszcza wywody uczonych preceptorów, skraca je, przerabia, wyrzuca niektóre fragmenty, inne dopisuje. Trudno mu też odmówić konsekwencji i ambicji. Nie zawsze możemy porównać jego refleksje z ich pierwowzorami; rozważania Moreau o sprawiedliwym i stanowczym władcy dają się jednak skonfrontować z tekstem przyszłego Ludwika XVI. Otóż Moreau jest pełen respektu dla władzy monarszej, ale nie zachłystuje się wcale zachwytem nad rządami absolutnymi. Delfin natomiast bardzo wyraźnie retuszuje jego tekst tak, że owe przymioty sprawiedliwości i stanowczości dobrego władcy jawią się jako pochwała absolutyzmu. Przyszły Ludwik XVI zdecydowany jest rządzić sam, nie dzielić się z nikim ogromną monarszą władzą, trzymać ster bardzo mocno. Często powracają w *Refleksjach* ostrzeżenia przed słabością monarchy i jej skutkami. „Słaby władca będzie przez całe życie zabawką lub ofiarą swych ministrów, swej służby, swych przyjaciół... Będzie hańbą tronu, plagą dla swego ludu, przedmiotem pogardy dla potomnych”. I dalej: „Każdy słaby władca postępuje tak, jak nieszczęsny Karol I, a każdy rozgorączkowany i buntujący się lud podobny jest do ludu Anglików”. Władca musi dysponować potężną siłą („Monarchia, w ogólności, może się utrzymać jedynie siłą oręża”). I tak dalej.

Co więcej, delfin wyraża przekonanie, że jest w stanie sprostać trudnym zadaniom mocnego władcy. „Sonduję teraz moje serce i z dobrą wiarą badam, czy odnajduję w nim takie cechy, po których poznać mam stanowczość, jaka przystoi władcom. Jestem zadowolony z odpowiedzi, której mi ono udziela”. Niemal w *Refleksjach* aluzji do „stanowczości, która mi jest właściwa z natury”, do „mej własnej siły”... Zdecydowanie delfin Ludwik-August ma o sobie dobre mniemanie. Koresponduje z tym

powtarzana często anegdota, że gdy mówiono w jego obecności o przydomkach różnych królów Francji i zapytano, jaki przydomek by mu odpowiadał, odrzekł: Ludwik Surowy. To prawda, nie brak w *Refleksjach* potępienie tyranii oraz rozważań o obowiązku króla zapewnienia „szczęścia ludu”. Do ostatnich dni życia nie opuszczało Ludwika XVI przeświadczenie, że nie sprzeniewierzył się nigdy temu świętemu obowiązkowi. Gdy obrońca przyniósł mu do więzienia wiadomość o wyroku śmierci, Ludwik XVI oświadczył z dumą: „Właśnie od dwu godzin zajęty byłem badaniem, czy podczas moich rządów mogłem zasłużyć na najmniejszy wyrzut ze strony mych poddanych. *Eh bien*, panie de Malesherbes, przysięgam panu w szczerości mego serca, jako człowiek, który wnet stanie przed Bogiem, że zawsze chciałem szczęścia ludu i nigdy nie wyraziłem jakiegoś życzenia, które by mu było przeciwne”.

Są w *Refleksjach* elementy odpowiedzi, jak czternastoletni delfin wyobraża sobie dbałość o szczęście ludu. Otóż podatki należy nakładać tylko w takim wymiarze, jaki jest „absolutnie konieczny”; oszczędność monarchy i dobra administracja to umożliwią. Jednocześnie król powinien być hojnie dobroczynny. „Królowie i władcy zawsze znajdują środki i możliwości, by dawać, nagradzać, usposabiać przychylnie przez swe fawory i zapewnić tysiączne korzyści swoim poddanym. Może to zwłaszcza robić król Francji, który ma po temu niewyczerpane źródło. Ludy, a zwłaszcza Francuzi, pragną absolutnie rozpoznać w swych władcach ową prawdziwie królewską cechę hojności. Jest to pierwsza zaleta, która zwraca ich uwagę i skłania je do wybaczenia niedoskonałości rządu, skoro już raz się przekonają, że ich monarcha jest władcą dobroczynnym”. I jeszcze jedna obserwacja: hojność wymaga, by „mieć wzgląd na pozycję osób... Zwykły obywatel, jeśli jest naprawdę godny monarszej łaski, nie powinien domagać się dobrodziejstw, których rezultatem byłoby pomieszanie rang”. To również wątek, który w *Refleksjach* powraca: każdy powinien znać swoją rangę, swe miejsce w przestrzeni społecznej. Król Ludwik XVI zostanie wierny pogładowi delfina Ludwika-Augusta: zachowanie przywilejów jest równie ważne dla „szczęścia ludu”, jak lekkie podatki i hojne dobrodziejstwa.

Konserwatywny koloryt edukacji króla przeświadcza w *Refleksjach* bardzo wyraźnie. Pochwała absolutyzmu, przywiązanie do rang i przywilejów idą tu w parze z ostrą krytyką „ducha epoki”. Jest to bowiem „duch braku religii, duch niezależności [od władzy króla], duch bezwładu i obojętności dla publicznego dobra... Zbyt swoboda mówienia i pisanie w naszych czasach osiągnęła szczyt: pisze się już niemal tylko po to, by wzbudzić pogardę do religii oraz by zohydzić monarchię”. Niechęć do „sekty filozofów” młody Ludwik odziedziczył po babce Leszczyńskiej i po ojcu; na szczęście nie miał nigdy ojcowskich skłonności do przesadnej dewocji. Jego bracia, Provence i Artois, rychło sobie przyswoili reguły sceptycyzmu religijnego, a nawet libertynizmu; Ludwik natomiast zachował sumienną pobożność. Podobnie jak u matki była to wszakże pobożność bez bigoterii. Zapewne nie mały wpływ na taką postawę młodego człowieka miał jego spowiednik, ksiądz Placide Soldini, poprzednio spowiednik Marii Józefy Saskiej. Tradycjonalista, wróg filozofów, nie cierpiał jednak dewotów i

nietolerancyjnego zelanctwa; wpajał też skutecznie swemu penitentowi niechęć do zeświecczonych, chciwych i politycznie ambitnych księży. Ludwik XVI od początku rządów będzie uważał, że wpływ polityczny księży – a tym bardziej mnichów – na monarchę jest nieszczęściem dla państwa. Lektura *Refleksji* może stwarzać wrażenie, że kilkunastoletni następca tronu zapowiada się na nowego Ludwika XIV – króla władczyego, pewnego siebie, bezwzględnego. Ale jednocześnie obserwatorzy zwracali uwagę na jego nieśmiałość, brak żywości, małomówność, łagodny charakter, skłonność do roztargnienia i samotności, brak chęci podobania się i narzucania się otoczeniu. Ciotka Adelajda, z którą był w bliższych stosunkach i która go lubiła, mawiała podobno, lekko zniecierpliwiona: „Ależ gadaj ile chcesz, Berry, krzycz, grzmij, rób rwetes tak, jak twój brat Artois, tłucz i krusz moją porcelanę – i spraw, żeby o tobie mówiono!” I jeszcze jedno: *Refleksje* dowodzą, jak banalna i ogólnikowa, choć rozgadana, była edukacja króla w dziedzinie polityki, administracji, ekonomii i prawa. Często zatrzymywała się na poziomie takich oto mądrości: „Cztery wielkie czynniki bogactwa monarchy to: 1. Oszczędność, 2. Doświadczenie niepowodzeń, 3. Miłość do ludu, 4. Znajomość klęsk, które przynosi zła administracja”. Szesnastoletni delfin kończył w 1770 r. swą oficjalną edukację z bardzo skromnym zasobem konkretnej wiedzy o realiach ustroju, prawa, gospodarki, finansów państwowych. Moralizatorskie pouczenia jego rozgadanych nauczycieli takiej wiedzy zastąpić nie mogły: stąd zapewne pretensje delfina o marne wykształcenie, które otrzymał. Można też upatrywać w tym jedną z przyczyn owego rozdarcia uczuć i onieśmienia, o których pisał – może nie bez przesady – Marmontel. Ambitny i skłonny do dobrego mniemania o sobie chłopak nie miał chyba pewności, czy rzeczywiście sprostą swemu przeznaczeniu.

Dużo lepiej niż z wiedzą o arkanach rządzenia było z innymi dziedzinami jego edukacji, w których zatrudniono *ad usum Delphini* nauczycieli światłych i kompetentnych. Geograf Philippe Buache był dobrym specjalistą: pasjonował się podróżami morskimi i nowymi odkryciami geograficznymi. Przekazał to zainteresowanie młodemu Ludwikowi Augustowi. Delfin lubił też zajęcia terenowe i pracę nad mapami. Ksiądz Nollet uczył go fizyki, ze szczególnym akcentem na fizykę doświadczalną. Pod kierunkiem innego świetnego nauczyciela, Guillaume Le Blonda, delfin opanował podstawy arytmetyki, geometrii oraz elementy algebry. Wreszcie ksiądz de Radonvilliers uczył go łaciny – bardzo solidnie – oraz, mniej już dokładnie, języków żywych: włoskiego i angielskiego. No i wspomnieć wypada o zajęciach praktycznych, które nie były nowością na wersalskim dworze. Ludwik XV wcale zręcznie uprawiał artystyczną stolarkę, umiał rzeźbić w drewnie i w kości. Ludwik August wcześniej ujawnił zainteresowania dla ślusarstwa: mówiono na dworze z przekąsem o jego czarnych od pracy rękach, matka nazywała go „swym małym Wulkanem”.





MARIAŻ AUSTRIACKI

Kilkunastoletni książę Berry nie ukrywał, że małżeństwo go tentuje. Te dobre chęci zbiegły się z wcześniej ujawnionymi intencjami jego rodziny i rządu. Choiseul już w 1766 r. projektował jego małżeństwo z arcyksiężniczką austriacką Marią Antoniną, najmłodszą spośród 11 córek pary cesarskiej – Marii Teresy i Franciszka Lotaryńskiego. Była ona o rok i dwa miesiące młodsza od delfina. Choiseul, jeden z architektów niedawnego pojednania Francji z Austrią, nakłaniał króla do utrwalenia przez taki mariaż sojuszu z Habsburgami. Chodziło mu wszelako i o to, by umocnić dzięki temu swą pozycję i przedłużyć swe rządy na okres po śmierci Ludwika XV. Miał jak najgorszą opinię o inteligencji i charakterze Ludwika Augusta; sądził, że będzie mógł rządzić przy nim poprzez zupełnie uległą, młodą i kompletnie niedoświadczoną Austriaczkę.

Maria Józefa sprzyjała mariażowi saskiemu. Chętnie by widziała jako żonę księcia Berry córkę swego brata, księcia Ksawerego Saskiego. Nie chciała jednak forsować natrętnie tego projektu. Na razie zdołała przekonać Ludwika XV, że nie trzeba się śpieszyć ze sprowadzeniem Marii Antoniny do Francji, że dobrze będzie trzymać w tej sprawie dwór wiedeński „pomiędzy obawą i nadzieją”. Projekt saski nie został pogrzebany razem ze śmiercią Marii Józefy; podtrzymywała go – na złość Choiseulowi – partia wersalskich dewotów, z ciotkami delfina na czele. Córki Ludwika XV, a przede wszystkim ambitna Madame Adelaide, dorobiły do tego projektu całą teorię o potrzebie umocnienia dzięki niemu „równowagi politycznej w Niemczech”. Ściślej mówiąc – powtarzały tą teorię podsunętą im przez ich koterię. Zainteresowanie delfina możliwie rychłym małżeństwem nietrudno zrozumieć. W wieku piętnastu lat był to chłopak duży, niezgrabny, ciągle jeszcze szczupły, kołyszący się zabawnie przy chodzeniu, ale dobrze już rozwinięty i silny. Chorował jeszcze wiele razy, zwłaszcza latem 1767 i jesienią 1768 r. przebył dość ciężkie kryzysy, ale ruch na świeżym powietrzu bardzo mu służył. Była już mowa o tym, że lubił zajęcia terenowe z geografii; chętnie spacerował; jego wielką namiętnością stało się wszakże polowanie. Wsiadał na konia już wcześniej, ale dopiero od początku 1767 r. brał systematycznie, dwa razy w tygodniu, lekcje konnej jazdy. W grudniu zaczął wyższy kurs, naukę tresury i woltyżerki, którą traktowano jako konieczny wstęp do polowania na koniu. Przez półtora roku delfin przychodził regularnie do wersalskiego Maneżu; wreszcie w lipcu 1769 r. sporządzono mu kompletny strój myśliwski, a 19 lipca w agendzie delfina pojawiła się zapiska o pierwszym w życiu polowaniu na jelenia. Wnet się okazało, że jeździ dobrze, szybko i odważnie, że polowanie go pasjonuje. Warto dodać, że polowanie z nagonką na jelenia wymagało wówczas siły, odwagi i zręczności: do zwierzyny nie strzelano, posługiwano się tylko myśliwskim nożem. Dopiero później, jesienią 1771 r., delfin zaczął strzelać do ptactwa. Z początku bez sukcesów; rychło jednak i w tej sztuce bardzo się wprawi. Gdy był dzieckiem, panowała powszechna opinia, że jest krótkowzroczny; etykieta dworska nie

pozwalala korygować tej wady za pomocą okularów. Książę de Croy zapisał w swym dzienniku, na samym początku 1767 r., że krótki wzrok to dla przyszłego króla „wściekle nieszczęście”. Jego strzeleckie sukcesy każą postawić znak zapytania nad tym rozpowszechnionym mniemaniem.

Otóż, ten silny, nieźle rozwinięty chłopiec miał prawo wyobrazić sobie, że małżeństwo jest mu potrzebne. Jego doświadczenia rodzinne nie były dotąd wesołe. Tracił kolejno brata, ojca, matkę, a w czerwcu 1768 r. jeszcze babkę, Marię Leszczyńską. Jego stosunki z braćmi były raczej powierzchowne. Hrabia Prowansji, bliski mu wiekiem, ujawnił rychło talent do fałszu i intrygi. Porównania, które przypisywały mu więcej zdolności i wdzięku, musiały delfina irytować. W pamiętnikach księcia de Montbarey zapisana została anegdota o jakiejś deputacji z prowincji, która uznała za wskazane wychwalać inteligencję księcia Berry. „Monsieur, jestem panu bardzo zobowiązany – odrzekł książę na komplement mówcy – ale pan się myli: to nie ja jestem inteligentny, to mój brat Provence”. Nie wiemy, czy anegdota jest prawdziwa; w odpowiedzi delfina upatrywać jednak wolno raczej ironię niż naiwność. Drugi jego brat, hrabia Artois, to tylko próżny i hałaśliwy samochwał.

Były też ciotki, z którymi delfin utrzymywał stosunki. „Nie lubiono ich – pisał baron de Besenval – bo przy zbyt wielu sposobnościach dały dowody słabości charakteru i wynikającego z niej braku szczerości”. Ciotka Luiza ugrzęzła w dewocji, co też doprowadziło ją do klasztoru karmelitanek; ciotka Zofia była osobą zupełnie bierną i rzadkiej brzydoty. Dwie pozostałe, Adelajda i Wiktoria, miały więcej żywości i ambicji. U schyłku lat sześćdziesiątych, zgorzkniałe staropanieństwem i strapione licznymi żałobami w rodzinie, skupiały się coraz bardziej na zainteresowaniach dla Pana Boga, wiernych przyjaciółek (pani de Narbonne i pani de Durfort) oraz dla dobrego jadła. Biedny delfin znalazł się wówczas na rozdrożu: pobożne ciotki krytykowały przy nim króla i skłaniały chłopca, by zachowywał wobec monarchy wielką rezerwę. Zupełnie innego zdania był spowiednik delfina ksiądz Soldini. Przykazywał mu posłuszeństwo i respekt dla króla, wyraźnie potępiał rewoltę ciotek.

Przyczyną tej burzy była nowa metresa Ludwika XV, zainstalowana na dworze w 1768 r. – Joanna Becu, hrabina du Barry. Po śmierci markizy de Pompadour o zajęciu jej miejsca marzyła siostra Choiseula, diuszessa de Gramont. Przeciwnicy Choiseula, ze starym przyjacielem króla marszałkiem de Richelieu na czele, okazali się szybsi i skuteczniejsi w działaniu: to oni podstawili Ludwikowi XV 25-letnią panią du Barry, ładną, sprytną i nieźle ułożoną przez męża. Król bardzo się do niej przywiązał mimo jej fatalnej przeszłości: była nieślubnym dzieckiem, jej mąż zaś, hrabia du Barry, to zdeklasowany awanturnik. Kabała jej protektorów, tak zwanych *barryens*, miała cechy wielkiej przewrotności: du Barry była narzędziem do wysadzenia Choiseula z siodła. Pobożnych, a nawet bigoteryjnych wrogów Choiseula jakoś nie raziło cudzołóstwo w służbie politycznej intrygi; wśród *barryens* znalazł się również La Vauguyon, wielce moralny gubernator delfina.

Cała ta afera wywarła wpływ – pozytywny – na stosunki między królem a jego następcą. Po śmierci delfina-ojca nie były one szczególnie bliskie i

serdeczne. Ludwik XV zabierał swych wnuków na dworskie festyny i polowania, lubił też czasem odgrywać rolę patriarchalnego szefa rodziny. Brak jednak było prawdziwego uczuciowego kontaktu między nim i delfinem. Dopiero od końca lat sześćdziesiątych nastąpiło zbliżenie. Polowanie było pasją obu, dziada i wnuka; zaczęli teraz spędzać razem sporo czasu na tej królewskiej rozrywce. Łaskawość i sympatię króla delfin okupił jednak swą aprobatą dla „skandalu”. W najbliższym otoczeniu wojowano o jego duszę: z jednej strony pobożne ciotki potępiały króla-jawnogrześznika, z drugiej spowiednik zalecał respekt dla monarchy, z trzeciej wreszcie guwerner wywierał presję, by wychowanek uznał nową metresę. Delfin zdecydował się ulec partii silniejszych. Nie pomógł nawet świetlany przykład zmarłego ojca wojującego z królewskimi kochankami: Ludwik August skapitulował przed sympatyczną panią du Barry. „Dla świętego spokoju”, jak podobno powiadał. Przy prezentacji faworyty na dworze, w kwietniu 1769 r., delfin zachował się jeszcze chłodno. Wnet jednak miało się okazać, że nie zamierza prowadzić z nią wojny.

Król urządzał dwa rodzaje kolacji: w wesołej kompanii hrabiny du Barry i jej przyjaciół oraz w gronie rodzinnym. W tych pierwszych, z własnej inicjatywy, rychło zaczął brać udział Ludwik August. Tylko on, z całej królewskiej rodziny, uczestniczył w obu rodzajach kolacji monarszych. Później posunie swą uprzejmość jeszcze dalej: zacznie bywać na kolacjach u pani du Barry, a nie tylko na kolacjach z jej udziałem. To nie niuans, to zasadnicza różnica.

Zbliżenie delfina z królem, ale i obawy Choiseula o swą przyszłość przyspieszyły zawarcie austriackiego mariażu. Wiosną 1770 r. Maria Antonina wyruszyła z Wiednia do Wersalu. „Czy bardzo pani spieszo zobaczyć delfina?” – pytała niedyskretnie wyjeżdżającą narzeczoną jakaś wiedeńska dama. „Madame, za pięć dni będę w Wersalu, szóstego dnia łatwo mi przyjdzie odpowiedzieć”.

Kim była niespełna 15-letnia arcyksiężniczka, oddawana 16-letniemu Ludwikowi Augustowi? Najmłodsza z cesarskich córek była w Wiedniu rozpieszczana, korzystała ze znacznej swobody i prawa do rozkosznej ignorancji. Dopiero w 1768 r. Maria Teresa postanowiła przerwać tę rozkosz. Ksiądz de Vermond, Francuz przysłany przez Choiseula, miał ją nauczać religii, języka francuskiego, historii Francji, a także arcyważnej wiedzy o francuskiej arystokracji, ze szczególnym uwzględnieniem wielkich rodów szlachty dworskiej. Te lekcje (niezbyt intensywne: jedna godzina dziennie...) nie zdołały nadrobić straconego czasu. Maria Antonina przybyła do Francji z przyzwyczajeniem do swobody i rozrywek, ostrym językiem i gustem do obmowy, niedoskonałą znajomością ortografii i zupełnym brakiem zainteresowania dla poważnych lektur.

Cały dwór powtarzał sobie anegdotę – może i prawdziwą – o jej rozmowie z przydaną jej główną damą honorową, panią de Noailles. „Jakie właściwie są funkcje na dworze pani du Barry?” – zapytała tuż po przybyciu młoda Austriaczka. – „Jest tu po to, by się podobać królowi i zabawiać go”. – „W takim razie pragnę być jej rywalką!” Niektórzy dworacy sądzili, że ta zabawna gafa stała się główną przyczyną czteroletniej wojny, którą żona delfina prowadziła z metresą króla. Faktem jest, że od początku

Maria Antonina nie znosiła hrabiny du Barry i nawzajem, stała się przedmiotem niewybrednych napaści ze strony koterii *barryens*.

Ślub odbył się w Wersalu 16 maja 1770 r. Wielu ludzi mówiło o mariażu stulecia: poprzez parę młodych łączyły się jeszcze silniejszym związkiem dwa wielkie europejskie mocarstwa. Triumf Choiseula wydawał się zapowiedzią dalszych długich jego rządów. „Był to, jak mi się wydaje, najpiękniejszy ślub, jaki miał miejsce za mego życia” – pisał stary już diuk de Croy. Opis uroczystości, które nastąpiły po ślubie, zajmuje w edycji dzienników Croya kilkadziesiąt stron druku! Trwały one od 16 maja aż do 20 czerwca. Po długim festiwalu balów, iluminacji, ogni sztucznych, teatrów, baletów – ostatniego dnia wystawiono tragedię Woltera *Tankred* i balet *La Tour enchantée*. Dwór przeżył wielkie dni.

No, nie brakowało i zgrzytów. Rodzina książąt lotaryńskich, krewniaków Marii Antoniny, z poparciem cesarskiego ambasadora zgłosiła roszczenia, które rozjątrzyły arystokrację dworską. Chodziło o zupełnie groteskowy przywilej pierwszeństwa w tańcu podczas galowego balu w dniu 19 maja. Zaczęła się wokół tej sprawy prawdziwa batalia: negocjacje, manewry, protesty, krzyki, wreszcie próba zbojkotowania balu. Gdy pan d'Aumont doniósł Ludwikowi XV, że arystokracja zamierza bojkotować bal, „król był tak dotknięty do żywego, że rzucił na ziemię swój kapelusz i łzy mu napływały do oczu; delfin zaś był wściekły”. Ostatecznie szlachta poszła na bal, trochę z obawy, trochę z afektu dla króla; damy żałowały pieniędzy, wydanych już na stroje balowe... Oczywiście cała ta monarsza feta była kosztowna. Minister skarbu, energiczny ksiądz Terray, twierdził, że wydano na uroczystości od 4 do 5 milionów liwrów; plotki określały tę sumę na około 20 milionów; diuk de Croy obliczał ją na 9 milionów. Ale wszystkie wersalskie kłopoty i koszty bledną w obliczu prawdziwej tragedii, która się wydarzyła 30 maja w Paryżu. Na ogromnym placu Ludwika XV (to dzisiejszy plac de la Concorde) przygotowano z okazji ślubu delfina pokaz sztucznych ogni. Władze miejskie z racji prestiżowych nie chciały usług policji; porządek miały utrzymywać niezbyt sprawne służby miejskie. W ogromnej masie widzów zaczęły się harce rzezimieszków, ofiary kradzieży krzyczały, tłum się zaniepokoił. W dodatku zapaliło się rusztowanie postawione na placu dla puszczania rakiet; strażacy, przeciskający się przez ciżbę, powiększyli zamieszanie. Tłum zafalował i zaczął odpływać z placu. Ale wyjście przez rue Royale, między dwiema kolumnadami, było wąskie i zablokowane powozami. „Wprawdzie z boku było szerokie przejście – pisał de Croy, naoczny świadek wydarzeń – jednakże z mnóstwem rowów i kamieni... Pierwsi, którzy wpadli do rowów, zostali zaraz stratowani i zduszeni przez następnych... Gwałt był taki, że ludzie swym naciskiem zdusili trzy konie zabijając je na miejscu... Były trupy, które tłum uniósł; niesiono martwych daleko i nie upadali”.

Książę de Montbarey pisał, że „policja bardzo się starała, aby ukryć prawdę: nie ujawniała liczby ofiar pod pretekstem, że nie trzeba smucić dworu i mącić publicznej wesołości”. „Niskie pochodzenie ofiar – czytamy w apokryficznych pamiętnikach Webera, młodego brata Marii Antoniny – pozwoliło bardzo pomniejszyć ich liczbę w raporcie dla dworu”. Diuk de

Croy, który sprawdzał dane na policji, dowiedział się, że z miejsca katastrofy zabrano 132 ciała, 83 kobiety i 49 mężczyzn (w tym dwu szlachciców i dwu księży). Wielu rannych zmarło jednak później i wedle Croya ofiar było w sumie ponad trzysta. Rozpisywano się nad tym wydarzeniem jeszcze wiele lat później. Zwracano uwagę na to, że właśnie na fatalnym placu Ludwika XV (wówczas już placu Rewolucji) Ludwik XVI i Maria Antonina wstąpili na szafot; że ich ciała znalazły się na tym samym cmentarzu de la Madeleine, na którym złożono zwłoki ofiar z maja 1770 r. Twierdzono, że już wówczas ludzie mówili o złej wróżbie dla młodej pary. Nietrudno być prorokiem po fakcie.

Po ślubie wnet się okazało, że pożycie z Marią Antoniną nie będzie samym tylko festiwalem zabaw i rozrywek. Ujawniły się różnice temperamentów i zainteresowań. Żona delfina rychło zaczęła się buntować przeciw wersalskiej etykietce; hrabina de Noailles, która ją wprowadzała w reguły dworskiego obyczaju, otrzymała od niej lekceważące przezwisko *Madame Etiquette*. Ów gust do wyszydzenia, przedrzeźniania, przezywania mocno zaszkodził Marii Antoninie; kierował się przeciw dworzanom, ministrom, a nawet Francuzom w ogóle („moi kupczykowie”). „Sądziła, że wszystko jej wolno z racji dostojnego urodzenia i obecnej jej rangi” – stwierdzał jeden ze współczesnych. Lekceważenie etykiety także było błędem, bo „na dworze – jak pisał Montbarey – pozory mają większe znaczenie niż rzeczywiste działania”.

Lekkomyślna żona zaczęła wnet zgłaszać pretensje i żale pod adresem męża. Sceny kończące się płaczem, gdy latem 1770 r., podczas wakacyjnego pobytu dworu w Compiègne, delfin zbyt wiele czasu spędzał na polowaniach i zbyt późno z nich wracał. Wymówki, gdy chodził na kolacje z udziałem pani du Barry. Delfin oczywiście rozumiał, że w wojnie z metresą króla jego żona jest narzędziem Choiseula i austriackiego ambasadora de Mercy-Argenteau. Nie był tym zachwycony; Choiseul traktował przecież wrogo i jego ojca, i jego samego.

Pojawiły się też rychło kłopoty najbardziej intymne. W noc poślubną, podczas uroczystego *coucher*, sam król podawał delfinowi nocną koszulę. Ale i ta, i następne noce przyniosły rozczarowanie. Delfin nie cierpiał na niemoc w ścisłym tego słowa rozumieniu; jednakże jego kontakt fizyczny z żoną był powierzchowny i nie prowadził do pełnej konsumpcji małżeństwa. Mijały miesiące i nic nie zapowiadało ciąży. Maria Antonina nie od razu zaczęła się żalić swym konfidentom na małżeńską „nonszalancję” i „lenistwo” męża; czasem wszakże zdradzała irytację. Wśród różnych wygód i rozrywek, które sobie wyjednała u króla, była jazda konna. Gdy pewna stara dama odradzała jej przejażdżki na koniu, które mogłyby narazić dziedzica Korony, otrzymała cierpką odpowiedź: „Na miłość boską, proszę mnie zostawić w spokoju i przyjąć do wiadomości, że nie narażam żadnego dziedzica”.

Rozczarowanie małżeńskie szło w parze z zawodem politycznym. Delfin wcale nie zamierzał stać się popychadłem żony, a przez nią choiseulistów, partii austriackiej. Choiseul uważał go za debila; Mercy-Argenteau pisał w raporcie dla Wiednia z 1769 r.: „Jak się wydaje, natura odmówiła delfinowi wszystkiego. Swym zachowaniem i swymi wypowiedziami księżę ten za-

powiada jedynie rozsądek bardzo ograniczony, zupełny brak wdzięku i anicienia wrażliwości”. Obu tym panom wydawało się, że Maria Antonina owinie go wokół palca. To był błąd.

W grudniu 1770 r. nowy cios dla żony delfina: upadek Choiseula. Wielu współczesnych upatrywało w tym sukces buduarowej intrygi pani du Barry; jednakże przyczyny owego politycznego przewrotu były dużo głębsze. Choiseul zajmował dwuznaczną, lawirancką postawę wobec ambicji sądu najwyższego, parlamentu, który od czasów Ludwika XIV systematycznie uprawiał opozycję przeciw rządowi absolutnym. Z opozycji tej Ludwik XV „najpierw kpił sobie, potem uznał ją za niewygodną, wreszcie się nią zmęczył”. Właśnie w 1770 r. kryzys na tle polityki parlamentu osiągnął szczyt; Choiseul nie chciał go przeciąć. Dwaj jego koledzy z rządu stworzyli wspólny front przeciw niemu: zarzucili mu uległość wobec sędziów z parlamentu, tak zwanej Wielkiej Togi, a jednocześnie niebywałą rozrzutność pustoszącą skarb państwa. Byli to: minister finansów ksiądz Terray (bardzo zły ksiądz i bardzo sprawny szef skarbu) oraz kanclerz Maupeou, zwierzchnik wymiaru sprawiedliwości. Najbardziej jednak zaszkodziła Choiseulowi jego dyplomacja: ten faktyczny szef rządu pełnił oficjalnie funkcje ministra spraw zagranicznych. Minęło ledwie siedem lat od zakończenia niefortunnej wojny siedmioletniej, a Choiseul już planował działania wojenne przeciw Anglii. Wszyscy jego wrogowie podnieśli krzyk: przekonali króla, że szaleństwem byłoby zacząć wojnę przy pustkach w skarbie i otwartej rewolcie parlamentu.

24 grudnia 1770 r. Choiseul otrzymał dymisję i został „zesłany” do swych dóbr. Taki był zwyczaj: gdy minister Ludwika XV popadał w niełaskę, nie miał prawa opuszczać miejsca „wgnania”, nie mógł się pokazywać w Wersalu ani w Paryżu. Miejsce Choiseula zajął sprytny, ale mierny diuk d’Aiguillon z koterii pani du Barry. Faworyta umocniła swą pozycję, a w rządzie dominował teraz „triumwirat”: Terray, Maupeou, d’Aiguillon. Maria Antonina musiała się ugiąć: na przyjęciu noworocznym wykrztusiła jedno zdanie pod adresem hrabiny du Barry („Dużo ludzi dziś w Wersalu”). Jakże miała nie ulec, skoro naciskali na nią mąż, matka i austriacki ambasador! Delfin nie pragnął wcale wojny swej żony z królem; Maria Teresa szukała poparcia Francji dla rychłego już rozbioru Polski i uznała, że wypadnie pozyskać metresę Ludwika XV.

„Triumwirat” podjął ostatnią za czasów Ludwika XV próbę reformy politycznej i umocnienia rządu. Kanclerz Maupeou ogłosił w lutym 1771 r. głęboką reformę sądową, która rozbiła potęgę Wielkiej Togi i sparaliżowała polityczną opozycję parlamentu. Zniesiono dziedziczość i sprzedawalność urzędów sędziowskich; ogłoszono, że wymiar sprawiedliwości będzie bezpłatny; skomponowano nowy parlament z sędziów opłacanych przez państwo i odwoławczych. Poszły za tym ważne reformy w strukturze parlamentu. W istocie bowiem parlament nie był jednym organem: oprócz parlamentu w Paryżu (najważniejszego, bo ogarniającego blisko dwie trzecie państwa swoją jurysdykcją) istniało kilkanaście parlamentów prowincjonalnych. Reforma objęła całą strukturę, przy czym parlament paryski został wydatnie osłabiony.

Ta „rewolucja Maupeou” przyjęta została przez opinię wcale nie jedno-

myślnie, choć upraszczała i modernizowała wymiar sprawiedliwości. Parlamentarna opozycja przeciw despotyzmowi była często egoistyczna, konserwatywna i arystokratyczna, bo też sędziowie z parlamentów stopili się już wyraźnie z arystokracją. Ale opinia obawiała się, że jeśli tej opozycji zabraknie, nie będzie żadnego hamulca dla rządu. Sędziów nowego „parlamentu Maupeou” skompletowano szybko z ludzi wobec rządu uległych: opinia uważała – po części słusznie – że nie wyróżniają się oni niczym poza ową uległością.

„Rewolucję Maupeou” przyjęto z tym większymi oporami, że jednocześnie książę Terray uzdrawiał bardzo brutalnie finanse państwa. Ratował je za pomocą środków drastycznych, dotkliwie odczuwanych przez całe niemal społeczeństwo. W dodatku pogardzano Terrayem za jego cynizm i fatalne obyczaje. Udało mu się wszelako w ciągu kilku lat radykalnie zmniejszyć deficyt skarbu. Odroczyło to o kilkanaście lat katastrofę reżimu absolutnego, który w 1769 r. był już na krawędzi kompletnego bankructwa. Delfin Ludwik August mógł z satysfakcją spoglądać na przewrót polityczny z lat 1770-1771. Ojciec przekazał mu w spadku wrogość do Choiseula, nieufność wobec parlamentu, niechęć do sojuszu z Austrią. Mariaż austriacki nie zmienił takiego nastawienia następcy tronu. Jednakże jego satysfakcja nie mogła być pełna. Nie wszedł do królewskiej Rady, nie miał udziału – choćby biernego – przy podejmowaniu politycznych decyzji. Pierrette Girault de Coursac, badaczka sumienna, lecz zbyt entuzjastyczna w ocenie Ludwika XVI, twierdziła wprawdzie, że Ludwik XV wprowadzał wnuka w tajniki rządzenia podczas wspólnych polowań. To hipoteza najzupełniej fantazyjna. Wypadnie raczej uwierzyć współczesnym, którzy zarzucali Ludwikowi XV, że trzymał swego następcę z dala od spraw państwowych. Gdy wszakże pojawiał się jakiś zawily problem, powtarzał podobno: „Bardzo chciałbym wiedzieć, jak by wybrnął z tego Berry!” Gdyby go przygotowano do rządzenia, praktycznie a nie moralizatorskimi teoriami, to Ludwik XVI nie ujawniłby tak autentycznego przerażenia ciężarem władzy w momencie śmierci Ludwika XV. Póki ciężar ten nań nie spadł – wypadało wypełniać sobie czas. Delfin lubił jeździć konno razem z żoną; Maria Antonina chętnie tańczyła, więc i on to robił, niezgrabnie i bez wdzięku. Zwiedzali doroczne salony malarskie, grali w przysłowia i szarady, zimą były brawurowe jazdy saniami, powtarzały się bale i przedstawienia teatralne. Marię Antoninę pociągały występy w łatwych komediach, ale aktorką była marną. Zdradzała gust do pięknej biżuterii. Wpływowa klika pani du Barry cieszyła się z tej chęci błyszczenia i bawienia się, bo to oddalało żonę delfina od politycznych intryg. Ludwik August miał swe własne pasje – polowanie i ślusarstwo, po trochu także i zegarmistrzostwo. Nie stronił również od innych prac fizycznych. W lipcu 1773 r. Mercy raportował Marii Teresie, że gdy w wersalskich apartamentach są jakieś przeróbki, delfin lubi pracować ciężko razem z robotnikami; kiedy zaś wraca zmęczony jak wyrobnik, żona robi mu sceny...

Pierwszą oficjalną wizytę młodych w Paryżu, w czerwcu 1773 r., wypełniła msza w katedrze Notre-Dame, potem zwiedzanie miasta (bardzo powierzchowne) i obiad w Tuileryach. Przyjęcie ze strony paryżan było

gorące, ale jakieś przekupki wołały: „Panie delfinie, dajże nam w końcu dzieciaka!” To był już problem dynastyczny, zwłaszcza że i hrabia Prowansji nie mógł jakoś doczekać się potomstwa. Ożeniono go z Marią Józefiną Sabaudzką, córką przyszłego króla Piemontu Wiktora Amadeusza III. Sekundowała dzielnie mężowi w intrygach, ale dzieci mu nie dała. Gdy zatem w 1773 r. żeniono hrabiego Artois z jej siostrą, Marią Teresą, to trzecie małżeństwo wydawało się ostatnią szansą dynastii. Wierny królowi, ale i oszczędny diuk de Croy trafił się, co to będzie, jeśli znów nie zjawi się potomstwo: „To nieszczęsna sprawa, bo dotyka aż trzech chłopców, i tym przykrzejsza, że ich dwory kosztują jednak tyle milionów!” Na szczęście hrabina Artois miała opinię zupełnej idiotki, ale przynajmniej umiała rodzić dzieci.

Dzieci przyjdą jednak później, po śmierci Ludwika XV. Na razie losy dynastii wydawały się na tyle niepewne, że zaczęto mówić o ponownym małżeństwie króla, już przeszło 60-letniego, lecz ciągle jeszcze krzepkiego. Sam on opowiadał, że pani du Barry nauczyła go przyjemności dotąd mu nie znanych („To dlatego, że Wasza Królewska Mość nigdy nie chodził do burdelu” – rzekł na to ponoć diuk de Noailles). Tuż po śmierci Marii Leszczyńskiej mówiono o małżeństwie króla z austriacką arcyksiężniczką, 25-letnią Marią Elżbietą; teraz ambasador Hiszpanii hrabia Aranda snuł projekty ożenienia go z infantką hiszpańską... Mogłoby to otworzyć znowu kwestię następstwa tronu. Było już jednak za późno.



KRÓL UMIERA; NIECH ŻYJE KRÓL

„Król poczuł się źle 28 kwietnia 1774 roku, w Petit Trianon, podczas jednej z tych dwu- lub trzydniowych podróży, którymi nieustannie usiłował on wypełnić pustkę swego życia i odpędzić beczynność oraz nudę, które go wszędzie ścigały” – pisał baron de Besenval. Towarzyszyło mu, jak zwykle, małe grono: osiem osób, w tym pani du Barry i księżęta de Soubise oraz d’Aiguillon. Ludwik XV miał dreszcze, stracił apetyt; ostatecznie uległ lekarzom i dał się przewieźć z powrotem do Wersalu. 30 kwietnia medycy przestali się głowić nad diagnozą: pojawiły się symptomy ospy. Chory zdał sobie z tego sprawę dopiero po kilku dniach: „Coś takiego, to zdumiewające” – rzekł ze szczerym zadziwieniem. Choiseul pisał, że król zawsze bał się śmierci, i to „w sposób odrażający, przy najmniejszym wypadku, jaki mu się przydarzał”; hrabia de Maurepas też twierdził, iż już za młodu obawiał się śmierci, „tak jak gdyby miał osiemdziesiąt lat”. Dzienniki diuka de Croy opisują wstrząsający kontrast: w ostatnich dwu dniach choroby król wyglądał przerażająco, „z głową Maura lub Murzyna, czerwoną jak miedź i spuchniętą”. Ale w wersalskim parku, „ponieważ była piękna pogoda, mnóstwo ludzi spacerowało jak zwykle. Gospody przepelnione i nikt, poza ludźmi z apartamentów króla, nie okazywał wzruszenia. W Paryżu nie było lepiej”. Baron de Besenval, obecny przy agonii króla, pisał: „Nie słyszałem, by ktoś coś mówił, ale łatwo było zauważyć na wszystkich twarzach zadowolenie”. Diuk de Liancourt opowiadał Besenvalowi, że w przeddzień śmierci króla widział na pokojach

placzącego lokaja. „*Eh bien*, oplakujecie, swego pana?” – zapytał. „Och, co to to nie, płaczą tylko dlatego, że mój kolega, biedak, nigdy nie przechodził ospy: teraz się zarazi i umrze”.

Obojętność na los króla była zadziwiająco jednomyślna. Kościoły, w których nakazano czterdziestogodzinne modły na jego intencję, świeciły pustkami. Przed laty, gdy Ludwik XV chorował poważniej, zamawiano tysiące mszy; teraz należało to do zupełnych rzadkości. Świadomość, że Francja była źle rządzona, upowszechniła się w społeczeństwie. Choiseul zostawił w swych pamiętnikach piękny portret Ludwika XV, nie malowany bynajmniej samymi czarnymi barwami. „Nie brakowało królowi odwagi – pisał – poza odwagą, by postępować przyzwoicie”. Obojętność, niechęć, czasem pogarda poddanych, które na siebie ściągał, mogły stanowić cenny kapitał dla jego następcy, w którym nie rozpoznawano wad Ludwika XV. Kapitał ów należało jednak pomnożyć własnymi zaletami, bo inaczej musiał stopnieć bardzo szybko.

Wnuków króla odseparowano od umierającego, by ich nie narażać. Zgon nastąpił dopiero 10 maja 1774 r. o godzinie 15,15. „Delfin był u swojej żony. Czekali razem na wiadomość o śmierci Ludwika XV. Straszny hałas, zupełnie podobny do grzmotu, dał się nagle słyszeć w pierwszym pokoju apartamentów: to tłum dworzan porzucił przedpokoje zmarłego władcy, aby złożyć cześć nowej władzy, Ludwikowi XVI. Maria Antonina i jej małżonek... oboje padli na kolana i oboje wśród łez wykrzyknęli: „Boże, prowadź nas, chroń nas, rządy przypadły nam w zbyt młodym wieku”. Relacja pochodzi od pokojowej Marii Antoniny, pani Campan, świadka skądinąd dość kłamliwego. Ale wielu innych, sumiennych i dobrze poinformowanych świadków potwierdza ów odruch przerażenia nowego króla, uginającego się pod ciężarem swej odpowiedzialności.

Zgadza się to z dostrzeżoną u niego wcześniej nieśmiałością i świadomością kiepskiego przygotowania do rządów. Była już mowa o tym, że mu to nie przeszkadzało bardzo wysoko oceniać swą pozycję i swoje możliwości. Później się okaże, iż Ludwik XVI, niezdecydowany, niepewny, składający ciężar decyzji na ministrów – był zarazem zazdrosny o swą władzę i potrafił zachowywać się despotycznie, a nawet brutalnie. Podobne sprzeczności nie są wyjątkowe: cechowały charakter jego przodka, Ludwika XIII. Ale Ludwika XIII wspierał talent kardynała Richelieu.

Diuk de Croy pisał, że pierwszą reakcją Ludwika XVI był głośny okrzyk świadczący, iż „jest mu rzeczywiście przykro zostać królem”. Już po pół godzinie wziął się w garść. Na notę ministra dworu, diuka de La Vrilliere, w sprawie najpilniejszych decyzji dał odpowiedź roztropną: „mianowicie, że będzie używał imienia Ludwik [a więc nie Ludwik August], że można rozesłać zawiadomienia zgodnie ze zwyczajem; że z ministrami porozumiewać się będzie listownie [z powodu kwarantanny] i zobaczy się z nimi za dziewięć dni; że komendanci wojskowi i intendenci prowincji mają poczekać z wyjazdem [z Wersalu], póki się z nimi nie zobaczy”. Zaraz zabrał się do pracy: „utrzymywano nawet, że prosił królową, by nie wchodziła do jego gabinetu”.

Obejmował rządy w momencie, gdy ksiądz Terray uzdrowił już, z

grubsza biorąc, finanse państwa; gdy reformy Maupeou otworzyły drogę do modernizacji państwa w duchu oświeconego absolutyzmu; gdy opozycja parlamentarna wygasła. Obejmował absolutne rządy nad wielkim krajem, przeżywającym od czterdziestu lat okres świetnej ekonomicznej koniunktury. Wpływowy i bardzo inteligentny ksiądz de Veri, który krytycznie oceniał osobę zmarłego króla, pisał wszelako w swoim dzienniku: „Uważam panowanie Ludwika

XV za najszcześniejszą epokę naszej historii... Nigdy jeszcze Francja nie była tak bogata, nie obfitowała w tak różne manufaktury, nie była tak ozdobiona tłumem ludzi uczonych, tak dobrze zagospodarowana na wsi, tak gęsto zaludniona”. Ów postęp bogactwa i kultury miał wielki wpływ na polityczną świadomość elity władzy. Sprzyjał mniemaniu, że Francja ma solidne, niewzruszalne fundamenty ustrojowe, że zadaniem rządzących jest tylko konserwowanie starożytnej, lecz krzepkiej budowli. Jeden z ministrów Ludwika XVI, książę de Montbarey, wyrzucał sobie później „zbytnią wiarę w ideę, że francuska monarchia była i zawsze będzie niezachwiana w swych podstawach”; ale cała elita polityczna wyznawała tę wiarę. Hrabia d’Allonville, przygotowując w latach osiemdziesiątych traktat o ustroju Francji dla syna Ludwika XVI, szeroko uzasadniał pogląd, że kraj stabilizuje cały system równoważących się sił. Dostrzegał więc zbawienną „równowagę między blaskiem [szlachty], władzą [biurokracji] i złotem [burżuazji]”; twierdził, że we Francji wszystko jest „monarchiczne, stałe i zachowawcze”.

Jeśli się zaś przyjmuje, że Francja „kroczy sama” dzięki swej wewnętrznej równowadze – to można się ograniczać do troski o utrzymanie status quo, bez ambicji śmiałego działania. „Ludwik XVI – pisał świadek i historyk jego rządów Soulavie – był bardzo przywiązany do chwały swego domu i wciąż się obawiał, że gdy podejmie jakieś działanie, może zaćmić jej blask”. Nie jest oczywiście winą nowego króla ani jego doradców załamanie się ekonomicznej koniunktury: właśnie od około 1774 r. przyszła stagnacja, potem zaś powtarzające się kryzysy. Jednakże konserwatywna mentalność Ludwika XVI i jego ministrów uniemożliwiała wyciąganie wniosków. Najpierw wniosków z całego postępu cywilizacyjnego XVIII stulecia: należało uznać, że Francja ostatniego ćwierćwiecza jest już zupełnie innym krajem niż Francja Ludwika XIV. Czasami ktoś przytomny próbował to uświadomić konserwatywnej elicie. Hrabia de Rochambeau, liberalny generał, tłumaczył jednemu z biskupów, dla którego dawne instytucje były „niemal artykułem wiary”, że od XVII w. szlachta i kler straciły tyleż samo, ile zyskał stan trzeci. „Trzeci stan zdobył od tamtej epoki handel morski, manufaktury, których wówczas nie było, wielką sumę wiedzy oraz to zamiłowanie do wolności, którym należałoby pokierować, a które go skłoni do rozerwania wszystkich więzów z gwałtownością, podrażnioną przez przemoc zastosowaną w wyniku błędnej polityki, aby mu się przeciwstawić”.

Należało wyciągnąć zawczasu wnioski z owej zmiany układu sił, którą przyniósł awans burżuazji. Trzeba też było ocenić szybko konsekwencje, jakie miały stagnacja i kryzys dla położenia mas ludu. Sytuacja rewolucyjna lat osiemdziesiątych wyrosła przeciw z frustracji zamożnych,

a ubezwłasnowolnionych politycznie bourgeois, z nędzy i rozdrażnienia mas, wreszcie – z upartego, tępego konserwatyzmu elity rządzących.

Nie uprzedzajmy wszelako wydarzeń. Wiosną 1774 r., gdy Ludwik XVI wstępował na tron, wszystko było jeszcze możliwe. System rządów absolutnych jest tak zorganizowany, że od monarchy (lub ministra, który rządzi w jego imieniu) zależą losy państwa. Od zalet i wad rządzących zależy tu oczywiście nie wszystko, ale jednak bardzo, bardzo wiele.





II. KRÓLEWSKIE SŁOWO HONORU



NOWA EKIPA

„Zmarły król jest już tylko zwykłym człowiekiem – a często jeszcze czymś mniej” – pisał w swych pamiętnikach hrabia de Segur. Zadziwiająca jest szybkość, z jaką Ludwik XV został zapomniany. Jego następcą korzystał w pierwszych dniach i miesiącach z klimatu przychylności i nadziei: po 59 latach panowania niepopularnego dziada stawał się symbolem spodziewanej zmiany na lepsze. Opinia nie sądziła wcale, że Ludwik XVI będzie królem genialnym czy choćby świetnym organizatorem. „Perspektywa rządów 20-letniego króla-dzieciaka, u którego nie odnajdowano dotąd żadnej cechy znamionującej talent rządzenia, musiała niepokoić” – stwierdził ksiądz Veri. Przypisywano jednak nowemu władcy zalety, którymi poprzednik akurat nie błyszczał: dobre obyczaje, skromność, prostotę, łagodny charakter, oszczędność... Bardziej też liczone na to, co pod swymi rządami pozwoli zrobić dobrym ministrom, niż na to, co mógłby zdziałać sam.

Wielką furorę zrobiły tabakiery z portretami Ludwika XVI i Marii Antoniny oraz napisem-kalamburem pochlebnym dla młodej pary (tabakierki były ze skóry szagrynowej, a napis brzmiał: *consolation dans le chagrin*). Bito medaliony z wizerunkami Ludwika XII i Henryka IV, których tradycja uznała za „dobrych królów”: obok lokowano portret Ludwika XVI i proste równanie: „XII i IV dają XVI”. Szczególną przyjemność sprawił królowi lud paryski, lokując na pięknym pomniku Henryka IV tablicę z napisem: *Resurrexit*.

Po krótkiej kwarantannie, 20 maja odbyło się pierwsze posiedzenie królewskiej Rady. D’Aiguillon chwalił nowego monarchę w liście z 23 maja: pracuje on od rana do wieczora, jest zadziwiająco cierpliwy, stara się uczyć, nie chce nic zmieniać w dotychczasowym systemie, okazuje zaufanie i lojalność wszystkim swym ministrom, zdaje się być niedostępny dla intryg i ujawnia dużo zdrowego rozsądku.

D’Aiguillon się łudził: Ludwik XVI nie zamierzał utrzymywać ani systemu, ani ministrów swego dziada. Nie był tylko szybki w decyzjach. Pierwsze kroki pomogły mu zrobić ciotki, które wraz z młodą parą wyjechały z zarzonego śmiercią króla Wersalu do pobliskiego Choisy. Ciotki trzymały w swych papierach sporządzoną przez delfina-ojca listę: umieścił na niej ludzi, do których miał zaufanie i w których upatrywał kandydatów na swych przyszłych ministrów. Mieli w oczach Ludwika XVI dwie zalety: należeli do przyjaciół jego ojca i z reguły od lat byli w niełasce, nie uczestniczyli w żadnej wersalskiej koterii – dewotów,

choiseulistów czy *barryens*. Pierwsze nominacje ministerialne Ludwika XVI – Maurepas, de Muy, Vergennes – były właśnie z „listy delfina”. Król okazał im pełną lojalność; wszyscy trzej osiągnęli to, co jest marzeniem każdego ministra: utrzymali swe ministerialne stanowiska aż do śmierci.

Najpilniejsze było powołanie głównego ministra, zaufanego doradcy, który by pokierował pierwszymi poczynaniami króla, uczył go sztuki rządzenia, stał się jego mentorem. Maria Antonina – bardziej z własnej inicjatywy niż z woli Wiednia – marzyła o powrocie do władzy Choiseula. To on aranżował jej małżeństwo, to jego przyjaciele zdominowali krąg ludzi skupionych przy niej. „Król, który [mi] nic nie mówi – pisała Maria Antonina do matki – nie rzekł ani słówka na temat wyboru ministrów. Wysunęłam nazwisko pana de Choiseul, którego kraj przyjąłby dobrze, ale nie dostałam odpowiedzi”. Brak odpowiedzi wynikał nie tylko z zaciętej wrogości króla do kandydata jego żony, ale i z zamysłu trzymania Marii Antoniny z dala od politycznych decyzji. Zrozumiała to i zamilkła. Na razie. Jako swego mentora król zaprosił 74-letniego starca, który od 1740 r. był w niełasce. Jean-Frederic hrabia de Maurepas, minister marynarki, uchodził w swoim czasie za cudowne dziecko wersalskiej administracji: objął funkcje ministerialne w wieku 22 lat. Utracił łaski Ludwika XV, bo go podejrzewano o pisanie i puszczanie w obieg złośliwych wierszyków o pani de Pompadour. Miał dużą fortunę i żył odtąd *en philosophe*, wygnany do swych dóbr.

List Ludwika XVI wzywający go do Wersalu był godny i skromny. Król podkreślał, że ma ogromne obowiązki i zaledwie 20 lat życia; przyznawał, iż „nie otrzymał całej niezbędnej wiedzy”. Tak samo zresztą pisała do Wiednia Maria Antonina: jej mąż wcale się nie zna na sprawach państwa, o których zmarły król nigdy z nim nie rozmawiał.

Pierwsze spotkanie, 13 maja, odbyło się w gabinecie ciotki Adelajdy: musiała wystąpić w roli pośredniczki, bo król przecież w ogóle nie znał Maurepasa! Robiła sobie nadzieje na utrwalenie swego politycznego wpływu na bratanka, lecz się zawiodła. Król nie chciał się dzielić władzą ani z żoną, ani z ciotkami; z nauk ojca i doświadczeń poprzedniego panowania wyciągnął ten wniosek, że kobiety trzymać należy z daleka od politycznych decyzji. Co więcej, obiecywał sobie, że i ministrom, nie wyłączając głównego doradcy, nie pozwoli na zbyt dużą samodzielność działania. W konkurencji czarowania swych rozmówców Maurepas był prawdziwym mistrzem i Ludwik został z miejsca oczarowany. Montbarey notuje, że król mu później powiedział, iż podczas tego pierwszego spotkania „zadziwiły go i ujęły świeżość umysłu oraz wdzięk konwersacji hrabiego de Maurepas”. Hrabia okazał niemałą zręczność: błysnął bezinteresownością w kwestii swoich poborów i skromnością swych politycznych aspiracji. „Nie ujawnił z początku ambicji wkraczania we wszystkie sprawy” – pisze pamiętnikarz ksiądz Geogel. Ludwik XVI powiedział mu wyraźnie – jak stwierdza hrabia d’Allonville – że nie chce żadnego pierwszego ministra. „*Eh bien*, odrzekł Maurepas, chodzi więc o to, bym nauczył króla, jak się bez niego obywać”. Podobnie referuje tę rozmowę ksiądz Veri, bliski przyjaciel małżonków Maurepas. Hrabia zaproponował królowi jedną lub dwie narady w tygodniu; poza tym Ludwik miał sam, bez pośrednictwa mentora, pracować

ze swymi ministrami. „Jeśli W. K. Mość chce zostać sam swym pierwszym ministrem, może to osiągnąć dzięki swej pracy, a ja proponuję moje doświadczenie, by się do tego przyczynić. Ale jeśli W. K. Mość nie chce lub nie może nim zostać, to będzie musiał koniecznie wybrać sobie pierwszego ministra”. „Odgadł mnie pan – rzekł król – właśnie tego od pana oczekiwałem”. Maurepas otrzymał tytuł ministra stanu: został głównym doradcą monarchy, nie zawiadywał żadnym resortem.

Wielu współczesnych sądziło, że wybór Maurepasa był rezultatem zabiegów jego bliskiego krewniaka, diuka d'Aiguillon, który liczył, że się przy swym wuju utrzyma. Miał on dobre dojście do ciotki króla Adelajdy przez jej przyjaciółkę, panią de Narbonne, która zupełnie opanowała ambitną starą pannę. Opowiadano, że król chciał z początku powołać na głównego ministra rówieśnika Maurepasa, Machaulta, też od dawna w niełasce, i że to Adelajda zmieniła ów zamysł. Dobrze poinformowani świadkowie zresztą temu przeczą. Gdy później wszystko już zaczęło się sypać – rozwodzone się chętnie nad błędem, jakim był wybór Maurepasa, lekkomyślnego żartownisia o słabej woli, i nad zaletami twardego jak stal Machaulta. To chyba urojenia. Machault był z pewnością bardziej pryncypialny od Maurepasa, ale jego pryncypia to produkt umysłu ciasnego i zachowawczego. Także kandydat Marii Antoniny, inteligentny i zręczny Choiseul, był rasowym konserwatystą. Żaden z kontrkandydatów Maurepasa nie lokowałby swych ambicji w głębokich reformach przestarzałego ustroju.

Opinia przyjęła wybór Maurepasa bez zapału i bez protestu; sądzono, że sędziwy minister będzie postacią przejściową. Było trochę złośliwości: popularny wierszyk stwierdzał sentencjonalnie, że „ludzie podobni do siebie powinni trzymać się razem”. To aluzja do impotencji przypisywanej im obu, królowi i jego mentorowi. Ludwik XVI ulokował małżeństwo Maurepas w dawnych pokojach pani du Barry, które znajdowały się nad apartamentami króla i połączone z nimi były małymi schodami. „Od pierwszego kwadransa po swym zainstalowaniu [w Wersalu] hrabia de Maurepas sprawiał wrażenie, że zajmuje stanowisko, którego nigdy nie opuszczał”.

Co do zalet i wad Maurepasa opinie przyjaciół i wrogów były zadziwiająco podobne. Nieprzychylni mu kompilatorzy „pamiętników Webera” pisali, że „był on lekkomyślny, gdy trzeba było głębokości spojrzenia; żartował sobie na tematy najpoważniejsze, ograniczał swoją wnikliwość do spraw bieżących, bał się przewidywać, bo nie chciał się niepokoić”. Swe ostatnie lata „pragnął przeżyć bez trosk, bez wysiłku, bez rywała; chciał raczej zabawiać króla niż go uczyć, oszczędzać mu problemów raczej niż go formować, wtłaczać wszystko w dawną rutynę”. Wedle Marmontela Maurepas był „powierzchowny i niezdolny do poważnej i głębokiej pilności, miał wszelako łatwość pojmowania i inteligencję, która w jednej chwili rozplątywała najbardziej zawile węzły jakiegoś problemu”. Elastyczny, łagodny, zawsze miał w zanadrzu wybiegi, wykręty i *bons mots*; umiał wydobywać się z matni, świetnie oceniał ludzi, potrafił kpić z wszystkiego, uczył króla „robić sobie rozrywkę z obowiązku rządzenia”. Pragnął spokoju, cenił wesołe kolacje i

zdrowy sen, wyznawał zasadę, że „trzeba kierować wszystkim bez hałasu”. Jedyną jego namiętnością była władza, wpływ na monarchę. Nie miał „żadnej siły i odwagi ani w dobrym, ani w złym”, brak mu było „troski o przyszłość, która już nie miała należeć do niego”. Uspokajał zawsze króla, że „wszystko pójdzie dobrze”, że „królestwo tak solidnie urządzone potrzebuje dla ozdrowienia tylko swych sił naturalnych i należy pozwolić mu trwać wraz z jego wadami i nadużyciami”. Idealny minister konserwatywny przy zachowawczym królu; ale idealny tylko w okresie stabilizacji.

Książd de Veri, stary przyjaciel, podziwiał inteligencję Maurepasa, ale w swym dzienniku nieustannie lamentował nad jego brakiem charakteru i woli, chwiejnością i nonszalancją. Żalił się, że główny minister pobłaza słabościom króla i nie odwodzi go od „ścieżek utartych i łatwych”; że ulega nieuzasadnionym żądaniom rodziny królewskiej i wielmożów; że w obawie o swą pozycję wpływa na dobór ministrów bardzo miernych. W sprawie reform ustroju, których potrzebę Veri dobrze pojmował, Maurepas ujawniał „niedyskrecję języka, awersję do wszelkich przeszkód i może także, w głębi serca, obojętność dla samej rzeczy”. I dalej: „Porównałbym go chętnie do rolnika, który utrzymuje w dobrym stanie powierzone mu urodzajne ziemie. Nie zasieje tam żadnej szkodliwej rośliny; gdy jednak wypadnie uprawiać pole usiane cierniami, nie znajdzie w swym sercu niezbędnej odwagi i pracowitości”. Veri próbował go pobudzić do energii wspominając o opinii potomnych: „Czy naród zachowa o panu pamięć pełną szacunku?” – zapytał i otrzymał odpowiedź równie cyniczną jak proroczą: „Tak, na nieszczęście dla narodu, bo gdy odejdę, sprawy się potoczą jeszcze dużo gorzej i ludzie powiedzą, że jest tak, ponieważ mnie już tu nie ma”.

Trafność zarzutu, że Maurepas wpływał na dobór miernot, można ocenić już na samym początku nowego panowania. Pierwszym ministrem, który odszedł, był diuk d’Aiguillon, łączący resorty wojny i spraw zagranicznych. W porównaniu z Choiseulem, rzecznikiem „wielkości francuskiej” i dyplomacją w dużym stylu, był ministrem miernym, ale pracowitym, kompetentnym i sprawnym. Miał jeszcze inny atut: pokrewieństwo z Maurepasem i sympatię Madame de Maurepas, której wpływ na męża był bardzo duży. Nie znosiła go natomiast Maria Antonina. Nie chodziło już tylko o to, że wygryzł i zastąpił Choiseula. D’Aiguillon, filar koterii du Barry, należał do złośliwców używających sobie na austriackiej żonie delfina: nazywał ją kokietką i – horrendum – „małym rudzielcem”!

Król rzekł swemu Mentorowi o diuku d’Aiguillon: „Wiem, że dobrze pracuje... ale te drzwi, przez które wszedł, i ten zamęt, który spowodowały jego nienawiści!” Pierwszy zarzut był dość obłudny, bo Ludwik sam często przekraczał drzwi pani du Barry: teraz oczywiście wołał o tym szybko zapomnieć. Drugi zarzut trafiał: d’Aiguillon potrafił nienawidzić zapiekle, oczerniać, prześladować, szpiegować swych wrogów. Maurepas pojął, że ta pozycja jest nie do obrony i skłonił krewniaka do złożenia dymisji. Uzgodnił z królem, że nie będzie się odtąd wyganiać do dóbr zdymisjonowanych ministrów (to słuszne, rzekł Ludwik, bo „mogłoby się wydawać, że się ich

boimy”). D’Aiguillon oszczędził 2 czerwca z monarszą pensją i półmilionowym prezentem.

Pozostał problem następstwa. Król z własnej inicjatywy obsadził resort wojny: wziął go stary hrabia de Muy, ongiś dzielny oficer, teraz już mocno zramolały, ale uczciwy i dokładny w pracy. Był ongiś meninem, to jest towarzyszem dziecinnych zabaw delfina-ojca, i zachował fanatyczną wierność jego pamięci, co rozczulało Ludwika XVI. Diuk de Croy cytuje deklarację Muya: „Mógłbym ostatecznie odmówić królowi, ale czyż mogłem odmówić synowi świętej pamięci delfina?” Urzędował zaledwie kilkanaście miesięcy; kazał się pochować w katedrze w Sens, u stóp grobowca delfina-ojca. Cały dwór powtarzał jego ostatnią rozmowę z Ludwikiem XVI; w przededniu ciężkiej operacji kamienia, która go zabiła, oświadczył: „Sire, za dwa tygodnie będę u stóp Waszej Królewskiej Mości albo u stóp Jej czcigodnego ojca”.

Trudniejszy problem ze sprawami zagranicznymi. Wymieniano różnych kandydatów: barona de Breteuil, diuka de Nivernais... Maurepas przeważył szale na korzyść hrabiego de Vergennes. Ten zawodowy dyplomata miał dwie zalety: był na liście delfina-ojca i miał zatargi z Choiseulem, który pogardliwie traktował jego sążniste raporty z Konstantynopola. W 1774 r. kierował ambasadą w Sztokholmie: uchodził za mózg korzystnego dla Francji zamachu stanu, który przeprowadził król Gustaw III przywracając w Szwecji absolutyzm. Ale twierdzono również, że zasługę udanego przewrotu przypisać trzeba markizowi de Blosset, znającemu dobrze Skandynawię, a Vergennes tylko ją sobie przywłaszczył. Jego orientacja odpowiadała lepiej Ludwikowi XVI niż koloryt innych kandydatów: Nivernais zbyt sprzyjał Prusom, Breteuil – Austrii. Vergennes, niechętny Wiedniowi, był starym rutyniarzem wyznającym kult ostrożności. Zarzucano mu wręcz mierność. Ksiądz Georgel, też dyplomata, malował taki oto jego portret: „Jego przenikliwość nie miała tego formatu, który daje prawdziwy talent... Umysł zbyt nieśmiały i zbyt ostrożny, nie był zdolny do takich wielkich posunięć, które zmuszają do podziwu i pociągają opinię publiczną; widzieliśmy, że posuwa się tylko tuż przy ziemi, robiąc niekiedy fałszywe kroki, ale nigdy nie upadając niebezpiecznie”. Znów idealny minister konserwatywny!

Dla Maurepasa przeciętność to raczej zaleta Vergennesa: resort spraw zagranicznych był ważny, mocna indywidualność na jego czele mogła zagrozić wpływom głównego ministra. „Król – pisał Veri – znał dobrze kiepską reputację pana de Vergennes, co się tyczy jego umysłu”. Nie sądził jednak, by dla spraw zagranicznych potrzebny mu był człowiek wybitny. „Ponieważ nie chcę się mieszać do spraw innych [państw], nie sądzę, by inni chcieli mnie niepokoić w moim kraju” – powtarzał naiwnie Ludwik XVI.

Po tych pierwszych zmianach w ekipie zapadła cisza. Było piękne lato 1774 r.: dwór bawił niedaleko Paryża, w Muette, para królewska powiększała swój kapitał popularności. Ludwik spacerował raz po pobliskim lasku bulońskim „odesławszy gwardzistów, co bardzo się spodobało”; wędrując pieszo spotkał swą żonę na konnej przejażdżce i „dał jej dwa mocne całusy” ku wielkiej radości widzów. Dał też dowód, że jego uprzedzenia

nie mają wymiaru zaciętej nienawiści: ulegając prośbom Marii Antoniny zgodził się zdjąć z Choiseula klątwę wygnania. Eks-minister przybył do Paryża wywołując tu niemałą sensację, 12 czerwca zaś zjawił się na dworze. Królowa obsypała go komplementami („Zawdzięczam panu wszystko!”), król – podrażniony gorącym przyjęciem Choiseula w Paryżu – ledwie go zechciał zauważyć, a rozmowę ograniczył do kostycznej uwagi: „Panie de Choiseul, utył pan, stracił pan dużo włosów”. Nazajutrz Choiseul wrócił do swych dóbr: „przybył jak triumfator, odjechał jak filozof – mówiono.

Maria Antonina przeżyła niemiłą chwilę podczas tej wizyty, ale miała też swoje satysfakcje. Król podarował jej Petit Trianon: to będzie ulubiony pałacyk Marii Antoniny i jej klanu, a dla opinii – coś w rodzaju symbolu jej intryg i ekstrawagancji.

W tym samym czerwcu 1774 r. król i obaj jego bracia poddali się szczepieniu przeciw ospie. Ludwik XVI zrobił to niechętnie, ponoć namówiony przez żonę. Oświeceni przyklasnęli tej odważnej i światłej decyzji: trzeba się narażać na niebezpieczeństwo, aby bronić życia – powtarzano za Wolterem. Ludzie starej daty byli innego zdania. „Wszystkie nasze [dynastyczne] rezerwy narażone na ryzyko, jednocześnie i bez zapewnienia następstwa!” – lamentował de Croy. Ale nawet takie krytyki ryzykanctwa książąt poświadczają przypływ uczuć rojalistycznych. Stanowczo lato 1774 r. było Burbonom przychylne.

Po dłuższej przerwie, 19 lipca, nowa ważna decyzja: król dał dymisję ministrowi marynarki panu de Boynes i za radą Maurepasa powołał na ten urząd świetnego administratora, Anne Turgota. Opinia oświeconych była trochę zawiedziona: spodziewano się, że Turgot, wyborny ekonomista, obejmie kluczowe stanowisko kontrolera generalnego finansów, to jest ministra skarbu. Zaczęto się już obawiać, że Ludwik XVI zachowa na tym urzędzie znienawidzonego księdza Terraya.

Po dymisji d’Aiguillona dwaj pozostali ministrowie „triumwiratu”, Terray i Maupeou, urzędowali bowiem nadal i zaczęli już się przyzwyczajać do myśli, że król zechce ich zachować w swojej ekipie. Król wyjechał na sierpień do Compiègne i polował w najlepsze, odraczając wciąż decyzję co do dymisji dwu „triumwirów”. Maurepas postanowił słusznie, że trzeba mu pozostawić prawo decydowania i doprowadzać zrećźnie do decyzji pożądaných. Wnet się zresztą okazało, że Ludwik lubi decydować, choć robi to powoli, natomiast nie lubi uznawać swych pomyłek. Gdy w lipcu popełnił oczywisty błąd w błahej sprawie i Maurepas mu to tłumaczył, otrzymał odpowiedź: „Och, nie lubię zmieniać tego, co zadecydowałem”. Mentor ustąpił. Ale sprawa ministrów nie była błaha. Co do kanclerza Maupeou, król rychło postanowił rozstać się z nim. Nie lubił tego śledziennika z żółtą, grubo uszmińkowaną twarzą: uznał go za impertynenta. „Zaledwie robi mi ten honor – mówił Maurepasowi – że mnie dostrzega, natomiast nie robi mi zaszczytu rozmawiania ze mną. Ale ten ambaras z jego następcą!” Co do Terraya, Ludwik doceniał jego inteligencję, pracowitość i skuteczność w działaniu. „Żałuję, bardzo chciałbym móc go zatrzymać, ale to zbyt wielki szelma. To przykre, to przykre...” Terray miał istotnie opinię cynika i rozpustnika; podejrzewano

go też o miłości z panią du Barry. Zresztą, niezależnie od osobistych antypatii króla, było jasne, że nadzieje szerokiej opinii społecznej na „wielką zmianę” łączą się z niecierpliwym oczekiwaniem na dymisję ministrów Ludwika XV. Ludzie po prostu nie dopuszczali myśli, że nową politykę mieliby robić niepopularni współtwórcy polityki dawnej. Król pojął, że musi pozbyć się tego obciążenia, jeśli chce podtrzymać klimat nadziei i pieścić się nadal rozkoszami popularności.

Maurepas nie chciał sprzeciwiać się decyzjom króla, ale uznał, iż czasem będzie musiał je przyspieszać. 9 sierpnia rzekł mu zdecydowanie: „Zwłoka tylko spiętrza problemy i komplikuje je, wcale ich nie rozstrzygając... jest to nieustający młyn i będzie on udziałem Waszej Królewskiej Mości aż do ostatniego tchnienia”. Nie pomogło: król zwlekał. Oczywiście sprawa następstwa była dyskutowana na szczytach władzy. Jako następcę Maupeou opinia wskazywała „przyjaciela filozofów”, pana de Malesherbes; dał on dowody wielkiego liberalizmu pełniąc funkcję szefa cenzury. Dla Ludwika XVI nie była to najlepsza rekomendacja. Król uważał Malesherbesa za „zbyt niebezpiecznego encyklopedystę”. Maurepas nie musiał przełamywać tych oporów, gdyż Malesherbes dał do zrozumienia, że teka ministra go nie interesuje (zdumiało to króla: nie pojmował, jak można nie chcieć być ministrem!). Ostatecznie Maurepas zarekomendował na ministra sprawiedliwości swego krewniaka Hue de Miromesnila. Wybór był niefortunny: Miromesnil okazał się ciasnym konserwatystą, drapieżnie strzegącym swego ministerialnego stolka. Utrzymał się na nim długo.

Co się tyczy następstwa po Terrayu w finansach, padło nazwisko Turgota. Jego też wskazywała oświecona opinia; i on wydawał się królowi zbyt „filozoficzny”. „To jest człowiek systemu, powiązany z encyklopedystami” – mówił Ludwik. Ksiądz Terray – no, nie bezinteresownie, rzecz jasna – ostrzegał króla przed Turgotem: „Niech Najjaśniejszy Pan strzeże się jego liberalnych zasad. One są niebezpieczne”. Ale Turgot miał mocne atuty. Bardzo go popierał stary przyjaciel i kolega szkolny, zarazem przyjaciel małżonków Maurepas, *abbé* Veri, który wyrastał na szarą eminencję nowej ekipy. Innym kolegą Turgota był ksiądz Vermond, ongiś w Wiedniu nauczyciel Marii Antoniny. Przyjechał z nią do Wersalu i został jej lektorem. Nie miał zbyt wiele oficjalnych zajęć, bo królowa nie przepadała za lekturami; nieoficjalnie wszakże wywierał duży wpływ na swą dawną uczennicę. Jego poparcie zapewniało Turgotowi przychylność Marii Antoniny. Maurepas zdecydował się zatem wspierać sprawę Turgota u króla; robił to zresztą nie bez niejakich wahań. Maurepas również uchodził w opinii za filozofa, ale ta reputacja była już całkiem niezасłużona. „Mimo lekceważenia, które okazywał filozofii, i obaw, które w nim wzbudzał filozof [sc. Turgot], Maurepas sprawił, że go powołano do rządu, ale przyrzekał sobie, iż go powstrzyma, gdy tylko uzna za stosowne” – pisał współpracownik Turgota, akademik ksiądz Morellet. Ostatecznie okazało się, że zgoda króla nie wymagała długich szturmów Maurepasa. Turgot był już od paru tygodni ministrem marynarki i jego styl spodobał się królowi: spokojny, niemal nieśmiały, pełen szacunku, klarowny i precyzyjny Turgot sprawdził się jako współpracownik monarchy. Finanse były oczywiście stanowiskiem

dużo ważniejszym od marynarki (choć, paradoksalnie, wcale nie wyższym w hierarchii rang). Ale obawy Ludwika przed niebezpiecznym encyklopedystą stopniały.

A jednak król wciąż zwlekał z decyzjami. W środę 24 sierpnia Maurepas zażądał ich z niezwykłą dla siebie stanowczością. Ludwik obiecał dokonać zmian rządowych w sobotę. „Nie, to nie tak, Sire... musisz podjąć decyzję, Najjaśniejszy Panie, nim stąd wyjdę” – naciskał Mentor. Król ustąpił i nawet zaczął się tłumaczyć ze swego niezdecydowania („Przywykłem odczuwać strach, gdy rozmawiałem z jakimś ministrem, i tak było jeszcze cztery miesiące temu!”).

Tak więc Maupeou i Terray otrzymali dymisję. 24 sierpnia to dzień św. Bartłomieja, rocznica masakry protestantów, zaraz więc zaczęto mówić o „rzezi św. Bartłomieja dla ministrów”. Hiszpański ambasador Aranda miał talent do *bons mots*: „No, nie była to rzeź niewinnych” – orzekł. Elita i lud zgodnie wiwatowały: uznano, że dopiero 24 sierpnia 1774 r. Ludwik XV umarł ostatecznie. Królewskie imieniny (25 sierpnia) były szczególnie radosne, entuzjastycznie wychwalano nowego władcę i wesoło żegnano sieroty po dawnym, złym panowaniu. Kukły Maupeou i Terraya tłum paryski poddawał wymyślnym torturom.

Resort sprawiedliwości otrzymał Miromesnil (ale bez tytułu kanclerza: ten był dożywotni i Maupeou zabrał go z sobą na wieś, do swych dóbr: dostał bowiem rozkaz wygnania). Miejsce Terraya zajął Turgot. Na jego miejsce w ministerstwie marynarki powołany został Gabriel de Sartines, od 15 lat niezwykle sprawny szef policji paryskiej. O marynarce nie miał pojęcia; jego resortowi podlegały także handel morski i kolonie, ale wedle świetnego fachowca, Maloueta, wiedza Sartinesa o koloniach ograniczała się do znajomości ich nazw. Był to wszelako dobry organizator i potrafił dobrać sobie wybornych współpracowników. Pomagała mu też dobra koniunktura dla spraw morskich: król Ludwik XVI pasjonował się nimi z wyjątkową u niego energią. Pojawiło się więc w rządzie sześciu nowych ministrów (Maurepas, Muy, Vergennes, Turgot, Miromesnil, Sartines) nie wplątanych w intrygi koterii choiseulistów czy też *barryens*. Z dawnej ekipy zostało tylko dwóch szefów resortu. Diuk de La Vrilliere, minister dworu (stanowisko ważne, obejmowało też kontrolę nad Paryżem), był stary i skorumpowany. Do spółki ze swą kochanką Madame Sabbatin prowadził od dawna swego rodzaju prywatne biuro sprzedaży łask królewskich i słynnych listów pieczętowanych, które pozwalały każdego osadzić w więzieniu bez sądu. Korzystały z nich obficie „dobre” rodziny, by uspokoić zbyt krnąbrnych lub rozpasanych krewniaków. La Vrilliere miał jednak dwie zalety: pełnił swe funkcje bardzo długo, zdobył kolosalną rutynę – oraz był bratem pani de Maurepas. Drugi minister z czasów Ludwika XV to Henri Bertin, szef dziwnie skonstruowanego – później skasowanego – resortu, łączącego bez ładu i składu zarząd rolnictwa, archiwów, loterii, stadnin itd. Ten dyskretnie trzymał się w cieniu.

Rząd był więc nader niejednorodny. Konserwatyści mieli w nim wyraźną przewagę nad tendencją reformatorską (Turgot) i nad tymi, których od biedy nazwać by można technikami (Sartines, Bertin). A jednak obecność w rządzie dwu ludzi uważanych za filozofów (Maurepas i

Turgot), jak i sam rozmiar dokonanych zmian – to przyczyna obaw ludzi starej daty, że monarchia może się zachwiać w posadach. Diuk de Croy notował rozczarowany: „Skoro partia encyklopedystów zdobyła [w rządzie] przewagę, nie można już było liczyć na solidne zasady... Ludzie wymieniali spojrzenia nie ośmielając się rozmawiać i w porównaniu z samym początkiem panowania ton bardzo się zmienił”. Obawom starych żubrów towarzyszyły podniecone nadzieje oświeconej elity, liczącej na gruntowne reformy podyktowane przez Filozofię, zgodne z Rozumem i Naturą.

Turgot mógł uzasadniać owe nadzieje. Był istotnie „człowiekiem systemu”, miał w zanadrzu kompletny plan liberalnych reform. Wiedział, że nic nie działo bez pełnego zaufania monarchy. Ksiądz Vermond dał mu dobrą radę, by starał się zobowiązać króla, pod słowem, do kredytu zaufania: to jedyny sposób, by go uzbroić przed jego własną słabością i przed naciskami jego otoczenia.

Obejmując urząd kontrolera generalnego finansów, Turgot prosi więc Ludwika XVI o audiencję. Mówi, że mu wyłoży na piśmie „swe ogólne idee” czy wręcz „swoje warunki dotyczące sposobu, w jaki król powinien go wspierać”. Odpowiedź króla jest taka, jakiej się spodziewał: „Tak, tak, jak pan zechce. Ale damę panu z góry moje słowo honoru, że zgodzę się z wszystkimi pańskimi opiniami i będę zawsze pana popierał w odważnych decyzjach, które przyjdzie panu przyjąć”. Zakończenie rozmowy jest wspaniałe i wzruszające: „Oddaję się w tym momencie nie monarsze, lecz zacnemu człowiekowi” – mówi Turgot; „Nie zawiedzie się pan!” – replikuje Ludwik XVI. Ano, zobaczymy.

Na razie Turgot otrzymuje zadatek. Ponieważ od początku swej rządowej kariery z uporem powraca do potrzeby oszczędności – tanie państwo jest jednym z kanonów liberalizmu – więc król daje dowód zrozumienia dla sprawy. Diuk de Croy ironizuje: „Aby pokryć to wszystko lakierem i zwiastować porządek oraz widome oszczędności, ogłoszono w tym momencie [zmiany rządu] reformę jednej ze służb królewskich. Chodzi o małą psiarnię, cała sprawa to 200.000 liwrów”.



POWRÓT PARLAMENTU

Odejście kanclerza Maupeou nie musiało oznaczać obalenia jego słynnej reformy parlamentu. Ludwik XVI od dawna miał bardzo krytyczny stosunek do opozycji parlamentarnej: ślady tego można dostrzec już w jego *Refleksjach wokół rozmów z La Vauguyonem*. „Stary” parlament został rozpeczędowany wnet po upadku Choiseula, z którym miał konszachty: to nie nastrajało przychylnie Ludwika XVI do jego sprawy. Nowy „parlament Maupeou” składał się z sędziów uległych wobec władzy, w sporej części z dewotów: to musiało się królowi podobać. W pięć lub sześć dni po objęciu funkcji ministra Maurepas powiedział finansjście Augeardowi, powiązanemu z domem książąt orleańskich: „Król nie znosi [dawnego] parlamentu, upiera się przeciw niemu jeszcze bardziej niż jego dziad”. Wielu ludzi bliskich dworu sądziło, że sprawa parlamentu rozstrzygnięta

została definitywnie wraz z reformą Maupeou.

A jednak stało się inaczej. Cała ta kwestia rzuca światło i na mechanizmy polityki dworskiej, i na osobowość Ludwika XVI. Warto więc przyjrzeć się jej nieco uważniej.

Przede wszystkim okazało się, że rząd jest podzielony. Maurepas, powiązany bardzo silnie z Wielką Toga, był gorącym zwolennikiem powrotu dawnych parlamentów. We wspomnianej rozmowie z Augeardem rzekł wyraźnie: „Co do mnie, oto moje wyznanie wiary: bez parlamentów nie ma monarchii”. Ze względów taktycznych nie od początku ujawniał to wyznanie wiary; zaczął natomiast oplatać króla siecią subtelnych intryg mających przygotować monarchę do pożądanых decyzji. Gra była finezyjna, chodziło bowiem o to, by król podjął decyzję całkowicie sprzeczną ze swymi przeświadczeniami i sympatiami, a także o to, aby ją podjął bez nacisku, przekonany, że robi to właśnie, czego sam chce.

Wśród pozostałych ministrów Miromesnil popierał Maurepasa bez wahania, Sartines również – głównie z powodu zastarzałej nienawiści do kanclerza Maupeou – ale już nie tak entuzjastycznie. Rzecznicy tradycyjnego absolutyzmu, de Muy i zwłaszcza Vergennes, opowiadali się zdecydowanie przeciw powrotowi dawnych parlamentów. Stanowisko Vergennesa było dla Maurepasa niemiłą niespodzianką. Wydobyty przezeń z drugorzędnej ambasady, zupełnie obcy na dworze („był tam rodzajem egzotycznej rośliny, dość izolowany”) – Vergennes nie stał się uległym poplecznikiem Maurepasa, w pierwszej ważnej kontrowersji politycznej stanął po przeciwnej stronie. Parę lat później Vergennes powiedział w prywatnej rozmowie: „Żyłem w Konstantynopolu i w Sztokholmie, znam więc obie skrajności – i wolę rząd turecki!” „Skrajność szwedzka” – to ustrój arystokratyczny sprzed zamachu stanu Gustawa III; opozycja parlamentów miała, w opinii zwolenników despotyzmu, ten sam arystokratyczny koloryt.

Dość niezwykle było stanowisko Turgota. Ambitny reformator, zwolennik śmiałych innowacji, wiedział oczywiście, że konserwatywne, zaciekle broniące przywilejów parlamenty sprzeciwią się jego reformom, jeśli tylko odrodzą się w dawnym składzie i kształcie. Ale Turgot jest „anglomanem”, wierzy w wartość parlamentarnej dyskusji. Oczywiście jest wielka różnica między parlamentem w Londynie i jego imiennikiem w Paryżu. Niemniej Turgot ufa w siłę swych argumentów, w oczywistość bronionych przez niego idei; chce reformować za pomocą perswazji, a nie brutalnych aktów despotyzmu. On z pewnością woli Sztokholm od Konstantynopola. Więc nie sprzeciwi się powrotowi dawnego parlamentu. Większość ministrów jest za powrotem.

Rzecz nie będzie się jednak rozstrzygać przez głosowanie, to jasne. I nie będzie nawet roztrząsana głównie na uroczystych posiedzeniach Rady Królewskiej. Maurepas i Vergennes wymyślili bardzo zręczną formułę: nieformalne, swobodnie dyskutujące komitety kilku ministrów, obradujące z udziałem króla. Tłumaczyli Ludwikowi, że mu to da swobodę uczestniczenia w dyskusji i wychodzenia z zebrań, jeśli go znużą, bo komitety obradowałyby zawsze w jego apartamentach. Debaty miały być zupełnie nieskrępowane, wszystkie pomysły dopuszczone (nawet z pozoru

absurdalne): nazwalibyśmy to dzisiaj burzą mózgow. W istocie król już w sierpniu zaczął ujawniać niejakiemu znużenie pracą państwową. To prawda, że posiedzenia Rad Królewskich były nudnawe. Rada Stanu – organ dla spraw zagranicznych – „przybierała często postać zwykłej lektury gazet”; czytając sążniste raporty dyplomatyczne unikano tam dyskusji nad nimi, nie ustalano odpowiedzi. Nie lepiej na Radzie Depesz zajmującej się sprawami wewnętrznymi. Moreau notuje w swych wspomnieniach, że zdarzyło się kiedyś królowi w środku mętnej debaty wstać nagle i wyjść z posiedzenia Rady Depesz. Ministrowie, skonsternowani, rozdziawili usta: wypadło im biec za monarchą i prosić o wyznaczenie daty nowego posiedzenia... Komitety ministerialne, żywsze i swobodniejsze, miały – jak mówił Maurepas – dać królowi zasmakować w pracy państwowej, uczynić ją przyjemniejszą.

W komitecie zajmującym się problemem parlamentu zabrakło Vergennesa i Muya; uczestniczyli w nim sami zwolennicy „powrotu”. „Celem było przekonanie króla – pisze Veri – iż rezultat [obrad] jest jego własnym dziełem... Metoda ta osiągnęła pożądany skutek, a więc skłoniła go, by uznał za swój własny ten plan, który [wcześniej] ustalono”. Jakich argumentów użyto, by Ludwik zmienił zdanie? Nie politycznych, bo interes monarchii przemawiał przeciwko powrotowi dawnego parlamentu. Położono akcent na racje sprawiedliwości, słuszności, „szczęścia ludu”. A więc: Maupeou naruszył własność prywatną, bo dawne urzędy sędziowskie, dziedziczne i sprzedawalne, o wartości paruset tysięcy liwrów, zostały po prostu skonfiskowane. Dalej, nowy parlament otacza pogarda opinii. Te dwa argumenty były zresztą słabe: wystarczyło przecież spłacić dawnych sędziów i zaprosić do nowego parlamentu ludzi godnych szacunku (chętnych by nie zabrakło). Mocniejszy był argument, że reforma Maupeou to zamach stanu, obalenie tradycji; taki wywód trafiał do przekonania konserwatywnemu Ludwikowi XVI. Najmocniejszy był wszelako wzgląd na satysfakcję ludu: król chciał, by opinia publiczna nadal go hołubiła i kochała.

To znów ciekawa sprawa: dlaczego właściwie opinia – nie tylko oświeconych elit, także ludowa – w większości opowiadała się za dawnym parlamentem? Była już mowa o tym, iż stanowił on jedyną barierę zdolną zablokować arbitralne decyzje rządu. A przy tym dawny parlament, przy całym swym konserwatyzmie, potrafił przybierać pożyteczne, stroić się w szatę obrońcy interesów ludu.

Mechanizm opozycji parlamentarnej był bowiem prosty. Parlamente miały tradycyjne prawo rejestrowania królewskich ustaw i zgłaszania przy tej okazji pokornych uwag (remonstracji) o treści owych ustaw. Wypełniały w ten sposób swój obowiązek radzenia królowi w fachowych, prawniczych kwestiach. Od końca XVI w. dołączyły do tego prawo rejestrowania decyzji rządowych o pożyczkach i podatkach. Dyskutowanie o podatkach i uchwalanie ich to znów tradycyjne prawo Stanów Generalnych, reprezentacji kleru, szlachty i mieszczan, ale absolutyzm uspił Stany Generalne: nie zwoływano ich od 1614 r.! Parlament chętnie się przedstawiał w roli ich zastępcy lub następcy. Rejestrowanie ustaw i podatków pragnął przekształcić w prawo wyrażania zgody na nie. Pod

rządami Ludwika XV remonstracjom, ongiś pokornym i poufnym, nadawał publiczny i manifestacyjny charakter. A demagogia parlamentu polegała na sprzeciwianiu się różnym decyzjom o podatkach i pożyczkach, co masy przyjmowały z satysfakcją. Jeśli w 1774 r. lud żałował dawnego parlamentu i nienawidził „parlamentu Maupeou” – to głównie dlatego, że nowi, ulegli sędziowie potulnie rejestrowali wszystkie decyzje fiskalne księdza Terraya.

Król miał zawsze możliwość złamania parlamentarnej opozycji. Mógł przybyć do siedziby parlamentu i nakazać rejestrację ustawy, podatku, pożyczki. Taka interwencja nosiła dziwaczną nazwę łoża sprawiedliwości, *lit de justice*. Była ogromnie niepopularna w opinii publicznej: uchodziła za typowy akt despotyzmu. Lud twierdził, że każde łóżo sprawiedliwości oznacza dlań wzrost podatkowych obciążeń. Jakże się dziwić, że po dymisji Maupeou paryskie pospółstwo demonstrowało gwałtownie przeciw jego dziełu, żądało „zmartwychwstania” dawnego, „prawdziwego” parlamentu? Maurepas bał się – a może tylko udawał, że się boi – ludowej rewolty: „Nie chcę, aby włożono mego trupa za sprawy pana de Maupeou”.

W rodzinie królewskiej – podział. Maria Antonina i większość książąt krwi bronią dawnego parlamentu; książę Conti, skądinąd antypatyczna kanalia, zbił na tym ogromny kapitał popularności. Przeciwnie stanowisko zajmuje hrabia Prowansji: uważa on, że stary parlament to wróg kleru i rywal szlachty, dwóch filarów ustroju. Ale postawa brata nie jest dla Ludwika XVI argumentem; Provence to intrygant lubiący dokuczać rządowi: „sama jego natura popychała go bez przerwy do popierania antyrządowych stanowisk”. Również ciotki namawiały króla, by nie przywracał starego parlamentu. Ludwik oświadczył podobno Adelajdzie, że rozumie racje przemawiające za utrzymaniem w mocy reformy Maupeou, ale „miłość dla ludu... zwyciężyła u niego nad namiętnością [silnej] władzy”. Żądza popularności połączona z wrażliwością na argumenty konserwatywne przeważała nad ideą mocnej władzy, powściągniętej opozycję i reformującej instytucje.

W październiku 1774 r. sprawa była już przesądzona. W momencie swej dymisji Maupeou powiedział: „Wygrałem dla króla proces, który się ciągnął od 150 lat. Jeśli chce on znowu go przegrać – ma do tego pełne prawo”. Okazało się, że chce. No, nie tak zupełnie bez zabezpieczeń; zdecydowano powrócić do praktyki wprowadzonej ongiś przez Ludwika XIV: parlament może zgłaszać swe remonstracje dopiero po zarejestrowaniu ustawy czy podatku. Sędziów „parlamentu Maupeou” nie przepędzono jak lokajów. Sformowano z nich tzw. Wielką Radę, która miała być trzymana w rezerwie, na wypadek rewolty restaurowanego parlamentu. Ludwik XVI wierzył głęboko, że uda mu się być królem silnym i stanowczym: takiemu nie jest straszna opozycja ludzi w togach.

Już więc w październiku dawni sędziowie zaczynają wracać, bezprawnie, ale i bezkarnie, z wygnania, na które ich skazał Ludwik XV. Urzędujący sędziowie parlamentu żalą się wciąż na szyderstwa ludu, gdy tylko wychodzą na ulicę narażają się na okrzyki i szykany. Maurepas im poradzi, by zakładali przed wyjściem maski balowe, domina: oto próbka

jego poczucia humoru. Raczej kaśliwego niż finezyjnego.

11 listopada 1774 r. Ludwik XVI przy pomocy swych ministrów uczy się swej mowy, którą ma wygłosić nazajutrz w parlamencie. Nie jest to zadanie herkulesowe: ten pierwszy jego dyskurs publiczny liczy dokładnie trzy zdania. Ale król pamięta, że jego poprzednik podczas podobnych wystąpień tracił kontenans i bełkotał ledwie zrozumiale.

Niemniej *lit de justice* z 12 listopada pójdzie gładko. W wielkiej sali parlamentu usadowiono króla na górze poduszek, symbolizujących owo „łóżko sprawiedliwości”. Przemówił głośno, zrozumiale, energicznie. Jedno z trzech zdań przemowy miało dość „despotyczny” wydźwięk. Po oświadczeniu, że przywraca funkcje dawnym sędziom, król powiedział dosłownie: „Uznajcie wartość mej dobroci i nie zapominajcie o niej nigdy”. To nuta fałszywa. Książd Veri ma rację pisząc, iż król zda się mieć błędną opinię o swej władzy. „Dobroć” króla może dotyczyć nadawania stanowisk dworskich, ale nie innych jego relacji z obywatelami. „Nie może on nagradzać, karać, stanowić praw, nakładać i znosić podatków inaczej, jak na zasadzie sprawiedliwości; nigdy na zasadzie dobroci”. Zrobiłby też lepiej, gdyby nie ufał nadto oklaskom Paryża, jednomyślnym, lecz krótkotrwałym: tak je określił Montbarey. Co się zaś tyczy parlamentu, ten rychło zaczął pokazywać rogi. Już podczas *lit de justice* szemrano, gdy lektura królewskich edyktów ujawniła klauzule, wymyślane dla zabezpieczenia Korony przed parlamentarną opozycją. W grudniu i styczniu panowie z parlamentu, podżegani przez księcia Conti, zaprotestują przeciw nim formalnie. Król utnie protesty krótko i oschle; księcia Conti poprosi grzecznie, aby się przestał mieszać do spraw parlamentu. Nie sprawdziły się obawy diuka de Croy, że powrót do dawnego systemu spowoduje nie kończące się kłopoty. Ale miał rację inteligentny Besenval: teraz opinia była już przekonana, że pozycja parlamentu jest nienaruszalna. Despotyzm nie był w stanie spacyfikować swego zawodowego oponenta.

Nie ulega wątpliwości, że ówczesna Francja potrzebowała reprezentanta opinii społecznej. To już nie była Francja Ludwika XIV. Stary marszałek de Richelieu, który pamiętał trzy panowania, tak tłumaczył królowi różnice pomiędzy nimi: „Za Ludwika XIV nie śmiano niczego powiedzieć. Za Ludwika XV mówiono po cichu i pisano w sekrecie. Pod rządami Waszej Królewskiej Mości pisze się wszystko i mówi się swobodnie”. Swobodnie, owszem, prawie swobodnie – ale chaotycznie, w rozproszeniu opinii. Znalezienia reprezentacji poglądów społecznych domagały się postępy dobrobytu i oświaty, ożywiony ruch idei, przykłady idące z niebywale popularnej Anglii (mądra panna de l’Espinasse pisała, że tylko chwała Woltera może ją pocieszać w nieszczęściu, iż jest Francuzką a nie Angielką!). Gdy w dojrzałym już do tego społeczeństwie brak autentycznego rzecznika opinii – jego funkcje przejmują organy niedoskonałe, które opinię deformują. W taką właśnie próżnię wkraczał parlament, a opinia przyjmowała go za swego *porte-parole* po prostu z braku czegoś lepszego.

„Czymś lepszym” mogły stać się instytucje projektowane w gabinecie Turgota. Warto przyjrzeć się jego projektom reformy.





PRÓBA REFORMY LIBERALNEJ

W ostatnich miesiącach 1774 r. i w zimie r. 1775 trwała dobra passa króla Ludwika XVI. Powrót parlamentu kwitowano wzmożonym wychwalaniem młodego monarchy; wychwalaniem po części zresztą zamawianym przez dwór, jako że gazety były mocno sterowane z góry. Ale płynęły szeroką falą także bezinteresowne i szczere pochwały pod adresem króla: wiersze, broszury, piosenki. Choiseuliści podszczypują go wprawdzie, twierdzą, że Ludwik jest mało inteligentny, źle wychowany, nie ceni prawdziwie eleganckich dworskich rozrywek... To jednak tylko margines opinii. Maria Antonina, która zresztą przyczynia się do rozpowszechnienia takich opinii o jej mężu, jest w gorszym położeniu. Nie korzysta ona z przychylności szerokiej opinii, czym się po prawdzie nie przejmuje zanadto. Ponieważ w grudniu 1774 r. skończył się czas dworskiej żałoby po Ludwiku XV, Maria Antonina bawi się i błyszczy, baluje i kolekcjonuje klejnoty, gra hazardownie i uprawia towarzyskie intrygi.

Zima była mroźna, ale karnawał – wspaniały. 23 stycznia sam król, zresztą marny tancerz, otwierał wielki bal w stroju Henryka IV, swego ulubionego bohatera. Do Wersalu przyjechał incognito, jako hrabia de Burgau, 19-letni brat królowej, arcyksiążę Maksymilian: młodzian tak wyjątkowej głupoty, że dwór i Paryż urządzają sobie ucztę szyderców komentując jego gafy (oto przykład: gdy sławny przyrodnik Buffon ofiarował mu swoje dzieło, arcyksiążę odpowiedział, że byłoby mu przykro pozbawiać go tak cennej książki). Maria Antonina narazi się opinii popierając niemądre roszczenia, by księżęta krwi pierwsi złożyli wizyty jej bratu. Umacnia to tylko przeświadczenie, że królowa ciągle uważa się przede wszystkim za Austriaczkę. Powtarza się wciąż plotki, że Petit Trianon każe nazywać Małym Schönbrunnem. Ludzie szydzą również z ekstrawaganckich strojów, piór, przybrań i fryzur, które królowa lansuje. Ale, jak to bywa z modą, śmiechy i szyderstwa nie przeszkadzają wcale naśladownictwu. Damy noszą więc na głowach tak wymyślne i wysokie fryzury, że nie mieszczą się one w żadnym powozie, a ich właścicielki muszą wychylać głowy przez okna pojazdów.

Ogromna większość Francuzów ma inne i większe kłopoty. Ostra zima zawsze jest klęską dla biedaków; w dodatku zbiory 1774 r. były fatalne. Turgot ma wprawdzie swą liberalną receptę na „szczęście ludu”. Jego zdaniem niedostatek zboża to nie jest kwestia produkcji (bo pokrywa ona zapotrzebowanie kraju), lecz cyrkulacji. To prawda, że problemy psychologiczne ważą tu prawie tak samo, jak ekonomiczne. Lud żyje w nieustannym strachu, że zboża może zabraknąć i sprzeciwia się, nieraz gwałtownie, wywożeniu tego, co się urodzi, do innych regionów kraju. Producenci zboża lubią spekulować na zwyżkę cen i magazynować je. Gdy z kolei rząd robi na własną rękę zapasy zboża w dobrym roku – by zabezpieczyć podaż w okresie nieurodzaju – natychmiast podnoszą się krzyki, że ministrowie i spekulanci zawarli „pakt głodowy”, że chcą

wygłodzić lud nabijając sobie kabzy. Robienie zapasów to była polityka księdza Terraya; Ludwik XVI poczuł się ogromnie dotknięty, gdy zaraz na początku panowania jakiś anonimowy list oskarżył rząd o spekulację zbożem. Toteż król przychylnie przyjmował wspomnianą już receptę Turgota: zupełna wolność handlu zbożem miała być lekarstwem na zakłócenia w aprowizacji.

Pierwszy edykt reformatorski Turgota z 13 września 1774 r. znosił więc wszystkie drobiazgowo przepisy, regulujące handel zbożem w imię zapobiegania spekulacji. Gdy zboże będzie cyrkulować zupełnie swobodnie, ceny się wyrównają, zaopatrzenie stanie się równomierne, spekulacja straci sens. Turgot rozumiał, że to wyrównanie cen oznaczać musi ich wzrost, zwłaszcza po złych zbiorach, ale uważał, iż po pewnym czasie ceny znów spadną, jako że liberalna ekonomia sprzyjać będzie wzrostowi produkcji. Aby zaś najślabi ekonomicznie na tej operacji nie ucierpieli, Turgot zalecał tworzenie warsztatów publicznych dających biedakom dodatkowy zarobek. Warsztaty zapewnią ubogim chleb, a krajowi przyniosą nowe drogi, kanały, budowle.

Edykt z 13 września jest interesujący: jego zasadniczą treść poprzedza ogromna preambuła tłumacząca sens i cel całej reformy. To właśnie jest metoda Turgota: cierpliwie wyjaśniać, przekonywać, pozyskiwać opinię. Niedarmo w jego ekipie znaleźli się świetni uczeni i pisarze zdolni wyłożyć przejrzyście idee szefa: Condorcet, Dupont de Nemours, Suard, Morellet. Konserwatyści będą sobie kpić z tego zamieniania królewskich edyktów w misjonarskie kazania; niektórzy nawet uznają, że zjawisko jest niebezpieczne. Te filozofujące preambuły ustaw, pisał hrabia d'Allonville, „stanowiły zaproszenie, by nad nimi dyskutować i wiodły do pogardy dla nich, prowokowały opór... „Sprawa wolnego obrotu zbożem jest fragmentem większej całości. Przede wszystkim ogólnej idei wolnego handlu, ale i to nie wszystko. Turgot był istotnie, jak o nim mówiono, człowiekiem systemu, jednakże nie należał do doktrynerów jakiejś szkoły. W szczególności od fizjokratów przejmował tylko niektóre idee; był otwarty na różne prądy, a swój system budował na kilku ogólnych zasadach klasycznego liberalizmu. To pozwalało mu kreślić wizję nowego porządku społecznego, szkicową, ale śmiałą – i współcześni to pojmowali. Do wyjątków należał baron de Besenval, który przeczył, by za „podrzędnymi, równie drobnymi jak źle przyjętymi reformami” Turgota krył się jakiś wielki i śmiały plan.

Soulavie twierdził słusznie, że Turgotowi przyświecała przede wszystkim idea *perfectibilite* – a więc, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, wiara w „reformowalność” ustroju Francji. W odróżnieniu od tych, którzy sądzili, że Francja rozwija się sama, Turgot pragnął „rządzić nie taką Francją jaka była, lecz taką, jaka w jego mniemaniu być powinna”. Diuk de Croy pisał kąśliwie o „wielkich systemach i innowacjach” Turgota, który – jak wszyscy encyklopedyści – żądał „tolerantyzmu i zupełnej wolności w każdej sferze”. Marmontel przypisywał Maurepasowi złośliwe uwagi o „doskonałym systemie [Turgota], który nie był z tego świata i istnieć mógł jedynie w książkach”. Z kolei przyjazny Morellet wkładał Turgotowi w usta gwałtowną diatrybę przeciw tym, którzy „zawsze są tak rozważni, tak

niechętni entuzjastom, tak bardzo się zgadzają ze wszystkimi »byle nie zanadto«, z wszystkimi ludźmi używającymi dnia, zadowolonymi, że się pozwala światu kręcić tak, jak dotąd, bo kręci się on z wielką dla nich korzyścią... z mającymi łóżko dobrze pościelone więc nie pragnącymi, by je rozgrzebywano”. Ma tu na myśli Turgot wszystkich tych uprzywilejowanych zachowawców, którzy będą wpychać kij w koła jego reformatorskiego wózka, którzy – jak stary pan de Saint-Priest – potępiają jego „eksperymenty” twierdząc, iż „ze wszystkich nadużyć w [tym] wielkim państwie największym jest chęć ich naprawiania”.

Bo też Turgota oceniać trzeba inaczej niż to robił Besenval, nie wedle osiągniętych „drugorzędnych” zmian – to tylko wierzchołek góry lodowej – ale wedle całego zamysłu. Wówczas się okaże, że nie przesadził zbyt ino wróg, ksiądz Georgel, gdy pisał, iż jego „system” był „destrukcyjny i gigantyczny”. Turgot nosił się ze śmiałym zamiarem stopniowego przeobrażenia państwa dobrze urodzonych w państwo posiadaczy; absolutyzmu w monarchię konstytucyjną; reżimu reglamentacyjnego w system wolności ekonomicznej; nietolerancji i cenzury w klimat swobody religijnej i wolności wypowiedzi. Przyświecała mu liberalna wiara, że wolność handlu i produkcji sprzyjać będzie obfitości dóbr. Wyznawał liberalną tezę, że rząd powinien być oszczędny i tani, że państwo musi zrezygnować z drobiazgowej, dokuczliwej regulacji życia społecznego i dopuścić posiadaczy do udziału w politycznych decyzjach. Ksiądz Morellet tak później charakteryzował główne idee Turgota: „Gdy przestaje się spoglądać na rząd jak na fakt, gdy się chce go zorganizować prawidłowo, wesprzeć go na prawie – może to być jedynie prawo własności ziemi; od tej chwili tylko właścicielom przysługuje prawo ustanawiania i urządzania ustroju”. A zatem reformy Turgota wiodłyby do łagodnego likwidowania dwu podstaw ancien regime’u: przywilejów stanowych i absolutyzmu władzy. Oczywiście, już pierwsze próby „rozgrzebywania dobrze posłanych łóżek” zaalarmowały zachowawców.

A przecież Turgot był ostrożny. Postępował wedle reguły Duponta de Nemours: „niczego nie robić wstrząsem, wszystkiego dokonywać przez łagodne falowanie”. Wielkie zasady liberalne przekładał na język działań praktycznych z dużą inteligencją i rozwagą.

Najpierw więc zasada taniego rządu. Turgot zaczął od ścisłej kontroli wydatków – by nic mu się nie wymykało i nie rujnowało państwowej buchalterii. Słynna potem „czerwona księga”, oprawny w czerwony safian tom, do którego wciągano wydatki robione w tajemnicy, poza oficjalną księgowością, nie jest za czasów Turgota otwierana.

Wielkie hasło Turgota to oszczędności. Można je było robić przede wszystkim na wydatkach militarnych, olbrzymich (25% budżetu) i takich, przy których marnotrawstwo łatwo przesłonić sekretem lub patriotycznym frazesem. Spokojna sytuacja międzynarodowa była przychylna oszczędnościom w tej dziedzinie; Turgot fanatycznie bronił polityki pokojowej, a koniunktura polityczna mu sprzyjała. Zobaczymy wnet, co wynikło z planu oszczędności na wydatkach militarnych.

Drugie źródło oszczędności: dwór królewski. Nie był może aż tak żarłoczny, jak często przypuszczali ludzie przyglądający się z gniewem

wersalskiej gali. To prawda, że sam wykaz stanowisk dworskich w Almanachu wersalskim zajmował prawie 140 stron: było ich około 14 tys.! Wydatki Wersalu to z górą 30 milionów liwrów. Zapewne jednak trudno byłoby oszczędzić więcej niż kilka milionów bez wielkich wstrząsów wśród elity władzy. Turgot był ambitniejszy: myślał o oszczędnościach rzędu 14 milionów. Jego przyjaciel ksiądz Veri pisał z akcentem oburzenia, że budżet dworu królewskiego to więcej, niż wynoszą wszystkie dochody takiego króla Sardynii (Piemontu) lub króla Neapolu. „Potomni może nie uwierzą, że z wyjątkiem Anglii, Rosji, Austrii, Hiszpanii i Prus, żaden monarcha Europy nie ma tyle publicznego dochodu, ile dziś pożerają lokaje, konie i służba domowa [naszej] rodziny królewskiej”.

Wszelako oszczędności na wydatkach dworu miałyby znaczenie nie tylko pieniężne. Veri pisze słusznie, że uzasadniłyby one oszczędzanie na wszystkich wydatkach państwa: „Nikt nie będzie mógł się skarżyć, skoro monarcha zacznie od siebie”. Dałyby satysfakcję opinii zgorszonej rozrzutnością Wersalu. Pozwoliłyby uwierzyć, że młody król naprawdę chce reform, usprawiedliwiłyby jego reputację człowieka skromnego i oszczędnego. A przy tym oszczędności na dworze byłyby łatwe do przeprowadzenia, jednym pociągnięciem monarszego pióra, i nie przyniosłyby interesom państwa żadnej szkody.

Redukcja wydatków państwowych otwierałaby realną szansę ulg podatkowych, a więc owego szczęścia ludu, nad którym Ludwik XVI tak lubił się rozczulać. Turgot ma wszakże jeszcze inny projekt, aby ulżyć ludowi: pomysł rozwiązania umowy z Generalną Dzierżawą. Ta wielka spółka 40 milionerów już od dziesięcioleci dzierżawi domeny państwowe oraz podatki pośrednie. Opinię oburza brutalność, z jaką armia urzędników, poborców, strażników spółki wyciska z kraju dochody. Są to dochody olbrzymie, stracone dla skarbu; tryb życia dzierżawców generalnych budzi zgorszenie. Oto jeden z nich, Grimod de La Reyniere: pobudował sobie królewską siedzibę, swym koniom zafundował żłoby z czystego srebra... Wiadomo, że te kolosalne pieniądze spółka czerpie z działań nie tylko brutalnych, ale często i nielegalnych. Turgot wie, że przejęcie domen i podatków pośrednich w ręce rządu może nie przynieść większego wzrostu dochodów skarbu, ale też nie o to mu głównie chodzi. Uważa natomiast, że likwidacja bezprawia i łupiestw byłaby ogromną ulgą dla ludu. Tym bardziej że rozwiązanie umowy z Generalną Dzierżawą pozwoliłoby zreformować system uciążliwych podatków pośrednich, a więc np. znieść znienawidzony podatek od soli. Gra jest warta świeczki, ale ogromnie niebezpieczna, bo dzierżawcy generalni to prawdziwa potęga: toteż projekt rozwiązania umowy ze spółką jest sekretny, Turgot zdradza go tylko swym konfidentom.

Ów tani rząd powinien, zgodnie z liberalnym wyznaniem wiary Turgota, zapewnić obywatelom prawo politycznej partycypacji. Otóż Turgot zaplanował cały system reprezentacji społecznej, który stworzyłby szkielet konstytucji królestwa. „Przyczyna zła bierze się stąd, Sire, że Twój naród nie ma konstytucji” – pisał do Ludwika XVI w memoriale traktującym o owych zgromadzeniach „municypalnych”. Wiadomo, że memoriał ten nie dotarł do adresata w czasie, gdy Turgot był ministrem. Król dopiero dużo

później opatrzył go swymi uwagami na marginesie; autentyczność owych komentarzy nie jest zresztą zupełnie pewna. Co się tyczy projektu Turgota, to przewidywał on utworzenie całej piramidy zgromadzeń: parafialnych, okręgowych, prowincjonalnych, z Generalną Municypalnością, rodzajem ogólnopaństwowego sejmku na szczycie. Zgromadzenia podejmowałyby decyzje w sprawach podatków, robót publicznych, oświaty, porządku publicznego.

Ich podstawa byłaby cenzusowa: nie dobre urodzenie, lecz własność ziemiska (także burżuazyjna i chłopska, oczywiście) dawałaby prawo udziału w zgromadzeniach. Absolutyzm zostałby ograniczony głosem społeczeństwa posiadaczy, przywileje stanowe byłyby wypierane przez cenzus własności. To naprawdę wielki projekt, ale zainteresowani – król i elita władzy – nie dowiedzieli się wówczas o nim wcale!

Czemu plan pozostał sekretem Turgota i jego współpracowników? Sam Turgot wyjaśniał to księdzu Veri później, gdy przestał już być ministrem. „Jako minister króla miałem skrupuły przed wykorzystaniem jego zaufania do mnie dla zabrania mu wielkiej porcji jego władzy. Owszem, miałem zamiar to zrobić, ale chciałem poczekać, aż król nabierze wieku, doświadczenia i dojrzałości tak, by mógł sam to ocenić... Nie chciałem mieć reputacji kogoś, kto nadużył jego młodości i niedoświadczenia, by mu wydrzeć podobne ofiary”. Jeśli wierzyć wspomnianym komentarzom Ludwika XVI do memoriału Turgota, wypadnie uznać, że wiek i doświadczenie nie przekonały króla do tych „niezwykle niebezpiecznych idei”. Król uznał, że projekt ów zmierzał do „ustanowienia we Francji nowej formy rządu i zniesławienia dawnych instytucji”; że Turgot pragnął Francji „arcyangielskiej”; że proponowana przezeń hierarchia władzy nie przyjmowała za podstawę „hierarchii urodzenia”. I wniosek: „nie należy podejmować tak niebezpiecznych inicjatyw, jeśli się nie widzi ich celu”.

W istocie zastąpienie „hierarchii urodzenia” przez cenzus własności rysowało się ledwie na odległym horyzoncie. W przyszłych zgromadzeniach municypalnych zbierać się mieli po prostu właściciele, a nie reprezentanci stanów. Ewolucja systemu podatkowego miała prowadzić powoli do jednolitości obciążeń, z wykluczeniem przywilejów szlachty i kleru. Na razie drobny tylko krok w tym kierunku: edykt znoszący królewskie szarwarki (tj. przymusową i bezpłatną pracę chłopów przy budowie dróg) zastępował je podatkiem pieniężnym na dalszą rozbudowę i konserwację dróg, płaconym przez właścicieli ziemskich, także uprzywilejowanych.

I wreszcie cały kompleks wolności. Wolność ekonomiczna dla Turgota jest gwarancją pełnej realizacji ludzkich szans i możliwości, a w konsekwencji – rękojmią ekspansji ekonomicznej i obfitości dóbr. A więc wolność handlu: Turgot zaczyna urzędowanie od decyzji o wolności obrotu zbożem, kończy je ustanowieniem swobodnego handlu winem. Po środku było mnóstwo drobnych decyzji rozszerzających sferę wolności handlowania (np. złamanie monopolu paryskiego szpitala Hôtel-Dieu na sprzedaż mięsa w stolicy podczas postu). Dalej, jest w programie Turgota wolność produkcji. Sławny edykt o zniesieniu cechów – źle rządzonych, skłóconych z sobą, blokujących inicjatywy produkcyjne – przyjmował liberalne założenie, iż swoboda pracy wytwórczej jest po prostu

powszechnym prawem obywateli.

Wolność wypowiedzi. Turgot sam dawał przykład, że należy ją respektować. Mało było co prawda ludzi tak jak on pewnych swoich racji, a wolność handlu zbożem to już najświętszy z jego dogmatów. Gdy wszakże w marcu 1775 r. przyszedł doń paryski bankier szwajcarskiego pochodzenia, Necker, i pokazał swój tekst kwestionujący zasadność zbożowego liberalizmu – Turgot oświadczył, iż Necker „może drukować, co tylko zechce, on się niczego nie boi, ocena należy do publiczności”, po czym dał cenzurze nakaz, by puściła traktat Neckera. W ogólnej skali rozszerzanie wolności wypowiedzi napotykało jednak wielkie trudności. O zniesieniu cenzury nie było co marzyć; likwidacja cechów nie dotyczyła m.in. korporacji drukarzy, kontrolowanej przez władzę; Turgot przejął we własne ręce urząd nadintendenta poczty z intencją poskromienia gabinetu przejmującego i otwierającego listy, ale i to mu się nie udało. Bo gorliwym czytelnikiem cudzych listów był sam zacny król Ludwik XVI...

Nie powiodły się też wysiłki rozszerzenia sfery tolerancji religijnej. Znowu sam Turgot dawał przykład. W swej ścisłej ekipie miał jednocześnie Condorceta, wściekłego antyklerykała, i księdza Morelleta, prawda, że już nieco zeświecczonego (mówiono o nim, że należy do kościoła połową wiary, połową duchownego stroju i całym dochodem tłustego opactwa). Była w planach Turgota koncepcja wyraźnego polepszenia sytuacji francuskich protestantów, od schyłku XVII w. brutalnie dyskryminowanych. Ale zgromadzona latem 1775 r. reprezentacja kleru zażądała od króla żarliwego poparcia katolickiej ortodoksji, powstrzymania postępów bezbożności, ścigania „filozoficznych”, wolnomyślnych publikacji. Paradoks polegał na tym, że żądania owe przedstawił Ludwikowi XVI trzech duchowni znani z libertynizmu: Lomenie de Brienne, Pompignan i Talleyrand. Król odpowiedział im, nie bez pewnej ironii, że liczy na to, iż biskupi mu pomogą bronić religii własnym przykładem. Niemniej obiecał, później nieco, umocnić cenzurę i nie dawać ulg protestantom. Turgotowi nie udało się ani poprawić losu „heretyków”, ani skłonić króla, by w przysiędze koronacyjnej pominął archaiczny fragment: zobowiązanie, że będzie tępić tychże heretyków... Hrabia de Segur pisał dużo później o projektach Turgota: „Łagodne, stopniowe i zbawienne reformy uchroniłyby nas przed rewolucją; taka filozofia rzadko jednak może się bezkarnie ujawnić wśród potężnych klas, które żyją jedynie z nadużyć, które egzystują tylko dzięki przywilejom”. Zapewne klęskę Turgota przyspieszyła po części sama osobowość reformatora, ale to nie ona jest odpowiedzialna za niepowodzenie. Były inne przyczyny przegranej.

Anne-Robert-Jacques Turgot miał 47 lat, gdy obejmował urząd ministra. Wyróżnił się jako długoletni szef administracji prowincjonalnej w Limoges. Wysoki, nieco otyły, przystojny mężczyzna, otoczony wianuszkami wielbiących go dam, nie ożenił się i w sprawach seksu zachował nieśmiałość zdumiewającą w tamtej epoce swobodnych obyczajów. Był wnikliwy i bardzo inteligentny, ale – to znów dziwi w czasach, gdy elita oświeconych ma tak dobrze wyostrzone pióra – nie pisał najlepiej. Marmontel zarzuca mu, że miał „język emfaticzny, ton sentencjonalny... styl niejasny i dziwacznie obrazowy”. Podobnie ksiądz

Morellet: „Klarowność nie była jego zaletą”. Inną jego wadę, wedle Morelleta, stanowiła powolność. Umysł Turgota był ciągle czynny, „ale gdy się zabierał do roboty... stawał się powolny i marnował czas”, zaś „od samego myślenia jego robota wcale nie postępowała naprzód”. Wynikało to, wedle powszechnej opinii, z przesadnego perfekcjonizmu; Morellet pisał nawet o „wścieklej pasji perfekcjonizmu”. „Nigdy nie był zadowolony i ta trudność sprawiała, że tracił cenny czas”. Wśród jego współpracowników Condorcet nieustannie ganił Turgota za opóźnianie reform; Dupont de Nemours, przeciwnie, ciągle go przestrzegał przed nieostrożnym pośpiechem. Zapewne rację miał inny jeszcze przyjaciel, ksiądz de Veri, który żalił się na dwie wady Turgota: „pierwszą jest to, że pozwala zbyt szybko ujawniać projekty innowacji, drugą – że zbyt wolno pracuje potem nad ich szczegółami”. Wszystkie spóźnienia, niedyskrecje i zwłoki ułatwiały formowanie się ligi nieprzyjaciół Turgota; ich liczbę powiększały konflikty wynikające z jego postawy – sztywnej, czasami wręcz brutalnej. Hrabina de Brionne kiedyś w oczy nazwała go impertynentem, gdy jej rzekł, że nie załatwi protekcyjnej sprawy, z którą przyszła, bo rządy kobiet już się skończyły. To dlatego hrabia d’Allonville twierdził, że Turgot jest „w głębi duszy despota, choć z liberalnymi zasadami”.

Do tych niezgrabności czy impertynencji dołączała się jeszcze kompletna nieumiejętność oceny nastrojów na dworze. Veri zapisał w kilku miejscach swego dziennika przejawy naiwności Turgota, wciąż niezachwianie wierzącego w pełne poparcie i zaufanie króla, gdy Ludwik wyraźnie już się odwracał od swego ministra finansów. Latem 1775 r. pewna decyzja Turgota zablokowała awans protegowanego Marii Antoniny, kawalera de Montmorency. „Królowa – pisał Mercy-Argenteau – była tym tak zagniewana, że gdy kontroler generalny pojawił się u niej, nie rzekła doń ani słowa; ten jednak, w swojej prostocie obyczajów, tak mało się w tym połapał, że oświadczył przyjaciółom, iż jest zupełnie zadowolony z przyjęcia go przez królową”.

Plan Turgota był rozsądny. Morellet twierdził, po roku jego rządów nad finansami Francji, że jeśli utrzyma się on przy władzy jeszcze przez pięć lub sześć lat, to nastąpią w ustroju zmiany nieodwracalne; wypadnie wówczas, chcąc nie chcąc, kontynuować zaczęłą ewolucję. Ale diuk de Croy miał rację, gdy notował w swym dzienniku, że „nie można mieć niezmiennego planu w takiej monarchii, w której małe intrygi zmieniają z białego na czarne dobór tych, co kierują wszystkim”. W odróżnieniu od Turgota ten się znał na dworskich obyczajach. Dzieło reformy liberalnej, pozbawione mocnego społecznego zaplecza, zabiły dworskie intrygi i słabość monarchy.



WOJNA MĄCZNA. KORONACJA

Król, w okresie sporów o parlament ciekawy polityki i aktywny w sprawach państwowych, zimą 1775 r. wyraźnie osłabł w tym zapale. Maurepas musiał wymuszać na nim decyzje, posiedzenia Rady znów go nudziły, przeładowane szczegółami raporty Vergennesa czy de La Vrilliere’a

skłaniały go do drzemki. „Można zobaczyć, jak król spędza całe ranki w gabinecie na przyglądaniu się przez swój teleskop ludziom, którzy przybywają do Wersalu – pisał Veri. – Często się też zajmuje zmiataniem, wbijaniem i wyciąganiem gwoździ”. Sartines rzekł księdzu Veri, że gdy posyła królowi akta do decyzji, ten „odpowiada z całą dokładnością, lecz nie zdarza się, by jego ciekawość posuwała się dalej”. Maurepasowi Ludwik się żalił, że nie jest popularny w Paryżu – i otrzymał odpowiedź, iż opinia nie dostrzega, by król przeprowadzał niezbędne reformy. Veri notuje sceptycznie, że co do oszczędności i porządkowania spraw publicznych „ufa intencjom [Ludwika XVI], ale tylko umiarkowanie wierzy w realizację”.

Wiosną gwałtowne wydarzenia wyrwą Ludwika z tej apatii. Edykt o wolności handlu zbożem spowodował zwyżkę cen zboża i chleba, postępującą od jesieni 1774 r., zresztą wcale nie gwałtowną. Turgot to przewidywał: wiedział, że po słabych zbiorach nie osiągnie zarazem równomierności zaopatrzenia rynków i niskich cen. Postawił na pełne zaopatrzenie kosztem drożyzny. Im bardziej zbliżał się przednówek, tym bardziej nerwowe stawały się reakcje ludu: z różnych prowincji napływały niepokojące sygnały. 18 kwietnia eksplodowała rewolta w Dijon, wedle klasycznego scenariusza: tłum manifestował przed ratuszem, splądrowano jeden z młynów i dom młynarza, zaatakowano siedzibę dygnitarza sądowego podejrzanego o spekulację zbożem. „Przyjaciele, trawa zaczyna już rosnać, idźcie ją skubać” – rzekł podobno tłumowi gubernator La Tour du Pin. Jego brutalność niemało się przyczyniła do rozjątżenia rewolty. Tumult dijoński trwał tylko jeden dzień; ale 27 kwietnia w rozległym regionie paryskim eksplodowała „wojna mączna” i toczyła się przez pełne dwa tygodnie. Polegała na molestowaniu młynarzy i handlarzy zbożem, na grabieży zboża i mąki z młynów, barek rzecznych i targowisk, ale przede wszystkim na „taksacji”, to jest wyznaczaniu przez tłum „słusznej ceny” zboża. Zabierano je płacąc tę cenę, zazwyczaj niemal dwukrotnie niższą od ceny rynkowej.

Rewolta rozlewała się z miejsca na miejsca jak tłusta plama. 2 maja dotarła do Wersalu, oszczędzając zresztą okolice pałacu. Turgot i Maurepas byli właśnie w Paryżu; Ludwik XVI relacjonował Turgotowi listownie przebieg wydarzeń. Zachował spokój, zapewniał swego ministra finansów: „może pan liczyć na moją stanowczość”. Rewolta uspokoiła się zresztą rychło, bo młody gubernator Wersalu książę de Poix stchórzył i pozwolił tłumowi zabrać zboże po dyktowanej przez lud cenie. Król bardzo źle przyjął tę „głupią decyzję”, ale było już za późno. Powtarzano sobie teraz z ust do ust, że król przystał na taksację. Plotki, że król usiłował przemawiać do tłumy, że to on zgodził się na obniżkę cen zboża – są zupełnie bezpodstawne.

Nazajutrz, 3 maja, tumult w Paryżu. Policja zachowała się bardzo miękko: ale taka była wówczas jej taktyka. Czekano, aż rewolta już się nieco zmęczy, nie próbowano zderzać się z nią od razu, starano się wpród rozpoznać „głównych wicherzycieli” przy pomocy policyjnych szpiegów wmieszanych w tłum. Turgot domagał się wprawdzie szybkiej i ostrej reakcji, nie zdołał jednak przełamać tradycyjnej taktyki. Zresztą paryska

wojna mączna nie wydawała się mieszkańcom stolicy czymś groźnym. Veri dostrzegał w niej „zabawę dla widzów, miękkość i jowialność u buntowników, głupią czy też celową beczynność u tych, którzy mieli czuć nad porządkiem publicznym”; wedle Croya „wyglądało to raczej jak bałaganiarska maskarada niż jak rewolta”. Wnet zaczęto układać złośliwe wierszyki i piosenki o wojnie mącznej i nosić wymyślne fryzury *a la revolte*. Paryżanie nie dali się więc przestraszyć, chociaż jeszcze przez tydzień – do 10 maja – w okolicach stolicy rewolta szerzyła się w najlepsze. W samym Paryżu 4 maja policja dokonała licznych aresztowań; w sumie zatrzymano stu kilkudziesięciu „wichrzycieli”.

Parlament paryski zaczął śledztwo i usiłował rozplakatować uchwałą apelującą do króla o obniżkę ceny zboża „w proporcji do potrzeb ludu”. Już nazajutrz Ludwik XVI wezwał parlament do Wersalu: nowy lit de justice skasował uchwały parlamentu z 4 maja. Śledztwo i sąd przekazano doraźnemu sądowi policyjnemu, parlament otrzymał zakaz zajmowania się kwestią zbożową. Król znów zadowolony z siebie i ze swego drugiego „łoża sprawiedliwości”. Teraz też wyuczył się na pamięć swej przemowy; pisał Turgotowi, nieobecnemu na ceremonii, że pamięć go zawiodła, ale jakoś wybrnął i nie dał się zbić z tropu. Dodawał zresztą, że bardziej go ambarasuje jeden człowiek niż pięćdziesięciu. To częste u ludzi nieśmiałych.

Z wielkiej liczby aresztowanych wybrano, zupełnie przypadkowo, dwóch: 28-letniego fryzjera, oskarżonego o napaść na dwie piekarnie i grabież trzech bochenków chleba. Jeszcze bardziej rażący był przypadek drugiego delikwenta: 16-letni czeladnik, cieszący się podobno dobrą opinią swego majstra, popełnił zbrodnię kopania drzwi piekarni. Obu skazano i powieszono, dla przykładu, na pustym, obstawionym gęsto żołnierzami placu przed Ratuszem. Widzowie mogli oglądać egzekucję z daleka, bo szubienice miały aż sześć metrów wysokości.

Zarzucono potem wiele razy Turgotowi tę egzekucję. Pamflet przypisywany samemu hrabiemu Prowansji konstatował szyderczo: „Pan Turgot rozwija więc wielki sztandar wolności. Lud, który sądzi, że jest dość wolny, jeśli ma chleb, nie pojmuje nic z tego sygnału, ale na nieszczęście okazuje się, iż jest to sygnał głodu. Wówczas lud, przyjmując dosłownie hasło wolności, buntuje się; i powstaje. Turgot, ciągle roznamietniony systemem wolności, ale zaniepokojony jego konsekwencjami, wspiera swe rozumowanie siłą bagnetów... Wsadza do więzień, każe wieszać (przy czym się myli co do prawdziwych winowajców, ale cóż to szkodzi) i wygrywa batalię. Co raz powieszono, to już powieszono, spokój powraca do Francji”.

Czy egzekucje „dla przykładu” – w Paryżu i gdzie indziej – są tak zasadniczo sprzeczne z liberalną ewangelią Turgota? Nie. Bo ówczesny liberalizm pragnie państwa konstytucyjnego, dopuszczającego do władzy posiadaczy, szanującego ich wolności. Wszelako państwo liberalne to nie jest państwo słabe, patrzące przez palce na poruszenia ludu, na ataki przeciw własności prywatnej. Wystarczy spojrzeć na drugą stronę Kanału, na liberalną Anglię XVIII wieku, okrutną dla biedaków, z jej bezlitosnym systemem karnym. Paryskie szubienice Turgota nie dziwią, jeśli je

porównać z angielskimi metodami represji opisywanymi przez Defoe'go czy Fieldinga.

Fantazjowano wiele na temat spisku, który rzekomo inspirował wojnę mączną. Nawet oświeceni – Wolter, Dupont de Nemours – konfabulowali na ten temat. Teza o spisku była wygodna i dla Turgota, i dla króla. Pojawiały się hipotezy najdziwaczniejsze: oto lud podburzali jezuici, finansisci, dymisjonowani ministrowie, Terray lub Maupeou; najczęściej powtarzano nazwisko starego specjalisty od intryg i spisków, księcia Conti. W spisek Contiego skłonny był uwierzyć nawet sam Ludwik XVI. Ale stary diuk de Croy wyraźnie się opowiedział za tezą o spontanicznym poruszeniu ludowym („rewolta zdobywała teren z miejsca na miejsce, bez przygotowanego planu”). Potwierdzają to najnowsze ustalenia historyków. Croy pisał też rozsądnie o konsekwencjach wojny mącznej: „może to popsuć usposobienie młodego króla, uczynić go mniej łagodnym... oraz skłonić lud do rozważań, że jest w jego mocy się burzyć”. Dodajmy jeszcze ważne konsekwencje tej wojny dla Turgota. Opóźniła ona bardzo poważnie realizację jego reform, bo liczne zamiary mogły być wprowadzone tylko z nowym rokiem budżetowym, we wrześniu. Teraz wypadło odroczyć je o 12 miesięcy, bo wskutek kilkutygodniowej straty tempa nie zdążono z nimi do września.

Co więcej, Turgot, został przez wojnę mączną wyraźnie osłabiony. Opinia ludowa miała go na zębie i król dochodził do wniosku, że jego minister finansów jest niepopularny. Sam Ludwik XVI raczej dobrze zniósł tę pierwszą próbę rewolty: zasłużył przecież na miano Ludwika Surowego czy też Stanowczego, co było jego dziecięcym marzeniem. W obliczu zamieszek w Wersalu zachował zimną krew, poskromił parlament, zaaprobował egzekucje. Turgotowi rzekł podobno, że obaj oni mają czyste sumienie. A jednak jego zaufanie do Turgota było nadwątlone. W końcu czerwca powiedział zgryźliwie Maurepasowi po jakimś wystąpieniu Turgota: „Słyszał pan, tylko jego przyjaciele mają zasługi, tylko jego idee są słuszne!” Stosunki Turgota z Maurepasem też nie były sielanką. Już w grudniu 1774 r. Mentor go powstrzymywał: „Monsieur, niech się pan zajmuje bieżącymi sprawami finansowymi, niech pan się stara zaspokoić potrzeby dnia dzisiejszego i nie łamie sobie głowy nad tym, jak zmienić istotę rzeczy!” Bez wątpienia Maurepas był zazdrosny o rolę, jaką odegrał Turgot w początku maja, rolę głównego pacyfikatora rewolty świecącego przykładem stanowczości: to przecież on, główny minister – mówił mu Veri – powinien był w tej roli wystąpić. Ale i na tle różnych drobnych spraw powstawały napięcia między Maurepasem i Turgotem: dąsy i zły humor brały się ze sztywnej postawy Turgota nie potrafiącego gładko rozwiązywać błahych konfliktów.

Lekkie zachwianie pozycji Turgota wyczuli natychmiast choiseuliści. Znowu pojawił się plan obalenia ekipy rządowej i otwarcia drogi do powrotu Choiseula. Na tym tle nastąpił powrót na scenę akcji politycznej królowej. W otoczeniu Marii Antoniny dominowali ludzie Choiseula; na ich namowy i naciski królowa była bardzo wrażliwa. W wirze dworskich uciek nie miała ani energii, ani czasu na interesowanie się wielkimi sprawami państwa; pociągała ją jednak polityka personalna – protekcje, awanse,

intrygi, niełaski... Mercy-Argenteau i Vermond pragnęli, by wywierała na króla wpływ dyskretny, delikatny i systematyczny, by wpływ ten dotyczył wielkich problemów, takich jak sojusz z Austrią czy polityka reform wewnętrznych. Marii Antoniny to nie nęciło. Słuchała natomiast chętnie barona de Besenval, który politykę jej sprowadzić pragnął do pasjonującej gry personalnej.

Był to malowniczy okaz z kolekcji „kółka królowej”. Syn Polki i sabaudzkiego arystokraty, urodzony w Szwajcarii, spędzający życie we Francji – Besenval miał już z górą 50 lat, ale ciągle był bardzo przystojny; tak bardzo, że przypisano mu rolę kochanka królowej. Zapewne fałszywie. Człowiek Choiseula, zyskał wielką sympatię Marii Antoniny, bo nauczył ją gry w trik-traka, błyszczał sztuką konwersacji i finezyjnym, złośliwym dowcipem. Lato 1775 r. to był szczyt jego wpływu na królową. Później, jesienią utraci jej fawory – zapewne wskutek intryg Vermonda i Mercy’ego – ale odzyska je po kilku latach. Pierwszą jego – i od razu udaną – kabałą było ostateczne pogębienie diuka d’Aiguillon, co ugodzić miało w jego wuja Maurepasa. Zdymisjonowany diuk nie był w niełasce, kręcił się wciąż po Paryżu i Wersalu. Besenval tłumaczył cierpliwie królowej, że jego paryski pałac stanowi ośrodek intryg i fabrykę paszkwili przeciwko niej skierowanych; trochę przesadził, ale nie wyssał tego z palca. Mimo słabości króla („słaby, nieufny – pisał Besenval – objął tron nie mając żadnego pojęcia o sprawach państwa i nie było trudno wywierać nań wpływ”) Maria Antonina dopiero po kilku tygodniach starań osiągnęła swój cel: w początku czerwca d’Aiguillon otrzymał rozkaz wygnania. Opinia dworska nie była tym zachwycona; uznano, że wracają złe praktyki poprzedniego panowania.

D’Aiguillon został oddalony podczas podróży dworu do Reims, gdzie z wielką pompą odbyć się miała koronacja. Król odrzucił wniosek Turgota, by ceremonię przenieść z Reims do Paryża: zmniejszyłoby to wydatki skarbu, powiększyłoby masę widzów i dochody paryskich kupców, dałoby znakomitą okazję, by pozyskać dla Korony niepokorny, frondujący Paryż. Król z okazji nie skorzystał. Konserwatysta do szpiku kości, zżymał się na myśl o naruszeniu wiekowej tradycji: to przecież w Reims, u progu VI stulecia, koronował się pierwszy chrześcijański władca Franków Klodwig! Król Francji i Nawarry musi być namaszczonej w Reims, najświętszym olejem, który sam Duch Święty pod postacią gołębicy przyniósł z Nieba podczas koronacji Klodwiga i który przechowywany był odtąd w Świętej Ampule z czerwonego szkła.

Ludwik odrzucił też sugestie otoczenia królowej, by Maria Antonina została razem z nim koronowana. Rządy kobiet się skończyły, jak mawiał Monsieur Turgot. Królowa będzie tylko obserwatorem ceremonii.

Dwór wyruszył z Wersalu 5 czerwca, zatrzymał się na krótko w Compiègne – król zapolewał tu sobie – i dotarł do Reims 9 czerwca. Na podróż tę zgromadzono 20 tys. rozstawnych koni! Ogromne sumy wydano też na dekorację katedry w Reims: efekt był szkaradny, wspaniałą świątynię zeszpecono tandetnymi *panneaux*. Paskudna była też paradna karoca, którą posłużył się król wjeżdżając do miasta: wysoka, cała w szkle, z bukietami piór na rogach dachu, wyglądała jak karawan.

W dziennikach Croya opis uroczystości koronacyjnych zajmuje z górą 20 stron. W przeddzień sakry, 10 czerwca, kazanie dla króla wygłosił ambitny arcybiskup Aix, Boisgelin. Apelował, by król okazał siłę, zaufanie do samego siebie, pracowitość. To oczywiście aluzja do wad, które opinia już w nim dostrzegała. Współcześni ocenili, że kazanie było „parlamentarne” i liberalne; Boisgelin mówił o tym, że król podlega prawom, o ulgach podatkowych, o potrzebie wolności.

Koronacji dopełniono 11 czerwca, w niedzielę Św. Trójcy; trwała od 6 do 11.30 przed południem i publiczność oceniła, że to dość krótko. Ludwik dobrze zniósł męczącą ceremonię: dzień był upalny, a strój koronacyjny bardzo ciężki. Przysięgę – łącznie z klauzulą o tępieniu heretyków – złożył głośno i wyraźnie (liberalna opinia pocieszała się, że w tym spornym miejscu tylko coś wymamrotał bełkotliwie, ale świadkowie temu przeczą). Ze Świętej Ampuły złotą igłą zaczerpnięto następnie kroplę oleju z Nieba i zmieszano ze zwykłymi poświęcanymi olejami. Oszczędzano, by niebiańskiej oliwy starczyło jeszcze na wiele wieków królom Francji i Nawarry. Niepotrzebnie: w 1793 r. poseł Konwencji Ruhl roztrzaskał Świętą Ampułę w zapale „dechrystianizacji”.

Entuzjazm obserwatorów sakry był nieopisany. Maria Antonina – jak pisał Croy – wylewała potoki łez. O 13.30 zaczął się wielki festyn i ten się Croyowi nie podobał: był dużo mniej wytworny od takiej samej gali, którą diuk widział w Frankfurcie, po koronacji cesarza. Sala była brzydka, towarzystwo „mieszane”... W poniedziałek odpoczywano. We wtorek – nowe uroczystości, w tym kapituła Orderu Św. Ducha: Ludwik XVI miał na sobie potwornie ciężki płaszcz, który kosztował 8 tys. liwrow. Wykonywał jednak zręcznie zawile, starożytne ukłony, które uprzednio starannie wystudiował. 14 czerwca wystąpił w roli cudotwórcy: od czasu pierwszych Kapetyngów władcom Francji przypisywano cudowną moc leczenia skrofuiów. W wielkiej alei ustawilo się więc prawie dwa i pół tysiąca chorych, a w tym wielu młodych; klęczeli stłoczeni ciasno w dwóch rzędach, a król musiał każdego dotknąć ręką wypowiadając tradycyjną formułę. Ceremonia – ciągle według Croya – wymagała wiele odwagi i siły, tak była „przykra i odrażająca”. 15 czerwca – Boże Ciało. Ulice Reims i dachy domów nabite były ogromną ciżbą widzów; Ludwik kroczył dzielnie z procesją wśród potwornego upału. Jedyne zarzut Croya: idąc kołysał się jak kaczką, ale „trudno przecież dorównać wspaniałej postaci takiego Ludwika XIV czy też Ludwika XV”. W sumie diuk de Croy oceniał sakrę jako duży sukces króla, połączenie wspaniałości i ładu. Sam Ludwik też był zadowolony z gorącego przyjęcia ludu; niedobre wspomnienie wojny mącznej zacierało się w obliczu tych owacji. W listach do Maurepasa – który został w Wersalu, by pilnować spraw – król opisywał uroczystości koronacyjne i ponawiał przyrzeczenia, że chce pracować dla szczęścia swojego ludu, który w Reims tyle szczęścia dał monarsze... Ale chłodny i sceptyczny Veri zapisywał w swym dzienniku, że nie należałoby przeceniać owacji z Reims, które tak wzruszyły króla i królową: „towarzyszą one zawsze nadzwyczajnym i pompatycznym ceremoniom... mogą więc dać fałszywe wyobrażenie o stanie opinii społecznej”.

Ofensywa choiseulistów rozwijała się tymczasem. Podczas pobytu w Reims królowa udzieliła audiencji samemu Choiseulowi. W liście do wiedeńskiego towarzysza zabaw dziecinnych, hrabiego Rosenberga, pisała o owej audiencji ze zdumiewającą wulgarnością: „Mówiono o tym tyle, że nie dałabym głowy, czy stary Maurepas nie miał stracha idąc spać. Łatwo panu uwierzyć, że nim zobaczyłam Choiseula, mówiłam o tym z królem, ale nie odgadnie pan, ile zřeczności rozwinęłam, aby to nie wyglądało na prośbę o jego pozwolenie... Zrobiłam to tak dobrze, że biedaczysko [*le pauvre homme*] sam wyznaczył najwygodniejszą godzinę, w której mogłabym Choiseula zobaczyć” Sukces był jednak pyrrusowy. Audiencja odbyła się 12 czerwca, ale rozmowa królowej z Choiseulem była błaħa: ona nie umiała, on nie chciał – chociażby z dumy – mówić o planie działania, które by przywróciło mu władzę. Król oczywiście nie pokazał się na pokojach żony podczas audiencji. Następnego dnia spotkał Choiseula na zgromadzeniu kawalerów Orderu Św. Ducha; zauważono, że był dla wszystkich miły, ominął jedynie starego Richelieu, którego obyczaje go mierziły, a Choiseula potraktował brzydkim grymasem. Co gorsza, okazało się, że hrabia Rosenberg jest skarżypytą: list Marii Antoniny dotarł do rąk jej matki i brata, cesarza Józefa II. Oboje zbesztali ją bezlitośnie (Józef II pytał, jakie ma prawo i jaką wiedzę, by się mieszać do spraw państwowych; Maria Teresa pisała, że są to intrygi godne Pompadour i du Barry: „co za styl, cóż za lekkomyślność” – dodawała).

Choiseul oszedł z kwitkiem, ale choiseuliści ciągle się ruszali. Było już wcześniej ustalone, że stary i głuchy diuk de La Vrilliere odejdzie ze stanowiska ministra dworu natychmiast po koronacji. Turgot miał na to miejsce kandydata, który umocniłby tendencję reformatorską w rządzie. To Chretien-Guillaume Lamoignon de Malesherbes, o którym mówiono już przed rokiem; liberalny grand seigneur, przyjaciel filozofów, protektor Encyklopedii. Jako minister dworu byłby on gwarancją uczciwości i oszczędności w wydatkach dworskich, ale także wolności osobistej Francuzów (do ministra dworu należało wystawianie *lettres de cachet* i de La Vrilliere fabrykował je bez skrupułów, gdy ich odeń żądano).

Maurepas poparł kandydaturę Malesherbesa. Rzeczywiście był zaniepokojony intrygami Choiseula; niedarmo przecież przyrzekał sobie umrzeć na stanowisku głównego ministra. Pod koniec czerwca król – nie bez wahań – zgodził się na nominację „encyklopedysty”. Tymczasem jednak już podczas pobytu w Reims Besenval zaczął podjudzać Marię Antoninę. Mówił jej, że wygnanie d’Aiguillona to tylko pierwszy krok ku jej politycznemu wpływowi; „by wpływ ten umocnić i uczynić niewzruszalnym musi ona dobierać ministrów, na których mogłaby liczyć”. A zatem ministrem dworu powinien zostać uległy i przyjazny Sartines; jego urząd ministra marynarki dostałby człowiek Choiseula, d’Ennery. Królowa zlekceważyła jednak radę, by pozyskać dla tego planu Maurepasa; zaczęła z nim rozmawiać za późno, gdy król już się był zgodził na Malesherbesa. Usiłowała nacisnąć na męża, ale ten jej odrzekł oschle: „To są pani życzenia, Madame, znam je już i to mi wystarczy; decyzja do mnie należy”.

Niezupełnie tak było, bo decyzja zależała też od Malesherbesa. Stała się bowiem rzecz, która zdumiała elitę władzy: Malesherbes wcale nie chciał

być ministrem! Już poprzednio twierdził, że nie byłby ministrem dobrym, ponieważ „nie ma charakteru”. Gdy pod koniec czerwca Turgot, Maurepas i Veri – mając zgodę króla w kieszeni i bojąc się intrygi Choiseula – wywarli nań zmasowany nacisk, Malesherbes bronił się zażarcie. Twierdził, że jest człowiekiem idei, a nie działania, że lepiej potrafi radzić niż rządzić, że lepiej się nadaje do przygotowywania reform, niż do ich wprowadzania w życie. Dodawał, że nie pragnie się narażać królowej, która w końcu i tak przevorsuje swego kandydata... Gdy wreszcie wydano jego zgodę, rzekł księdzu Veri: „z wyjątkiem śmiertelnej choroby nie mogło mi się wydarzyć nic gorszego”. W początku lipca 1775 r. objął urząd ministra dworu.

Besenal pisze, że królowa przyjęła nominację Malesherbesa jak policzek. Całą urazę skierowała w stronę Turgota, głównego inicjatora tej decyzji. We wrześniu – znowu z inspiracji Besenvala – zawarła coś w rodzaju przymierza z Maurepasem. Ale Besenal padł ofiarą własnej intrygi: zaczął się teraz zmierzch jego wpływów, królowa zagustowała w porozumieniu z głównym ministrem. Gdy w październiku umarł de Muy i wypadło znaleźć nowego ministra wojny, Maria Antonina roztargnionym uchem słuchała sugestii Besenvala, by poprzeć kandydaturę pana de Castries. Zadowolona się gestem Maurepasa, który uprzejmie udał, że się z nią konsultuje w sprawie wyboru. Ale wybór ów już był dokonany przez Maurepasa i Turgota: padł na hrabiego de Saint-Germain. Ten stary – 68-letni – wychowanek jezuitów był pobożny i to musiało się podobać królowi. Turgota ujęła jego reputacja wroga przywilejów w armii, zwolennika reform, a także rzecznika wojskowej efektywności, jednolitości, dyscypliny, Maurepas orzekł, iż „można go wypróbować”. Rząd króla Ludwika XVI miał więc w swym składzie aż trzech reformatorów, Turgota, Malesherbesa i hrabiego Saint-Germain. Opinia czekała na reformy: duża jej część ze strachem, większa z nadzieją.



KLĘSKA REFORMY

Podział pracy był dla króla wygodny. Ministrowie-reformatorzy pracowali nad zmianami, Maurepas miał ich powściągać w zbyt śmiałych zapędach, Ludwik XVI mógł natomiast czekać spokojnie na rezultaty owej „pracy dla szczęścia ludu”. Wersal bawił się w najlepsze. Jesienią 1775 r. elita dworska, w tym całe kółko królowej, snobowała się angielską rozrywką: wyścigami konnymi na wielkiej równinie Sablons. Anonimowy redaktor „*Correspondance litteraire*” upatrywał w tej anglomańskiej zabawie przejaw wzajemnego oddziaływania dwóch cywilizacji i prorokował nieśmiało erę wieczystego pokoju między Francuzami i Anglikami. Jakże marnym okazał się prorokiem!

Jesień nie była jednak najlepsza: deszczowa i chłodna, przyniosła Wersalowi epidemię grypy, katarów, reumatyzmów, podagry. Ta ostatnia dręczyła bezlitośnie Turgota i nie ułatwiała bynajmniej reformatorskich poczynań. Z kolei zima 1776 r. była ostra: siarczyste mrozy przez cały styczeń i sporą część lutego, śnieg leżał w okolicach Paryża przez sześć tygodni. Maria Antonina korzystała z rzadkiej okazji, starała się przenieść

do Wersalu wiedeńskie przejażdżki saniami. Rodzina królewska dała się wciągnąć: niektóre ekspedycje saniami docierały aż do Champs-Elysees i nawet na paryskie bulwary. Mercy-Argenteau raportował, że paryżanie uznają te wyprawy za zupełnie nie licujące z „wielkością i godnością” królowej.

Trwała też kaskada konwencjonalnych rozrywek dworskich: bale i balety, opery i komedie. Madame Campan opowiada, jak kiedyś Maria Antonina dotarła na bal maskowy do paryskiej Opery mieszczkańskim fiakrem, bo w dworskim powozie pękła oś. Nikt by tego nie zauważył – królowa była w masce – gdyby bohaterka nie rozpaplała towarzystwu swej przygody. Natychmiast dorobiono do tego skandaliczną historię tajemnej schadzki z jej ówczesnym faworytem, diukiem de Coigny. Rozrywki nie przeszkadzały zresztą politycznym intrygom: 9 lutego królowa przez godzinę rozmawiała z Choiseulem na balu maskowym w Paryżu. To ona sama wyznaczyła mu tak niezwykłą audiencję.

Król na tym tle wyrasta niemal do roli pozytywnego bohatera. Nie tracił czasu na wyścigi, nie uczestniczył w zimowych kuligach, na balach pokazywał się i szybko zniknął, w maskaradach znajdował przyjemność bardzo umiarkowaną. Maurepas już w poprzednim karnawale strofował go za to, że pozwolił, by jego wejście na jakiś bal zostało niemal nie zauważone. Teraz znów towarzystwo królowej zrobiło mu głupi kawał: śpiesząc się na jakieś wesołe przyjęcie i wiedząc, że Ludwik lubi chodzić spać punktualnie o 11 wieczorem, przesunięto wskazówki zegara, by się go pozbyć. Pani Campan zapewnia, że gdy król poszedł do sypialni, nie zastał nikogo ze służby: było jeszcze o wiele za wcześnie na królewską ceremonię wchodzenia do łóżka.

Co gorsza, utrwałała się praktyka, że Ludwik najczęściej sypiał osobno. Nie chciał, by wracająca późno żona zakłócała mu spokojny sen, który bardzo sobie cenił. Będzie to wielki powód do niepokoju Marii Teresy; imperatorowa wiedziała, że jej córka nie będzie królową prawdziwą, respektowaną i wpływową, dopóki nie zapewni Koronie sukcesji. Maria Antonina tymczasem zamykała się w swym kręgu przyjaciół i przeżywała frustracje. Veri notuje ze zgorszeniem, że nie usiłuje ona zabawić króla, że „nie ma nawet dla niego tych zwykłych względów, jakie się widzi w stosunkach między żoną i mężem”, Ludwik zaś to znosi, „bo nie jest wymagający. Jeszcze gorzej: swym zaufanym mówiła o królu z pogardą („biedak”, „człowiek z drewna”), oskarżała go o impotencję... Nie bez wpływu na te fatalne humory były urodziny królewskiego bratanka. W sierpniu 1775 r. hrabina Artois urodziła syna, księcia Angouleme (po śmierci Ludwika XVI, na emigracji, zawrze on ślub z królewską córką Marią Teresą Karoliną). Maria Antonina szczerze się zwierzyła matce z przykrości, jaką jej sprawia świadomość, że to nie jej syn jest dziedzicem Korony.

Król przyzwyczaił się do codziennej rutyny rządowej; powierzenie ministrom projektowania wielkich reform nie oznaczało, że Ludwik nie miał zupełnie własnych inicjatyw. Turgot zastał go kiedyś przy redagowaniu tekstu ustawy: „Czy sądzi pan, że ja wcale nie pracuję?” Ustawa, którą król wymyślił, dotyczyła... królików. Szydzono sobie potem z takich pomysłów

monarchy, może nieco przesadnie: szkody wyrządzane przez króliki to był dla rolników prawdziwy problem.

Jednakże sprawy rzeczywiście ważne przygotowywać mieli ministrowie-reformatorzy. Ich zadanie nie należało do łatwych. Ksiądz Veri, zwolennik innowacji, przyglądał im się z bliska i konstatował – słusznie – że łatwo jest znieść złe instytucje, dużo trudniej wypełnić puste miejsca nowymi urządzeniami, przewidzieć wszystkie konsekwencje zmiany, obliczyć wszystkie nowe potrzeby. „Gdy jakiś zwyczaj wstrząsa naszymi wyobrażeniami, każdy mówi: trzeba to zmienić. Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się łatwe, ale w szczegółach realizacji kłopoty mnożą się ze wszystkich stron”.

Ale to nie kłopoty techniczne sparaliżowały reformy, których Turgot oczekiwał od swego przyjaciela Malesherbesa: po prostu reformator nie miał ni chęci, ni odwagi, aby gruntownie reformować. Malesherbes świetnie się dopasował do obyczajów króla, który w swej słabości ulegał miękko petentom, proszącym go o różne łaski. Jako kilkunastoletni chłopak Ludwik pisał w *Refleksjach*, że król Francji ma „niewyczerpane źródło” łask – i postępował teraz tak, jak gdyby naprawdę w to wierzył. Malesherbes nie był lepszy. Gdy Veri cisnął go w sprawie oszczędności na wydatkach dworu, dostał odpowiedź: „Jestem do tego niezdolny z charakteru, zbyt wielką mam z natury gotowość uznawania, iż każdy, kto wchodzi do mego gabinetu, ma rację”. Do kompletu dodać jeszcze należy Maurepasa, który również lubił w sekrecie rozdawać różne, niczym nie uzasadnione, łaski pieniężne.

To prawda, że fatalne zbiegi okoliczności pomnażały wydatki dworskie wnet po objęciu przez Malesherbesa urzędu ministra, latem i jesienią 1775 r. Jakże myśleć o redukowaniu tych wydatków, gdy trzeba dać wielki posag tłustej Klotyldzie, siostrze króla, wydawanej za piemonckiego następcę tronu? Ślub ten umacniał francuskie wpływy we Włoszech i ograniczał tam pole manewru Austriaków; ale też teść piemoncki żądał ogromnych pieniędzy. Urodziny księcia Angouleme pociągnęły za sobą również spore wydatki. Dwie ciotki królewskie, Wiktoria i Zofia, dotąd mające wspólny dwór, postanowiły się rozstać. To oznaczało podwojenie liczby obsługujących je pasożytów.

Szczególnie skandaliczna była historia z urzędem superintendentki dworu królowej. Skasowany został dawno, za czasów Marii Leszczyńskiej. Teraz Maria Antonina wymogła na królu przywrócenie tego dekoracyjnego, zupełnie zbytecznego urzędu dla jej faworyty, młodej wdowy księżny de Lamballe. Od paru lat była ona ulubioną przyjaciółką królowej; teraz jej urok trochę przyblakł w oczach Marii Antoniny, zakochanej na zabój w niedawno poznanej, dużo ładniejszej hrabinie de Polignac. Znużona panią de Lamballe, chcąc ją wynagrodzić za utratę dominującego wpływu, królowa upatrzyła dla niej ów urząd superintendentki. Lamballe nie była biedna – jej teść, diuk de Penthièvre, to jeden z trzech najbogatszych ludzi we Francji, zaraz po królu i księciu Orleanu – ale przecież nie mogła, po prostu nie mogła brać mniejszej pensji niż niegdysiejsza superintendentka dworu królowej, diuszessa de Bourbon; redukcja poborów stanowiłaby nieznośne upokorzenie! A to oznaczało

wyrwanie ze skarbu 150 tys. liwów rocznie. Zupełnie za nic. Maurepas poparł żądania królowej – było to w okresie ich sojuszu – a gdy Veri zgłaszał doń pretensje, odrzekł: „A cóż miałem powiedzieć królowej, która w mej obecności mówi swemu mężowi, że szczęście całego jej życia od tego zależy”.

Opinia publiczna znalazła niejaką rekompensatę w energii ministra wojny, przyjętego z wielką sympatią. Hrabia de Saint-Germain miał za sobą przeszłość burzliwą i malowniczą. Wiele razy zmieniał barwy, pod którymi służył: we Francji, u różnych monarchów niemieckich, wreszcie w Danii, gdzie został feldmarszałkiem i ministrem wojny. Nieustannie w konfliktach ze zwierzchnikami, pograżał się powoli w manii prześladowczej – podobnej do tej, na którą cierpiał Jan Jakub Rousseau. Opinia o tym nie wiedziała; powtarzano natomiast opowieści o jego dowódczych talentach, zwycięstwach, a także o okolicznościach jego ministerialnego awansu (wysłannicy z Wersalu znaleźć go mieli na wsi, przy sadzeniu warzyw czy też karmieniu drobiu). Mimo swych 68 lat zachował werwę, dobrą pamięć, reformatorską energię. Nie brakowało jednak poglądów, iż jest on postacią niejednoznaczną. Moreau cytuje taką oto opinię: „Ten wybór jest wzniosły i musi być wzniosły, gdyż inaczej byłby ekstrawagancki”.

Saint-Germain powiedział diukowi de Croy, że przybył do Wersalu z jasno określonym planem: „muszę wykonać mój plan w całości!” Żartował też z dworskich obaw, iż „będzie chciał wszystko porąbać [*sabrer*]”. Istotnie, oficerowie z dworu nie ufali nowemu ministrowi; złośliwi nazywali go dezenterem. Oświeceni, reprezentowani w rządzie przez Turgota, czekali na modernizacyjne reformy Saint-Germaina.

Turgot miał, jak się wydaje, nadzieję, że Saint-Germain podda mu się w sferze finansów armii. Zawiódł się; trochę się też najeżył, gdy się okazało, że Saint-Germain ma duże apetyty osobiste. Ale domagając się dużych sum na swoją instalację oraz wysokich poborów Saint-Germain miał swoje racje: po prostu był człowiekiem niezamożnym. Współcześni spierali się też zażarcie, czy pierwsza wielka reforma Saint-Germaina – zniesienie „osobistych” formacji militarnych króla, *Maison militaire du roi* – miała sens z punktu widzenia projektowanych oszczędności. Zlikwidowane stanowiska wojskowe musiały być spłacone, jako że ich właściciele drogo je kupili. Zachowawcy szydzili potem, że oszczędności okazały się iluzoryczne. To nieporozumienie. Saint-Germain nie zamierzał oszczędzać na wojsku; twierdził natomiast, że wydatki militarne Francji są nieracjonalne, że za te same pieniądze można mieć dużo więcej oddziałów rzeczywiście użytecznych. Na *Maison militaire* króla wydawano rocznie osiem milionów – i otrzymywano za to formacje paradne, o nikłej wartości bojowej. Saint-Germain był zaciekłym przeciwnikiem przywilejów w armii, domagał się ładu, dyscypliny, a przede wszystkim jednolitości: tradycyjne paradne oddziały króla wydawały mu się kosztowne i niepotrzebne. Ludwik zgodził się z rozumowaniem swego ministra.

Później, po rewolucji, wiele razy zarzucano zmarłemu już Saint-Germainowi, że przez zniesienie tych formacji osłabił siłę oporu monarchii i przyczynił się do sukcesu „buntowników”, do upokorzenia króla przez „motłoch”. To prawda, że królewscy muszkietierowie czy grenadierzy konni

stanowili najpewniejszą, najbardziej lojalną siłę zbrojną monarchii. Gdyby jeszcze istnieli latem 1789 r., pierwsza faza rewolucji byłaby zapewne bardziej krwawa. Wiara, że powstrzymaliby lawinę, wydaje się wszelako dość naiwna.

Zniesienie *Maison militaire* rozwścieczyło dworską arystokrację: to ona pełniła stanowiska dowódcze, to jej synowie zaczynali karierę wojskową w tych elitarnych oddziałach. Diuk de Croy notuje ze złością, że Saint-Germain działa tak, jak gdyby pragnął „obrzydzić wszystkim [sic!] służbę i odesłać ludzi do zamków”; zapisuje też opinię Maurepasa, że Saint-Germain nie docenia szlachty, która „jest samym francuskim państwem i nadaje świetność Dworowi”. Ale to nie było tak. Nowy minister stawiał na szlachtę, lecz na inną: na liczną, niezamożną szlachtę z prowincji. W memoriale spisany po swej dymisji potępiał „zgubną różnicę pomiędzy szlachtą dworską i tą z prowincji, która prawie zawsze warta jest więcej; pomiędzy szlachtą bogatą i biedną – tak, że jedna ma wszystko bez żadnej zasługi, druga zaś nie osiąga niczego, choćby nie wiem jak się zasłużyła”.

Po zniesieniu *Maison militaire* w grudniu 1775 r. przysły dwie fale gorączkowych reform wojskowych: ordonanse Saint-Germaina z marca i z maja 1776 r. Minister, z początku tak popularny, tracił teraz szybko sympatię społeczeństwa. Drobną szlachtę, na którą tak stawiał, rozzłościło zmniejszenie liczby kompanii w batalionie z siedemnastu do sześciu: zredukowało to rażąco wielką liczbę niższych oficerów w proporcji do żołnierzy, ale też ograniczyło bardzo znacznie możliwości awansów dostępnych drobnej szlachcie.

Zamożną burżuazję odstręczyła od Saint-Germaina decyzja o zniesieniu sprzedawalności stanowisk dowódczych. Do tej pory kupowano je od rządu; ceny były bardzo zróżnicowane, w zależności od prestiżu jednostki wojskowej. Kompania kosztowała od 6 do 14 tys. liwrow, pułk piechoty od 25 do 75 tysięcy, niektóre pułki kawalerii osiągały cenę 120 tys.! Odtąd przy każdym wakacie (wskutek śmierci, rezygnacji, przeniesienia dowódcy) wartość stanowiska miała być zredukowana o jedną czwartą: czwarta zmiana oznaczała likwidację sprzedawalności kompanii czy też pułku. Bogaci bourgeois uznali, że ta decyzja skierowana jest przeciw nim, odbiera szansę awansów ich synom.

Opinię oświeconych wzburzyły także niektóre reformy Saint-Germaina: wprowadzenie kar cielesnych w wojsku, metody kształcenia oficerów. Od 1751 r. istniała w Paryżu królewska szkoła wojskowa, *Ecole militaire*. Aby przybliżyć edukację oficerską prowincjonalnej szlachcie, Saint-Germain stworzył 12 szkół o podobnym profilu, rozsianych po całym kraju. Dawny wychowanek jezuitów wychowanie moralne elewów powierzył... mnichom: benedyktynom, oratorianom i innym jeszcze.

Lud paryski surowo ocenił reformy u Inwalidów, w zakładzie ufundowanym przez Ludwika XIV dla weteranów. To prawda, że nadużycia były tu karygodne: około 600 pensjonariuszy nigdy nie służyło w wojsku i znalazło się u Inwalidów z arystokratycznych protekcji. Byli to po prostu lokaje, stajenni, stangreci możnych rodów. Wszelako brutalność, z jaką Saint-Germain wyekspediował na prowincję około tysiąca pensjonariuszy Inwalidów, wzburzyła paryską ulicę.

Wśród prawdziwych, frontowych żołnierzy nowy minister wojny był szanowany za świetne talenty technika wojskowego i dowódcy. Wiedzano, że nie zadzierał nosa, w trudnych sytuacjach zachowywał zimną krew, potrafił zadbać o to, by straty w ludziach były jak najmniejsze. Ale jego reformy zrobiły w wojsku niemało złej krwi. Wyżsi oficerowie wściekali się na rozkaz pozostawania przy oddziałach przez cztery miesiące w roku (dla generałów poruczników) lub nawet przez sześć miesięcy (co dotyczyło generałów brygady i pułkowników). Do tej pory w czasie pokoju wyżsi oficerowie z reguły wyręczali się zastępcami; przy oddziałach pojawiali się głównie na czas manewrów. Żołnierzy rozzłościło oficjalne wprowadzenie kary cielesnej. Także uprzednio policzkowanie lub bicie kijem żołnierzy zdarzało się nagminnie, ale robiono to mniej czy bardziej po cichu i z nieczystym sumieniem. W dodatku bić miano płazem szabli. W intencji kara taka miała być mniej hańbiąca od pruskich kijów, ale reakcja żołnierzy – a nawet oficerów – odrzuciła ową intencję; uznano, że hańbi się w ten sposób i delikwenta, i broń użytą jako narzędzie kary.

To prawda, że niektóre reformy Saint-Germaina były zadziwiająco nowoczesne: do nich należy np. tworzenie wielkich jednostek, dywizji, umożliwiających kombinowanie działań różnych rodzajów broni. W sumie jednak jego wizja armii mieściła się świetnie w systemie despotyzmu oświeconego. Nie jest więc przypadkiem, że pruski Fryderyk II wychwalał Saint-Germaina i sądził tylko, że jest on „za dobry, by Francuzi go zaakceptowali”. Taka wizja nie mogła się nie zderzać z liberalnym programem społecznym Turgota; wnet też stosunki między nim a Saint-Germainem popsują się gruntownie, a po upadku Turgota Saint-Germain cieszyć się będzie, jak pisał Veri, „nieprzyzwoicie”. Jego reformatorski projekt miał cechy modernizacji technicznej, po części także politycznej (umocnienie władzy rządu nad armią), ale nie modernizacji społecznej. Egalitaryzacja w armii nie oznaczała jej demokratyzacji. W bardziej racjonalnych i ujednoliconych strukturach wojska osłabłoby sobiepaństwo niezbyt gorliwej w służbie arystokracji, ale prymat szlachty – drobnej, prowincjonalnej – tylko by się utwierdził.

W dodatku Saint-Germain, tak dobrze organizujący *place d'armes*, nie najlepiej sobie radził z organizacją biur wojny. Potem się żalił, że jego działania paraliżowali niechętni i kiepscy wykonawcy. Wielką jego słabością okazało się też dworactwo: po prostu bardzo chciał umrzeć na stanowisku ministra, podobnie jak Maurepas i Vergennes. Księżę de Montbarey, który był z Saint-Germainem w dobrych stosunkach, opisywał zjadliwie jego radość, źle skrywaną, z ministerialnego awansu. Dworska elita płaszczyła się przed ministrem; Croy opisywał obiad u Saint-Germaina, podczas którego gospodarzowi podlizywali się ci, co by mu chętnie skręcili kark: „niepodobna zobaczyć śmieszniejszego, ale i potworniejszego obrazu Dworu”. Z kolei Saint-Germain płaszczył się przed potężnymi: królem, Maurepasem, królową. Już pierwsza jego wielka reforma, zniesienie *Maison militaire* króla, nie została doprowadzona do końca, co go naraziło na złośliwe krytyki. Część paradnych formacji (żandarmów, szwoleżerów) została utrzymana wskutek presji ich arystokratycznych dowódców. Veri pisał, że Maurepas mu to przedstawiał

jako decyzję króla; król z kolei mu tłumaczył, iż zdecydował Maurepas... Zabawna jest ta piłeczka, którą dwaj słabeusze na szczytach władzy wzajemnie sobie odrzucali.

Saint-Germain tłumaczył się później gęsto, że musiał ulegać naciskom Ludwika XVI, co uniemożliwiło wiele ważnych reform osłabiających wpływy i nadużycia arystokracji dworskiej. Nie potrafił się przeciwstawić królowi. Więcej, był też potulny wobec królowej. Hrabia Valentin Esterhazy, Węgier we francuskiej służbie należący do kółka Marii Antoniny, uciekł się do jej protekcji, gdy Saint-Germain chciał wysłać jego pułk do nędznego garnizonu w Montmedy. Wysłuchał zza drzwi gwałtownego ataku królowej na ministra wojny: „Czy więc wystarcza, że ja się kimś interesuję, aby go narazić na pańskie prześladowanie? Niech pan robi co chce, ale tak, by pan Esterhazy był zadowolony! I proszę mnie informować o załatwieniu sprawy!” Odwróciła się potem do ministra plecami – a ten połknął wszystko i ustąpił. Tak więc Malesherbes nie reformował, Saint-Germain realizował plan nie przylegający do projektów Turgota, obaj zaś ulegali w obliczu wersalskich nacisków. Turgot natomiast pracował nad reformami nie zastanawiając się nad tym, czy ciągle jeszcze może liczyć na poparcie z góry. Ufał, że królewskie słowo honoru jest nadal w mocy.

W końcu 1775 r. przygotował sześć reformatorskich dekretów, w tym dwa najważniejsze dotyczyły zniesienia szarwarków królewskich i systemu cechowego. W styczniu pracowano nad nimi w królewskiej Radzie. Miromesnil był przeciwny edyktowi o szarwarkach, bo wprowadzał on podatek gruntowy naruszający przywileje podatkowe szlachty i kleru. Saint-Germain przebąkiwał o możliwości zastąpienia szarwarków budową dróg przez wojsko w zamian za podwyżkę żołądu. Inni ministrowie milczeli, tylko Malesherbes popierał zdecydowanie Turgota.

Tym razem podtrzymał go – jeszcze – Ludwik XVI. Przeczytał bardzo uważnie projekty sześciu edyktów, potem przestudiował je drugi raz. Maurepasowi powiedział, że chce decydować wedle własnego sumienia. No, Turgot pomagał królewskiemu sumieniu: tłumaczył, że edykty nie podważają bynajmniej tradycyjnych przywilejów szlachty, że właściwie teraz uprzywilejowani są wszyscy zamożni bez względu na pochodzenie. I to właśnie bogaci stracą coś niecoś na edyktach o szarwarkach i cechach, natomiast biedacy, lud, będą błogosławić króla. Trafił w czuły punkt Ludwika, który chciał być dobroczyńcą ludu – nie godził się tylko płacić za owe dobrodziejstwa redukcją przywilejów stanowych. 6 lutego 1776 r. królewska Rada przyjęła dekrety Turgota.

Natychmiast pojawiła się opozycja, której rzecznikiem był parlament. Znalazł się w niej, oczywiście, książę Conti, zniszczony rozpustą i śmiertelnie chory, ale wciąż agresywnie reakcyjny Intrygował przeciw reformie hrabia Prowansji: przypisywano mu jeden z najzłośliwszych pamfletów przeciw Turgotowi. Skupiała się przy nich duża część arystokracji dworskiej. Oponowali finansiści, z dzierżawcami generalnymi na czele. W odpowiedzi na remonstracje parlamentu król pisał, że przecież edykty lutowe nie pozbawiają szlachty jej przywilejów – i była to prawda: drobny wyłom w wolności podatkowej nie miał istotnego znaczenia. Ale

uprzywilejowani mają szósty zmysł, którym rozpoznają niebezpieczeństwo. Nie zawsze są zręczni i szczęśliwi w zwalczaniu swych wrogów, ale rozpoznają ich z daleka. Dostrzegli, że Turgot jest dla nich niebezpieczny, choć przecie ujawnił dotąd tylko małą część swego reformatorskiego projektu.

Zacząła się natychmiast wojna podjazdowa na pamflety, pseudo-teoretyczne traktaty, zjadliwe wierszyki. „Pan Turgot we wszystkim robi bałagan, pan de Saint-Germain wszystko wywraca, pan Maurepas kpi sobie z wszystkiego” – stwierdzał złośliwy epigramat. Parlament próbował tępić pisma „turgotynów”; z kolei Turgot tracił cierpliwość i wbrew swej liberalnej wierze w swobodną grę argumentów zaczął zarządzać represje wobec autorów wrogich mu pamfletów. Ale też były one wyjątkowo wredne. Zarzucały mu, że pragnie wstrząsnąć fundamentami państwa, zrobić „ogólną rewolucję”, doprowadzić do chaosu, który da władzę ludowi... Pojawił się nawet pogląd, że Anglicy pragną zniszczyć Francuzów przez zmianę ich ustrojowych zwyczajów, a Turgot działa pod dyktando Wielkiej Brytanii. Podobnie zresztą oskarżono Saint-Germaina o „niszczenie” francuskiej armii z inspiracji obcych, niemieckich rządów. Była to prawdziwa furia konserwatyzmu.

Remonstracje parlamentu też były sformułowane w tonie ośmieszającej go demagogii. Nałożenie na szlachtę drobnego podatku zastępującego chłopskie szarwarki dało asumpt twierdzeniom, że podatek może znowu być zastąpiony szarwarkiem; malowano więc wstrząsający obraz szlachty upokorzonej, pociąganej do tłuczenia kamieni na drodze!

Parlament popełnił jednak fatalny błąd. Swe remonstracje sformułował jeszcze w lutym; po spokojnej odpowiedzi króla na nie przesłał je Ludwikowi ponownie dnia 8 marca z prośbą „aby je przeczytał osobiście”. Król się obraził; uznał, że parlament, podobnie jak to później określił jeden z antyturgotowskich pamfletów, widzi w nim manekina. A przecież o wszystkim decydował po głębokim namyśle i wedle własnego sumienia! Urażona miłość własna sprawiła, że postanowił złamać opór parlamentu za pomocą nowego *lit de justice*; zagustował w tej procedurze, która wystawiała mu, jak mniemał, świadectwo stanowczości. Nie przejął się tym, że większość ministrów była przeciwna zastosowaniu „łoża sprawiedliwości”, że oponował Mentor, Maurepas, że tylko Turgot i Malesherbes opowiedzieli się za stanowczym poskromieniem parlamentarnej opozycji.

A więc 12 marca – nowy *lit de justice*, w Wersalu, przy udziale książąt krwi. Nieprzyjemne wrażenie wywarł na Ludwiku fakt, że jego bracia, Provence i Artois, wotowali przeciw edyktom. Długi i zręczny referat rzecznika parlamentu Seguiera także – jak ocenili świadkowie – nadwątlił stanowisko króla. Zarządził przymusową rejestrację edyktów, ale wybąkał zdanie, że jeśli wynikną z nich jakieś kłopoty, to postara się im zaradzić.

Wydawało się, że Turgot zwyciężył i umocnił swój wpływ na króla. W istocie jednak szczeliny w zaufaniu Ludwika do Turgota znów się pogłębiły. I oto w szczeliny owe zaczęły się wdzierać gwałtownie oddziaływania dwojga ludzi mających codzienny dostęp do królewskiego ucha: Maurepasa i Marii Antoniny. Maurepas zaniepokoił się ogromnie

zwycięstwem, jakie Turgot odniósł nad nim w sprawie *lit de justice*. Wiedział, że ludzie przebakują, iż traci on wpływ na króla, a Turgot bierze górę. Zaczął subtelne intrygi: sugerował Ludwikowi, że pomysły Turgota są utopijne, a jego stosunek do monarchy wyzuty z lojalności i oddania. Maria Antonina już poprzednio nie nosiła Turgota w sercu. Jej niezyczliwość zmieniła się w zimną nienawiść na tle groteskowej i groźnej afery hrabiego de Guines, choiseulisty należącego do jej koterii. Jako ambasador w Londynie popełnił on całą serię gaf, głupstw i nieostrożności, narażających na szwank sojusz Francji z Hiszpanią oraz i tak trudne stosunki z Anglią. Turgot, rzecznik pokoju i rozsądku, wrażliwy na wszelkie ryzyko powikłań międzynarodowych, przyczynił się walcie do odwołania Guinesa z Londynu. Natomiast królowa, po spotkaniu z Choiseulem w Operze w dniu 9 lutego, zaangażowała się w obronę niefortunnego ambasadora. Zarazem sączyła do ucha króla sugestie, że Turgot pozbawia go popularności. Wzięty w dwa ognie Turgot tracił powoli resztki zaufania Ludwika XVI. Król, stanowczy w obliczu rewolty i arystokratyczno-parlamentarnej opozycji, uległ wciąż ponawianym presjom najbliższego otoczenia.

Do tego inna jeszcze niepomyślna dla Turgota okoliczność: w marcu Malesherbes zaczął się domagać natarczywie uwolnienia go z urzędu ministra. Administrowanie go nużyło, miał świadomość swej impotencji reformatorskiej, cierpiał też z powodu konfliktu, w jaki jego rządowe stanowisko go wpędziło ze środowiskiem parlamentarnym, z którego się wywodził. Po jego odejściu Turgot zostałby w Radzie sam, bez żadnego oparcia, wśród wrogości Maurepasa i Miromesnila, niezyczliwości pozostałych ministrów. Co gorsza, Maurepas zaproponował królowi na następcę Malesherbesa swego krewniaka, Amelota, który miał zasłużoną opinię koronnego durnia. Był to pomysł tak ekstrawagancki, że wolno podejrzewać wręcz prowokację: Maurepas mógł zrobić tę propozycję, by rozwścieczyć Turgota i spowodować jego gwałtowną reakcję.

Jeśli liczył na to, przewidywał trafnie. Turgot, dostrzegając chłód króla i nasilone manewry wrogów, zaczął bombardować Ludwika listami. Zachował się tylko jeden z nich, skopiowany przez księdza Veri, ostatni z całej serii. Pisany 30 kwietnia 1776 r., był długi, niespójny – miejscami płaczący, miejscami wręcz prowokacyjny – oraz zdumiewająco niezręczny. Stawiał Ludwika przed alternatywą: albo wyraźne poparcie dla Turgota, albo rezygnacja z jego służby w rządzie. Żalił się na „okrutne milczenie”, jakim król pokwitował jego wcześniejsze listy, stwierdzał dość impertynencko, że „nie pojmuje” postępowania Ludwika. Zapewniał, że pragnie zgody z Maurepasem, ale zarazem atakował go gwałtownie; ostro też oceniał innych ministrów. Veri miał rację, gdy mówił Turgotowi później, że oznaczało to w istocie ultimatum: „było rzeczą niemożliwą, by król mógł przyjąć pańskie opinie – po tym, co mu pan napisał o jego ministrach – nie zmieniając rządu. Zmusił go pan do dania panu dymisji, skoro [innych] ministrów pragnął zatrzymać”. Rzeczywiście: w niedzielę, 12 maja, Ludwik przyjął wreszcie dymisję Malesherbesa i kazał doręczyć rozkaz dymisji Turgotowi. Konserwatyści triumfowali.

Przy wszystkich swych niezręcznościach list Turgota był dokumentem

wielkiej politycznej przenikliwości. „Nie zapominaj nigdy, Sire, że to słabość położyła na pieńku głowę Karola I [Stuarta], że to słabość skłoniła do okrucieństw Karola IX... „ Ta aluzja do rewolucji angielskiej i do nocy św. Bartłomieja stawiała Ludwika XVI przed alternatywą: albo klęska w zderzeniu z rewolucją, albo kontrrewolucyjna tyrania. Turgot pisał w swym liście o zagęszczaniu się procesu historycznego, o przyspieszającym się rytmie wydarzeń. Przepowiadał „cały łańcuch słabości i nieszczęść, jeżeli podjęte plany [reformy] zostaną zarzucone”. Miał rację.

Mądry – ale dopiero po szkodzie – był też hrabia de Segur, gdy stwierdzał, że reformy Turgota miały szansę zapobiec rewolucji. Król nie zrozumiał wymiaru sprawy i nie chciał z szansy skorzystać. Uwierzył, że pomysły Turgota są utopijną, książkową fantazją. Veri pisał słusznie, że format umysłowy Ludwika XVI był za mały: „idee pewnej klasy przekraczały jego pojętność”. Nabrał on przekonania, że Turgot jest powszechnie niepopularny, a więc i jego pozbawia popularności wśród poddanych. Nie wiedział, że reformy Turgota mają solidne poparcie w Paryżu i na prowincji, wśród dobrze sytuowanych i wykształconych warstw średnich – burżuazji i inteligencji; że mają szansę znaleźć masowe poparcie chłopskich posiadaczy. Jakże zresztą miał o tym wiedzieć, skoro owe siły społeczne nie zdobyły żadnych instytucjonalnych form wyrażania swej opinii i wywierania nacisku na władzę? Poparcie „filozofów” dla Turgota było w oczach Ludwika XVI raczej antyprotekcją.

Izolowany od kraju w swej wersalskiej złotej klatce, teoretycznie wszechwładny (i wierzący w tę wszechmoc), Ludwik XVI poddawany był oddziaływaniom jedynych grup nacisku funkcjonujących w tamtym systemie: rodziny królewskiej, ministrów, dworskich koterii. Sprzysięgły się przeciw Turgotowi potężne interesy uprzywilejowanych: arystokracji i kleru, finansistów i dygnitarzy dworu.

Dobiły Turgota jego listy do króla. Wydały się one adresatowi próbą dyktatu, żądaniem dokonania wyboru między Turgotem a innymi ministrami. A dobór ministrów to przecież podstawowa prerogatywa Korony! „Pan Turgot chce być mną, a ja sobie nie życzę, aby on był mną” – orzekł król. Królewskie słowo honoru z sierpnia 1774 r. („zgadzam się z góry z wszystkimi pańskimi opiniami i będę zawsze pana popierał”) nie przetrwało dwu lat rozumnych i jakże ostrożnych reform. Niełaska Turgota była pierwszym, małym krokiem Ludwika XVI na drodze po równi pochylej. U jej kresu był szafot na placu Rewolucji.





III. RÓWNOWAGA



DYLEMAT AMERYKAŃSKI

Soulavie, obserwator i historyk tamtych zdarzeń, pisał dużo później o dwóch rewolucjach: w 1774 r. powrót parlamentu to „rewolucja przeciw partii despotycznej”, w 1776 r. niełaska Turgota stanowiłaby „rewolucję przeciwko partii rządów umiarkowanych”. W ten sposób Ludwikowi XVI udało się, na przestrzeni dwóch lat, zrazić do siebie i tych, którzy chcieli konserwować, i tych, którzy pragnęli reformować, i wielmożów, i filozofów, i przyjaciół monarchii absolutnej, i jej wrogów. Zostali ostatecznie przy królu jedynie płatni funkcjonariusze bez wyobraźni oraz „hermafrodyty bez charakteru”.

To ocena nadto uproszczona. Próba despotyzmu oświeconego wnet zostanie podjęta na nowo. Pierwsze miesiące po odejściu Turgota zdawały się wszakże taką opinię narzucać. Następcą Malesherbesa został bowiem Amelot, „hermafrodyta bez charakteru”. „Nikt nie powie, że tego wzięłem z powodu jego inteligencji” – żartował sobie dowcipny hrabia de Maurepas. Ksiądz Georgel pisał, że ten nieudacznik wiedział przynajmniej, iż jest nieudolny. W biurach ministerstwa dworu miał on głównego sekretarza, niejakiego Robineta, świetnego fachowca. Toteż refrenem Amelota stało się zdanie: „Proszę pójść do pana Robineta, on mi zda z tego sprawę”. Georgel dodawał melancholijnie, że podobnie było w innych ministerstwach; „tak oto utrwały się rządy biurokracji”.

Następstwo po Turgocie było równie niefortunne. Maurepas wybrał starego funkcjonariusza administracji prowincjonalnej, pana Clugny. Jegomość miał reputację szkaradną – mieszkał z trzema siostrami, z których zrobił swoje metresy, był chciwy bez żadnych skrupułów, nie miał większych talentów do rządzenia skarbem państwa. Clugny zaprzeczył wszakże tradycji, zgodnie z którą kontrolerzy generalni finansów nie umierali nigdy na swym stanowisku. Zmarł w październiku 1776 r., po kilku miesiącach złych i niesumiennych rządów. Bliski dworu finansista Augeard pisał, że gdyby Pan Bóg nie uwolnił Francji od Clugny’ego, „Stany Generalne przyszłyby 12 lat wcześniej”. Przed śmiercią Clugny zdążył, w sierpniu, zlikwidować za zgodą króla edykty Turgota. Nieco zreformowane szarwarki i cechy zostały przywrócone. Łatwo zgadnąć, jakie skutki to miało dla osłabienia autorytetu Ludwika XVI. Przed kilkoma zaledwie miesiącami król zdecydowanie poparł edykty lutowe, chwalił je, wymusił ich rejestrację na krnąbrnym parlamencie, a teraz wycofywał się z wszystkiego. Cóż sądzić o konsekwencji politycznej monarchy, o rozpoznaniu przezeń aktualnego stanu potrzeb społecznych?

Ale tymczasem nowa sytuacja coraz bardziej przesuwała zainteresowania Ludwika ze spraw wewnętrznych ku problemom międzynarodowym. To nad nimi król pracował najchętniej z Vergennesem i Maurepasem. Rzec nie tylko w osobistych zainteresowaniach Ludwika XVI. Niecałe dwa miesiące po upadku Turgota ogłoszona przecież została Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych! A stan zapalny w trzynastu koloniach brytyjskiej Ameryki trwał już od kilku lat i zaostrzał napięcia pomiędzy stolicami europejskimi. W Wersalu obawiano się, czy Anglicy po ewentualnej utracie swych kolonii północnoamerykańskich nie zechcą pocieszyć się francuskimi Antylami. Zastanawiano się, czy niepodległa Ameryka Północna nie stanie się także zagrożeniem dla posiadłości francuskich i dla kolonii sojuszniczej Hiszpanii. Nie brakowało poglądów, iż trzeba skorzystać ze sposobności i upokorzyć Anglików, wziąć na nich rewanż za porażkę w wojnie siedmioletniej.

Turgot, póki był u władzy, domagał się pomiarkowania. Wciągnięcie Francji w konflikt z Anglią stawiałoby przecież pod znakiem zapytania jego politykę oszczędności i reform wewnętrznych. Zdaniem Turgota, zadziwiająco przenikliwym, niepodległość kolonii – nie tylko brytyjskich! – jest nieunikniona; trzeba więc zgodzić się na sojusz z nimi, nie odrzucać myśli o końcu panowania politycznego nad społecznościami zależnymi. Rozsądek nakazuje nawet ofiarować im wolność z całą wielkodusznością, miast czekać, aż ją sobie wywalczą przy użyciu siły... Co się tyczy spraw amerykańskich, Turgot był przeciwny kosztownemu wysyłaniu okrętów do francuskich kolonii, powiększającemu tylko ryzyko konfliktu. Uzbierać należy własne wybrzeża – Anglicy boją się bowiem jedynie inwazji – a i to tylko w przypadku absolutnej konieczności.

Ludwik XVI i Vergennes także nie kwapili się do wojny, ale ich optyka była odmienna. Nie chcieli pozwolić – tu zgoda z Turgotem – by hiszpański aliant wciągnął Francję w konflikt z Anglikami dla obrony interesów kolonialnych Hiszpanii. Natomiast perspektywa wyzwania się kolonii na drodze buntu poddanych przeciw prawowitej władzy budziła ich głęboką niechęć. Amerykańskich „insurgentów” – słowo miało zabarwienie pejoratywne – traktowali jak wichrzycieli; obawiali się infekcji buntowniczych hasła. Za jakies najlepsze z możliwych rozwiązanie uważali długą, wyczerpującą obie strony walkę, z której tak Anglia, jak i zbuntowana Ameryka wyszłyby do cna osłabione.

Skoro jednak nie bardzo ufano w Wersalu sile oporu rebeliantów, należałoby zapobiec ich szybkiej klęsce, dostarczyć im broni i amunicji oraz zrobić to w taki sposób, by się nie skompromitować w oczach Anglików. Akurat się pojawił kandydat (niezbyt poważny, ale tym lepiej: nikt go nie weźmie serio) do roli dyskretnego agenta, zaopatrującego Amerykanów za pieniądze króla Francji. Był to mitoman i awanturnik, który przypadkiem dysponował też niezwykle talentem publicystycznym i literackim. Nazywał się Pierre-Augustin Caron; historia zna go pod nazwiskiem Beaumarchais.

Tak czy inaczej, zaostrzanie się międzynarodowych napięć zmuszało do skupienia uwagi na wojsku i na finansach państwa. Co się tyczy wojska, król i Maurepas postanowili zahamować reformatorski zapal Saint-

Germaina: nie było już w Wersalu przychylnego klimatu dla reform. Saint-Germain żalił się później, że mu zablokowano dobrze już przygotowane realizacje: utworzenie rady wojennej złożonej z najlepszych generałów, pod prezydencją księcia de Beauvau; reformę aprowizacji armii i wojskowych szpitali; zniesienie niepotrzebnych stanowisk sztabowych i nieuzasadnionych gratyfikacji oraz pensji... „Trzeba by wreszcie oduczyć ten naród od żądania pieniędzy za to, że się wykonało swój obowiązek” – mówił Saint-Germain Croyowi. Bardzo się to nie podobało dworskiej elicie wojskowej.

Nie usunięto Saint-Germaina od razu; król go lubił za wdzięk, kostyczny dowcip, dworską uległość. Przydano mu więc wprzód zastępcę (i „następcę tronu”, jak mówił Maurepas) w osobie miernego, lecz zaciekle konserwatywnego księcia de Montbarey, protegowanego żony Maurepasa. Chciwy i różny Montbarey „nie kochał bynajmniej pracy, nie umiał opierać się natarczywym żądaniom dam i pozwalał, by nim rządziły jego biura”. Saint-Germain wegetował jeszcze na urzędzie dość długo, do września 1777 r. Po dymisji zostało mu tylko kilka miesięcy życia. Sposób, w jaki likwidowano jego reformy, jest znamieny dla mentalności Ludwika XVI. Oto relacja Montbareya: „Król dał mi na piśmie upoważnienie do powolnego likwidowania pomniejszych zmian zrobionych przez mego poprzednika... których sukcesywnie i rozważnie zarządzane niweczenie nie mogło wywoływać żadnej sensacji”. Pozostałe innowacje, które należało zniszczyć, król odłożył na potem, ponieważ ich zmiana „mogłaby wywołać sensację i wpłynąć na powstanie opinii, iż zmienia się ogólne zasady administrowania, co by też przyniosło może jakąś utratę zaufania”. Reformy Turgota zostały zlikwidowane natychmiast po jego upadku, bo nie przyniosły żadnych zmian w praktyce (m.in. wskutek ich sabotowania przez królewską biurokrację). Reformy Saint-Germaina weszły już w życie i w stosunku do nich Ludwik nakazał działanie powolne, stopniowe. Konserwatysta jest zawsze ostrożny, gdy przychodzi do rujnowania tego, co się już legitymuje istnieniem.

Perspektywa wojny skłania jednak do zadbania przede wszystkim o finanse państwa. Clugny zmarł w samą porę, nim zdołał upowszechnić znowu – po oszczędnych czasach Turgota – najgorsze przejawy protekcjonizmu. Veri konstatawał, że ów zwrot powiększał „odrazę do monarchii”, że zuchwały ton dyskusji go zdumiewał. Gdy Sartines rozmawiał z jakąś damą o szansach utrzymania się któregoś ministra, otrzymał pytanie: „A Ludwik XVI, czy się tu utrzyma jeszcze za dwa lata?” Te nastroje, wyjaśniał dalej Veri, biorą się stąd, że „w miejsce reform ludzie widzą odradzanie się nadużyć i rozrzutności – prezentów, zwiększonych wydatków – a także przeciętność talentów u części ministrów, brak uczciwości u innych”.

Na miejsce szefa finansów po Clugnym Maurepas chciał wziąć swego doradcę finansowego, Augearda, ale ten odmówił. Wówczas król i jego główny minister zwrócili się ku osobie genewczyka z pochodzenia, Jakuba Neckera. Bankiera, a więc nieszlachcica, i protestanta, a więc heretyka. Można w tym dojrzeć nader nieoczekiwaną szerokość spojrzenia Ludwika XVI. Zapewne jednak protestant Necker nie był w opinii króla gorszy od

niedowiarka Turgota, któremu Ludwik miał za złe, że „nie chodzi na mszę”. Gdy jakiś arcybiskup żalił się na tę promocję heretyka, Maurepas miał mu odrzec: „Oddam go panu, jeśli zechce pan zapłacić długi państwa!” To jednak tylko *bon mot*, gdyż nie o długi chodziło. Skarb był w niezłej sytuacji, chodziło nie o obciążenia z przeszłości, lecz o ryzyko, które niosła brzemenna wojną przyszłość. Gdzież szukać zabezpieczeń w takiej koniunkturze, jeśli nie u najbogatszych? Tuż po objęciu finansów państwa przez Neckera giełda zareagowała miłą królowi zwyżką państwowych papierów.

Necker ma 44 lata; zrobił kolosalną fortunę w Paryżu, w protestanckim banku Vernet i Thelussona. Od czterech lat już nie ugania się za fortuną. Kupił pałacyk zbudowany dla pani de Pompadour tuż pod Paryżem, w Saint-Ouen; Madame Necker, eks-nauczycielka, trzyma tu salon gromadzący w piątki filozofów, publicystów, dyplomatów... Necker również ma ambicje pisarskie, ale ten świetny bankier, niezrównany w taktyce gry finansowej, z pewnością nie jest „filozofem” jak Turgot czy Malesherbes. Necker nie ma gruntownego wykształcenia, kiepsko zna historię Francji i jej ustrojowe instytucje. Jest empirykiem wrażliwym na realia ekonomiczne i społeczne, natomiast nie ufa rozważaniom abstrakcyjnym i ogólnym aksjomatom. Będzie miał ambicje reformatorskie, ale nie wynikające z jakiegoś „systemu”: Necker sądzi, że więcej prawdy jest w opiniach powszechnych niż w nowatorskich systemach.

Ironiczny, powściągliwy, dość niezręczny w stosunkach z ludźmi – nawet z tymi, na których mu zależy – Necker krył pod maską spokoju niecierpliwość i wrażliwość. Wydarzenia niespodziewane zbijają go z tropu: może dlatego, że był tak bardzo pewny siebie i swoich racji, swoich umiejętności perswazyjnych. Teraz udało mu się przekonać Maurepasa, że zachowa wobec niego pełną lojalność, oddanie, szacunek i szczerość. Publicysta Mallet du Pan notuje jednak krążące po Paryżu *bon mot*: Maurepas, który wziął do rządu Neckera, „zginie na mocy prawa Mojżesza, które głosi, że nie wolno zaprzęgać razem wołu i osła”. To prawda, że Necker miał pracowitość wołu.

Król zaakceptował bez oporu jego kandydaturę. Przygotował go do tej decyzji niejaki markiz du Pezay, z którym Ludwik XVI korespondował poufnie już od dłuższego czasu: wypadnie wrócić do owej korespondencji, bo jest ona ważna dla obrazu osobowości króla. Pezay powiązany był z Neckerm i bardzo go popierał.

Przy całej życzliwości dla Neckera rządzący nie mogli się jednak zdecydować na to, by heretyka wziąć do Rady królewskiej na pełnoprawnego ministra: członek Rady składał przecież zawsze uroczystą katolicką przysięgę! Toteż kontrolerem generalnym finansów został pan Taboureau des Reaux, którego zresztą wskazał sam Necker. W jego cieniu Necker rządził *de facto* finansami aż do wiosny 1777 r., gdy Taboureau, znużony rolą figuranta, złożył dymisję. Nastąpił teraz koniec formalnej dwuwładzy. Necker otrzymał tytuł dyrektora generalnego finansów – ciągle bez wstępu do Rady ani nawet do ministerialnych komitetów – i zaczął energicznie projektować reformy. Ludwik XVI upatrywał w nim wszelako nie polityka

mającego odnowić ustrój monarchii, lecz czarodzieja finansów, który by gromadził środki na wielkie zbrojenia w armii i flocie bez drastycznego powiększenia podatków. Co się zresztą Neckerowi całkowicie udało.

Do wojny było jednak jeszcze daleko. Król nie palił się do żadnych gwałtownych gestów, nie nęciła go też perspektywa popierania buntowników ogłaszających tak rewolucyjne teksty, jak Deklaracja Niepodległości. W listopadzie 1776 r. ordonans policyjny zabronił rozmów o Ameryce w paryskich kawiarniach! W grudniu, po energicznej interwencji angielskiego ambasadora lorda Stormonta, król wyda rozkaz zatrzymania statków z bronią, które Beaumarchais przygotował już do odplynięcia z Le Havre do Ameryki. Gdy wiosną 1777 r. markiz de La Fayette, dwudziestoletni postrzeleniec, opuści Paryż, by na własny koszt z małą grupką ludzi udać się na pomoc Amerykanom – zrobi to wbrew oficjalnym zakazom.

Ale w listopadzie i grudniu 1776 r. przybyli do Paryża wysłannicy Amerykanów: Silas Deane i wnet po nim wielki Benjamin Franklin. Nie bez wahań i zakłopotania Vergennes zacznie z nimi poufne rozmowy. Cały rok 1777 upłynie na zastanawianiu się, czy należy przyjąć alians, oferowany przez Franklina w imieniu amerykańskiego Kongresu.

Obawiano się w Wersalu, że Anglicy mogą się pogodzić z Amerykanami za cenę zagrabienia i oddania Północnej Ameryce francuskich wysp: przy takiej koniunkturze byłyby one nie do obrony. Czy więc alians z „buntownikami” nie stałby się skuteczną protekcją dla francuskich Antyli? A dalej, czy nie przydałby się Francji nowy, amerykański sojusznik, skoro z innymi są same kłopoty? Tradycyjni alianci Francji słabli właśnie wyraźnie, tak Polska i Turcja, jak nawet Szwecja. Austria to dla Ludwika XVI i Vergennesa sojusznik mocno kłopotliwy, bo pragnący wciągnąć Francję w wir swych interesów i roszczeń. Także inny, najbliższy sojusznik – bourbońska Hiszpania – popycha rząd w Wersalu do konfliktu z Anglią w imię swych własnych interesów zamorskich, zresztą bez najmniejszych intencji wspierania amerykańskich buntowników.

Te zawile problemy międzynarodowe są jeszcze dodatkowo komplikowane przez wersalskie sympatie i antypatie. Ponieważ Austria pragnęłaby rewanżu na Prusach, a nie konfliktu z Anglią, więc i Maria Antonina ujawnia życzliwość dla Anglików w ogóle, lorda Stormonta w szczególności. Młodsza linia Bourbonów, Orleanowie (książę Orleanu i jego syn, książę de Chartres), to także anglomani; filozofujący Paryż ma wyraźnie anglofilskie usposobienie. Wszystko to skłaniałoby Ludwika do konfliktu z Anglikami: cóż to za świetna sposobność, by potwierdzić dystans wobec Austriaków, pokazać królowej, iż nie ma wpływu na polityczne decyzje, utrzyć nosa Orleanom i filozofom! Ludwik XVI nie cierpi, gdy się wychwala angielską konstytucję: rad byłby upokorzyć ten konstytucyjny ustrój oraz jego francuskich wielbicieli.

Oczywiście nie ma w Wersalu mowy o „zniszczeniu” Anglii czy choćby o przekreśleniu klęski w wojnie siedmioletniej, to znaczy odzyskaniu Kanady. Ludwik XVI nie jest zwolennikiem wojen zaborczych, terytorialnych zdobyczy, budowania imperium kolonialnego. Feudalna monarchia z Bożej łaski nie jest przecież powołana do szczególnej dbałości o interesy

burżuazyjne. Wystarczy, jeśli zatroszczy się o Antyle, na których ulokowane zostały ogromne interesy francuskiej arystokracji (w plantacjach i handlu kolonialnym). Ludwik XVI bardzo dbał, owszem, o rozbudowę floty wojennej. Ale jego ministrowie marynarki – jak pisał świetny fachowiec Malouet – „starając się podźwignąć budowlę, nie zadbali o umocnienie jej fundamentów, którymi są nawigacja handlowa, rybołówstwo i kabotaż, ani o ich skuteczną ochronę”.

Co się tyczy Anglii, nie chodziło więc o zdobycze kolonialne jej kosztem, lecz o podcięcie jej siły, jej handlu, jej zasobów. To by oznaczało ów rewanż za wojnę siedmioletnią, powrót do równowagi w rywalizacji morskiej, upokorzenie antypatycznego angielskiego ustroju i niemilej Ludwikowi XVI angielskiej cywilizacji. I tyle.

Perspektywa konfliktu spowodowała poruszenie na szczytach rządu, niepokoje, spory i intrygi. Maurepas sprzeciwiał się wojnie: tłumaczył, że jest ona zawsze plagą dla ludu, że jej wynik jest niepewny, bo Francji brakuje solidnych finansów i dobrych generałów. Prywatnie uzupełniał tę argumentację ostrą krytyką słabości króla. „Deformuje się on z każdym dniem zamiast się rozwijać – mówił Veriemu. – Chciałem, by własnym wysiłkiem stał się człowiekiem; kilka początkowych sukcesów dało mi taką nadzieję, ale teraz wydarzenia dowodzą, że dzieje się wprost przeciwnie... Często mi się on wymyka w rezultacie niezdecydowanego milczenia w ważnych sprawach oraz niepojętej słabości dla żony, braci i całego otoczenia”. Jakże w tej sytuacji myśleć o wojnie?

Również Montbarey torpedował jak mógł wojenne projekty. Było to dość niezwykle widowisko: minister wojny, który opędział się od myśli o zbrojnym konflikcie jak diabeł od święconej wody. Sprzeciwiał się nawet pomocy zbrojnej dla Amerykanów przy pomocy awanturników w rodzaju Beaumarchais'go: twierdził, że są to niskie chwytły niegodne szanującej się monarchii. Przede wszystkim jednak mierziło go popieranie rewolty, z pogardą się wypowiadał o rewolucyjnym usposobieniu „francuskich awanturników i żółtodziobów”, którzy pojechali za Ocean bronić wolności Amerykanów. „Być może należałoby sobie życzyć, byśmy ich tu nigdy nie widzieli z powrotem” – twierdził, i dodawał: „Wielu mych kolegów zdumiewało się widząc, że minister wojny przemawia na rzecz pokoju... [ale] mój sposób argumentowania w Radzie podobał się królowi”. I jeszcze dalej: „Miałem po mojej stronie wewnętrzne przeświadczenie króla a... w istocie i pan de Maurepas podzielał moje zdanie”. Toteż umacnianie sił obronnych na francuskich Antylach oraz rozmowy z Franklinem przewlekały się niepomiernie.



SPRAWY RODZINNE

Dnia 18 kwietnia 1777 r. w prowadzonym przez Niemca, pana Schmellinga, hotelu de Treville – w Paryżu, niedaleko pałacu luksemburskiego – zatrzymał się hrabia Falkenstein. Mieszczkański strój pana hrabiego nie pasował do jego tytułu. Co więcej, incognito niemieckiego gościa kryło rodzzonego brata Marii Antoniny, cesarza Józefa

II. Stał w zwykłym hotelu, odmówił apartamentów w Wersalu czy nawet u siostry, w Petit Trianon. Chciał „sam płacić za swoje wydatki”. Ta prostota mieszkania i ubioru spodobała się Francuzom: mieszczaństwu schlebiał swym brązowym strojem podróżnym i oszczędnością, arystokracja lubiła przebieranki i maskarady, lud uznał, że to dobra lekcja skromności dla rozrzutnych gospodarzy Wersalu.

Wizyta cesarza ma cele polityczne – chodzi o ożywienie niezbyt gorącego aliansu Wiednia z Wersalem – oraz rodzinne. Ale owe cele rodzinne mają także ogromne polityczne znaczenie. Józef II ma dopomóc zbliżeniu małżeńskiemu Ludwika XVI i Marii Antoniny, wyjaśnić przyczyny bezdzietności małżonków, poradzić coś szwagrowi jak mężczyzna mężczyźnie. Józef jest starszy od Ludwika o trzynaście lat.

Brak sukcesji tronu osłabia oczywiście ogromnie pozycję Marii Antoniny. Dość niedyskretnie zrzuca ona na męża winę za brak potomstwa, ale niesłusznie oskarża go o impotencję. Cała ta żalosna historia była oczywiście przedmiotem żartów, szyderstw i komentarzy. Pani Campan opisywała dużo później, w liście do syna, całą górę piernatów i materaców oddzielających króla od królowej w ich wielkim łóżu, co prowokowało „sarkazmy lokajów przychodzących słać łóżko”. W końcu 1776 r. jakiś księżulo koniecznie chciał dostać się do króla, by go nauczyć pozycji gwarantującej spłodzenie potomka. Złośliwe wierszyki wyliczały różne możliwe przyczyny niepowodzeń małżeńskich Ludwika.

Józef II będzie umiał o tym rozmawiać z siostrą i szwagrem. 36-letni cesarz rzymsko-niemiecki nie grzeszy ani pruderią, ani nieśmiałością. Siedzi w nim niemały kawał pozera i awanturnika, jest ambitny i egocentryczny, pod maską skromnej prostoty kryje wielki ładunek pychy. Ale na pewno nie można mu zarzucać głupoty. W kilku precyzyjnych zdaniach potrafił dać bezlitosne charakterystyki całej francuskiej rodziny królewskiej i poddać krytyce wersalski system rządowy. Warto będzie wrócić do jego ocen. Zacytujmy na razie krótki fragment z dzienników księdza Veri. Cesarz rozmawiał z nim długo; radził rozruszać Ludwika częstą konwersacją w gronie inteligentnych ludzi: „Można mieć całą bibliotekę w głowie, ale nie będzie z tego korzyści bez pomocy tego zderzania się idei, jakie daje konwersacja”.

O Maurepasie Józef II wyrażał się pobłaźliwie jako o miernym ministrze, dopasowanym wszakże do charakteru króla. Zabawne, że Maurepas w tym samym czasie podobnie oceniał przed księdzem Veri Vergennesa: „To nie jest człowiek wielkiego talentu, ale wydaje się, że właśnie takiego królowi potrzeba. Człowiek inteligentny wprawiałby go może w ambaras”. Obaj, i cesarz, i Maurepas, mieli chyba rację.

Józef II jest despotą dowcipnym. Zapytany przez pewną francuską damę, co sądzi o insurekcji amerykańskiej, da odpowiedź, którą powtarzano sobie z zachwytem: „Madame, jestem rojalistą, to jest mój zawód”. Jest też ciekawy ludzi i świata: jego pobyt we Francji to nieustające kontakty z tymi, których warto widzieć i zwiedzanie miejsc, które warto obejrzeć. Anonimowe biuletyny o życiu dworu i miasta, Wersalu i Paryża, które słały były sekretnie do Warszawy czy też do Petersburga – źródło dobrze poinformowane i poważne – notują taką oto wymianę zdań między

Józefem II i Ludwikiem XVI: „Ma pan najpiękniejszą budowlę w Europie! – Jaką to? – Inwalidów. – Tak mówią. – Jakże, nie zwiedzał pan jeszcze tego gmachu? – Ma foi, nie!” Dopiero po jedenastu latach Ludwik zdecyduje się sprawdzić, czy jego szwagier miał rację i odwiedzi kościół Inwalidów. Aktywność i ciekawość świata, demonstrowane manifestacyjnie przez Józefa, są dokładnym przeciwieństwem apatycznej ocieężałości Ludwika. Jeśli nie liczyć wędrowania po królewskich pałacach – Choisy, Muette, Compiègne, Fontainebleau, Saint-Cloud – i koronacyjnej podróży do Reims, Ludwik XVI raz tylko wyjedzie w dalszą drogę – w 1786 r. do Cherbourg. Po rewolucji będzie jeszcze niefortunna próba ucieczki z Paryża ku wschodniej granicy, zakończona żałośnie w Varennes. I to wszystko.

Józef II odwiedza tymczasem frenetycznie zabytki i manufaktury, koszary i szkoły wojskowe, Akademię Nauk i Instytut Głuchoniemych. Później obejrzy jeszcze wielki kawał francuskiej prowincji. Pod względem turystycznym i poznawczym jego podróż jest niezwykle udana. Politycznie jest mniejszym sukcesem. Ludwik nie dał się rozruszać: zachęcany, by umacniał monarchię pokazując się ludowi, podróżując po prowincjach – replikował, że to jego młodsi bracia mają utrzymywać kontakt z prowincjami. Zabawny szczegół: okazało się, że hrabia Artois zabiera ze sobą w podróż sto koni, a cesarz tylko trzydzieści. „Ależ, Sire – rzekł Józef – gdy ja podróżuję, jestem tylko hrabią von Falkenstein!” Sojusz francusko-austriacki nie wzmacni się wskutek tej wizyty – i wnet się to dowodnie okaże. Umocni się natomiast pozycja Marii Antoniny. Dobre rady cesarza pomogły, małżeństwo Ludwika XVI zostanie wreszcie skonsumowane. Opowieści o operacji, jakiej Ludwik miał się rzekomo poddać w tym celu, są kompletnym wymysłem: wystarczyła braterska rozmowa Józefa z królową, skłaniająca ją do większej gorliwości i czułości, oraz męskie porady Józefa dla króla. Bo główną przyczyną dotychczasowych niepowodzeń była niezręczność małżonków, a także ich niska kultura seksualna, brak wiedzy w tej materii, wreszcie chłodny temperament obojga. Prócz szczegółowych wskazówek cesarz dał im prostą a doskonałą radę: nie podejmować prób współżycia wieczorem, gdy Ludwik był już bardzo senny, a jego żona śpieszyła się, by dołączyć do wesołego grona przyjaciół. Popołudnie – oto najlepsza pora.

W końcu lipca 1777 Maria Antonina doniosła wreszcie matce, że jej małżeństwo zostało dopełnione i ma nadzieję na rychłą ciążę. Czas był najwyższy. Zjadliwe wierszyki i obrzydliwe paszkwile – takie, jak niedawno puszczony w obieg, zatytułowany *Kokietka i impotent* – oburzały rojalistów i ludzi dobrze wychowanych, ale jednak wpływały na opinię, obniżały wciąż prestiż króla.

Józef II mniej miał szczęścia w swych usiłowaniach nawrócenia siostry na skromność, oszczędność, dyskrecję. Beształ ją bardzo stanowczo za jej maniery wyniosłe, szydercze, czasem wręcz wulgarne; za to, że nie okazywała należnych względów nawet królowi. Oburzał się na rosnące długi Marii Antoniny, które Ludwik musiał spłacać, a które brały się głównie z nieopanowanego gustu do klejnotów oraz z hazardownej gry. Klan królowej zagustował w bardzo ostrej, wysokiej grze. Landsknecht i faraon

pełniły wówczas obowiązki współczesnego pokera: można było w tych grach stracić niemałą fortunę i Maria Antonina z owej możliwości korzystała. W początku 1777 r. musiała się przyznać mężowi do długów w wysokości pół miliona liwrów! „Publiczność jest zgorszona tym, że w Wersalu uprawia się otwarcie gry, których ustawy królewskie zakazują wszędzie” – pisał Veri. I dodawał, że Maurepas ostro za to ganił króla: „ten tylko spuścił głowę, poczerwieniał i nie rzekł ani słowa. Cóż mogę zrobić więcej? – powiedział mi pan de Maurepas”. Zupełnie to samo mógłby powiedzieć Józef II. Na odjeźdnym, by wzmocnić i utrwalić efekt swoich kazań, zostawił Marii Antoninie długą instrukcję na piśmie: jak ma postępować żona Ludwika XVI i jak ma się zachowywać królowa Francji. Nie, nie pomogło.



WOJNA

Sprawa Amerykanów była popularna w tej części francuskiej opinii – ludowej, burżuazyjnej, inteligenckiej, liberalno-szlacheckiej – która nie ceniła sobie pokory wobec królewskiej samowoli. Wśród elity oświeconych niemało dla owej popularności zdziałał mędrzec z Nowego Świata, Franklin, ozdoba niemal wszystkich liczących się salonów, tak mieszczańskich jak arystokratycznych.

Łatwiej mu było znaleźć wspólny język z poddanymi Ludwika XVI niż z jego ministrem spraw zagranicznych. Negocjacje przeciągały się nie tylko wskutek nieufności Wersalu do rebeliantów, ale i niepewności, czy Francja nie angażuje się w sprawę już przegraną. Z Ameryki dochodziły ciągle wiadomości o klęskach insurgentów; twardogłowi rojaliści szydzili sobie ze zbuntowanej hołoty, niezdolnej stawić czoła prawdziwym, królewskim żołnierzom, i z operetkowego generała Waszyngtona. We wrześniu 1777 r. stracona została stolica insurekcji, Filadelfia. Dopiero w październiku świetne zwycięstwo Amerykanów pod Saratogą, odwróciło fatalny bieg wydarzeń i skłoniło Vergennesa do przyspieszenia rozmów w sprawie uznania Stanów Zjednoczonych przez Francję.

Ogromnym utrudnieniem w negocjacjach było stanowisko kapryśnego sojusznika, Hiszpanii. Z początku Madryt energicznie popychał Francuzów do wojny z Anglią. Teraz, w 1777 r., wahał się i grymasił: ujawniał wielką nieufność do Francuzów i ogromną do Amerykanów. Traktat francusko-amerykański będzie zatem faktem dokonany, przed którym Ludwik XVI i Vergennes zdecydują się postawić Hiszpanów.

Porozumieniu z Amerykanami sprzyjały działania Anglików. Wiedzieli oczywiście, że Francja po cichu wspiera rebelię bronią i amunicją; zaczęli zatrzymywać i kontrolować statki francuskie na pełnym morzu, ambasador Stormont zaś pytał z oburzeniem, czy Francja pomaga Amerykanom. Dostał od Vergennesa słodkawą odpowiedź, że Francja broni zasady wolności handlu dla wszystkich narodów. W lipcu 1777 r. Stormont dopytywał się znów, co oznaczają wojskowe posiłki dla francuskich Antyli. Vergennes mu replikował, że przecież to angielskie gazety rozpisują się o ewentualnym podboju francuskich wysp, jeśli nie uda się odzyskać kontroli

nad Północną Ameryką. Francuska opinia oburzała się na bezczelność Stormonta: czy ambasador uważa się za prokonsula? Czy chce dyktować Francji jej politykę i kierunki jej handlu?

Ludwik XVI staje więc, pod koniec 1777 r., przed koniecznością wyboru. Aby ów wybór przyśpieszyć, ponoć „przetłumaczono mu zawartość kilku [angielskich] gazet, które pozwoliły sobie odmalować złośliwe portrety jego żony, braci i jego samego”. To prawda, że w Londynie drukowano paskudne paszkwile na Marię Antoninę i jej koterię. Królowa zmusza męża, by wykupywał nakłady za pieniądze skarbu.

Ludwik jest wrażliwy na reputację swej żony, ale nie na interesy jej habsburskiej rodziny. W listopadzie 1777 r. bezzwrotna śmierć elektora Bawarii, Maksymiliana Józefa, wywołała wielkie poruszenie w Niemczech i widmo wojny europejskiej. Tron bawarski należy się prawnie księciu palatynowi reńskiego, jednakże cesarz Józef II zgłasza także roszczenia spadkowe do Bawarii. Jego aspiracje grożą tak olbrzymią zmianą w niemieckim układzie sił, że stary Fryderyk II reaguje natychmiast: Prusy nigdy się nie zgodzą na włączenie Bawarii do posiadłości habsburskich. Ale Józef II od lat prześladuje myśl o rewanzu na Prusach; groźby wojny bynajmniej go nie przerażają.

Ministrowie Ludwika XVI przeżyli dni niepokoju: bali się nacisków na króla ze strony Marii Antoniny, podżeganej przez Choiseula. Król ogłosił jednak szybko, że nie zamierza się mieszać do spraw niemieckich. Postąpił nad wyraz słusznie, choć niezbyt dyplomatycznie. Ksiądz Veri nie bez słuszności stwierdzał, że takie rzeczy mówi, się swym sojusznikom na ucho, a nie trąbi na całą Europę tak, by usłyszeli również ich wrogowie.

Od początku 1778 r. marsz ku wojnie przyśpieszył się. W paryskim pałacyku ministerstwa spraw zagranicznych, na *quai des Theatins*, podpisany został 8 lutego traktat o przyjaźni i handlu pomiędzy Francją i Stanami Zjednoczonymi Ameryki. 20 marca – wydarzenie, które poruszyło cały dwór: Ludwik XVI przyjmuje w Wersalu przedstawicieli USA, Beniamina Franklina, Silasa Deane i Arthura Lee. Franklin płacze ze wzruszenia; wśród dworskiej gali wygląda egzotycznie, bo jest bez peruki, z piękną siwą czupryną, w ascetycznym kwakerskim stroju: okrągły kapelusz, surdut z brązowego sukna. Ale audiencja królewska była zdawkowa. Wojna, ku której Ludwik XVI kroczy, to konflikt z Anglią, a nie obrona amerykańskich republikanów.

Nazajutrz po audiencji lord Stormont zapowiada swój wyjazd z Francji. Nie, to jeszcze nie wypowiedzenie wojny. Obie strony przymierzają się tylko do nowej, konfliktowej sytuacji. Francuzi muszą jeszcze wyjaśnić stanowisko hiszpańskiego alianta. Ponadto Ludwik ma skrupuły sumienia: nie chce brać na siebie odpowiedzialności za rozpętanie wojny. Obowiązuje ciągle słynna formuła, użyta przed trzydziestu z górą laty w bitwie pod Fontenoy: „Panowie Anglicy, zechciejcie strzelać pierwsi”.

Zechcieli. 22 czerwca 1778 r. do Wersalu przybyli jednocześnie trzech kuryerzy z ważnymi wiadomościami. Hiszpański aliant zdecydował się wreszcie na udział w konflikcie; flota francuska pod admirałem d'Estaing wyruszyła szczęśliwie w drogę prosto do Ameryki; francuska fregata „La Belle Poule” została zaatakowana przez Anglików: broniła się dzielnie, poniosła

duże straty. To już wojna. Francuzi – pisał hrabia d'Allonville – podtrzymali amerykańskich buntowników „jako wrogów naszych wrogów i w nadziei doczekania się, że nasza ojczyzna odzyska blask, którego jej pozbawiła wojna siedmioletnia”. Konflikt z Anglikami był „bez nienawiści”, a pomoc dla insurgentów amerykańskich – „bez republikanizmu”.

Ludwik XVI jest teraz bardziej aktywny i zdecydowany. To nie tylko perspektywa wojny mobilizuje jego energię. Veri ma rację, gdy twierdzi, że to rozpoczęcie normalnego pożycia małżeńskiego dało mu więcej pewności siebie, pomniejszyło jego nieśmiałość i zahamowania. Wiosną 1778 r. Maria Antonina ma już pewność: jest w ciąży. Ludwik – to znów relacja księdza Veri – „nie ma najmniejszego pojęcia o ludowym podejrzeniu, że dziecko nie jest jego”. Gdy na Radzie czytano depezę ze Sztokholmu, zawierającą pogłoskę, iż króla Gustawa zastępuje przy królowej koniuszy i on jest ojcem dziecka, które ma się wnet urodzić, „członkowie Rady... nie mogli się powstrzymać, by nie spojrzeć na króla. Zauważyli – po wesołości, z jaką żartował na temat tej nowiny – że zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze złośliwych plotek, krążących po Paryżu i Wersalu”. Plotki przypisywały ojcostwo dziecka Marii Antoniny także królewskiemu koniuszemu, diukowi de Coigny. Były najzupełniej fałszywe.

Cytowane już sekretne biuletyny z Wersalu i Paryża konstatują w kwietniu 1778 r., że od pewnego czasu „król ma odwagę chcieć wszystko wiedzieć i wszystkiego doglądać... Gdyby w tym momencie zabrakło Mentora [sc. Maurepasa], przypuszczalnie jego miejsce nie zostałoby obsadzone”. A w lipcu to samo źródło podaje, iż król namawia Marię Antoninę, by się zajmowała rozrywkami, pozwala jej też wydawać ile tylko zechce: „zakazuje jednak władczyni mieszać się do spraw państwa”. Ta stanowczość jest bardzo na czasie, bo konflikt wokół sukcesji bawarskiej przerodził się w wojnę prusko-austriacką – na szczęście dość niemrawą – gdy w początku lipca wojska Fryderyka II weszły na terytorium habsburskie, do Czech.

Maria Antonina próbowała wykorzystać swój alians z Maurepasem, aby go skłonić do zaangażowania Francji po stronie Austriaków. Daremnie. Mentor groził dymisją, gdyby król się zdecydował podjąć wojnę na dwa fronty. Maria Antonina nigdy nie wybaczy Maurepasowi jego „wykrętów” w tej sprawie („tym razem rzecz się już staje zbyt poważna i nie życzę sobie więcej ponosić podobnych porażek”). Także Ludwikowi urządziła sceny płaczu i kryzysu nerwów; król potrafi nawet uronić łzę nad jej strapieniem, ale replika jest stanowcza: „Uczyniłbym absolutnie wszystko, aby ukoić Pani ból... ale dobro królestwa nie pozwala mi zrobić [w tej sprawie] więcej, niż zrobiłem”.

Tak więc królowa musi się pocieszać zaspokajaniem prywatnych zachcianek. No, nie wszystkich. Oto w lutym 1778 r. sensacją Paryża jest przyjazd Woltera z jego wielkopańskiego ustronia w Ferney. To ostatnia podróż filozofa, nie wróci już do Ferney i umrze w Paryżu pod koniec maja. Pretekstem wojażu była chęć zobaczenia własnej sztuki, *Ireny*, na scenie Comedie-Française. Maria Antonina zaszczyciła przedstawienie, bardzo tragiczne i okropnie nudne. Chętnie by też przyjęła autora na audiencji, ale Ludwik daje jej wyraźnie do zrozumienia, że nie ma o tym

mowy. Oto dyskurs króla z dworakami: „Ach, ach, pan de Voltaire jest w Paryżu, to prawda, ale jest tu bez mego pozwolenia!” – „Ależ, Sire, on nigdy nie był przecież wygnany”. – „To możliwe, jednak wiem, co chcę powiedzieć, ani słowa więcej!”

Lato 1778 r. było wyjątkowo upalne. Dwór – dla oszczędności, jest przecież wojna – nie wyjechał jak zwykle do Compiègne i smażył się w dusznym Wersalu. Maria Antonina, w zaawansowanej ciąży, źle znosiła upały. Wychodziła późnym wieczorem i nocą na taras pałacowy, zawsze z członkami rodziny królewskiej, ale bez króla, smacznie już śpiącego. W słomkowym kapeluszu, w sukni z białego perkalu i gęstej woalce udawała, że zachowuje incognito. Oczywiście park wersalski, otwarty dla publiczności, zaroił się natychmiast. Od czasu do czasu zdarzało się, że jakiś spacerowicz siadał obok królowej; miały nawet miejsce próby nawiązania rozmowy. Madame Campan pisze, że królowa chętnie rozmawiała z jakimś młodym urzędnikiem ministerialnym; zmroził ją dopiero gwardzista hrabiego Prowansji, który ośmielił się na ławce tarasu prosić ją o jakąś tam łaskę („miał czelność przemówić do niej”). Paszkwilanci pochwycili nową okazję, by wypisywać androny o „nocnych orgiach” w wersalskim parku, o królowej zanurzającej się w parkowych zaroślach. Wszystko to nie jest warte funta kłaków.

Równie fałszywe, lecz znacznie niebezpieczniejsze były gadania o intymnych stosunkach Marii Antoniny z diukiem de Coigny, a nawet z jej młodym szwagrem hrabią Artois. O diuku de Coigny pisał w swoich pamiętnikach hrabia de Tilly, że „wycofał się pierwszy z tej intymności, która budziła jego lęk... bez wątpienia nie docenił najwyższego szczęścia, które doń przyszło w jesieni życia”. „Jesień życia” oznacza w tym przypadku lat czterdzieści. Tilly pisał o cudzołóstwach królowej z Coignym jak o czymś, co mu było świetnie znane: pełnił przecież obowiązki paza królowej. Ale w tamtym czasie miał dokładnie czternaście lat! Jeszcze mniej sensu w podejrzeniach, że królowa sypiała z hrabią Artois: ten postrzeleniec był niezłym kompanem jej zabaw, nie przepadała jednak za nim zbyt. Jej późniejsza wielka miłość pojawiła się już w Wersalu, po raz drugi zresztą, po czteroletniej nieobecności we Francji. To 23-letni, bardzo piękny Szwed, hrabia Axel Fersen. Ale przyjechał w sierpniu 1778 r. i królowa dopiero przyglądała mu się bardzo, bardzo uważnie.

„Dziecko Coigny’ego nigdy nie będzie królem Francji!” – to zdanie, przypisywane Filipowi de Chartres, synowi księcia Orleanu, obiegało Wersal. Czy można się dziwić paskudnym podejrzeniom? Oto królowa jest nagle w ciąży po blisko ośmiu latach bezpłodnego małżeństwa. Wielu ludzi sądzi, że coś tu może być nie w porządku. A ponadto, jakie interesy są w grze! Hrabia Prowansji może stracić, jeśli urodzi się syn, pozycję następcy tronu; potomstwo hrabiego Artois pozbawione wówczas zostanie tytułu Dzieci Francji wraz z przywiązanymi doń honorami oraz korzyściami. Hrabia Prowansji stara się wszakże zachować en philosophe: swemu ulubionemu korespondentowi, szwedzkiemu Gustawowi III, donosi, że zapanował nad sobą na tyle, iż nie ujawnia ani radości z ciąży królowej – co byłoby fałszem, ani też smutku, który by dowodził jego małoduszności.

Interesy dworaków i wersalskiej służby są oczywiście całkiem przeciwne. Pragną oni szczerze szczęśliwego rozwiązania królowej i koniecznie chłopca. Dwór delfina jest dużo liczniejszy i świetniejszy od dworu Córy Francji. Także biedacy mają powody, by się modlić o następstwo tronu. Ludwik kazał im rozdać kolosalne jałmużny: sto tysięcy liwrów, ogromny majątek.

Maria Antonina deklaruje swemu lekarzowi, panu de Lassone, że po porodzie zamierza całkowicie zmienić tryb życia. Poświęci się w zupełności obowiązkom matki, będzie karmić i edukować swoje dziecko. Ale to jeszcze przyszłość i nie tak bardzo pewna. Bo królowa już żałuje, że spodziewany w grudniu poród pozbawi ją przyjemności karnawału. Ludwik XVI bardzo pragnie być dla niej miły. Organizuje więc w początku grudnia wielki bal maskowy z udziałem całej wersalskiej elity. Maurepas wystąpił w roli Kupidyna, jego żona jako Wenus, minister Sartines wdział strój Neptuna. Są oczywiście akcenty amerykańskie: stara pani de Mirepoix jest Huronką Vergennes ma na głowie ziemski glob, mapę Ameryki na piersiach zaś mapę Anglii na plecach i nieco poniżej. Jest oczywiście całe grono piękniśców z koterii Marii Antoniny: Coigny – Herkules, Lauzun – sułtan... Sukces olbrzymi tej zabawy, podczas której czcigodni dworacy jak grzeczne dzieci raczą się gorącą czekoladą i lodami.

Tuż po północy 20 grudnia królowa zaczyna odczuwać bóle; o godzinie 11 przychodzi na świat córka. Królewscy bracia oddychają z wielką ulgą, dworacy są zawiedzeni, król jeszcze bardziej. Zgodnie z barbarzyńską tradycją w decydującym momencie otwarto szeroko drzwi pokoju i wielki tłum gapiów – dworaków, służby, wersalskich mieszczan – wlał się do środka. Ludzie wchodzą na fotele, stół, nawet na kominek. W dość szczupłym pomieszczeniu zaczyna brakować powietrza, tuż po porodzie Maria Antonina traci przytomność i przez kilka minut wydaje się, że umiera.

A więc tyle strachu, bólu, upokorzenia – i ciągle brak naturalnej sukcesji tronu. Zgodnie z twardo przestrzegany „prawem salickim” francuskiej monarchii córka, Maria Teresa Karolina, zwana pięknie Madame Royale, nie może być królem Francji. Nic wszakże straconego i hrabia Prowansji ma rację, gdy pisze do Gustawa III, że za drugim razem może już nie pójść tak dobrze. Tak dobrze dla niego, oczywiście. Ludwik XVI – donoszą sekretne biuletyny z Wersalu – chce jak najszybciej wrócić do wspólnego łóża z królową, „bardzo gorliwie pragnąc naprawić popełnione głupstwo”.

Podobnie w działaniach wojennych sukcesy w tym 1778 r. są bardzo połowiczne. Minister marynarki Sartines z pełnym poparciem króla zjadał ogromną część państwowego budżetu: w 1778 r. wydatki na flotę przekroczyły sto milionów liwrów. Francja dysponuje więc 264 okrętami wojennymi. To dziesięć razy więcej, niż ich miała u progu wojny siedmioletniej! Okręty są nowoczesne, marynarze dzielni, ale admirałowie – d’Estaing, d’Orvilliers, de Grasse – ustępują Anglikom. Jedyny wódz wielkiej klasy, Suffren, nie będzie wykorzystany należycie, rząd pozwoli mu odnieść piękne sukcesy tylko na drugorzędnym w tej wojnie, azjatyckim teatrze działań – w Indiach Wschodnich. 27 lipca 1778 r. wojna z Anglikami zaczęła się naprawdę: flota z Brestu pod admirałem d’Orvilliers starła się z angielską

eskadrą admirała Keppela niedaleko bretońskiej wysepki Ouessant. Duże straty w ludziach po obu stronach, ale u Francuzów jednak dwa razy mniejsze; ani jeden okręt nie poszedł na dno. Pod osłoną nocy Keppel wycofał się bezpiecznie do Portsmouth, więc Francuzi odtrąbili swe zwycięstwo.

Z owym zwycięstwem to przesada. Sama bitwa jest remisowa, natomiast sposób jej rozegrania nie świadczy najlepiej o francuskim dowództwie. Owszem, zadanie hrabiego d'Orvilliers było w istocie raczej skromne: powstrzymać Anglików, gdy tymczasem flota z Toulonu pod admirałem d'Estaing przedzierać się będzie dużo dalej na południe, ku Azorom i Ameryce. Ale to wcale nie oznaczało, że d'Orvilliers powinien się ograniczać do ostrożnej defensywności. W toku bitwy pod Ouessant linia angielskich okrętów załamała się, można było śmiałym manewrem odciąć i zniszczyć lub zdobyć grupę kilku jednostek wroga. Na okręcie Saint-Esprit Filip książę Chartres dał już sygnał do takiego manewru: d'Orvilliers, stary kunktator, natychmiast go powstrzymał. Bitwa pozostanie remisem, Francuzi nie spróbują ścigać Keppela i powrócą do Brestu.

Ouessant jest jakby zapowiedzią stylu wojowania na morzu podczas wojny amerykańskiej. Każda ze stron miała parę sukcesów, niekiedy świetnych, nigdy nie decydujących. Można je policzyć na palcach jednej ręki. Styl dominujący nieźle charakteryzował, ze swym cynicznym humorem, stary hrabia de Maurepas. „Czy wiecie państwo, co to jest bitwa morska? Ja wam to wyjaśnię – mówił wersalskiej elicie. – Dwie eskadry wychodzą z dwóch przeciwległych portów. Manewrują, spotykają się, strzelają do siebie z dział. Kilka obalonych masztów, kilka rozdartych żagli, trochę zabitych ludzi, wielkie zużycie prochu i kul. Potem obie floty się wycofują; każda obwieszcza, że została panią pola bitwy, obie przypisują sobie zwycięstwo, oba wojujące kraje śpiewają *Te deum* – a morze jest nadal tak samo słone”.

Zwycięstwo pod Ouessant obwieścił Wersalowi i Paryżowi książę de Chartres, wysłany z wiadomościami. Ludwik przyjął wiadomości łaskawie, w paryskich kawiarniach i w Operze witano diuka jak bohatera. Przesadnie, ale nie bezzasadnie. Pod Ouessant Chartres dowodził – nie ludźmy się, nominalnie, pod czujną kontrolą doświadczonego marynarza pana de La Motte-Picquet – grupą jedenastu okrętów. Pod kulami wroga wykazał wielkopańską brawurę: wszystko można mu było zarzucać, ale nie fizyczne tchórzostwo. Usiłował poderwać swą grupę okrętów, gdy się pojawiła sposobność pięknego sukcesu nad wrogiem. To d'Orvilliers był winien tego, że – jak mówią wojskowi – nie rozwinięto powodzenia.

Ouessant to nie było zwycięstwo nad Anglikami, ale owszem, stało się sukcesem w trwającej już z górą sto lat wojnie podjazdowej między królewską linią Bourbonów i linią młodszą, orleańską. Książęta orleańscy wywodzili się od młodszego brata Ludwika XIV. Do tradycji Orleanów należało frondowanie, intrygowanie, spiskowanie przeciw ich królewskim kuzynom. Ci z kolei robili wszystko, by Orleanów upokorzyć, stłamsić, utrzymać w ryzach. Orleanowie mają prawo tylko do roli figurantów. Rekompensują to sobie po części pielęgnując starannie popularność wśród przekornych wobec Dworu paryżan. Ich paryska siedziba, Palais-Royal, jest jednocześnie siedliskiem intryg i łask: intryg przeciw Wersalowi i łask

dla przyjaciół Domu Orleańskiego.

Szef Domu, Ludwik Filip, książę Orleanu, ma lat zaledwie 53 w tym burzliwym roku 1778, ale jest już tylko grubą beczką sadła. Schorowany i zobojętniały, jest w Wersalu lekceważony. Za to jego syn, książę de Chartres, budzi dość mocne i bardzo sprzeczne uczucia. Ma liczne grono przyjaciół, potrafi być sympatyczny i hojny. Ale bywa też złośliwy, brutalny – także w zabawach miłosnych, które są pasją tego przystojnego mężczyzny szukającego ujścia dla energii, nie rozładowywanej ani w polityce, ani też na wojnie. Pamiętnikarze opisują z nieco obłudnym zgorszeniem urządzone przezeń orgie, podczas których każdy uczestnik przyjęcia jest „goły jak palec”. Chartres ma w 1778 r. lat 31 i już się nieco ustatkował: sporo podróżuje, wprawia się w profesji oficera marynarki, poświęca czas masońskim obrzędom jako Wielki Mistrz francuskich wolnomularzy. Nic wprawdzie nie czyta, rozumu ma niewiele, ale ambicje ogromne. Jego stosunki z Marią Antoniną z początku były nie najgorsze, ale to się już skończyło. Przypisywane mu zdanie, że ojcem dziecka królowej jest Coigny, będzie wystarczającym powodem do śmiertelnej nienawiści. Nawiasem mówiąc, matka diuka de Chartres, z domu Conti, była tak szczodra w udzielaniu swych łask szlachetnie urodzonym i służbie domowej, że pochodzenie jej syna jest mocno niepewne.

Ludwik XVI nie może oczywiście żywić sympatii do tego rozpustnika, libertyna, masona i na dodatek anglofila. Owacje paryżan dla „zwycięzcy spod Ouessant” boleśnie ranią ucho króla, który sam nie czuje najmniejszego powołania do czynów militarnych; który uwielbia wprawdzie marynarkę i nawigację, ale podróżuje tylko palcem po mapie. Ministrowie – Sartines, Vergennes, Maurepas – przykładają się więc gorliwie do demolowania legendy o heroicznym zachowaniu księcia de Chartres. D’Orvilliers jest zainteresowany w tym, by zdjąć z siebie i przerzucić na księcia, tego półdyletanta w sztuce marynarskiej, odpowiedzialność za zmarnowaną okazję sukcesu. Puszczona w ruch maszynka propagandowa – w tym zależna od Dworu prasa – kłamliwie przedstawia więc przebieg bitwy pod Ouessant. Płotka robi z pana de Chartres fanfaroną odnoszącego zwycięstwa tylko w burdelach i w Operze, wreszcie posuwa się do zarzucania mu tchórzostwa. To już kłamstwo zupełnie bezwstydnego, ale książę i jego przyjaciele nie mają szans obrony: król zabrania dalszych publikacji o bitwie, trudno też wojować z jadowitymi plotkami. W październiku Chartres uznaje swą klęskę: protestując przeciw kalumniom prosi Ludwika o zwolnienie z marynarki.

Pozostaje przepaść zacieklej nienawiści. Charles, po śmierci ojca w 1785 r. noszący już tytuł księcia Orleanu będzie zawzięcie podważał prestiż pary królewskiej i frondował przeciw rządowi. A prawie piętnaście lat po bitwie pod Ouessant jako poseł Konwencji obywatel Filip Egalite odda głos za karą śmierci dla eks-króla, obywatela Ludwika Kapeta.





PRÓBA DESPOTYZMU OŚWIECONEGO

Wojna toczyła się w 1778 r. niemrawo i powoli. Flota d'Estainga w Ameryce zachowywała bezczynność, w samej Francji zaczęto formować 40-tysięczny korpus ekspedycyjny dla desantu na wyspie brytyjskiej. Wśród elity władzy mało kto jednak – od króla zaczynając – tak zupełnie poważnie wierzy w możliwość inwazji, w powtórzenie wyczynu Wilhelma Zdobywcy sprzed siedmiu wieków. Dowódcą armii inwazyjnej, ulokowanej w Bretanii, został marszałek diuk de Broglie, jeden z najlepszych francuskich generałów w wojnie siedmioletniej. Niełaska w pełni sławy, w jaką popadł u Ludwika XV, była niezłą rekomendacją u Ludwika XVI. Wszelako diuk de Broglie, człowieczek mały, dowcipny, złośliwy, okazał się trudnym rozmówcą: ku wielkiemu niezadowoleniu króla zaczął mu stawiać warunki i krytykować królewskich ministrów. Ludwik XVI bardzo tego nie lubi. Postanowił tedy stawić opór diukowi, wypróbować na nim owej królewskiej stanowczości, która mu zawsze tak imponowała, a którą tak mu trudno w praktyce okazać. Jednym z warunków diuka było mianowanie szefem sztabu armii inwazyjnej jego rodzonego brata, hrabiego de Broglie, wybornego technika wojny, który już przed laty przygotowywał plany desantu na Anglię. Ludwik odmówił. Czyż nie uzasadniało to przypuszczeń, że w istocie projekt inwazji to tylko efektowny i kosztowny bluff mający postraszyć Anglików?

Zwolnione tempo wojennej aktywności tłumaczyło się też czekaniem na Hiszpanów. Mimo różnych zapewnień Madryt wciąż zwlekał z wypowiedzeniem wojny. Dopiero w czerwcu 1779 r. Hiszpania się zdecydowała. Jej deklaracja wojenna wyraźnie dawała do zrozumienia, że wstępuje do wojny z Anglią, lecz nie popiera Stanów Zjednoczonych...

Szczęśliwie się też wyjaśniło zagrożenie wojną w Niemczech. Francja i Rosja zaoferowały swą mediację w konflikcie austriacko-pruskim. W początkach 1779 r. Austriacy zdecydowali się na pokojowe rozwiązanie sporu. Pacyfizm Marii Teresy zatriumfował nad wojowniczością Józefa II, ale wśród austriackiej elity pogłębiła się niechęć do „nielojalności” francuskiego alianta. Wielu Austriaków sądzi, że brak poparcia Francji odebrał im szansę pokonania Prus; wielu się żali na propruskie sympatie francuskiego ambasadora w Wiedniu, Breteuila.

Francuzi i Anglicy zbierają na razie siły. Francuska opinia żywi przekonanie, że Anglia zawsze się rozgrzewa powoli, ale w każdej wojnie jej energia i determinacja rosną wraz z upływem czasu. Toteż są wołania, by rząd dobrze przygotował kraj do kosztownej wojny.

Na szczęście Necker ma zręczną rękę, cieszy się zaufaniem bankierów i ludzi zamożnych, którzy bez wahania subskrybują wypuszczane przezeń pożyczki. Nie brak wprawdzie od początku głosów zdecydowanie nieżyczliwych: konserwatywna część klas uprzywilejowanych traktuje Neckera jak szarlatana. Padają ostrzeżenia, że pożyczki ratują terażniejszość kosztem przyszłości, zaspokajają bieżące potrzeby obciążając niebezpiecznie nadchodzące dziesięciolecia. Sam Necker śmieje się z tych ostrzeżeń. Ksiądzu Veri powiedział beztrasko: „Czemuż się tak niepokoić o spłatę [pożyczek]?”

Wszystko to nie ma żadnego znaczenia w ogólnej ewolucji narodów. Zresztą kapitał zawsze się zmniejsza w miarę upływu czasu”.

Lud ze zdziwieniem i wdzięcznością konstatuje, że dzięki Neckerowi wojna toczy się bez powiększania podatków. Także wersalskie pasożyty nie mogą się skarżyć na nowego szefa finansów. Turgot bez przerwy powtarzał, że na Dworze potrzebne są cięcia i oszczędności. Necker jest zupełnie inny: z wyrozumiałością spogląda na rozrzutność Dworu, na wymagania koterii królowej. Nie chce sobie zrażać dworaków i Marii Antoniny; może zresztą zupełnie szczerze sądzi, że oszczędności na wydatkach dworskich nie mają znaczenia. Tak przynajmniej mówi księdzu Veri: „Można tu obciąć trochę wydatków bagatelnych... z dużą udręką w szczegółach i niewielką korzyścią”.

Byłoby wszakże ciężkim błędem traktować Neckera jak potulnego sługę króla i dworu, maszynkę do zaspokajania finansowych potrzeb państwa. Ma on, podobnie jak Turgot, ambicje reformatora ustroju, choć różni się od Turgota nie tylko stosunkiem do oszczędności na dworskich wydatkach. Cała jego filozofia społeczna ma inny koloryt.

Necker nie podzielał więc liberalnej wiary Turgota, że swobodna gra interesów indywidualnych stanowi gwarancję powszechnej pomyślności. W swoim czasie sprzeciwił się doktrynie Turgota o wolności obrotu zbożem, ale w ogóle jest „dyryżystą”, to jest zwolennikiem aktywnego działania państwa w sferze ekonomiki i życia społecznego. Necker sądził, że w społeczeństwie rozdartym przeciwieństwami spolegliwa władza musi utrzymywać równowagę ograniczając wolność ekonomiczną i polityczną. Wymaga to utrzymania despotyzmu, ale oświeconego, którego on sam byłby filarem. Władza absolutna – tak jak ongiś, w epoce Ludwika XIV, a po części jeszcze i trochę później – wypełniać powinna misję arbitrażu między wielkimi siłami społecznymi.

Memoriał Neckera dla króla w sprawie reformy administracji prowincjonalnej formułował tezę o „mądrej równowadze między trzema stanami” i doradzał Ludwikowi XVI wystąpienie w roli pośrednika. Król skomentował to jednak nader wyniośle: „Do istoty mej władzy należy stać na czele, nie zaś być pośrednikiem”. Nie przyszło mu do głowy, że te dwie role wcale nie muszą się wykluczać... Zwięźle a celnie streścił główną ideę Neckera bliski mu akademik Marmontel: skoro w społeczeństwie istnieją ścierające się siły, „mądrością i obowiązkiem administracji jest utrzymywać równowagę pomiędzy nimi”. Necker uznał, z całkowitą słusnością, że we Francji szale przechyliły się już o wiele za mocno na korzyść uprzywilejowanych, szlachty i kleru, a zatem przywrócenie równowagi wymaga poparcia roszczeń stanu trzeciego, umocnienia Korony siłą burżuazji i ludu. Tę jego „ludową” stronniczość współcześni dostrzegali bez trudu: ksiądz Morellet pisał, że wedle Neckera właściciele to „lwy, którym rząd powinien wyznaczyć ich część, jeśli nie chce im pozwolić na pożarcie ludzi ubogich”. Nie brakowało nawet absurdalnych twierdzeń, że Necker pragnął „poderwać potężną masę [ludu] i zmiażdżyć nią wszystko, co szkodziło jego władzy”; że pragnął się on wesprzeć na tych, „których fortuna mieści się w portfelu ważącym nie więcej niż sześć uncji”.

To oczywiście niedorzeczności: pewne akcenty populizmu w polityce Neckera i jego skłonności do ograniczenia przywilejów stanowych miały służyć jedynie przesunięciem stwarzającym nowy, trwalszy stan społecznej równowagi. Necker bynajmniej nie zmierzał do radykalnego zniszczenia stanowej struktury społeczeństwa, do powierzenia politycznego wpływu wszystkim właścicielom („nie ośmielił się powiedzieć, że należy oddać rządy w ich ręce” – pisał z wyrzutem „turgotysta” Morellet). Głównym beneficjariuszem i gwarantem systemu równowagi miała być, wedle Neckera, władza centralna. Króla, jeśli będzie on zdolny do trzymania jej silną ręką; pierwszego ministra – jeśli monarcha nie zechce lub nie będzie mógł stanowić centralnego ośrodka władzy rządowej. Ograniczając przywileje szlachty, kleru, parlamentu, królowie znajdują, jak pisał Necker, „środki spokojnego utrwalenia ich autorytetu”. Otrzymujemy więc program silnego rządu; miałby to jednak być absolutyzm oświecony, racjonalny, reformatorski.

Necker zaczął reformy racjonalizujące administrację państwową od tego działu, na który miał wpływ. Nie uczestniczył w Radzie Królewskiej ani nawet w nieformalnych ministerialnych komitetach; nie miał wpływu ani kontroli w najważniejszych i najkosztowniejszych działach wydatków państwowych, w resortach wojny i marynarki. Vergennes i Montbarey byli mu wrodzy, z królem pracował tylko w obecności Maurepasa, mógł rozwijać swe inicjatywy jedynie za zgodą głównego ministra. A jednak zdziałał niemało. Zaczął od zlikwidowania urzędów 6 intendentów finansów i 4 intendentów handlu, którzy byli przy nim czymś w rodzaju wiceministrów. Oznaczało to oszczędność 700 tys. liwrów rocznie, a przede wszystkim koncentrację władzy nad finansami w ręku Neckera. On sam zrezygnował z poborów szefa finansów (200 tys. rocznie). Uprościł system kas państwowych, zmniejszył z 48 do 12 liczbę generalnych poborców podatków, stworzył nową administrację domen królewskich, pocztę – dotąd dzierżawioną – wzięł pod zarząd państwowy, ograniczył pole działania Ferme Generale. Były to poważne ciosy dla całego tłumu pijawek skarbu państwa, pasożytów z administracji finansów, czyli tak zwanych *financiers*. Oczywiście, krzyczeli okropnie.

Dużo trudniejsza sprawa z oszczędnościami na wydatkach dworu króla (35 milionów rocznie!) i na pensjach dla faworytów. Sam Necker obliczał, że jego reformy zaoszczędziły tu 3,2 milionów liwrów. To wynik skromny: Veri mniemał, że można było zrobić na tych wydatkach oszczędności rządu 15-20 milionów rocznie. Ale „to naturalne, że mieszkańcy dworu bardziej się boją krzyków Wersalu niż protestów wierzycieli króla... albo ludu”.

Udało się natomiast Neckerowi zrównoważyć wydatki z dochodami. Nie zdołał zmniejszyć podatków pośrednich ani zreformować archaicznych cel wewnątrznych, choć miał takie plany. Wojna powiększyła wydatki o około 150 milionów rocznie, więc projekty ulg podatkowych wypadło odłożyć. Ale Necker pokrywał zwiększone potrzeby bez dociskania śruby podatkowej, co już stanowiło sukces. Radził sobie wypuszczając całą serię pożyczek. Był pewny, że bez trudu spłacać będzie procenty dzięki zaprowadzeniu porządków w finansach i oszczędnościom. Chwalił się, że wszystkie jego pożyczki były wykupywane w ciągu najwyżej tygodnia.

Bardzo zręcznie bowiem wybierał moment ich ogłoszenia, sumę, rozwiązania techniczne, sposoby zapewniania korzyści subskrybentom. Oto np. pożyczka z początku grudnia 1779 r. przynosiła najwyższe znane dotąd renty dożywotnie: 10% od pożyczonego kapitału przy subskrypcji na jedną głowę, 9% na dwie głowy, na cztery – 8%. Ludzie tak się tłoczyli przy kasach domagając się, by wzięto ich pieniądze, że wypadło posłać żołnierzy dla zaprowadzenia porządku! Rentierzy mieli zaufanie do Neckera, bankierzy wykupywali obligacje pożyczek, aby nimi spekulować, bogaci kupcy tym chętniej pożyczali państwu, że wojna utrudniała handel morski. Minister Sartines spotkał się z zarzutami, że nie dba o to, by marynarka wojenna skutecznie chroniła kupieckie konwoje. Cóż, monarchia Ludwika XVI to nie Anglia, burżuazyjne interesy handlowe nie były oczkiem w głowie królewskiego rządu.

Były w reformach Neckera akcenty paternalistycznej troski o los ludzi upośledzonych. Uznał on, iż należy rozbudować i zmodernizować szpitale, domy opieki, przytulki, więzienia. Warunki życia były tam w istocie potworne. Administracja Neckera przygotowała rozumne reformy tego społecznego infernum; niektóre zdołano już przeprowadzić, jak np. poprawę warunków sławnego paryskiego szpitala Hôtel-Dieu. Odtąd każdy pacjent miał prawo do własnego, osobnego łóżka!

Swoisty populizm Neckera wyraził się też w zniesieniu poddaństwa osobistego we wszystkich królewskich domenach. Niechętni upatrywali w tym zwyczajną demagogię, gdyż owych *main-mortables*, chłopów o statusie osobistych poddanych, w domenach było bardzo niewiele. Ale Neckerowi chodziło o zachęcenie panów prywatnych, by dobrowolnie zrobili podobny krok w swoich majątkach. Necker nie zamierzał wywłaszczać właścicieli ziemi z żadnych feudalnych praw, nawet najbardziej archaicznych. Ufał jednak w siłę dobrego przykładu. To ufność naiwna. Książę de Montbarey konstatawał, że reforma Neckera nie wywarła żadnego wpływu na prywatnych seigneurs.

Zwiększenie społecznej roli burżuazji przynosiła reforma zapoczątkowana edyktem z lipca 1778 r.: tworzenie Zgromadzeń prowincjonalnych. Pierwsze powołane zostało w prowincji Berry; później, w latach 1779/1780, ustanowiono jeszcze zgromadzenia w Delfinacie, w Haute-Guyenne i w okręgu Moulins. Tylko dwa zgromadzenia, w Berry i w Haute-Guyenne, zorganizowały się i działały. Upadek Neckera pogrzebał dwa pozostałe i zablokował rozszerzanie reformy na inne prowincje.

Nie było w neckerowskich Zgromadzeniach ani cienia demokracji. Podział na trzy stany miał obowiązywać, 1/3 deputowanych była mianowana przez króla, reszta pochodziła z kooptacji. Necker bardzo mocno podkreślał, że siłą Zgromadzeń jest zaufanie króla, że bez tego nie będą one miały żadnego znaczenia. Skład nieliczny (48 osób), sesje rzadkie (jeden miesiąc obrad co dwa lata). Memoriał Neckera dla króla o administracji prowincjonalnej stwierdzał, że Zgromadzenia nie osłabiają, lecz właśnie umocnią władzę monarchy. Usprawnią administrację lokalną, której stan Necker oceniał bardzo krytycznie, a więc pozbawiają parlamenty pretekstów do mieszania się w spory między rządzonymi i rządzącymi. Zajmą się sensowną repartycją podatków, a więc osłabiają opory przeciw podatkowi i zniweczą

ambicje parlamentów, by przez odmowę rejestracji podatków paraliżować działania rządu. Zgromadzenia będą ważnym czynnikiem całej polityki ekonomicznej: zatroszczą się o budowę dróg, rozwiną opiekę społeczną.

A jednak Zgromadzenia prowincjonalne wzbudziły niepokój konserwatywistów. Krytykowali oni sam ich skład: stan trzeci (w praktyce oczywiście burżuazja) miał tam mieć tyluż deputowanych co kler i szlachta razem wzięte; głosowano nie stanami, lecz przez oddawanie głosów indywidualnych (par tete). Stąd wołania zachowawców, że to oznacza przemieszanie stanów, uzależnienie szlachty od woli delegatów „ludu”. Domyślano się trafnie, że Necker pragnął osłabić opozycję parlamentów przeciwstawiając im siłę Zgromadzeń. Czasem protestowano przeciw samej zasadzie partycypacji rządzonych w administracyjnych decyzjach. Turgot, który obserwował reformy Neckera bez sympatii, sądził jednak, że jego Zgromadzenia mogą przynieść skutki dalekosiężne. „Ta innowacja, jeśli będzie rozwijana, doprowadzić może do zmiany całego monarchicznego ustroju. 30 Zgromadzeń prowincjonalnych jest w stanie z łatwością się porozumieć w czasach zamętu, słabości lub małoletności [króla]. Mogą one natychmiast utworzyć Kongres, taki jak w Ameryce, który reprezentowałby siłę całego Narodu. Jeśli jeszcze i wojsko zniechęci się wtedy do króla...” To jakby przepowiednia dalekich jeszcze wydarzeń, tych z czerwca i lipca 1789 r.

Ludwik XVI nie był aż tak przewidujący, wszelako w sprawie Zgromadzeń prowincjonalnych wahał się wyraźnie. Jego odręczne komentarze do wspomnianego memoriału Neckera ujawniają zupełny brak entuzjazmu do owej reformy. „Czy nie byłoby innego sposobu” – pisał; akcentował swe wątpliwości, swą wolę obrony przywilejów. Ludwikowi odpowiadał bezmyślny i leniwy konserwatyzm broniący tradycji monarchicznej; Necker tymczasem proponował mu absolutyzm oświecony, aktywny, reformatorski, stwarzający nowe stany społecznej równowagi. Króla nie pociągało to wcale; jednakże nieufność walczyła u niego zawsze z brakiem silnej woli. Toteż Ludwik nie zdecydował się w końcu ani na zablokowanie reformy Neckera, ani na jej wyraźne poparcie. Nie sprzeciwił się Zgromadzeniom, bo przecież ostatecznie powstają one na razie tylko w kilku prowincjach, na próbę. Co będzie dalej, to się zobaczy.



WIATRY SĄ W SOJUSZU Z ANGLIKAMI

Mimo wejścia Hiszpanii do wojny rok 1779 nie był lepszy od poprzedniego. Flota d'Estaing'a nie odnosiła sukcesów w Ameryce. W Europie nastąpiło pod koniec lipca połączenie flot francuskiej i hiszpańskiej: kombinowane siły obu państw, pod komendą admirała d'Orvilliers, ograniczyły się wszakże do długiej i kosztownej demonstracji. Anglicy nie dali aliantom sposobności do stoczenia bitwy morskiej, natomiast szkorbut okazał się nieprzyjacielem bezlitosnym. Połączone floty powróciły we wrześniu do Brestu. Widok był wspaniały: ponad sto okrętów wojennych z przeszło dwudziestoma tysiącami ludzi na pokładach. To jednak tylko pozór świetności, blisko dziesięć tysięcy ciężko chorych marynarzy trzeba

szybko lokować w szpitalach. Połączone floty nie zdołały nawet zaszkodzić angielskim statkom kupieckim.

Ludzie wyobrażali sobie, że akcja połączonych flot skombinowana będzie z oczekiwanym od dawna desantem armii inwazyjnej. Taki zresztą był projekt Hiszpanów. Nic z tego! Hrabia de Vaux, który wiosną 1779 r. zastąpił marszałka de Broglie, miał do dyspozycji kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, ogromne zapasy materiału wojennego i żywności, wynajęte przez państwo statki do transportu wojska przez Kanał. Nie miał tylko rozkazu. Bo też i kto miał wydać taki rozkaz? Ludwik XVI, od którego tak trudno dostać jakąkolwiek ważniejszą decyzję, który tak lubi zwlekać z wykonaniem decyzji już podjętych? Maurepas, w głębi duszy marzący o pokoju z Anglikami? Vergennes, który twierdzi, że nawet gdyby mógł, nie zniszczyłby broń Boże Wielkiej Brytanii, potrzebnej dla równowagi politycznej świata? Necker w ogóle nie ma wpływu na wielkie decyzje, nie jest nawet ministrem, a poza tym jako protestant zostałby osłabiony przez klęskę protestanckiego mocarstwa zza Kanału. Więc Maurepas będzie sobie układał piekielnie złośliwe dowcipy na temat desantu i choroby hrabiego de Vaux, cierpiącego właśnie na prostatę („*la descente n'eut lieu que dans la culotte de M. de Vaux*”).

Inwazja na wyspę brytyjską okazała się jedynie chimera. Utopiono w tym przedsięwzięciu wiele milionów i mnóstwo energii tak potrzebnej na wojnie. Ambitniejsi generałowie i politycy nie mogą odżalować straconej okazji: Anglia jeszcze nie wzięła się w garść, przeżywała ostry kryzys polityczny i socjalny, inwazja, której Anglicy obawiali się powszechnie, niekiedy panicznie, mogła się powieść. Drobne sukcesy Francuzów w kampanii 1779 r. (odzyskanie Senegalu w Afryce, na Morzu Karaibskim wzięcie Grenady) nie zmieniają bilansu, bo Anglicy też mają zdobycze na Morzu Karaibskim, a przede wszystkim w Indiach Wschodnich. Ludwik XVI jest zasmucony i zdziwiony brakiem sukcesu; ludzie powtarzają sobie, że widocznie wiatry są w sojuszu z angielską marynarką.

Także w sprawach domowych rok 1779 nie jest dla Ludwika XVI pomyślny. 8 lutego para królewska udaje się do Paryża na uroczystości związane ze szczęśliwym porodem Marii Antoniny. Rozrzucono między tłum 15 tys. liwrów – a mimo to nastrój paryżan jest chłodny... W kwietniu królowa choruje na różyczkę i izoluje się na kilka tygodni w Petit Trianon pod strażą czterech *cavalieri servanti*: są to Besenyal, Coigny, Guines i Esterhazy. Maria Teresa reaguje na wiadomość o takiej ekstrawagancji swym płaczącym gderaniem, Wersal jak zwykle żartuje złośliwie. I zupełnie bezzasadnie, bo z całej koterii królowej jeden tylko Fersen interesuje naprawdę Marię Antoninę. O żadnych intymnościach nie ma mowy – jeszcze nie ma mowy; ale wszyscy już dostrzegają, że królowa ma wielką, niezwykłą słabość do tego chłopca.

„Nie można doprawdy – pisze o królowej Veri – demonstrować publicznie mniej względów dla własnego męża”. Król „zdaje się tego nie dostrzegać”, zresztą jest teraz znowu mniej gorliwy „w kontaktach z nią jako kobietą”. Sprawa sukcesji tronu ciągle jest otwarta.

Dworacy zaczynają podejrzewać, że Maria Antonina i hrabia Artois, którzy grają jak zawodowcy, wciągną teraz króla w namiętność do hazardu.

Jesienią 1779 r., gdy dwór bawił w Marly, Ludwik przez kilka dni próbował szczęścia. „Król, który nie gra prawie nigdy, przegrał w ostatnich dniach 800 ludwików [20 tys. liwów]. Oto pieniądze źle zużyte [rzekł]... Gra to głupota, rezygnuję z niej”. Wyliczył sobie, że lepiej już było dać żołnierzom tę sumę dla zachęty: starczyłoby po 6 liwów dla ponad trzech tysięcy ludzi.

Taka zachęta byłaby bardzo na miejscu, bo fiasko pomysłów inwazyjnych skłania rząd do rozważań nad wysłaniem korpusu ekspedycyjnego do Ameryki. W lutym 1779 r. powrócił stamtąd La Fayette, przywożąc kilka czynów militarnych udanych lub przynajmniej świadczących o dużej odwadze oraz gorącą miłość do amerykańskiej słusznej sprawy. Zaczął kołatać o skuteczniejszą pomoc dla swych przyjaciół zza Oceanu. W lipcu przedstawił Vergennesowi wcale zrezygnowany memoriał o potrzebie wysłania do Ameryki wojsk lądowych. Oferował swą osobę jako kandydata na dowódcę korpusu: któż w końcu zna lepiej od niego amerykańskie realia polityczne i wojskowe? Ale to są mrzonki; tylko Amerykanie mogą sobie uważać tego młodzika – La Fayette ma 22 lata – za prawdziwego generała.

Maria Antonina nie lubi – już teraz, na dziesięć lat przed rewolucją – tego rudzielca: uważa go za pyszałka. Ale Vergennes, Maurepas, sam król wreszcie zastanawiają się poważnie nad jego projektem. Nawet niechętny Amerykanom minister wojny, książę de Montbarey, popiera pomysł. Zauważył on entuzjazm wielu młodych Francuzów z dobrych rodzin dla amerykańskiej „insurekcji”. Zaproponował, by na czele korpusu postawić generała hrabiego de Rochambeau. To doświadczony oficer, weteran wojny siedmioletniej – ma już 55 lat – a z kompetencją wojskową (bez cienia militarnego geniuszu) łączy skromność, prostotę, reputację człowieka otwartego na nowe prądy. Będzie więc „przyjemny dla postrzeleńców”. „Król mnie zrozumiał – pisze Montbarey – i zaaprobował ten sposób wypełnienia przyjętych zobowiązań [pomocy dla Amerykanów] oraz – jednocześnie – pozbycia się z Europy tego tłumu entuzjastów, których przemowy i intrygi mogły się stać niewygodne”. No, nie pojechali do Ameryki w charakterze kadry oficerskiej sami tylko „postrzeleńcy”. Również „dobrze myślący” młodzi ludzie pragnęli uczestniczyć w przygodzie. La Fayette radził usilnie w swoim memoriale, by nie wysyłać za Ocean ludzi z dworskich koterii, dalekich od zrozumienia amerykańskiego republikanizmu i godzenia się na amerykańską rzeczywistość. Nie posłuchano go; znaleźli się w korpusie Rochambeau także dzielni młodzieńcy (niektórzy już po trzydziestce) z klanu Marii Antoniny, w tym najulubieńszy Fersen, bracia Artur i Robert hrabiowie de Dillon, hrabia de Segur, diuk de Lauzun. „Większą część obecnej promocji wojskowej zrobiono pod auspicjami i protekcją królowej... Król uprzejmię godził się na wszystko, czego królowa sobie życzyła; sam się zajmował układaniem listy, która była wiele razy przerabiana w wyniku intryg konkurentów” – raportował Mercy-Argenteau.

La Fayette wyjechał do Ameryki nieco wcześniej, w marcu, aby „przygotować teren”. W kwietniu 1780 r. pięć tysięcy ludzi hrabiego de Rochambeau mogło już odpłynąć z Brestu. Ale wiatry ciągle były w sojuszu z Anglikami; dopiero po kilku tygodniach czekania korpus

wyruszył w maju do Ameryki. W lipcu okopał się na Rhode Island i przez okrągły rok nie ruszył się z tej nory. Dopiero w lipcu 1781 r. Rochambeau połączył swoje wojsko z siłami Waszyngtona.

Tak więc rok 1780 znów upływał bez wielkich wydarzeń. Wiosną pojawiły się oznaki zbliżenia między Wersalem i Sankt-Petersburgiem: efektem tego manewru będzie dalsze ochłodzenie stosunków Francji z Austrią. Aby temu zapobiec, Ludwik XVI zaangażował się w popieranie kandydatury swego młodego szwagra, Maksymiliana Habsburga, na godność księcia-elektora arcybiskupa Kolonii: to ten sam Maksymilian, który przed pięciu laty odwiedzał Wersal i Paryż bawiąc gospodarzy swą szczególną głupotą. Austria umacniała się – także militarnie – tuż nad wschodnią granicą Francji, ale Wiedeń nie miał już samych tylko powodów do narzekania na francuskiego sojusznika. Zbliżenie z Rosją szło znów w parze z wartościowym sukcesem dyplomatycznym: Katarzyna była inicjatorką „ligi zbrojnej neutralności”, która połączyła pod hasłem wolności mórz kilka państw niewojujących, w tym morską potęgę – Holandię. Liga ma koloryt wyraźnie antyangielski.

Jesień 1780 r. zapisała się w wersalskich annałach kilkoma zdarzeniami ważnymi dla pary królewskiej i elity władzy. W samym końcu listopada zmarła Maria Teresa. Żałoba dworska w Wersalu była dość powierzchowna, kondolencje króla dla Józefa II – zupełnie zdawkowe. Maria Antonina odczuła śmierć matki mocno – mimo długoletniego oddalenia i cierpkich listów cesarzowej, nieustannie krytykującej zachowanie córki. Ale złe wiadomości z Wiednia przyszły w czasie, gdy Maria Antonina znów poczuła przypływ woli władzy.

Do tej pory królowa i jej koteria kontentowały się wpływem na rozdawanie godności, łask i pieniędzy. Od czasu, gdy przy Marii Antoninie pojawiła się hrabina de Polignac – teraz właśnie podniesiona do godności dziedzicznej diuszessy – żarłoczny klan Polignaków chrupał ogromne sumy. Pensje, gratyfikacje, posagi: było tego tyle, że nawet królowa była nieco zaambarasowana ponawianiem żądań u króla, Ludwik zaś wstydził się swych własnych ministrów. Ale dawał do zrozumienia, że mu na owych „łaskach” zależy. „Hrabina de Polignac to jedyna przyjaciółka królowej – mówił Maurepasowi i Neckerowi. – Bardzo bym chciał, aby było możliwe znalezienie jakiegoś sposobu, który by nie miał konsekwencji...” W podobny sposób popierał roszczenia diuka de Coigny i innych przyjaciół swej żony. Płacił bez szemrania jej długi z tytułu zakupu biżuterii i przegranych w karty sum. Jaki sens mają oszczędności Neckera – pisał Veri – skoro jednocześnie „tworzy się czwarty urząd wiceguwernantki przy jedynej córce króla. Zgodnie z tradycją wystarczały dwie [wiceguwernantki], a jedna by wystarczyła zgodnie z zasadami zdrowego rozsądku”. Guwernantka, Madame de Guemenee – Ludwik jej nie znosił i przykro mu było ją widzieć jako wychowawczynię królewskich dzieci – przedstawiała zupełnie bezczelne rachunki z wydatków półtorarocznej Madame Royale: córka króla w ciągu pół roku zużywała drzewa na opał za 30 tys., świec za 10 tys.; na jej ubrania, jałmużny i prezenty wydano 95 tys. liwrów. Zapewne, nie rujnowało to skarbu Francji – wojna amerykańska była nierównie bardziej rujnująca – ale paraliżowało racjonalizację

wydatków państwowych. Jeśli Necker nie uderzy szybko w rozrzutność – pisał Besenval – to jego reformy rozejdą się po kościach. „To prawda, że go w tym wspiera upodlenie arystokratów. Jest ono tak wielkie, że nie należy się ich obawiać: ich opinie nie zasługują, by je uwzględnić w jakiegokolwiek politycznej kombinacji”. Przyszłość wykaże, że był to pogląd zbyt optymistyczny.

Besenval powrócił teraz, w 1780 r., do swego starego planu, wedle którego królowa powinna była mieć w rządzie oddanych sobie ministrów. W ministerstwie marynarki chciał osadzić markiza de Castries, w ministerstwie wojny markiza de Segur. Obaj byli powiązani z Choiseulem i na tyle przeciętni oraz dalecy od dworskich intryg, że koteria królowej mogłaby mieć na nich wpływ. Trzech członków koterii – Besenval, hrabia d'Adhemar i hrabia de Vaudreuil – zaczęło więc urabiać panią de Polignac. Faworyta królowej była ładna i miła, ale często wyznawała swym rozmówcom: „To, co mi mówicie, jest dla mnie za mądre”. Wreszcie zaagitowano ją dla sprawy. Królowa z kolei długo dawała się prosić swej przyjaciółce, zwłaszcza że zwierzyła się niebacznie z intrygi panu de Mercy-Argenteau, który ją oblał zimną wodą.

Kabałę wsparły nieoczekiwane fatalne błędy Sartinesa. We wrześniu 1780 r. wyszło na jaw, że ten dobry organizator marynarki lekceważył wszystkie zasady księgowości: bez wiedzy Neckera kazał wydać bilety płatnicze na nie zaplanowaną sumę 20 milionów liwrow. Necker szalał i groził dymisją; dawał do zrozumienia, że chce wreszcie mieć wpływ na wydatki innych ministrów. Maurepas już od 1779 r. miał serdecznie dosyć Neckera i chętnie by się pozbył tego amatora reform. Ale, jak pisał Veri, „król szukał wraz z panem de Maurepas w Almanachu królewskim i nie znaleźli tam żadnego funkcjonariusza publicznego, który by im odpowiadał. Nie w tym rzecz, że nie byłoby amatorów tego stanowiska. Ale, jak powiada pan de Maurepas, jedynie głupiec lub łajdak mógłby go sobie życzyć”. Król wahał się, którego z dwóch skłóconych ministrów zwolnić – i ostatecznie zatrzymał Neckera. Maurepas popierał tę decyzję: uznał, iż na razie Necker jest nie do zastąpienia, lecz po zawarciu pokoju „zobaczy się, co z nim począć”. Wszelako gdy w 1783 r. zawierano pokój, Maurepas już nie żył, a Necker od dawna nie był ministrem.

Nie jest jasna sprawa nominacji Castriesa na miejsce, które zwolniła dymisja Sartinesa. Z relacji Augearda, finansowego doradcy Maurepasa, księdza Georgela, a także niektórych gazet wynika, iż Maurepas, złożony podagrą, nic nie wiedział o tej nominacji. Pisano nawet, że Necker oszukał króla zapewniając go, iż Maurepas zgodził się na kandydaturę Castriesa. Ludwik miał jakoby chęć przegonić Neckera, gdy jego oszustwo się wydało. Ale ksiądz Veri, świetnie poinformowany, stanowczo temu przeczy: Maurepas wiedział o nominacji, nie znał tylko jej kulis, a mianowicie porozumienia Neckera z królową co do kandydatury pana de Castries. Ów człowiek Choiseula to zarazem przyjaciel Neckera.

Faktem jest, że zmiana ministra marynarki Neckera umocniła. Pojawiał się on teraz na komitetach ministerialnych, od których go systematycznie dotąd odsuwano. Maurepas poczuł się osłabiony. Przyjaciele mu mówili, że Necker chce wygryźć także innych ministrów, a wreszcie i jego samego. I

rzeczywiście: zagrożony był teraz protegowany Maurepasa, minister wojny Montbarey. Ataki na niego wychodziły z koterii królowej i nie były niezasłużone. Esterhazy pisał, że minister wojny „wskutek swej niemoralnej konduity nie cieszył się żadnym poważaniem”; Georgel stwierdzał, że kochanka Montbareya (niejaka panna Renard) „uprawiała handel stanowiskami i awansami wojskowymi, co jej przynosiło wielkie sumy pieniędzy”. Leniwy i próżny Montbarey przerzucał większość roboty na urzędników, uganiał się za fortuną i przyjemnościami, uprawiał wyuzdany protekcjonizm. Może by mu to uszło na sucho, bo wciąż miał poparcie Maurepasa, ale jego protekcje zbyt się krzyżowały z protekcjami królowej. Podobno Maria Antonina dowiedziała się, że jakiś jej faworyt musiał ulec protegowanemu panny Renard; przedstawiła królowi dowody, że utrzymanka ministra handluje stanowiskami oficerskimi. Król, wściekły, chciał ponoć natychmiast zwolnić Montbareya, a pannę odesłać do zakładu dla prostytutek. Jednakże Maurepas „uspokoił słuszny gniew króla przedstawiając mu, że jeśli sprawie nada się rozgłos, to spowoduje ona skandal za granicą i przyniesie uszczerbek jego królewskiej sławie”.

Niemniej minister był już skazany i nawet Maurepas zaczął sugerować królowi, iż jego następcą mógłby być hrabia de Puysegur. Klika Besenvala wzmogła nacisk na królową poprzez panią de Polignac, broniąc kandydatury Segura. Niestety, kandydat miał ostry atak podagry: gdy udał się do Wersalu, by bronić swoich spraw, „ukazał tam oblicze tak blade i zgnębione, wygląd tak złamany, że gdy wreszcie królowa zaproponowała go królowi... ten jej odrzekł, że nie można o tym nawet myśleć, bo Segura zżera podagra”.

Maurepas wzmógł starania o nominację Puysegura, Maria Antonina zaś zrobiła scenę pani de Polignac: uznała, iż protekcja faworyty naraziła ją na kompromitację. Pani de Polignac oświadczyła zdecydowanie, że porzuca Dwór – i scena zakończyła się atakiem płaczu obu dam, wielkim pojednaniem i obietnicami królowej, że nadal popierać będzie sprawę Segura.

W połowie grudnia 1780 r. Montbarey nagle zdecydował się na złożenie dymisji. Przez kilka dni w Wersalu szalały intrygi. Już się zdawało, że przeważą Puysegur: Maurepas nie chciał się godzić na to, by Maria Antonina robiła mu ministrów. Diuszessa de Polignac uświadomiła jednak królową, iż Mentor jest bliski sukcesu i że taki wynik pojedynku byłby dla niej „straszliwym policzkiem”. Udało się w ten sposób rozjuszyć królową. Nazajutrz Maurepas został wezwany do króla o siódmej rano. Zastał u Ludwika Marię Antoninę, która domagała się wyjaśnień, co właściwie zarzuca jej kandydatowi. Zaskoczony Mentor bronił się bardzo słabo, więc król uznał, że może opowiedzieć się za Segurem. „Monsieur, słyszy pan, jaka jest wola króla – zawołała Maria Antonina. – Proszę posłać zaraz po pana de Segur i zawiadomić go o niej”. Maurepas dąsał się potem trochę, groził nawet dymisją, ale w końcu poprzestał na niechętnym traktowaniu Castriesa i Segura („w moim wieku nie szuka się już nowych znajomości!”).

Tak się dokonała, zakłócając brutalnie leniwy spokój Maurepasa, największa zmiana rządowa od czasu klęski Turgota. Rada wzbogaciła się o dwóch nowych ministrów, którzy pasowali jak ulał do starego

towarzystwa. Segur był uczciwy, ale zupełnie mierny. Pewnego razu coś tam referował na Radzie z wielkim zapałem, ale nie formułując wniosków. Król go zapytał, jakie są jego konkluzje; Segur odrzekł niewinnie, że jego urzędnicy zapomnieli je napisać! Ludwik miał rzec: „*Eh bien*, sformułujemy te wnioski za pana”, Segur zaś wydał polecenie, „by na przyszłość nigdy nie zapominano dołączyć jego opinii do jego raportów”... Co do Castriesa, był to człowiek bardzo miły; marszałkowa de Luxembourg chyba miała słuszość twierdząc, iż jest on „czarującą nicością”.

Umocnił się wyraźnie wpływ królowej. W styczniu 1781 r. Mercy-Argenteau raportował cesarzowi Józefowi II, iż „wpływ [Marii Antoniny] na umysł króla... jest taki, że królowa mogłaby wszystko osiągnąć, także w sprawach państwowych, gdyby tylko starczało jej na to woli”. Zachwianie się pozycji Maurepasa dostrzeżono natychmiast w Wersalu – dwór był wyczulony na wszystkie takie wahania giełdy wpływów – co naturalnie umocniło Neckera. Wydawało się, że niosą go przychylne wiatry, że tendencja reformatorska weźmie górę. Było to złudzenie.



UPADEK NECKERA

Wejście dyrektora finansów do komitetów ministerialnych Dwór uznał za duży jego sukces; sam Necker zdawał się go nie doceniać. Krytykował ostro działanie komitetów: Mercy’emu powiedział, że są one „prawdziwą farsą, gdyż każdy minister myśli tam tylko o sprawach swego resortu zamiast troszczyć się o całość spraw króla”. Silny rząd działający solidarnie i sprawnie – to jedna z podstawowych zasad oświeconego despotyzmu. Urzeczywistni ją dopiero rewolucja.

Pozycja Neckera wśród elity władzy nigdy nie była komfortowa. Sartines od początku z nim się ścierał: Necker zarzucał mu marnotrawienie pieniędzy państwowych, Sartines odgryzał się jadowitymi insynuacjami, że Necker jest pupilem lorda Stormonta. Gdy wybuchła wojna, minister marynarki sugerował, że Necker, wielbiciel Anglików, paraliżuje swymi działaniami sukcesy w wojnie morskiej. Nie tylko wiatry byłyby więc w sojuszu z perfidnym Albionem, ale i szef finansów Francji. To oczywiście głupie wymysły.

W jesieni 1780 r. kampania przeciw Neckerowi nasiliła się. Inspirował ją doradca finansowy Maurepasa, Augeard, zarazem sekretarz do osobistych poruczeń królowej i zamożny finansista. Występował jako *porte-parole* potężnej grupy nacisku: ogółu *financiers*, zagrożonych reformami Neckera. Zarzucano mu, że nienawidzi *Ferme Generale* i innych *financiers* (poborców generalnych, intendentów finansów i handlu) oraz że im szkodzi w interesie międzynarodowych banków. Porównywano Neckera do Johna Lawa, którego dyktatura nad finansami Francji doprowadziła przed laty wielu Francuzów do ruiny. Wypominano mu jego burżuazyjne pochodzenie... Nie zaszkodziło to zbytnio Neckerowi. Schyłek 1780 r. umocnił go, wiatr dał w jego żagle.

Od początku Necker – podobnie jak Turgot – pragnął pozyskać poparcie

możliwie szerokiej opinii. Reformy o populistycznym kolorycie miały mu przynieść sympatię ludu: oświecona władza pragnie mieć lud zadowolony, a co najmniej spokojny. Jednakże władza ta apeluje przede wszystkim do oświeconej opinii elit. Stąd zręczna propaganda polityki Neckera, której szczytowym punktem było ogłoszenie za zgodą Ludwika XVI słynnego sprawozdania dla króla, *Compte-Rendu au Roi*. Ukazało się 19 lutego 1781 r. i już pierwszego dnia sławny wydawca Panckouke sprzedał trzy tysiące egzemplarzy; cały nakład pójdzie w dziesiątki tysięcy. Ten ogromny sukces wydawniczy jest zrozumiały: sprawy pieniężne obchodzą wszystkich, finanse państwa wszystkich dotyczą. *Compte-Rendu* jest napisany w konwencji długiego (z górą sto stron druku) listu do króla, a wiadomo przecież, że Ludwik XVI nie jest tytanem intelektu i na zawiłościach finansów się nie zna. Necker przyjął zatem poetykę wielkiego respektu, ale i wielkiej cierpliwości w tłumaczeniu królowi (a ponad jego głowę szerokiej opinii społecznej) mechanizmu finansów państwa. Ujawniał zawiłości skarbowe w sposób przejrzysty i zrozumiały: okazywało się nagle, iż te sekrety nie są tak bardzo tajemnicze. Nawet w buduarach modnych dam odnaleźć było można *Compte-Rendu* Neckera; dyskutowano o nim w kawiarniach i salonach.

Autor zagrał kartą całkowitej szczerości: „Tyle razy ludzie, a zwłaszcza podatnicy, byli oszukiwani, że jedynie długo i konsekwentnie ujawniane szczerość i lojalność mogą zatriumfować nad ich podejrzeniami” – czytamy w jego sprawozdaniu. *Compte-Rendu* ma umocnić kredyt Neckera, ułatwić nowe pożyczki, toteż autor ujawnia bilans roku 1780: dochody wyniosły 264 miliony liwrów, wydatki niespełna 254 miliony. Nadwyżka 10 milionów w trzecim roku wojny: to wynik bardzo zachęcający. *Compte-Rendu* ma także na celu stworzenie pewnej praktyki, przyzwyczajenie przyszłych szefów skarbu do jawności działań: na samym początku Necker zapowiada ogłaszanie takich sprawozdań regularnie, co pięć lat. *Compte-Rendu* jest wreszcie zręcznym sposobem pozyskiwania sobie oświeconych, liberalnych elit, a przede wszystkim burżuazji. Stąd szczegółowy opis dotychczasowych osiągnięć Neckera: relacja, jak racjonalizował administrację finansów, jak robił oszczędności na „faworach, dobrodziejstwach, rozrzutności w świętowaniu” – i jak król go w tym popierał... Jest tu zapowiedź złowieszcza dla uprzywilejowanych: „Wasza Królewska Mość nie osiągnął jeszcze granicy różnych oszczędności i ulepszeń, które może On postawić sobie za cel; wiele z nich już się przygotowuje w mym resorcie”. Przywrócenie zachwianej równowagi wymaga ograniczenia przywilejów i ulgi dla ludu: toteż *Compte-Rendu* zapowiada powrót do idei Turgota, zniesienie szarwarków. Ze znamienym komentarzem, że cała sprawa szarwarków jest w końcu „jedynie konfliktem między biednymi a bogatymi”. Biedni stanowią zaś „tę klasę Twoich poddanych, ku którym powinna się wciąż wyciągać Twa dobroczynna dłoń, Najjaśniejszy Panie, by miarkować w miarę możliwości twarde jarzmo własności i bogactwa”. Mocno powiedziane! Niektórzy współcześni świadkowie twierdzą – może z pewną przesadą – że *Compte-Rendu* znany i czytany był również pod strzechami. Pewne jest, że rozlała się nad nim szeroka fala dyskusji i docierała po części także do ludu. A

więc efekt propagandowy tej „niebieskiej książeczki” (zwanej tak od koloru okładki) jest ogromny. Necker może sobie pogratulować mistrzowskiego posunięcia. Hrabia de Segur (syn ministra) pisał, iż *Compte-Rendu* stanowił prawdziwą „rewolucję umysłową”, jako że do tej pory nawet oświeceni wykazywali wielką ignorancję w sprawach finansów państwa. Tekst Neckera torował więc drogę ideom kontroli społecznej nad skarbem królewskim, a nawet wyrażania zgody na podatki.

Maurepas niemal wcale nie był w *Compte-Rendu* wymieniany, co go mocno uraziło. Dał podobno rękopis Neckera do zbadania swemu finansowemu ekspertowi, Augeardowi. Opinia Augearda była zdecydowana: „Jeśli chce pan postąpić słusznie, nie pozwoli pan nigdy, by to dziełko się ukazało: jest potwornie niebezpieczne. Pański Genewczyk przywołuje na pomoc hołotę!” Augeard wspomina dalej, iż efekt publikacji był tak wielki, że Maurepas nie śmiał już zmierzać wprost do przepędzenia Neckera, a nawet polemikę z nim postanowił prowadzić określonymi drogami. Augeard napisał rodzaj pamfletu na *Compte-Rendu*: Maurepas był nim zachwycony, ale rzekł Augeardowi: „Musi pan to wydrukować, a potem musimy udawać, że to się nam nie podoba”. Mentor nie darował sobie jednak dowcipu: zaufanym opowiadał, że niebieska książeczka Neckera jest w istocie niebieską bajeczką, *conte bleu*. To aluzja do prymitywnych opowiadań popularnej, wydawanej w Troyes *Bibliothèque bleue*.

Inni byli bardziej jednoznaczni w ocenach. Diuk de Montmorency-Luxembourg zapisał w swych pamiętnikach, iż „*Compte-Rendu* oczarował głupców, ignorantów i entuzjastów, a wszystkich nauczył rezonować o finansach państwa”. Nie jest to jeszcze najostrzejsza opinia.

Compte-Rendu to między innymi próba odpowiedzi na paszkwile, którymi coraz częściej częstowano Neckera od 1780 r. Jego zaciętymi wrogami byli *financiers*, wśród których nie brakowało rodzin znanych i wpływowych (Ormesson, Trudaine, Fourqueux...). Nie lubił go kler (z wyjątkiem kilku biskupów-filozofów). Krytykowano Neckera zjadliwie w otoczeniu królewskich braci i wśród arystokracji dworskiej (choć były wyjątki: koteria królowej sprzyjała Neckerowi, tak samo Choiseul, diuk du Chatelet, książę de Beauvau, potężny klan Noaillesów i inni jeszcze). Przeciw Neckerowi opowiadali się dygnitarze administracji lokalnej i poza markizem de Castries wszyscy ministrowie z Maurepasem i Vergennesem na czele.

Zarzucono więc dyrektorowi finansów, że jest obcy francuskim obyczajom, że jego reformy Dworu są zwykłą destrukcją, że rujnuje kraj przeciążając budżet pożyczkami. Twierdzono, że tępiąc zasłużonych finansistów wspiera się na biurokratach swego resortu; że w podejrzany sposób łączy interesy państwa z interesami wielkich banków, a głównie banku kierowanego przez jego rodzonego brata. Jeden z pamfletów przedstawiał ograniczanie roli *financiers* (często zresztą uszlachconych) jako politykę wrogą burżuazji i stwierdzał, z aluzją do ojca i żony Neckera, iż „bourgeois z Paryża nie są wcale gorsi od zegarmistrzów i nauczycielek z Genewy”. Często też powracał zarzut, że duch genewskiego skapstwa nie da się pogodzić ze wspaniałością i hojnością francuskiej monarchii.

W kwietniu 1781 r. zrobiono Neckerowi inny jeszcze a brzydki kawał: opublikowano jego poufny memoriał do króla w sprawie Zgromadzeń prowincjonalnych. Ujawnił on to, co i tak zresztą podejrzewano: że mianowicie Zgromadzenia mają w intencji Neckera stwarzać barierę dla opozycji parlamentarnej. Do listy zaciekle wrogów Neckera dopisali się ludzie parlamentu. Paryski parlament opierał się przeciw rejestracji aktów, tworzących Zgromadzenie w Moulins.

Szczególnie jadowite ataki na Neckera wyszły z kręgu braci królewskich: ich intendenci finansów, Bourboulon, Sainte-Foix, Cromot, frenetycznie uczestniczyli w nagonce. Podejrzewano, że w paszkwili napisanym przez Bourboulona maczał palce jego patron, hrabia Prowansji, który już przed laty podobnie się dołożył Turgotowi. Ambitny i mocno zaangażowany w finansowe spekulacje hrabia Prowansji stawał się specjalistą od tępienia ministrów-reformatorów. Paszkwil Bourboulona szczególnie rozwścieczył Neckera, bo wśród innych, standardowych zarzutów zawierał także oskarżenia, iż *Compte-Rendu* przedstawia fałszywy obraz finansów Francji.

Cóż na to wszystko Ludwik XVI? Przez długi czas cenił Neckera jako świetnego technika finansów, który nie obciążając ludu podatkami zapełnia skarb państwa i pozwala planować z rozmachem działania wojenne. Ostrzegano króla, że pożyczki rozpisywane przez Neckera obciążają skarb wysokimi procentami (45 milionów rocznie), a przyszłe generacje – spłatą kapitału (530 milionów). Ale Necker trafiał do wyobraźni Ludwika, gdy twierdził, że pożyczki powiększają liczbę rentierów oddanych królowi, bo ten przecież trzyma w ręku ich pieniądze; że ta wielka masa nowych rentierów stabilizuje ustrój, bo we własnym interesie sprzeciwia się wszelkim wstrząsom w systemie rządzenia. Potężnym atutem Neckera w stosunkach z Ludwikiem było poparcie królowej i jej koterii, a także „Neckromania”, jak to zwano, sporej części szlachty dworskiej. Z drugiej strony król zaniepokoił się niektórymi akcentami antyneckerowskiej kampanii z wiosny 1781 r.: twierdzeniami, że reformy ustrojowe Neckera grożą upadkiem: monarchicznego ustroju i że jego *Compte-Rendu* otworzył bramę dla niebezpiecznych dyskusji o sekretnych dotąd sprawach państwa. Ludwik postanowił zasięgnąć opinii Vergennesa, do którego miał dużo zaufania.

Vergennes z natury rzeczy był rywalem Neckera do spadku po bliskim już śmierci Maurepasie, tj. do stanowiska głównego ministra. Ponadto Vergennes obsesyjnie nienawidził zwolenników innowacji. Pracowity, świetnie obeznany z wielką sceną dyplomacji, rozważny, ale całkowicie pozbawiony wyobraźni Vergennes bezmyślnie bronił tradycyjnych zasad absolutyzmu. Zauważmy nawiasem, że ów tępy konserwatysta do dziś jest ulubionym bohaterem prawicowej historiografii, która dyskretnie przemilcza kompromitujące go wypowiedzi. Takie, jak memoriał przeciw Neckerowi, przygotowany na prośbę króla i datowany 3 maja 1781 r. A jest to dokument, wart krótkiej analizy.

Vergennes zaczyna od twierdzenia, że wielce niedogodne jest powierzanie finansów państwa cudzoziemcowi, republikaninowi (!) i protestantowi. „By zapewnić szczęście Francuzów – oznajmia – trzeba nieustannie tłumić

ten gust do nowości, do którego ciągle ich popycha sam ich charakter”. Wszystkie wstrząsy w państwie – rewolucje czasów Ligi, Mazarina, Lawa – były dziełem ludzi „obcych naszym obyczajom”: teraz Necker wpisuje się na ich listę. Stan społeczny Francji Vergennes ocenia, z wielką doprawdy bystrością, jako całkowicie podatny na rządy absolutne, gwarancję siły i pomyślności kraju („Monarcha przemawia – i wszyscy są ludem, wszyscy są mu posłuszni”). Niestety, Neckera nie zadowala „majestatyczny obraz tej harmonii”. Dalej Vergennes zapewnia, że powie wszystko z całą szczerością: oto „zaczęła się we Francji walka między ustrojem francuskim i reżimem pana Neckera... We Francji trzeba zaś urodzić się ze znakomitej rasy lub co najmniej wyznawać przyjęte zasady... aby owocnie administrować sprawami króla”. Necker „jest podejrzany w oczach kleru, znienawidzony przez wielkie rody, oskarżany bezlitośnie przez dygnitarzy finansów, łżony przez parlamenty, jego zaś *Compte-Rendu* to, w rezultacie, jawny apel do ludu, którego skutków, zgubnych dla monarchii, nie można jeszcze przeczuć ani przewidzieć”. I argument, który ma dobić Neckera: *Compte-Rendu* zawiera tezę, iż dotąd finanse były tajemnicą. To oznacza, że się odbiera wiarygodność królom, a gwarancję zaufania do rządu lokuje „nie w królewskim słowie, lecz w moralnych zaletach ministra finansów”. I dalej: „Pan Necker poucza partię, którą nazywa opinią publiczną, że pod rządami dobrego króla, monarchy przyjaznego ludowi, to minister finansów jest jedyną nadzieją i – dzięki swym cechom moralnym – jedyną gwarancją dla wierzycieli państwa”. W ten sposób ktoś, kto powołany jest do obrony godności tronu, zadał jej ciężką ranę, która długo się nie zablizni.

Memoriał Vergennesa zrobił wielkie wrażenie na jego adresacie. Później Ludwik ujawniał, co go najbardziej zraziło do Neckera: jego plany reform i to, że chciał „uczynić z mego królestwa republikę, w której się głośno krzyczy o sprawach państwa, jak to się dzieje w Genewie”. Necker nie wiedział o tej zmianie nastroju monarchy. Popęłił błąd częsty u dobrych (a niekiedy nawet u marnych) ministrów: uznał się za człowieka niezastąpionego. Postanowił zagrać *va banque*, postawić swoje warunki grożąc dymisją w przypadku ich odrzucenia.

Zażądał, by wśród szalejącej przeciw niemu kampanii pamfletów i paszkwili król dał mu widomy dowód zaufania. Domagał się przymusowej rejestracji w parlamencie – przez *lit de justice* – aktu dotyczącego Zgromadzenia prowincjonalnego w Moulins; dania mu kontroli nad wydatkami resortów wojny i marynarki; członkostwa w królewskiej Radzie. Warunki swoje przedstawił najpierw Maurepasowi: miał już dość upokarzającego pośrednictwa Mentora między nim a królem, wydzierania zgody Maurepasa na wszystkie reformy i inicjatywy. Wspominał potem, że bardzo cierpiał drapiąc się ciemnymi schodami do mieszkania Maurepasa („pod dachami Wersalu, nad apartamentami króla”), aby się z nim targować, nieraz bez skutku, o każdą decyzję. Rozumiał, że ostrożnie i niechętnie dozowane poparcie Mentora to tylko nagroda za pieniądze, które zdobywał dla skarbu w samym środku działań wojennych.

Rozmowę z Maurepasem na temat jego warunków znamy z jego własnej relacji. Mentor sprzeciwiał się wejściu Neckera do Rady („Pan w Radzie?

Ależ, przecież nie chodzi pan na mszę!”). Otrzymał odpowiedź, że Sully, słynny protestancki minister Henryka IV, był członkiem Rady, choć też nie chodził na mszę... Z obraźliwą i ironiczną nonszalancją Maurepas namawiał ponoć Neckera na przyjęcie wiary katolickiej; obiecywał mu, że zamiast udziału w Radzie może mu załatwić... prawo wstępu na królewskie pokoje podczas uroczystego porannego wstawania monarchy. Było to jeszcze jedno upokorzenie.

W połowie maja, gdy dwór bawił w Marly, Necker wręczył królowi swój memoriał z żądaniami. Ufał w swój sukces, uważał się już przecież za niezastąpiony filar oświeconego absolutyzmu. Nie docenił chytryści Maurepasa, przecenił polityczną mądrość Ludwika. Maurepas bez trudu podniecił wzbierającą już i tak niechęć króla do szefa finansów, podważającego podstawy monarchii i autorytet władcy. Wystarczyło powiedzieć, że Necker pogardził prawem wstępu na lever króla, że uważa się za geniusza równego Sully'emu! 19 maja Maurepas przekazał Neckerowi odpowiedź króla na jego żądanie: zdecydowaną odmowę. Nie pozostawało mu żadne inne wyjście poza natychmiastowym złożeniem dymisji. Był tym złamany. Nieżyczliwy Georgel pisze, że coś tam bełkotał i nie mógł otworzyć sobie drzwi, by wyjść od Maurepasa; ale i przyjazny Marmontel wspominał, że państwo Necker, przyjmując wyrazy żalu sympatyków, „nie ukrywali swego głębokiego smutku”. Georgel dodawał, że „w Paryżu pan Necker opłakiwany był przez lud, który upatrywał w nim swego protektora i swe oparcie”; że na prowincji jego upadek chłopi potraktowali niemal jako publiczną żałobę, bo Necker był „wrogiem podatków, intendentów i poborców”. Wedle Georgela portrety Neckera wisiały w wielu chłopskich chatach. Soulavie potwierdzał informację o popularności portretów Neckera, ale też wspominał pewną gawiurę z Neckerem i podziwiającą go córką, sławną potem panią de Stael. Otóż autor gawiury kilka razy zmieniał głowę jej bohatera. W 1781 r. Neckera zastąpił Vergennes, w 1789 r. powrócił pierwowzór, w 1793 r. zamiast Neckera zjawił się Marat. Gawiurę sprzedawano dobrze, a pani de Stael cierpliwie adorowała kolejnych bohaterów.

„Król polował właśnie na równinie Saint-Denis, gdy pan Necker przejeżdżał tamtędy, by udać się na wieś. Nasi kalamburzyści pytają: Czy król coś upolował? – i odpowiadają: Pana Neckera!” Ludwik odniósł świetne zwycięstwo nad „republikaninem” i „heretykiem”. Odrzucił szansę despotyzmu oświeconego, podobnie jak przed pięciu laty zrezygnował z szansy liberalizmu w angielskim stylu. Uznał racje Vergennesa, który mu tłumaczył: „Wasza Królewska Mość zrobił już bardzo duże ustępstwa temu duchowi innowacji, który dręczy ludzi i który należałoby przygasić zamiast go podniecać. Ten zapal dla nowatorstwa powiększa swe apetyty i roszczenia w miarę, jak mu się przyznaje nowe fawory – i teraz stał się już niebezpieczny”. Nie będzie więc w najbliższym czasie żadnych zmian w starożytnej konstytucji królestwa Francji i Nawarry. Opinia publiczna, burżuazyjna i ludowa, może sobie opłakiwać pana Neckera: nie ma ona ani instytucjonalnych form, w których mogłaby się wyrażać z całą siłą, ani wrażliwych odbiorców wśród elity władzy, równie konserwatywnej jak zadufanej.

„Upolowany” Necker nie zniknie jednak ze sceny. Król powtarzał wiele razy, że nie chce już słyszeć o tym człowieku, ale historia okazała się nielojalna wobec jego królewskiej absolutnej woli. Legenda o Neckercie, przyjacielu ludu, posłuży jego powrotowi do władzy w sierpniu 1788 r., u progu rewolucji.



LATA SUKCESÓW

Dwa lata, które przysły po dymisji Neckera, są dla Ludwika XVI chyba najlepszym okresem całego panowania. Jest to triumf władzy: nikt mu nie zakłóca spokoju rządzenia pomysłami reform, nikt go nie chce wyręczać w roli absolutnego władcy. Po śmierci Maurepasa nie będzie nawet głównego ministra. Triumf wojenny: Anglia musi uznać swą porażkę, zwycięski pokój zawarty w 1763 r. wymazuje z pamięci klęskę Francji sprzed lat dwudziestu. Triumf dynastyczny: Ludwikowi rodzi się wreszcie, po przeszło jedenastu latach małżeństwa, syn i dziedzic korony.

Jakże kruche są wszystkie te sukcesy! Triumf władzy? Pozorny, bo rezygnacja z reform spowoduje blokadę instytucji politycznych, niezdolność rozwiązywania wzbierających konfliktów i w rezultacie odmowę uznania przez społeczeństwo systemu władzy w jego dotychczasowej postaci. Wojna amerykańska jest wygrana, ale ogromne wydatki wojenne przyczyniły się niemało do kryzysu finansów państwa, a przykład buntu Amerykanów nie pozostał bez wpływu na stan społecznej świadomości. Dziedzic korony nie dożyje nawet ośmiu lat, nie będzie nigdy Ludwikiem XVII.

Dymisja Neckera nie ułatwia startu do nowego okresu. Sekretne korespondencja z Wersalu dnia 21 maja 1781 r. informuje: „Tylko ci, którzy mają powody, by nienawidzić reform i reformatorów, oraz ci, którzy żyją z [eksploatowania] finansów państwa, cieszą się; większa część narodu jest skonsternowana”. Marmontel notował, że gdy Maurepas informował wesoło w swym salonie o dymisji Neckera, „przyjaciele zapytali go, kogo też powoła na to miejsce; wyznał im, że wcale o tym nie pomyślał”. Kardynał Rohan zasugerował wówczas pana Joly de Fleury – i ten został szefem finansów. Był to człowiek ze środowiska parlamentarnego i Maurepas wierzył, że zapewni dobre stosunki Dworu z parlamentem, kluczowe dla spraw finansowych. Wszelako Fleury był ministrem bardzo miernym. Tzw. pamiętniki Webera oceniają go bezlitośnie: „nieudolny w sprawach finansów, barbarzyńca w prawodawstwie, zresztą świetny opowiadacz anegdot”. To przesada. Fleury był zdeklarowanym konserwatystą, ale wcale niezłym prawnikiem. Rzeczywiście miał słabe pojęcie o technice finansów („więcej reputacji niż talentu”, pisał Georgel). Co gorsza, jego współpracownicy to miernoty. Nie bardzo więc wiedział, jak sobie poradzić: Necker jeszcze i po odejściu paraliżował swoich następców. Nie powiększał przecież podatków – i było bardzo niezręcznie zerwać teraz brutalnie z taką polityką. Ale Necker cieszył się zaufaniem banków i rentierów, co mu pozwalało wypuszczać wciąż nowe pożyczki; Fleury na taki kredyt liczyć nie mógł. Ostatecznie więc lawirował między podatkami i pożyczkami.

Ludwikowi zależało na podkreśleniu, że polityka Neckera nie jest zarzucona. Nadal obowiązują oszczędności – i latem 1781 r. król ogłasza reformę swoich stajni, zniesienie 80 stajennych posad... Nie są też zarzucone różne populistyczne gesty. Nie wszystkie są szczęśliwe. Choroba hrabiny Artois zmusiła dwór do odwołania tradycyjnego balu gwardzystów królowej. Król postanowił więc, by rozdać przygotowane jadło szpitalom i przytułkom. „A ponieważ byłoby niebezpiecznie podać tyle pasztetów z truflami chorym i rekonwalescentom, więc panuje opinia, że wszystko poszło, we właściwy sposób, na użytek dyrektorów i administratorów, ich przyjaciół i przyjaciółek”.

Inne prezenty król robi swej rodzinie: ciągle płaci długi żony i rodzeństwa, w tym także siostry, Madame Elisabeth. Ta pobożna młoda dama – rojalistyczna tradycja lubi ją przedstawiać jako anioła żyjącego modlitwami – ma kolosalne apetyty, w sensie dosłownym i przenośnym. W zimie 1781 r. okazało się, że królowa jest znowu w ciąży: król jej podarował wspaniałe diamenty wartości 750 tys. liwrów, które ongiś Ludwik XV zamówił był dla pani du Barry. Dnia 22 października 1781 r. Maria Antonina odwdzięcza się królowi pięknym i zdrowym synem, Ludwikiem: przy jego urodzinach zniesiono wreszcie barbarzyńskie prawo otwartych drzwi. Provence i Artois są zgnębieni, za to król eksploduje radością. Przez trzy dni obowiązuje powszechna iluminacja domów, delegacje wszystkich stanów i grup społecznych pojawiają się w Wersalu, biedakom rozdaje się żywność, grają orkiestry, w kościołach *Te Deum*, teatry dają bezpłatne przedstawienia. Między innymi w Rouen teatralna trupa gra komedię ze śpiewem i tańcami pana Collota d’Herbois pod tytułem *Delfinowe święto*: płaskie pochlebstwo dla pary królewskiej i jej syna; rzecz się dzieje w wiosce normandzkiej i ma ukazać nieprzebrane zasoby miłości wiejskiego ludu do monarchy oraz jego wytęsknionego sukcesora. Takich przedstawień było na pęczki, spektakl z Rouen zasługuje tylko dlatego na uwagę, że jego autor będzie potem zajadłym jakobinem: to on złoży w Konwencji, 21 września 1792 r., wniosek o zniesienie we Francji monarchicznego ustroju.

I jeszcze jedno wydarzenie rodzinne: w środku lata pojawił się znowu w Wersalu cesarz Józef II. Wizyta była bardzo krótka, sześciodniowa. Wystarczyło wszakże czasu, by znowu poddać krytyce postępowanie Marii Antoniny, moralizować ją i instruować. Rozrzutność i gust do hazardu rażą bowiem ciągle cesarza: jego afektowana skromność również mogła irytować, ale gdy krytykował siostrę i Wersal, miał rację. Nawet potulny, unikający rodzinnych awantur Ludwik XVI czasem zżymał się i buntował. „Gruba gra zaczynała się zazwyczaj dopiero wtedy, gdy król już wychodził. Uprzedzony o tym podstępnie, wszedł kiedyś około północy. Na stole były całe stosy złota i biletów bankowych: król zagarnął wszystko i rozkazał, by całą konfiskatę rozdzielić między ubogich”. Oto Robin Hood na królewskiej posiadzie!

Józef II miał również i polityczne sprawy do omówienia. Cesarz, do spółki z Katarzyną rosyjską, bardzo pragnął narzucić Francji mediację w wojnie z Anglikami. Nic z tego nie wyszło, obie strony nie życzyły sobie jeszcze pokoju. Dopiero jesienią 1781 r. nastąpi wydarzenie na wagę

wygranej wojny. Najpierw we wrześniu admirał de Grasse zwyciężył Anglików w bitwie morskiej u wylotu zatoki Chesapeake. To przesądzi o losie armii brytyjskiej zamkniętej w głębi zatoki, pod Yorktown. Jej dowódca, generał Cornwallis, musi skapitulować 19 października przed połączonymi siłami Waszyngtona i Rochambeau. Wojna będzie jeszcze trwała przez kilkanaście miesięcy, ale wiadomo już, że Anglicy jej nie wygrają.

Entuzjazm z powodu urodzin delfina i zwycięstwa pod Yorktown przyczynia się do śmierci hrabiego de Maurepas. Osiemdziesięcioletni Mentor, zżarty podagrą, już 10 listopada jest w agonii; potem się wycofało, że ma jednak szansę wyzdobrzeć. Sprowadzono doń z Montpellier sławnego lekarza Barthesa, który już nic nie pomógł, a wystraszył jedynie innych lekarzy, lepiej znających stan chorego. 18 listopada przyszedł drugi kryzys, ale dopiero po trzech dniach zdołał dobić starca. Ludwik XVI opłakiwał go rzeszście: złośliwi twierdzili, że król miał wrażliwość kobiecą, powierchową, lecz łatwą do pobudzenia i skłoną do wylewania łez.

Mercy-Argenteau raportował Józefowi II, że naciska na Marię Antoninę, by wywarła w odpowiednim momencie wpływ na męża i zapewniła korzystny – dla Austrii, oczywiście – wybór głównego ministra. Austriacki ambasador uważa pojawienie się takiego następcy Maurepasa za rzecz nieuchronną: zmuszają do tego kroku „miernota obecnych ministrów, słaba solidarność w ich gronie, moralne dyspozycje króla, które sprawiają, iż jest mu niesłychanie trudno podjąć jakąkolwiek decyzję”. Ale po kilku tygodniach Mercy nie jest już tego tak bardzo pewny: „Od pewnego czasu – pisze – król ujawnia zazdrosną wolę pełnienia roli szefa [*maitre*]; okazuje nieco zazdrości o swoją władzę i dużo obawy, by nie sądzono, że ktoś nim rządzi”. Dotyczy to również królowej. Kaunitzowi, kanclerzowi cesarstwa, Mercy z brutalną szczerością tłumaczy, że Maria Antonina z trudem tylko może wywierać wpływ na męża, „zważywszy, iż nie ma nic trudniejszego, jak kierować głupcami, zawsze bardziej podejrzliwymi i nierozsądnymi od innych ludzi”. Król woli tolerować ekstrawagancje żony i płacić jej horrendalne długi, niż dopuścić ją do politycznych decyzji.

Nie ma więc głównego ministra. Vergennes będzie w bliższych niż inni stosunkach z monarchą, Ludwik będzie się z nim poufnie konsultował w różnych sprawach, ale nie przyzna mu dominującej pozycji w rządzie. Z każdym ministrem król pracuje osobno, nadal więc brak koordynacji działań resortów, wszyscy ministrowie lubią chadzać samopas i dbać o interesy tylko swojego departamentu.

Głównym problemem, który pochłania w 1782 r. czas i energię Ludwika XVI i Vergennesa, jest przygotowanie dobrego pokoju z Anglikami. Sprawa niełatwa, bo wymaga uzgodnienia nader rozbieżnych interesów i oczekiwań aliantów Francji, Hiszpanii i Stanów Zjednoczonych. Hiszpanie chcieliby odzyskać Gibraltar, na którym Anglikom bardzo zależy; Amerykanie spierają się z Hiszpanami o zasięg wpływów w Ameryce, sporne są problemy przywilejów handlowych poszczególnych stron.

Sprawę pokoju, paradoksalnie, przybliżyła dotkliwa klęska admirała de Grasse, zwycięzcy spod Chesapeake, który w kwietniu dał się pobić na Morzu Karaibskim brytyjskiemu admirałowi Rodneyowi. To ułatwia Bry-

tyjczykom negocjowanie bez upokorzenia: klęska pod Yorktown trochę się teraz zatarła w angielskiej opinii. Ale i Ludwik XVI nie ma powodu, by się nadmiernie trapić porażką. Wyzwoliła ona piękny odruch francuskiego patriotyzmu. Klasy zamożne decydują się na subskrybowanie dużych sum, pozwalających z nawiązką pokryć straty w okrętach wojennych. Nowe oddziały zasilają korpus Rochambeau, szlachta ubiega się o prawo wyjazdu na wojnę do Ameryki. Admirał Suffren z brawurą bije Anglików w Indiach. Rząd w Wersalu nie doceni ani jego talentu, ani wagi teatru wojennego, na którym Suffren działał: zresztą azjatyckie sukcesy przyszły w momencie, gdy myślano już tylko o pokoju.

Rokowania toczą się więc wiosną i latem 1782 r. w Paryżu, Hadze, Londynie. Do Europy przybyli dwaj przedstawiciele amerykańskiego Kongresu, Adams i Jay, którzy są twardsi od starego Franklina. Anglię reprezentuje lord Grenville, Hiszpanię hrabia Aranda. Ale obok negocjacji oficjalnych rozwijają się rokowania poufne, w których jeden aliant pragnie ocyganić drugiego. Vergennes posyła więc swego agenta do Londynu bez wiedzy Amerykanów, ci się rewanżują rokowaniami z Anglią na własną rękę. 30 września 1782 r. w Londynie podpisane zostały preliminaria pokoju między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. Vergennes jest wstrząśnięty tą „nielojalnością” Amerykanów: oto jakie są rezultaty zadawania się z buntownikami!

Nieco wcześniej, w maju i czerwcu, Wersal podejmuje hrabiego Północy z małżonką. Pod tym pretensjonalnym tytułem kryje się następca tronu Rosji, wielki książę Paweł Piotrowicz. Brzydki, popędliwy, opowiadający historie zgoła niedyplomatyczne, a czasem mrozące krew w żyłach – uchodzi w oczach wersalskiej elity za półbarbarzyńcę. Jest w nim, istotnie, ziarno szaleństwa; ale ten orientalny despota potrafi docenić wartość *Wesela Figara* Beaumarchais’go, sztuki, której Ludwik XVI wciąż blokuje wstęp na scenę; potrafi też ujawnić ciekawość Francji prawdziwej – Paryża i prowincji, tej Francji, której zupełnie nie zna jej monarcha. Wizyta hrabiego Północy jest świetnym sukcesem towarzyskim: galowy bal z 8 czerwca pozostał w pamięci arystokracji dworskiej jako bodaj najświetniejszy za czasów Ludwika XVI.

Dyplomatycznego sukcesu nie przyniosła. Rosja i Austria zmawiały się w tym 1782 r. o wspólny rozbiór niektórych posiadłości tureckich. Zaniepokoiło to Francję, ale także i Anglię: w konsekwencji rokowania pokojowe zostały przyśpieszone. Najeżone były trudnościami, głównie wskutek postawy Hiszpanów, którzy absolutnie nie chcieli zrezygnować z Gibraltaru. Ludwik XVI i Vergennes z największym wysiłkiem wytłumaczyli im, że ten kawałek skały nie wart jest jeszcze jednego roku wojny, a zresztą militarnie jest nie do zdobycia. 20 stycznia 1783 r. w Wersalu zostały podpisane preliminaria pokoju między Anglią a Francją. Wojna jest wygrana: Francja odzyskuje swe faktorie w Indiach, w Ameryce zaś wyspy Tobago, Saint-Pierre, Miquelon; w Afryce zatrzymuje Senegal. Otrzymuje też prawo połowu przy wybrzeżach Nowej Fundlandii. Z Dunkierki zostaje usunięty brytyjski komisarz pilnujący, by jej nie fortyfikowano: to upokorzenie dla francuskiej suwerenności było rezultatem przegranej wojny siedmioletniej. Anglicy zachowują jednak

Kanadę.

Ludwik XVI jest u szczytu powodzenia. Zwycięski monarcha sławiony jest w piosenkach i teatrach, w kościołach i na ulicy. Karnawał 1783 r. jest bardzo świetny, atmosfera narodowego triumfu panuje dość powszechnie. Vergennes zwierza się diukowi de Croy, że liczy na sławę z zawartego właśnie pokoju w długiej, stuletniej perspektywie. Oczywiście, nie brak i mal-kontentów – także w otoczeniu króla, wśród przyjaciół królowej – twierdzących, że wyniki wojny są zupełnie nikłe w porównaniu z jej kosztami i ofiarami. Niektórzy obliczają ogólny koszt wojny na prawie półtora miliarda liwrów: suma jest zaiste astronomiczna.

Król podobno rozważał, jak wynagrodzić Vergennesa za jego trudy: czy mianować go diukiem, czy dać mu wysokie i dochodowe stanowisko. Podnosić go do rangi głównego ministra nie miał zamiaru: nadal uważał, że świetnie sam sobie daje radę z rządem. Vergennes został więc w lutym 1783 r. mianowany przewodniczącym Rady finansów. To było stanowisko raczej honorowe, ale dające dochód 60 tys. liwrów rocznie. Czemuż by jednak nie skorzystać z okazji przywróconego pokoju, nie zadbać wreszcie o ulgę dla ludu? Można przecież teraz oszczędzić na wydatkach państwa, znieść najuciążliwsze podatki, uprościć ich pobieranie. Niechże się tym zajmie owa Rada finansów pod prezydencją Vergennesa, z udziałem ministrów sprawiedliwości i finansów, Miromesnila oraz Fleury'ego, wspierana przez wybitnych techników finansowych. Zamysł był zacny choć niełatwy: Francja wychodziła z wojny osłabiona trwającą już osiem lat kiepską koniunkturą ekonomiczną i wydatkami wojennymi; zadłużenie skarbu bardzo wzrosło. Oszczędności i sprawiedliwe rozłożenie podatków (ulgi dla stanu trzeciego, obciążenie uprzywilejowanych) były teraz nierównie pilniejsze niż za czasów Turgota. Trzeba jednak, by reformatorzy nie obawiali się robić reform. A Vergennes, Miromesnil, Joly de Fleury to przecież sam kwiat wersalskiego konserwatyzmu. Uznali, że całą sprawę sprowadzić można do radykalnego zmniejszenia wydatków wojny i marynarki: Rada finansów miała więc ambicje sprawowania kontroli nad tymi dwoma resortami.

Zachwiało to stabilizacją rządową, bo wojskowi ministrowie, Segur i Castries, uznali takie roszczenia za niedopuszczalne; Segur mówił wręcz, że jest to walka na śmierć i życie między „ludźmi togi” a szlachtą wojskową i że nie zniesie, by równy mu rangą Vergennes był kontrolerem jego wydatków. Obaj zagrozili dymisją. Besenval podaje dwa znamienne szczegóły. Oto „pan de Castries poszedł do królowej i ponieważ dzięki niej otrzymał urząd, jej złożył swą dymisję”. Król zajął stanowisko twarde: uznał, że nie może dać się zdominować przez własnych ministrów – i królowa go w tym poparła! Gdy pani de Polignac w imieniu całej koterii tłumaczyła Marii Antoninie, że utraci dwóch dobrych ministrów, których sama wypromowała, dostała odpowiedź: „Jeśli im się nie podoba, mogą sobie odejść; nie zabraknie ludzi, którzy ich zastąpią”. Tłumaczy się to między innymi dobrymi stosunkami, jakie królowa nawiązała z uległym wobec niej Vergennesem.

Król nie przepadał za dwoma buntownikami: Segur był mało elastyczny, Castries musiał wysłuchać niemało gorzkich słów od Ludwika na temat

miernych sukcesów marynarki w toku wojny. Nie zależało jednak królowi na prowokowaniu kryzysu rządowego. Sprawa oszczędności i reform zaczęła się wnet rozmazywać, Rada finansów jako organ efektywnej kontroli nie przeżyła do końca 1783 r. Za to już w czerwcu Segur i Castries zostali udobruchani awansem na marszałków. Jediną ofiarą tej burzy w szklance wody stał się Joly de Fleury, który z jednej strony był zajadłym wrogiem Castriesa, z drugiej zaś bardzo źle przyjął powołanie Vergennesa na szefa Rady finansów. Odszedł z rządu wiosną 1783 r. obsypany pieniędzmi przez króla.

Sam Ludwik wybrał jego następcę w osobie pana d'Ormesson, pracowitego i uczciwego, ale całkowicie zielonego w sprawach finansów. Tłumaczył się on królowi, że jest za młody na takie stanowisko (a miał lat 32); Ludwik replikował, że jego funkcje są trudniejsze, a jest od Ormessona młodszy... Dwór szydził bezlitośnie z nieposzlakowanej uczciwości nowego ministra; złośliwe dowcipy sugerowały, że uczciwość nic nie jest warta bez fachowości („Proszę przyjść do mnie na obiad, mam bardzo złego kucharza, ale to człowiek wielce uczciwy!”; „Mam dzikiego konia, szukam do ujeżdżenia go stajennego o wypróbowanej uczciwości”). D'Ormesson nie bez powodu budził żywiołową niechęć dworaków: sprzeciwiał się rozrzutności, odmówił spłacenia długów hrabiego Artois, ba, nawet samemu królowi robił trudności, gdy Ludwik postanowił kupić – bardzo drogo – pałac w Rambouillet od księcia de Penthièvre. Co gorsza, Ormesson zdawał się na fachowe rady niejakiego Costera, który współpracował z Neckerem. Pojawiły się więc projekty reform zagrażających znów finansistom i zwłaszcza Dzierżawie Generalnej. Tego już nie można było darować.

Gdy zatem we wrześniu 1783 r. Ormesson zaczął się zapożyczać, dość nieostrożnie, w mającej prawo emisji biletów bankowych Kasie Dyskontowej – jego wrogowie zorganizowali panikę. Zrobił się run na kasy, trzeba było częściowo zawiesić wymianę biletów na pieniądze. Ormesson nie przetrwał tej machinacji finansistów i dworaków zaniepokojonych o swe dochody i pensje. Ustąpił. Rządy jego następcy, Calonne'a, to już zupełnie nowy rozdział dziejów panowania Ludwika XVI. Rozdział bardzo żałosny.

Dwa lata po odejściu Neckera, lata pomyślności i sukcesów, pod powierzchnią zdarzeń kryły bardzo niekorzystne zmiany. Necker uznał, że szale przechylły się już nadto na korzyść uprzywilejowanych. To prawda banalna. Ale sama obecność Neckera w rządzie była świadectwem niejakich możliwości politycznych stanu trzeciego w konserwatywnej, feudalnej monarchii Ludwika XVI. Jako minister Necker mógł choć po części wyrażać interesy nieuprzywilejowanej większości Francuzów. Jego obecność w rządzie wykluczała klimat jaskrawej nietolerancji dla źle urodzonych, protestantów, cudzoziemców. Stwarzała nadzieje na ograniczenie przywilejów elity w imię ulg dla ludu i usatysfakcjonowania burżuazyjnych aspiracji.

Lata po dymisji Neckera to nie tylko rozwianie owych nadziei, lecz i dalsze przechylenie szali na korzyść uprzywilejowanych. Monarchia Ludwika XVI tolerowała rosnący nacisk właścicieli ziemi na chłopów: obciążenia ludności chłopskiej zwiększały się powoli, nie bez oporów, lecz jednak wy-

rażnie. Monarchia wspierała rosnący ekskluzywizm szlachty. Liczba nobilitacji zmniejszała się. Szlachta uważała, że wszystkie ważne stanowiska publiczne jej się jedynie należą. Gdy w r. 1783 ksiądz Beauvais zrezygnował z biskupstwa, w całym episkopacie francuskim nie było już ani jednego nieszlachcica. To samo dotyczy wysokich funkcji państwowych. W maju 1781 r. ordonans ministra Segura wykluczał od funkcji oficerskich tych, którzy nie mogli się wylegitymować szlachectwem w czterech generacjach. Obciążano tą dyskryminacyjną zasadą Segura: niesłusznie, bo minister oponował przeciw niej stanowczo; swój ordonans zredagował na rozkaz króla, którego zdanie popierała monarsza Rada. Od sierpnia 1781 r. ta sama zasada obowiązywała w wojskach kolonialnych, później rozciągnięto ją i na marynarkę.

Szlachta uważa, że jej się słusznie należy ów ogromny strumień łask, pensji, gratyfikacji, który na nią spływa od króla. Nawet swym wrogom król nie odmawia wsparcia: Choiseulowi pomógł spłacić długi czteromilionową pożyczką. To jednak nic w porównaniu z 33 milionami długów księcia de Rohan-Guemenee z potężnego klanu Rohanów. Jesienią 1782 r. skandaliczne bankructwo tego wielmoży było sensacją nie tylko Wersalu. Dotknęło boleśnie parę tysięcy wierzycieli księcia, w tym wielu ludzi niezamożnych, którym książę pan nie był łaskaw zapłacić należności: są to kupcy, dostawcy, lokaje, stangreci. Król zareaguje na skandal rozkazem aresztowania... zarządcy majątku Rohana oraz jego notariusza! Potem pomoże bankrutowi spłacić najpilniejsze długi. Pani de Guemenee utraci jednak w związku ze skandalem swe stanowisko guwernantki Dzieci Francji. Nawiasem mówiąc następstwo po niej również jest gorszące: Maria Antonina wymogła na królu, by mianował guwernantką swych dzieci diuszessę de Polignac.

Później, gdy Ludwik spróbuje – jakże połowicznie – ratować skarb państwa kosztem przywilejów możliwych panów, narazi się na ich agresywne, czasem wręcz obelżywe protesty. Będzie je połykał ze zdumiewającym spokojem.

Ostatnie lata feudalnej monarchii są więc złotą jesienią arystokracji. Nigdy jeszcze Korona tak nie hołubiła dworskiej szlachty i tak nie popierała szlacheckiego ekskluzywizmu. Z jednym ograniczeniem: król nie zgodzi się na arystokratyczną kuratelę nad jego władzą z Bożej łaski.

Ludwik XVI wkracza w drugie dziesięciolecie swych rządów i w trzydziesty rok życia jako władca zupełnie już samodzielny, pewniejszy siebie niż dotąd, przekonany, że potrafi kierować sobą samym, swą rodziną i swoim krajem. Warto przyjrzeć mu się uważniej jako człowiekowi, głowie dynastii, szefowi rządu.





IV. LUDWIK, SZESNASTY TEGO IMIENIA



CZŁOWIEK

„Ludwik, szesnasty tego imienia, trzydziesty drugi swojej rasy [tj. dynastii]” nie był postacią majestatyczną. Przeciwnie. Oto 14-letni hrabia de Tilly przybywa do Wersalu jako nowy paź królowej: „Obecność króla wcale mnie nie onieśmieliła. Jego twarz nie spełniała mych oczekiwań, była prosta i dobroniuszna, gdy ja życzyłbym sobie, aby miała charakter i majestat... Wolałbym, aby można było z niej wyczytać: Jeśli tak będzie trzeba, potrafię okazać wolę, rozkazywać i karać”. Madame Campan pisała: „Ludwik XVI miał rysy dość szlachetne, zabarwione melancholią; jego ruchy były ciężkie i bez wdzięku, w całej osobie bardzo był zaniedbany, jego włosy – bez względu na talenty fryzjera – szybko wracały do nieładu, bo nie troszczył się o ich utrzymanie w porządku. Jego głos nie był przykry, ale nie miał też nic przyjemnego; gdy podniecał się przy mówieniu, często mu się zdarzało przechodzić od średniej skali do tonów ostrych”. Wśród anegdot o Ludwiku XVI, które od świadków zebrał historyk Amedee Renee, jest i taka: „W kaplicy śpiewał głosem tak fałszywym i tak donośnym, że dworacy nie ustawali w śmiechu podczas nabożeństwa”.

Szybko zaczął tyć i nie pomagały różne sposoby walki z wagą. Oto świadectwa z 1778 r.: „Ponieważ król poważnie przybiera na wadze, lekarze poradzili mu dużo chodzić i Jego Królewska Mość postępuje za tą dobrą radą... Król tyje w oczach i medycy zalecają mu pić wodę Vichy, by powstrzymać, jeśli się da, nadmierną i niebezpieczną otyłość”. Nic z tego. W 1787 r. Mercy-Argenteau raportuje: „Fizyczne przyzwyczajenia króla wpływają nań coraz bardziej niekorzystnie: robi się coraz grubszy, a powroty z polowań pociągają za sobą tak nieumiarkowane posiłki, że aż powodujące ztratę rozsądku i niedbałą szorstkość, bardzo przykre dla tych, którzy to muszą znosić”. Ale dawny paź Ludwika, hrabia Feliks d’Hezecques, bardzo bezkrytyczny skądinąd wobec króla, zapewniał, iż jego otyłość „bynajmniej mu nie szkodziła, dając raczej jego osobie to dostojęństwo, którego nie miał nigdy, póki był delfinem”.

A oto portret Ludwika XVI pióra hrabiego d’Hezecques: „Siedząc na tronie Ludwik XVI wcale nie był pozbawiony okazałości. To prawda, że jego wadą było nieprzyjemne kołysanie się, gdy chodził: cała jego rodzina z nim to dzieliła... Ludwik XVI miał piękne, choć bardzo mocne nogi. Twarz przyjemna, ale zęby nierówne, co pozbawiało wdzięku jego uśmiech. Jego oczy, których żaden malarz nigdy nie umiał oddać prawdziwie, mimo jasnego koloru... miały wyraz łagodności i dobroci,

którego nie dostrzegało się od razu, gdyż krótki wzrok nie pozwalał mu spoglądać pewnie”. I dalej: król był silny fizycznie, lubił też popisywać się siłą; jego zdrowie było doskonałe, czasem cierpiał na fluksje i lekkie niedyspozycje. Spisywana przez samego Ludwika agenda potwierdza dobry stan fizyczny króla: notował tam swoje choroby i są to najczęściej zwykłe gorączki i katary. Pięć razy spadał z konia na polowaniu, w czerwcu 1777 r. zranił się polując. Tylko dwa razy zapisał niestrawność, chociaż apetyt miał wspaniały. Oto opis z sekretnej korespondencji, dobrze poinformowanej o sprawach Wersalu: „O 6 godzinie król dzwoni i pyta, co jest na śniadanie. – Sire, jest tuczony kurczak i kotlety. – To za mało, niech mi zrobią jajka w sosie. Sam król prezyduje przygotowaniom, zjada cztery kotlety, kurczaka, sześć jaj w sosie, plaster szynki i wypija półtorej butelki szampana. Ubiera się, wyjeżdża na polowanie i wraca z nieprawdopodobnym apetytem”. Relacja jest z czerwca 1787 r.

Skłonność do wina zauważono u Ludwika już wcześniej. Ksiądz Veri zanotował takie spostrzeżenie już w pierwszym roku panowania; później sygnały będą się mnożyć. „Wino nagle zmogło króla podczas polowania, w ubiegłym roku. Oficer, który jechał za nim, był na tyle roztropny, by go ulokować w powozie tak, że nikt tego nie dostrzegł lub nie śmiał o tym mówić... Ta skłonność cechuje go, gdy jest sam; ilość [wina], na jaką sobie codziennie pozwala, przekracza tę, która właściwa jest w jego wieku” (1776). Co szczególnie przykre, zdaniem księdza Veri, to fakt, że król i hrabia Prowansji „oddają się tej skłonności podczas posiłków prywatnych, wcale nie zmuszani [do picia] przez nastrój pijącego towarzystwa” (1777). Opinia człowieka lubiącego pociągać będzie odtąd towarzyszyła Ludwikowi do końca; brzydkie epitety powracają w rewolucyjnych pamfletach i paszkwilach jeszcze po obaleniu tronu: uwięziony w wieży templariuszy król to „pijak z Temple”.

Byli oczywiście obrońcy. D’Hezecques twierdził, że Ludwik jadł dużo, ale pił mało, dopiero na deser pozwalał sobie na czyste wino, najczęściej malagę. Nie przeczy to jednak twierdzeniom, że król lubił nadużywać wina w samotności. D’Hezecques twierdzi, że pogłoski o pijaństwie Ludwika były sprawką służby, która go widziała, jak późnym wieczorem wraca z polowań (w powozie, oczywiście) „na pół uśpiony, ze zdrętwiałymi nogami, oślepiiony światłem latarni i pochodni tak, że trudno mu było wchodzić na schody”. Podobnie Madame Campan: plotki o „rzekomym pijaństwie” króla pochodziły od służby, która mu towarzyszyła na polowaniach w Rambouillet. „Król, nie lubiący spać poza domem, wracał z tych polowań po kolacji. Zasypiał głęboko w powozie i budzono go dopiero po przybyciu na pałacowy podwórzec; wysiadał z powozu wśród gwardzistów chwiejąc się jak człowiek na pół tylko obudzony, co przyjmowano za stan pijaństwa”.

Był skromny w ubiorze, co kontrastowało z ekstrawagancjami Marii Antoniny. To królowa, do spółki ze swą modystką panną Bertin, promowała skomplikowane stroje zdobione bez umiaru gażą, wstęgami, kwiatami i zwłaszcza piórami (kiedyś Maria Antonina żaliła się na chłodne przyjęcie w Operze i cały dwór powtarzał ciętą replikę króla: „To dlatego, Pani, że nie miałaś dość piór”). Szydzo z tych zawiłych strojów, gdy jednak w la-

tach osiemdziesiątych królowa upodobała sobie proste, białe suknie z bastyków, lnów, muślinów – szyderstwa nie ustały. Jedni powiadali, że takie suknie przystoją jedynie pokojówkom, inni – że zwiewne białe stroje są po prostu nieprzyzwoite. Kiedy sławna malarka pani Vigee-Lebrun namalowała portret Marii Antoniny w sukni z białego muślinu – był on ozdobą Salonu malarskiego 1786 r. – „złośliwcy nie omieszkali oświadczyć, że królowa pozowała w koszuli”. Co do Ludwika, jego skromność była wzorowa. Rano nosił prosty frak z szarego sukna, w późniejszych godzinach wkładał nieco strojnniejszy, zwykle brązowy i przypasywał srebrną lub stalową szpadę. Nie przepadał za ceremonialnymi strojami i diamentami, do których go zmuszała etykieta w przypadkach uroczystych aktów i świąt.

O życiu codziennym Ludwika XVI informuje własnoręcznie zapisywana, prywatna agenda, zwana także – na wyrost – jego dziennikiem. Jedna linijka na wydarzenia dnia to niewiele, a jednak agenda jest gęstym źródłem informacji. Zaczął ją prowadzić jako delfin, od 1 stycznia 1766 r. Agenda delfina, doprowadzona do 30 lipca 1774 r., zajęła 78 stron w czterech kajetach. Od 1 sierpnia 1774 do 31 lipca 1792 r. mamy dziennik króla na 344 stronach: brak tylko ostatnich 10 dni panowania, z sierpnia 1792 r. Osobne dwa zeszyty, gęsto zapisane, obejmują prywatne rachunki Ludwika z lat 1772-1774, przy czym lata 1772 i 1774 są niekompletne. Wykazy prywatnych wydatków króla zachowały się również w zapiskach z lat 1775-1784 i z pierwszej połowy 1792 r. To także dokument bardzo interesujący.

Najwięcej miejsca w agendzie zajmuje wielka pasja: polowanie. „Mimo kiepskiego wzroku – pisze d’Hezacques – strzelał bardzo precyzyjnie i widziałem często, jak wraca z całą twarzą czarną od prochu”. Ale choć szykowano dlań konie bardzo łagodne, „żle i bez wielkiej śmiałości wsiadał na konia”. Agenda Ludwika daje zwięzłe, lecz dokładne raporty z jego polowań: gdzie był i z kim, jak i na co polował (na jelenie, dziki, jelonki, ptactwo nie wyłączając drobnego, jak np. jaskółki). Skrupulatnie podaje, ile sztuk zabił, gdzie jadł myśliwski obiad lub kolację... Wzmianki o pogodzie mają w agendzie najczęściej związek z polowaniem: deszcze, śniegi, ślizgawice i odwilże przeszkadzają polować, zmuszają do przerywania myśliwskiej zabawy; silny wiatr utrudnia strzelanie. Tak samo wydarzenia polityczne i losowe – śmierć Maurepasa czy Vergennesa, wizyty monarchów, spory z parlamentem – uniemożliwiają polowanie. Dzień bez polowania jest w jakiś sposób stracony, stąd nieustannie w agendzie powraca małe słówko *rien*, nic: oznacza, że w tym dniu polowania nie było. Stąd dość osobliwe formułki: „nic, umarł pan de Maurepas”; „nic, przyjazd cesarza”; „nic, prezentacja posłów Ameryki”, „nic, kazanie”, „nic, bal” czy też „nic, nabożeństwo żałobne za ojca”. Jakże bezsensowne były więc szyderstwa wielu popularyzatorów, a nawet uczonych historyków, z pogardą stwierdzających, że w dniu zdobycia Bastylji Ludwik XVI zapisał w swym dzienniku słowo „*rien*”. Powtarza się ono zresztą w całej dramatycznej dekadzie od 9 do 18 lipca 1789 r., nabrzmiałej rewolucją – i oznacza tylko tyle, że król nie miał czasu na swe ulubione zajęcie. Także ostatnie słowo w agendzie, zapisane na 10 dni przed upadkiem monarchii, to sakramentalne „*rien*”.

W związku z pasją myśliwską ujawnia się pewna cecha Ludwika, którą

złośliwie można by uznać za przejaw infantylizmu: gust do takich skrupulatnych wyliczeń, w które lubią się bawić chłopcy w gimnazjalnym wieku. Gdyby spojrzeć na to życzliwiej, można by się dopatrzeć w owych statystyczkach zalet dobrego konserwatysty: zamiłowania do ładu, metodyczności, rutyny. Oto więc od 1774 r. poczynając król sumuje w końcu grudnia zdobycze roku. W r. 1774 upolował 6757 sztuk; w 1778 r. – 18.141 plus 133 jelenie; rok 1780 jest rekordowy: 20.534 sztuk i 128 jeleni, rok 1781 niewiele gorszy; potem przychodzi spadek – w 1784 r. już tylko 8676 sztuk i 122 jelenie. Ale rok 1786 jest znów lepszy: 17.675 sztuk i 158 jeleni. Bilans osiągnąć za lata 1774-1787: 189.251 sztuk i 1274 jelenie.

Cała agenda króla ujawnia podobne zamiłowanie do metodyczności; swe prywatne wydatki zapisywał ze starannością dobrej kucharki. Wyliczył sobie, że od 1774 do 1791 r. odbył 25 przeglądów wojska. Bardzo starannie sumował wszystkie dni spędzone poza Wersalem, w innych pałacach królewskich lub – wyjątkowo – w podróży. W 1770 r. to 91 dni, w następnym – 107 dni, także w l. 1772-1773 był poza Wersalem ok. 3 miesiące. Potem tych wyjazdów było mniej. Od 1775 do 1791 r. jest razem 903 dni podróży. W 1790 r. spędził jeszcze poza swą siedzibą – już nie Wersalem, lecz Tuilieriami – 110 dni; w 1791 r. już tylko 5 dni, podczas nieudanej ucieczki do Varennes.

Nie koniec na tym, król podlicza również wszystkie swoje *sorties*, wyjścia na polowania, spacery, podróże, spektakle, przejażdżki konne i w powozie. Jest tych „wyjść” co roku sto kilkadziesiąt, średnio około 170. Rewolucja naturalnie ogranicza ruch monarchy: w 1789 r. jest „wyjść” niewiele ponad 80. A oto pełna statystyka za rok 1791: razem 58 wyjść, w tym 5 dni podróży (Varennes), 45 przejażdżek konnych, 2 spacery w ogrodzie (tuileryjskim), 5 wyjazdów powozem (w tym 4 wyjazdy do Konstytuanty i Legislatywy), 3 wyjścia na spektakle, ale 2 były w dniach przejażdżek konnych. Więc razem jest 58 dni z „wyjściami” z tuileryjskiego pałacu. Mało. A suma wszystkich *sorties* za lata 1775-1791 też jest ustalona: 2636 dni „z wyjściami”.

Poza tym agenda królewska nie różni się zbytnio od zapisków, które mógłby robić każdy zapobiegliwy ojciec rodziny. Notowane są śmierci i choroby krewnych (dowiadujemy się, że 3 listopada 1783 r. królowa miała poronienie), szczepienia ospy, pierwsze komunie... Marii Antoninie król naliczył od 1779 do 1788 r. 216 dni spędzonych w Petit Trianon: to niewiele, można było przypuszczać, że spędzała tam dużo więcej czasu. Zapiski króla utrwały pamięć balów, kolacji na wyjeździe, komedii i oper (rzadziej bywał na tragediach), mszy, niesporów, kazań, ceremonii religijnych.

Polityka też się wdziera do królewskiej agendy, ale znacznie dyskretniej, niż moglibyśmy oczekiwać. Król odnotowuje uroczyste audiencje, wizyty monarchów, nominacje i dymisje ministrów, swoje *lits de justice*, swe kontakty z parlamentami, a potem wielkimi zgromadzeniami. Wszystko to jest bardzo lakoniczne, komentarze zdarzają się jedynie wyjątkowo – i to jakie! 29 lipca 1786 r. Ludwik notuje: „audiencja parlamentu z Bordeaux, jej długość przeszkodziła mi zapolować na kozła”. Zapiski z czasów rewolucji nie będą bardziej pożywne dla historyka wydarzeń i dla badacza mentalności.

Warte wzmianki są wspomniane już rachunki Ludwika. Jako delfin zapisywał dokładnie swe dochody i wydatki: ile wydał na kwiaty, psy, gazety, owoce, jałmużny, płace dla rzemieślników czy kapel wojskowych za wykonane usługi. Nie były to wielkie sumy. Prywatne wydatki króla w latach 1775-1779 oscylowały wokół 400 tys. rocznie, potem wzrosły (w 1781 r. z górą 700 tys., w r. 1784 – 645 tys.). Ludwik notował skrupulatnie, ile dał żonie i siostrze na spłacanie długów, ile kosztowały prezenty dla Madame Elisabeth. Zapisywał gratyfikacje dla swych konfidentów, takich jak Pezay czy Beaumarchais: pierwszy z nim korespondował poufnie, drugiemu polecał różne delikatne misje. Wydatki osobiste króla to kupno map, zegarów, szkła i porcelany, wina, kawy. Płacił z prywatnej szkatuły za przeróbki w apartamentach, portrety własne i krewnych. Osobno wyliczał swe wygrane i przegrane na loterii i w grze. W sumie do 1784 r. wygrał na loterii trochę ponad 43 tys., w grze – 20.533 liwrow. Ale przegrane wyniosły prawie 105 tys. i saldo było wyraźnie ujemne.

Nie ludźmy się: ta skrupulatna buchalteria domowa nie miała znaczenia i prawdziwych wydatków dworskich szukać należy gdzie indziej. A więc przede wszystkim są wydatki budżetowe, z kas publicznych: te trzydzieści kilka milionów rocznie na utrzymanie dworu i wersalskich pasożytów. Tu każdy wydatek był krzyżującą rozrzutnością. Zwykły rodzinny posiłek na kilka nakryć, kolacja bez udziału gości – to od 500 do 800 liwrow; niemało rodzin musiało żyć z takiej sumy przez okrągły rok. I dalej: jest jeszcze „czerwona księga”, już wspomniana. To trzy rejestry wydatków tajnych, ministrów i króla: dwa pierwsze tomy i część trzeciego obejmują wydatki Ludwika XV. Chodzi tu o wypłaty, które wymykały się spod kontroli Izby Obrachunkowej: pieniądze płynęły na podstawie zwykłego zlecenia wypłaty adresowanego wprost do kontrolera generalnego finansów. Suma tych wydatków tajnych za całe 15 lat przedrewolucyjnych rządów Ludwika XVI wynosiła 228 milionów! Największą sumę stanowią tu co prawda poufne wydatki ministra spraw zagranicznych (z górą 117 milionów). Są jednak sumy zdumiewające: oto bracia królewscy uczestniczą tu w kwocie ponad 28 milionów! Ogromne sumy poszły na kupno nieruchomości takich, jak Rambouillet i Saint-Cloud: nabywano je przepłacając słono, i to już w czasie, gdy finanse państwa były w stanie fatalnym, a kraj ogarniała stagnacja. Do sum oficjalnie wydanych z okazji urodzin delfina dopłacono z „czerwonej księgi” 324 tys., gdy zaś urodził się drugi syn – 174 tys.

Wciągnano do księgi ogromne gratyfikacje i „wsparcia” dla arystokracji dworskiej, po 100 i 200 tys.; minister Sartines dostał 200 tys. na spłacenie długów, wdowa po Maurepasie – 166 tys. Ujawnienie „czerwonej księgi” po rewolucji było dla opinii wstrząsem.

Osobiste zapiski Ludwika – jego agenda i rachunki prywatne – mimo swej lakoniczności przybliżają nam go: ukazują człowieka lubiącego ład i systematyczność. Zdają się wskazywać, że na co dzień bardziej się interesował swą pozycją szefa dynastii niż swą rolą szefa rządu. Zadziwia nas jego, by tak rzec, stacjonarność. Nawet w rekordowych latach 1775 i 1788, gdy miał najwięcej „wyjść” (189 i 180) przez połowę dni w roku nie wychodził w ogóle z pałacu! Nie pociągała go myśl, o podróżach, o zwiedzaniu własnego kraju czy choćby tak bliskiego Paryża. Zbyt wiele przeszkód

ograniczało jego myśliwską pasję: zła pogoda, polityka, wydarzenia dworskie.

To nie znaczy, że siedział w Wersalu bez ruchu, w gabinecie i w sali audiencjonalnej. Lubił, zwykle wczesnym rankiem, wałęsać się po poddaszach i strychach Wersalu: Hezecques pisze, że były to wyprawy wielce uciążliwe ze względu na różnice poziomów, płataninę rur. Czasem były nawet niebezpieczne: w kwietniu 1789 r. obserwując pracę dekarzy na dachu wszedł na drabinę, która się złamała. Na szczęście „jeden z robotników uratował naszego monarchę przytrzymując go za ubranie w momencie, gdy już miał nastąpić straszliwy upadek”. Dał wybawcy ze swej szkatuły 1200 liwrów pensji. Gdy go krytykowano za to chodzenie po dachach, odpowiadał: „A gdzie mogę zażywać powietrza sam, nie przeszkadzając nikomu”. Ta potrzeba znalezienia chwili samotności i wyzwolenia z pęt etykiety wydaje się nam zrozumiała. Ale wędrówki po strychach miały jeszcze inne powaby. Zdarzało się królowi polować tam na koty; raz zdarzenie przybrało wymiar dramatu, gdy ofiarą padł ulubiony kot pani de Maurepas: niefortunny myśliwy ekskuzował się szczerze. Zabierał ze sobą lunetę i obserwował, co się dzieje na drodze do pałacu; przyglądał się też kiedyś z góry pożarowi, który w Paryżu strawił magazyn dekoracji operowych.

Ten zdrowy i silny mężczyzna szukał rozrywki w innej jeszcze sferze: lubił pracę fizyczną. To nie tylko powszechnie znane jego zamiłowanie do ślusarstwa i po trochu zegarmistrzostwa. Pasjonował się robotami budowlanymi, pomagał czasem robotnikom w przebudowie wersalskich wnętrz, wbijał gwoździe, nosił materiały, sprzątał, układał nawet posadzki! Wyższym poziomem tego majsterkowania było ślusarstwo. Gdy Malesherbes był ministrem, chciał wykorzystać te zamiłowania, aby „wprowadzić do króla godnych szacunku znawców mechaniki jak Vaucanson, La Salle itd., by zająć władzę sprawami ważnymi dla rzemiosła, marynarki, przemysłu. Pan de Maurepas... zadowolili się stwierdzeniem, że to nic nie da, bo król będzie onieśmielony przez te nowe osobistości i nie podejmie z nimi rozmowy”.

Ulubionym nauczycielem ślusarki stanie się więc dla króla prosty majster Gamain. Na górze, nad apartamentami, królewska „kuźnia” była miejscem pracy z Gamainem. Hrabia d’Hezecques nie miał wysokiego mniemania o królewskim talencie: „Jeśli się zabierał czasem do wykuwania klucza lub kłódki, był to rodzaj wypoczynku, by się odprężyć na chwilę i zmniejszyć napięcie umysłowe. Zresztą dzieła, które wychodziły z jego rąk, nie dowodziły ani wielkiej zręczności, ani długiego nawyku”. Zapewne, Ludwik nie był zawodowcem; wszelako, gdy po urodzinach delfina deputacja ślusarzy przyniosła mu w darze skomplikowany, sekretny zamek – król potrafił rozgryźć sekret i bardzo z siebie dumny ofiarował ślusarzom 30 ludwików, tj. 720 liwrów. Gamainowi i jego synowi dawał solidne gratyfikacje, zapisywane skrętnie w królewskich rachunkach. Francois Gamain pomógł Ludwikowi, już po rewolucji, wykonać żelazną skrytkę w ścianie pałacu tuileryjskiego do przechowywania poufnych papierów; po aresztowaniu króla zdradził jego tajemnicę. Okazał się nie tylko zdrajcą, ale i mitomanem: oskarżył Marię Antoninę, że po wykonaniu owej

„żelaznej szafy” otruła go, by się pozbyć świadka, i zrujnowała mu zdrowie.

Król, który unika bali i nie gra hazardownie, a za to wbija gwoździe w ściany i majstruje kłódki, to oczywiście łatwy przedmiot dworskiego szyderstwa. Uczestniczyła w tych prześmiejach i jego żona. Już w 1775 r. pisała do hrabiego Rosenberga w Wiedniu: „Przyzna pan, że źle bym wyglądała w kuźni: Wulkanem bym nie była, rola zaś Wenus mogłaby królowi nie spodobać się dużo bardziej niż me upodobania, które aprobeuje”. Madame Campan stwierdza: „Ręce króla, czarne od owej roboty były często, w mej obecności, przedmiotem wymówek, a nawet dość żywych zarzutów ze strony królowej, która wolałaby dla niego innego odpoczynku”.

Urzędowa edukacja Ludwika zakończyła się w 1770 r.; jednakże i potem poświęcał trochę czasu na naukę. Doskonalił swą znajomość angielskiego, czytał angielskie gazety, pasjonował się Miltonem. W XIX w. wydawano pod jego nazwiskiem tłumaczenie pracy Horacego Walpole’a o Ryszardzie III; historycy grymasili na kiepski styl tego tekstu. Ale tłumaczenie wykonał brat króla, hrabia Prowansji, i do niego należy adresować pretensje; przypisanie Ludwikowi tego dzieła stanowiło pomyłkę. Król uzupełniał swą erudycję historyczną i geograficzną. Niezbyt mądra pani Campan miała chyba jednak rację pisząc, iż „znał historię doskonale, jednakże nie studiował dość [głęboko] jej ducha”. Jego ulubionym bohaterem był król Karol V; cenił tego odległego przodka za gust do ładu, systematyczności, życia tak uporządkowanego, że aż jednostajnego. Z wielką dla siebie szkodą nie pojął, że jego czasy nie dają szans takiemu skromnemu ideałowi jednostajności. Może uniknąłby tej fatalnej omyłki, gdyby istotnie studiował staranniej „ducha historii”? Uzupełniał też swą wiedzę w dziedzinie nawigacji – jego znajomość marynarskiej techniki, czysto teoretyczna zresztą, zaskakiwała fachowców – oraz swą znajomość geografii. Przypisywano mu bardzo szczegółową instrukcję wyprawy w podróż dookoła świata dla słynnego La Perouse’a, ale – jak się wydaje – układał ją minister marynarki de Castries i nad jego tekstem król później pracował.

Upodobaniem do lektury przewyższał wielu mądrali z dworu, którzy go uważali za imbecyla. U jego poprzedników, Ludwika XIV i Ludwika XV, lenistwa intelektualnego było więcej. Ludwik XVI ma w swej prywatnej bibliotece pięć tysięcy tomów! Sławny publicysta i dziennikarz Mallet du Pan opisywał ten zbiór: na dole klasycy pięknie oprawieni w oszklonych szafach; w górnych małych apartamentach – „suplement” biblioteki z nowymi książkami, w tym dużo dzieł angielskich, książki o podróżach, historii, naukach ścisłych, kolekcje gazet francuskich, angielskich, holenderskich... „Król czyta dużo i z wyjątkiem *Encyklopedii* miał w rękę wszystkie książki ze swej biblioteki”. Nie cenił oświeceniowych pisarzy („woli dzieła angielskie od francuskich”) i dlatego wzgardził *Encyklopedią*; powoływał się jednak na *Emila* Rousseau: twierdził, że zalecane tam nauczanie dzieci rzemiosł to zupełnie dobry pomysł wychowawczy. Już zresztą w *Refleksjach wokół rozmów z La Vauguyonem* pojawiała się myśl, że co się tyczy kultu rzemiosł, Piotr Wielki może być wzorem dla

wszystkich monarchów.

W tychże *Refleksjach* Ludwik zapisał tezę, iż „prawdziwa wiedza królów to znajomość ludzi”, szukać jej jednak należy nie tylko w bibliotekach, lecz przede wszystkim w „wielkiej księdze świata”. Idea świetna, z jej realizacją było gorzej. Król nie czerpał swej znajomości ludzi z doświadczenia, z rozległych kontaktów, obserwacji i rozmów: rady Józefa II, by mu stworzyć „towarzystwo do konwersacji”, były daremne. Posługiwał się natomiast z zapalem poufnymi korespondentami i przejmowaniem cudzych listów.

Spośród prywatnych informatorów Ludwika największy rozgłos zyskał niejaki Jacques Masson, false markiz du Pezay. Jego siostra, Madame Cassini, była biegła w intrygach i miała swe dojścia do ministrów, generałów, elity intelektualnej. Dorat, modny poeta, poprawiał Pezayowi jego wiersze; pani de Montbarey, żona ministra, nawiązała z Pezayem romans. Miał on wreszcie jakieś powiązania z dawnymi przyjaciółmi delfina-ojca, a także z bankierami: korzystał podobno z pieniędzy Neckera i przyczynił się do jego rządowego awansu. Niegłupi i zręczny awanturnik, oferował swe obserwacje różnym monarchom Europy, ale tylko Ludwik XVI kupił ten pomysł: zaczął z zainteresowaniem czytać listy Pezaya. „To prawda – pisał Besenval – że trafił do króla przez jego słabą stronę: zaczął mu pisać źle o wielu osobach”. Veri twierdzi wszakże, iż Pezay również i Ludwikowi stawiał czasem zarzuty, a w ogóle jego listy pozwalały królowi „dowiedzieć się, co o nim się mówi w powszechnych opiniach”. Wiadomość o tej korespondencji szybko się ujawniła, bo sam Ludwik o niej wspomniał Maurepasowi; treść listów król ukrywał jednak przed ministrami, co ich wprawiało w nerwowość i irytację. Pezay usilnie się starał o jakąś wygodną posadę w zamian za świadczone usługi; w końcu uhonorowano go stanowiskiem generalnego inspektora wybrzeży morskich. Było to stanowisko generalskie i dochodowe (60 tys. rocznej pensji). Nie cieszył się nim długo, zmarł bowiem w 1777 r. Jego śmierć poprzedził jakiś konflikt z lokalnymi dygnitarzami podczas urzędowych inspekcji, różnie przedstawiany przez współczesnych, i w jego następstwie stan pół-nieślaski.

Ale Pezay nie był jedyny, król miał także innych poufnych korespondentów i informatorów. Była ponadto „skrzynka do listów”, którą kazał powiesić na bramie wersalskiego pałacu, by ułatwić swobodny kontakt korespondencyjny z monarchą. Oczywiście okazała się tak paskudnym ściekiem, że szybko trzeba ją było zlikwidować. Złośliwi twierdzili, że ministrowie korzystali z niej bardzo gorliwie, by intrygować i indoktrynować swego królewskiego patrona. To bardzo możliwe.

Książd de Veri szczególnie się srożył na inną jeszcze metodę: Ludwik XVI *con amore* zapoznawał się z treścią cudzych listów, przejmowanych na poczcie. Zajmowała się tym specjalna służba, na której czele stał kawaler Rigoley d'Ogny: co niedziela referował królowi wyniki swoich połowów. Maurepas ponoć wiele razy krytykował tę niedyskrecję i namawiał króla do zaniechania lektury cudzych listów. Bezskutecznie. Już po paru miesiącach nowego panowania zgorszony Veri stwierdzał, że choć z początku d'Ogny otrzymał rozkaz przynoszenia tylko listów, „które

dotyczą spraw państwa”, to jednak teraz król czyta również listy zupełnie prywatne, „z rodzinnymi i przyjacielskimi sekretami”. Jedynym zaś skutkiem nagan i krytyk ze strony Maurepasa było to, że król stał się dyskretniejszy: nie, nie w czytaniu listów, lecz w ujawnianiu informacji uzyskanych tą drogą... Nawet poczta dyplomatyczna była gwałcona przez kawalera d’Ogny! Zarzucano mu, że tendencyjnie dobierał cudze listy, przedstawiane królowi, by w ten sposób osiągnąć różne intryganckie cele. Pojawiały się nawet oskarżenia, że jego „czarny gabinet” fabrykował fałszywe listy. W ten właśnie sposób d’Ogny miał podobno podkopywać zaufanie króla do Turgota: przedstawiał Ludwikowi tylko listy nieprzychylnie ministrowi finansów, a być może nawet fałszował listy pisane przez Turgota i do Turgota. Chodziło mu o to, by dowieść, że Turgot jest niepopularny w opinii i niełojalny wobec monarchii.

Wedle księdza Veri przyczyną tej lektury cudzych listów i wykorzystywania dwuznacznych informatorów była „infantylna ciekawość” Ludwika XVI. To zapewne sąd uproszczony. Król był produktem dworskiej obyczajowości z jej chorobliwym gustem do plotek, intryg, pomówień. Wśród paru tysięcy dworaków, intrygujących bez przerwy i plotkujących, Ludwik nie odbiega od normy.

Oczywiście najsmaczniejsze są zawsze informacje oczerniające. Besenval pisał, że była u króla pewna słaba strona: lubił, gdy mu źle mówiono o innych. Veri pisze, że „przywary i ułomności łatwiej mu zostają w pamięci niż cnoty”, że ma złą opinię o wszystkich i nikomu nie ufa. D’Ogny zaspokajał świetnie jego zapotrzebowanie na kalumnie i obmowy.

Trochę światła na tę kwestię rzuca doświadczenie króla, który już wcześniej zetknął się z obrzydliwymi paszkwilami na jego rodzinę, przede wszystkim na królową, ale także i na niego samego. To również element życia dworskiego: wytrawni szefowie policji informowali Ludwika, że przynajmniej niektóre paszkwile są pisane albo inspirowane przez wielmożów, być może nawet drukowane pod boki króla, w samym pałacu wersalskim!

Król zleca poufnie swym agentom – m.in. Beaumarchais jest tu bardzo czynny – niszczenie nakładów za pomocą przekupywania wydawców. Ale to może skutkować tylko w stosunku do edycji zagranicznych; krajowe kryją się w anonimacie. Jakże się dziwić, że Ludwik, ofiara tylu paskudnych pomówień, zapiekł się w zamiłowaniu do obmowy, uwielbiał złe plotki, nie ufał ludziom? To jego rewanz.

Może jednak rozplenienie się paszkwili było również swego rodzaju rewanżem tępionej literatury? Rząd, który dławi swobodę wypowiedzi prawdziwych twórców, ponosi karę w wydawnictwach wymykających się królewskiej cenzurze. W czerwcu 1785 r. sekretna korespondencja z Wersalu przynosi taką obserwację: „Nigdy jeszcze rząd nie okazał tak wielkiej surowości dla pism publicznych i nigdy jeszcze nie widziano, by się ukazywało tyle konspiracyjnych satyr. Te kuplety, piosenki, satyry krążyły [szeroko] i wyrządziły zło straszliwe, ucząc lud niniejszego respektu dla tego, co ongiś było przedmiotem czci”.

Ale to była prawda: od początku lat osiemdziesiątych polityka króla w

stosunku do wielkiej literatury zastrzyła się; jego konserwatyzm potępiający „ducha wieku”, idee Światła, stał się jeszcze bardziej ciasny i nietolerancyjny. Odwiedzono go od zamysłu aresztowania starego Diderota, który zbyt entuzjastycznie oceniał rebelię Amerykanów przeciw złej królewskiej władzy. Długo sprzeciwiał się publicznemu wystawieniu *Wesela Figara* Beaumarchais’go. Uległ wreszcie różnym presjom i w 1784 r. sztuka znalazła się na scenie; ale żałował tej słabości, więc też skorzystał z okazji, by się odegrać na pisarzu. Beaumarchais dał się ponieść werwie w pewnej gazetowej polemice i napisał kilka nieostrożnych słów: „Musiałem pokonać lwy i tygrysy, by zaczęto grać moją komedię”. Król – czy to nie zbyt wysokie o sobie mniemanie? – odczytał ów fragment jako aluzję do jego Najjaśniejszej Osoby. W marcu 1785 r. z rozkazu króla pisarz, już dobrze po pięćdziesiątce, znalazł się w Saint-Lazare, obskurnym zakładzie poprawczym dla krnąbrnych młokosów... Hrabia de Segur pisał trafnie, że takie nękanie pisarzy i filozofów przypomina działania hiszpańskich *terroreros*, „którzy lekkimi ukłuciami zmieniają gniew [byka] w furię”.

Na swe wędrówki po dachach Wersalu Ludwik XVI zabierał lunetę; ponad swą „kuźnię” miał jeszcze obserwatorium, „belweder” z teleskopem na ołowianej platformie. „Tam, siedząc w fotelu i pomagając oczom ogromnym teleskopem, król obserwował to wszystko, co się dzieje na wersalskich podwórcach, w alei wiodącej do Paryża i w pobliskich ogrodach”. Ów teleskop to jakby symbol zainteresowań króla: ludzie go ciekawią, pragnie wiedzieć, co robią i jak się zachowują, ale woli się o tym dowiadywać na odległość. Teleskop i luneta pełnią podobne funkcje jak anonimowi obserwatorzy i korespondenci, jak cudze listy wyjmowane z poczty, jak skrzynka na korespondencję u pałacowej bramy, jak wreszcie niektóre pozycje z jego biblioteki (wiadomo, że zbierał papiery z informacjami o Habsburgach i Romanowych, w tym skandaliczne anegdoty o Katarzynie II). Ten dystans, z jakim zaspokajał swą ciekawość ludzi, bez wątpienia miał związek z jego nieśmiałością.

O tym, że był nieśmiały, mówili różni ludzie obserwujący go z bliska, od hrabiego de Maurepasa aż do ślusarza Gamaina. Veri notował, że król „nie umie rozmawiać z tymi, którzy mu wiernie służą, jeżeli nie nawykł ciągle ich widywać”. Mallet du Pan zapisuje taką oto anegdotę: „Widziałem... króla podczas polowania w lasach Verrieres. Deszcz zmusił go do zejścia z konia razem z całą jego świtą. Ustawił się pod drzewami w miejscu, w którym się znajdowałem z kilkoma przyjaciółmi. Przez całe pół godziny, gdy tam był, nie otworzył ust do kogokolwiek”. Z drugiej strony nieśmiałość oznacza także zaambarasowanie, wahania, brak umiejętności odmawiania, ustepliwość w stosunkach z bliskim otoczeniem. Veri jest tu dobrym świadkiem. „Widzimy, że przy wielu sposobnościach ulega ostatniemu z tych, którzy doń mówią”; „daje ze słabości pozytywne decyzje każdemu, kto prosi”, jego milczenie w obliczu projektów Turgota „to nie rezultat przekonania, lecz ambarasu”. Król, owszem, często gani zachowania żony, braci i dworzan, „ale nie śmie nikomu z nich powiedzieć: Nie życzę sobie, by tak było”. I jeszcze: „Trudno wyrwać od niego jakąś decyzję, a nawet środki wykonania projektów, o których zadecydował”.

Brak charakteru, woli, słabość: to ciągle powtarzane pod adresem

Ludwika XVI zarzuty. Czy coś więc zostało z dziecinnych rojeń o królewskiej cnocie stanowczości, o silnej woli i mocnym trzymaniu steru? Owszem; Mercy-Argenteau chyba trafnie wyjaśniał Kaunitzowi, że król boi się współpracowników wybitnych, woli miernoty – „kontentuje się więc tym, że ich czasem popędza bardzo szorstko, gdy popełnią takie błędy, które jest w stanie zauważyć, i dzięki tej metodzie może wierzyć, iż rządzi”. Słabość i nieśmiałość bynajmniej nie wykluczają takich napadów brutalności, *coups de boutoir* jak mówili dworzanie (słowo to brzmi nader obraźliwie). Zacytujmy znów księdza Veri: w pewnych sytuacjach „twarz króla się zmienia i widać, że musi robić wysiłek, by się powstrzymać”. Czasem i ów wysiłek nie pomagał: „król ma niekiedy napady woli absolutnej”; „Ludwik XVI często miesza ze swą słabością ataki opryskliwości, które można uznać za brutalność, oraz suche decyzje, którym ministrowie nie ośmielają się sprzeciwić”. Wiara, że w taki sposób akcentuje się stanowczość monarszą, była oczywiście złudzeniem. Oto co pisał już po rewolucji markiz de Ferrieres: „Charakterowi Ludwika brakowało stanowczości i miał tylko porywy popędliwości, które dworzanie nazywali ironicznie *coups de boutoir*; przyzwyczajono się zatem do tych przelotnych burz i każdy robił to, co przedtem, nie niepokojąc się tym, czy król uznaje rzecz za dobrą czy za złą”. Do końca życia zdarzały mu się owe *coups de boutoir*: dość brutalnie potraktował jednego ze swych strażników w Temple i przeproszał go przed pójściem na egzekucję.

Ten podkład brutalności odzwierciedlał się również w jego poczuciu humoru. Wierny d’Hezecques zaprzeczał, by Ludwik miał być grubianinem; przyznawał wszelako, że miał gesty szorstkie, a jego żarty czasem dotykały ludzi. Latem na wersalskim balkonie rozpinano markizy i polewano je wodą, król zaś „zabawiał się często popychaniem kogoś w taki sposób, by się zmoczył, zwłaszcza gdy to była osoba dbająca o elegancję modnych wówczas wielkich fryzur”. Czy można się dziwić, że wobec nisko urodzonych potrafił się zachować wręcz po chamsku? Podczas jednego z polowań ścigany jeleń wpadł do stawu; gdy wydobywali go stamtąd królewscy forysie, jakiś chłop przyglądał się temu biernie. Ludwik zażądał, by pomógł, chłop zabrał się do roboty bardzo niezgrabnie. „Król zaaplikował mu kopniaka w siedzenie. Sire, rzekł na to, dziękuję za tę nagrodę. Odpowiedź taka przyniosła mu ludwika”.

Współcześni twierdzili, że gdy przyjmował uprawnionych do *entrees* w swej sypialni, nie troszczył się o zachowanie najprostszycy reguł przyzwoitości. Podczas polowań kłął paskudnie: Veri przypuszcza, że brał tu zły przykład od brata, hrabiego Artois, który przeklinał „jak ostatni oficer garnizonu”. Niektóre jego złośliwości były w najgorszym smaku. Pani Campan zapewnia, że hrabinie Dianie de Polignac (szwagierce faworyty królowej) miał za złe zachwyty nad Franklinem, posłał jej więc wykonany w sewrskiej manufakturze nocnik z podobizną Amerykanina na dzień... Z kolei książę de Ligne, sławny dandys, twierdził, iż król z pogardą się wypowiadał o „ekonomistach” (tj. fizjokratach); ich nazwiska – Turgot, Baudeau, Mirabeau – przypominały mu, jak twierdził, imiona psów gończych! Zauważmy, że te małe złośliwości mają wyraźny, konserwatywno-feudalny koloryt.

Potrafił zupełnie się nie liczyć z nastrojem opinii, uroczystością chwili. Cytowany już Amedee Renee podaje osobliwą anegdotę o uroczystej procesji na otwarcie Stanów Generalnych, u progu rewolucji. Moment był podniosły, króla obserwowano uważnie. Ludwik wypatrzył zaś w tłumie widzów dworzanina dogląającego z urzędu królewskich charcic. „Zatrzymał się nagle, przerwał marsz procesji i głośno skarcił tego szlachcica pytając, po co tu przyszedł, dlaczego opuścił o tej godzinie swą służbę; gestem i słowem rozkazał mu powrócić jak najszybciej do psiarni”.

Mimo przeróżnych napadów brutalności i „woli absolutnej” był Ludwik bez wątpienia człowiekiem słabym. „Sedno jego charakteru stanowiła słabość: widać było, że jest ona w stanie pociągnąć go do działań sprzecznych z przekonaniem i sumieniem” – pisał jego minister, hrabia de Saint-Priest; inny minister, hrabia de Montmorin, mówił podobno, iż król „nie umie się przeciwstawiać ani tym, których się boi, ani tym, których kocha”. Zapisywano mu na korzyść, że nie ma ani faworytów, ani faworyt, wtrącających się do rządu. Ów brak faworyt wynikał zapewne z temperamentu („Kobiety, w ogólności, nie przypadają mu do smaku” – pisał Veri). W istocie jednak faworyzowane było przez króla całe jego otoczenie, którego prośbom nie umiał odmawiać i którego postępowanie ganił, lecz ze słabości tolerował. Jałmużnami i efektownymi gestami kupował sobie spokój sumienia i przeświadczenie, że swoje łaski rozdziela sprawiedliwie. Jesienią 1780 r. miał zatwierdzić listę młodych kandydatów do sławnej *Ecole militaire*: na liście znaleźli się niemal sami protegowani jego braci, ciotek, bratowych – i 10 czy 12 nazwisk bez polecającego dopisku. Zapytał, kto tych chłopców proteguje. „Sire, nikt – odrzekł minister Montbarey. – *Eh bien*, replikował król, to ja ich rekomenduję. Wziął zaraz pióro i umieścił tych 12 młodych ludzi na czele listy wybranych. To krok, który się wydaje wspaniały, godny Tytusa”.

Równie wspaniałe gesty były dość liczne i miały na celu zaspokajanie głodu popularności: inspirowana przez rząd prasa nie pomijała ich opisu. Bo na popularność Ludwik od początku był łasy. Cieszył się ogromnie, gdy po jego wejściu na tron umieszczono tablicę z jednym słowem „*Resurrexit*” na cokole pomnika Henryka IV – i płakał, gdy podczas wojny mącznej ja-cyś złośliwcy przenieśli tę tablicę na pomnik Ludwika XV... Do końca życia sądził, iż robił wszystko, co tylko było możliwe, dla „szczęścia ludu”.

Ze słabością szła w parze słynna nieśmiałość Ludwika XVI, „ta niezwykła nieśmiałość, która mu niemal odbierała zdolność mówienia z ludźmi, których nie widywał codziennie, i sprawiała, że zapominał chwilowo to, co świetnie wiedział: on właśnie, który miał najlepszą pamięć, jaką kiedykolwiek u kogoś poznałem”. To świadectwo jeszcze innego ministra, Bertranda de Molleville. Z nieśmiałości wynikały znów niezdecydowanie i brak pewności siebie. „Właściwa mu z natury nieśmiałość – pisał minister de Barentin – wzbudzała u króla wielką nieufność do własnego rozeznania. Prawość jego sądu wskazywała mu i decyzje, które trzeba było podjąć, i sugerowała wybór najlepszej z nich: nie śmiał jednak zatrzymać się przy niej i wydać rozkazy, gdy tylko przedstawiono mu pozornie słuszne zastrzeżenia. Jeśli, wykorzystując wówczas jego niepewność, śmiało i uparcie sugerowano mu inną decyzję, jeśli powracano do tych starań wciąż na nowo...

Sukces był niemal pewny, a stawał się zupełnie niewątpliwy, gdy mu podsuwano wzgląd na powszechne życzenie, gdy powoływano się na interes ludu”. Ludwikowi XVI rzeczywiście bardzo trudno było podjąć decyzję i zarządzić szybkie wykonanie już podjętej. Nawet podczas śmiertelnych zagrożeń rewolucji ujawniał „odrazę do podejmowania mocnych decyzji” oraz „niezdecydowanie, wskutek którego pozwalał umykać wszystkim okazjom rozwinięcia tej imponującej energii, która... zdolna jest do działania i dysponuje środkami zapewnienia sobie posłuszeństwa”. „Jedyna odwaga, do której był zdolny – pisze hrabia d’Allonville – to odwaga bierna”.

Ostatecznie więc Ludwik XVI ukazywał się oczom współczesnych jako człowiek przeciętny pod każdym względem. Mierna była jego inteligencja, skłonna do przyswajania sobie wielu informacji szczegółowych – tym liczniejszych, że miał dobrą pamięć – ale pozbawiona daru ogarniania rozległych horyzontów. Veri miał zapewne rację, gdy przyczynę klęski polityki reform dostrzegał w ograniczonej inteligencji króla. Ludwik był też przeciętny w zwykłej pracy państwowej: odrabiał ją sumiennie, lecz traktował jak ciężki i nudny obowiązek. Nie był skłonny porzucać utartych przez rutynę ścieżek. Przeciętność tkwiła w jego religijności, bardzo tradycyjnej, ale niezbyt gorącej. Ożywiły ją dopiero nieszczęścia ostatniego okresu życia. To, co zdaje się nadawać trochę oryginalniejsze cechy jego stosunkowi do religii, a mianowicie niechęć do sporej części episkopatu i do mnichów, było w istocie wyrazem obrzydzenia do kleru filozofującego, politykującego, zeświecczonego. O jego wrogości do „filozofów”, do intelektualnej elity Oświecenia, Veri pisał, iż i w tym Ludwik był „mały... i zgorzkniały w dziecinny uprzedzeniu wobec grupy ludzi, których idee będą miały więcej siły niż cała monarsza potęga, a także uległy w obliczu anonimowych zabiegów małych talentów”. Te „małe talenty” to oczywiście konserwatywno-dewocyjni pisarze i publicyści.

Nawet w swym gniewie na „wywrotowych” ludzi Oświecenia Ludwik był małostkowy: klasycznym przykładem jest bezsensowne uwięzienie Beaumarchais’go, z którego wnet wypadło się wycofać. Bardzo mało królewskie były te pokrzykiwania i szykany, pozbawione konsekwencji, sensu, celu. Wielu życzliwych Ludwikowi świadków podkreślało jego dobroć i prostolinijność, wrażliwość, skłonność do łez. Chyba jednak miał rację jego minister, de Saint-Priest, skądinąd bardzo konserwatywny, gdy pisał: „Po prawdzie, nie miał Ludwik XVI żadnej prawdziwej dobroci; miał tylko tę, która wynika ze słabości, jak u większości kobiet odczuwających fizyczną odrazę do okrucieństwa, bo razi ich zmysły”. Traktował dobrze ludzi moralnie obrzydliwych; gdy Maurepas mu to wyrzucał, odpowiadał: „Wiem, że to łajdak, ale on mnie bawi”. Konserwatywny hrabia d’Allonville, wysoko oceniający moralność Ludwika („ten cnotliwy władca, którego jedynym zawinieniem było, iż został królem”) – nie wahał się oskarżać go o obłudę, która, „znana jednym i podejrzewana przez innych, irytowała tych drugich a nie budziła zaufania pierwszych”.

Jego zainteresowanie dla ludzkich wad, pogardliwą tolerancję dla występków i skłonność do grubiaństwa nieźle obrazuje anegdota o reakcji na przygodę młodego hrabiego d’Archambaud, który – zdybany u kochanki,

pewnej diuszessy, pani G. – salwował się ucieczką przez okno z wersalskiego wysokiego piętra. „Skoro już absolutnie tak musi być – rzekł król – byśmy tu żyli w otoczeniu dziwek, niech je przynajmniej ulokują wszystkie na parterze: ludzie nie będą ryzykowali wówczas skręcenia karku”.

Ten człowiek niewielkiego formatu, słabej woli, miernych zdolności, bez rażących wad i liczących się zalet mógł wypełniać jako-tako funkcje konstytucyjnego monarchy w ustabilizowanej politycznie epoce. Nie nadawał się na władcę absolutnego: zabrakło mu choćby tego jasnego spojrzenia na własne słabości, które skłoniło Ludwika XIII do powierzenia władzy kardynałowi Richelieu. Jego rządy w monarchii absolutnej uwikłanej w kłęb sprzeczności, pilnie wymagającej reform stały się dla Francji katastrofą. Inteligentny ksiądz Veri przewidywał to z wieloletnim wyprzedzeniem.

I jeszcze parę słów o ramie jego codziennej egzystencji. Dokładny opis prywatnych, „małych” apartamentów króla pozostawił hrabia d’Hezecques. Z wielkiej wersalskiej hali zwanej Oeil-de-Boeuf wchodziło się do dawnej sypialni Ludwika XIV, wspaniale teraz wyposażonej, i do gabinetu Rady. Trzeci pokój to błękitna sypialnia Ludwika XVI z cennymi, często zmienianymi meblami, pięknymi żyrandolami i rzeźbami. Prowadził stąd ukryty, wyłożony materacami pasaż do apartamentów Marii Antoniny. Czwarty pokój to wielki gabinet z portretami Ludwika XV, Marii Leszczyńskiej oraz obojga rodziców króla. Dalej było kilka skromniejszych gabinetów do pracy i sławna prywatna biblioteka, w której Ludwik najchętniej pracował, z wielkim mahoniowym stołem pośrodku, globusem, mapami i planami. Na końcu były jeszcze trzy pokoje: salonik, pokój bilardowy i jadalnia. Te trzy pokoje w okresie świąt Bożego Narodzenia król oddawał na wystawę porcelany z Sevres, która trwała dwa tygodnie i połączona była ze sprzedażą.

Na lewo od wielkiego gabinetu znajdował się przedpokój lokajów króla, a obok niego – schody, którymi Ludwik wychodził na polowania. Idąc nimi do góry docierało się do dawnych apartamentów pani du Barry, które później zajmował Maurepas. Przez przedpokój z kolei można było dotrzeć do prywatnej jadalni i małych gabinetów, a także do „kuźni” i „obserwatorium”. Wszystkie te pokoje były widne, ale słabo ogrzane, gdyż Ludwik nie lubił gorąca. Właśnie dlatego latem rozpinano na balkonie markizy i polewano je wodą. Król, choć tak konserwatywny, zmieniał jednak sprzęty, w których otoczeniu żył na co dzień; lubił różne przebudowy, remonty, roboty ciesielskie czy posadzkarskie i sam aktywnie w nich uczestniczył.



GŁOWA DYNASTII

Natychmiast po wstąpieniu na tron Ludwik XVI zapewnił swe rodzeństwo, że zawsze żyć będą razem, i zaoferował braciom, iż traktować ich będzie na stopie równości: „Nie chcę, byście mnie nazywali Sire czy też Votre Majeste; straciłbym zbyt wiele wraz ze słodkim tytułem brata”. Hrabia de Mercy-Argenteau raportował jednak Marii Teresie w sierpniu 1774 r., że ów rodzaj równości, który król wprowadził, skłania jego braci do nadużywania jej: zwłaszcza hrabia Artois z wielką swobodą niemal

depcze mu po nogach i popycha; obcemu obserwatorowi trudno nieraz byłoby poznać, który spośród trzech braci jest królem.

Obserwator wcale bystry, którym był Józef II, zapisał podczas swej pierwszej wizyty w Wersalu charakterystykę królewskiej rodziny dosyć bezlitosną. Hrabia Prowansji to postać trudna do zdefiniowania, chłodna i mało ruchliwa wskutek tuszy; jego żona to intrygantka; hrabia Artois jest zwykłym fircykiem, a jego małżonka – pospolitą idiotką. Te oceny, formułowane przez cesarza w liście do brata Leopolda, nie są przesadnie złośliwe. Inteligentny Veri miał podobne zdanie.

A więc przede wszystkim hrabia Prowansji. Opinia o nim jako rodzinnym geniuszu nie potwierdziła się, jakkolwiek nadal przypisywano mu sporą wiedzę, dobre pióro i literackie gusty. Ale w 1777 r. Veri notował: „Od pewnego czasu widać, że jego inteligencja, która się zapowiadała jako bardzo światła, staje się ociężała, podobnie jak i jego ciało w rezultacie otyłości”. Diuk de Croy notował ze zgorznięciem, że Monsieur – taki był tytuł hrabiego Prowansji, jak każdego najstarszego brata króla Francji – szydzi sobie z religii; zresztą hrabia Artois dystansował w tym względzie brata, pozował na klasycznego libertyna. Monsieur pisał wierszyki i pamflety, tłumaczył z angielskiego, wielbił Horacego, okazywał zainteresowanie dla wizyty Woltera w Paryżu. W jego siedzibie, pałacu luksemburskim, odbywały się literackie zebrania: tu m.in. miały miejsce pierwsze lektury nieprawomyślnego *Wesela Figara*. Czyli: hrabia Prowansji pragnął uchodzić – i w oczach niektórych uchodził – za reprezentanta wieku Światła u stopni tronu.

Co się tyczy polityki, deklarował różnym ludziom całkowitą lojalność w stosunku do króla. W rzeczywistości deklaracje te nie miały pokrycia: hrabia Prowansji kochał uprawiać opozycję wobec rządu. Z początku występował w obronie tradycyjnego absolutyzmu, co się ujawniło w okresie konfliktu o parlament Maupeou, gdy król i rząd pragnęli dać satysfakcję opinii. Pod koniec dawnego reżimu Monsieur zaczął manifestować poparcie dla szlacheckiego liberalizmu i parlamentarnej opozycji, gdy rząd próbował je powściągnąć. Ludwik uważał starszego z braci za obłudnika i intryganta; Maria Antonina miała o nim jeszcze gorsze zdanie i skarżyła się nań gorzko w listach do Marii Teresy. Dwór zaś delectował się wymianą złośliwości między królem i hrabią Prowansji. Oto np. w Wersalu odbywa się amatorskie przedstawienie *Świętoszka* z hrabią Prowansji w głównej roli. „To wspaniałe! Wszyscy aktorzy grali zgodnie ze swą naturą – mówił król wychodząc z tego przedstawienia *Tartuffe'a*”. Z kolei na dworze hulają plotki na temat prawdziwego ojca pierwszego dziecka Marii Antoniny. Podczas chrztu hrabia Prowansji powiada ze złośliwą intencją: „Księżę proboszczu, zapomina ksiądz o zwykłej formalności, o pytaniu, kim są ojciec i matka dziecka!”.

Krół odsunął hrabiego Prowansji od spraw politycznych i trudno mu się dziwić. Po latach diuszessa de Fleury, z domu hrabianka de Coigny, pisała: „Hrabia Prowansji wielokroć był intencjonalnym bratobójcą. Dlatego, że miał talent pisarski, że był impotentem i złośliwcem, uważał się za lepszego od swego królewskiego brata”.

Żona hrabiego Prowansji, Maria Józefina Sabaudzka, miała na dworze

zasłużoną reputację osoby fałszywej, kłamliczej jak z nut. Dzielnie sekundowała swemu mężowi w intrygach. Los ją wszelako pokarał, gdyż jej małżonek związał się na długie lata z ładną i dowcipną hrabiną de Balbi; odtąd Maria Józefina żyła na uboczu spraw dworskich.

O drugim bracie, hrabim Artois, ksiądz Veri pisał: „Postrzeleniec pozbawiony inteligencji, libertyn bez dowcipu, grubiański w swoich wypowiedziach, niefortunny w wyborze towarzystwa”. Nie miał ani wykształcenia, ani intelektualnych zainteresowań, ani nawet wielkich ambicji. Świetny jeździec i tancerz, pasjonował się dość parweniuszowską elegancją w kiepskim stylu. Fantazjowano, że ma frak z diamentami wartymi dwa miliony, że skompletował sobie 365 par trzewików – każda z inną sprzączką – aby móc przez okrągły rok zmieniać je codziennie. Jego rozrzutność w grze czy podczas podróży była również przedmiotem zgorszonych komentarzy. Hrabia Artois przybierał pozy bardzo rycerskie i marsowe, ale złośliwi mieli niejaki wątpliwości co do jego odwagi. Przebieg jego pojedynku z kuzynem, diukiem de Bourbon, który w marcu 1778 r. poruszył cały dwór, zdaje się potwierdzać ów sceptycyzm. Znamienna była przyczyna pojedynku: oto w Operze Artois po pijanemu uderzył w twarz żonę diuka de Bourbon, z domu księżniczkę orleańską. Klasyczny skandal rodzinny! Później, już po rewolucji, komentarze na temat tchórzostwa hrabiego Artois znów się pojawiały: powstańcy wandejscy wzywali go bowiem, by stanął na ich czele; Artois już się był wyprawił z Anglii do kraju, lecz nie ośmielił się wylądować na obszarze objętym kontrrewolucyjną rebelią.

Politycznie hrabia Artois to pospolity konserwatysta, wróg wszelakich reform, które by go mogły pozbawić przywileju szastania pieniędzmi. Król uprzejmie pokrywał jego olbrzymie długi. Gdy pod koniec *ancien regime*'u hrabia Prowansji udawał „księcia patriotę”, Artois stał się liderem, czy może raczej symbolem tępej, konserwatywnej opozycji przeciw jakimkolwiek, drobnym nawet zmianom.

Jego żona była siostrą hrabiny Prowansji. Maria Teresa Sabaudzka, o sześć lat młodsza od Marii Józefiny, miała zasłużoną reputację głupiej gęsi. Dała jednak mężowi – jako pierwszemu z trzech braci – potomstwo; później Artois zaniedbał ją całkowicie dla swych kochanek. Jej starszy syn, diuk d'Angouleme, to następca tronu Francji przy ojcu jako Karolu X. Rewolucja lipcowa 1830 r. pogrzebie jego szansę, Angouleme nigdy nie będzie Ludwikiem XIX. Jeszcze gorszy los spotkał młodszego syna hrabiego d'Artois, diuka de Berry, który padł w 1820 r. ofiarą zamachu. Jego syn, hrabia Chambord, jeszcze w drugiej połowie XIX w. będzie pretendentem do tronu Francji.

O siostrach Ludwika XVI była już mowa. Gruba Klotylda wydana została za piemonckiego następcę tronu; pobożna Elżbieta miała również wspaśniały apetyt, nie tylko zresztą na jedzenie. Była pupilką króla, który z całego rodzeństwa właśnie ją lubił najbardziej.

Ciotki króla przestały grać aktywną rolę. Najmłodsza, Madame Sophie, nieśmiała i brzydka, zmarła w 1782 r. Madame Louise od dawna była w klasztorze karmelitanek w Saint-Denis, nie przestając zresztą interesować się światem zewnętrznym i materialnymi dobrami. Pozostały Adelajda i Wiktorja w luksusach domeny Bellevue, zabijające nudę bigoterią,

plotkowaniem z przyjaciółkami, potępianiem szaleństw epoki, obyczajów dworu i zwłaszcza krytykowaniem Marii Antoniny. Po bankructwie Rohana i odejściu pani de Rohan-Guemenee ze stanowiska guwernantki Dzieci Francji Madame Adelaide zadeklarowała królowi ni mniej ni więcej jak... chęć objęcia nadzoru nad wychowaniem jego dzieci. Maria Antonina bez trudu odparowała ten atak.

Byli jeszcze kuzyni. Gruby książę Orleanu zmarł w 1785 r. i jego tytuł odziedziczył diuk de Chartres. Odsunięty od polityki i od marynarki, przezuwający kalumnie, które po bitwie pod Ouessant wyszły z Wersalu, serdecznie nienawidził pary królewskiej i czekał na szansę rewanżu. Lepsze stosunki miał z hrabią Artois: łączyła ich modna wśród elity anglomania, gust do angielskich strojów myśliwskich i kolacji, wyścigów, zakładów, klubów. Diuk de Chartres nie obawiał się też reputacji angielskiego „kupczyka”: wokół paryskiej siedziby Orleanów, Palais-Royal, zaczął wyrastać wielki kombinat handlowy i rozrywkowy, zespół eleganckich sklepów, księgarni, kawiarni. Miało to znaczenie nie tylko finansowe; zacieśniało więzy Orleanów z paryskim mieszczaństwem, z kawiarni w Palais-Royal czyniło ośrodki politycznej fermentacji skierowanej przeciw Wersalowi. Ale Ludwik XVI dostrzegł tu tylko okazję do szyderstw. „Ponieważ będzie pan trzymał sklepik – rzekł diukowi de Chartres – nie będziemy mieli wielkiej nadziei oglądania pana częściej niż w niedzielę!”

Dalsza linia kuzynów króla to Kondeusze. Było ich wówczas trzech: ojciec, książę de Conde, niezły oficer; syn, diuk de Bourbon, uprawiający nader wyrafinowane sposoby rozpusty; trzeci, syn Bourbona, diuk d'Enghien, miał w 1782 r. zaledwie dziesięć lat. To on padnie ofiarą mściwości Bonapartego, rozstrzelany w fosie zamku Vincennes po parodii procesu przed sądem wojennym.

Kondeusze tradycyjnie starali się reprezentować rycerską, militarną spuściznę Domu Francji: uważali, że zobowiązuje ich do tego pamięć czynów ich przodka, Wielkiego Kondeusza, jednego z najświetniejszych dowódców

XVII w., epoki w całej Europie obfitującej w talenty generalskie. Politycznie nie przekraczali horyzontów nader ciasnego konserwatyzmu. Ich pałac w Chantilly był wspaniałą, nie wielkopańską, ale wręcz królewską siedzibą.

Już u progu panowania Ludwika XVI zacny diuk de Croy martwił się o babskie otoczenie nowego władcy: ma on do czynienia z żoną, dwiema bratowymi, dwiema siostrami i trzema ciotkami. W świecie tych ośmiu bab – pisał Croy – znajdzie się nie mniej niż setka dam. Na szczęście obawy Croya okazały się bezzasadne, Francja nie ulegnie babskim rządóm. Ludwik XVI z doświadczeń poprzedniego panowania wyniósł żywiołową niechęć do wpływu kobiet na politykę. Zahamowania, nieśmiałość, nikły temperament uchroniły go przed metresami: nie odczuwał żadnej potrzeby kochanek, w damskim towarzystwie czuł się nieswojo. W dodatku damska część rodziny królewskiej nie występowała bynajmniej we wspólnym froncie. Prócz pomniejszych intryg i konfliktów była przede wszystkim zaciekle nienawiść ciotek króla i jego bratowych do Marii Antoniny: złośliwe opowieści o jej życiu prywatnym, prawdziwe, półprawdziwe i

zmyślone, częstokroć miały źródło w tej nienawiści. „To, co jedna księżniczka opowiadała, inna potwierdzała. Głos trzeciej sprawiał, że anegdota stawała się nie do podważenia”. Anegdoty z reguły były pikantne.

Maria Antonina i dziś nie budzi sympatii: była lekkomyślna, wyniosła, obrażała ludzi, miała wyskoki złego humoru i kaprysy, nie umiała powściągać swej rozrzutności, umiała za to być mściwa. Jednakże w sprawie jej obyczajów chciałoby się wziąć ją w obronę. Sama jej nieostrożność w stosunkach z faworytami i przyjaciółkami skłania do sceptycyzmu w osądzie kolportowanych na ten temat plotek. Gdyby Maria Antonina rzeczywiście była Messaliną, zapewne lepiej by się pilnowała, byłaby mniej swobodna w zewnętrznych manifestacjach przyjaźni i sympatii. Jej nieprzezorność, lekceważenie środków ostrożności to zapewne nie tyle rezultat pogardy dla ludzkich opinii, ile wynik przeświadczenia o własnym czystym sumieniu.

Zapewne miała też rację, gdy od początku panowania męża domagała się rozluźnienia wersalskiej etykiety. Nawet ksiądz Veri, który bynajmniej nie nosił jej w sercu, przyznawał, iż tradycyjna etykieta dworu była nudna i głupia. Trudno krytykować jej naciski na Ludwika, by do dworskich kolacji dopuszczeni zostali mężczyźni spoza królewskiej rodziny. Gust do naturalnej prostoty, który stał się wyznaniem wiary w Petit Trianon – stroje pasterskie, misterne szalasy, odpoczynki nad strumieniem – to przecież echo sentymentalnych i cnotliwych zachwyków nad przyrodą w stylu Jana Jakuba Rousseau. Nie można się dziwić, że dla tych przyjemności porzucała chętnie monumentalny i sztywny pałac wersalski, fortecę etykiety. Gdy powoziła kabrioletem, pływała barką po Sekwanie, jeździła sankami aż po paryskie bulwary – powoływała się na proste obyczaje dworu wiedeńskiego. Jesteśmy skłonni w tej kwestii stanąć po jej stronie, przeciw krytykom i obmowom „starego dworu”.

Z natury rzeczy jej koteria, „cercle królowej”, to głównie ludzie młodzi, szydzący sobie z owych uprzedzeń starego dworu. W rezultacie znalazło się w tym cercle mniej ludzi ze szczytów arystokracji, natomiast większość stanowiła szlachta o mniej świetnych nazwiskach i oczywiście mniej znakomitej fortunie. W faworach królowej dostrzegali więc oni szansę zrobienia majątku i zdobycia tytułów, zaszczytów, wysokich stanowisk cywilnych czy wojskowych. Klan Polignaków to klasyczny przykład takich łakomych arrywistów. Hrabina de Polignac stała się swego rodzaju medium ściągającym łaski na cały klan: jej teść dostał ambasadę, mąż został diukiem, zięć, diuk de Guiche kapitanem gwardii królewskiej, kochanek, hrabia de Vaudreuil, otrzymał wysoką pensję... Madame Campan wkłada w usta królowej dyskretną skargę na żarłoczność Polignaków: nie zarzucała wprawdzie niczego swej faworycie, nie żałowała wyboru pani de Polignac jako intymnej przyjaciółki, lecz przyznawała, iż „nie przewidziała niedogodności wynikających ze znoszenia przyjaciół jej przyjaciół”.

Długoletni sekretarz królowej „do poruczeń”, cytowany już finansista Augeard, zarzucał jej w swych pamiętnikach, że scedowała ze swej monarszej godności, by odgrywać drugą rolę w apartamentach pani de Polignac. To przesada. Więcej racji miał Augeard, gdy pisał dalej: „Koteria królowej, złożona z ludzi bardzo biegłych w intrydze, nieznacznie owładnęła jej

umysłem; ludzie ci ułożyli między sobą plan całkowitego jej opanowania... Towarzystwo to zajmowało się [później] już tylko doborem ministrów i lokowaniem w ministerstwach krewnych czy przyjaciół lub wreszcie ludzi całkowicie oddanych. Szczególnie im odpowiadało [opanowanie] resortu finansów ze względu na ich żarłoczność”.

W cercle Marii Antoniny przeważali ludzie młodzi; baron de Besenval, już po pięćdziesiątce, stanowił wyjątek. Był tu sławny dandys książę de Ligne, diuk de Liancourt, hrabia de Vaudreuil, hrabia Esterhazy, bracia de Coigny, diuk i hrabia, Axel Fersen, hrabia d'Adhemar (zupełna nicość, ale z protekcji królowej otrzymał arcyważną ambasadę w Londynie!), piękny donżuan diuk de Lauzun, który po schrupaniu fortuny żył ze swej wyścigowej stajni. Wielu spośród przyjaciół królowej przypisywano status jej kochanków: Coigny'emu, Lauzunowi, Fersenowi, nawet staremu Besenvalowi. Jedynie o Fersenie można to powiedzieć bez ryzyka pomyłki: zresztą jego intymne związki z królową były czymś, co dojrzało bardzo powoli. W latach siedemdziesiątych nie ma o nich mowy, w początku następnego dziesięciolecia Fersen długi czas spędzał w Ameryce.

Wyróżnianych przez Marię Antoninę pań był cały legion: Mesdames de Dillon, de Rohan-Guemenee, d'Andlau, de Chalon i wiele innych jeszcze. Tylko dwie były przyjaciółkami od serca: księżna de Lamballe i diuszessa de Polignac. Nie lubiły się i trochę przeciw sobie intrygowały. Pani de Lamballe zachowała przyjaźń królowej, ale głęboki i trwały sentyment Maria Antonina przeniosła rychło na panią de Polignac. Jesienią 1779 r. ksiądz Veri notował: „Rozwiały się teraz podejrzenia, które opinia miała co do przypuszczalnego upodobania królowej do jakiegoś amanta: w tej mierze się rozczarowano. Złośliwość potrafi wszelako zmienić przedmiot. Przypisuje się jej teraz także upodobania do osób jej własnej płci”. Prócz pań Lamballe i Polignac wymieniano więc sławną modystkę królowej, pannę Bertin, mówiono nawet o jakichś tancerkach z Opery! Niektóre osoby z bliskiego otoczenia Marii Antoniny swymi złośliwościami zdawały się uwierzytelniać te paskudne plotki. Oto wedle relacji księcia de Ligne hrabia Artois wchodzi do apartamentów królowej w momencie, gdy trwa spór między nią i panią de Polignac. „Królowa płacze, całuje hrabinę, chwyta ją za ręce, zaklina ją, naciska, rzuca się jej na szyję. Drzwi były uchylone, hrabia Artois wchodząc widzi tę scenę. Zaczyna się śmiać i wychodzi ze słowami: Nie krępujcie się! No i opowiada wszystkim, że wszedł w paradę dwu przyjaciółkom”. Gorzej: niektóre świadectwa wskazują na to, że pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy bardzo ochłodły sympatie Marii Antoniny do jej koterii, właśnie z tego kręgu „przyjaciół” wychodzić będą potwierdzenia pogłosek o „perwersji” królowej. Bez tej reputacji, którą królowej wyrobiono i powtarzano w niezliczonych paszkwilach, nie byłaby możliwa słynna afera z tak zwanym naszyjnikiem królowej: główna autorka całej intrygi, hrabina de La Motte, potrafiła się przedstawić jako przedmiot lesbijskich skłonności królowej i znalazła wiarę! Konserwatywna historiografia sławiąca ancien regime i potępiająca rewolucję lubiła rozdzierać szaty nad przykrym faktem: podczas śledztwa i procesu Marii Antoniny rewolucjoniści obryzgali błotem obyczaje królowej, przypisali jej monstrualną perwersję, nazywali Messaliną. Zapo-

mniano jednak w tym świętym oburzeniu dodać, że rewolucjoniści odziedziczyli takie mniemania właśnie po dawnym porządku, że nad wyrobieniem królowej reputacji Messaliny bardzo pracowali ludzie z dawnej elity wersalskiej, nie wyłączając krewnych i przyjaciół królowej. Hrabia d'Allonville pisał, że różne paszkwile na królową przyjmowano za dobrą monetę i powtarzano również na dworze, gdzie skądinąd dobrze wiedziano, ile nonsensów i niemożliwości jest w tej brukowej „literaturze”. Sam d'Allonville słyszał w Wersalu, że Maria Antonina kazała wydrukować sfalszowany egzemplarz obelżywych dla niej „pamiętników” pani de La Motte, wydanych w Londynie u schyłku lat osiemdziesiątych. Falszerstwo miało polegać na tym, że na początku królowa kazała wydrukować całą serię obelżywych pomówień o królu, tak by otrzymawszy ów egzemplarz nie wierzył dalszemu ciągowi. Podobne androny z Wersalu spływały na Paryż i kraj rujnując reputację królowej i prestiż Korony.

Co do Ludwika XVI, nie ulega wątpliwości, że nie wierzył oszczerstwom. W przeciwnym przypadku nigdy by nie zgodził się na powierzenie pani de Polignac funkcji guwernantki jego dzieci, nie zrobiłby też jej szwagierki Diany damą dworu ulubionej siostry, Madame Elisabeth. Król miał nawet niejaką słabość do diuszessy de Polignac. Cytowano nieraz słowa Ludwika XVI, iż w pałacu Saint-Cloud, nabytym w 1785 r. dla Korony, widuje tylko chamów i dziwki, *croquants et catins*, i odnoszono to do koterii królowej, bo to ona chciała mieć Saint-Cloud, skąd bliżej było do Paryża i jego spektakli, a także do pani de Polignac w pałacyku La Muette. Ale sekretne korespondencja z Wersalu, która podała owe słowa króla o „chamach i dziwkach”, komentuje to tak: „Jest pewne, że bliskość Paryża przyciągała do Saint-Cloud wszelakie kategorie ludzi”. Nie chodzi więc wcale o cercle Marii Antoniny!

Cała jej koteria miała królowej dać namiastkę prywatności, swobodę słowa i zachowań po jarzmie etykiety. Maria Antonina nie znalazła szansy prywatnego życia wśród rodziny, między królem – „biedakiem”, „człowiekiem z drewna” – i jego braćmi, bratowymi, ciotkami z takim zapalem oddającymi się obmowom oraz intrygom. Właśnie dlatego królowa wyrwała się z Wersalu do Petit Trianon. Ale Trianon to miniatura, Saint-Cloud mogło pomieścić komplet przyjaciółek i przyjaciół. To, że Ludwik czuł się źle w Saint-Cloud było dodatkową zaletą nowego nabytku. Maria Antonina chciała się tam zajmować sprawami błahymi i przyjemnymi: skandalami towarzyskimi, spektaklami, modą...

Wiara w bezinteresowną sympatię grona prywatnych przyjaciół była oczywiście złudzeniem. Koteria spychała Marię Antoninę w stronę polityki: pragnęła mieć protektorkę wywierającą mocny wpływ na decyzje, na rozdział stanowisk, pensji, zaszczytów. Z drugiej strony był też cesarski ambasador (i cesarski szpieg, raportujący o niemal każdym kroku Marii Antoniny), zręczny i bystry Mercy-Argenteau. Kurierzy dyplomatyczni Mercy'ego wozili prywatną pocztę królowej do Wiednia i odpowiedzi na nią. Było to sprzeczne z zasadą, ustanowioną jeszcze przez Ludwika XIV, że obce księżniczki na dworze Francji nie mogą korespondować poufnie z rodzinami – ale król przymykał oko.

Na temat politycznych zainteresowań i wpływów Marii Antoniny

krażyły najróżniejsze opinie, przeważnie mocno wyolbrzymiające jej ambicje i możliwości. Oddajmy głos jej samej. Oto co pisała do Józefa II we wrześniu 1784 r.: „Król z natury jest małowówny i często mu się zdarza, że mi nie mówi o wielkich sprawach, nawet gdy nie ma chęci skrywania ich przede mną. Odpowiada mi, gdy mu o nich mówię, ale rzadko mnie uprzedza i gdy dowiaduję się o jednej czwartej jakiejś sprawy, muszę wykazywać zręczność, by o reszcie wy dostać wiadomości od ministrów: pozwalam im sądzić, że król już mi wszystko powiedział. Gdy wyrzucam królowi, że mi nie mówił o pewnych sprawach, nie gniewa się, ma minę trochę zakłopotaną i czasem odpowiada mi z całą naturalnością, iż o tym nie pomyślał. Wyznam ci, że sprawy polityczne należą do tych, na które mam wpływ najmniejszy... Nie mam złudzeń co do mego wpływu, wiem, że zwłaszcza w sferze politycznej nie mam dużego oddziaływania na usposobienie króla... Bez ostentacji ani kłamstw pozwalam publiczności wierzyć, że mam więcej wpływu, niż go mam naprawdę, bo gdyby mi w tym nie wierzono, to miałabym go jeszcze mniej”. Opory Ludwika XVI przed dopuszczeniem jej do wielkich spraw politycznych Maria Antonina przypisywała, najzupełniej słusznie, wychowaniu króla oraz świadomemu działaniu zaufanych ministrów, najpierw Maurepasa a później Vergennesa. Podtrzymywali oni króla w niechęci do „babskich rządów” i do zbyt „austriackiej” polityki, w którą żona mogłaby go wciągać.

Veri miał chyba rację, gdy przypisywał królowej więcej silnej woli i umiejętności decydowania, niż miał Ludwik, ale zarazem lekkomyślność, mało wykształcenia, mierne zdolności. Polityka jej nie fascynowała. W dodatku jej najbliższe otoczenie wystawiało ją na oddziaływania dość sprzeczne. Józef II z oddalenia, Mercy-Argenteau z bliska przestrzegali ją przed mieszaniem się w nominacje ministrów i bieżące decyzje rządowe, natomiast zachęcali do popierania polityki zgodnej z interesami Austrii. Koteria królowej miała w nosie interesy Habsburgów, natomiast popychała Marię Antoninę właśnie do oddziaływania na dobór ministrów i bieżące decyzje, tak by były one korzystne dla faworytów królowej. A w dyskretnym cieniu był jeszcze stary doradca i konfident, ksiądz Vermond. W zakłamanych pamiętnikach pani Campan przedstawiony jako intrygant bez czci i wiary, był w istocie – w opinii wiarogodnych świadków – „uczciwy i rozsądny” (Veri), „prosty, skromny i bez ambicji” (Esterhazy). Diuk de Montmorency-Luxembourg przedstawiał go jako weredyka rąbiącego królowej swoje opinie prosto z mostu; potrafił jej rzec brutalnie: „Ta pani durna Lamballe doradza pani same głupstwa!” Otóż ksiądz Vermond, do którego królowa miała dużo zaufania, namawiał ją do umiarkowania zarówno w uleganiu koterii, jak i w popieraniu interesów Wiednia.

Przez długi czas interwencje Marii Antoniny w sferę spraw publicznych ograniczały się w istocie do tych dwóch obszarów: protegowała swych przyjaciół i przyjaciół swych przyjaciół oraz dbała o interesy swej habsburskiej rodziny. W pierwszej dziedzinie miała dużo większe sukcesy: francuska monarchia miała dużo stanowisk, godności i łask do rozdawania protegowanym możnych patronów. Oczywiście, protekcje królowej zderzały się nieraz zarówno z interesami państwa (gdy popierała ludzi

jawnie niekompetentnych) jak i z protekcjami innych potentatów z Wersalu. Nieraz ponosiła dotkliwe klęski. Tak na przykład nie zdołała zapobiec mianowaniu w 1777 r. zniechęconego kardynała de Rohan na stanowisko wielkiego jałmużnika Francji. Królowa popierała bezskutecznie kandydaturę innego biskupa, Lomenie de Brienne. Rohan będzie drugim, obok pani de La Motte, głównym bohaterem afery z naszyjnikiem królowej; Lomenie doczeka się rewanzu dopiero po dziesięciu latach, gdy z poparciem Marii Antoniny zostanie szefem rządu.

Królowa pamiętała swoje porażki. Była skłonna przebaczyć swym antagonistom, gdy wzięła górę. Cytowano chętnie anegdotę o panu de Pontecoulant, który ją obraził, gdy była jeszcze żoną delfina. Po śmierci Ludwika XV Pontecoulant chciał zaraz złożyć dymisję ze swego urzędu – i Maria Antonina kazała mu powiedzieć, że „królowa nie zachowuje w pamięci sprzeczek delfiny i to ona prosi pana de Pontecoulant, by już nie myślał o tym, o czym ona zapomniała”. Jednakże w przypadku porażki skłonna była do chłodnej mściwości. Źle znosiła niepowodzenia. Minister książę de Montbarey opisał straszliwą, pół godziny trwającą scenę, którą mu urządziła królowa po klęsce jakiejś jej protekcji: „wszystkie rysy twarzy jej się zmieniły”... Montbarey pobiegł do króla i zdał mu sprawę z afery. „Nikt nie wie lepiej ode mnie – rzekł mu Ludwik – jaki to miało przebieg. Proszę się nie niepokoić, podejmuję się porozmawiać z królową, ale nich pan się stara przez jakiś czas nie pokazywać jej na oczy”. Hrabia de Segur pisał, że gdy jego ojciec został ministrem wojny, wiele razy musiał się sprzeciwiać protekcjom królowej. „Najjaśniejsza Pani – mówił jej – ma armię po to, by jej służyła, a nie po to, by spełniała jej pragnienia”. Maria Antonina skarżyła się młodemu Segurowi, który należał do jej przyjaciół, na postępowanie jego ojca: „Nie sądziłam, gdy spowodowałam jego nominację na ministra, że bez przerwy będzie mi się przeciwstawiał i że mnie pozbawi najmilszej mi przyjemności: robienia dobrych uczynków i wyrządzania przysług osobom, które na to zasługują dzięki swemu przywiązaniu do nas”. Stało na tym, że minister będzie jej szczegółowo tłumaczył przyczyny każdej odmowy.

Ostatecznie jednak mnóstwo protekcji królowej odnosiło skutek, czy to wprost u ministrów, czy u króla, który w tej materii „nie potrafił się jej przeciwstawiać, gdy czegoś chciała bardzo wytrwale”. Gorzej było z jej interwencjami w interesie Wiednia, czy to w okresie znanego nam już konfliktu o sukcesję bawarską, czy później, w momencie sporu Austrii z Holandią. Jej zabiegi, równie misterne jak niezgrabne, opisane w sekretnej korespondencji z Józefem II, ocierały się o zdradę francuskich interesów państwowych. Rzecz nie dała się ukryć pod korcem; nie wiadano niczego dokładnie, ale domyślano się intryg Marii Antoniny. Paryski księgarz Ruault, doskonałe echo stołecznej opinii inteligenckiej i burżuazyjnej, tak pisał o królowej: „Mocno intrygowała na rzecz swego brata przeciw interesom tego Domu, którego jest suwerenną panią... Uczucia owej damy do zagranicy ujawniły się wyraźnie przed opinią publiczną i każdy dodaje swoje słowo na temat nikłego przywiązania, jakie okazuje mężowi, dynastii i narodowi, który zapewnił jej karierę i nie odmawia niczego na jej utrzymanie i na jej przyjemności”. Diuszessa d’Abrantes starała się później

usprawiedliwić Marię Antoninę: twierdziła, iż kochała ona Francję, bo kochała rodzinę i koronę; dopiero rewolucja „zmieniła wyraźnie jej uczucia”, gdyż cierpiała właśnie „jako matka, małżonka i królowa”. Czyli: te same racje, które przedtem „kazały jej kochać Francję”, teraz obracały się przeciw krajowi zrewolucjonizowanemu, wrogiemu jej uczuciom rodzinnym i rojalistycznym.

Wywód brzmi przekonująco, ale... pani d'Abrantes nie знаła sekretnej korespondencji królowej z Józefem II: Habsburżanka brała w niej zdecydowanie górę nad żoną króla Francji i matką następcy tronu, a nawet nad królową.

Maria Antonina trafnie przypisywała Maurepasowi i Vergennesowi politykę paraliżowania jej politycznego wpływu. Śmierć Vergennesa w 1787 r. zbiegła się w czasie z narastającą fermentacją prerewolucyjną i postępującym zaniepokojeniem Ludwika XVI. Wszystko to sprzyjało wzrostowi roli politycznej królowej. Pod koniec ancien regime'u uczestniczyła już aktywnie w posiedzeniach Rady królewskiej i wywierała niemały wpływ na oceny i decyzje męża. Demonstrowała przy tym sporo silnej woli, chęci decydowania – i bardzo niewiele politycznej inteligencji.

Ministrowie – a i sam król – bardzo popierali jej zainteresowania dla zabaw, hazardu, plotek w gronie przyjaciół: wydawało się to wyborym antidotum dla ciągłych politycznych. Jednakże pozapolityczne aspiracje Marii Antoniny nie były wyłącznie zabawowe. Miała niejaki ambicje mecenatu artystycznego. Wykazała wcale dobry gust muzyczny protegując talenty naprawdę wybitne (Gluck, Gretry). Gorzej z malarstwem: tu jej smak był dużo mniej pewny. Namalowanie sporej liczby jej portretów wyraźnie kiepskich lub co najwyżej przeciętnych stanowi jeden z dowodów na to, że – jak pisała wierna pani Campan – królowa nie wykazywała w dziedzinie malarstwa ani znanstwa, ani choćby gustu. Również smak literacki nie był jej mocną stroną. Rekomendowała nieraz na przedstawienia amatorskie i dla dworskich spektakli sztuki-ramoty lub wręcz kicze. Elita arystokracji uwielbiała w tamtym czasie aktorskie hobby: o panu de Miromesnil mówiono złośliwie, że został ministrem, bo dobrze grał lokajów w amatorskich przedstawieniach u pani de Maurepas! Maria Antonina również ulegała tej słabości. Z opinii współczesnych wynika, że jej talent aktorski był zupełnie nikły.

W stosunkach między nią a Ludwikiem XVI nie było oczywiście mowy o miłości, ani nawet o czułości. Wobec żony kapryśnej, odmiennej temperamentem i zainteresowaniami, traktującej go chłodno, a nawet pogardliwie, rozrzutnej, często niezbyt wobec niego grzecznej – król zachowywał się z flegmatyczną uległością i lojalnością. Potrafił sobie wypełniać czas bez jej udziału i długo się wzbraniał przed dopuszczeniem jej do wielkiej polityki. Umiał rozładowywać jej złe humory dobroduszością nieraz trochę złośliwą; jego napady brutalności oszczędzały żonę. Była mu wreszcie potrzebna dla zapewnienia ciągłości dynastycznej – i wdzięczny jej był za potomstwo.

Urodziła mu czworo dzieci. Maria Teresa Karolina, Madame Royale, urodzona 20 grudnia 1778 r., jako jedyna z najbliższej rodziny Ludwika XVI przeżyje rewolucję. Na emigracji zwiąże się małżeństwem z diukiem

d'Angouleme: związek okaże się bezpłodny. Doczeka czasów Napoleona III, umrze w 1851 r. Delfin Ludwik Józef, urodzony 22 października 1781 r., nie doczeka wybuchu rewolucji: śmierć go zabierze 4 czerwca 1789 r. Drugi syn, Ludwik Karol, książę Normandii (urodzony 25 marca 1785 r.) wstąpi wówczas w prawa delfina. W rojalistycznej tradycji pozostanie jako Ludwik XVII, legalny król od dnia egzekucji jego ojca aż do śmierci w Temple, 8 czerwca 1795 r. I wreszcie druga córka, Zofia Helena Beatrycze, urodzona 9 lipca 1786 r.: dziecko zdeformowane – podobno w rezultacie noszenia przez matkę gorsetu w okresie ciąży – zmarła w niemowlęctwie. Całą czwórkę wraz z Marią Antoniną uwiecznił piękny obraz pani Vigee-Lebrun, świetnie godzący dworską oficjalność familijnego portretu we wnętrzu z rodzinnym ciepłem, z sentymentalizmem pozbawionym ckliwości.



SZEF RZĄDU

Czy można w ogóle mówić o rządzie króla Ludwika XVI? Jeśli przez rząd rozumiemy organ kolegialny, solidarny w działaniu, sprężyste kierowany – to monarchia Francji i Nawarry rządu wówczas nie miała. Z wielką przenikliwością zauważył to podczas swej wizyty we Francji cesarz Józef II. „Każdy minister – pisał do brata Leopolda – jest absolutnym panem w swoim departamencie, jednakże przy nieustającej obawie, że będzie przez króla nie pokierowany, lecz odwołany. Stąd też każdy z nich zmierza jedynie do zachowania swej pozycji i żaden związek [między nimi] nie powstaje, jeśli nie odpowiada temu właśnie celowi. Władza króla jest absolutna w tym jedynie, że może przejść od jednej niewoli do innej”. Czyli: monarcha może odesłać każdego ministra jak lokaja, ale w istocie nie kieruje skutecznie ani żadnym z nich, ani rządem jako centralnym organem władzy.

Necker był tym współpracownikiem króla, który najlepiej rozumiał absurdalność takiej struktury rządu. Odsunięty od władzy, suflował w 1785 r. swemu przyjacielowi, ministrowi de Castries, znamieny memoriał dla Ludwika XVI. Czytamy tam gorzkie uwagi o zdeformowanej perspektywie Wersalu, odmiennej niż spojrzenie „Paryża i prowincji”, o pogardzie, z jaką opinia spogląda na rząd. „A tymczasem, zważywszy obecny ogólny stan umysłów, Francją można dziś administrować jedynie za pomocą wielkiego szacunku [dla rządu]. Ów szacunek jest rezultatem uzależnionym od całości działań dobrego rządu, a nie od działań tego lub innego ministra z osobna; od jedności ich poczynań, od ducha sprawiedliwości, który temu przyświeca, wreszcie od stanowczości, która zapewnia wykonanie zamysłów. Jedynie Wasza Królewska Mość może dać swojej władzy to, czego jej brakuje. Jeśli monarcha nie ma intencji dać swemu państwu tyle czasu i zainteresowania, ile wymagają tak rozległe terytoria, konieczne się staje, by Wasza Królewska Mość pozwoliła się zastąpić, tak by zawsze istniał centralny ośrodek władzy... Maszyna w rozprzężeniu, źle zorganizowana, może jeszcze długo działać w spokojnym czasie, gdy jednak zaczynają się burze, ulega ona rozkładowi... Jeśli w tym stanie spraw nie ma nikogo na czele interesów państwowych, kto by miał

wystarczająco silną rękę... wystarcza jednej iskry, aby podpalić kraj i zniszczyć go”.

Inteligentni politycy rozumieli, że centrum dyspozycji politycznej jest pilnie potrzebne. Veri trafnie pisał, że talent dobrego króla „polega na robieniu właściwego wyboru [ministrów] i tworzeniu centrum rządzenia”. Gdy tego zabraknie, następują podziały w rządzie, to jest rywalizacje ministrów i ich działania na własną rękę, a także podziały na dworze, czyli walki klanów i koterii dworskich, tworzących potężne grupy nacisku. Każdy resort i każdy klan ciągnie wówczas w swoją stronę, spójna polityka rządu staje się niemożliwa. Nawet słaby i beztroski Maurepas rozumiał, że „potrzebny jest człowiek silny, który by sobie podporządkował króla, jego żonę, jego braci i cały dwór i który by dał rządowi taki centralny i decydujący punkt oparcia, jaki mu jest niezbędny”. Ani sam Maurepas nie odegrał takiej roli – szukał alibi w swym wieku i charakterze; ani po jego śmierci nie zdołał tego osiągnąć Vergennes, mimo sporego wpływu na króla. Maszyna państwowa wstrząsana była narastającym kryzysem, któremu nie mogła stawić czoła wobec braku spójnej polityki.

Symptodem kryzysu w koordynacji działań rządowych była degradacja królewskiej Rady. Jej sekcja dla spraw zagranicznych, Rada Stanu, przy Vergennesie przekształciła się w forum nużącej lektury depesz dyplomatycznych, bez żadnej pogłębionej dyskusji. Król nie lubił zabierać głosu w tym towarzystwie. Trochę więcej znaczenia miała Rada Depesz [dla spraw wewnętrznych], ale i jej posiedzenia stopniowo się przerzedziły. Rada Finansów – wyjąwszy krótkie okresy, gdy usiłowano tchnąć w nią ducha – zbierała się rzadko i dokonywała czynności zupełnie formalnych. Rada królewska do spraw Handlu przestała się zbierać zupełnie... Osobowość Ludwika XVI, jego słabość i nieśmiałość miały ogromne znaczenie dla takiej ewolucji Rady. Pod koniec ancien regime'u w skład Rady wszedł minister hrabia de Saint-Priest; zacytujmy jego relację: „W ciągu dwu lat, gdy zasiadałem w jego [sc. Ludwika XVI] Radzie, nigdy nie słyszałem, by tam formułował jakąś opinię. Nierzadko można było zobaczyć, jak tam śpi. Jego słabość skłaniała go z góry do opinii ministra, który przeważał. Za moich czasów był to Necker, przed nim – Lomenie, Vergennes, a na początku panowania Maurepas. Zresztą i do nich król nie miał prawdziwego zaufania... Inni ministrowie mogli swobodnie wyrażać opinie, ale bez żadnego efektu, jeśli nie zgadzali się z opinią ministra dominującego w Radzie”. Co do owego zasypiania na posiedzeniach Rady, to oczywiście było ono niekiedy wybiegiem: w innym miejscu Saint-Priest pisze, że kiedyś na Radzie Depesz króla ogarnął „nastrój niepokoju, który ukrywał udając bardziej sennego niż zazwyczaj: bo trzeba wiedzieć, że często zapadał w sen podczas posiedzenia Rady i chrapał z wielkim hałasem”.

Ostatecznie więc główny ciężar pracy rządowej absolutnego króla Francji spoczął na bezpośrednich kontaktach z ministrami. Nawet nazywało się to po prostu „pracą króla”, *travail du Roi*. Mówiono również o tych posiedzeniach jako o „plikach papierów”, *liasse*, co dobrze oddaje biurokratyczny, nużący charakter owej „pracy”. Zaczynał ją Ludwik z reguły późnym popołudniem i potrafił poddawać się jarzmu przez długie godziny. Montbarey

z uznaniem pisze, że już pierwsza jego „praca” z królem trwała bite trzy godziny i że monarcha nigdy nie był znużony bardzo szczegółowymi relacjami Montbareya, który dla wszystkiego chciał mieć pokrycie w decyzjach króla... Ministrowie przynoszą więc do „pracy” pękate „pliki papierów”, które Ludwik opatruje swą aprobatą (pisze na marginesie: *bon*, to jest „dobrze”, „zgoda”) lub – rzadziej – oddaje ministrowi, jeśli się nie zgadza czy żąda poprawek. Oczywiście i przy takiej technice pracy rząd mógłby działać w sposób zborny i skuteczny, gdyby król dawał ministrom impulsy zgodne z przemyślanym programem rządzenia, popędzał ich i kontrolował. Ale Ludwik XVI nie jest przecież ani Ludwikiem XIV, ani Napoleonem Bonaparte. „Oddawał się – pisze diuk de Croy – z całą regularnością swym pracom i posiedzeniom Rad, z poczucia obowiązku, starannie, jednakże nie pracował z własnej inicjatywy”. Jeden z dawnych *menins* (towarzyszy dziecinnych zabaw) rzekł kiedyś Ludwikowi szczerze: „To Wasza Królewska Mość powinien dawać impet swoim ministrom” – i otrzymał odpowiedź rozbijającą: „Bardzo chętnie, starczy, jeśli mnie tylko o to poproszą”...

Jakże przy takim władcy i takiej technice pracy koordynować działania ministrów, którzy zamykają się zazdrośnie w opłotkach swych resortów? Słabości systemu dostrzegął nawet bardzo zachowawczy i niezbyt mądry Montbarey: ministrowie, choć uczciwi, „zamykali się jednak ściśle w wewnętrznych szczegółach departamentów, które im były powierzone... Nie zajmowali się ogólnym ruchem maszyny rządowej”. Nawet ministrowie o silniej zarysowanych indywidualnościach, a może zwłaszcza oni, zawierali swoje pakiety o nieinterwencji. Minister dworu Breteuil rzekł Saint-Priestowi: „Przyrzekliśmy sobie, pan de Vergennes i ja, nie mieszać się nigdy wzajem do spraw, które należą do resortu drugiego”. Oczywiście, jakieś sposoby najprostszej koordynacji są konieczne; skoro Rada nie spełnia należycie takich zadań, wykonują je nieformalne komitety międzyministerialne, a więc zespoły robocze dwóch, trzech lub czterech ministrów z udziałem króla. Ludwik XVI lubi te posiedzenia, krótsze niż solenne seanse Rady i niż biurokratyczne „prace”, swobodniejsze, żywsze. Król potrafi tu przewyciężyć swą nieśmiałość. „Wielka szkoda – mówił Vergennes – że nie przemawia publicznie w taki sam sposób: powstałaby inna opinia od tej, jaką ludzie o nim mają. Nawet na Radzie nie chce [tak] mówić. Czyta się tam tylko depesze i nic więcej”.

Komitety ministerialne są użyteczne i nawet niezbędne, ale ostatecznie to tylko namiastka prawdziwego centrum dyspozycji politycznej. Tymczasem na strukturalne błędy systemu – rozproszkowanie działań rządu, brak koordynacji – nakładają się słabości ekip rządzących. Teoretycznie król Francji jest wszechwładnym panem decyzji personalnych: nominacje ministrów są przejawem jego arbitralnej woli, jego *bon plaisir*. Rzeczywistość jest bardziej złożona. Markiz de Ferrieres twierdził, że Ludwik nie miał wielkiego zaufania do swoich ministrów, ponieważ „tylko intryga mu ich dawała; stąd też wynikała niejaka nonszalancja króla wobec spraw państwa”. Dość podobnie Montbarey: sądził on, że ministrów królewskich powoływały i odwoływały wedle uznania „sekty”, to jest koterie i grupy nacisku; ministrowie stanowili zatem jedynie „manekiny” owych sekt, paradujące na scenie tak długo, jak długo służyły koteryjnym interesom.

Otóż, podobne opinie są równie odległe od rzeczywistości, jak i teoretyczny obraz ministrów powoływanych i odwoływanych wyłącznie suwerenną decyzją monarchy.

W istocie Ludwik XVI wybierał nieraz i odwoływał ministrów z własnej inicjatywy; często przyjmował w tej mierze sugestie ludzi zaufanych, przede wszystkim Maurepasa; nieraz też ugiął się pod naciskiem wydarzeń („okoliczności nakazują mi pewne zmiany” – mówił panu de Castries myśląc o zmianach tak polityki jak i ministrów). Niechętnie rozstawał się z Saint-Germainem, ale nacisk otoczenia był zbyt już silny; żałował, że musi dać dymisję Calonne’owi, ale wytłumaczono mu, że jego pozostawanie u steru finansów grozi kompletną katastrofą. Z drugiej strony uległ, choć niechętnie, Maurepasowi i wziął do rządu Turgota oraz Malesherbesa; ustąpił w obliczu nacisków koterii królowej i mianował arcybiskupa Lomenie de Brienne; uznał presję okoliczności i przywrócił do łask Neckera, gdy w 1788 r. wydawało się, że będzie on jedynym ratunkiem przed chaosem ekonomicznym i społeczną rewoltą. Znamienne, że z żalem rozstawał się z ministrami gładkimi, przypoehlebnymi, dwornymi i niechętnie przyjmował do rządu wybitniejsze indywidualności. „Król boi się ludzi inteligentnych i utalentowanych; wmawia sam sobie, że są oni zbyt niespokojni, zbyt przedsiębiorczy; obawy, które sam w tym względzie stwarza, sprawiają, że obecni ministrowie są mu nader sympatyczni” – pisał w 1782 r. Mercy-Argenteau. Owszem, godził się niekiedy na ministrów o wyraźnie zarysowanej indywidualności i o zupełnie odmiennych niż on sam opiniach: Montbarey pisze, iż robił to z powodu „ich reputacji zdolności administracyjnych i wiedzy”, aby przy ich pomocy „ulżyć ludowi”. Sprecyzujmy: upatrywał w ludziach takich, jak Necker, Turgot, po części także Lomenie po prostu zręcznych techników administracji i finansów, którzy mu będą uzdrawiali zabagnioną sytuację kraju. Nie protestował przeciw proponowanym przez nich zmianom licząc jednak na to, iż wszystko się dokona wedle pięknej formuły: *plus ça change plus c’est la meme chose* (im bardziej się wszystko to zmieni, tym bardziej pozostanie bez zmian). Czyli: godził się na retusze i modernizacje techniczne, nie życzył sobie głębokich modernizacji politycznych i socjalnych. W rezultacie ambitni reformatorzy nie mieli szans zagrania miejsca w jego rządzie; zachowawcze miernoty w rodzaju Miromesnila czy Amelota utrzymywały się tam przez długie lata.

Byli ministrowie Ludwika XVI przyznawali później, że skład rządu przedstawiał wiele do życzenia. Bertrand de Moleville pisał, że „zaczne intencje” króla paraliżował brak ministrów „silniejszych, zręczniejszych, bardziej świątłych”. Dodawał wszakże, iż nie była to wina Ludwika: „Jakież miał on środki, by poznać, znaleźć, wybrać [ministrów] lepszych?”. Saint-Priest konstatował, że król „nie przyciągał do siebie żadnych ludzi wartościowych i dopasowywał się do dworaków, dobrych czy też złych”; ale też „nie potrafił studiować ludzi, co jest główną mądrością królów”. Spróbujmy spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Była już mowa o czasach Ludwika XVI jako złotej jesieni arystokracji, hołubionej przez absolutną władzę. Otóż słabość króla stowarzyszyła się ze słabością całej arystokratycznej elity.

Augeard, konserwatywny, ale nie głupi, stwierdzał słusznie, że „wśród ludzi Dworu i tych, którzy z charakteru swych funkcji otaczali króla, nie znalazł się nikt, kto by wyróżniał się już nie mówię wielkimi zdolnościami, lecz poziomem choćby trochę ponad przeciętność. Grands seigneurs wyobrażali sobie, że ich godność i ranga wystarczają, by rościć sobie prawa do wszystkiego”. Na szczytach władzy powstawała prawdziwa polityczna pustynia, po której snuły się nadęte miernoty. „Nigdy nie udaję się do Wersalu nie wywołując stamtąd głuchego gniewu na widok naszego podporządkowania temu tłumowi lokajów – pisał Veri. – Ich szlachecka ignorancja, ich służalcza dostojność i ich rzekoma wyższość nad narodem, łupionym by dać im utrzymanie, wyraźnie inspirują idee republikańskie”. A w innym miejscu: „Człowiek Dworu kocha fortunę, stara się przypodobać i pragnie obalić ministra, który nie jest mu przychylny”. Dworskie koterie i klany schlebiają więc rządzącym, a jednocześnie intrygują i podkopują tych, którzy są dla nich niewygodni. Poziom owych intryg odpowiada wymiarom samych dworaków. Augeard cytuje groteskowy przykład: gdy koteria Polignaków doszła do wniosku, że nie odpowiada jej wzmocniona pozycja Rady Finansów, zaczęto organizować u pani de Polignac amatorskie przedstawienia komediowe właśnie w godzinach posiedzeń owej Rady. „Król był zapraszany na owe małe spektakle, tak że liczne zebrania nie dochodziły sukcesywnie do skutku”.

Saint-Priest opisywał z goryczą, że gdy dotarła doń wiadomość, iż król mu dał dymisję, dwaj obecni u niego przyjaciele powstali i bez słowa żalu pod jego adresem pobiegli do apartamentów królewskich ze słowami: „Chodźmy zobaczyć tam na górze, z której strony świeci słońce”. Płynne, interesowne, wypełnione intrygami, aliansami i kontraliansami wzajemne stosunki pomiędzy dworskimi grupami nacisku i ministrami to trwały element życia politycznego Wersalu.

Manewry koterii dworskich były ułatwione faktem, potwierdzanym przez wielu świadków dobrze poinformowanych. Oto Ludwik XVI przywiązany był do ministrów, z którymi współpracował najbliżej: do Maurepasa, Vergennesa, po części także do Calonne'a. Nominacje innych ministrów nie pasjonowały go zbyt. Wydaje się to zrozumiałe. Ludwik potrzebował w rządzie człowieka zaufanego; poza tym odpowiadał mu tam każdy, kto należał do wersalskiej elity, był dobrze wychowany i pełen respektu dla utrwalonego ładu. Wystarczało z odpowiednią gorliwością poruszać się utartymi ścieżkami, opanować rutynę rządzenia. Takich kandydatów na ministrów można było znaleźć w dużej obfitości.

Zachowawczy minister konserwatywnego monarchy, jak trafnie pisał Veri, przede wszystkim bał się stracić swą dobrą posadę, co mu odbierało rozmach w działaniu, szlachetność motywów, odwagę decyzji. Rutyna jako dewiza działania oczywiście umacniała pozycję wysokich funkcjonariuszy ministerstw tak dalece, że ksiądz Georgel pisał wręcz o „panowaniu biurokracji”. Podobnie Augeard: „Główni urzędnicy, którzy powinni być jedynie pomocnikami, nie widząc nikogo na szczycie budynku uwierzyli, iż są jego architektami”. Hrabia d'Allonville tuż przed rewolucją twierdził, że biura są czynnikiem stabilizacji ustroju dzięki swemu doświadczeniu, skromnej pozycji urzędników, nieczęstym zmianom personalnym. Z satysfakcją

pisał, że biurom właściwy jest „duch szczegółowości”, nie do pogodzenia z „wielkimi projektami administracyjnymi”. D’Allonville, który miał lekki koloryt opozycyjno-parlamentarny, przypisywał też biurokracji funkcję zapory przeciw despotyzmowi. W istocie bowiem królowi zagrozić może jedynie jakaś wielka rywalizująca potęga, natomiast biurokracja stwarza „całą masę przeszkód, silną w swej całości i słabą w poszczególnych częściach, które nie mogą być zniszczone ze wszystkim: takie zwycięstwo przyniosłoby wiele niebezpieczeństw, a miałyby niewiele znaczenia”. Stałość biur jest gwarantem porządku i hamulcem dla arbitralności monarszej.

Ten sam hrabia d’Allonville nie ma dość słów krytyki dla ministrów Ludwika XVI: przegląd całej ekipy rządzącej jest w jego pamiętnikach szyderczy i bezlitosny. Vergennes był zawsze „człowiekiem dnia wczorajszego, nigdy jutra”; jego następca Montmorin to słabeusz i nicość. Montbarey dawał się wodzić za nos kochance, Segur, uczciwy, był jednak bardzo mierny. Po Segurze w ministerstwie wojny zjawiał się hrabia de Brienne, „minister wbrew własnej woli”: rzekł on podobno Allonville’owi, gdy już z rządu odchodził: „Młody człowieku, muszę panu wyznać, że przychodziłem tu niechętnie, jak bity pies, odchodzę zaś z rozpaczą: ta przeklęta kraina władzy ma ponęty, których nigdy bym nie podejrzewał”. W ministerstwie marynarki był wprzód Sartines, „który nawet nie znał geografii”, a potem Castries, „czarująca przeciętność”, i pan de La Luzerne, świetny hellenista, który lepiej znał antyczne triremy niż nowoczesne okręty. Z kolei przyszedł do marynarki Bertrand de Molleville, „niezgrabny intrygant, który wyrządził wiele zła królowi, chciał mu służyć, lecz nie umiał”. W ministerstwie Dworu, ważnym, bo kontrolującym również Paryż, był najpierw Malesherbes, nie znający się na ludziach; później Breteuil, „próżny i oschły, choć nie z wielkiego rodu, złych obyczajów, chciwy, pożerany ambicją”. Saint-Priest zaś „nie umiał pokazać ani stanowczości w rządzie, ani wierności na emigracji”. Wszyscy ministrowie finansów to „ludzie talentu bez moralności lub vice versa”. W ministerstwie sprawiedliwości: Miromesnil, zupełnie nie przygotowany do tych funkcji; Lamoignon, niezdolny do działania bez pomocy biurokratów; Barentin, który przyszedł do rządu po „trzydziestu latach nicości”. Wreszcie szef policji Crosne wyróżniał się wyjątkową głupotą: rozważał, czy by nie dać tajnym agentom policji... uniformów; gdy raz w jakimś salonie rozmawiano o zamordowaniu Pompejusza złożył sprostowanie: od dawna w Paryżu nie było ani jednego mordu!

Świadeństwo d’Allonville’a wygląda na złośliwy paszkwil, ale dysponujemy innymi, podobnymi ocenami. Oto kilka opinii diuka de Montmorency-Luxembourg. Nieco łaskawszy dla dwóch ministrów, Lomenie i Lamoignona, przypisywał wszelako pierwszemu z nich chytryść i upór w trzymaniu się swych pomysłów, drugiemu – brak skrupułów w sprawach pieniężnych. Breteuil miał zasady, lecz był „twardy, wyniosły, porywczy, despotyczny”.

Główną zaletę Montmorina, ongiś *menina* Ludwika XVI gdy był jeszcze delfinem, stanowiła umiejętność zdobycia zaufania monarchy. Segur był „uparty, zawzięty, twardy choć zarazem ustępliwy, gdy chodziło o fawory,

rządzony przez swe potomstwo i przez swych urzędników”. Hrabia Brienne, „minister pod każdym względem pospolity, ściągał na siebie upokorzenia i odrazę”. A oto co o ministrach Ludwika XVI pisał Soulavie: Miromesnil „mniemał, że umiejętność zachowania bezczynności to najpierwsza i najcenniejsza zaleta ministra”; Segur nie chciał żadnego ruchu w rządzie; Amelot, nieśmiały i pełen rezerwy, pragnął tylko spokoju. Wszyscy oni, ale także wychwalany przesadnie Vergennes, legitymowali się inteligencją ograniczoną. Nietrudno mnożyć podobne opinie, pochodzące od świadków Ludwikowi XVI przychylnych. Może jedna jeszcze anegdota warta jest zacytowania: efemeryczny szef finansów państwa Fourqueux rozmawia z Saint-Priestem. „Nigdy nie zajmowałem się interesami politycznymi – mówi – i nie jestem w stanie nic z tego zrozumieć!” Bo też w istocie Ludwik XVI nie uważał, iż potrzebuje polityków. Starczy, jeśli ministrowie będą posłusznymi i miernymi administratorami ekspedującymi sprawy bieżące wedle niezmiennego rytmu. Ambicje ministrów nie są wcale potrzebne temu monarsze, który – jak pisał Mercy-Argenteau – „jest bardzo zazdrosny o swą władzę, choć sam robi z niej tak niewielki użytek”. Współcześni dziwili się, że król „jest bardzo niezręczny w zachęcaniu ludzi, by mu służyli”, że „nie zadaje sobie żadnego trudu, by się podobać lub zachęcać”. Ale przecież wcale nie chciał nadmiernej gorliwości w służbie! Jego ambicją było konserwować „starą, dobrą monarchię”, a nie zmieniać ją. „Jego Królewska Mość sądził – pisze Montbarey – że mniejsza odpowiedzialność na niego spadnie za zachowanie rzeczy takimi, jakie były, gdy obejmował tron, niżeli za zmiany dokonane zgodnie z jego rozkazami i na wniosek jego ministrów”.

Ale czy można było niczego nie zmieniać? Otóż, Ludwik XVI podzielał w tej mierze opinie mocno zakorzenione w świadomości wersalskiej elity, która go kształtowała na obraz i podobieństwo swoje. Ów stan świadomości dobrze oddaje zarys traktatu o ustroju Francji, napisany tuż przed rewolucją przez hrabiego d’Allonville i przeznaczony dla delfina Ludwika Józefa. Ukazywał on Francję u progu wielkiego socjalnego przewrotu jako kraj idealnie zrównoważony politycznie i społecznie. W społeczeństwie równoważą się przecież parlamenty, wpływowe, ale bez dostępu do stanowisk, szlachta, która te stanowiska dzierży, i finanse, których bogactwo zaćmiewa szlacheckie majątki. Także w systemie rządzenia są czynniki równowagi: władze wojskowe temperują lokalne władze cywilne, doświadczenia biur równoważą potęgę ministrów. I konkluzja: „We Francji... wszystko jest monarchiczne w interesach, w rozwoju, w rezultatach; wszystko jest uregulowane i zachowawcze”.

Po cóż więc zmieniać system tak pięknie zrównoważony i uregulowany? Z okien Wersalu trudno było dostrzec głębokie naruszenia społecznej równowagi: rosnące siły, zamożność i ambicje burżuazji; niezadowolenie szlachty prowincjonalnej; rozdrażnienie ubogich, których sytuację pogarszała stagnacja ekonomiczna, później zaś jawny kryzys; coraz szerzej rozwierające się nożyce między przywilejami elity i roszczeniami nieuprzywilejowanych. „Buta ludzi zwanych dystyngowanymi – pisał później Augeard – zakreśliła taką linię graniczną między nimi a tak zwaną szlachtą prowincjonalną i wielką burżuazją, że mogły stąd wyniknąć tylko

wielkie a pospolite zawiści”.

Owszem, dostrzegano kłopoty finansowe rządu. Nieraz i później ludzie z dawnej elity pisali, że dla uniknięcia rewolucji wystarczyłoby „tylko” znaleźć dobre rozwiązanie tych trudności. Nie zdawano sobie sprawy z głębokiego uwikłania problemów finansowych w cały system społeczny, w grę interesów, układy przywilejów. „Król traktuje kwestie finansowe – pisał Mercy-Argenteau – w duchu drobiazgowej oszczędności, ale w najciaśniejszym tego słowa znaczeniu i niezależnie od tego rozrzutność jest taka, jakiej nie było za poprzedniego panowania”. A ministrowie? Pisał o ekipie rządzącej ksiądz Veri, że „mają zawsze w ustach hasła ładu, oszczędności, walki z rozrzutnością. Ale zawsze też mają nie dające się przewyciężyć powody dla wydatków, na które w danym momencie mają ochotę”.

„Stara budowla społeczna była kompletnie podminowana w swych głębokich podstawach – pisał hrabia de Segur – ale na powierzchni żaden wyraźny symptom nie zapowiadał jej bliskiego upadku... Szefowie starych rodów szlacheckich uważali, że są równie niezachwiani jak sam monarcha, spali więc bez obawy na wulkanie... Nigdy straszliwsze przebudzenie nie było poprzedzone przez słodszy sen i bardziej zwodnicze marzenia”.





V. CAŁA BUDOWLA DO NAPRAWY



CALONNE

Kłęska i dymisja Ormessona w jesieni 1783 r. spowodowały poruszenie w Wersalu i zmiany rządowe. Zaczęły się zwykle dworskie intrygi. Minister de Castries, nie bez poparcia królowej, starał się namówić Ludwika na przywrócenie Neckera do łask i do roli szefa finansów. Odpowiedź króla była jednoznaczna: „Po tym sposobie, w jaki go traktowałem, i po sposobie, w jaki rozstał się ze mną, nie mogę myśleć o wykorzystaniu go na jakimkolwiek stanowisku”. Odrzucił też kandydaturę arcybiskupa Lomenie de Brienne, który cieszył się poparciem królowej, ale jak na gust Ludwika był zbyt filozofującym prałatem, podejrzanym wręcz o wolnomyślność. „Nie chcę ani neckerostwa, ani klechostwa”, ni Neckeraille ni *pretraille* – miał podobno powtarzać król. Nie znalazł wreszcie łaski w jego oczach kandydat klanu skupionego wokół hrabiego Prowansji, niejaki Foulon, człowiek brutalny, cyniczny i skrajnie reakcyjny.

Ostatecznie więc finanse dostał Charles-Alexandre de Calonne, który poprzednio pełnił funkcje intendenta we francuskiej Flandrii. Bardzo go popierała koteria Polignaków (choć Maria Antonina nie miała szczególnego przekonania do tej kandydatury) oraz kręgi finansistów wrogich Neckerowi. Przyjaciel Vergennesa, bankier dworu pan d'Harvelay także się przysłużył Calonne'owi (nawiasem mówiąc, ponoć był on kochankiem żony d'Harvelaya). Zneutralizowało to opory Vergennesa. 3 listopada 1783 r. Calonne otrzymał nominację.

Intrygi jednak trwały nadal, bo dwóch ministrów – Amelot, minister dworu, i Miromesnil, minister sprawiedliwości – chorowało poważnie. Król myślał o ministerstwie dworu dla pana de Lenoir, który się sprawdził jako sprawny szef policji paryskiej. Ale królowa i Vergennes przeważyli szalę na korzyść barona de Breteuil, o którym ksiądz Veri pisał zjadliwie: „Nikt mu nie odmawia zuchwałości, która w oczach wielu ludzi warta jest tyle samo, co inteligencja”. Miromesnil utrzymał się jeszcze długi czas: baron Besenval opisywał, jak to ciężko chory minister sprawiedliwości udał się jednak do Wersalu, by się pokazać, gdyż wiedział dobrze, iż „ten, kto opuszcza grę, przegrywa”.

Calonne obiecywał królowi naprawę finansów. Augeard twierdził, że Calonne „miał wszystkie przywary i śmieszności paryskiego burżuazji”; niestety, nie miał zalet przezornego, racjonalnie działającego bourgeois. Był elegancki (ale dworacy uważali, że jego elegancja jest w nie najlepszym smaku); gładki, wygadany, żywy, wielce uprzejmy, spodobał się królowi i

nawet ostrożnemu Vergennesowi. Miał sporo śmiałości i inicjatywy, był pojętny, choć nie miał poważnej wiedzy, pracował szybko, ale skłonny był do lenistwa. Hrabia Segur znakomicie opisał złudzenia, które wersalska elita robiła sobie na początku urzędowania Calonne'a: nie wątpiono, że nareszcie oto znalazł się poszukiwany od dawna czarodziej finansów.

Akademik Marmontel, skądinąd faworyzowany przez Calonne'a, przedstawił zwięźle jego zasady działania: „Daleki od skrywania swej ambicji, głośno ją proklamował, a w miejsce surowej oszczędności, w którą się zbroili niektórzy spośród jego poprzedników, stroił się w barwy przyjemności i wdzięku”. Starał się iść na rękę „tym, którzy chcą budzić strach, aby dać się kupić”. Arystokracja lubiła go więc, „i w końcu nawet ci, którzy ośmielali się powątpiewać, czy jest najlepszym z ministrów, byli zmuszeni uznać, iż jest najbardziej czarującym”. Królowa należała do tych, którzy z początku nie byli doń przekonani: bardzo więc się starał przypaść jej do smaku. Gdy wyrażała chęć przedłożenia mu jakiejś prośby, odpowiadał podobno: „Madame, jeśli to jest możliwe, już jest zrobione; jeśli niemożliwe – będzie zrobione”. W okresie rządów „czarodzieja finansów” hrabia Artois i hrabia Prowansji dostali dwadzieścia kilka milionów na pokrycie swych długów; arystokracja wersalska również miała swoją porcję z tortu. Także podczas „pracy” Ludwika z panem de Calonne „nie było żadnych spraw zawiłych, przykrych ani żadnego ambarasu co do teraźniejszości, ani też cienia niepokoju co do przyszłości. Król był spokojny i wszyscy byli zadowoleni”.

Zadowolony był również sam czarodziej. Przed objęciem ministerialnej teki miał sporo długów. Augeard, zapewne z niejaką przesadą, twierdził, że „aby spłacić swe zobowiązania, miał tylko dwa wyjścia: wziąć ministerstwo finansów albo pistolet”; Maurepas, blisko powiązany z Augeardem, mówił mu podobno, iż Calonne „to dziurawy koszyk: gdyby oddano finanse w jego ręce, to skarb króla wnet byłby równie pusty jak jego sakiewka”. Vergennes podobno twierdził, że Calonne winien jest ludziom więcej złota, niż waży... Wnet zaspokoił swoich wierzycieli. Ponoć sam wyznał królowi, że ma 220 tys. długów, których spłata przypada natychmiast; rzekł, że minister finansów miałby sposoby pokrycia swych długów w tajemnicy przed królem, ale on woli wybrać drogę szczerości! Ludwik wyjął z sekretery 220 tys. w papierach wartościowych i dał mu je, Calonne zaś zachował królewski prezent, a długi spłacił „w inny sposób”.

Czy można było mieć mu za złe dbałość o swoich wierzycieli? Wszak Calonne stał się opatrnością rodziny królewskiej, arystokracji wersalskiej, finansistów; miał hojną rękę, przywracał zniesione urzędy dworskie, pozwalał na kosztowne transakcje nieruchomościami, które powiększały królewską domenę i stanowiły gratkę dla sprzedających, bo skarb przepłacał słono te nabytki. Calonne był za pan brat z wielmożami, diukowi de Polignac mówił po imieniu, swej kochance podarował kosz cukierków owiniętych nie w zwyczajne papierki, lecz w bilety bankowe. Stworzył też Calonne swą własną koterię: szukał wsparcia w różnych środowiskach społecznych, pragnął mieć zręcznych propagandystów i żyrantów swej polityki. Docierał zatem do literatów i publicystów, w

sferach bankowych jego aliantem był protestancki bankier, Szwajcar Panchaud, z klerem miał kontakty przez samego Talleyranda, który nie gardził spekulacją, nie brakowało mu też zwolenników wśród wersalskiej szlachty.

Byli oczywiście i sceptycy. Gdy pojawiły się bombonierki z dwoma portretami „finansowych czarodziejów”, Sully’ego i Calonne’a – swoiste wyzwanie pod adresem Neckera, bo to on dotąd porównywany był do Sully’ego – mądra pani Sophie Arnoult wykrzyknęła: „To wspaniałe! Są tu Przychód i Wydatek”. Jednakże przy całej swej nonszalancji i rozrzutności Calonne miał – lub sądził, że ma – pewną politykę. Nie wyznawał prostej dewizy „po nas potop”; twierdził, że duże wydatki rozgrzewają kiepską koniunkturę, że pieniądz goni pieniąż. Inna sprawa, że twarda rzeczywistość stawiała opór jego zamysłom. Inicjował wielkie roboty portowe w Cherbourgu, co oczywiście szalenie się podobało Ludwikowi XVI, zakochanemu – na dystans – w sprawach morza: ale fachowcy już wówczas oceniali bardzo krytycznie te inwestycje; później się okazało, że mieli rację. Ruszyły liczne nowe budowy w Paryżu – ale paryżanie szemrali, bo z nazwiskiem Calonne’a związał się osławiony „mur dzierżawców generalnych”, z gęsto rozsianymi rogatkami. Ta ekonomiczna bariera nie budziła oczywiście sympatii mieszkańców stolicy. Nawet bardzo rozsądne operacje ekonomiczne Calonne’owi nie udawały się nigdy w pełni. Oto podjęto decyzję przetopienia złotych pieniędzy, gdyż ceny złota poszły w górę i francuskie luidory wyciekały za granicę. Minister liczył na spory dochód z tego zabiegu, ale przeprowadzony niechlujnie i niezbyt uczciwie przyniósł on dużo mniej, niż można się było spodziewać. Wypadnie jednak poczekać trzy lata, nim skutki radosnej działalności Calonne’a wyjdą wyraźnie na jaw. Na razie wśród rosnących wydatków nieracjonalnych i usłużnie faworyzujących elitę wciąż powtarzano slogany o postępie ekonomicznym, oszczędnościach, porządku w finansach, ulgach dla ludu. Wierzchołki klasy rządzącej mogły sobie kontynuować opisywany przez Segura spokojny sen na krawędzi wulkanu. „Sprawy ich urzędów, promocje, królewskie fawory i chłody, nominacje i dymisje ministrów – to jedyne przedmioty ich zainteresowania, motywy ich działań, tematy ich rozmów”. „Byłem aż nadto przesiąknięty ideą, że francuska monarchia jak była tak i zawsze będzie niezachwiana w swoich podstawach” – pisał Montbarey. „Kryzys [rewolucyjny] przyszedł tylko wskutek nierozsądku tych, którzy się upierali przy przekonaniu, że jest on niemożliwy” – to opinia Marmontela.

Rok 1784 jest więc jednym z nielicznych lat spokojnych i szczęśliwych. Lista ofiar pasji myśliwskiej Ludwika za ten rok jest wyjątkowo krótka, król więc zaczyna mieć reputację władcy, który spoważniał. Nie budzi to zachwyty dworaków. „Spostrzegają oni... z przykrością, że jak się zdaje zapął króla do polowań nie jest już taki sam... Jego Królewska Mość bardzo tyje i ćwiczenia [myśliwskie] zaczynają sprawiać mu trudność. Ludzie przewidują, że monarcha mógłby zastąpić polowania zajęciami bardziej refleksyjnymi”.

Nie dla wszystkich wszakże rok 1784 jest dobrym rokiem. Zima jest niezwykle surowa; biedacy odczuli ją wyjątkowo boleśnie. Ludwik zachował

się godnie: przeznaczył kilka milionów na rozdawnictwo chleba i opału dla umierających z głodu oraz zimna nędzarzy, na zakładanie „warsztatów charytatywnych” dających ubogim pracę. Inspirowana przez dwór prasa wychwala dobroczynność monarchy; w Teatrze Francuskim słynny aktor Dugazon wplata do sztuki o Henryku IV kuplety na temat dobroci Ludwika. Niestety, zima 1784 r. nie jest odosobnionym wybrykiem natury: otwiera ona całą serię złych lat, która trwać będzie aż do rewolucji; surowe zimy, nieprzychylne dla rolnictwa wiosny i lata, zarazy niosące pomór bydła. Owce wyginęły, nie ma więc dość surowca dla przemysłu tekstylnego. A traktat celny z Anglikami, zawarty w 1786 r., otworzył szeroko rynek francuski dla tańszych towarów angielskiego przemysłu. Rodzima produkcja staje w obliczu groźnej konkurencji i bezrobocia. Tylko że z okien wersalskiego pałacu trudno to wszystko dojrzeć, trudniej jeszcze przewidzieć konsekwencje.

W polityce zagranicznej sezon jest ożywiony. Późną wiosną Wersal przyjmuje dalekiego, lecz oddanego sojusznika, króla Szwecji Gustawa III, który przybywa do Francji pod nazwiskiem hrabiego de Haga. Tradycyjnym już od XVII w. zwyczajem król Francji zapewnił swemu północnemu aliantowi solidne subsydia; „hrabia de Haga” zgodził się natomiast, by w Wersalu pozostał inny szwedzki hrabia, Axel Fersen. Otrzymał komendę regimentu Royal-suedois, mieszkanie w pałacu i 20 tys. liwrów pensji. Złośliwi przypuszczali, że pani de Polignac będzie niechętna temu konkurentowi do łask Marii Antoniny. Ale dobrze poinformowany hrabia de Saint-Priest wyjaśnia nam, że klan Polignaków wcale nie sprzeciwiał się tej słabości królowej: szefowie koterii królowej, z Vaudreulem i Besenvaliem, rozumieli, że cudzoziemiec, dość izolowany na Dworze, pozbawiony poparcia jakiegoś arystokratycznego klanu i zresztą mało przedsiębiorczy z charakteru – jest dużo wygodniejszy niż jakikolwiek Francuz otoczony żarłocznymi krewniakami. Spoglądano więc z dobroduszną przychylnością, jak Maria Antonina nieroztropnie afiszuje swą sympatię do Szweda.

W przyjaźni dla Szwedów król i królowa są jednomyślni; gorzej ze sprawami austriackimi. Józef II cierpi, gdyż nie udało mu się wygrać żadnej wojny. Jego francuski szwagier, gruby, niemrawy i nie mający żadnego militarnego doświadczenia, pokonał oto Anglików, natomiast Austria nie zdołała osiągnąć tak bliskiego już, jak się zdawało, celu: upokorzenia Prus i upolowania sukcesji bawarskiej. Józef nie rezygnuje z Bawarii, a na razie jako kartę przetargową wysuwa roszczenia pod adresem Holandii. Chodzi o wolność żeglugi na Skaldzie, której wyjście na morze kontrolowane jest skutecznie przez holenderskie fortyfikacje. Austria włada wówczas południowymi Niderlandami, tj. dzisiejszą Belgią; Józef II pragnie uczynić ze swej Antwerpii centrum handlu zaćmiewające blask holenderskiego Amsterdamu. Stąd owo żądanie wolnej żeglugi na Skaldzie; cesarz daje wszakże do zrozumienia, że mógłby zeń zrezygnować, gdyby dostał Bawarię.

Ludwik XVI i Vergennes musieliby zupełnie oszaleć, gdyby w imię aliansu z Wiedniem popierali plany Józefa II. Francja nie ma żadnego interesu w umacnianiu Austriaków tuż nad swą północną granicą. W

konflikcie wokół Skaldy, który wypełnia lata 1784-1785, Wersal dostrzega świetną okazję zbliżenia z Holandią, równie bogatą jak tradycyjnie Francji nieprzychylną. W pewnym momencie sojusz z Austrią wisi na włosku: jesienią 1784 r. Vergennes ostrzega Wiedeń przed następstwami inwazji na Holandię, nad granicę wysłany zostaje francuski korpus mający obserwować ruchy wojsk austriackich. Francuzi zaczynają przypuszczać, że wojna z Austrią jest nieunikniona.

Ludwik działa zgodnie z francuską racją stanu, natomiast Maria Antonina reaguje po swojemu: intrygami i kryzysami nerwowymi. Usiłuje bezskutecznie zmienić politykę męża, naciska na niego, opluwa Vergennesa, z patosem powołuje się na ów alians francusko-austriacki, którego jest sama żywym symbolem i który wydaje się jej gwarancją jej prestiżu. W poufnej korespondencji z Józefem II żali się płaczkliwie, że Vergennes tak bardzo się liczy z opinią „tego kraju”; zapewnia, że nie chce doradzać cesarzowi cierpliwości, która naraziłaby na szwank jego sławę! Nie ulega więc wątpliwości, że w przypadku wojny Francuzów z Austriakami życzyłaby sukcesu swym rodakom, a nie swym poddanym.

Wojny jednak nie będzie. Józef II nie dostanie ani Bawarii, ani wolnej żeglugi na Skaldzie; żeby pozwolić mu wyjść z awantury bez utraty twarzy, Holendrzy zgodzą się zapłacić wielomilionowy okup, Ludwik XVI zaś pokryje z tego aż cztery miliony. Można by uznać, że warto było zapłacić tę sumę, wliczyć ją w koszt sojuszu z Holandią zawartego w jesieni 1785 r. Jednakże opinia publiczna dopatry się w tym diabolicznej intrygi Marii Antoniny; powtarzano, że każe ona słać wielkie sumy swemu cesarskiemu bratu, że pragnie zrujnować Francję. Legendy o górach francuskiego złota wędrujących do Wiednia będą jeszcze jednym elementem nieprzychylnych wobec królowej nastrojów. Gdy w marcu 1785 r. urodzi Ludwikowi drugiego syna, Ludwika Karola – po męczącej, pełnej obaw o zły poród ciąży – jej dziękczynna wizyta w paryskiej katedrze nie wywołała prawie wcale sympatii i zainteresowania paryżan. To jakby preludium do prawdziwego sabatu, który się wnet rozpęta na tle sprawy „naszyjnika królowej”.



PRECZ Z KRÓLOWĄ, NIECH ŻYJE KRÓL

Najpierw jednak był skandal z pałacem w Saint-Cloud, należącym do Orleanów. Ludwik kazał go nabyć dla żony za cenę 6 milionów, podobno dwukrotnie przekraczającą wartość nabytku. Upiększanie i wyposażanie Saint-Cloud kosztować będzie drugie tyle. Nawet usłużny Calonne – który już zaczynał dostrzegać na horyzoncie widmo bankructwa skarbu – próbował zaprotestować. Królowa postawiła na swoim: Augeard zapewnia, że szantażowała Calonne’a groźbą ujawnienia jego szalbierstw, ze szczególnym uwzględnieniem sum podarowanych książętom krwi i dworskiej arystokracji. Afera z kupnem Saint-Cloud wiosną 1785 r. miała podwójny skutek. Pogłębiała niechęć opinii do rozrzutności Dworu i do królowej, tak ekstrawagancko zachłannej wśród rosnącej nędzy ludu; spowodowała też zimną i mściwą wrogość Marii Antoniny do ministra

finansów. Sposób, w jaki królowa rządziła się w Saint-Cloud, również budził niechęć paryskiej opinii.

Wszystko to straciło znaczenie, gdy 15 sierpnia 1785 r. wybuchł skandal z naszyjnikami królowej. Pospolite oszustwo połączone z bezczelną mistyfikacją i ułatwione całym kłębem nieporozumień nabrało wymiaru sprawy państwowej. Afera obryzgała błotem Koronę, Dwór i Kościół; ale też nie byłaby ona możliwa bez fatalnej reputacji królowej i bez infantylnej głupoty kardynała księcia de Rohan, wielkiego jałmużnika Francji, członka Akademii, eks-ambasadora w Wiedniu, ordynariusza Strasburga, najbogatszego francuskiego biskupstwa.

Obsypany zaszczytami i bajecznie bogaty Louis de Rohan pożerany był ambicjami politycznymi: marzyła mu się kariera pierwszego ministra, nowego Richelieugo czy Mazarina. Nie rozumiał, że nie ma po temu absolutnie żadnych kwalifikacji, wiedział natomiast, iż jego ambicje rozbijają się o mur zacieklej wrogości Marii Antoniny. I właściwie miał rację: gdyby był dobrze widziany w Wersalu, głupota nie przeszkodziłaby mu w ministerialnej karierze. Skoro ministrami mogli być ludzie pokroju Amelota, Segura czy Miromesnila...

Niechęć królowej pojawiła się już wcześniej, gdy Maria Antonina była delfiną. Rohan miał bowiem szkaradną reputację w Wiedniu, gdzie się wślawił jako ambasador równie niemądry, jak zadufany, próżny, wyniosły i rażący ekstrawagancjami. Podobno wozził w swej karocy kurtyzany przebrane za księżyków („Nie wiedziałem, że we Francji kobiety mogą być duchownymi” – szydził Kaunitz). Maria Teresa nieustannie krytykowała Rohana w listach do Marii Antoniny; chciała spowodować jego jak najszybsze odwołanie. W wersalskiej tradycji przechowała się anegdota o jakimś liście Rohana, w którym, pisał on o sławnych łzach Marii Teresy przy sygnowaniu w 1772 r. traktatu o rozbiórce ziem polskich – i określał to jako hipokryzję. Co gorsza, list miał być czytany i złośliwie komentowany u pani du Barry! To wystarczyło, by Maria Antonina nie była w stanie przebaczyć. Usiłowała zablokować nominację Rohana na wielkiego jałmużnika Francji, ale klan Rohanów był potężny i król ugiął się przed nim. Ludwik XVI nie lubił zresztą swego wielkiego jałmużnika; znał jego złe obyczaje i podejrzewał, iż ten książe kościoła, jak wielu innych biskupów, nie wierzy w Pana Boga. A takich biskupów donżuanów i „filozofów” Ludwik szczerze nie cierpiał.

Drugą główną postacią afery jest Joanna hrabina de La Motte. Hrabiowski tytuł jej męża był najzupełniej fałszywy, natomiast prawdą jest, że płynęła w niej krew Walezjuszy: wywodziła się od bastarda króla Henryka II. Przystojna i zręczna intrygantka, wychowana doskonale – przygarnęła ją litościwa markiza de Boulainvilliers – wyszła za „hrabiego” de La Motte, oficera bez majątku. Jej wielka kariera zaczęła się wówczas, gdy została kochanką Rohana. Ulokowała się w Wersalu i w pierwszych miesiącach 1784 r. wymyśliła swą wielką, imponującą rozmachem intrygę: przedstawiła się Rohanowi jako nowa kochanka królowej! Reputacja Messaliny, jaką paszkwilanci wyrobili Marii Antoninie, była tak powszechnie przyjmowana, że kardynał nie wątpił w karierę pani de La Motte. Za czasów Ludwika XV droga do łask monarszych wiodła przez metresy króla; teraz Rohan

uznał za rzecz naturalną wykorzystanie wpływów kochanki królowej. La Motte, która w ogóle nie miała żadnego dostępu do Marii Antoniny, zaczęła przekonywać kardynała, że królowa nie tylko wyzbyła się niechęci do niego, ale i zakochała się w nim potajemnie. Amant pani de La Motte, niejaki Retaux de Villette, fabrykował pod dyktando „hrabiny” rzekome listy miłosne królowej do Rohana. Z kolei „hrabia” de La Motte wyszukał w ogrodach

Palais-Royal młodziutką modystkę, a w wolnych chwilach kurewkę, niejaką Nicole Leguay, dość podobną do Marii Antoniny. W sierpniu 1784 r. banda oszustów zorganizowała zuchwałą maskaradę: w ustronnym zakątku wersalskiego parku, ciemną nocą, odbyło się krótkie spotkanie Rohana z fałszywą królową. La Motte przezornie przerwała je po kilku słowach i gorącym pocałunku ręki „Marii Antoniny”: narobiła krzyku, że zbliżają się bratowe królowej. Rohan wierzył we wszystko i obsypywał złotem pośredniczkę, która torowała mu drogę do łoża królowej i ministerialnej teki. La Motte postanowiła jednak zagrać o prawdziwą, milionową fortunę.

W tym miejscu na scenie pojawiają się arcybogaci żydowscy jubilerzy, dostawcy dworów europejskich – w tym i Wersalu – Böhmer i Bassenge. Maria Antonina od początku należała do najlepszych klientek Böhmera. Otóż spółka Böhmer-Bassenge była w posiadaniu najwspanialszego w świecie naszyjnika: prawie 650 diamentów, 2800 karatów, wartość handlowa 1.600.000 liwrów (w przekładzie na nasze realia to około 5 milionów dolarów!). Sporządzono go już dawno, za czasów Ludwika XV, z myślą o pani du Barry. Po śmierci starego króla para królewska kilka razy odmawiała kupna, co doprowadzało jubilerów do rozpaczki: utopili ogromny majątek w tym arcydziele, unieruchomienie takiego kapitału podcinało im skrzydła. Pod gwarancją naszyjnika byli zadłużeni już na 800 tys. liwrów i musieli go sprzedać; wiedzieli zarazem, że o ile król jest przeciwny, o tyle Maria Antonina odmawia kupna niechętnie i z żalem. Miotając się na różne strony trafili do pani de La Motte: prosili, by wykorzystwała swój znany wpływ na królową. Pomysł genialnego oszustwa został podsunięty awanturnicy na półmisku.

Nie było trudno przekonać Rohana, że królowa chce w tajemnicy kupić naszyjnik, a jego wybiera na pośrednika. W lutym 1785 r. naszyjnik wędruje z rąk jubilerów do Rohana, a od kardynała przejmuje go banda oszustów. Akt umowy, datowany 29 stycznia, przewiduje cztery płatności po 400 tys.: pierwsza rata ma być zapłacona w początku sierpnia, a na umowie jest fałszywy podpis królowej. Rohan nie spostrzega nawet grubej pomyłki fałszerzy: podpisana jest Marie-Antoinette de France – a to nonsens, królowa podpisuje zawsze Marie-Antoinette de Lorraine d'Autriche, pochodzi przecież z domu habsbursko-lotaryńskiego, nie z Domu Francji! „Hrabia” de La Motte wyjeżdża teraz szybko do Londynu, demontuje naszyjnik i sprzedaje za bardzo niską cenę kawałki wspaniałego klejnotu. „Hrabina” nie ukrywa się wcale. Jej plan był prosty: liczy na to, że Rohan zorientuje się w oszustwie i zapłaci całą sumę zachowując dyskrecję. Nie będzie się przecież przyznawał do swych polityczno-miłosnych intryg pachnących obrazą majestatu, ani nie będzie się chwalił, w jaki sposób wystrychnięto go na

dudka! Niestety, pani de La Motte nie doceniła głupoty kardynała: Rohan po prostu nie zorientował się, że go oszukano. 9 sierpnia 1785 r. jubilerzy, którzy nie otrzymali obiecanej pierwszej raty, zwrócili się bezpośrednio do królowej; 15 sierpnia doszło do burzliwych wyjaśnień pomiędzy parą królewską i wielkim jałmużnikiem. Ludwik XVI, który niewiele zrozumiał z całej afery, skłonny był – jakże słusznie – załatwić tę sprawę, z całą dyskrecją, przy pomocy rady rodzinnej klanu Rohanów. Maria Antonina i minister dworu Breteuil, który Rohana nienawidził, dali upust mściwości i przechylili szalę na rzecz publicznego skandalu. Po wyjściu z gabinetu króla Rohan został aresztowany – w pełnej kardynalskiej gali – na oczach tłumu dworaków. Osadzono go w areszcie domowym, a potem w Bastylii, sprawę powierzono zaś paryskiemu parlamentowi. Był to ciężki błąd. Nawet niektórzy ministrowie (Vergennes, Castries) rozumieli, że proces Rohana i pani de La Motte może się przekształcić w proces królowej.

To, co się wydarzyło w następnych miesiącach, było dla prestiżu Korony katastrofą. Cześć arystokracji dworskiej – nawet niektórzy ludzie bliscy Marii Antoninie – protestuje przeciw uwięzieniu Rohana. Kościół Francji, a z daleka również papież, krzyczy głośno, iż potraktowano kardynała w sposób świętokradczy. Opinia oświeconych, burżuazji, aktywniejszych środowisk ludowych jest także zadziwiająca. Rohan, postać antypatyczna i wręcz otoczona pogardą przez światłą opinię, stał się jej bohaterem, gdy tylko poddano go prześladowaniom inicjowanym przez Dwór. Wytworne damy lansują kapelusze w kolorach czerwonym i żółtym, nazywane Cardinal sur la paille, kardynał na słomie (sc. więziennej). Oczywiście owa wiązka więziennej słomy to przenośnia: warunki pobytu Rohana w Bastylii były luksusowe. Co jednak szczególnie nieprzyjemne dla Dworu, to utrzymujące się przeświadczenie, że Maria Antonina nie jest zupełnie niewinna: wielu ludzi sądzi, że jednak usiłowała kupić po cichu naszyjnik za pośrednictwem Rohana; wielu się cieszy, widząc królową uwikłaną w skandal, którego bohaterami są awanturnicy, mała kurtyzana i... księżę kościoła. Parlament paryski, w którym tak liczni są sędziowie niechętni despotycznym rządóm, szlacheccy liberałowie, z radością przyjął „sprawę Rohana”. Jeden z szefów parlamentarnej opozycji, Freteau de Saint-Just, powtarzał naokoło: „To wielka i pomyślna sprawa! Kardynał-oszust, który – by się usprawiedliwić – przyznaje, że sądził, iż będzie mógł sypiać z królową! Ileż błota na pastorał i na berle! Jakież triumf dla idei wolności! Jakież znaczenie dla parlamentu!” Jesień 1785 r. jest więc niemiłym okresem dla Dworu. Ludwika irytują zajęcia Marii Antoniny w Saint-Cloud i towarzystwo, które tam się zbiera. Mnożą się oznaki królewskiego zniecierpliwienia w stosunku do ministrów. W sekretnej korespondencji z Wersalu znajdujemy zapis z początku listopada: „Król miał nieszczęście zabić w Fontainebleau jednego ze swych myśliwskich funkcjonariuszy. Ukryto ten wypadek przed Jego Królewską Mością by oszczędzić jego wrażliwość”.

Śledztwo w sprawie naszyjnika toczyło się powoli; zarzucano królowej jakieś poufne konferencje z sędziami. Ale ogromna większość sędziów sprzyjała Rohanowi: konfident kardynała ksiądz Georgel dostawał podobno z parlamentu informacje korzystne dla obrony. Uczzone memoriały

prawnicze, publikowane przez adwokatów stron, sprzedawano jak świeże bułki: podtrzymywały złośliwe zainteresowanie dla sprawy. Gdy zaś po tygodniowym procesie w końcu maja 1786 r. parlament uniewinni Rohana – ludek paryski będzie frenetycznie manifestował na cześć sędziów, arystokracja wyrazi swą sympatię przywróconemu do czci kardynałowi. Ten wyrok jest ciężką klęską dla królowej – i jeszcze jednym krokiem ku otwartej wojnie między Koroną a parlamentem.

Sprawa naszyjnika miała jeszcze swe przedłużenia. Gdy La Motte, skazana na dożywotnie więzienie, rychło zdołała uciec do Londynu – opinia podejrzewała pomoc potężnych protektorów. Plotkowano też potężnie, gdy zaczęła publikować pełne kłamstw memoriały i pamiętniki, a także gdy znaleziono jej zwłoki na londyńskiej ulicy. Kardynał Rohan, wygnany z Dworu, aż do rewolucji spłacał jubilerom skradziony naszyjnik – i zdążył spłacić więcej niż połowę.

Reakcje opinii mogły się stać dla króla dramatycznym sygnałem ostrzegawczym. Ale jak wspomnienie wojny męcznej zatarła triumfalna podróż do Reims, tak teraz gorzki osad skandalu zmazany został przez udaną wyprawę do Cherbourga. Już u progu wojny amerykańskiej Ludwik projektował podróż do Brestu, by zmanifestować swe zainteresowanie sprawami morskimi, ale ministrowie wyperswadowali mu wówczas wyjazd z Wersalu. Wielkie roboty portowe podjęte w Cherbourgu były dobrą okazją do podróży, pierwszej od koronacji w Reims, to znaczy od jedenastu lat. Królowa kończyła właśnie okres ciąży – w lipcu 1786 r. urodzi drugą córkę – i oczywiście została w domu.

Ludwik bez wątpienia liczył na to, że „wierne prowincje” przyjmą go z radością i szacunkiem, że nastroje będą tam inne niż w intrygującym Wersalu i frondującym Paryżu. Skandal z naszyjnikiem poruszył głównie elitę i średnie warstwy społeczne; lud paryski także zachował się nielojalnie zimą 1786 r. Minister Breteuil stworzył właśnie w Paryżu szybką służbę kurierską zajmującą się drobnymi przewozami i zleceniami, co naruszyło tradycyjny monopol Sabaudczyków, od dawna zarabiających na życie w zawodach posłańców i kominiarzy. Półtora tysiąca tych biedaków protestowało hałaśliwie pod Ratuszem; rozproszeni przez policję, podjęli marsz na Wersal. Nie dopuszczono ich do króla, żandarmi królewscy przepędzili ich brutalnie. Pokorną petycję Sabaudczyków Ludwik wyrzucił do kosza.

Jakże miło jest stwierdzić, że „prawdziwa Francja” jest gdzie indziej, nie w niezyczliwym Paryżu, lecz na prowincji, w Ile-de-France i w wiernej Normandii! Podróż do Cherbourga to prawdziwe – i jedyne – wakacje Ludwika XVI, wyprawa męska i militarna; król wdział na tę okazję mundur generalski, towarzyszą mu ministrowie marynarki i wojny, Castries i Segur, a także kilkunastu innych panów. Trzydzieści kilka powozów, wliczając już ładowne wozy z garderobą, prowiantem, naczyniami; około setki koni. Pań w konwoju nie ma. Wyjazd z Wersalu 20 czerwca 1786 r., postój w Rambouillet z polowaniem, potem podróż do Caen przez Houdan i Falaise. W Caen król jest 22 rano.

Usłużny, Calonne wyposażył Ludwika w szczegółowe memorandum dotyczące każdego etapu podróży: sytuacja ekonomiczna, ludność, rody szla-

checkie, ich status i koligacje. Nie brak nawet sugestii co do łaskawości, jaką należy okazać różnym miejscowościom i instytucjom, ulg podatkowych czy wsparć dla zakładów charytatywnych. Ludwik XVI może bez trudu podbijać serca swych szlachetnie urodzonych poddanych wiedzą o ich sprawach. Ale, rzecz znamienne, król doskonale też się czuje w ludowym tłumie, świątecznym i przyjaznym, mało wymagającym: plebs nie oczekuje przecież kunsztownych przemówień i popisów erudycji. Wystarczy mu, że król się pokaże, powie kilka życzliwych słów, zrobi kilka efektownych gestów. Oto w Houdan jakaś młoda kobieta z ludu całuje go z efuzją w policzek. Ludwik oddaje jej pocałunek „w taki sposób, że można było sądzić, iż ta przygoda nie była mu niemiła”. W Falaise witają króla panny w pastelowych strojach sypiące kwiaty przed powozem. Przyjęcie w Caen jest jeszcze gorętsze, ścisk ogromny.

W małej wiosce za Caen król zjada drugie śniadanie w prostej oberży i funduje wino dla przyglądających się wieśniaków. Jakaś dziewczyna w ciąży prosi go o pomoc: rodzina nie pozwala jej na małżeństwo z ojcem dziecka! Król wydaje stosowne rozkazy i obiecuje jej posag. Entuzjazm powszechny. Jeszcze tegoż 22 czerwca późnym wieczorem Ludwik XVI staje u celu podróży. Cherbourg jest iluminowany, zbudowano specjalnie na tę okazję łuk triumfalny, mieszkańcy miasta wylegli na ulice. Wśród witających Ludwika jest komendant garnizonu pułkownik Dumouriez, który niespełna sześć lat później będzie królewskim – ale i rewolucyjnym – ministrem spraw zagranicznych. Jest to ich pierwsze spotkanie, ale król już w okresie wojny amerykańskiej zapoznał się z memoriałem Dumourieza w przedmiocie rozbudowy portu w Cherbourgu – i wyznaczył go na stanowisko komendanta miasta, nadzorcy wielkich robót portowych.

Nazajutrz Ludwik wstał przed świtem, wdział swój szkarłatny uniform generała-porucznika, wysłuchał pobożnie mszy i w wielkiej łodzi wypłynął na morze – widział je po raz pierwszy w życiu, choć od tylu lat nim się interesował – aby obejrzeć rozbudowę portu. Polegało to głównie na budowie ogromnej grobli morskiej. Sceptyczny hrabia de Saint-Priest oglądał wcześniej te prace portowe i ocenił je jako „kompletną mistyfikację”; doradzał gorąco Castriesowi, by zachęcił króla do ich skontrolowania. „Jego Królewska Mość uznał, iż wszystko to jest godne podziwu”. Niestety, to Saint-Priest miał rację. Kosztowne i ogromnie pracochłonne roboty w Cherbourgu okazały się pomysłem poronionym. Wielka grobla nie wytrzyma naporu kilku silnych burz; załame się w tym samym czasie, w którym rozsypywał się ancien regime. Dopiero Napoleon każe wykonać porządnie tę robotę.

Następnego dnia – manewry floty wojennej pod komendą hrabiego d'Alberta de Rions. Znow wielki entuzjazm tłumów, wymiana okrzyków: „Niech żyje król”, „Niech żyje mój lud, niech żyją moje dzieci”. Ludwik uznał swój pobyt w Cherbourgu za drugi – obok koronacji w Reims – najszczęśliwszy moment swego życia. 26 czerwca wyjechał i wracał przez Caen, Honfleur, Havre, Rouen. W Honfleur znow oglądał ewolucje okrętów i pływał na korwecie. Gdy dowodzący nią pan de La Touche zaczął kłąć – coś tam nie było wedle reguł sztuki – i przeprosił za to króla, Ludwik łaskawie rzekł, że nie widzi w tym nic złego, bo to przecież język

zawodowy, *la langue du metier*, i on sam też by go używał... W Hawrze obejrzał znów roboty portowe, w Rouen znów się kąpał w entuzjazmie tłumów. Wrócił do Wersalu przez Mantes i Saint-Germain.

A oto komentarz autora sekretnej korespondencji z Wersalu: „Król z początku zdawał się być raczej zdziwiony niż ujęty entuzjazmem ludu podczas jego przejazdu... Ale na prowincji nie utożsamia się bynajmniej osoby monarchy z rządem. Czemuż to – rzekł w drodze Jego Królewska Mość – zbieram tu dowody miłości, do których nie jestem wcale przyzwyczajony?... Rozumiem, podjął król, musiano mi wyrobić w Wersalu bardzo kiepską reputację. Pod koniec podróży, spostrzegając mniej gorliwości ze strony ludu, król rzekł: Dostrzegam, że już się zbliżam do Wersalu, ale będę stamtąd wyjeżdżał często i podróżował dalej niż do Fontainebleau”. Istotnie, przez jakiś czas Ludwik nosił się z planami corocznych objazdów „wiernych prowincji”; mówiono już o jego podróży do portów śródziemnomorskich. Nic z tego nie wyszło. Ociężałość i skłonność króla do apatii nie były jedyną przyczyną klęski tych planów: Ludwik miał teraz rzeczywiście mnóstwo kłopotów, którym wypadło stawić czoła w Wersalu.



WIELKI PLAN NAPRAWY

Wspaniała reputacja pana de Calonne już w 1785 r. przestawała czarować tych, którzy jej ulegali. W grudniu trzeba było użyć „łoża sprawiedliwości”, by zmusić parlament do zarejestrowania kolejnej pożyczki, rozpisanej przez Calonne’a na bardzo niekorzystnych dla skarbu warunkach. Ale te 80 milionów pożyczki to zaledwie łatanie dziur najbardziej dotkliwych. W połowie 1786 r. kredyt ministra był już kompletnie wyczerpany. Kilka tygodni po powrocie z Cherbourga, w połowie sierpnia, Ludwik XVI otrzymał niepokojący memoriał od swego ulubionego szefa finansów.

„To, co jest niezbędne dla ocalenia państwa – pisał Calonne – nie może być dokonane przez operacje cząstkowe... Jest nieuchronne wzięcie się za naprawę całej budowli, aby zapobiec jej ruinie”. Zarzekał się, że to, co prezentuje, stanowi plan, a nie system czy wynalazek, bo te mógłby obiecywać tylko szarlatan; żądał ustanowienia „ustroju bardziej jednorodnego, egalitarnego, sprawiedliwego”. Przyrzekał królowi, że przyjęcie planu przyniesie sławę jego panowaniu i miłość ludu, „wyniesie imię [króla] powyżej największych imion tej monarchii”; poza tym planem ukazywał jedynie „nieszczęście i przepaść”. Calonne świetnie wiedział, że nie można nakładać nowych podatków po tych wszystkich obietnicach, które ludowi robiono, że zakończenie wojny amerykańskiej przyniesie mu ulgę. Wiedział też, że jego wiarygodność jest zrujnowana i nie pozwala na rozpisywanie nowych pożyczek. „Nie można nakładać wyższych podatków, uciekanie się ciągle do pożyczek jest rujnujące, nie wystarczy ograniczyć się do reform oszczędnościowych... W obecnym stanie rzeczy zwykłe środki nie mogą prowadzić do celu, więc jedyne skuteczne lekarstwo, jedyne postanowienie, które nam pozostaje przyjąć, w końcu

jedyny środek by osiągnąć prawdziwy ład w finansach – musi polegać na ożywieniu całego państwa poprzez zreformowanie wszystkiego, co jest wadliwe w jego konstytucji”. Główną zaś wadą państwa jest zróżnicowanie, niespójność różnych części ciała monarchii: odmienności administracyjne, prawne, podatkowe. Najbardziej zaś rujnuje równowagę system przywilejów szlachty i kleru. Kraj, w którym „klasy najbogatsze płacą najmniej podatków, w którym przywileje łamią wszelką równowagę, w którym nie można mieć ani stałych reguł, ani powszechnej woli, jest nieuchronnie królestwem bardzo niedoskonałym i pełnym licznych nadużyć”.

Na czym więc polegał ów rewelacyjny plan, poza którym nie było zbawienia? Pomagał go konstruować współpracownik Calonne’a i dawny przyjaciel Turgota, ekonomista Dupont de Nemours, toteż odzywają się tu znowu koncepcje Turgota, wzbogacone pewnymi pomysłami Neckera. Tuż po ogłoszeniu planu sekretna korespondencja z Wersalu donosiła, bardzo na wyrost: „Pan de Calonne, zręczniejszy niż jego poprzednicy, urzeczywistnił w ten sposób idee Turgota i Neckera”.

Mamy więc w planie Calonne’a pomysł zgromadzeń lokalnych złożonych z właścicieli i dokonujących rozdziału podatków na ludność; jest idea powszechnego podatku gruntowego, ale ponieważ przynosiłby on tylko 35 milionów, uzupełnia go podatek stemplowy. Mówi się o lepszym wykorzystaniu domen państwowych i o przekształceniu Kasy Dyskontowej w Bank Narodowy mogący wspierać państwo kredytem. Wspomina się o ułatwieniu życia rolnictwu (znów powraca sprawa zniesienia szarwarków i wolność handlu zbożem) oraz o stymulowaniu handlu przez zniesienie ceł wewnętrznych. Wreszcie plan ten powinien mieć aprobatę opinii: stąd pomysł zwołania Zgromadzenia Notabli, konsultatywnego ciała złożonego z wybitnych przedstawicieli wszystkich stanów, ale nie wybranych, lecz mianowanych przez króla.

Sam Calonne stwierdzał potem, że jego plan trafił do wyobraźni Ludwika XVI z dwóch głównie powodów. Najpierw ze względu na akcentowanie „ulg dla ludu”, po wtóre – i to chyba ważniejsze – „Jego Królewska Mość... zauważył, że żaden zamiar, który się mieścił w zakresie tego planu, nie miał charakteru innowacji; że żaden nie pociągał za sobą najmniejszej zmiany w machinie [państwowej]; że żaden nie był takiej natury, by mógł spowodować gwałtowne poruszenia”. Rzeczywiście, można było wmówić królowi, że nie chodzi tu o żadne innowacje, skoro słyszał o podobnych ideach od początku swego panowania, od momentu wejścia Turgota do rządu.

A jednak od dnia złożenia memoriału, 20 sierpnia 1786 r., do podjęcia przez króla decyzji upłynęły cztery miesiące. Ludwik chciał poznać opinię Vergennesa i Miromesnila: była przychylna. Ale Miromesnil wycofał się potem ze swego poparcia, co zakłopotало króla. Gdy już się zdecydował, dużo czasu zajęło układanie – w tajemnicy, tylko przy udziale Calonne’a, Vergennesa i Miromesnila – listy „notabli”. Ludwik robił to zresztą z przyjemnością: mógł dać w ten sposób wyraz swym sympatiom i antypatiom, a ponadto sparaliżować naciski koterii dworskich. Gdy ogłoszono decyzję o zwołaniu notabli, lista była już gotowa i zawiadomienia pomknęły natychmiast do szczęśliwych wybrańców.

Decyzję król podjął na posiedzeniu Rady dnia 29 grudnia 1786 r. Ministrowie trzymali z dala od sekretu przygotowań – Breteuil, Segur, Castries – dąsali się trochę. Królowa okazała wielką rezerwę co do całego pomysłu. Opinia publiczna natomiast była poruszona i na ogół bardzo zadowolona. Zwołanie notabli uznano za dopuszczenie do głosu narodu po długiej epoce samowoli władzy; nie zniechęcano się faktem, że chodziło jedynie o zgromadzenie mianowców, pozbawione w dodatku prawa decydowania. Mniej wnikliwi tego nie dostrzegali, wytrawniejsi obserwatorzy przewidywali, iż Zgromadzenie Notabli stanowić będzie początek ewolucji zmieniającej struktury władzy.

Tuż po posiedzeniu Rady z 29 grudnia młodszy syn ministra, wicehrabia de Segur, przybiegł na kolację u hrabiego de Bercheny. Jakie są nowiny – zapytano, widząc jego podniecenie. „Nowina bardzo wielka, bardzo ważna, taka, że z trudem uwierzycie: król właśnie złożył dymisję”. Ta zuchwałość spowodowała, że młody Segur wygnany został z Paryża i z Dworu. Inni nie zachłystywali się tak bardzo, ale jednak byli mocno poruszeni. „Przejąłem się tą nowiną – pisał słynny astronom Bailly, później rewolucyjny mer Paryża. – Przewidywałem wielkie wydarzenie, zmianę w sytuacji, a nawet w formie rządu. Nie przewidziałem rewolucji takiej, jaka potem była, i sądzę, że nikt jej nie mógł przewidzieć; ale godny pożałowania stan finansów dostatecznie uzasadniał moje przypuszczenia. Potrzeba pieniędzy sprawiała, że rząd stał się słaby i zależny. Dawało to rządzącym ogromny awantaż i przyjmowałem, że będą wystarczająco roztropni, by wyciągnąć z tego korzyść”. Podobne opinie formułowano dość powszechnie.

Nie przejmowano się rozbieżnością między pompatycznymi zapowiedziami a skromną treścią planowanych reform. Calonne mówił o naprawie całej budowli; królewskie oświadczenie oficjalne zapowiadało „ulgi dla ludu, porządek w finansach, naprawę licznych nadużyć”. W istocie zaś wszystko sprowadzało się do propozycji znanych już od z góry dziesięciu lat; można było uznać, że obecnie, wobec pogarszającej się sytuacji, wszystko to jest za późno i za mało.

W dodatku nie ufano intencjom Calonne'a: domyślano się, że konsultacja notabliów ma być dekoracją ułatwiającą przeprowadzenie jego planu. Wedle Marmontela „Calonne dostrzegł, że jedyną jego nadzieją jest narobienie rozgłosu, co by dało jego edyktom wygląd środków zmierzających do odnowy państwa”. Mercy-Argenteau raportował cesarzowi, że Calonne szuka poparcia królowej „dla rzekomych projektów reformy, które nie dadzą zapewne innego efektu, jak znalezienie nowych a uciążliwych środków zasilających marnotrawstwo... Najrozsądniejsza część opinii publicznej sądzi, że Francja nigdy nie miała niebezpieczniejszego szefa finansów, jest bowiem przekonana, że użyje on wszystkich środków aż do ostatniego i nie opuści stanowiska wcześniej, nim go nie uczyni niemożliwym do sprawowania przez [jakiegokolwiek] następcę”. Również ambasador króla Szwecji, baron Eryk Magnus de Stael, nie miał złudzeń co do reformy państwa w wersji pana de Calonne: „Jest zupełnie jasne, że na niczym mu nie zależy z przekonania, potrzebuje on tylko pieniędzy, domaga się ich, a jeśli notable do tego się przychylią, to będą mogli wedle swej woli zmieniać ów plan, który im przedłożył”.

Podobnie wielu Francuzów: sekretna korespondencja z Wersalu cytuje opinię, że jedyny cel zebrania notabli to ustalenie „sposobów, jak nam zabrać tyle pieniędzy, ile tylko możliwe”; paryżanin Ruault pisał brutalnie: „Trzeba [im] pieniędzy, to wszystko”. Ludwik XVI w rzeczy samej był przekonany, iż cały plan Calonne’a to zręczny zabieg finansowy, który nic nie zmieni w politycznym i społecznym systemie. I on, i jego minister traktowali Zgromadzenie Notabli jako ciało, które szybko i potulnie przyjmie ich propozycje. Baron de Besenval pisał w tamtym czasie: „Tak czy inaczej, trzeba będzie przyjść państwu z pomocą, bo bez tego bankructwo stanie się nieuchronne. Wszyscy są pewni tej prawdy, więc w konsekwencji dadzą pieniądze”.

Obok wielkiego magazynu dekoracji dla wersalskich przedstawień i bałków, zwanego Menus-Plaisirs, wybudowano w ciągu miesiąca pojemny hangar. Ta „sala przy Menus-Plaisirs” przyjmie najpierw notabli, później, w maju 1789 r., Stany Generalne. Otwarcie Zgromadzenia Notabli wyznaczono na 29 stycznia 1787 r., ale termin nie został dotrzymany wskutek prawdziwej plagi egipskiej, która spadła na ministrów. Miromesnil choruje na płuca, Calonne cierpi na ciężki atak reumatyzmu i nie opuszcza łóżka. Vergennes, już 68-letni, zmarł 13 lutego po prawie trzynastu latach ministrowania. To wielki cios dla Ludwika, który oświadczył ponoć z wielkim smutkiem: „Tracę jedyne przyjaciela, na którego mogłem liczyć, jedynego ministra, który mnie nigdy nie oszukiwał”. Krążyły plotki, że na łożu śmierci Vergennes opowiedział mu o grabieżach „od dawna popełnianych przez osoby, których wysoka ranga zmuszała go do milczenia”. Mógłby zapewne wspomnieć i o sobie: wchodził do ministerstwa jako biedak, umierając pozostawił fortunę milionową. To prawda, że dużą jej część stanowiły „prezenty” z zagranicy, a nie zdzierstwa krajowe.

Jego śmierć była także wielkim ciosem dla Calonne’a, który liczył na prestiż Vergennesa, tym razem popierającego plan reform. Chyba przeceniał wpływ ministra spraw zagranicznych na opinię, ale być może Vergennes przedłużyłby poparcie króla dla Calonne’a. Pozbawiony „jedyne przyjaciela” Ludwik stał się podatniejszy na koteryjne intrygi, mniej pewny swego zdania. Ostatecznie Zgromadzenie Notabli opóźniło się o dwadzieścia kilka dni. Zwłoka okazała się dla rządu fatalna. Notable pojawili się w Wersalu pod koniec stycznia i przez prawie cztery tygodnie mogli się zastanawiać nad propozycjami rządu (pracowało nad nimi tylu ludzi, że zachowanie sekretu było niemożliwe). Bliskość Paryża wywierała wpływ na przybyszy z prowincji: wzmacniała nastroje opozycyjne, a przynajmniej pobudzała wysoką opinię notabli o ich zgromadzeniu jako „reprezentacji narodu”. Wielu świadków zarzucało Calonne’owi, że do składu notabli włączył licznych i utalentowanych wrogów jego polityki, że nie zadbał o należyte urabianie nastrojów notabli. Drugi zarzut jest niesłuszny, naciski i próby manipulacji rządowej były mocne, choć może nieco spóźnione wskutek choroby Calonne’a i gorączkowego przygotowywania materiałów na sesję zgromadzenia. Talleyrand, który od początku należał do klanu Calonne’a, opisywał w swych pamiętnikach ów gwałtowny pośpiech, z jakim – niemal na ostatnią chwilę – on sam, Dupont

de Nemours, markiz de la Galaiziere i paru innych zdolnych ludzi zabrało się do pracy nad owymi materiałami.

Sama struktura zgromadzenia miała ułatwić sukces rządu, niezależnie od siły nastrojów opozycyjnych. 144 notabli podzielono na siedem sekcji, tak zwanych „biur”; każdemu z biur przewodniczył jeden z siedmiu książąt krwi. Głosować się miało biurami: cztery biura tworzyły większość, a w każdym biurze wystarczyło do uzyskania większości jedenaście głosów. W ten sposób w 144-osobowym zgromadzeniu nie trzeba było mieć więcej niż 44 głosy dla obwieszczenia, iż notable popierają projekty rządowe. Czyż więc nie można było sobie pozwolić na włączenie w skład zgromadzenia pewnej liczby przeciwników Calonne’a?

Otwarto obrady 22 lutego 1787 r. z wielką pompą. Przemówienie króla odwołało się do tradycji: wspominał o swym wielkim poprzedniku, królu Henryku IV, którego popularności tak bardzo pragnął dorównać: to Henryk przecież zbierał już (w 1596 r.) podobne zgromadzenie notabli! Konserwatywa, gdy musi zaproponować coś nowego, lubi dowodzić, że powraca „do źródeł”, przywraca zaniedbaną a tradycyjną praktykę... Zgrzytnęło w jego przemówieniu pewne siebie stwierdzenie, że swe projekty przyjął po bardzo dojrzałym badaniu i że służą one dobru publicznemu, nie obawiał się więc poddać konsultacji sprawę ich wykonania. Oznaczało to wyraźnie, że w jego intencji notable nie są po to, by projekty monarsze badać, aprobować lub odrzucać, lecz po to, by pomóc w ich realizacji. Król mówił szybko, źle go słyszano.

Głównym daniem było oczywiście przemówienie Calonne’a. Wymownie, lecz dość ogólnikowo opisał smutny stan finansów – zadłużenie państwa, olbrzymi deficyt. Odpowiedzialność zrzucił na Neckera i jego pożyczki; zakwestionował dane zawarte w neckerowskim *Compte-Rendu*; wychwalał własne rządy finansami. W kwestii proponowanych reform zaangażował całkowicie autorytet króla. Wrażenie jego mowy było kiepskie. Nie działał już efekt zaskoczenia, wiedzano bowiem, co zaproponuje; notable czuli także presję opinii publicznej, która ich urabiała.

A przecież Zgromadzenie Notabli było bardzo niedoskonałą formą przedstawicielstwa narodowego. Na czele – książęta krwi; Calonne na nich liczył, bo przecież „zobligował ich na wiele milionów”, jak pisał wróg ministra, Augeard. Jednak tylko hrabia Artois został wierny szefowi finansów; hrabia Prowansji zaraz wystąpił z opozycją. Stan pierwszy, kler, reprezentowało 14 dostojników kościelnych, w tym Talleyrand i cała grupa biskupów politykujących: Dillon, Boisgelin, La Luzerne, Champion de Cice, a przede wszystkim ambitny i popierany przez koterię królowej Lomenie de Brienne. Prawie 40 reprezentantów arystokracji, wybranych dość przypadkowo: w tym jedno ustępstwo dla opinii, markiz de La Fayette, którego Calonne ulokował na liście mimo niechęci króla. Również prawie czterdziestu przedstawicieli Wielkiej Togi, to jest arystokracji parlamentarnej z Paryża i parlamentów prowincjonalnych. Trochę szlachty prowincjonalnej i 25 dygnitarzy miejskich, ale w większości i oni należą do szlachty. To znaczy że burżuazja handlowa i przemysłowa jest w zgromadzeniu praktycznie nieobecna, podobnie jak oświeceni: nie ma tu

pisarzy i publicystów, uczonych i rozbudzonej politycznie inteligencji.

„Notable należeli do tych [warstw], których obciążenie przynieść miały nowe podatki; na to – bardzo nieszczęśliwie dla nich samych i dla państwa – przynigdy nie mogli się zdobyć”. Ta opinia akademika Marmontela trochę upraszcza sprawę. Różne elementy planu Calonne’a spotkały się z niejednakowym przyjęciem. Dość dobrze przyjęto projekt zgromadzeń lokalnych z wyboru, wedle modelu Turgota. Pojawiły się tylko wątpliwości co do zniesienia w nich rozróżnień stanowych, oparcia zgromadzeń na cenzusie własności. La Fayette protestował bardzo gorąco: monarchia nie może być zbyt „ludowa”! Byłaby jednak zgoda na to, by – tak jak w zgromadzeniach Neckera – dać stanowi trzeciemu połowę miejsc.

Nieźle przyjęto projekt zniesienia szarwarków, gorąco aprobowano zasadę wolności handlu zbożem. W kwestii likwidacji ceł wewnętrznych notable również wypowiadali się pozytywnie, choć pojawiły się protesty tych, którzy byli zainteresowani ich utrzymaniem. W sprawie znenawidzonego przez lud podatku od soli (*gabelle*) notable poszli nawet dalej niż rząd: zaproponowali jego zniesienie.

Główny punkt sporny to projekt powszechnego podatku gruntowego. Krytykowano jego techniczne rozwiązanie w planie rządowym, przede wszystkim jednak budził on niechęć jako gwałtowny wyłom w przywilejach fiskalnych szlachty i kleru. Ale podatek gruntowy to kluczowa kwestia w rządowej wizji „znoszenia nadużyć” i „porządkowania finansów”. Toteż zrozumiała jest irytacja notabli, którzy uznali, że informacje Calonne’a dotyczące deficytu są niekompletne i podejrzane. Calonne tłumaczył się, że w *Compte-Rendu* Neckera były błędy; Necker natychmiast zaprotestował, notable skłonni byli wierzyć raczej jemu. Żądali pełnego sprawozdania o stanie finansów, zarzucali ministrowi manipulowanie informacjami. „Ci panowie są bardzo ciekawi!” – rzekł Calonne szydłczo, ale i ze zdumieniem, gdy się dowiedział o tych żądaniach. Próbował notabli zastraszać, stwierdzał wyniośle, że plan królewski nie może być dyskutowany, a zgromadzenie ma tylko rozważyć sposoby jego wykonania. Potem, w początku marca, zwołał konferencję w gronie kilkudziesięciu notabli i uruchamiał wszystkie zasoby perswazji: wzywał do „ratowania państwa”. Bezskutecznie. Notable się zbiesili, chcieli „dyskutować o wszystkim”, Calonne’a uważali za fałszerza. 12 marca minister zagrał jeszcze inaczej: na posiedzeniu plenarnym starał się stępić wymowę krytyki powołując się na króla i na jego opinię, że krytyka ta nie narusza „istotnych punktów” całego planu. Notable przyjęli takie oświadczenie jako lekceważenie ich głosu.

Interesująco się przedstawia społeczny pejzaż tych krytyk. Arystokracja, szlachta, a nawet nieliczni bourgeois z początku są dość ulegli, skłonni do poparcia rządu. Znacznie bardziej zadziorna jest Wielka Toga, głównie zaś dygnitarze parlamentu paryskiego. Atak na rząd prowadzi wszelako kler, a na jego czele – Lomenie de Brienne. Opozycyjnie usposobieni są także dwaj książęta krwi: hrabia Prowansji i książę Orleanu. Gdy próby schlebienia notablom zawiodły, gdy Calonne poczuł się zagrożony – przystąpił znów do ataku. 31 marca napisał rodzaj apelu do opinii publicznej, który rozdał też proboszczom paryskich parafii z prośbą o

odczytanie go z ambon. Był to ostry atak na system przywilejów i zapowiedź, że będą one poświęcone, gdyż „chce tego sprawiedliwość, potrzeba tego wymaga”. Rozwścieczyło to kler i arystokrację w zgromadzeniu; notable stanu trzeciego milczeli. Sytuacja społeczna nie dojrzała jeszcze do frontalnego ataku na kler i szlachtę; jakże poza tym ruszać do ataku pod wodzą Calonne’a? „Klasy uprzywilejowane – pisał późniejszy poseł do Konstytuanty, Malouet – miały jeszcze zbyt wiele wpływu, iżby mógł przynieść sukces atak pana de Calonne, który sam wydawał się być zgromadzeniem wszystkich nadużyć, jakie pragnął naprawiać. Tak rozległy plan [reform], choć zręcznie wymyślony, musiał się załamać w rękach człowieka nie cieszącego się estymą ani publicznym zaufaniem”. Korona ponosiła konsekwencje fatalnego doboru ministrów; nawet demagogia nie mogła jej pomóc.

Król już w marcu „głośno ujawniał, jak bardzo go niecierpliwą małostkowe przeszkody stawiane jego projektom dla reformy nadużyć i ulżenia ludowi. Często słyszano, jak powtarzał: „Nie zebrałem notabli po to, by się zgadzali lub odmawiali, lecz po to, by wyrazili opinię”. Bardzo mu się nie podobał apel Calonne’a z 31 marca. Podobno 2 kwietnia płakał i żałował Vergennesa, który „wyciągnąłby go z całej tej sprawy”. Maria Antonina sączyła mu do ucha myśl o zdymisjonowaniu Calonne’a, dwaj ministrowie, Breteuil i Miromesnil, zarzucali szefowi finansów fałszerstwa danych o deficycie i niebezpieczne apele do ludu. 5 kwietnia Calonne odbył wielką rozmowę z królem: oświadczył, że nie może być w rządzie razem z Breteuilem i Miromesnilem („albo oni, albo ja”). Ludwik zgodził się poświęcić Miromesnila (Breteuila wybroniła królowa) i dać mu dymisję; gdy pozostali ministrowie zobaczyli, co się święci, podnieśli otwarty bunt. Królowa znów miała gwałtowną sprzeczkę z mężem; hrabia Prowansji rzekł Ludwikowi, że póki Calonne będzie w rządzie, reformy nie mają szans przejścia. Ostatecznie 8 kwietnia dymisję otrzymali obaj, Miromesnil i Calonne.

Następcą Miromesnila został pan de Lamoignon ze starej dynastii parlamentarnej. O fotel szefa finansów zaczęły się przetargi. Bardzo silne naciski wywierali znów zwolennicy Neckera, w tym dwaj ministrowie, Castries i następca Vergennesa, Montmorin. Kandydatem królowej był arcybiskup Lomenie de Brienne. Ludwik, który z żalem rozstał się z Calonem, szukał dlań następcy, „który z własnego przekonania skłonny byłby popierać nadal zaproponowany plan [reform]”. Znalazł go w osobie starego fizjokraty Fourqueux: niezły ekonomista, nie miał on pojęcia o polityce, zbliżał się do siedemdziesiątki i ciężko chorował na podagrę. Złośliwy hrabia de Brienne, brat arcybiskupa, twierdził, że skoro się już bierze na ministra nieboszczyka, to lepiej było wziąć Sully’ego albo Colberta. Zawiedzeni byli zwolennicy Neckera, tym bardziej że gdy 10 kwietnia ukazała się jego odpowiedź na łgarstwa Calonne’a, król obruszył się i chciał Neckera wygnąć z Francji. Dzięki wstawiennictwu Marii Antoniny skończyło się na wygnaniu z Paryża. Nominacja Fourqueux zirytowała też notabli, którzy uznali, że oznacza to forsowanie polityki Calonne’a bez Calonne’a. Gdy więc po przerwie wielkanocnej wznowiono obrady zgromadzenia notabli, natychmiast pojawiły się nowe ataki na rządowe

projekty.

23 kwietnia Ludwik zdecydował się na ustępstwa. Przybył na posiedzenie plenarne, obiecał poparcie dla kilku wniosków notabli, przyrzekł dać im dokładną informację o stanie finansów, zapowiedział oszczędności na sumę 15 milionów. Notable jednak burzyli się nadal. Po tygodniu król zrobił jeszcze jeden krok pojednawczy. Nagabywany przez Marię Antoninę, Lamoignona i Montmorina, powołał w skład swej Rady głównego opozycjonistę wśród notabli, arcybiskupa Tuluzy Lomenie de Brienne'a. Uczynił to bardzo niechętnie: uważał Lomenie za biskupa-filozofa, niedowiarka i politykiera.

Gdy przed paru laty proponowano mu jego nominację na wakujące arcybiskupstwo paryskie, odmówił zdecydowanie. „Trzeba, by przynajmniej arcybiskup Paryża wierzył w Pana Boga” – powiedział. 1 maja Lomenie został szefem Rady Finansów; Fourqueux złożył dymisję i 6 maja zastąpił go notabl Villedeuil, przedstawiciel Wielkiej Togi.

„Naród przywoływał pana Neckera do steru finansów, ale ten wytrawny administrator nie spodobał się administratorowi naczelnemu. Dokonał on wyboru dużo bardziej chrześcijańskiego: nie chciał oddawać naszych finansów na łup heretyka, który ma tak bezpośrednie stosunki z diabłem, oddał je więc pod protekcję kleru”; to opinia obserwatora wersalskiej sceny. W jednym wszakże król dogodził opinii: odejście Calonne'a powitały wybuchy radości. Nienawidzono tego ministra zadziwiająco jednomyślnie. Gdy żalił się na swych wrogów i rzekł, że miałby ochotę wszystkich ich pozamykać, któryś z notabli replikował złośliwie: „Nic łatwiejszego, niech się pan śpieszy z wykończeniem Wielkiego Muru!”

Lomenie z początku chciał się posłużyć notablami; zapewniał, że i jako minister będzie nadal jednym z notabli. Wiedział jednak, że bez podatków gruntowego i stemplowego nie ma mowy o likwidacji deficytu (dysponując teraz danymi finansowymi notable określali rozmiar deficytu na około 140 milionów). Gdy próbował przekonać notabli, ci sugerowali, by zacząć od solidnych oszczędności. Król znów trochę ustąpił: w maju mówił już nie o 15, ale o 40 milionach do zaoszczędzenia. Ale i notable posunęli się o krok dalej. Wystąpili z projektem pięcioosobowego komitetu dla stałej społecznej kontroli nad szefem finansów państwa. Ludwik odmówił zdecydowanie: nie chciał żadnej kontroli społecznej, był zazdrosny o swą władzę nad ministrami. Wówczas i notable zacięli się we wrogości do nowych podatków; 21 maja La Fayette rzucił nawet hasło „Zgromadzenia prawdziwie narodowego”, to znaczy Stanów Generalnych. Bardzo to zgorszyło Lomenie de Brienne'a. Zdecydował się on odesłać notabli do domów, co też zrobiono 25 maja, słodząc pigułkę komplementami dla wykonanej przez nich pracy.

Marmontel upatrywał w oporze szlachty i kleru, w ich zacieklej obronie przywilejów przyczynę główną przedłużającego się kryzysu finansów, a w konsekwencji – upadku ancien regime'u. „To nikczemne skapstwo wszystkich ich zgubiło”. Sprawa jednak jest bardziej złożona. Szlacheccy i duchowni notable w większości rozumieli, że państwu grozi bankructwo i że trzeba mu pomóc – tak, jak rozumiał to cytowany wyżej Besenval. Ale chcieli Francję zabezpieczyć przed powtórzeniem się finansowej

katastrofy; nie godzili się na to, by niedołęstwo ministrów i korupcja elity narażały kraj na ruinę. Stąd się wziął ów projekt kontroli nad ministrem finansów. Król go odrzucił wyniośle, ale opinia popierała w tym notabli. „Ależ, mówią niektórzy, król zostałby poddany pod kuratelę, gdyby przystał na to wszystko, czego Zgromadzenie od niego żąda? Ech! I czemużby nie miał być jej poddany?... Jest on teraz jak syn domu, który pobłądził i któremu się daje rady i wskazówki postępowania, by już nie wpadał w te same błędy... Notable udowodnili, że naród wciąż jeszcze istnieje”.

Uprzywilejowani pomogliby swemu monarsze, gdyby był się zgodził na kontrolę finansów – „tak, aby ten bałagan nie powtórzył się znowu”, jak mówiono. Kontrolę miałby sprawować ów stały komitet wymyślony przez notabli lub, o czym wspominało coraz częściej, wskrzeszone po 170 latach niebytu Stany Generalne. Domagano się wpływu na decyzje władzy tym śmieiej, że władza „wyznała niedyskretne obawy, które żywiła, pobudziła umysły, rzuciła strach na wierzycieli państwa, ujawniła wreszcie, iż rząd nie ma dość siły, by działać z własnej inicjatywy”. Tak pisał hrabia d’Allonville, dodając, iż oznaczało to „dymisję” absolutnego króla, takiego, jakiego stworzył Richelieu. Cesarz Józef II pisał wiosną 1787 r. do hrabiego Mercy-Argenteau, że jeśli Ludwik XVI zmięknie, to „jego władza [absolutna] stracona zostanie na zawsze, a kler, szlachta i parlamenty utworzą rodzaj koalicji – w taki sposób, że we wszystkim król napotykać będzie opozycję i będzie w końcu zmuszony, tak jak to się dzieje w Anglii, akceptować ministrów, których tamci zechcą mu dać, i zwalniać tych, którzy im się nie spodobają”. Istotnie, formował się już wówczas zarys „koalicji” uprzywilejowanych z programem liberalizmu arystokratycznego: położyć kres rządowi absolutnemu, poddać króla kontroli uprzywilejowanych.

Jednakże Ludwik nie zamierzał tak od razu „zmięknąć”. Akademik Marmontel cytował opinię ministra Montmorina, który Ludwika znał od dawna (był jego *meninem*) i miał jego zaufanie: król „był z natury zazdrosny o swą władzę i miał [wówczas] niejasne przeczucie, że mu ją chcą siłą z rąk wyrwać, ale sądził, że dźrzy ją jeszcze w całości i był zdecydowany jej bronić”.



RZĄDY ARCYBISKUPIE

Wejście do rządu arcybiskupa Lomenie de Brienne zapoczątkowało zmiany ministerialne, które się dokonały od maja do końca sierpnia 1787 r. Lomenie liczył na poparcie Breteuila, Lamoignona i Montmorina. Podporządkował sobie szefa finansów Villedeuila, który jednak źle znosił tę kuratelę. W czerwcu weszli do rządu jako ministrowie stanu (bez teki) dwaj reprezentanci liberalnej arystokracji, diuk de Nivernais i Malesherbes: mieli ułatwić rządowi dogadywanie się ze szlachtą i parlamentarną opozycją. 26 sierpnia Lomenie został oficjalnie mianowany głównym ministrem; król uwierzył, że przesadnie mu przedstawiano wady arcybiskupa. Ludwik był zadowolony, że Lomenie stanowczo realizuje

plan reform, który król uznał za własny; z trudem jedynie znosił niechlujność arcybiskupa, który mu przynosił papiery państwowe wymiętoszone i zatłuszczone.

Segur i Castries zaraz podali się do dymisji, gdy ogłoszono, że Lomenie jest głównym ministrem; nie chcieli być adiutantami arcybiskupa. Lomenie wypromował na ministra wojny własnego brata, hrabiego de Brienne, uczciwego i bardzo przeciętnego; marynarke dał równie miernemu panu de La Luzerne. 30 sierpnia pojawił się nowy kontroler generalny finansów: Villedeuila zastąpił bardziej uległy pan de Lambert. Od wiosny Francja miała już czwartego ministra skarbu!

Nad całym ministerium dominował Lomenie de Brienne. Hrabia de Segur, wówczas ambasador w Petersburgu, opisywał potem, jak księżę Potiomkin mówił mu pogardliwie, iż Francja „erygowana została do rangi arcybiskupstwa”, a jej króla nazywał „Ludwikiem Sufraganem”.

Bez wątpienia Lomenie de Brienne miał wyraźniej zarysowaną osobowość, więcej wyobraźni i inteligencji niż przeciętni ministrowie Ludwika XVI. Miał jednak również wyjątkowy dar budzenia sprzecznych uczuć, sympatii i nienawiści. Ongiś człowiek Choiseula (który zmarł bez rozgłosu wiosną 1785 r.) był mocno reklamowany przez księdza Vermonda, swego przyjaciela; zaważyło to na zdecydowanym poparciu dlań ze strony królowej. Maria Antonina właśnie teraz zaczęła regularnie uczestniczyć w nieformalnych komitetach międzyministerialnych i mieszać się do spraw publicznych: przeglądała papiery, naradzała się z ministrami. Ludwik, dezorientowany biegiem wydarzeń, zgadzał się na pełnomocnictwa dla jej protegowanego, nowego głównego ministra, i na jej konszachty z rządem. Sam nie ułatwiał jej tego działania. Madame Campan zapewnia, że Maria Antonina z oporami i niechętnie zaczęła mieszać się do bieżącej pracy rządowej.

Lomenie de Brienne nie jest postacią jednoznaczną. Miał przyjaciół, którzy go wychwalali. „Prosty, łatwy w kontaktach, ożywiony w rozmowie, wesoły z natury, skłonny do niejkiej nonszalancji, pracował z łatwością... Chętnie dyskutował o sprawach publicznych i sprawiał wrażenie, że ustępuje wobec waszych argumentów... Trzymał się swych idei i działał z uporem”: to opinia diuka de Montmorency-Luxembourg; hrabia d'Allonville przypisywał mu cechy świetnego administratora i twierdził, że jego plan działania był dobry. Zawiodło tylko wykonanie, bo też Lomenie „miał przeciw sobie wszystkich, którzy byli przywiązani do dawnych zasad monarchicznych, z królem włącznie”.

Jest i druga strona medalu. Wedle Georgela Lomenie to hipokryta bez moralności i charakteru, bez żadnej znajomości finansów i administracji, człowiek pieszczący się iluzjami: „miał się bardzo i produkował tylko rzeczy bez znaczenia”. A oto opinia hrabiego Esterhazy: Lomenie „nie miał charakteru, nie był zdolny stawiać czoła nieprzewidzianym przeszkodom, które bez przerwy pojawiają się w wielkiej polityce. Pozbawiony zresztą twórczej wyobraźni, chwycił się zawsze cudzych idei i przywłaszczał je sobie. W duchu despota, miał zawsze na ustach filozoficzne frazesy o wolności. Nieśmiały, nieprzewidujący, źle sobie radził z poznawaniem ludzi”. W tzw. pamiętnikach Webera czytamy, że Lomenie wyróżniał się brakiem

przezorności, niezręcznością, chciwością, a pod koniec swych rządów – tchórzostwem i nikczemnością. Wedle Marmontela Lomenie nie budził zaufania ani swym spojrzeniem, ani fizjonomią; „w wielkich sprawach z łatwością chwycił detale, nie miał jednak żadnej zdolności ogarniania całości problemu”. Augéard oskarżał go o powierzchowność, zwracał wszelako uwagę na ważny element sprawy: „sama jego fizyczna słabość nie pozwalała mu rozwijać energii pożądanej na stanowisku szefa rządu”. Istotnie, między grudniem 1787 r. a lutym roku następnego Lomenie chorował ciężko. Fizyczne niedomagania pogłębiły jeszcze wrodzone słabości: brak energii, powolność decyzji, niezdolność poskromienia opozycji, która się przeciw niemu rozpętała. „Chciałem działać dobrze – mówił potem – chciałem tego szczerze, ale mój charakter nie był stworzony na taki czas burz i zamętu”.

Od samego początku musiał stawić czoła problemom trudnym i nie tylko wewnętrznym. Właśnie pojawił się ostry kryzys w Holandii, z którą Francja związana była sojuszem od czasu sporu o Skaldę. Burżuazyjna oligarchia skłóciła się tam ze stathouderem, półmonarchicznym szefem Republiki Niderlandów; do burżuazji przyłączyły się siły demokratyczne, co bardzo zraziło Ludwika XVI. Król uznał, że lepiej zrezygnować z sojuszu z Holandią, niż wydać ją na łup demokracji, Lomenie zaś poparł taką strusią politykę. Segur i Castries byli jeszcze wtedy w rządzie i chcieli skoncentrować wojska nad granicą, gdyż groziła interwencja Prus w Holandii. Gdy we wrześniu wojska pruskie weszły na obszar Republiki i spacyfikowały opozycję – Lomenie przesądził o uznaniu przez Francję faktów dokonanych. Opinia we Francji była oburzona tą małodusznością. Liberalne, oświecone nurty tej opinii zarzucały królowi i rządowi tchórzliwe porzucenie „insurgentów” holenderskich, utratę wpływów Francji w Holandii, nierespektowanie sojuszu, umocnienie Prus i Anglii na obszarze żywotnych dla Francji interesów.

Część konserwatywnej opinii także żałowała straconej okazji, jaką mogła się stać wojna w obronie Holandii. Sądzone bowiem, że mogło to skupić naród przy królu i rządzie, skłonić ludzi do ofiar, odwrócić uwagę od sprawy przywilejów elity. Z cyniczną szczerością pisał o tym Besenval: „Taki jest bowiem charakter francuskiego narodu, że gdy chodzi o obronę państwa, każdy inny wzgląd traci znaczenie”.

Lomenie postawił jednak na reformy liberalizujące – o, bardzo łagodnie – system polityczny. Ambasadorowi Szwecji oznajmił: „Całe ciało państwa jest nietknięte, tylko jego członki cierpią na skrępowanie. Przyznając im swobodę uporamy się ze wszystkim”. Odesłał do domu notabli, ale starał się dać satysfakcję pobudzonej przez nich opinii. Notable wołali głośno o oszczędności – i pod rządem arcybiskupa Tuluzy podjęty zostanie największy wysiłek oszczędnościowy monarchii za czasów Ludwika XVI. No, nie osiągnięto rzuconej przez samego króla sumy 40 milionów, ale w początkach 1788 r. obliczano, że oszczędności osiągnęły niemalą kwotę 31 milionów, to jest trochę mniej niż 5% wydatków. Od sierpnia 1787 r. Lomenie w porozumieniu z parą królewską – Ludwik trochę się opierał, królowa nie – zaczął cięcia w wydatkach Dworu. Zmniejszono personel, postanowiono sprzedać kilka zamków, likwidowano niektóre agendy

dworskie, między innymi tak zwane Małe Stajnie, którymi zawiadywał diuk de Coigny. Zapowiedziano też radykalne zmniejszenie pensji, które wielmożom wypłacano z królewskiej szkatuły (było tego około 28 milionów rocznie!).

Szlachta dworska rewoltowała się przeciw tym oszczędnościom: uważała owe urzędy nadworne i pensje za swą dziedziczną własność. „Niebywała pobłażliwość króla pozbawiała [arystokratów] wszelkiej powściągliwości, a dowody ich niezadowolenia posuwały się aż do bezczelności” – pisał bystry świadek, Guy-Marie Sallier. Baron de Besenval usłyszał od samego króla zdumiewające słowa: „Naprawdę się pokłóciliśmy, diuk de Coigny i ja, ale myślę, że nawet gdyby mnie był uderzył, wybaczyłbym mu”. Gdy Maria Antonina ganiła zachowanie diuka de Coigny i zwracała uwagę na wyrozumiałość króla, Besenval rzekł jej dość bezczelnie: „Madame, diuk zbyt wiele traci [wskutek oszczędności], aby się zadowolić komplementami. To przecież okropne... żyć w kraju, gdzie nikt nie jest pewny, że naza jutrz będzie miał to, co posiadał dnia poprzedniego. To się widuje jedynie w Turcji”.

Oczywiście, oszczędzono nie tylko na wydatkach dworskich. Uproszczone administrację finansów i poczty. Wybitny teoretyk wojskowy hrabia de Guibert, sekretarz nowo powołanej Rady Wojennej, przygotował całą serię reform w wojsku w duchu idei Saint-Germaina. Zniesiono więc znowu niektóre elitarne formacje królewskie, zmniejszono liczbę stanowisk generalskich, zreformowano zaopatrzenie armii, okradanej dotąd nagminnie przez dostawców cywilnych. Ale zarazem Guibert ujawnił się jako konserwatywny zwolennik przywilejów wojskowych szlachty i dyscypliny w pruskim stylu. Mimo pewnego powiększenia żołdu prostych żołnierzy oszczędności w armii wyniosły około 8-9 milionów rocznie. Reformy Guiberta także spowodowały wielkie dąsy arystokracji dworskiej: nie podobały jej się nowe zasady dyscypliny i awansu, znoszenie elitarnych formacji, wymóg efektywnej służby.

Lomenie nie mógł się jednak ludzić: wszystkie wysiłki oszczędnościowe nie łątały deficytu. Bałagan w księgowości i matactwa Calonne'a utrudniały jego ustalenie, ale w r. 1788 udało się określić jego wysokość na olbrzymią sumę 161 milionów. Lomenie był po prostu skazany na obciążenie zamożnych. Podatek gruntowy miał spaść także na kler i szlachtę; podatek stemplowy (to jest upowszechnienie papieru stemplowego przy różnych aktach prawnych i transakcjach) uderzyłby głównie w burżuazję. Oba projekty Lomenie odziedziczył z planu Calonne'a i postanowił przeprowadzić normalną drogą: edyktami królewskimi zarejestrowanymi przez parlament. Malesherbes i Nivernais, liberalni członkowie rządu, mieli ułatwić porozumienie z parlamentem. Z początku wszystko szło dobrze. W czerwcu 1787 r. parlament zarejestrował bez oporów edykty, na których wywrócił się ongiś Turgot (wolność handlu zbożem, zniesienie szarwarków), a nawet to, czego Turgot nie śmiał ujawnić: ustanowienie zgromadzeń lokalnych. Stworzono więc wreszcie cały system zgromadzeń: municypalnych, okręgowych, prowincjonalnych. Prawda, że w porównaniu z zamysłami Turgota reforma była mniej śmiała. System nie objął całego kraju: nie wprowadzono nowych zgromadzeń tam,

gdzie działały tradycyjne organy, tak zwane stany prowincjonalne; w kilku regionach prowincjonalne parlamenty zablokowały utworzenie zgromadzeń. Co więcej, zachowano w zgromadzeniach podział na trzy stany, a prezydencję zastrzeżono dla szlachty i kleru; Lomenie powiadał, że równość jest dobra w Filadelfii, lecz nie we Francji. Jednakże zgodzono się na to, by – jak w koncepcji Neckera – stan trzeci miał połowę miejsc w zgromadzeniach i by głosowano indywidualnie (*par tete*), a nie stanami: głosowanie stanami spychało nieuchronnie stan trzeci na mniejszościową pozycję.

Pierwsza edycja zgromadzeń nie wyszła nawet z wyborów: połowę członków mianował król, druga połowa pochodziła z kooptacji. Uprawnienia zgromadzeń ograniczono do tak zwanej policji ekonomicznej (repartycja i pobór podatków, budowa dróg i kanałów, opieka społeczna). Kontrola administracji lokalnej nad zgromadzeniami miała być nader ścisła: obawiano się, że mogą przekraczać wąski zakres swych kompetencji.

Niedemokratyczne, słabe, mocno nadzorowane, były jednak zgromadzenia wyłomem w zastygłej, biurokratycznej strukturze władzy. Ożywiały aktywność lokalną, uczyły udziału w administrowaniu. Przykład Zgromadzenia Notabli mógł stać się zaraźliwy: ciało pozbawione prawa decyzji, złożone z mianowańców – potrafiło przecież przeciwstawić się rządowi, formułować śmiało pomysły. Lomenie przewidywał, że w dalszej perspektywie delegaci zgromadzeń lokalnych utworzą rodzaj Zgromadzenia Narodowego, bardziej nowoczesnego od uśpionych w XVII w., wyrosłych ze średniowiecznej tradycji Stanów Generalnych.

Kłopoty rządu zaczęły się w lipcu, gdy przedstawiono parlamentowi do rejestracji najpierw edykt o podatku stemplowym, potem o podatku gruntowym. Już sama kolejność tych działań była grubym błędem. Podatek gruntowy naruszał przywileje podatkowe kleru i szlachty, cieszył się więc poparciem szerszej opinii i trudniej było mobilizować przeciw niemu opozycję. Natomiast podatek stemplowy, od którego zaczęto, budził żywy odzew w ludzkiej świadomości: przecież to właśnie próba narzucenia papieru stemplowego wzburzyła przed laty Amerykanów, stworzyła w koloniach brytyjskich opozycję, która potem przerosła w rewolucję! Podatek stemplowy obciążał m.in. handel i operacje bankowe, a negocjanci, kupcy, bankierzy mieli mocne powiązania ze światem prawniczym, w szczególności zaś z parlamentem.

Gdy więc 2 lipca 1787 r. parlament w Paryżu otrzymał edykt o stemplu – zaczął stawiać opór. Zażądał dokładnych danych o stanie finansów państwa i radykalnych oszczędności, które król był obiecał notablom. Hrabia Artois ogromnie się naraził sędziom parlamentu wyniosłym twierdzeniem, że król nie może regulować swych wydatków wedle dochodów, że musi być odwrotnie! Od samego początku debaty nad stemplem podniosły się w parlamencie wołania o zebranie Stanów Generalnych. Był to śmiały projekt złamania absolutyzmu, wzięcia króla pod kuratelę Stanów Generalnych i parlamentu (bo w przerwach między sesjami Stanów parlament by je zastępował).

30 lipca do parlamentu trafił edykt o podatku gruntowym. Opozycja była

już rozkołysana, toteż parlament nie musiał się liczyć z faktem popierania tego podatku przez opinię stanu trzeciego. 72 głosami przeciw 48 przyjęto uchwałę, że przed nałożeniem jakiegokolwiek nowego podatku należy zwołać Stany Generalne. Trzech delegatów parlamentu, z pierwszym prezydentem panem d'Aligre na czele, zanieśli tę uchwałę do Wersalu. Ludwik XVI przyjął ich bardzo nieuprzejmie i krótko: zapowiedział, że wnet da im poznać swą wolę, odwrócił się i trzasnął drzwiami. Zrozumiano, że wnet będzie nowe „łóże sprawiedliwości”.

I rzeczywiście. Król wezwał parlament do Wersalu 6 sierpnia, zapowiedział oszczędności i coroczne ogłaszanie finansowego sprawozdania na wzór *Compte-Rendu* Neckera, po czym zarządził przymusową rejestrację edyktów o podatkach stemplowym i gruntowym. Całe posiedzenie odbyło się wśród potwornego upału; w sali, w której siedziało czterysta osób, było gorąco jak w rzymskiej łaźni. Podczas długiej lektury edyktów król zasnął i głośno chrapał.

Już następnego dnia parlament zbuntował się bezczelnie: uchwalił, że przymusowe wpisy edyktów do jego rejestru są nielegalne i nieważne. Po paru dniach uchwalono jeszcze zacząć śledztwo przeciw Calonne'owi: oskarżano go powszechnie o doprowadzenie skarbu do ruiny i korupcję. Eks-minister przezornie wyniósł się do Londynu; podobno intrygował tam bezczelnie przeciw Marii Antoninie, m.in. pomagając pani de La Motte w redagowaniu jej „pamiętników” obelżywych dla królowej.

Opozycja parlamentu manifestacyjnie popierana była przez paryżan, wokół Pałacu Sprawiedliwości gromadziły się tłumy, sędziom urządzano owacje. Mimo przestróg Malesherbesa rząd nie strzymał: skasował wszystkie uchwały parlamentu wyrażające jego bunt, sparaliżował śledztwo przeciw Calonne'owi, a sam parlament wygnał do Troyes. Był to stary sposób pacyfikowania opozycji parlamentarnej, wypróbowany wiele razy przez Ludwika XV. Komentarz paryskiego księgarza Ruaulta dobrze oddaje reakcję burżuazji na ten krok rządu: „Jesteśmy skłonni sądzić, że ministrowie – nie mogąc przemówić królowi do rozsądku lub tracąc nadzieję co do biegu spraw publicznych – nie mają już innego sposobu na spowodowanie wielkiej i użytecznej zmiany, jak tylko robić ogromne i bardzo poważne głupstwa. Jeśli taki jest ich cel, to dobrze doń sterują, osiągnęli go i kiedyś będziemy im dłużni piękne podziękowanie”.

Od 17 sierpnia w Paryżu trwają manifestacje (wygwizdano na ulicy hrabiego Artois, witano owacyjnie hrabiego Prowansji, który udawał liberała). Po 20 sierpnia sytuacja się zaogniła, zaczęły się zamieszki ludowe i starcia z policją. 21 sierpnia rząd użył siły wojska, aż do 7 września mocne patrole pilnowały porządku w stolicy. Ale nastroje Paryża i prowincji były burzliwe („Wszystkie głowy płoną, od Perpignan aż po Dunkierkę”, pisał pan Ruault). Przez wiele miesięcy opozycja parlamentu przeciw rządowi będzie teraz zaczynem fermentowania opinii. Warto przyjrzeć się jej nieco uważniej.

Parlament paryski składał się ze 144 członków; przy uroczystych okazjach i w ważnych sprawach dołączali do nich książęta krwi w liczbie siedmiu i ponad trzydziestu wielmożów, którym król nadał tytuł parów Francji. Sędziowie parlamentu to wcale nie są jakieś stare peruki:

stanowiska sędziowskie były dziedziczne, egzaminy, które składali nowi sędziowie, miały raczej charakter formalności i nie wymagały długich lat studiów. Toteż w składzie parlamentu wielu jest ludzi młodych – poniżej trzydziestki – aktywnych politycznie i ambitnych. Ich opozycja przeciw rządowi ma dwa odcienie. Jeden doskonale reprezentował nieco już starszy (42-letni) Jean-Jacques Duval d'Épremesnil. Bardzo bogaty, świetny mówca i aktor, ze szlachty raczej świeżej, ale bardzo konserwatywny, przywiązany do tradycji arystokratycznej i parlamentarnej. „Chciał on ‘zdeburbonizować’ Francję (to jego własne słowo) tylko po to, by rządził nią parlament” – pisał publicysta Brissot. Drugą tendencję świetnie wyrażał głośny potem działacz rewolucji Adrien Duport, wówczas 28-letni. Grupa, której przewodził, pragnęła czegoś więcej niż rządów szlachecko-liberalnych z parlamentem na czele. Mówiła już o monarchii konstytucyjnej, o tym, że konstytucję powinien państwu nadać naród poprzez swe przedstawicielstwo.

Książęta krwi rzadko uczestniczyli w obradach parlamentu. Hrabia Artois, lojalny wobec rządu, nie umiał przemawiać; hrabia Prowansji zachowywał się dwuznacznie, kokietował lekko opozycję, udawał, że szuka kompromisu. Natomiast książę Orleanu z zapałem przyłączył się do rebelii parlamentu; nie z racji politycznych, bo nie miał żadnego wielkiego planu, lecz z osobistego resentymentu do pary królewskiej. „Jego osobisty cel – pisał Malouet – to raczej zemsta niż ambicja”. I jeszcze: „Resentyment wobec Dworu popchnął go w stronę rewolucji: chciał napędzić stracha królowej”. Łącznikiem pomiędzy Orleanem i parlamentem był dość nieciekawym, choć ruchliwym, radcą parlamentu Sabatier de Cabre. Na szefa rewolty książę Orleanu jednak się nie nadawał: „lubił on konspiracje trwające tylko 24 godziny – pisał Brissot. – Po upływie tego czasu oblatywał go strach”.

Wśród parów Francji była również cała grupa liberałów, którzy się przyłączyli do parlamentarnej frondy: diuk de Montmorency-Luxembourg, oświecony mason, wróg despotyzmu, fanatyczny wielbiciel arystokratycznych przywilejów; diuk de La Rochefoucauld, przyjaciel La Fayette'a i zwolennik konstytucji amerykańskiej; diuk de Praslin; diuk de Bethune-Charost i inni jeszcze. Ich wrogość wobec reżimu i niechęć – niekiedy wręcz zuchwała – do króla miały różne motywacje. Czasem był to bezinteresowny patriotyzm, chęć naprawy państwa; niekiedy tylko przywiązanie do szlacheckiej tradycji, wrogiej despotyzmowi; czasem racje osobiste: uraza z powodu oszczędności, które Lomenie robił na Dworze i których koszty oni ponieśli.

Wokół opozycji parlamentarnej skupiała się od lata 1787 r. coraz szersza opinia, manifestacyjnie niechętna rządowi, wroga wobec królowej (w Operze powitano ją okrzykami: Oto Madame Deficit!), coraz śmieiej atakująca i króla (paszkwile częstowały go epitetami: rogacz, pijak, despota). Gdy parlament sprzeciwił się papierowi stemplowemu (papier timbre), kalamburzyści nazwali króla le Timbre; oznaczało to tyle, co Ludwik Głupkowaty, bo słowo timbre miało podwójne znaczenie. Gdy zaś hrabia Artois rzekł w parlamencie, że podatek stemplowy dobrze jest znany Anglikom, jeden z szefów opozycji, Robert de Saint-Vincent („Robert

Diabeł”, mówiono o nim), replikował: „Monseigneur, nie podniecamy się imitowaniem Anglików i nie powinniśmy tego robić; pan zaś powinien pamiętać, że zdetronizowali oni siedmiu swoich królów i ucięli głowę ósmemu!” Hasła parlamentu – wytoczyć proces Calonne’owi, żadnych nowych podatków bez Stanów Generalnych, kontrolować władzę – dyskutowane były gorąco w lożach masońskich, kawiarniach, salonach, gabinetach lektury, nawet na ulicy. Krążyły wciąż nowe pamflety pisane przez ludzi, którzy już wnet będą dziennikarzami rewolucji, takich jak Brissot, Gorsas, Carra. Hrabia Mirabeau zaczął wydawać periodyk, w którym pod pretekstem analizy gazet angielskich propagował liberalną ewolucję ustroju Francji. Dokonywało się połączenie opozycji parlamentarnej z szerszą opinią: dla burżuazji, drobnomieszczan, prostego ludu parlament stawał się bohaterem i politycznym liderem.

A przecież dalekie ich cele nie mogły być wspólne. Ogromna większość opinii burżuazyjnej i ludowej nie pogodziłaby się z systemem, do którego tęsknił parlament: systemem liberalnym, lecz stanowym, niweczącym despotyzm, lecz utrwalającym i rozszerzającym przywileje kleru, szlachty, Togi. „Egoizm” i „nikczemne skąpstwo” uprzywilejowanych, które tak oburzały Marmontela, musiały przecież prześwitywać przez wzniosłe przemowy o Wolności wygłaszane przez panów z parlamentu. Skąd więc tak mocne poparcie społeczne dla ich akcji?

Łatwo zrozumieć, że popierali ją ci, którzy żyli, by tak rzec, w cieniu parlamentu: adwokaci, prokuratorzy, woźni, sekretarze, pisarze sądowi, studenci prawa... Była to wielotysięczna armia ludzi przeważnie młodych, odważnych, a nawet egzaltowanych, popierających bez wahania frondę sądowych dygnitarzy. Ale prócz nich było wielu, bardzo wielu innych. Otóż poparli oni parlament w konflikcie z rządem, który do ogromnych wad systemu dodał jeszcze głupotę i nikczemność ludzi u władzy. Społeczeństwo, pozbawione instytucjonalnych możliwości stawiania oporu, wsparło parlament nie dlatego, że go tak kochało, ale dlatego, że tylko on mógł się opierać rządowi w sposób zorganizowany. Wsparło parlament, ale też posłużyło się nim. Mamy tu bowiem do czynienia ze współzależnością; parlament aktywizował społeczne poruszenie, lecz sam zaostrzał ton swej opozycji pod naciskiem z zewnątrz: kularów Pałacu Sprawiedliwości, salonowych i ulicznych dyskusji, politycznych pamfletów. Dygnitarzy parlamentu podniecała atmosfera społecznego uznania, sami siebie podziwiali w przypisanej im roli ojców ojczyzny. Oczywiście parlament chciał upiec własną pieczęń na tym ogniu, jednakże siła jego oporu przeciw despotyzmowi zależała od siły publicznych nastrojów. Bystry obserwator tamtych wydarzeń pisał: „Naród... tak bardzo się przejął zasadami wolności, że parlament jest tylko zwierciadłem, w którym jego uczucia i pragnienia odbijają się, by następnie uderzać w tron”.

Ale właśnie dlatego parlament, tak mocny w Paryżu, osłabł na „wygnaniu”, w prowincjonalnym Troyes. Rzecz nie tylko w tym, że sędziowie nudzili się w niewielkim mieście; po prostu poczuli się mniej pewni swej siły, skłonniejsi do kompromisów. Także Lomenie szukał sposobów rozwiązania konfliktu. Postanowił wycofać edykty o podatkach stemplowym i gruntowym, zaproponował zaś – na okres pięciu lat – pewne

manipulacje ze zwykłym podatkiem dochodowym (*vingtieme*), korzystne dla rządu. Parlament zgodził się na to 19 września i następnego dnia powrócił do Paryża. Jego reputacja była oczywiście nadwątlona: opinia zarzuciła mu tchórzostwo i brak konsekwencji.

Lomenie wypracował cały plan stabilizacji finansowej państwa w ciągu owych pięciu lat, to jest do r. 1792. Najdotkliwsze dziury chciał zatkać nowymi pożyczkami na sumę 420 milionów; w zamian obiecywał opinii zwołanie Stanów Generalnych przed upływem tychże pięciu lat. Król zgodził się na to z najwyższą niechęcią; Lomenie obiecywał mu jednak uzdrowienie finansów w początku lat dziewięćdziesiątych; Stany Generalne miałyby zatem jedynie pokwitować dokonane już dzieło naprawy.

Najpierw wszakże należało skłonić parlament do zarejestrowania edyktu o nowych pożyczkach. W Troyes uformowała się wśród członków parlamentu nowa, skłonna do ugody większość i w głosowaniu nad pożyczką rząd zapewne odniósłby sukces. Podobno zresztą Lomenie kupował sobie głosy chwiejnych sędziów; mówiono, iż wydał na to 1.200.000 liwrów! A jednak król postanowił udać się osobiście do parlamentu. To „posiedzenie królewskie” było zaskoczeniem: zwołano je wieczorem 18 listopada na następny ranek, otoczono Pałac wojskiem. Obradowano burzliwie przez osiem godzin, opozycjoniści żądali zwołania Stanów Generalnych zaraz lub najpóźniej do końca 1789 r. Król przeciął te spory nakazując przymusową rejestrację edyktu o pożyczce.

Wstał wówczas książę Orleanu i oświadczył, że ta rejestracja jest nielegalna! „Cała historia monarchii – pisał Talleyrand – nie znała czegoś podobnego. Bywało, że książęta krwi opierali się z bronią w rękę całej potędze króla; nigdy jednak nie widziano, by próbowali zakreślić konstytucyjne granice jego władzy”. Ludwik był całkiem zaskoczony protestem swego kuzyna; wybąkał bez składu parę zdań: „To mi jest obojętne... Pan może sobie... Tak, to jest legalne, ponieważ ja tego chcę!” Starcie monarchii despotycznej z ideą monarchii ograniczonej w tym pamiętnym dniu 19 listopada 1787 r. nie było wcale efektowne: król wybelkotał swą replikę, ale i protest Orleana został niezgrabnie wyjąkany. Ludwik wyszedł natychmiast po incydencie, a parlament uchwalił, że nie chce mieć nic wspólnego z rejestracją edyktu.

20 listopada książę Orleanu otrzymał rozkaz udania się do swych dóbr; następnego dnia uwięziono dwóch sędziów parlamentu powiązanych z „buntownikami”, Sabatiera i Freteau de Saint-Justa. Król skasował też uroczyście rebeliancką uchwałę parlamentu sprzed dwu dni. Zaczęła się znów podjazdowa wojna parlamentu z Koroną i trwała aż do wiosny 1788 r. Kapryśny despotyzm czasów Ludwika XVI nie był zresztą krwiożerczy: po paru miesiącach cofnięto sankcje wobec opozycjonistów. Gdy w styczniu 1788 r. parlament protestował – dość miękko – przeciw uwięzieniu dwóch jego członków, Ludwik odpowiedział im nie bez złośliwości, że to właśnie parlament wciąż się od niego domagał *lettres de cachet* i że on sam używał tych arbitralnych aresztów dużo rzadziej niż jego poprzednicy. Miał rację; ale słuszność też miał słynny historyk i socjolog Tocqueville stwierdzając, że za czasów Ludwika XVI drobne akty

despotyzmu, takie jak aresztowanie Beaumarchais'go, budziły więcej oburzenia niż zmasowane represje Ludwika XIV. Po prostu zmienił się przez te sto lat stan świadomości społecznej.

Parlament odzyskiwał nadwątloną popularność paraliżując różne poczynania rządu (zarejestrował jednak w styczniu liberalny edykt o poprawie prawnego statusu protestantów). Rząd się znużył tą podjazdową wojną. W kwietniu zaczęły przeciekać do opinii publicznej informacje, że rząd zamierza zrobić zamach stanu skierowany przeciw parlamentowi. Szeptano o tym już u schyłku 1787 r., po „posiedzeniu królewskim” z 19 listopada; teraz jednak z drukarni rządowej, ba, z otoczenia samego Lomenie de Brienne'a wyciekały bardzo konkretne wiadomości o szykowanej reformie. Potwierdzała je wyniosła, sztywna postawa króla. Maria Antonina pisała w kwietniu do Józefa II: „Zbliży się moment zrobienia wielkich zmian w parlamencie. Od kilku miesięcy rozkazy i wypowiedzi króla zapowiadały wielką konsekwencję i stanowczość zasad”. 17 kwietnia Ludwik rzekł deputacji parlamentu, że nigdy się nie zgodzi na to, by sądy najwyższe zadawały gwałt jego woli, bo to oznaczałoby zastąpienie monarchii przez sędziowską arystokrację.

Repliką parlamentu paryskiego była słynna uchwała z 3 maja 1788 r., związły program zmiany ustroju w duchu liberalno-arystokratycznym. „Uchwała jest w rękach wszystkich – pisał świadek wydarzeń – i wywołuje najwyższą sensację. Wszystko zwiastuje powszechny przewrót”. Uchwała z 3 maja konstatawała, że Francja jest „monarchią rządzoną przez króla zgodnie z prawami”, a więc nie królestwem despotycznym. A za fundamentalne prawa monarchii uznawano pięć zasad. Najpierw prawa dynastii do tronu i reguły sukcesji dynastycznej. Po drugie, prawo narodu do swobodnego wyrażania zgody na podatki poprzez regularnie zwoływane Stany Generalne. Po trzecie, zwyczaje prowincji. Po czwarte, nieusuwalność sędziów i prawo parlamentów do badania treści ustaw oraz rejestrowania tylko takich, które są zgodne z prawami prowincji i fundamentalnymi prawami królestwa. Wreszcie prawo obywatela do sądu przed wyznaczonymi przez prawo sędziami; Francuz może być aresztowany tylko po to, by bezzwłocznie stanąć przed obliczem sędziów.

Była to piękna uchwała, w której każdy mógł znaleźć coś dla siebie. Robiono ukłon w stronę dynastii; umacniano prestiż i władzę parlamentu. Ale schlebiano tu także całej szlachcie prowincjonalnej uświęcając „zwyczaje prowincji”. Burżuazji, czulej na tym punkcie, oferowano gwarancje wolności osobistej obywateli, wszystkim wreszcie dawano nadzieję naprawy państwa dzięki regularnie zwoływanym Stanom Generalnym. Natychmiastowe ustępstwa Dworu w obliczu tej liberalno-arystokratycznej opozycji, ciągle jeszcze popieranej przez stan trzeci, mogły się stać ostatnią deską ratunku przed rewolucyjną eksplozją. Za cenę rezygnacji z absolutyzmu można było podjąć próbę salwowania tradycyjnych przywilejów stanowych. Król nie chciał zapłacić tej ceny. Przeciwnie: postanowił wzmocnić pozycję absolutnego rządu!

W nocy z 4 na 5 maja wydano rozkaz aresztowania dwóch liderów opozycji parlamentarnej, d'Eprenesnila i Goislarda de Montsabert. Udało im się jednak schronić wśród kolegów, w Pałacu Sprawiedliwości. Ludwik

XVI odmówił przyjęcia deputacji parlamentu, która przez wiele godzin czekała na audiencję wieczorem 5 maja. Pałac Sprawiedliwości otoczony został siłą zbrojną; dowodzący nią markiz d'Agoult nie znał dwu członków parlamentu, których miał aresztować, toteż gdy około godziny 1 w nocy wszedł do wielkiej sali obrad, zażądał, by mu ich wskazano. Cała sala zaczęła wówczas krzyżeć: „Wszyscy jesteśmy d'Eprenesnilami i Goislardami! Skoro pan ich nie zna, niech pan zabiera nas wszystkich!” Około godziny 11 rano 6 maja d'Agoult ponowił próbę aresztowania. Dwaj męczennicy despotyzmu teraz ujawnili się sami, bardzo godnie, wygłaszając krótkie mowy na temat wierności zasadom. Parlament uchwalił solenny protest i rozszedł się po trwającym kilkadziesiąt godzin, dramatycznym posiedzeniu.

Wyczerpało ono parlamentarzystów i osłabiło ich opór, gdy 8 maja dopełnił się oczekiwany królewski zamach stanu. Ludwik kazał przymusowo zarejestrować edykty o reformie parlamentu, przygotowane przez ministra sprawiedliwości Lamoignona. Odtąd rejestracją nowych podatków i ustaw generalnych (tzn. o zasięgu ogólnokrajowym) miał się zajmować wyłącznie nowo powołany Trybunał Plenarny. Istniał on wprawdzie od 1774 r., ale na papierze; teraz miał przejąć polityczne prawa parlamentu. Idea była prosta: Trybunał Plenarny składał się z członków parlamentu paryskiego i bardzo licznej grupy arystokratów, funkcjonariuszy, przedstawicieli władz lokalnych. W ten sposób roztapiano opozycję „wichrzycieli” z parlamentu w wielkiej masie królewskich mianowańców. To rozbitcie parlamentarnej opozycji znów uzasadniano – najzupełniej fałszywie – powołaniami na tradycję: edykt z 8 maja głosił, że przywraca się w ten sposób dawne zasady monarchii, bo Trybunał Plenarny istniał już w XIV w. Owszem, istniał, ale nigdy nie był instytucją stałą i nigdy nie rejestrował ustaw.

Rząd liczył, że opinia strawi złamanie opozycji parlamentarnej, bo w tym samym czasie ogłoszono bardzo korzystną dla poddanych reformę sądownictwa. Odebrano parlamentom część kompetencji sądowych na korzyść sądów średniego szczebla, co zbliżało wymiar sprawiedliwości do ludzi, zmniejszało koszty sądowe, stwarzało świetne szanse awansu dla burżuazji prawniczej. Reforma sądowa zniosła liczne feudalne relikty: różne sądy administracyjne wprost zlikwidowała, skazała na śmierć senioralne sądy pana ziemi nad chłopem, ostatecznie wykluczyła tortury w śledztwie i różne upokarzające oskarżonego praktyki sądowe, utrudniała pochopne wydawanie i wykonywanie wyroków śmierci.

Te reformy, jak pisał Marmontel, „niemal wszystkie odpowiadały pragnieniom narodu i wszędzie znalazły taki sam opór”. Była w tym twierdzeniu przesada. Reforma sądowa napotkała sprzeciwy konserwatywne: parlamentów tracących liczne kompetencje i dochody, szlachty oburzonej upadkiem sądów senioralnych. Ale lud był zadowolony, że wymiar sprawiedliwości stał się szybszy, prostszy, tańszy; burżuazja chętnie przejmowała w swe ręce to, czego pozbawiono arystokrację sądową. Natomiast zgodnie sprzeciwiano się politycznej części reform z maja 1788 r.: opozycję parlamentarną traktowano wciąż jako jedyną barierę przed samowolą ministrów i króla. Szydzono z mariażu maleńkiej „panny Izby Sądowej” (tj. Trybunału Plenarnego) z ogromnym „panem

Deficytem”: małżeństwo nie może być udane ani nawet legalne, skoro pochodzi „z tego samego łoża” (to oczywiście aluzja do „łoża sprawiedliwości”).

Inteligentny Mallet du Pan notował w maju 1788 r. z pesymizmem, że po poskromieniu parlamentu nie będzie już żadnej zapory dla despotyzmu, bo „wielmoże nie mają odwagi, by stawić opór, a naród jest zerem”. Lato 1788 r. będzie bardzo gorące i ujawni, jak bardzo mylił się Mallet du Pan: arystokracja i Toga stawiają opór, stan trzeci szybko będzie dojrzywał do świadomości, że w istocie „jest wszystkim”, że dalibóg nie jest zerem. Lato 1788 r. to już uwertura rewolucji.



U PROGU REWOLUCJI

Ludwik XVI od jesieni 1787 r. demonstrował wszelkie pozory wielkiej stanowczości, a Maria Antonina umacniała go w takim usposobieniu. W istocie jednak za fasadą mocnego władcy krył się ciągle człowiek słaby, teraz coraz bardziej zdezorientowany i żywiący żal do świata. Od wiosny 1787 r. to znaczy od momentu ujawnienia finansowej katastrofy państwa, Ludwik napotykał wciąż wzmożone objawy opozycji i niechęci poddanych. W sierpniu 1787 r. przekupki z hal targowych nie chciały zanieść mu tradycyjnego imieninowego bukietu; gdy je do tego zmuszono, pojawiły się w Wersalu z ponurymi minami i wbrew swym zwyczajom milczące. Jesienią para królewska postanowiła zbojkotować doroczny salon malarski w Luwrze. W jakimś obrazie historycznym ze sceną z wojny stuletniej publiczność i rząd dopatrzyły się aluzji do współczesnych spraw Dworu. Rząd najpierw obraz wycofał, potem wskutek protestów go przywrócił, co oczywiście tylko zaostrzyło ciekawość publiczności. Więc para królewska się dąsa na salon.

Gdy Ludwik wracał ze sławetnego posiedzenia w parlamencie 19 listopada, paryżanie zachowywali ponure milczenie na jego widok. Pamflety, paszkwile, karykatury mnożyły się bezlitośnie. Ulubiony motyw paszkwilantów to przedstawianie króla jako rogakza, królowej jako dziwki i delfina jako bękart. Inny motyw to gargantuiczny apetyt Ludwika i jego skłonność do kieliszka. Rozrzucano po Paryżu sztych z ucztującą rodziną królewską i podpisem: król pije, królowa zajada, lud zaś lamentuje. Po przeczytaniu jednego z paszkwili Ludwik postanowił podobno wyrzec się wina i pić odtąd tylko wodę. Oczywiście to tylko dobre intencje, którymi brukowane jest piekło. Zdenerwowanie jeszcze pobudzało dobry apetyt króla. Jego otyłość rosła razem z rozdrażnieniem. Żalił się na swych ministrów, na opozycjonistów, na lud wreszcie, który nie jest w stanie zrozumieć i docenić jego reformatorskich wysiłków, jego oszczędnościowych decyzji.

Latem 1788 r. przysłyły wydarzenia, które wywarły wielki wpływ na postawy pary królewskiej. Oto po poskromieniu opozycji parlamentarnej, po odrzuceniu ewolucji liberalno-arystokratycznej zbuntowały się poważne odłamy szlachty, Togi, kleru. Znamienne: to nie w Paryżu, lecz na prowincji rozpałił się najmocniej płomień rewolty przeciw rządowi i jego

majowemu „zamachowi stanu”. Przewodziły w opozycji Bretania, Bearn, Delfinat; w głównych miastach tych prowincji – Rennes, Pau, Grenoble – poruszenie było najgłębsze. Intendent Bretanii, późniejszy minister Bertrand de Molleville, zapewnia w swych pamiętnikach, że wzburzenie w jego prowincji było takie, iż parę razy ledwie uchodził z życiem. Mieszkańcy Bearnu na kolebkę swego wielkiego rodaka, króla Henryka IV, złożyli przysięgę, iż będą bronić praw swej prowincji; w Delfinacie składano podobną przysięgę na grób Bayarda. Na niepokorne parlamenty prowincjonalne spadł deszcz rozkazów wygnania, zamieszki pacyfikowano siłą zbrojną. W Grenoble doszło do zupełnie niebywałego bałaganu: zbuntowana ludność obrzucała wojsko dachówkami, tłum wdarł się do pałacu wojskowego komendanta pana de Clermont-Tonnerre i groził, że go natychmiast powiesi na żyrandolu, jeśli nie cofnie wydanych rozkazów. W innych prowincjach zbierały się nielegalne zgromadzenia szlachty i uchwałyły ostre protesty, dygnitarze miejscowych parlamentów sabotowali realizację reformy sądowej.

Znamienna jest społeczna struktura tego ruchu z czerwca i lipca 1788 r. Liderami i ideologami są ludzie ze szlachty i parlamentarnej Togi; spory udział ma skupiona przy parlamencie inteligencja prawnicza: adwokaci, studenci prawa, pisarze, woźni sądowi. Gdy dochodzi do zamieszek, siłą szturmową są warstwy ludowe: drobni sklepikarze, rzemieślnicy, subiekci, fryzjerzy, kelnerzy, robotnicy. Wielkim nieobecny jest burżuazja, która zajmuje postawę wyczekiwania. Tylko w Delfinacie doszło do próby aliansu uprzywilejowanych z burżuazją: 21 lipca w Vizille zebrało się samorzutnie zgromadzenie stanów Delfinatu z udziałem 165 delegatów szlachty, 50 duchownych i aż 276 reprezentantów stanu mieszczańskiego. Ale i tutaj ów sojusz był chwiejny, kruchy, najeżony sprzecznościami i nieufnościami.

Wspólne działania uprzywilejowanych i ludu także nie były żadnym trwałym aliansem. Te dwie społeczne siły połączyła jedynie chęć sprzeciwienia się rządowi, ale już motywacje ich opozycji były zgoła odmienne. Parlamentarna Toga protestowała przeciw osłabieniu jej politycznego wpływu, jej prestiżu, kompetencji sądowych i dochodów; szlachtę burzyły zagrożenia jej przywilejów fiskalnych, ruina sądów senioralnych, reformy wojskowe, niekiedy także ulgi dla protestantów. Lud oczywiście nie zamierzał bronić przywilejów szlachty i Togi: jego opozycja zwraca się przeciw rządowi despotycznemu, który doprowadził skarb do ruiny, uprawiał samowolę i korupcję, dla ubogich miał jedynie śrubę podatkową i represje. Jeśli lud wspierał rewoltę szlachecką, to głównie z braku innego opozycyjnego programu.

Nawet rozważny, zwykle ugodowy wobec rządu kler dołączył się do oporu przeciw despotyzmowi. W maju 1788 r. zebrało się zgromadzenie kleru, ogólnokrajowy sejmik stanu duchownego. Lomenie zażądał od swych konfratrów zwyczajowego „daru” pieniężnego w kwocie 8 milionów. Płatna w ciągu dwu lat, suma ta nie była wcale wygórowana. Ale opozycyjna część zgromadzenia, której duszą był arcybiskup Bordeaux Champion de Cice, przeforsowała uchwałę, iż rząd otrzyma od kleru jedynie 1,8 mln. liwrow, a także uchwałę protestującą solennie przeciw „królewskiemu zamachowi stanu” z 8 maja. 15 czerwca przedłożono ów

protest królowi; duchowni tłumaczyli swemu monarsze, że to bezecni filozofowie grożą konstytucji królestwa: „chcieliby wszystko zniszczyć pod pretekstem zreformowania wszystkiego”. Tak więc szlachta, Toga i kler zgodnie opowiedziały się przeciw reformatorskiemu absolutyzmowi, za konserwatywną obroną przywilejów.

Lomenie demonstrował wielką pewność siebie w obliczu tych rozpętanych żywiołów: „Przewidziałem wszystko, nawet wojnę domową” – rzekł na samym początku kryzysu. Liczył na siłę wojska – i nie zawiódł się. Część oficerów sprzyjała szlacheckiej rebelii, wielu było niezadowolonych z ostatnio przeprowadzonych reform w wojsku – ale jednak korpus oficerski zachował lojalność wobec rządu. Świadkowie stwierdzali, że i prości żołnierze byli wciąż karni, gotowi wykonywać rozkazy strzelania do buntujących się tłumów. Strzelano bez pardonu i nie pozwolono, by rewolta się upowszechniła. W końcu lipca 1788 r. rząd mógł uznać, że najostrożniejszą fazę kryzysu ma już za sobą.

Lomenie nie ograniczył się zresztą do posyłania wojska, by zapobiegło wojnie domowej. Cały lipiec 1788 r. jest czasem intensywnej gry politycznej szefa rządu. Przygotował dla króla bardzo uprzejmą odpowiedź na remonstracje zgromadzenia kleru. Kokietował szlachtę prowincjonalną by rozbroić jej opozycję. Ponieważ w wielu prowincjach szlachta nieufnie przyjęła zgromadzenia lokalne, ustanowione latem 1787 r., i domagała się przywrócenia tradycyjnych stanów prowincjonalnych, zawieszonych w XVII w. – Lomenie robił jej nadzieje na przychylne stanowisko rządu w tej kwestii. 5 lipca podjął decyzję o olbrzymim politycznym znaczeniu: zapowiedział rychłe (ale bez dokładnego podania terminu) zwołanie Stanów Generalnych i wezwał społeczeństwo do powszechnej dyskusji nad kształtem prawnym i społecznym Stanów. Pretekstem do takiego apelu było twierdzenie, że nie zawsze już da się ustalić dawne formy Stanów Generalnych, po raz ostatni zwołanych w 1614 roku: niech sama opinia publiczna wskaże najlepsze ich kształty! Główny minister stawał więc po stronie reformistów, którzy od dawna mówili, że nie należy się kępować tradycją sprzed blisko dwustu lat. Wezwanie do publicznej debaty o Stanach Generalnych oznaczało praktycznie zniesienie cenzury: konsekwencje wolności druku okazały się olbrzymie, ale trochę inne, niż oczekiwał Lomenie. W jego intencji powszechna dyskusja miała opóźnić zwołanie Stanów – trwałaby ona długo, swobodne gadanie o Stanach Generalnych odwrócić mogło uwagę wielu ludzi od sprawy zasadniczej, to jest od ich zwołania. Ponadto w dyskusji ujawniłyby się bardzo różne opinie; Lomenie ufał, że wolna debata polityczna skłóci gruntownie stany, poróżni zwolenników zmian i zapewni Koronie pozycję arbitra. Szef rządu doradzał Ludwikowi, by wykorzystać wszelkie środki dla opóźnienia Stanów Generalnych; nadal sądził, że powinno się je zwołać dopiero po uzdrowieniu finansów, dla formalnego zaaprobowania sukcesu władzy.

W początku sierpnia stało się jasne, że ten piękny plan nie ma szans. Na nic się nie przydały represje i zręczne polityczne manipulacje, bo po prostu skarb okazał się pusty. Dla rządu było to zupełnym zaskoczeniem! W kasie pozostało, wedle świadectwa Duponta de Nemours, 400 tys. liwrow: to akurat pokrycie dla jednej czwartej dziennych wydatków państwa. Aby

pobudzić kredyt, Lomenie zrobił więc krok desperacki: 8 sierpnia zadeklarował, że Stany Generalne zbiorą się 1 maja 1789 r. Jednakże bankierzy nie kwapili się wcale z pożyczkami, co i zrozumiałe: nie wiedzieli przecież, co będzie dalej, jakie decyzje podejmą owe Stany Generalne, z którymi społeczeństwo wiązało tyle sprzecznych a wzniosłych nadziei.

Skoro bankierzy nie kwapili się z pomocą, Lomenie podjął 16 sierpnia brutalną decyzję: stworzono pięcioprocentowe bilety skarbowe i tym papierem miano spłacać wielką część zobowiązań państwa (z wyjątkiem żołdu wojska, niższych poborów i niewielkich rent). Było to częściowe bankructwo państwa lub, by użyć mniej brutalnego określenia, przymusowa pożyczka. W Paryżu powstała panika, emocje rozgorzały tak mocno, że królowa i Lomenie już 19 sierpnia wystąpili z pomysłem wzięcia do rządu Neckera. „Król miał do tego kroku wielką odrazę – mówił później Lomenie – bo sprzeciwił się już za pierwszym razem, gdy mnie brał do Rady: powiedział mi [wtedy], że bierze mnie tylko po to, by się od niego [sc. Neckera] uwolnić. Rzekł, że nigdy nie znosił ani jego manier, ani jego zasad i że podejrzewał go o niełojalność... Powiedział jednak, że skoro uważam to za konieczne, daje mi wolną rękę, byłem nie odchodził z rządu”.

Negocjacje z Neckerem prowadził hrabia de Mercy-Argenteau. Nie były łatwe. Swej córce Necker rzekł podobno, że nie chce władzy, bo „jest już za późno”. Nie zgadzał się na wejście do rządu, którym by kierował Lomenie. Później zmiękł; ale tymczasem Lomenie stał się obiektem gwałtownego ataku hrabiego Artois i koterii Polignaków; jego protektorka, królowa, zwróciła się przeciw niemu. 25 sierpnia Lomenie złożył dymisję. Odchodził obsypany łaskami: otrzymał kapelusz kardynalski, pensje i zaszczyty dla siebie i dla swej rodziny; Maria Antonina ofiarowała mu swój portret zdobiony diamentami.

Necker wszedł do rządu tym razem jako pełnoprawny minister i szef finansów. Królowa miała złe przeczucia: rzekła hrabiemu de Mercy-Argenteau, że jeśli Neckerowi się nie powiedzie, to na nią spadnie cała odpowiedzialność, bo przecież ona ostatecznie spowodowała zmianę w rządzie. Wśród oświeconych, bankierów, w otoczeniu księcia Orleanu, w sferach parlamentarnych entuzjazm był ogólny. Paryski lud gwałtownie manifestował swą radość, spalono kukłę w sutannie wyobrażającą ministra-arcybiskupa. Policja z początku nie reagowała, dopiero 28 sierpnia zaczęła szarżować, co spowodowało zamieszki trwające aż do 30 sierpnia; spacyfikowano je przy pomocy wojska.

Spłoszyło to Neckera, który uznał, iż kraj stoi u progu anarchii i wojny domowej. Postanowił za wszelką cenę uspokoić nastroje: zwołać jak najszybciej Stany Generalne (mowa już była o styczniu 1789 r.), przywrócić prawa parlamentu, zlikwidować reformę sądową z maja. Był to nowy cios dla prestiżu króla: „Prawa, które tak niedawno zostały wydane – pisał świadek i historyk epoki, Lacretelle – ze wszystkimi oznakami gniewu monarchy i z całym aparatem jego władzy, zostały odwołane przez niego samego, tak jakby były dziełem szaleństwa i tyranii”. Przywrócony do łask i praw politycznych parlament nie współpracowałby ze swym pogromcą,

Lamoignonem, toteż minister sprawiedliwości złożył dymisję 14 września. Odchodził tak samo jak Lomenie: wyłudził od bankrutującego rządu tłuste gratyfikacje i pensje, gdy zaś ogłoszono o jego dymisji, nastąpiły nowe manifestacje, puszczanie petard, palenie jego kukły, starcia z policją i wojskiem. Rząd tracił prestiż, bo wahał się między zgodą na manifestacje a polityką twardej ręki.

Były jeszcze inne zmiany ministerialne. Już w lipcu odszedł twardy Breteuil; zastąpił go umiarkowany Villedeuil. Ustąpił minister wojny hrabia de Brienne, jego miejsce zajął niezły oficer hrabia de Puysegur. Odszedł z rządu Malesherbes, który nie przepadał za Neckerem. Ministerstwo sprawiedliwości po Lamoignonie wziął bezbarwny pan de Barentin. Necker był jedyną indywidualnością w tym zbiorze miernot tworzących rząd króla Ludwika XVI od jesieni 1788 r.

Jeśli Ludwik przezwyciężył swą głęboką antypatię do Neckera, to nie tylko w imię ratowania skarbu (w czym się zresztą nie zawiódł: Necker miał ciągle kredyt u bankierów i przywrócił spłacanie zobowiązań państwa w dobrym, kruszcowym pieniądzu). Necker to jednak nie tylko zręczny technik finansów, to także człowiek, który już dawniej tłumaczył królowi, że rząd trzeba wesprzeć na równowadze sił społecznych, na wzmocnieniu roli stanu trzeciego. Przyjęciu takiej tezy sprzyjało teraz głębokie rozgoryczenie króla i jego żony rewoltą stanów uprzywilejowanych z lata 1788 r. Taki nastrój pary królewskiej konstatuje wielu dobrze poinformowanych świadków. Już podczas samej rewolty szlacheckiej Lomenie sugerował królowi, że skoro szlachta i kler porzucają monarchę, swego naturalnego protektora, to powinien on zwrócić się ku burżuazji. Lamoignon był jeszcze bardziej kategoryczny: „Parlamenty, szlachta i kler śmiały sprzeciwić się królowi; nim miną dwa lata, nie będzie już parlamentów, szlachty ani kleru”. Minister de Barentin potwierdza, że Lomenie i Lamoignon insynuowali parze królewskiej, iż wszystkiemu winni są uprzywilejowani; dodaje również, że Necker „starał się podtrzymać w umysłach króla i królowej dawne uprzedzenia wobec kleru i szlachty... Skorzystał on z nieprzychylnego usposobienia króla w stosunku do dwóch pierwszych stanów i umocnił go w nim. Minister sądził, że nie ma czego się bać stanu trzeciego; przesadzał jego miłość i przywiązanie do monarchy”. Wedle hrabiego d’Allonville król, widząc sprzeciw szlachty, kleru i parlamentów wobec jego polityki „uznał, że powinien wesprzeć się przeciw nim na ludzie, którego milczenie wydało mu się służalczym posłuszeństwem”. Gdy markiz de Bouille w początkach 1789 r. mówił z ministrem de Montmorin o potrzebie złamania siłą ludowych zamieszek w Bretanii, które zagroziły szlacheckiemu, otrzymał odpowiedź, że „król zbyt jest niezadowolony ze szlachty parlamentu Bretanii, by protegować je przeciw burżuazji, słusznie zirytowanej ich bezczelnością i szykanami; niech to załatwią sami między sobą, rząd nie będzie się w to mieszał”.

Gdy zaś sekretarz królowej Augeard już u progu rewolucji straszył Marię Antoninę wizją zniszczenia kleru i szlachty, królowa odrzekła mu: „Szlachta i kler mają na sumieniu wiele zawinień w stosunku do nas; porzuciły nas, podobnie jak parlamenty”. Diuk de Montmorency-Luxembourg pisał, że w wielkiej dyskusji politycznej 1788 r. pojawiło się

mnóstwo pism oskarżających kler i szlachtę jako tyranów, sprawców nieszczęść ludu i wrogów króla, który jest dobry i chce ludowi ulżyć. To sugerowało Ludwikowi XVI starą ideę sojuszu króla z trzecim stanem: „Ta polityka, uprawiana już [dawniej] przez innych monarchów, torowała sobie drogę do umysłu króla”.

W istocie wśród burżuazji idea aliansu z królem przeciw uprzywilejowanemu robiła postępy. Zacytujmy pana Ruault: „Tylko szlachta i biskupi ponizali, obalali, posyłali do klasztorów królów Francji. Stan trzeci nigdy ich nie krzywdził; przeciwnie, gdy tylko królowie dawali mu jakieś znaczenie i wpływ na sprawy publiczne, to triumfowali nad baronami i wielkimi wasalami Korony. Jest więc w interesie suwerena protegować lud, zadeklarować się otwarcie po stronie stanu trzeciego nawet kosztem kleru i szlachty”. Także broszury inspirowane przez rząd przybrały jesienią 1788 r. koloryt antyszlachecki, rozpisywały się chętnie o „starożytnym sojuszu króla z ludem”.

Malesherbes, zanim odszedł był z rządu, doradzał Ludwikowi w inteligentnym memoriale, by opanował wielki ruch ku zmianom przez stanięcie na jego czele; wzywał go, by nadał narodowi „konstytucję godną jego wieku”. Rada była wyborna, ale zadanie wyznaczane monarsze przekraczało jego miarę. Ludwik wciąż się wahał, niepewny i zdezorientowany. Jego szwagier Józef II już przed rokiem nie miał złudzeń: „Przy sposobie, w jaki głowy [Francuzów] się wzburzyły, zmiana ustroju wydaje mi się nieunikniona” – pisał. Ludwik XVI dopiero teraz pojął, że nie uratuje ustroju w całej jego despotycznej krasie. Nie miał wszelako żadnej własnej koncepcji. Wedle Maloueta od schyłku 1788 r. „to już nie król przemawiał, to był tylko adwokat-konsultant Korony proszący wszystkich o radę; miał taką minę, jakby pytał każdego, kto mu się nawinął: Co należy robić? Ile chce się odkroić z mojej władzy? Ile mi jej pozostawia?”

Tym większa odpowiedzialność spadała na Neckera. I on zrozumiał całą zmianę położenia: nadal wierzył w utrzymanie równowagi między różnymi siłami społecznymi, ale wiedział, że nie osiągnie jej metodami oświeconego absolutyzmu. Uznał, że wypadnie mu być nie tyle ministrem króla, ile „ministrem narodu”. To znaczyło, że wypadnie działać poprzez reprezentację społeczną, Stany Generalne. Z różnych stron doradzano mu opóźnianie ich zwołania: zbiory roku 1788 były fatalne, przewidywano, że przednówek 1789 r. będzie wyjątkowo ciężki. Jakże w tej sytuacji ryzykować kampanię wyborczą i burzliwe obrady Stanów? Jednakże Necker bał się, że gra na zwłokę spowoduje eksplozję niezadowolonego ludu; wierzył zresztą głęboko w swą popularność i nie wątpił, że potrafi zdominować obrady Stanów Generalnych, że będzie arbitrem delikatnej równowagi między klerem, szlachtą i burżuazją. Dostrzegał nawet pewne wygody w pozycji „parlamentarnego szefa rządu” wedle angielskiego modelu; stwierdzał później, że był przychylny Stanom Generalnym, bo żywił wrogość do systemu wspartego na ciągłych zmianach ministrów i na dworskiej intrydze.

W pamiętnikach diuka de Montmorency-Luxembourg znajduje się relacja z rozmowy, którą Necker odbył podobno w jesieni 1788 r. z hrabią Prowansji. Miał mu rzeczowo, a nawet cynicznie, wyłożyć swoją strategię:

powiedział, że „istnieje niebezpieczna koalicja łącząca szlachtę, hierarchię kleru i parlamenty; mogłaby ona dominować w Stanach Generalnych, zniszczyć władzę króla i wziąć go pod kuratelę. Jest zatem bardzo ważne dla króla, aby ludowi [sc. stanowi trzeciemu] dano wagę co najmniej równą. Lud byłby wówczas zawsze wdzięczny królowi i uznałby się za szczęśliwego aż nadto mogąc się zemścić na swych tyranach; ci z kolei, zajęci obroną, byłiby aż nadto szczęśliwi mogąc się schronić pod płaszczem władzy królewskiej, która odzyskałaby całą swą energię”. Podejrzewano Neckera, że gdy wówczas mówił o władzy królewskiej, to na myśli miał królewskiego szefa rządu. Zapewne podejrzewania były słuszne, ale czyż Necker mógł liczyć na „energię” Ludwika? Problem polegał jedynie na tym, czy stan trzeci da się wciągnąć w tę grę i utrzymać w owej szczęśliwej wdzięczności dla rządu, który go będzie wygrywać przeciw stanom uprzywilejowanym.

Z tego punktu widzenia spojrzeć należy na zniesienie cenzury i wielką debatę polityczną, którą rozpętał Lomenie decyzją z 5 lipca. Reformatorski ksiądz Morellet, ongiś pomocnik Turgota, pisał, że to nie wolność prasy była przyczyną rewolucji, lecz odwrotnie, jej brak i ukrywanie prawdy. Gdy opresja znikła, „wszystko zostało powiedziane naraz, bez stopniowania, rozważań, ograniczeń. Lud nie został do tego przygotowany przez dyskusję mądrą i powolną, w której korzyści i szkody są wyważone... Każda prawda może być powiedziana w sprzyjającym i odpowiednim czasie, a nie w każdym czasie i naraz”. Oświecony konserwatysta Montmorency-Luxembourg był bardziej krytyczny: „Ta nieograniczona wolność [druku] musiała rzygać podżegającymi pismami, które zarażały ludzi”. Jeszcze bardziej zachowawczy hrabia d'Allonville szydził: „Nikt by się nie ośmielił wykonywać zawodu, którego się nie nauczył, ale wszyscy chcieli osądzać królów, a nawet rządzić państwem”. Można by zadać pytanie: a jak Ludwik XVI wyuczył się zawodu polegającego na rządzeniu wielkim krajem?

Faktem jest, że swobodna dyskusja od połowy 1788 r. w przeciągu niewielu miesięcy „zaraziła” ludzi i oswoiła ich z myślą, że mogliby mieć wpływ na rządzenie państwem. Malouet konstatował, że w krótkim czasie – między 1787 a 1789 r. – klasy uprzywilejowane straciły wszelki wpływ w masach. Elita, uparcie broniąca swych przywilejów spotkała się z odmową uznania jej roszczeń. W tym procesie przebudzenia politycznego mas okres wolnej dyskusji politycznej od lipca 1788 r. miał szczególne znaczenie.

Broszury polityczne płynęły prawdziwym potopem; odrodziły się kluby dyskusyjne, które rząd zawiesił w sierpniu 1787 r., u progu konfliktu z parlamentem. Główny impuls szedł z klubu konstytucyjnego, którego animatorem był Adrien Duport; zbierali się tu m.in. Condorcet, Mirabeau, Target, Lacretelle, Dupont de Nemours, La Fayette, La Rochefoucauld, Noailles, Latour-Maubourg, słowem elita burżuazji i reformatorskiej szlachty. Dla niektórych – jak Mirabeau – klub już był zbyt umiarkowany, część liberałów szlacheckich (Montmorency-Luxembourg, Bethune-Charost) uznała, że jest zbyt radykalny. Powstały inne jeszcze kluby, nawiązywano kontakty z „patriotami” na prowincji, tworzył się zarys

bardzo jeszcze luźnej „partii narodowej” lub „partii patriotycznej”. Ciekawe, że największą furorę zrobiły jednak broszury Sieyesa, który nie łączył się z żadnym klubem.

Tworzył się też zarys programu patriotów: Francja musi mieć konstytucję, którą jej winna nadać reprezentacja narodu, Stany Generalne; należy wypowiedzieć świętą wojnę przywilejom. I nie tylko przywilejom fiskalnym, ale wszystkim przywilejom stanowym. Ideologowie patriotów – Target, Mounier, Cerutti – gotowi byli uznać tylko honorowe pierwszeństwo szlachty. Sieyes i taki priorytet odrzucał uznając, że poniżałby on naród, identyfikowany przezeń z trzecim stanem. Program patriotów był pełen respektu dla króla, symbolu jedności Francji i ojca francuskiej rodziny; Mirabeau zapewniał, że jego monarchizm będzie bardzo gorliwy. To ośmielało ostrożną burżuazję prowincjonalną, podobnie jak bezpośrednie cele wskazywane przez patriotów: podwojenie liczby posłów stanu trzeciego, tak by w Stanach Generalnych było ich tyluż, co posłów kleru i szlachty, a także głosowanie nie stanami, lecz indywidualne, *par tete*. Nie były to żądania rewolucyjne: taki był przecież system w zgromadzeniach lokalnych, tworzonych przez Neckera już dziesięć lat wcześniej! W sumie rozmiar poruszenia stanu trzeciego zaskoczył nawet liderów partii patriotów: sądzono, że burżuazja jest oportunistyczna, bo zapatrzona w szansę kariery w obrębie systemu, lud zaś potulny, bo ciemny. Nagle okazywało się, że stan trzeci dojrzewa szybko do samodzielnej i aktywnej politycznej roli. W tym rozwoju świadomości jesień 1788 r., z jej burzliwą polityczną debatą wokół Stanów Generalnych, była okresem decydującym.

Konserwatyści również się ocknęli i zaostrzyli ton. 25 września parlament paryski opowiedział się za Stanami Generalnymi wedle wzoru z 1614 r., co zrujnowało doszczętnie jego popularność. Nawet Necker był zirytowany na tę dywersję: podwojenie posłów „ludu” było dlań warunkiem owej społecznej równowagi, którą przyjął za fundament swej strategii. Postanowił przeciwstawić parlamentowi notabli. Drugie Zgromadzenie Notabli – tych samych co w 1787 r. – zebrało się 6 listopada. Ale tym razem nastroje tych reprezentantów elity kleru, szlachty i Togi były konserwatywne. Hrabia Prowansji grał rolę księcia-patrioty, paru szlacheckich reformatorów (La Fayette, La Rochefoucauld, Rochambeau i inni) opowiedziało się za podwojeniem, podobne stanowisko zajęła grupa notabli miejskich. Ostatecznie jednak stosunkiem głosów 111 : 33 Zgromadzenie Notabli odrzuciło pomysł podwojenia posłów stanu trzeciego; obiecało mu tylko równość podatkową, nic więcej.

Gdy obrady Zgromadzenia się kończyły, kilku książąt krwi z hrabią Artois na czele złożyło królowi dramatyczny memoriał: ostrzegali, że państwo jest zagrożone w swych „uświęconych instytucjach”, bronili przywilejów szlachty i kleru, wzywali Ludwika, by strzegł niezmiennych zasad konstytucji monarchicznej. Tylko w sprawie podatków książęta gotowi byli pójść na pewne koncesje.

Parlament paryski 5 grudnia 1788 r. sformułował program umiarkowanie zachowawczy. Zaniepokojony utratą popularności, wycofał się z poprzedniej uchwały i sprawę liczby posłów „ludu” powierzył mądrości

króla. Domagał się regularnego zwoływania Stanów Generalnych dla uchwalania podatków i – z pomocą parlamentu – ustaw. Żądał odpowiedzialności prawnej ministrów przed Stanami i parlamentem, wolności osobistej Francuzów i wolności prasy. To program liberalny, ale konserwatywny społecznie. Parlament podkreślał, że przywileje szlachty i kleru powinny być zachowane; supremację uprzywilejowanych w Stanach Generalnych gwarantowałyby głosowanie stanami, a więc nie *par tete*.

U schyłku 1788 r. król miał zatem wybór między trzema wielkimi projektami. Program patriotów to przekształcenie państwa w monarchię konstytucyjną. Memoriał ksiąząt zaciekle bronił status quo. Uchwała parlamentu proponowała liberalną monarchię arystokratyczną.

Kłopot polegał na tym, że żaden z tych projektów nie odpowiadał Ludwikowi XVI. Najbliższy jego sercu był memoriał ksiąząt: gdy z nim przyszli, przyjął ich dobrze. Ale wątpił – i słusznie – w możliwość realizacji takiego programu wśród kryzysu i roznamiętnienia nastrojów. Istotnie, był to program ludzi mało inteligentnych, pozbawionych politycznej wyobraźni, a nawet energii. Malouet pisał, że takie gwałtowne projekty tworzyli ludzie niezdolni do działania: „Lekceważenie, z jakim na Dworze mówiono o partii ludowej, sprawiało, że książęta wmawiali sobie, iż wystarczy mocniej wcisnąć kapelusz, aby ją rozproszyć; gdy przyszedł na to moment, nie potrafiono nawet wcisnąć kapelusza”. Lider zachowawców, Artois, nie był wszak wzorem odwagi...

Grudniowy program parlamentu nie budził sympatii króla swymi liberalnymi treściami; przemawiały także przeciw niemu wspomniane już uczucia zawodu i rozgoryczenia, jakie żywił Ludwik do szlacheckich i parlamentarnych „buntowników”. Toteż bardzo sucho odpowiedział na uchwałę parlamentu: nie ma mu nic do powiedzenia, „to ze zgromadzonym narodem król będzie uzgadniał decyzje służące trwałej konsolidacji ładu publicznego i pomyślności państwa”. O, nie oznaczało to wcale, że Ludwik gotów był przyjąć program patriotów, jakkolwiek ich postulat konstytucji był jeszcze mgławicowy i można było zmieścić w nim bardzo różne treści, także korzystne dla silnej władzy monarszej.

Jednakże król z głęboką antypatią reagował na słowo „konstytucja”. Aktywny działacz partii patriotów, a potem jakobin, Roederer, pisał dużo później, że Ludwik XVI „miał nieprzewycięzoną odrazę do uznania, iż to z woli ludu dzierży tę władzę, o której mu codziennie mówiono, że jest dana od Boga”. Może jednak miała rację księżna d’Abrantes, gdy twierdziła, że filozoficzne idee wieku docierały i do króla rodząc w jego umyśle wątpliwości co do owej „władzy z Bożej łaski”. Znający Ludwika z bliska minister de Barentin zapewniał, że racja jego niechęci do konstytucji była inna. „Król zawsze miał taką odrazę do zwyczajów i instytucji angielskich, że nic z nich nie chciał przyjąć... Wiedział, że państwo istniejące w cieniu konstytucji nie może już z niej zrezygnować; wiedział, że nie będzie miał możliwości zmuszenia swoich poddanych, by potem przyjęli inną”.

Ludwik uległ wszelako Neckerowi w kwestii podwojenia liczby posłów stanu trzeciego. Rada Królewska była w tej sprawie bardzo podzielona: Neckera popierał Montmorin, przeciwni jego projektom byli Villedeuil, Puysegur, a przede wszystkim Barentin. Maria Antonina uczestniczyła w

posiedzeniach Rady: milczała, ale widać było, że jest po stronie Neckera. Król też go popierał; podjął decyzję 27 grudnia 1788 r. W przededniu rozstrzygnięcia nieznani sprawcy zamienili w gabinecie króla portret Ludwika XV na portret Karola I Stuarta.

Uchwała Rady z 27 grudnia przyznała stanowi trzeciemu podwójną liczbę posłów, ale nie wyjaśniła sprawy głosowania: stanami czy indywidualnie. Zgodzono się, by stan trzeci mógł sobie wybierać posłów spośród szlachty i kleru. Rząd wyobrażał sobie, że złagodzi te napięte stosunki między stanami, a może nawet ułatwi patronat uprzywilejowanych nad posłami burżuazji i chłopstwa. Stało się inaczej: deputacja stanu trzeciego wzbogaciła się o działaczy wielkiego talentu i prestiżu, takich jak hrabia Mirabeau czy ksiądz Sieyes. Decyzje z 27 grudnia skonsternowały uprzywilejowanych, a nie w pełni zadowolili patriotów. Brak w nich było zasady głosowania *par tete*; ponadto, jak pisał w swych pamiętnikach Rochambeau, rozległy się już głosy żądające reprezentacji proporcjonalnej, podwojenie więc posłów „ludu” było w istocie zaledwie kompromisem.

Necker uznał, że uchwała Rady z dnia 27 grudnia umacnia pozycje stanu trzeciego i przywraca równowagę. Był już zaniepokojony rozmachem dyskusji wśród patriotów i ich ambicjami. Uprzywilejowani zarzucali mu, że chce zmiażdżyć szlachtę i kler, że gwałtownie przechyla szalę na korzyść stanu trzeciego. Jakże niesłusznie! Malouet – był on wówczas intendentem w Toulonie – opisuje, jak Necker zalecał władzom lokalnym popieranie „idei najbardziej umiarkowanych w kwestii reform”; rząd nie robił jednak nic, by w tym duchu dyrygować kampanią wyborczą. Necker i Montmorin zarzucili Malouetowi, że posuwa się za daleko w faworyzowaniu stanu trzeciego: „Nie bierze pan zupełnie pod uwagę oporów dwu pierwszych stanów; skłaniać króla, by się opowiadał w tym sensie, to oddalać odeń bezpowrotnie szlachtę i kler, które mają przecież wielkie znaczenie w systemie równowagi”.

Ordynacja wyborcza ze stycznia 1789 r. była dość liberalna. Dla stanu trzeciego system dość skomplikowanych wyborów pośrednich, ale na najniższym szczeblu zebrań wyborczych głosować mogli wszyscy szefowie rodzin płacący jakikolwiek podatek; zbliżało się to do wzorca głosowania powszechnego. Kampania wyborcza wiosną 1789 r. rozgrywała się w klimacie wielkich nadziei i ogromnego zainteresowania (w niektórych parafiach frekwencja wyborcza sięgała 85%) – ale też wśród srożącego się społecznego kryzysu. Po fatalnym nieurodzaju 1788 r. przyszła wyjątkowo ostra zima, która pogłębiła trudności ludzi ubogich. Gwałtowny wzrost ceny chleba, stagnacja i bezrobocie w przemyśle, rozdrażnienie i niepokój ludu – to atmosfera owej wiosny 1789 r. W tym klimacie nędza się upolityczniała, ze zwołaniem Stanów Generalnych łączono wielkie, choć często dość niejasne oczekiwania zmiany na lepsze. Dawano im wyraz w „kajetach skarg” zgromadzeń wyborczych. Po zbadaniu części zachowanych „kajetów” (741 kompletnych, 1100 znanych we fragmentach) współczesny badacz G. V. Taylor doszedł do wniosku, że żaden z nich nie pozwala przewidzieć całego rozmiaru zmian, które wniosła rewolucja 1789 r. To zrozumiałe, wyniki rewolucji nie zależą tylko od sytuacji wyjściowej: ma ona własną dynamikę, zmienia ludzi i całe klasy, które w niej

uczestniczą.

Król otrzymał listę wybranych posłów i wyraził swą pogardę dla tych „nicości”, które miały tworzyć Stany Generalne: „Mój Boże, co by też powiedziano, gdybym tak skomponował moją Radę!” Mylił się bardzo. Wśród prawie 1200 deputowanych było tyle świetnych politycznych talentów, że można było z nich skompletować nie jedną, ale wiele dziesiątek rad królewskich. Wielcy tenorzy Konstytuanty, jak się wnet okaże, przerastali inteligencją, wyobraźnią, zręcznością polityczną i króla, i wszystkich jego ministrów. Neckera nie wyłączając.





VI. KRÓL WOLNEGO LUDU



ZWYCIĘSTWO PARYŻA, KLĘSKA WERSALU

Prezentacja posłów do Stanów Generalnych królowi nastąpiła 2 maja 1789 r. Przyjmując ich Ludwik bardzo się starał, by niuansami etykiety podkreślić różnice i hierarchie stanowe. Niechęć do nielojalnej szlachty i do kleru jeszcze mu nie całkiem przeszła, ale instynktownie wyczuwał, że trzeba będzie skupić siły dawnego porządku w obliczu roszczeń stanu trzeciego.

O Stanach Generalnych 1789 r. jest całe morze relacji. Wybierzmy sprawozdanie posła zupełnie przeciętnego, lecz spostrzegawczego, Adriena Duquesnoy. Otóż 4 maja odbyła się uroczysta msza dla deputowanych. Gdy biskup Nancy wygłaszał kunsztowne kazanie, „król spał lub przynajmniej drzemał od czasu do czasu”. W wielkiej sali przy Menuis-Plaisirs nastąpiło 5 maja otwarcie obrad. Zaczął król inauguracyjną mową. „Jego dyskurs wypowiedziany został głosem bardzo mocnym, ale pozbawionym melodyjności i wdzięku; jest to głos oschły i szorstki. Oklaskiwano go kilka razy. Starałem się zrozumieć, dlaczego, bo z całą pewnością nie było po temu powodów”. Ludwik rozwiódł się między innymi lirycznie nad niebezpieczeństwami innowacji.

Konserwatywny minister Barentin wygłosił potem mowę bez znaczenia. Głównym daniem było trzygodzinne wystąpienie Neckera, ale i ono rozczarowało reformatorskich posłów z partii patriotów, która już wnet będzie nosiła miano lewicy. Deputowani siedzieli na niewygodnych ławach bez oparcia – etykieta dworska zabraniała opierać plecy – i słuchali, jak wielki Necker rozwodzi się nad technicznymi problemami finansów, unika zaś spraw politycznych, nie wspomina nawet o palącej kwestii głosowania: stanami czy *par tete*. Złe przyjęto jego tezę, że król mógł być sobie poradzić z deficytem inaczej, bez zwoływania Stanów Generalnych; nikt – mówiono – nie ma prawa robić takich aluzji!

Sam Necker tłumaczył się później, że jego koncepcje deformował wpływ trzech różnych czynników: supremacja króla, presja dawnych zasad prawnych i bieg wydarzeń. W tych dramatycznych tygodniach maja i czerwca 1789 r. nacisk wydarzeń był bez wątpienia najważniejszy: determinacja posłów stanu trzeciego skłaniała Neckera do zgody na różne ustępstwa, o których wcześniej nie myślał. Okazało się bowiem, że wśród 578 posłów stanu trzeciego, świątłych i uczciwych, niemal wszyscy (z wyjątkiem jakiejś trzydziestki zachowawców) popierają program patriotów; że sprzyja temu programowi bardzo wielu księży i spora grupa szlachty. W połowie czerwca

Necker proponował już wspólne obrady i głosowania stanów w kwestiach ogólnych, zniesienie przywilejów fiskalnych, swobodny dostęp stanu trzeciego do, wszystkich urzędów i dostojenstw. Dwóch ministrów, Barentin i Villedeuil, pokrzyżowało ten projekt: między 19 a 22 czerwca Rada Królewska wypracowała zasady deklaracji królewskiej, którą Ludwik uznał za maksimum możliwych ustępstw. Było to już po uchwale posłów stanu trzeciego, by Stany Generalne przekształcić w Zgromadzenie Narodowe (17 VI), i po decyzji posłów kleru, by się połączyć z deputowanymi stanu trzeciego (19 VI). Sytuacja była już taka, że należało albo poprzeć te decyzje, albo – ryzykując bunt w całej Francji – sprzeciwić się im twardo. Rozumiała to Maria Antonina: mówiła, że jeśli się podtrzyma stan trzeci, szlachta zostanie zmiażdżona, ale tron będzie bezpieczny; jeśli się wybierze odwrotne rozwiązanie, to „niepodobna kalkulować nieszczęść, które nam grożą”.

Rozwiązania połowiczne nie miały już szans; wielu bystrych świadków (Malouet, Clermont-Tonnerre) sądziło, że nawet koncesje proponowane przez Neckera nie zadowolilyby Zgromadzenia Narodowego. Tym bardziej nie do przyjęcia były zasady deklaracji króla, przedłożone na plenarnym posiedzeniu Stanów dnia 23 czerwca. Ludwik obiecywał mniej więcej to, co zawierała rezolucja parlamentu z 5 grudnia 1788 r., a nawet trochę mniej: regularne zwoływanie Stanów Generalnych dla uchwalania podatków (ale nie ustaw); równość podatkową; wolność osobistą i swobodę prasy. Przywileje kleru i szlachty, ich własność, a także zasada separacji stanów podczas obrad Stanów Generalnych nie mogły być naruszone bez zgody samych uprzywilejowanych. Deklaracja z 23 czerwca była osobliwym połączeniem tonu despotycznego i liberalnych obietnic: król najpierw kasował wyniośle dotychczasowe decyzje stanu trzeciego, następnie zaś przedstawiał szczegółowo deklarację swoich dobrych intencji. Gdy już rewolucja zwyciężyła i tworzyła nowy ustrój oraz nowe społeczeństwo – Ludwik XVI ciągle uważał deklarację z 23 czerwca za maksimum ustępstw: „Oni wrócą, oni muszą wrócić, nawet wbrew sobie samym, do mej deklaracji z 23 czerwca” – powtarzał. Ludzie ancien regime’u jeszcze dużo później wychwalali deklarację jako „najpiękniejszą kartę [konstytucyjną], jaką kiedykolwiek monarcha dał swemu ludowi, dając mu nawet za dużo” (Esterhazy), jako „arcydzieło ojcowskiej legislacji” (Georgel).

Posłowie nie dzielali tej optymistycznej opinii. „Zauważono – notował Duquesnoy – że król mówił głosem drżącym i zmienionym. Czy to wynikało ze świadomości zła, które wyrządzał?” Świadkowie wspominają, że przyjęto deklarację „w głębokim milczeniu”. Nawet bardzo umiarkowana burżuazja nie była skłonna zachwycać się deklaracją. „Ludzie roztropni – pisał Ruault – aprobują w wielkiej części propozycje Korony, widząc w nich kompromis wśród sprzecznych roszczeń, gdy dwa stany wojują z trzecim. Jestem nader skłonny myśleć jak ci rozsądni: ale czy dotrzyma się nam słowa?”

Finał „posiedzenia królewskiego” z dnia 23 czerwca był zdumiewający. Rząd pomyślał je jako demonstrację siły: z sali obrad usunięto ławy dla publiczności, otoczono wojskiem Menus-Plaisirs. Ludwik zakończył wezwa-

niem, by stany się rozeszły i zaczęły obradować osobno. Jednakże posłowie stanu trzeciego i część posłów kleru nie posłuchali rozkazu rozejścia się. Wydawanie takich twardych rozkazów miało sens, jak pisał Marmontel, pod warunkiem „realnej władzy i stanowczej woli skasowania i rozwiązania Zgromadzenia w przypadku oporu przeciwko królewskiej powadze, tymczasem jedna była równie chwiejna jak druga”. W istocie Ludwik zgodził się na otoczenie sali obrad wojskiem po to, by posłów zastraszyć, ale nie po to, by ich rozpędzać siłą.

Do zwykłej słabości króla dołączyła się w ostatnich miesiącach dezorientacja biegiem wydarzeń, pojawiły się obawy o przyszłość. Necker już zimą 1789 r. powtarzał: „Nigdzie już nie ma posłuszeństwa, nie jesteśmy nawet pewni wojska”. Miał rację. Ledwie parę dni po deklaracji z 23 czerwca zbuntował się w Paryżu regiment tak zwanych *gardes-françaises*, który jeszcze po dymisji Lomeniego i Lamoignonona lojalnie tłumił zamieszki w stolicy. Także już w zimie król ujawniał strach o swe osobiste bezpieczeństwo: opowiadano, że wyraźnie stchórzył, gdy podczas polowania napotkał grupę pijanej i awanturującej się służby dworskiej. Postępująca szybko choroba delfina, rachitycznego Ludwika Józefa, pogłębiała nastroje przygnębienia: gdy delfin zmarł 4 czerwca, król zamknął się na parę dni z rodziną, płakał, odrzucił z irytacją prośbę deputacji posłów stanu trzeciego o zgodę na kondolencyjną audiencję („czyż nie ma tam wcale ojców wśród tych posłów!”).

Pogłębiała się teraz – dostrzegalna już przedtem – polityka, którą Barentin nazwał „przechodzeniem na przemian od siły do słabości”. Kompilatorzy tzw. pamiętników Webera piszą: „Gdy należało działać, aby uprzedzić niebezpieczeństwo, obawa przelania choćby jednej kropli krwi w imię tego, co król nazywał konfliktem o niego, skłaniała go do ufnego przyjmowania rad, sugerowanych przez małodusznych przyjaciół. Ta jego uległość była tym bardziej zgubna, że często ustępował dopiero po zmanifestowaniu przygotowań z użyciem siły, które mu jeszcze zostawały do obrony tronu”. Ośmielało to jego wrogów, gasiło zapał przyjaciół.

Podobno opuścił posiedzenie z 23 czerwca w nastroju wielkiego zadowolenia z siebie. Wnet się jednak okazało, że posłowie nie uważają wcale deklaracji królewskiej za „arcydzieło ojcowskiej legislacji”, że do obradujących wspólnie bourgeois, chłopów, duchownych przyłączają się coraz liczniejsi deputowani szlachty: było ich już około pięćdziesięciu, z księciem Orleanu na czele. Przyszła tedy chwila słabości: Ludwik rozkazał 27 czerwca, by wszystkie trzy stany połączyły się w jednym Zgromadzeniu. Paryż eksplodował radością.

Natychmiast przybiegł do króla prezydent posłów szlachty, diuk de Montmorency-Luxembourg, z protestem; tłumaczył, że szlachta broni nie tylko swoich praw, ale i praw Korony, zapewniał, że jej posłowie gotowi są polec w nierównej walce; wówczas zgromadzenie, pozbawione deputowanych szlacheckich, straci legalność i sens działania. Ludwik z początku dał wyraz swym resentymentom do frondy szlacheckiej sprzed roku: „To wy chcieliście, to wy żądaliście Stanów Generalnych! *Eh bien*, no to je macie!” Po namyśle wszelako rzekł: „Nigdy nie porzucę mojej szlachty i mojej władzy, możecie na to liczyć”. Ponowił jednak rozkaz, by

szlachta połączyła się z innymi stanami w jedno zgromadzenie.

Wnet wahadło zaczęło się wychylać w drugą stronę, ku polityce twardej ręki. „Doradcy króla na Dworze podżegali go, by się podźwignął z takiego upokorzenia” – pisał dobrze poinformowany Saint-Priest. W tym duchu intrygowała koteria Polignaków i księżęta krwi, hrabia Artois oraz księżę de Conde. Butni a głupi przyjaciele książąt, panowie d’Autichamp, d’Escars, Vaudreuil, głośno gadali o potrzebie nauczenia moresu „paryskiej kanalii” i powieszenia wszystkich „pismaków”, o swej chęci wyrzucenia przez okno awanturników ze Stanów Generalnych. Mówiono o aresztowaniu księcia Orleanu, a nawet Neckera! Hrabia Artois usiłował namówić króla na rozpędzenie Stanów Generalnych, zwołanie innego, potulnego zgromadzenia dalej od Paryża – w Soissons, Compiègne czy Noyon, przy czym król sam udałby się do Compiègne i otoczyłby się tam wojskiem. W Radzie Królewskiej „mocną” politykę uparcie proponował Barentin; Maria Antonina również przechyliła się na stronę „twardych”.

Ludwik odrzucił pomysły skrajne, to znaczy nie zgodził się na użycie siły i rozpędzenie Zgromadzenia. Ustąpił jednak o tyle, że przystał na działania zastraszające, które miały zapobiec buntowi Paryża i onieśmielić posłów w Wersalu. Dworskie „jastrzębie” miały nadzieję, że skupienie wojska wokół stolicy i Dworu stworzy sytuację wybuchową, a wówczas wystarczy pierwsza lepsza prowokacja. Necker zapewniał potem, że snuto różne sekretne plany, w które nie wtajemniczano króla; potwierdzali fakt planowania prowokacji inni świadkowie bliscy Dworu.

Ściągnięto zatem około 20 tys. żołnierzy, głównie regimenty cudzoziemskie: Szwajcarów, Irlandczyków, Niemców. Dwunastoma tysiącami dowodził w Wersalu stary marszałek de Broglie, 6 tys. miał w Paryżu, na Champ-de-Mars, również niemłody baron de Besenval. Tych dwóch 70-latków miało stanowić siłę szturmową zagrożonej monarchii.

Rzeczywiście powstała sytuacja wybuchowa, prowokacja zaś wyszła od samego króla. Ludwik dał się przekonać, że dla obrony ustroju społecznego i praw Korony („Nigdy nie porzucę mej szlachty i mej władzy”) konieczna jest zmiana rządu. Kilkanaście dni wcześniej, gdy Necker nie godząc się na zasady deklaracji z 23 czerwca sam złożył dymisję – król zląkł się reakcji społeczeństwa i uprosił go, by jednak został w rządzie. Rano 11 lipca odbyła się normalna Rada Królewska; można jednak było zauważyć, że – jak pisał Saint-Priest – Ludwik był niespokojny i pokrywał to drzemką mocniejszą niż zwykle. Po zakończeniu posiedzenia, o godzinie 15, posłał Neckerowi list z dymisją i nakazem opuszczenia Francji; tłumaczył w liście, że zdecydował się na linię odmienną od Neckerowskiej polityki „skrajnego pobłażania”. Necker postąpił elegancko: by nie jątrzyć nastrojów, wyjechał w wielkim sekrecie do Brukseli, a stamtąd do ojczyznej Szwajcarii. Zwolnieni zostali także popierający go ministrowie Montmorin, Saint-Priest, La Luzerne i Puysegur. Główną postacią rządu stał się były minister dworu Breteuil, ciasny konserwatysta („gruby głos i maleńki umysł”, jak mówiono). Wojnę otrzymał Broglie, sprawy zagraniczne de La Vauguyon (syn gubernera), marynarkę pan de Laporte, finanse Chaumont de La Galaiziere. Nowa ekipa oświadczyła ponoć królowi, że potrafi skłonić niewdzięcznych posłów i lud do przyjęcia zasad deklaracji z 23

czerwca, choćby wypadło użyć twardej ręki.

Wiadomość o usunięciu Neckera i powołaniu nowego rządu stała się bezpośrednią przyczyną insurekcji w Paryżu, która wybuchła po południu 12 lipca i kulminowała zdobyciem Bastylji dwa dni później. Rzadko kiedy można obserwować taki popis nieudolności, jaki dali nowi, „twardzi” rządcy Francji. „Niczego nie skalkulowano, o nic nie zadbano... Dwór uważał, że Bastylja jest nie do zdobycia: owszem, byłaby, gdyby jej broniono” – pisał Marmontel. „Marszałek de Broglie nie ruszył się z Wersalu. Chciał być jednocześnie ministrem i generałem, a nie był ani jednym, ani drugim”; to opinia hrabiego Esterhazy. Inny pamiętnikarz, pan d’Escars, twierdził, że niepodobna było skłonić diuka de Broglie, by przemówił do regimentów zgromadzonych w Wersalu, ani do tego, by choćby włożył generalski uniform. „Wydał mi się w tym czasie – pisze o diuku de Broglie hrabia de Rochambeau – przygnieciony sprzecznymi rozkazami, które co chwila dostawał z różnych stron, i przytłoczony rolą, którą kazano mu grać”.

Także w samym Paryżu nie spisał się dowodzący wojskiem baron Besenval: zachował się bardzo miękko. Kompilatorzy pamiętników Webera zarzucali mu złośliwie, że działał niemrawo, bo się bał, by mu nie spalono pałacu, który wspaniale upiększył: pałacowe łazienki barona były jedną z osobliwości Paryża... Nie lepiej wśród dworaków: ciekawe, że te same chwaty, które tokowały o „dawaniu nauczki kanalii paryskiej”, stchórzyły natychmiast, gdy tylko „kanalia” się ruszyła. Także niektórzy ministrowie tracili głowę, w tym „twardy” Barentin: podobno przebąkiwał już o potrzebie zmiany dynastii. Oznaczałoby to oddanie tronu księciu Orleanu, którego Dwór uważał błędnie za główną sprężynę paryskiej rewolucji.

Postawa dworaków wywarła wpływ na decyzje króla. 13 i 14 lipca, naciskany przez Zgromadzenie prośbami o wycofanie wojska, dawał odpowiedzi wymijające. Gdy przyszła wiadomość o wzięciu Bastylji, rozmawiał o tym z życzliwym mu diukiem de Liancourt. Żalił się: cóż takiego robił, że lud jest przeciw niemu? Powtarzano potem jego ocenę: „To wielka rewolta!” – i odpowiedź Liancourta: „Nie, Sire, to jest wielka rewolucja”.

Rano 15 lipca wahadło wychyliło się w stronę słabości: kazał wycofać wojska z Paryża i Wersalu; o godzinie 10 udał się bez eskorty do sali Zgromadzenia Narodowego, by mu donieść o tej decyzji. Zaprzeczył, by kiedykolwiek bezpieczeństwo posłów było zagrożone, i prosił Zgromadzenie o pomoc. W Wersalu zapanował nastrój entuzjazmu: do pałacu odprowadzały króla rozradowane tłumy, posłowie i lud.

Gdy jednak księżę Conde i hrabia Artois zaczęli go namawiać na wyjazd do Metz razem z wojskiem, Ludwik znów zaczął się łamać. Conde, dobry oficer, pragnął objąć dowództwo nad wyprawą. Król nie chciał jednak powierzać mu losów swoich i swej rodziny: nigdy go nie lubił, Maria Antonina go nie znosiła. W nocy z 15 na 16 lipca oznajmił, że wyjedzie do Metz, jeśli na czele wyprawy stanie de Broglie. Stary marszałek odmówił udziału w awanturze, więc i król zrezygnował z wyjazdu. W 1792 r. mówił Fersenowi, że stracił w ten sposób jedyny odpowiedni moment na wyjazd.

16 lipca napisał do Neckera, by wracał, dał dymisję całemu rządowi i

obiecał, że nazajutrz pojedzie do Paryża. Takie właśnie były żądania zrewoltowanego paryskiego ludu. Bał się, że w Paryżu może zginąć lub utracić wolność; spalił zatem sporo kompromitujących papierów, napisał kilka ważnych dokumentów. Na wypadek, gdyby mu się coś stało, powierzał regencję hrabiemu Prowansji. Do swego kuzyna, króla Hiszpanii Karola IV, zaadresował uroczysty protest przeciw wszystkiemu, co by się działo we Francji po 15 lipca 1789 r. Protest ów wysłał w tajemnicy dopiero po następnym kryzysie politycznym, w październiku, gdy znów na zewnątrz udawał, iż pogodził się z rewolucją.

17 lipca do Paryża eskortowało go nie wojsko, lecz kilkuset posłów Zgromadzenia Narodowego; na paryskie ulice wyległo kilkaset tysięcy ludzi, w tym wielu uzbrojonych: jeszcze przed trzema dniami powstańcy, teraz tworzyli nową siłę zbrojną, Gwardię Narodową, którą dowodził La Fayette. Nikt nie krzychał „Niech żyje król”, wołano tylko: „Niech żyje Naród”, „Niech żyje Wolność”. Nastroje nie były jednak nieprzyjemne, panował porządek. W Ratuszu witała króla nowa, rewolucyjna władza miasta; na jej czele stał mer Bailly, słynny astronom. Władza była monarsze przychylna: uchwaliła nawet, by na placu, który powstanie po zburzeniu Bastylji, postawić pomnik Ludwikowi XVI! Król przyjął wynaleziony właśnie symbol rewolucji, trójkolorową kokardę, łączącą kolory Paryża, niebieski i czerwony, z królewskim kolorem białym. Miał chwilę wahania, ale przypiął ją do kapelusza. Członkom władzy miejskiej, którzy go otaczali, powiedział, że „jest bardzo zadowolony”: aprobuje ustanowienie Gwardii Narodowej, cieszy się, że La Fayette nią dowodzi, a Bailly jest merem. Bailly przekazał jego słowa całemu zgromadzeniu, które nie było jednak usatysfakcjonowane: chciało, by Ludwik sam przemówił. Zakłopotany i wyraźnie onieśmielony, powiedział dokładnie siedem słów: „Możecie panowie zawsze liczyć na moją miłość”. To było jedyne jego przemówienie. Gdy wieczorem wrócił do Wersalu, witano go jak człowieka cudem ocalonego.

Księżna d’Abrantes pisała dużo później, że w tym momencie Ludwik miał jeszcze szansę. „Nie było sposobu zapobieżenia rewolucji, stała się ona nieunikniona, ale można było przeszkodzić jej ekscesom, które były skrzywieniem, a nie logiczną jej konsekwencją. Należało zawładnąć poruszeniami danego już impulsu, pokierować nimi stając na ich czele”. Ale na to Ludwika XVI nie było stać. Zmarnował tę ostatnią szansę właśnie w lipcu 1789 r.: pani d’Abrantes twierdziła, że od tego momentu „okręt .nie miał już pilota i wszystko było znoszone prądem”.

Ci, którzy domagali się twardego kursu, już w dniu wizyty króla w Paryżu, 17 lipca, opuścili Francję: wyjechali na emigrację hrabia Artois i książę de Conde z rodzinami, pani de Polignac i wielka część jej klanu, marszałek de Broglie. Artois ulokował się u swego teścia, króla Piemontu Wiktora-Amadeusza III, w Turynie; tu także stanął Conde. Na dwa lata Turyn stał się polityczną stolicą emigracji kontrrewolucyjnej, siedliskiem reakcyjnych intryg. Od początku oskarżano tam Ludwika XVI o nikczemną słabość, która pozwoliła rewolucji się rozwinąć, zdobyć teren i zorganizować go po swojemu.

W Wersalu również nie brakowało krytyków. Sekretarz królowej

Augeard czynił jej gorzkie wyrzuty i otrzymał taką odpowiedź: „Pojmuje pan, że gdybyśmy zechcieli, to moglibyśmy rychło zlikwidować całą tę sprawę, ale należałoby wówczas przelać krew naszych poddanych”. Augeard replikował cytując słowa regenta po wyroku śmierci na jakiegoś jego krewniaka: „Gdy cierpię na złą krew, każę jej sobie upuścić”. Kłopot polegał na tym, że w Wersalu nie wiedziano, co robić dalej. Necker wrócił ze Szwajcarii dopiero 29 lipca. Został nowy rząd, złożony z umiarkowanych arystokratów. Sprawy zagraniczne odzyskał hrabia de Montmorin, wojnę dostał hrabia de La Tour du Pin, próżny i niezbyt mądry, ministrem sprawiedliwości został arcybiskup Bordeaux Champion de Cice, który przed rokiem przewodził opozycji na zgromadzeniu kleru. Ważne ministerstwo dworu, które kontrolowało – teraz już teoretycznie! – Paryż, dostało się hrabiemu de Saint-Priest.

Necker, w przekonaniu króla, dawał gwarancje opanowania sytuacji, jego powrót powitano więc w Wersalu z ulgą. Poseł hrabia de Montlosier pisał potem, że „Ludwik XVI, przywołując z powrotem do siebie Neckera, ani przez chwilę nie wątpił, że powstrzyma on rewolucję i pokieruje nią”. Ale Necker nie był już tak popularny jak dawniej; znalazł się w obliczu nowej władzy, bardzo pewnej siebie – Zgromadzenia Narodowego. Przecenił swój prestiż, a nie docenił siły rewolucji. Wyraźnym sygnałem zachwiania się jego autorytetu była sprawa stosunku rządu do uchwał Zgromadzenia z sierpnia 1789 r.: do zniesienia wielu przywilejów szlachty i kleru oraz ich „praw feudalnych” (4-5 VIII), do uchwalenia Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela (26 VIII). Król był oburzony tymi decyzjami: „Nigdy nie pozwolę, by złupiono mój kler i moją szlachtę” – powtarzał. Powierzył Neckerowi napisanie krytycznych uwag na temat uchwał Zgromadzenia; posłowie je odrzucili. Wiedziano, że to Necker pisał królowi owe uwagi – i prestiż szefa rządu bardzo ucierpiał. Nie potrafił nawiązać przyjaznego, a choćby tylko rzeczowego dialogu ze Zgromadzeniem, mówcą był zresztą marnym; do roli „premiera parlamentarnego” w angielskim stylu zupełnie się nie nadawał. Jego dawny współpracownik Hennet pisał o Neckerze wiele lat po jego śmierci, w 1816 r.: „Wyróżniam w osobie pana Neckera trzech ludzi: człowieka prywatnego, ministra finansów, szefa rządu. Sądzę, że pierwszy był cnotliwy i wrażliwy, drugi – zręczny i uczciwy, trzeci – ignorancki i niezdarne”.

Mimo uspokojenia nastrojów w Paryżu panowało wielkie ożywienie. Wersal obawiał się nacisków stolicy na Zgromadzenie Narodowe. Ciągłe więc powracały pomysły, by przenieść posłów i rząd do Compiègne lub Soissons. W końcu sierpnia przyszło z takim wnioskiem kilku posłów, m.in. Malouet. Rada Królewska trwała długo, wreszcie ministrowie wrócili i Necker rzekł wnioskodawcom: „Nasza rola jest bardzo trudna. Król jest dobry, lecz trudno mu się decydować; był zmęczony i spał podczas Rady. Byliśmy za przeniesieniem Zgromadzenia, lecz król, budząc się, powiedział: nie, i wyszedł”. Malouet dodaje jeszcze, że „król, który obdarzony był odwagą bierną, uważał za rzecz haniebną wyjeżdżać z Wersalu: dobrze dostrzegał niebezpieczeństwo, ale się łudził, że demonstrując siłę zdoła go uniknąć. Gdy jednak dochodziło do zrobienia

użytku z siły, nie mógł się zdecydować na zwrócenie broni przeciw swym poddanym”. Maria Antonina mówiła, Augeardowi: „Przyjaciele doradzili nam zostać; rzekli nam, że jeśli opuścimy Wersal, spowodujemy masakrę szlachty w Paryżu”. Królowa była przekonana, że żadna insurekcja paryska nie zdoła zagrozić Wersalowi, bo wystarczy zniszczyć parę przeseł mostu w Sevres. Był to pogląd wielce naiwny.

Co się tyczy siły, to raczej miał Duquesnoy: „Rozpoczęta rewolucja nie zakończy się... Niebываła słabość króla, jego nicość – to prawdziwe przyczyny, które ją przyspieszyły... Nie ma on silnej głowy, a siły bagnetów mu braknie”.



WIĘZIEŃ TUILERII

We wrześniu ponownie wzrosło w Paryżu napięcie. Lud był zaniepokojony brakiem chleba: zbiory udały się wyśmienicie, ale susza zatrzymała młyny wodne i zahamowała transport zboża Sekwaną. Burżuazję natomiast irytowała wyraźna niechęć króla do uznania pierwszych decyzji politycznych Konstytuanty. Podburzali opinię agenci księcia Orleanu, który miał wielką ochotę upokorzyć parę królewską, a jeśli się da, to i dorwać się do władzy. Książę był ciągle bardzo popularny wśród paryżan.

Torowała sobie drogę myśl o sprowadzeniu króla, rządu i Zgromadzenia Narodowego z Wersalu do Paryża. Biedacy mówili, że widok nędzy ludu musi poruszyć serce króla i skłonić go do działania; burżuazyjni politycy rozumieli, jak osłabi pozycję króla, ministrów i prawicy Zgromadzenia ulokowanie ich wszystkich w samym środku wielkiego, falującego rewolucją miasta. Oliwy do ognia dołało sprowadzenie do Wersalu regimentu flandryjskiego, o którym paryżanie mieli wyobrażenie – jak się miało okazać, błędne – że jest lojalny wobec króla i ślepo posłuszny. Na nic się nie zdały zabiegi Saint-Priesta, który rozpuścił wiadomość, że pułk flandryjski tylko eskortuje zapasy broni dla paryskiej Gwardii Narodowej z arsenałów w Douai; opinia po prostu nie wierzyła rządowi. W Paryżu opowiadano ze zgrozą – na podstawie przesadzonych relacji rewolucyjnej prasy – o „kontrewolucyjnej orgii”, jaką się stał bankiet na cześć oficerów flandryjskiego pułku. Zorganizowano go 1 października w wersalskim teatrze dworskim, obecni byli na nim król, królowa i delfin. Oczywiście regiment z Flandrii nie byłby w stanie zrobić kontrewolucji. Mógł on tylko, jak pisał inicjator jego ściągnięcia do Wersalu, Saint-Priest, „chronić wyjazd króla i jego rodziny, gdyby musiał on opuścić Wersal”.

Około godziny 10 dnia 5 października Saint-Priest dostał pierwszą wiadomość, że do Wersalu maszeruje wzburzony tłum paryżan. Były to głównie kobiety, w liczbie około 8 tys.; zdesperowane brakiem chleba, prymitywnie uzbrojone w piki, topory, tasaki. Król był na polowaniu; pilnie wezwany wrócił około godziny 13. Odbyła się Rada Królewska. Saint-Priest chciał, by rodzina królewska wyjechała zaraz do Rambouillet, gdzie stał „pewny” pułk strzelców lotaryńskich; król natomiast stanąłby na czele wojsk znajdujących się w Wersalu, które miałyby wezwać tłum do odwrotu i atakować w razie odmowy. Gdyby atak się nie powiódł, król

udałby się również do Rambouillet.

Necker, Montmorin i Champion de Cice sprzeciwili się stanowczo: mąszerujący tłum to tylko suplikanci, należy wysłuchać ich petycji, natomiast użycie siły spowoduje wojnę domową. Skarb króla – mówił Necker – jest pusty i nie mógłby finansować takiej wojny, za to Paryż ma wielkie zasoby. Król przerwał Radę i poszedł poradzić się żony. Maria Antonina odmówiła wyjazdu bez króla, więc plan Saint-Priesta upadł. Ludwik nie dał żadnych rozkazów wojsku ani wersalskiej Gwardii Narodowej. O godzinie 18 zwołał znów posiedzenie Rady. Na jakiegokolwiek przygotowania wojskowe było już za późno, więc po konsultacji z żoną Ludwik zgodził się na bezzwłoczny wyjazd do Rambouillet i kazał już szykować powozy. Saint-Priest wyjechał do Rambouillet jako pierwszy, by wszystko tam przygotować; pod jego nieobecność diuk de Liancourt do spółki z Neckerem znów skłonili Ludwika do zmiany decyzji.

Do wersalskiego pałacu zgłosiła się tymczasem delegacja kobiet paryskich; Ludwik ją przyjął. Młoda dziewczyna, Louison Chabry, która miała przemówić, była tak poruszona, że zdołała tylko powiedzieć: „chleba” – i zemdląa. Król dał delegatkom parę sztuk złota i obiecał zadbać o dostawę zboża dla stolicy. Uznał, że rewolta paryżan nie jest szczególnie krwiożercza. W dodatku późnym wieczorem do Wersalu dotarły regularne oddziały paryskiej Gwardii Narodowej. La Fayette obiecał królowi zadbać o porządek i o bezpieczeństwo Dworu, więc około godziny drugiej w nocy para królewska poszła spać. La Fayette również zasnął tak słodko, że przespał krytyczny ranek 6 października: „generał Morfeusz” – mówili później o nim złośliwi dworacy.

Wczesnym rankiem zaczął się tumult; paryżanie starli się ze strażą królewską, wdarli się do pałacu i zalali go. Dwóch królewskich gwardzistów zginęło, byli też ranni. Diuszessa de Tourzel, która po wyjeździe pani de Polignac została guwernantką dzieci królewskich, zapewnia, że „nikczemnicy” wdarli się do sypialni królowej; nie zastawszy jej tam (bo schroniła się u króla) pokłuli pikami materace łóżka. Madame Campan tej informacji stanowczo zaprzecza.

Z opóźnieniem La Fayette i jego Gwardia Narodowa uspokoili nastroje; tłum się jednak domagał, by król przeniósł się z Wersalu do Paryża. Ludwik był już – jak pisze Saint-Priest – „znużony swą bezradnością”. Pani de Tourzel stwierdza: „Król, przerażony wszystkim tym, co się działo, naciskany i proszony ze wszystkich stron, poddał się wreszcie; mimo odrazy do myśli o ulokowaniu się w tym mieście (sc. Paryżu) dał słowo, że wyjedzie w południe”. Bezzwłocznie rozpoczęły się przygotowania do podróży; o godzinie 13.30 Ludwik wsiadł do karocy. Nigdy już nie zobaczył wersalskiego pałacu.

Rodzinę królewską eskortowali paryżanie, gwardziści narodowi i kobiety. Wersalczycy utworzyli ogromny szpaler. Bliżej Paryża w szpalerze stali żołnierze regimentu flandryjskiego i razem z tłumem wołali: Niech żyje Naród! La Fayette jechał konno przy oknie królewskiego powozu i zapewniał Ludwika, że będzie zadowolony z przyjęcia, jakie mu zgotują paryżanie. Nie mylił się, na ulicach stolicy tłumy były ogromne i przyjazne, wołano: Niech żyje król i rodzina królewska!

Nastąpiła tu jednak mała próba sił. Ludwik chciał jechać prosto do nowej siedziby, pałacu w Tuileryach; Bailly i La Fayette stanowczo prosili o wizytę w Ratuszu. Król im odmawiał powołując się na zmęczenie „po takim dniu”. Gdy jednak przejeżdżano obok Tuilerii, Ludwik – jak pisał Saint-Priest – „nie miał odwagi dać woźnicy rozkazu wjechania do pałacu”. Saint-Priest usprawiedliwiał się później ze swej nieobecności w Ratuszu; mówił królowi, że nic o tej wizycie nie wiedział. „Ja sam też o niej nie wiedziałem” – odrzekł smętnie Ludwik.

Saint-Priest, najaktywniejszy w tych dniach kryzysu październikowego, planował ściągnięcie do Rambouillet wszystkich oddziałów z okolic Paryża: było tam jeszcze 10 tys. żołnierzy, w tym 2 tys. kawalerzystów. Następnie przerzucono by tu armię z Metz pod komendą generała markiza de Bouille. Konstytuanta, wezwana również do Rambouillet, zostałaby poddana czystce; wojsko odcięłoby dostawy żywności dla Paryża i w ten sposób niepokorne miasto musiałoby się poddać woli króla. Natomiast wyjazd Ludwika do Paryża oznaczał „kres jego władzy”.

Posel Duquesnoy notował 7 października: „Król płaci drogo za błędy swych poprzedników, pokutuje też ciężko za swój brak charakteru... Przez całe życie tylko powtarzał wieczorem, że rano się mylił”. Niestety, po przyjeździe do Paryża popełnił kolejny błąd: postanowił czekać biernie na skompromitowanie się rewolucji i na jej klęskę, którą przyniesie sam czas i zniechęcenie społeczeństwa. „Sam siebie przekonał, że na skutek błędów i złych decyzji Zgromadzenie Narodowe straci reputację. Słabość monarchy skłoniła go do chwycenia się tej idei, która go uwalniała od kłopotów oporu codziennego, zbyt trudnego jak na jego charakter”.

A przecież istniał jeszcze cień szansy na uratowanie autorytetu monarchii. Jesienią 1789 r. lud paryski z życzliwą ciekawością gromadził się pod Tuileryami i wołał: „Niech żyje król”. Pan Ruault notował 2 grudnia: „Paryż powrócił do ciszy i spokoju. Niebo nam dało króla, który zda się iść z dobrą wiarą razem z nami, gdy idzie sam. Jest tylko obawa, że to nie potrwa długo... idzie on bowiem, jak go się popchnie, raz w dobrą, a raz w złą stronę”. To prawda, „w dobrą stronę” trzeba go było popchnąć. Mógł to być zrobić hrabia de Mirabeau, rzecznik silnej monarchii, sojusznik nowych sił społecznych, zmodernizowanej przez rewolucję, wzmocnionej obaleniem przywilejów stanowych i prowincjonalnych, praw parlamentu, potęgi kościoła... Gdyby para królewska zechciała poddać się jego politycznemu wpływowi, jej losy mogły się potoczyć zupełnie inaczej. Ale Maria Antonina już wcześniej, gdy po raz pierwszy była mowa o portfelu ministerialnym dla Mirabeau, krzyknęła: „Nigdy! Nigdy nie pozwolę, by progi królewskiej Rady zostały zbezczeszczone przez wejście takiego człowieka. Dajcie mu pieniądze, tyle pieniędzy, ile zechce... Ale ministerstwo!...” Gdyby choć para królewska umiała robić dobrą minę do złej gry! W drodze do Paryża, wśród okrzyków tłumu i strzałów na wiat „Ich Królewskie Mości wzruszaniem ramion i podnoszeniem oczu do nieba okazywały zdumienie, że udało się otumanić lud aż do tego stopnia”. W Tuileryach także demonstrowano zły humor, między innymi w stosunku do paryskiej Gwardii Narodowej, która zastąpiła tu szlachecką gwardię króla. A przecie dowodzili tymi oddziałami szczyrzy rojaliści, dobra szlachta i

zamożni bourgeois, m.in. pan d'Ormesson, były minister, i cała grupa bliskich Dworu finansistów oraz negocjantów. Różne gesty sympatii z ich strony były wyniośle odrzucane. Pani de Tourzel pisze, że gdy pan Gerdret, kupiec i dostawca koronek królowej, zaproponował Marii Antoninie mały koncert orkiestry Gwardii Narodowej, królowa wyraziła zdumienie, iż może on jej robić podobną propozycję! Pani de Tourzel pisze dalej: „Pan de La Fayette pragnął, by król zgodził się wyjeżdżać [z Tuileries], ale ponieważ towarzyszyć mu mogła tylko Gwardia Narodowa, wolał on pozbać się powietrza i wszelkiego ruchu... Przez długi czas nie chciał w ogóle opuszczać swych apartamentów. Spacerowanie królowej i jej dzieci ograniczały się do tuileryjskiego ogrodu”. Hrabia de Saint-Priest tak to komentował: „Król wyobraził sobie, że ogłaszając się niejako więźniem [Tuileries], spowoduje w królestwie poruszenia żądające jego wolności, z których będzie mógł skorzystać”. Skutek był zupełnie inny: emigranci skupieni w Turynie i krajowi kontrrewolucjoniści mieli pretekst, by twierdzić, iż król pozbawiony jest swobody działania, jego akty są więc nieważne, w tym i jego apele o zaniechanie kontrrewolucyjnych spisków oraz intryg; trzeba więc ratować króla „nawet wbrew niemu samemu”.

Po wersalskich wspaniałościach Tuileries wydawały się bardzo skromne; pałac był zresztą mocno zaniedbany. W manifeście, który Ludwik zostawił w czerwcu 1791 r. uciekając z Paryża, skarżył się dość małostkowo, że w Tuileries „nic nie było przygotowane na przyjęcie króla, układ zaś apartamentów zupełnie nie może tu zapewnić wygód, do których Jego Królewska Mość nawykł w innych swych pałacach i z których może korzystać każdy człowiek zamożny”. Rychło zresztą przysposobiono Tuileries do nowych zadań. Król naradzał się z zaufanymi, trochę pracował z ministrami, królowa haftowała. Po południu oboje grali w bilard, co miało Ludwikowi zapewnić – jak pisze pani Tourzel „trochę ruchu”. Kolacje były w gronie rodzinnym, wieczorem grywano w karty. Przyjęcia dworskie odbywały się w czwartki i w niedziele.

Przy wszystkich oznakach dyshumoru i dąsania się na fakty, tak nielojalne w stosunku do króla, prowadzono w Tuileries rozmowy wielce niepolityczne. Hrabia de Segur, który jesienią 1789 r. powrócił z petersburskiej ambasady, opisał w swych pamiętnikach rozmowę ze swą dawną przyjaciółką, Marią Antoniną. Królowa żaliła się i oskarżała gwałtownie wrogów monarchii, kleru i szlachty; Segur jej próbował wytłumaczyć, że błędem były częste zmiany ministrów i systemów rządzenia, a także źle skalkulowane i niekonsekwentne manifestacje siły. Radził jej szczerą i dobrą wiarę w popieraniu tworzącej się konstytucji. „Zupełnie nie podzielam pańskiej opinii” – usłyszał.

„Rozmawiano, dyskutowano przy stole – pisała pani Campan – nie myśląc o tym, że cała służba należy do nieprzyjacielskiej armii i można rzec, że tyleż było nierozwagi i lekkomyślności w partii atakowanej, co chytryści, śmiałości i wytrwałości w partii atakującej”. Klasyczny przykład – to afera Augearda. Ów sekretarz królowej radził jej wyjazd do Wiednia z dziećmi: tam mogłaby prosić cesarza o pomoc. Królowa rzekła, że to naraziłoby króla. Augeard na to, że przeciwnie, rewolucjoniści umieściliby Ludwika w wacie: „Ci ludzie wiedzą, że we Francji król nigdy nie umiera”.

Otóż jakiś projekt ucieczki rodziny królewskiej, naszkicowany przez Augearda, zadenuncjował w listopadzie jego skryba; dowody były jednak niezbyt wyraźne, Augeard został uwolniony z aresztu i wyemigrował. Gorzej się skończyła afera markiza de Favras, który uknuł podobno plan zabicia Bailly'ego i La Fayette'a, porwania króla i wywiezienia go w bezpieczne miejsce. Dostał na ten cel sporą sumę z poręki hrabiego Prowansji, który – jak się wydaje – pragnął wykorzystać swą reputację „księcia-patrioty” i objąć regencję po wywiezieniu króla. Gdy Favrasa zadenuncjował jeden z jego agentów, hrabia Prowansji wyparł się wszystkiego. Favras był elegancki, nie obciążył królewskiego brata, został skazany na śmierć i powieszony w lutym 1790 r. Cała sprawa narobiła dużo szumu i zaniepokoiła króla. Za radą ministrów udał się więc 4 lutego 1790 r. do Konstytuanty i przemówił do posłów: wzywał do zaniechania konfliktów, potępiał zarówno ludowe zamieszki powtarzające się na prowincji, jak i próby obalenia rodzącej się konstytucji, solennie obiecywał wierność dla zasad konstytucyjnych. Prawica była wściekła, emigranci uważali, że został zmuszony do takiej deklaracji, ale większość posłów i opinia publiczna przyjęły oświadczenie króla z entuzjazmem. „Vivat Pan Bóg i dobry król Ludwik XVI, który się wczoraj ulokował w rządzie sprawiedliwych władców – pisał Ruault. – Zamilczcie teraz arystokraci, wielcy i mali, spalcie wasze broszury i plany kontrrewolucji. Będziemy mieli trzech dobrych królów w naszej historii, Ludwika XII, Henryka IV i Ludwika XVI”.

W tym samym czasie „więzień Tuileries” zdecydował się przerwać izolację. „Siedzący tryb życia w Tuileries znużył wreszcie rodzinę królewską, a żadnej korzyści nie przynosił. Sugerowano mu, by odwiedzał paryskie instytucje publiczne, manufaktury itp., ale... jeździł sznurem powozów otoczonych gwardzistami narodowymi na rozkazach La Fayette'a, który starał się uniemożliwić jakiegokolwiek owacje; zresztą, prawdę mówiąc, samo społeczeństwo nie bardzo do nich było skłonne” – pisał Saint-Priest i dodawał, że radził królowi, by chodził pieszo do kordegard Gwardii Narodowej, by rozmawiał poufale z mieszczanami, co by go spopularyzowało. „Ale ten nieszczęsny władca był nieśmiały, a nawet dziki: w zakłopotaniu nie wiedział, o czym mówić”.

Co się tyczy polityki, to nie miał dużo do roboty. Ministrowie żalili się, że i tak rządzi Zgromadzenie Narodowe. Ulokowało się ono jesienią 1789 r. w tuileryjskiej Ujeżdżalni, tuż obok królewskiego pałacu; wpływowe komitety Konstytuanty zajęły piękne pałace na placu Vendôme. Oskarżano komitety – i nie bez racji – że wkraczają w sferę rządzenia, w kompetencje ministrów, że ostatecznie ministrowie zajmują się tylko wysyłką dekretów Konstytuanty na prowincję. Król podpisywał w tym czasie bez oporu wszystko, co mu z Konstytuanty przysyłano. Gdy wiosną 1790 r. uchwaliła ona dekret o zniesieniu instytucji szlachectwa, wszyscy ministrowie z Neckerem włącznie opowiadali się przeciw królewskiej zgodzie na ów dekret. Necker czytał na Radzie swe krytyczne uwagi, „ale czytając spostrzegł, że król podpisuje jakieś papiery. »Co Wasza Królewska Mość robi?« – spytał. »Daję sankcję dekretowi« – odrzekł król. »Jeśli tak, to nasze deliberacje są bezużyteczne« – zareplikował Necker... Król działał w

przeświadczeniu, że całe królestwo podniesie bunt przeciw tej ekstrawagancji [sc. zniesieniu szlachectwa]. Zamiast tego... lud przyjął dekret z poklaskiem”.

Mimo tej polityki, obliczonej na kompromitację Konstytuanty i „otrzeźwienie ludu” w miarę upływu czasu, mimo deklaracji z 4 lutego – pierwsze miesiące 1790 r. nie były dla Ludwika łatwe. Niepokoiły go wojownicze deklaracje emigrantów z Turynu, których nie potrafił powściągnąć, a także żałośnie niezdarne, jątrzące opinie kontrrewolucyjne konspiracje. Król nie wierzył w skuteczność tych poczynań, królowa ewentualny sukces hrabiego Artois uważała za katastrofę: „Jeśli emigrantom się powiedzie, długo będą dyktować swoją wolę; nie można będzie im niczego odmówić; zawdzięczać im koronę to zaciągnąć wobec nich zbyt wielkie zobowiązania”.

Od listopada Konstytuanta wiedziała o istnieniu Czerwonej Księgi z tajnymi wydatkami Dworu. Żądano, by Necker ją wydał; przez lojalność wobec monarchii grał on na zwłokę, choć sam nie był zupełnie kompromitowany treścią tego dokumentu. W kwietniu 1790 r. Zgromadzenie ogłosiło jego zawartość dla czasów Ludwika XVI (król żądał, by nie interesowano się wydatkami jego dziada). Wrażenie było fatalne. „Było marnotrawstwo za Ludwika XV, lecz nie z taką obfitością: nawet za czasów Pompadour i du Barry okazywano więcej wstydu” – pisał Ruault.

Krażyły więc ciągle, jak za czasów ancien regime’u, pamflety i paszkwile na króla, królową i Dwór; tyle, że teraz krażyły jawnie. Oskarżano między innymi króla o chęć ucieczki z Paryża; podejrzania nie były wszakże na tyle silne, by wywołać sprzeciw, gdy rodzina królewska zapragnęła spędzić lato nie w dusznych Tuileriach, lecz w pobliskim Saint-Cloud. Strzegło jej tam zresztą 400 gwardzistów narodowych z Paryża. Król robił niedzielne przeglądy Gwardii w mieszczańskim surducie, co irytowało La Fayette’a; chciał on, by król wdziewał galowy uniform. Mimo czujności gwardzistów możliwości ucieczki były teraz duże, jako że król jeździł na długie spacery konne i jeździł bardzo szybko; tylko kilku gwardzistów mogło mu dotrzymywać kroku. Naciskano zaś na Ludwika z wielu stron. Emigranci z Turynu przekazali mu poufnie, na przełomie kwietnia i maja, dokładny plan ucieczki. Para królewska odrzuciła go bez wahania. Mirabeau, którego poufne rady Ludwik właśnie kupił płacąc dobrą cenę – ale lekceważył ich treść – również sugerował wyjazd z Paryża, przynajmniej do Fontainebleau. Podczas pobytu króla w Saint-Cloud minister wojny La Tour du Pin proponował, że obstawi wojskiem dowolną drogę ucieczki: do Fontainebleau, do Compiègne lub dalej, do Normandii.

Gdy któregoś dnia król zapaścił się konno aż za las pod Vesinet, hrabia Esterhazy, towarzyszący mu wraz z diukiem de Brissac, nie wątpił, iż Ludwik ucieka; tym bardziej że reszta rodziny królewskiej wyjechała jednocześnie powozami na spacer. „Przypuszczałem, że wszystko było zaplanowane... Ta sama myśl przyszła jednocześnie diukowi de Brissac... Zostaliśmy nieco z tyłu, by się podzielić naszymi podejzzeniami. Uzgodniliśmy w naszej rozmowie, że każdy z nas będzie obserwował

jednego z oficerów Gwardii Narodowej... Gdyby któryś z nich chciał się sprzeciwić ucieczce lub odmówił jazdy z nami, przebilibyśmy go naszymi nożami myśliwskimi”. Ale król właśnie dał sygnał do powrotu.

Ludwik ciągle liczył na to, że czas pracuje dla niego. Wielkie święto Federacji Narodowej w rocznicę wzięcia Bastylji zdawało się potwierdzać opinię, że rewolucja jest dziełem kilkuset „advokatów” z Konstytuanty i kilku tysięcy paryskich krzykaczy klubowych. Natomiast „prowincje” mogły wciąż wydawać się wierne królowi; gwardziści narodowi z całej Francji, którzy przybyli do Paryża na święto Federacji, manifestowali gorąco uczucia sympatii dla króla, „odnowiciela francuskiej wolności”, jak go często nazywano. Na paryskim Champ-de-Mars zbudowano ogromny i bardzo brzydki Ołtarz Ojczyzny; król i delegaci całego kraju składali solenną przysięgę na wierność konstytucji, jeszcze nie uchwalonej; mimo ulewnego deszczu uczestniczyło w święcie około 400 tys. ludzi. Niektórzy dworacy mieli żal do króla, że nie skorzystał z entuzjazmu gwardzistów z prowincji, „elity narodu”, i nie zbuntował się; powinien był, mówiono, zamiast składać przysięgę powiedzieć szczerze, co myśli o rewolucji i odwołać się do wiernych poddanych. Pani de Tourzel żałowała, że Ludwik nie udał się wówczas w objazd „wiernych prowincji”, do czego bardzo go zachęcali „dobrzy gwardziści”. Gdyby był wyruszył w eskorcie tych dobrych poddanych, to z pewnością „zbiłby z tropu Konstytuantę i zmusiłby ją do zdania się na jego łaskę”. Madame Campan jest w swych pamiętnikach dużo trzeźwiejsza. Wspominając święto Federacji pisała, że gwardziści „kochali króla tyleż co konstytucję, a konstytucję tak samo jak króla”. Niestety, Ludwik nie umiał się zmusić do „pokochania konstytucji”. Nie pociągnąłby za sobą „dobrych gwardzistów”, gdyby szczerze ujawnił swój pogląd na temat rewolucyjnych przemian.

Nadal więc taktyka króla polegała na cierpliwym przeczekiwaniu burzy. Nie oznacza to, że Ludwik nie robił zupełnie nic. Niepokoiły go niezręczne, lecz natarczywe zabiegi emigrantów z Turynu na obcych dworach; księżęta-emigranci snuli fantazyjne plany połączenia wewnętrznej kontrrewolucji z zewnętrzną interwencją Hiszpanii, Piemontu, Szwajcarów, a jeśli się da, to i Niemców. Król dał więc Breteuilowi, który także wyemigrował, pełnomocnictwo do rozmów z obcymi dworami w jego imieniu. Później ustaliła się taka praktyka, że w ważnych stolicach deptało sobie po piętach trzech przedstawicieli Francji, to znaczy oficjalny ambasador króla, jego poufny wysłannik oraz agent księżąt krwi z Turynu. Tak było w Petersburgu, Madrycie, Berlinie. Ludwik z odrazą myślał o interwencji obcych w jego francuskie sprawy; Maria Antonina była innego zdania. W lutym 1790 r. zmarł Józef II i tron cesarski objął jego młodszy brat Leopold II. Obaj oni z lekceważeniem i niechęcią przyjmowali kołatanie o pomoc, które wychodziło od francuskich emigrantów. Leopold powiedział Augeardowi, który złożył mu wizytę we Frankfurcie, że chętnie przyjmie Marię Antoninę, jeśli wyjedzie ona z Francji, ale nie będzie się mieszał w sprawy konstytucji, którą naród francuski pragnie sobie nadać. „Jeśli będzie dobra, tym dla narodu lepiej, jeśli będzie zła, to sąsiedzi Francji z tego skorzystają”. Owym sąsiadom bynajmniej nie był niemiły upadek silnego rządu we Francji i wewnętrzne konflikty wśród Francuzów.

Oprócz poufnej akcji dyplomatycznej Ludwik dał placet dla równie poufnej działalności korupcyjnej. Wcześniej kupiono wielkiego tenora Konstytuanty, hrabiego Mirabeau; od czerwca 1790 do marca 1791 r. słał on królowi poufne memoranda z różnymi projektami i sugestiami. Zebrała ich się pięćdziesiątka. To między innymi Mirabeau doradzał Ludwikowi rozwinięcie na wielką skalę akcji przekupywania rewolucjonistów. Pieniądze czerpano z tajnych funduszy ministerstwa spraw zagranicznych, którymi zawiadywał stary przyjaciel króla, Montmorin, później zaś także z królewskiej listy cywilnej, administrowanej przez innego zaufanego, pana de Laporte. Konstytuanta poprosiła króla, by sam wyznaczył wysokość swej listy cywilnej; ten ją określił na ogromną sumę 25 milionów. Pieniądzy więc nie brakło.

Zużywano je na przekupywanie posłów Zgromadzenia Narodowego i działaczy radykalnych klubów. Starano się przeniknąć sekrety patriotów, wpłynąć na decyzje Zgromadzenia i uchwały klubów, neutralizować postawy największych „krzykaczy” i „wichrzycieli”. Efekty wszystkich tych zabiegów były nikłe. Brissot notował: „Laporte się skarży, i to jest cenne wyznanie, że nie miał żadnego pożytku z milionów, które rozdał w klubach, sekcjach, na trybunach, w Zgromadzeniach, na publicznych placach i wśród publicystów. To dobrze świadczy o narodzie”.

O ucieczce króla z Paryża tyle mówiono i od tak dawna, że ludzie przedstawiali już wierzyć pogłoskom. Tymczasem właśnie jesienią 1790 r., po powrocie z Saint-Cloud, Ludwik zaczął na serio zastanawiać się nad ucieczką. Poważnie odczuł w tym czasie dwa ciosy. W październiku zaatakowano jego ministrów: urzędowali od lipca 1789 r., ale teraz ich polityczny koloryt całkiem nie pasował do sytuacji. Necker, skłócony z Konstytuantą, już we wrześniu złożył dymisję i wyjechał z Francji. Nikt nie żałował zniknięcia ze sceny tego człowieka, który jeszcze przed rokiem uchodził za zbawcę kraju. Inni ministrowie – z wyłączeniem Montmorina – znaleźli się na cenzurowanym w Zgromadzeniu; Mirabeau zrecznie też zorganizował nacisk paryskich aktywistów, z Dantonem na czele, domagających się hałaśliwie zmiany ministrów. Król przystał na to ostatecznie. Od dawna był przyzwyczajony do tego, że ministrów mu obalały naciski z zewnątrz i dworskie intrygi. Teraz jednak coś się zmieniło: oto nowi ministrowie uważali się nie tyle za pomocników króla, ile za ministrów Konstytuanty. Chcieli mieć poparcie lewicy Zgromadzenia, a przede wszystkim grupy La Fayette’a, który ich rekomendował królowi. Ci nowi ministrowie, prawie już parlamentarni, to panowie Delessart (finanse, potem i sprawy wewnętrzne), Duportail (wojna), Duport-Dutertre (sprawiedliwość).

Drugi cios – to sprawa reformy kościoła. W lipcu 1790 r. Konstytuanta uchwaliła tzw. konstytucję cywilną kleru, która gruntownie zmieniła strukturę i wewnętrzną organizację kościoła Francji. Było to zgodne ze starą tradycją gallikanizmu, która dopuszczała głęboką ingerencję państwa w sprawę francuskiego kościoła – i z początku nie wzbudziło większych protestów. Król akceptował tę reformę bez oporu. Jednakże wnet się okazało, że papież Pius VI zdecydowanie ją odrzuca. Swe obiekcje zgłaszał poufnie, bo nie chciał zrywać z francuskim rządem; mieszkańcy Awinionu,

posiadłości papieskiej, zaczęli bowiem właśnie domagać się głośno połączenia z Francją. Minister Montmorin sądził, że mając w ręku taką kartę przetargową skłoni papieża do ustępstw w sprawie konstytucji cywilnej kleru. Niemniej Ludwik XVI miał moralne rozterki. Bieg wydarzeń wyraźnie umacniał jego religijność, dotąd nie nazbyt gorliwą i nie bardzo głęboką.

Zaczęły się; teraz kumulować długo skrywane niechęci do rewolucyjnych przemian ustroju i flegmatycznie przełykane urazy osobiste króla. Zaczęły przeważać nad troską o bezpieczeństwo własne i rodziny (Saint-Priest twierdził, że król często powtarzał po 1789 r., iż skończy jak wszyscy słabi władcy: zostanie zamordowany). Te troski i obawy miały dotąd wielki wpływ na taktykę „przeczekiwania burzy”. Teraz chęć jakiegoś zdecydowanego działania zaczynała u Ludwika brać górę. Maria Antonina już od wielu miesięcy powtarzała, że przecież jednak w końcu trzeba będzie uciekać z Paryża.

U progu jesieni 1790 r. Ludwik odrzucił projekt ucieczki, przedstawiony mu przez członków reakcyjnego klubu zwącego się Salonem Francuskim. Dotarli oni do króla z protekcji jego siostry, Madame Elisabeth. Prawicowa historiografia przedstawiała ją chętnie jako osobę zajętą wyłącznie modłami. Otóż owa „anielska księżniczka”, jak ją zwali emigranci i konspiratorzy, gorliwie utrzymywała kontakty z Turynem i natrętnie żądała ucieczki. W listach do przyjaciółek raz pisała o królu jako chorym, który cierpi na drętwienie nóg; potem twierdziła, że „jego nogi odzyskują siłę i może wnet będzie mógł trochę maszerować”.

Ludwik odrzucił wszelako plan jej protegowanych z Salonu Francuskiego. Był to plan dokładnie opracowany: rodzina królewska uciekłaby do Lyonu, gdzie kontrrewolucyjny spisek miał rozgałęzione sieci i skąd niedaleko było do Turynu. Emigranci i spiskowcy liczyli na pomoc zbrojną króla Piemontu i kantonów szwajcarskich, liczyli też na starą rywalizację Lyonu, drugiego miasta Francji, z Paryżem. Gdyby król tu przybył i ustanowił tymczasową stolicę, Lyon by go poparł – mówiono.

Ludwik nie chciał jednak, by w odzyskaniu władzy pomagali mu emigranci, którzy szydzili otwarcie z jego słabości i agresywnym popieraniem spisków w kraju, konszachtami z obcymi dworami, groźbami zemsty jątrzyli francuską opinię. Para królewska zarzucała księżętom w Turynie narażanie na szwank jej bezpieczeństwa. Fatalne wrażenie w Tuileriach wywarł fakt, że wśród członków „komitetu turyńskiego” – czegoś w rodzaju emigracyjnego rządu – znalazł się Calonne. Eks-minister lżył przecież jeszcze niedawno Marię Antoninę!

Król miał już zarys własnego planu. W październiku 1790 r. do generała de Bouille, dowodzącego w Metz, przybył wysłannik Ludwika, biskup d'Agoult. Przywiózł projekt ucieczki rodziny królewskiej ku wschodniej granicy kraju, pod protekcję armii Bouillego. Wybór tego generała nie był przypadkowy: kilka tygodni wcześniej złamał on brutalnie rebelię żołnierzy w Nancy. Był wprawdzie kuzynem La Fayette'a, ale serdecznie nie znosił tego, jak mawiał, „Don Kichota konstytucji”. Odtąd przez osiem miesięcy trwała szyfrowana korespondencja między generałem de Bouille a królem. „Zaproponowałem mu ucieczkę do Montmedy lub do Besancon, albo do

Valenciennes” – pisał Bouille później. W końcu stycznia 1791 r. Ludwik oznajmił, że wybiera Montmedy i że ucieczka nastąpi w marcu lub w kwietniu. Bouille wskazał mu dwie drogi do Montmedy: przez Reims i przez Varennes. Król wybrał Varennes, „aby ominąć Reims, gdzie był koronowany i lepiej znany przez lud”.

Plan króla był dość zawiły. Jego ucieczka miała być skoordynowana z silną demonstracją zbrojną cesarza Leopolda nad wschodnią granicą Francji. Ludwik wystąpiłby jako mediator, osiągnąłby wycofanie wojsk cesarskich – i ten sukces, a także siłą armii Bouillego pozwoliłyby wymusić rewizję reformatorskich dekretów Konstytuanty. A zatem po pierwszych sondażach z wiosny jesienią 1790 r. rozwinęła się duża akcja dyplomatyczna poufnych wysłanników Ludwika XVI na europejskich dworach. Głównym jej koordynatorem był baron Breteuil.

A sytuacja skomplikowała się wskutek działań Turynu. Emigrantów popierała gorąco Katarzyna II, nie była jednak skora udzielać im pomocy zbrojnej. Ulegał im i ich projektom piemontki Wiktor-Amadeusz III, liczyli także na „króla-rycerza”, szwedzkiego Gustawa III, który miał wielką ochotę osobiście zetrzeć się ze smokiem rewolucji, chciał jednak wiedzieć, kto mu za to zapłaci. Pruski Fryderyk Wilhelm III zerkał w obie strony, ku Tuileriom i ku emigrantom. Natomiast Wiedeń i Madryt nie chciały mieć nic wspólnego z turyńskimi awanturnikami popierając Ludwika XVI. Ale od owego poparcia do aktywnego działania, najazdu na Francję czy choćby demonstracji zbrojnej droga była daleka. Wreszcie Anglia deklarowała, że nie chce się w to wszystko mieszać.

Ani do marca, ani do kwietnia ucieczka rodziny królewskiej nie została przygotowana mimo aktywności generała de Bouille; pomagał bardzo gorliwie w całej akcji wierny Fersen, korespondencja dyplomatyczna zatrudniała cały legion emisariuszy. Ludwikowi było coraz ciasniej w Tuileriach, jego wrogość do rewolucji nasilała się i wyrывała go z flegmatycznej apatii. Na przełomie 1790 i 1791 r. zaostrzył się bowiem bardzo konflikt religijny. Zniecierpliwiona Konstytuanta nie chciała dłużej czekać na oficjalne stanowisko papieża i w końcu listopada zarządziła realizację reformy kościelnej; księżom narzucono obowiązek składania przysięgi na wierność konstytucji. W Tuileriach zapanowała konsternacja: król radził się biskupów, ministrowie naciskali go, by tak jak zawsze dotąd dał sankcję dekretowi o przysiędze duchownych. 26 grudnia Ludwik uległ i podpisał dekret, ale miał wyrzuty sumienia, zwłaszcza że wnet się okazało, iż ogromna większość biskupów i mniej więcej połowa niższego kleru odmawia złożenia owej przysięgi. W kraju wystąpiły symptomy religijnej schizmy: księża „zaprzysiężeni” wojowali z „opornymi”, wierni brali stronę jednych lub drugich. W marcu ogłoszono papieskie potępienie konstytucji cywilnej; to dołało oliwy do ognia. Rodzina królewska opowiedziała się po stronie „opornych”, co ją dyskredytowało w oczach zwolenników rewolucji.

Krzyżowały się teraz podejrzenia, że Ludwik jest obłudny w swych zapewnieniach lojalności wobec przemian, niesionych przez rewolucję – z podejrzeniami, iż zamierza uciec. Dwie żyjące jeszcze ciotki króla, Adelajda i Wiktoria, postanowiły w lutym 1791 r. wyjechać do Rzymu;

konflikt religijny upewnił je, że rewolucja jest sprawą diabła. Zaraz wśród ludu, zarazem nieufnego i łatwowiernego, poszły plotki, że wywożą z Francji miliony, że chcą przemycić za granicę delfina, przede wszystkim zaś – że torują drogę królowi. Usiłowano nie dopuścić do wyjazdu tych dwu starych panien. Ludwik był tym szczerze oburzony.

28 lutego nowa awantura. Rozpuszczono pogłoski, że w zamku Vincennes szykuje się ludowi nową Bastylię; plebejskie a ludne przedmieście Saint-Antoine ruszyło pod zamek, co z kolei ściągnęło tu Gwardię Narodową z samym La Fayettem. Tymczasem do Tuileries weszła cichaczem duża grupa rojalistycznej szlachty z pistoletami, szpadami i sztyletami; wobec poruszenia w mieście chciała ona strzec króla. Ale zaraz poszła plotka, że ci „rycerze sztyletu” to sprzysiężeni pragnący uprowadzić Ludwika z Paryża. Gwardia Narodowa z La Fayettem pogalopowała znów do Tuileries; król musiał wydać rozkaz, by szlachta się potulnie rozbroiła, musiał też tolerować upokarzające potraktowanie „rycerzy sztyletu” przez burżuazyjnych gwardzistów. Bardzo źle to przyjął. Pisał nieco później: „Król z bólem patrzył, jak się maltretuje na jego oczach tych, którzy mu okazywali najbardziej wzruszające dowody przywiązania, i nie mógł ich bronić”.

Po tej tragikomedii przyszła druga, w poniedziałek Wielkiego Tygodnia, 18 kwietnia. Poprzedniego dnia Ludwik przyjął komunię z rąk księży „opornych”, którymi otoczył się w Tuileries. Święta Wielkanocne postanowił spędzić w Saint-Cloud i w południe 18 kwietnia miał wyruszyć wraz z rodziną. Znów rozeszły się pogłoski, że Ludwik ucieka. Przed Tuileries zebrał się tłum, gwardziści narodowi przyłączyli się doń i zablokowali wyjazd królewskiego powozu. La Fayette zaproponował, że siłą utoruje drogę królowi, i prosił o wydanie mu rozkazu; wedle pani Tourzel odpowiedź Ludwika była pogardliwie ironiczna: „To pan sam musi ocenić, co należy robić, by zapewnić wykonanie pańskiej konstytucji”. Tłum złorzeczył i poszturchiwał dworzan, którzy otoczyli powóz. „Jego Królewska Mość – pisał potem Ludwik – znosił przez godzinę i trzy kwadransy te zniewagi; wreszcie musiał ustąpić i powrócić do swego wiezienia, bo odtąd nie mógł inaczej nazywać swojego pałacu”. Awantura nie skończyła się jednak na tym: rewolucjoniści paryscy stanowczo domagali się, by król oddalił od siebie niezaprzyjęzonych księży i by oznajmił całej Europie, że bez żadnego przymusu a probuje nowy ustrój Francji.

Ludwik z początku upierał się przy wyjeździe do Saint-Cloud i 19 kwietnia pojawił się w Konstytuancie; tłumaczył tam, że jeśli nie wyjedzie, powstaną wątpliwości co do jego swobody ruchów i decyzji. Tak lewica jak i prawica przyjęły go chłodno. Poradził się więc swego spowiednika, księdza Heberta, i zgodził się na ustępstwa. Oddalił od siebie kilku niepopularnych dworzan i niezaprzyjęzonych księży, w tym wielkiego jałmużnika kardynała de Montmorency. W Wielką Sobotę minister Montmorin odczytał w Zgromadzeniu jego list do ambasadorów Francji na obcych dworach; zapewniał w nim, że z całą swobodą a probuje nową konstytucję kraju i żądał podania tego do wiadomości monarchów Europy. W Wielkanoc udał się do swego parafialnego kościoła Saint-Germain

l'Auxerrois i wysłuchał mszy odprawianej przez księdza „zaprzysiężonego” (ale komunii z jego rąk nie przyjął). Opinia paryska była zadowolona; o jego liście do ambasadorów mówiono, że jest „ostatnim namaszczeniem arystokracji”, „gwoździem do trumny kontrrewolucji”. Huśtawkę nastrojów tej opinii dobrze obrazuje Ruault: 18 kwietnia pisał, że „król się gubi, król jest zgubiony w opinii publicznej”; 24 kwietnia stwierdzał: „Jak się zdaje, król pragnąłby zawrócić i pójść w dobrej wierze razem z nami. Jeśli to prawda, jest ocalony... Ale czy to potrwa długo?”

W istocie demonstracyjne gesty Ludwika były tylko kamuflażem dla podjętych w marcu bezpośrednich przygotowań do ucieczki. Pani Campan pisała tak o stosunku pary królewskiej do wydarzeń z 18 kwietnia: „W głębi duszy nie przejęli się bardzo tą zniewagą; ujrzeni w niej motyw, który nawet w oczach ludu usprawiedliwiał ich projekt wyjazdu z Paryża”. Król sądził, że wszyscy monarchowie Europy pojmą, iż jego list z 23 kwietnia został na nim wymuszony.



UCIECZKA I KAPITULACJA

Przygotowania do ucieczki były energiczne, ale żałośnie niezręczne. Maria Antonina zapragnęła mieć kompletną wyprawę dla siebie i dla dzieci; Madame Campan próżno jej tłumaczyła, że królowa Francji wszędzie dostanie koszule i suknie. Wzmoczone zakupy zwracały uwagę otoczenia królowej, podobnie jak zlecenie wykonania ogromnego kufra podróznego. Królowa miała już podobny, wykonany w 1789 r. z myślą o ucieczce. Teraz kazała zrobić drugi taki sam i wysłać do Brukseli; miał to być rzekomo prezent dla jej siostry Marii Krystyny. Podobno przygotowania te wzbudziły podejrzliwość jednej z pań pełniących służbę przy królowej. Złożyła donos do władz miejskich, ale denuncjację zlekceważono. Hrabia Fersen zlecił wykonanie wielkiej berliny, mogącej pomieścić prócz rodziny królewskiej całą masę bagażu. Pomalowana na żółto i zielono, wyłożona w środku białym aksamitem – berlina zwracała na siebie uwagę rozmiarami i luksusem, ale za to posuwała się z dostojną powolnością. Pechowy pojazd zamieniono później na dyliżans; po paru latach spłonął doszczętnie.

Za berliną miał się posuwać powóz z pannami służącymi; wzięto również trzech rostrych a zaufanych ludzi z królewskiej straży. W razie czego pociecha z nich byłaby niewielka, bo uzbrojenie ich stanowiły... noże myśliwskie.

Ale generał de Bouille wysyłał na spotkanie króla swoich huzarów i dragonów; pierwsze oddziały miały czekać niespełna dwieście kilometrów od Paryża.

Załatwiono również fałszywy paszport. Właścicielką paszportu i główną osobą w berlinie była pani de Tourzel jako rosyjska poddana, baronowa de Korff. Dzieci króla, Madame Royale i delfin występowały jako dwie córki baronowej, Amelie i Aglae. Maria Antonina grała rolę ich guwernantki, Madame Rochet; Madame Elisabeth była boną Rozalią. Ludwik, w ciemnozielonym fraku i czarnych spodniach, pełnił obowiązki lokaja pani

Korff, Duranda.

Na odjeździe król zostawił w Tuilerych obszerną deklarację do Francuzów, pełną oskarżeń i lamentów. Żalił się na poświęcenia, do których został zmuszony: Tuilerie są niewygodne, oddalono odeń wierną straż, otoczono go gwardzistami narodowymi na rozkazach jego wrogów, wartość zabranych mu domen przewyższa znacznie sumę 25 milionów jego listy cywilnej. Deklaracja nie zostawiała suchej nitki na nowej konstytucji, którą jeszcze 23 kwietnia Ludwik „swobodnie akceptował”. Oskarżała Konstytuante, że zostawiła jedynie złudny pozór królewskiej władzy; na tych zasadach nie można rządzić takim dużym krajem jak Francja! Ludwik tłumaczył dość mętnie, że dawał sankcję dekretom Zgromadzenia, by uniknąć daremnych dyskusji i by go nie oskarżano, iż przeszkadza w dziele reform. Liczył, że „rozsądni posłowie” spowodują rewizję tych bezsensownych dekretów, ale teraz stracił już nadzieję.

Dużą część deklaracji zajmuje wreszcie wyliczanie obelg, które król musiał znosić. Obelżywe było okazywanie Neckerowi większego entuzjazmu niż monarsze, wyrażanie estymy ministrom, których król zwolnił 11 lipca, unikanie okrzyków „Niech żyje król” podczas jego podróży do Paryża 17 lipca (to oczywiście rezultat spisku jego wrogów). Obelżywe było odrzucenie przez Konstytuante krytycznych uwag króla o dekretach sierpniowych 1789 r., obelżywe były dyskusje polityczne w ogrodzie tuileryjskim, zniechęcającą stanowiło umieszczenie rodziny króla w innym miejscu, nie razem z nim, podczas święta Federacji. Do deklaracji, datowanej 20 czerwca 1791 r. dołączony był rozkaz, by ministrowie nie wydawali żadnych decyzji w jego imieniu, aż do odwołania.

Późnym wieczorem 20 czerwca podróżnicy wymknęli się ostrożnie, grupami i w przebraniu, z niedokładnie strzeżonych Tuileries; królowa cieszyła się złośliwie z krytycznego położenia, w jakie ten wyczyn wpędzi La Fayette'a, odpowiedzialnego za straż nad królem. Fersen, przebrany za stangreta, czekał w fiakrze obok pałacu. Szczęśliwie przejechano przez rogatkę Saint-Martin; strażnicy z rogatki fetowali właśnie czyjeś wesele. Nieco dalej czekała już berlina z szóstką koni. Było trochę po północy. Całą eskapadę streszcza zwięźle agenda Ludwika XVI; zacytujmy ten fragment w całości. „20 [czerwca] nic. 21, wtorek, wyjazd z Paryża o północy, przyjazd i zatrzymanie w Varennes, w Argonne, o 11 godzinie wieczorem. 22, wyjazd z Varennes o 5 czy 6 godzinie rano, obiad w Saint-Menehoul, przyjazd o godz. 10 [wieczorem] do Chalons, tu kolacja i nocleg w dawnym pałacu intendenta. 23, o godz. 11,30 przerwano mszę, by przyśpieszyć wyjazd, posiłek południowy w Chalons, obiad w Epernay, spotkanie z komisarzami Zgromadzenia niedaleko portu w Buisson, przyjazd o godz. 11 do Dormans, tu kolacja, spałem trzy godziny w fotelu. 24, wyjazd z Dormans o godz. 7.30, obiad w Fertesous-Jouarre, przyjazd o godz. 11 [wieczorem] do Meaux, kolacja i nocleg w biskupstwie. Sobota 25, wyjazd z Meaux o godz. 6.30, przyjazd do Paryża

o godz. 8 [wieczorem] bez zatrzymywania się. 26, zupełnie nic, msza w galerii. Konferencja z komisarzami Zgromadzenia. 28, wziętem na przeczyszczenie”. Godne zanotowania były głównie postoje, posiłki i noclegi.

Wedle pani de Tourzel król zaraz za rogatką stał się rozmowny i optymistyczny. „Wydostałem się więc z tego Paryża, gdzie mnie pojono taką goryczą. Bądźcie pewni, gdy już będę miał tyłek w siodle, stanę się zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego znajecie do tej pory” .Zatrzymywano się parę razy, Ludwik podobno nawet wymieniał z chłopami uwagi o żniwach. Ponoć też – relacje są sprzeczne – rozpoznano uciekinierów w Chalons, ale nie miało to żadnych złych konsekwencji. Podróżni bardzo się jednak zaniepokoiłi, gdy z opóźnieniem dwu lub trzech godzin dotarli do Pont-de-Somme-Vesle i nie zastali żołnierzy mających tam czekać. Była już godzina 18.

Eskorta huzarów stała tam od południa. Wywołała zaniepokojenie wśród chłopów, którzy zaczęli się gromadzić z kijami i strzelbami. Dowodzący oddziałem diuk de Choiseul (bratanek zmarłego ministra) bał się awantury, toteż z łatwością wytłumaczył sobie spóźnienie jako znak odwołania królewskiej ucieczki. Nie tylko wycofał się sam, ale zrujnował cały system eskorty: zawiadomił oddziały czekające nieco dalej, że impreza jest odwołana! Na domiar złego wycofał się nie traktem, lecz bocznymi wiejskimi drogami, siejąc niepokój wśród chłopów w całej okolicy. „Nieudolność arystokracji

1 wrogość chłopstwa, te dwie przyczyny rewolucji, sprzymierzyły się, by zrujnować królewskie przedsięwzięcie [ucieczki]” – pisał znakomity badacz dziejów rewolucji francuskiej, Marcel Reinhard.

W mieście Sainte-Menehould syn poczmistrza, niejaki Drouet, nabrał podejrzeń wobec pasażerów berliny; w miasteczku było już wtedy lekkie poruszenie. Powtarzano potem malowniczo, lecz chyba nieprawdziwą anegdotę, że rozpoznał Ludwika porównując go z portretem króla na banknocie.

Zgłosił swe podejrzenia władzy miejskiej i dostał rozkaz ścigania berliny. Nie było to zadanie trudne: Drouet służył dawniej w dragonach, bardzo dobrze jeździł konno i wybornie znał drogę na skróty. W Varennes zaalarmowani mieszkańcy szybko zablokowali drogę podejrzanemu powozowi; rodzina królewska została rozpoznana i zatrzymana około godziny 23. Ludwik cieszył się wolnością ruchów przez niecałą dobę. Mówiono później i pisano o jego szczególnym pechu: cały ostatni etap eskapady, od Pont-de-Somme-Vesle aż do Varennes, to swoista ciuciubabka; król rozmijał się o włos z żołnierzami Bouillego lub nie mógł skorzystać z ich ochrony, gdy jego droga i droga eskorty już się krzyżowały. Czy był to jednak pech? Nieudolność, słabość, niezdecydowanie, lęki i wahania króla oraz jego przyjaciół musiały ponieść klęskę w zderzeniu z determinacją, aktywnością, skutecznością działania patriotów – zwykłych ludzi z małych miasteczek i wsi.

Powrót był męczący – trwał całe cztery dni – i żałosny. Córka Ludwika, Madame Royale, po wielu latach wspominała straszliwy upał przygniatający uciekinierów i jeszcze gorszy niepokój. Na trasie powrotu gromadziły się tłumy chłopów i mieszkańców miast, często uzbrojone, prawie zawsze krzyczące i złorzeczące. Powszechnie uważano, że król uciekał za granicę, by spowodować obcą inwazję, obalić rewolucję, przywrócić despotyzm i feudalny reżim na wsi. Gdy pierwszego dnia powrotu, 22 czerwca, twardy

ongiś dla swych chłopów hrabia de Dampierre próbował dotrzeć do królewskiego powozu i oddać się na usługi monarchy – został w tłumie zrzucony z konia i zmasakrowany.

Wieczorem 22 czerwca nastrój się poprawił: senne miasto Chalons demonstrowało uczucia rojalistyczne. Następnego dnia był czwartek Bożego Ciała. Ludwik słuchał spokojnie mszy, gdy nagle nastrój gwałtownie się zmienił: do Chalons przybyli patrioci z Reims bardzo nieprzychylni królowi; rozpuszczono plotkę, że armia Bouillego nadciąga, aby odbić uciekinierów. Przerwano mszę i zmuszono Ludwika do pośpiesznego wyjazdu. Tegoż dnia nastąpiło spotkanie z trzema komisarzami Konstytuanty, reprezentującymi trzy różne orientacje polityczne. Poseł Petion to człowiek radykalnej lewicy, Barnave był wybitnym działaczem dominującej w Zgromadzeniu partii „konstytucjonistów”, hrabia de Latour-Maubourg należał do rojalistycznej prawicy. W wielkiej berlinie zrobiło się teraz ciasno, bo musiała przyjąć jeszcze Petiona i Barnave’a (gruby Maubourg zadowolili się miejscem w powozie służących). Oceniano to później czasem jako „bezczelność” posłów lewicy: bez sensu, ich wejście do powozu było w interesie uciekinierów, stanowiło gwarancję ich osobistego bezpieczeństwa.

Dobroduszny i naiwny demokrat Petion zostawił zapiski o tej podróży, dość pochlebne dla rodziny królewskiej; był ujęty jej prostotą i rodzinnym nastrojem w berlinie, Maria Antonina nie okazywała wyniosłości, król nie mówił głupstw. Wydało mu się nawet, że siostra króla idzie za głosem natury – Petion miał 35 lat i był przystojny – przytulając się do niego znacząco w ciasnym powozie. Nie wiedział, że królowa będzie potem szydziła bezlitośnie z jego manier: mówiła pani Campan, że Petion to prostak, który wyrzuca obgryzione kości przez okno powozu i bez słowa podbija szklanką butelkę na znak, że nalano mu już dość wina! Petion mylił się też bardzo, gdy rozmowy królowej i Barnave’a oceniał jako „obojętne”. W berlinie i na postojach działy się rzeczy ważne: nawiązywały się nici porozumienia między Koroną, reprezentowaną przez Marię Antoninę, i „konstytucjonistami” w osobie Barnave’a. W Meaux, pod pozorem zwiedzania pałacu biskupiego, w którym nocowano, królowa miała nawet ponoć dłuższą rozmowę na osobności z tym wymownym i dobrze wychowanym adwokatem. Po powrocie król rzekł Malouetowi: „Byliśmy bardzo zadowoleni z Barnave’a”. Faktem jest, że Maria Antonina radziła się Barnave’a, co para królewska ma robić w swym obecnym położeniu – i dała do zrozumienia, że grupa, do której jej rozmówca należał, mogłaby zająć uprzywilejowaną pozycję doradców Korony. Barnave i jego przyjaciele – Duport, Aleksander Lameth – już wcześniej byli tym zainteresowani.

Tymczasem zbliżano się do Paryża, gdzie panowało wielkie poruszenie. Radykalni patrioci od początku afery żądali sądu nad wiarołomnym monarchą, jego detronizacji, a w skrajnych przypadkach nawet natychmiastowego proklamowania republiki. Większość Zgromadzenia, która od dwóch lat układała pracowicie monarchiczną konstytucję, nie życzyła sobie wcale politycznej i społecznej radykalizacji procesu rewolucyjnego. Z początku usiłowano nawet lansować bezsensowną wersję o „uprowadzeniu” króla,

ale wypadło ją zarzucić: deklaracja króla z 20 czerwca dementowała ją wymownie. 25 czerwca Konstytuanta przyjęła decyzje kompromisowe: król zostanie „tymczasowo” zawieszony w swoich prawach szefa rządu, aż do wyjaśnienia jego stosunku do konstytucji; para królewska i delfin otrzymają w Tuileryach straż (co równało się aresztowi domowemu); komisarze Zgromadzenia „przesłuchają” króla i królową. Prawica i skrajna lewica były niezadowolone z takich decyzji: pierwsza protestowała przeciw aresztowaniu króla i zawieszeniu jego władzy, druga żądała co najmniej procesu sądowego wiarołomcy.

Tej samej soboty 25 czerwca odbywał się smętny wjazd rodziny królewskiej do Paryża. Aby ominąć wąskie, poplątane ulice śródmieścia, konwój okrążył miasto i jechał ku Tuileryom, bardzo powoli, przez szerokie Champs-Élysées. Podobno droga od rogatki do pałacu tuileryjskiego trwała pięć godzin! Tłumy były ogromne. Patriotyczne kluby rzuciły hasło witania króla w lodowatym milczeniu („Kto będzie wołał: Niech żyje król, zostanie obity; kto będzie króla znieważał, zostanie powieszony”). Gwardziści narodowi mieli trzymać karabiny lufą do ziemi, wszyscy mieli mieć nakryte głowy. Olbrzymi tłum stosował się do tych poleceń ze zdumiewającą dyscypliną. Pani de Tourzel pisała, że nawet mali ulicznicy wkładali na głowy jakieś brudne chustki. Król powiedział podobno witającemu go La Fayette’owi, że przekonał się, iż powszechna opinia popiera dzieło rewolucji; Maria Antonina wychodząc z berliny miała chwilę grozy; mówiła potem, że bała się, iż jej wrogowie wydadzą ją w ręce tłumy lub oddzielą od króla i odeślą do więzienia.

Następnego dnia wyznaczeni przez Konstytuantę posłowie przesłuchiwali Ludwika w Tuileryach. Tłumaczył, że nigdy nie zamierzał opuszczać Francji (w rzeczywistości nie wykluczał przekroczenia granicy); mówił, że chciał być blisko linii granicznej na wypadek ewentualnej obcej inwazji (myślał chyba o cesarskiej demonstracji zbrojnej, którą sam prowokował); zaprzeczał kłamliwie, by miał jakieś poufne kontakty z obcymi dworami i emigrantami; wreszcie opowiadał, że wyjechał, gdyż krążyły pogłoski, iż jest pozbawiony wolności, i chciał tym plotkom zadać kłam. Było to zupełnie sprzeczne z jego deklaracją sprzed sześciu dni. Co się tyczy Marii Antoniny, ta rychło odzyskała kontenans: kazała powiedzieć posłom, że ich nie przyjmie, ponieważ jest w kąpieli. Gdy pojawili się znowu, stwierdziła po prostu, że wyjechała, bo jej miejsce jest zawsze obok męża.

Ludwik mógłby teraz dopisać nowe punkty do swojej listy zniewag i upokorzeń; tym razem z większą słusnością. Nadzór Gwardii Narodowej nad nim, jego żoną i synem był bardzo rygorystyczny; nie spuszczano ich z oka przez całą dobę. Po mieście krążyły fantazyjne opowieści o bezceremonialności gwardzistów: któryś podobno zobaczył w środku nocy, że królowa nie śpi, usiadł więc na jej łóżku i zaproponował... konwersację! Krążyła anegdota o tym, jak król ukrył się przed swymi strażnikami za ściennym gobelinem i jak szukano go wszędzie. Dopiero gdy grenadierzy Gwardii Narodowej zaczęli wyłamywać drzwi, do których nie znaleźli klucza, „król nagle pokazał twarz zza rogu gobelinu: *eh bien*, jestem tutaj – rzekł szyderczo”.

Działy się jednak rzeczy poważne. By zrozumieć dalszy bieg wydarzeń,

trzeba je rzucić na tło politycznego układu sił w tamtych letnich miesiącach 1791 r. Najzacieklej potępiali króla posłowie demokratycznej lewicy z Robespierrem; w Konstytuancie byli nieliczni, ale mieli potężne zaplecze w radykalnych klubach i rozbudzonej politycznie awangardzie ludowej. Większość w Zgromadzeniu mieli „konstytucjoniści”, twórcy nowej, liberalnej i monarchicznej konstytucji. Dwa główne ośrodki tej wielkiej, lecz mało spójnej partii to grupy skupione wokół La Fayette’a (fayetteyści) i wokół triumwiratu Lameth-Duport-Barnave (lamethyści). Bardzo już im było spieszo zakończyć rewolucję i ustabilizować Francję na podstawach „ich” konstytucji. Nie zgodzali się więc na eksploatację ucieczki do Varennes przez lewicę, na radykalizowanie nastrojów i gnębienie króla. Liczyli na to, że upokorzony i zdyskredytowany w opinii monarcha znajdzie się pod ich kuratelą, jeśli to oni go uratują. Gotowi byli nawet zgodzić się na lekkie retusze w konstytucji – już prawie gotowej, ale jeszcze nie proklamowanej – w duchu wzmocnienia władzy monarszej. Skoro to oni mieli królem manewrować, cóż im szkodziło trochę zwiększyć jego prawa?

Na prawo od „konstytucjonistów” były drobne grupy, które dziś nazwalibyśmy centroprawicą. Tak zwani *monarchiens* – ich ideologię wypracowali jeszcze w 1789 r. posłowie Malouet, Lally-Tolendal, Mounier – popierali, owszem, projekt monarchii konstytucyjnej; uważali wszelako, że konstytucjoniści posuwają się na drodze reform stanowczo za daleko. Zbliżeni do nich, ale jeszcze bardziej umiarkowani, byli tak zwani *monarchistes*, inspirowani przez ludzi spoza Zgromadzenia: ministra spraw zagranicznych Montmorina i Bertranda de Molleville, który jesienią 1791 r. obejmie ministerstwo marynarki. To jedyni ministrowie, do których Ludwik XVI miał jeszcze osobiste zaufanie.

W okresie po Varennes pojawiły się próby wspólnej akcji konstytucjonistów i grup prawego centrum w imię obrony króla i „porządku” przed „tyranią klubów”. Tym bardziej protestowała przeciw jakimkolwiek represjom w stosunku do króla rojalistyczna prawica, wciąż jeszcze liczna w Konstytuancie, choć osłabiona emigracją wielu posłów. Podobnie jak konstytucjoniści, rojaliści prawicowi tworzyli dużą a niespójną partię; byli wśród nich szlachecy konserwatyści, niechętni despotyzmowi, byli także zwolennicy powrotu do stanu sprzed 1789 r. Prawica nie była zachwycona ucieczką króla: miano mu za złe, że wystawił swych najwierniejszych zwolenników na pastwę rewolucjonistów, na łup „rewolucyjnej furii” (która zresztą wcale się nie rozpętała). Niemniej w początkach lipca 300 posłów prawicy ogłosiło solenny protest przeciw atakom na królewski autorytet.

Gwałtowny przypływ nastrojów radykalnych, a nawet republikańskich skłonił Konstytuante do szybkiego likwidowania afery. 15 i 16 lipca uchwalono respektować nietykalność króla, co wykluczało postawienie go przed sądem; uznano, iż padł on ofiarą złych doradców, głównie Bouillego (ten też był już nietykalny, bo uszedł za granicę); zadecydowano, że Ludwik odzyska władzę, gdy zaakceptuje konstytucję po jej uchwaleniu przez Zgromadzenie. Można było wprawdzie wątpić w szczerość takiej akceptacji, gdy się pamiętało królewską deklarację z 20 czerwca,

obnażającą bezlitośnie jego wcześniejszą podwójną grę. „Potrzebny by nam był inny dom królewski – pisał Ruault. – Bourbonowie nigdy nie pokochają tej konstytucji”.

I jeszcze: „Jaki patriota, jaki arystokrata uwierzy kiedykolwiek, że ten, kto tak niegodziwie uciekł od nas 21 czerwca, stał się nagle naszym przyjacielem... Ludwik XVI nie jest, nie może być człowiekiem dla nas”. Wszelako zwolennicy zatuszowania afery posługiwali się oświadczeniami króla, który kilka razy (La Fayette'owi, komisarzom Konstytuanty) powtarzał, że jego podróż do Varennes i z powrotem oświeciła go co do rzeczywistych nastrojów społecznych i skłoniła do respektowania woli powszechnej.

Decyzje z 15 i 16 lipca przyniosły głęboki rozłam w szeroko pojętej partii patriotów. Umiarkowani opuścili klub jakobinów tworząc nowy klub feuillantów. W niedzielę 17 lipca Gwardia Narodowa ostrzelała spokojną manifestację republikańców na paryskim Champ-de-Mars: było około 50 trupów. „Cały Paryż jest strapiony, rozwścieczony i oburzony” – pisał stary rentier Celestyn Guittard, którego dziennik jest, podobnie jak listy Ruaulta, dobrym echem mieszczańskiej opinii. Po tej masakrze przysły represje wobec radykałów, wielu działaczy aresztowano, Konstytuanta szykowała dekrety ograniczające wolność prasy i swobodę działania klubów.

Ludwik XVI mógł tylko się cieszyć z tego rozłamu wśród patriotów: uspokoił on jego obawy, skłonił do przekonania, że i w przyszłości działać będzie podobny mechanizm, to znaczy że gdy radykałowie zaczną podnosić głowę i zagrażać królowi, umiarkowani ich poskromią. Do końca zresztą nie wierzył, by ruch radykalny, skupiony wokół klubu jakobinów, stanowił realną siłę. Wedle Maloueta król i królowa żywili do jakobinów raczej pogardę niż strach: „Przypuszczali, że są bardziej skorumpowani niż fanatyczni. Stąd to zgubne zaufanie do świadczeń pieniężnych”. Akcja przekupywania rewolucjonistów trwała aż do końca.

Elementy strategii Ludwika XVI w ostatnim roku jego rządów wyjaśnia przejrzyście Malouet, który był wówczas z nim dość blisko. Jego zdaniem król i Maria Antonina „polegali głównie na podziałach między konstytucjonistami i jakobinami... Nie wątpili, że ci pierwsi jako liczniejsi i silniejsi wezmą górę nad republikańcami i że spontanicznie żądać będą władzy króla i umacniać ją, gdy tylko ujrzą, iż jest zagrożona. Ale, ponieważ przypisywali konstytucjonistom pierwszą rewolucyjną eksplozję i nieszczęścia, które stąd wynikły, więc też nie mogli przewyciężyć uraz do nich żywionych i nie chcieli mieć w stosunku do nich żadnych wyraźnych zobowiązań”.

W takiej sytuacji dość ożywione kontakty Marii Antoniny z Barnavem, reprezentantem konstytucjonistów, które się teraz rozwinęły, były tylko mydleniem oczu. Rojaliści, którzy te kontakty przewąchali, mieli je parze królewskiej za złe; nie byli wcale pewni, czy jest to tylko podwójna gra. Ale tak właśnie było. Oto klasyczny przykład. Cesarz Leopold zapowiedział spotkanie z królem Prus w Pillnitz na dzień 25 sierpnia: monarchowie mieli tam m.in. zająć stanowisko w sprawie Ludwika XVI. Barnave usilnie doradzał Marii Antoninie, by wpłynęła na swego cesarskiego brata w duchu umiaru i dyskrecji; tłumaczył jej, że wojna z

Niemcami; stałaby się niechybnie wojną narodową i rewolucyjną, groźną dla umiarkowanej konstytucji i wręcz dla monarchii. Królowa napisała w tym duchu do brata – i zaraz odwołała apel: wyjaśniła Leopoldowi, że w jej obecnym położeniu musi robić i pisać to, czego się od niej wymaga. Maria Antonina liczyła już tylko na pomoc innych mocarstw: na czele królów stanąć powinien właśnie cesarz i „zrobić z tym wszystkim porządek”. Słuchała tę opinię mężowi i ambasadorowi Wiednia, hrabiemu Mercy-Argenteau; zarazem udawała, że słucha uważnie rad Barnave’a. Co do króla, nie angażował się tak bezpośrednio w tę podwójną grę. Wolał oczywiście grupę Barnave’a od La Fayette’a i jego przyjaciół; uważał komendanta Gwardii Narodowej, strzegącej go w Tuilerych, za swego „siecacza”. Chętniej jednak rozmawiał nie z Barnavem, lecz z ludźmi „prawego centrum”, których opinie były jeszcze bardziej umiarkowane: z Montmorinem czy Malouetem. „Król – pisze Malouet – lubił moje opinie polityczne i podzielał je; ale co do ich realizacji, to uważał, że jestem zbyt obcesowy, zbyt się śpieszę z podejmowaniem rozstrzygających decyzji”. To również było złudzenie: Ludwik podzielał opinie twardego Breteuila, a nie reformatorskiego Maloueta. O tym, czy i co reformować – chciał decydować sam, nie godził się wewnętrznie na żadną konstytucję narzuconą przez Zgromadzenie Narodowe. Deklaracja z 23 czerwca 1789 r. to było jego ostatnie słowo!

Nie zmartwił się więc zbyt, gdy grupa Barnave’a poniosła klęskę w swych wysiłkach zrewidowania konstytucji i umocnienia władzy króla. W początku sierpnia projekt takich zmian pojawił się w Konstytuancie. Ale wielka część posłów, która dotąd uprzejmię popierała liderów „partii konstytucyjnej”, tym razem zaczęła się buntować. Zadawano sobie pytanie, czemuż to król-wiarołomca, amnestionowany wielkodusznie przez Zgromadzenie, miałby jeszcze być premiowany za ucieczkę! Z projektu rewizji konstytucji prawie nic nie wyszło; 3 września 1791 r. tekst ustawy zasadniczej przedstawiono królowi.

Akceptacja konstytucji miała być ceną przywrócenia mu władzy. Konstytucja, w intencji Zgromadzenia, mogła być przez króla jedynie przyjęta lub odrzucona w całości, bez prawa do poprawek. Jej odrzucenie traktować miano jako abdykację. Ludwik przeżył teraz kilka trudnych dni. Właśnie niedawno dotarła do Paryża deklaracja zjazdu w Pillnitz, z 27 sierpnia: cesarz i król pruski wspominali o akcji zbrojnej dla położenia kresu nieporządkom we Francji i ułatwienia stabilizacji monarchicznej, co bardzo rozsierdziło rewolucjonistów; ale Dwór się nie łudził: malutka klauzula o potrzebie zgody na tę akcję „wszystkich monarchów Europy” całkowicie niweczyła znaczenie tych pogroźek. W tym samym końcu sierpnia Barnave przedłożył królowej staranny memoriał ukazujący korzyści, jakie władzy królewskiej zapewnia konstytucja. Miał o tyle rację, że król Francuzów, wsparty na solidnej większości parlamentu (tak zwanej Legislatywy) i lojalnie z nią współpracujący – mógłby mieć w państwie niemało do powiedzenia. Ale królowa uważała całą tę konstytucję za stek nonsensów politycznych, jej małżonek zaś nie miał ochoty być lojalnym elementem konstytucyjnego systemu.

Co do Ludwika, radził się on Montmorina i Maloueta: sądzili oni, że król

powinien napisać wyraźnie, jakie wady dostrzega w konstytucji. Ale Ludwik uważał przecież, że główną wadą konstytucji jest to, że istnieje i ma obowiązywać. Ministrowie, poza Montmorinem, naciskali króla na przyjęcie konstytucji; tak samo, choć z pewnymi zastrzeżeniami, Mercy-Argenteau. Napłynęło wiele innych jeszcze rad i memoriałów, także z zagranicy. Za odrzuceniem konstytucji opowiedział się słynny brytyjski konserwatysta Burke, autor głośnych *Refleksji o rewolucji francuskiej*, a także obaj bracia królewscy. Obaj, bo w czerwcu za granicą znalazł się i hrabia Prowansji. Uciekał w tym samym czasie, co i król, ale inną drogą (do Brukseli) i z większym szczęściem.

13 września Ludwik zawiadomił listownie Konstytuante, że zgadza się przyjąć konstytucję; wspomniał dyskretnie o jej słabościach, ale dodawał, że czas będzie ich sędzią. Nazajutrz udał się do Konstytuanty, by złożyć przysięgę na wierność konstytucji. Zaskoczyło go to, że posłowie siedzieli; nastrój sali uznał za nieprzychylny, a przemówienie prezydenta Zgromadzenia za bezczelne. Wedle pani Campan po powrocie do pałacu król popłakiwał przed żoną („Ach, Madame, czemuż uczestniczyłaś w tym posiedzeniu!”); królowa była wściekła i groziła wyjazdem do Wiednia. Na razie jednak pojechała z mężem do miasta oglądać wspaniałą iluminację. Dzień proklamowania konstytucji, 14 września, był świętem: w Paryżu zabawy ludowe, tańce, rozdawanie żywności; wszystkie sprawy związane z wydarzeniami rewolucji objęła ogólna amnestia.

Para królewska robiła dobrą minę do złej gry, bywała znów na spacerach i w Operze. Król zapewniał swe otoczenie, że zrobi wszystko, by konstytucja weszła w życie; zakazał jakichkolwiek uwag o jego postępowaniu w tej mierze. Ale zarazem pisał sekretne listy do władców Rosji, Hiszpanii, Austrii, Prus i Szwecji; prosił ich o zwołanie kongresu monarchów popartego siłą zbrojną: jego nacisk miałby „powstrzymać tu wichrzycieli i dać środki do ustanowienia bardziej pożądanego stanu rzeczy”. W instrukcjach słanych do Brukseli dla wiernego Breteuila Ludwik był zupełnie szczery: „Jest jasne... że nie mogę w duchu aprobować rewolucji i tej konstytucji, absurdalnej i szkaradnej, która mnie lokuje poniżej tego, czym był król Polski”.

Zarzucono potem wiele razy konstytucji z 1791 r. że była źle skonstruowana. Konstytuanta łudziła się, że tworzy ustrój o wielkiej trwałości; jej produkt przetrwał jedynie 11 miesięcy. Czy to dowód jego absurdalności? Chyba nie; przecież konstytucja monarchiczna nie może się sprawdzić, gdy król wyposażony w sporą władzę jest wobec niej nielojalny.



REWOLUCJA NIE JEST ZAKOŃCZONA

Po proklamowaniu konstytucji władze rozkleiły w Paryżu plakaty z napisem: „Rewolucja jest wreszcie zakończona”. Jakiż optymizm! Już na samym początku funkcjonowania nowego ustroju można było w to wątpić.

Pierwsze dni były nawet obiecujące. Barnave radził popularyzować osobę króla. Ludwik pokazywał się więc znów publicznie, jego portrety,

często alegoryczne, a także budujące sceny z życia rodzinnego monarchy pojawiały się masowo. I były kupowane. Ludwik mówił dużo o pojednaniu narodowym, społecznym ładzie, perspektywach dobrobytu.

Z pewną zwłoką, która zirytowała posłów, pojawił się w nowym parlamencie, Legislatywie, dużo radykalniejszym politycznie od Konstytuanty. Nie było tu rojalistycznej prawicy, nad większością panowali feuillanci, tj. umiarkowani zwolennicy uchwalonej właśnie konstytucji. 7 października król wygłosił w Legislatywie programową mowę, którą mu ułożył oczywiście Barnave. Była zręczna i została dobrze przyjęta. Mówił więc król o potrzebie ładu i spokoju – także w stosunkach z innymi państwami; wzywał Legislatywę do współpracy w imię ochrony porządku i własności; obiecywał zaprowadzić ład w armii i w ambasadach: to ważne, bo opinia niepokoiła się, że wśród oficerów i dyplomatów jest mnóstwo wrogów nowego ustroju. Dyskretnie przemilczał sprawę konfliktu religijnego, rozwiódł się natomiast nad potrzebą opieki społecznej, edukacji ludu, a przede wszystkim postępu ekonomicznego. Mówił o pomyślności powszechnej, o rozwoju handlu, przemysłu, rolnictwa. Jakobini sarkali, że chciał odwrócić uwagę od palących kwestii politycznych, że te ekonomiczne wywody – bardzo zresztą ogólnikowe – miały na celu odesłać lud do warsztatów, zniechęcać go do polityki. Ale w sumie program królewski miał w opinii publicznej dobrą prasę.

Tylko jedno: kto go miał realizować? Ministrowie byli bardzo mierni, nowy parlament ich nie popierał, sam król miał zaufanie tylko do jednego z nich (Montmorina, a po jego odejściu w listopadzie do Bertranda de Molleville). Grupa Barnave'a zaklinała Ludwika, by powołał nowy rząd, solidarny, działający kolegalnie, złożony z inteligentnych ministrów. Myśleli oczywiście o swoich ludziach. Król puszczał to mimo uszu, na naradach z ministrami starym zwyczajem lubił podrzemywać.

Tymczasem na horyzoncie były już burzowe chmury. Królewska aprobata dla konstytucji wywołała konsternację i gniew szlachty; oto król, jej wielki patron, pierwszy szlachcic państwa, kładł ciężki kamień na grobie szlacheckich przywilejów! Jesienią 1791 r. ruszyła wielką falą emigracja szlachty za granicę. W różnych miastach powstały biura mające ją ułatwiać, pamiętnikarze (markiz de Ferrieres, baron de Frenilly) twierdzili, że często zmuszano ludzi do emigracji zmasowanym naciskiem i groźbami. Książę de Pradt pisał, że młodym ludziom ociągającym się z wyjazdem kobiety posyłały kądziel, symbol zniewieścienia. Głównym celem tego exodusu stała się Nadrenia, gdzie od połowy 1791 r. zainstalowali się obaj bracia króla (w Koblencji, należącej do ich wuja elektora Trewiru) oraz książę de Conde (w Wormacji). Wnet obok tych książąt krwi zaczęły wyrastać pierwsze zarysy emigracyjnej siły zbrojnej. Nowi emigranci wciąż ją zasilali. „Koblencja – pisał Augéard – była kloaką intryg, kabał, głupstw, malwersacji i małpowania dawnego dworu królewskiego”.

Król utrzymywał kontakty z emigrantami przez zaufanych posłańców lub nawet przez pocztę (listy wysyłano przez Szwajcarię, w okładkach bardzo rewolucyjnych książek). Starał się uspokoić książąt, tłumaczył im, że akceptacja konstytucji to tylko wybieg. Księciu de Brissac, jednemu z

zaufanych, rzekł podobno, iż zdecydował się zupełnie nic nie robić, czekać spokojnie, jeśli trzeba to nawet dwa i trzy lata – dopóki zmęczony lud nie przywróci mu właściwego miejsca; jego życzeniem jest, by szlachta postępowała zupełnie tak samo.

Maria Antonina spotykała się z wpływowymi działaczami szlacheckiej prawicy, namawiała, by miast emigrować szlachta wstępowała do straży, którą konstytucja przyznała królowi. Rezultaty tych zabiegów były jednak nikłe. Ci spośród szlachty, którzy nie zdecydowali się na emigrację, złorzeczyli bezlitośnie konstytucji. Ba, część szlachty dochodziła czasem do wniosku, że w istocie „wściekli jakobini” byliby lepsi od „półśrodkowców”, umiarkowanych, to jest dawniejszych konstytucjonistów i obecnych feuillantów. Rządy jakobinów przyniosłyby „totalną ruinę”, chaos – a z chaosu mógłby się odrodzić dawny porządek; natomiast „półśrodkowcy” chcą ustabilizować ustrój konstytucyjny, który pogrzebał przywileje stanowe, to zaś jest naprawdę groźne. Opinie takie docierały i na dwór. Madame Campan pisze, iż „najbardziej wyuzdane zamieszki zdawały się już lepsze [od stabilizacji], bo podtrzymywały nadzieję zupełnej zmiany”; naiwnym, którzy się skarżyli na radykalne kluby, „wtajemniczeni odpowiadali, że prawdziwy rojalista powinien czule kochać jakobinów”. Pojawiały się nawet próby jakichś kontaktów między skrajną prawicą i skrajną lewicą, jakieś – choćby nie uzgodnione – wspólne działania przeciw umiarkowanym. Popularna w tym czasie gawiura przedstawiała La Fayette’a wieszanego na latarni „połączonymi siłami arystokratów i demokratów”!

Sytuację zaognioną przez wrogość szlachty i falę emigracji pogarszały tej jesieni 1791 r. zamieszki na tle religijnym. Podsycany przez deklaracje papieskie fanatyzm „opornych” księży pobudzał do wystąpień część wiernych i prowokował reakcje patriotów. W niektórych prowincjach, zwłaszcza na zachodzie i południu, połała się krew.

Maria Antonina skarżyła się w liście do Fersena, że pałac tuileryjski stał się piekłem, jego lokatorzy nie mają szans porozumienia i należałoby klócić się codziennie. Królowa nadal chciała zwodzić umiarkowanych (ale rozczarowany Barnave w listopadzie dał za wygraną i wrócił do domu, do Grenoble). Nienawidziła emigrantów, stawiała na siłę zbrojną cesarza. Madame Elisabeth popierała Koblencję i opornych księży. Król był zły na braci, że chcą z Koblencji zrobić emigracyjną stolicę Francji a z hrabiego Prowansji – regenta; oskarżał ich przygotowania wojenne jako groźne dla bezpieczeństwa rodziny królewskiej. Sam nie miał jednak żadnego planu poza myślą o „przeczekaniu”, aż się lud sfatyguje i poza nadziejami na presję „zbrojnego kongresu” monarchów. Ponieważ zaś stosunki z Niemcami wyraźnie się pogarszały, zaczął rozważać swe szanse w perspektywie ewentualnej wojny. W cytowanych już instrukcjach dla Breteuila z grudnia 1791 r. twierdził, że „stan fizyczny i moralny Francji” nie pozwoli krajowi na przetrzymanie nawet połowy kampanii wojennej. Liczył na to, że klęska wojenna skłoni Francuzów do zniszczenia „nowej budowli”, to jest porewolucyjnego ustroju; rozumiał jednak, iż może ona zwrócić Francuzów przeciw królowi, jeśli uznają, że to on jest winowajcą katastrofy. „Moje postępowanie musi być więc takie, by w nieszczęściu

naród ujrzał jedyny ratunek rzucając się w moje ramiona”.

Wniosek to niegłupi, ale z jego realizacją było dużo gorzej. Oto w listopadzie 1791 r. Legislatywa uchwaliła cztery ostre dekrety przeciw kontrrewolucyjnemu zagrożeniu. Pierwszy nakazywał emigrantom, by do Nowego Roku zrezygnowali z udziału w „zbrojnych zgrupowaniach” pod karą śmierci i konfiskaty dóbr. Drugi wzywał hrabiego Prowansji, by w ciągu dwu miesięcy wrócił do kraju pod sankcją utraty praw do tronu. 29 listopada uchwalono jeszcze dwa dekrety. Wezwano króla, by zażądał od książąt Nadrenii zlikwidowania emigranckich „zbrojnych zgrupowań”; opornym księżom zagrożono represjami. Duchowny, który nie złożyłby nakazanej przysięgi na konstytucję, utraci swe pobory; jeśli zaś w jego komunie wybuchną zamieszki religijne, to on będzie za nie odpowiadał.

Ludwik zatwierdził bez oporu dekrety w sprawie hrabiego Prowansji i apelował do książąt z Nadrenii; założył natomiast weto przeciw dekretom o represjach wobec emigrantów i opornych księży. Korzystał ze swoich konstytucyjnych praw, ale narażał się bardzo szerokiej opinii. Jak można, pytano, wykorzystywać konstytucję dla osłaniania jej wrogów? Pozytywne efekty popularyzowania króla zaprzepaściło to „podwójne weto”, pojawiły się karykatury króla z dwiema głowami. Jedna zapewniała, że zachowa konstytucję, druga zapowiadała, że ją zniszczy!

Późną jesienią 1791 r. dokonana się wreszcie rekonstrukcja rządu. Najpierw marynarce dostał Bertrand de Molleville, potem zniechęcony Montmorin złożył dymisję, a sprawy zagraniczne wziął Delessart. Sprawy wewnętrzne po Delessarcie dostał bezbarwny adwokat Cahier de Greville. Wreszcie ustąpił minister wojny Duportail, a jego portfel otrzymał hrabia de Narbonne, który uchodził za syna Ludwika XV; młodszy o rok od króla, byłby więc jego naturalnym stryjem. Narbonne miał ambicję, pragnął być faktycznym szefem rządu. Ale rada ministrów była teraz bardziej niż kiedykolwiek skłócona. Wyróżniali się w niej trzej ministrowie – i każdy ciągnął w inną stronę. Delessart, lamethysta, bał się wojny; Narbonne, fayettysta, był wojowniczy; Bertrand reprezentował orientację królewską. Klócili się między sobą, mieli też złą opinię w Legislatywie, która maltretowała ich czasem bez litości.

Sprawa wojny stała się teraz głównym problemem politycznym. Jakobini w większości opowiadali się za wojną. Sądzieli, że konflikt jest tak czy owak nieunikniony. Ich zdaniem wojna to wielka szkoła cnót obywatelskich dla patriotów; chwiejnych zmusi ona do wyraźnego opowiedzenia się, zakapturzonych wrogów zdemaskuje. „Partia wojenna” jakobinów perspektywy zwycięstwa oceniała z wielkim optymizmem. To samo się odnosi do fayettystów. La Fayette liczył na szybki sukces militarny, który umocni jego prestiż polityczny; otrzymał on dowództwo jednej z trzech armii i nie wątpił, że na wojnie da sobie radę z Niemcami. Para królewska ze znanych powodów także gotowa była pójść na ryzyko wojny. Przeciw tym wojowniczym nastrojom wystąpiła jedynie tracąca rozmach i wpływy grupa lamethystów oraz mniejszość jakobinów z Robespierrem.

Na przełomie 1791 i 1792 r. wydawało się, że perspektywa wojny się oddala. Apel Ludwika do książąt Rzeszy o rozproszenie emigranckich

oddziałów poskutkowało. Rychło się jednak okazało, że Niemcy nie rezygnują z agresywności. Zacieśniał się alians Austrii i Prus, cesarz Leopold nie żałował Francuzom obraźliwych upomnień i pogróżek. Był to jeszcze ciągle system zastraszania; Wiedeń nie stawiał na razie na wojnę, ale na zbrojną demonstrację z udziałem Rosji, Prus, Szwecji. Nacisk mocarstw miał umożliwić Ludwikowi gruntowną rewizję konstytucji i umocnienie swej władzy. Cesarz obawiał się, że wypowiedzenie wojny Francuzom zagrozi bezpieczeństwu rodziny królewskiej. W Tuileryach te obawy żywiono również, ale teraz osłabły one nieco; w lutym 1792 r. zaczęła wreszcie funkcjonować „straż konstytucyjna” króla, 1800 wiernych rojalistów dowodzonych przez diuka de Brissac. To zabezpieczało pałac tuileryjski przed jakimś bezpośrednim atakiem. Ponadto wierny intendent listy cywilnej, Laporte, zdawał swe korupcyjne wysiłki; para królewska liczyła, że kupując działaczy rewolucyjnych zapewni sobie bezpieczeństwo.

Ale reakcje na pogróżki Wiednia były w Paryżu gwałtowne. Już w styczniu 1792 r. zaczęto oskarżać parę królewską i jej doradców, że tworzą „komitet austriacki”, polityczną ekspozyturę Wiednia! Jedyny zaufany minister króla, Bertrand de Molleville, tak był maltretowany w Legislatywie, że z początkiem marca złożył dymisję. Król, niejako dla równowagi, dał dymisję hrabiemu Narbonne. Z kolei Legislatywa odpowiedziała odesłaniem Delessarta przed Trybunał Narodowy, który miał prawo sądzić ministrów; zarzucano Delessartowi, że w pertraktacjach z Niemcami narażał na szwank francuskie interesy i ukrywał niektóre elementy sytuacji międzynarodowej przed parlamentem. Odejście Delessarta było gwoździem do trumny pacyfistycznej polityki lamethystów; spowodowało też dymisję pozostałych ministrów.

W obliczu grożącej wojny król miał więc pełny kryzys rządowy. Lamethysta Dupont doradzał mu zamach stanu; łatwiej było radzić niż to zrobić! Fayetteyści mieli własnych kandydatów na ministrów. Ludwik ich odrzucił i zaskoczył opinię śmiałym manewrem. Za radą Laporte'a, którego rola rosła teraz wyraźnie, postanowił dać teki ministerialne jakobinom. Krok był zręczny: przede wszystkim oddalić miał od Dworu i rządu oskarżenia o brak patriotyzmu, a tym bardziej o zdradę; oczyścić miał ciężką atmosferę, która od czasu „podwójnego weta” narastała wokół Tuilerii. Wejście do rządu wojowniczych jakobinów przyspieszało też marsz ku wojnie. Była ona już nieunikniona: właśnie przyszła wiadomość o nagłej śmierci cesarza Leopolda w dniu 1 marca; jego syn i następca, Franciszek II, miał reputację agresywnego wroga rewolucji. Przychodziły też wieści o odtwarzaniu się w Nadrenii, po krótkiej przerwie, emigracyjnej armii książąt. Jeśli jednak wojna była nieuchronna, to w interesie Ludwika XVI było, aby w jej wypowiedzeniu Francja wyprzedziła Franciszka II; rząd jakobiński stwarzał szansę takiego manewru. Wreszcie Laporte i jego przyjaciele nawiązali kontakty z jakobinami wojowniczej orientacji, której liderem był Brissot; raportowali królowi, że w poufnej rozmowie są oni dużo „rozsądniejsi” niż na trybunie parlamentarnej czy klubowej. Jakobin-minister, mówili ludzie Laporte'a, niekoniecznie przecież będzie ministrem jakobińskim!

Ministrem spraw zagranicznych został tedy 15 marca mianowany generał Dumouriez, stary znajomy króla z Cherbourga. Rządził on też resortem wojny przez ministra de Grave'a, swą kreaturę. Dumouriez, udający radykalnego jakobina, był więc główną postacią w rządzie, choć nowy minister spraw wewnętrznych, Roland, nie zawsze mu się poddawał; to samo dotyczy ministra finansów Claviere'a, przyjaciela Brissota. Inni ministrowie – Lacoste, Duranthon – byli figurantami; Dumouriez wygrywał ich przeciw swym kolegom, Rolandowi, Claviere'owi oraz pułkownikowi Servanowi, który w maju zastąpił nieudolnego de Grave'a.

20 kwietnia król udał się do Legislatywy z wnioskiem rządowym o wypowiedzenie wojny „królowi Czech i Węgier” (Franciszek II nie był jeszcze cesarzem Rzeszy, jego elekcja dokonała się dopiero w lipcu). Parlament odbył burzliwą i wielce patriotyczną dyskusję. Gdy zarządzono głosowanie nad wnioskiem króla, cała sala wstała: ledwie siódemka posłów głosowała przeciw wojnie. Wojenny entuzjazm posłów nie był wcale zjawiskiem powszechnym. „Uważam – pisał Celestyn Guittard – że ryzyko jest wielkie; zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie. W konflikcie sądowym często lepiej się ugodzić niż procesować: tutaj to nie będzie możliwe, chyba że cały naród tego zechce”. Wnet się okazało, że naród nie ma wyboru; musi, jak mówiono, *vaincre ou mourir*, zwyciężyć lub umrzeć. Śmierć monarchii stała się jednym z warunków zwycięstwa narodu; wojna, miast uratować, pogrążyła Ludwika.



KATASTROFA

Po powołaniu rządu Dumourieza król nosił się z zamiarem stworzenia równoległej tajnej rady, swego rodzaju gabinetu cieni; chciał w tym gronie widzieć Montmorina, Maloueta, arcybiskupa Aix Boisgelina, księdza Montesquiou. Sami ci panowie wyperswadowali mu ów pomysł. Montmorin i Malouet doradzali, by zająć się skupianiem sił zbrojnych i politycznych pod sztandarem króla. Proponowali wesprzeć się na lojalnych oddziałach straży konstytucyjnej, gwardii szwajcarskiej, prowincjonalnej Gwardii Narodowej; chcieli skrzyknąć rozproszonych, lecz licznych przecież rojalistów. Sądziło się, że szefem takiej partii mógłby być Rochambeau lub La Fayette.

Krół nie okazał zainteresowania dla tego planu. Montmorin i Malouet błagali go więc, by przynajmniej wyznaczył jakiegoś szefa sił obronnych monarchii. Po dwóch miesiącach namysłów Ludwik zdecydował się na 84-letniego marszałka de Mailly, który już do niczego się nie nadawał. Królowi bardziej odpowiadały pomysły Bertranda de Molleville i Laporte'a, którzy stawiali po prostu na drobne intrygi i przekupywanie rewolucjonistów.

Atmosfera w Paryżu już zimą 1792 r. była bardzo nerwowa. Egzaltacja wojenna łączyła się z obawą zdrady; w lutym prosty lud, odsunięty od służby w Gwardii Narodowej, z inspiracji jakobinów zbroił się w piki przeciw wewnętrznym wrogom. Rozdrażnienie mas powiększały kłopoty aprowizacyjne. Przez dwa pierwsze lata rewolucji Francja żyła świetnym

urodzajem; zbiory roku 1791 były jednak marne. Rebelia w antylnskich koloniach Francji zakłóciła dostawy cukru i kawy. Negocjanci i hurtownicy zaczęli spekulować. Skumulowanie się tych wszystkich zjawisk przyniosło drożyznę, braki w zaopatrzeniu i ludowe zamieszki. Zimą 1792 r. nie ominęły one Paryża, lud atakował sklepy i hurtownie.

Atmosfera była więc od dawna już nerwowa, gdy tuż po wypowiedzeniu wojny przysły wiadomości o klęskach na froncie. Ponieważ jeszcze niedawno Narbonne bąkał o wspaniałym przygotowaniu militarnym Francji, porażki te opinia zaczęła sobie tłumaczyć zdradą. Powróciły z całą mocą pogłoski o konszachtach Tuileriów z wrogiem, o „komitecie austriackim” otaczającym króla. Pogłoski były trafne, choć oskarżycielom brakowało dowodów. Tuż przed wypowiedzeniem wojny Maria Antonina przekazała ambasadorowi Mercy-Argenteau zarys planu francuskiej kampanii wojennej. „Pan Dumouriez... ma tu zamiar, zacząć pierwszy, atakiem na Sabaudię i innym jeszcze, przez teren [biskupstwa] Liege. Do tego drugiego ataku ma służyć armia La Fayette’a. Oto rezultat wczorajszej (25 III 1792) Rady; dobrze jest znać ten projekt, by się strzec i podjąć wszystkie stosowne środki. Jak się zdaje, nastąpi to niebawem”. List był szyfrowany; o zdradzie królowej oczywiście nikt nic nie wiedział, ale domyślano się podobnych konszachtów.

Ludwik także miał swoje kontakty z wrogami. W maju wysłał do Niemiec przez Szwajcarię publicystę Malleta du Pan. Miał on udać się do Nadrenii, Wiednia i Berlina. Królowi chodziło o sparaliżowanie politycznych i militarnych ambicji emigrantów oraz o przygotowanie dla niego decydującej roli w momencie zwycięstwa Niemców nad Francją. To Ludwik XVI miał być jedynym arbitrem w konflikcie Austrii i Prus z narodem francuskim, w wojnie feudalnych monarchów z rewolucją.

Jakobiński rząd i Legislatywa znalazły się pod presją opinii rozdrażnionej klęskami na froncie i podejrzeniami wewnętrznej zdrady. W ostatniej dekadzie maja zagęszczała się atmosfera niepewności, strachu, ekscytacji represyjnej. Tuilerie były obserwowane z nieufnością i obawą. Zrobił się wielki szum, gdy 28 maja z rozkazu króla spalono w piecach manufaktury w Sevres wielką górę papieru. Poszła plotka, że to płonęły archiwa „komitetu austriackiego”; w istocie chodziło o nakład obelżywej dla królowej broszury o aferze naszyjnika.

W atmosferze strachu przed kontrrewolucją Legislatywa uchwaliła trzy dekrety. Jeden, z 26 maja, przewidywał sankcje wobec opornych księży; drugi, z 29 maja, rozwiązywał królewską straż konstytucyjną; trzeci, z 8 czerwca, wzywał do Paryża 20 tys. delegatów Gwardii Narodowej („federatów”) na święto 14 lipca; po uroczystości mieli oni utworzyć patriotyczny obóz czuwający nad bezpieczeństwem stolicy. Ludwik postanowił przyjąć tylko dekret o rozwiązaniu straży, z punktu widzenia jego osobistego interesu najważniejszy, i odrzucić dwa pozostałe. Aby założyć weto, musiałby mieć kontrasygnatę ministrów; tłumaczyli mu oni, jak niebezpieczne jest w tym momencie używanie weta.

Dymisja rządu jakobińskiego nie tłumaczy się jednak tylko sporem wokół dekretów o księżach i o federatach. Ludwik liczył na rychłą już klęskę militarną Francji; miała się po niej rozstrzygnąć polityczna

przyszłość kraju. Król drżał o to, by mu nie wydarto wówczas roli superarbitra. Gdyby pozostawił przy władzy ministrów jakobińskich, emigranci niechybnie przedstawialiby go jako współnika jakobinów lub jako ich marionetkę. Rola emigrantów umocniłaby się kosztem króla i to właśnie w momencie podejmowania najważniejszych decyzji politycznych. Tak więc 12 i 13 czerwca Servan, Roland i Claviere otrzymali dymisję; owa dni później Dumouriez znalazł się w sytuacji, która go zmusiła do ustąpienia. Ich miejsca zajęli umiarkowani, feuillanci, przy tym zupełne miernoty: Lajard, Terrier de Monciel, Beaulieu i Chambonas. Otoczony karłami, Ludwik stawał się wielkim i jedynym arbitrem, restauratorem „prawdziwej” monarchicznej konstytucji.

Dymisja jakobińskich ministrów była ciężkim błędem. Nie sprawdziły się naiwne prognozy, które ją motywowały, a jej następstwa były fatalne. Ministrowie ci mieli większe niż ktokolwiek szansę powstrzymywania ruchu mas, z jego rosnącym nurtem żądań demokratycznych i republikańskich. Na nich spadałoby w wielkiej części odium niepowodzeń i niepopularnych decyzji. Natomiast ich przepędzenie spowodowało skutki podobne do następstw usunięcia Neckera w lipcu 1789 r. Teraz reakcja ludu nie była jednak ani tak szybka, ani tak spontaniczna; rewolucja stworzyła różne struktury (kluby, władze dzielnicowe i miejskie, Gwardię Narodową) zdolne organizować ruch mas, ale też hamować go lub kanalizować.

Paryscy działacze klubowi już 16 czerwca zaczęli organizować manifestację zbrojną pod Tuilieriami. Stołeczne władze, które legalistycznie poproszono o zgodę, zachowywały się przedziwnie: wykrętnie, wahająco, niekonsekwentnie. W końcu mer Paryża Petion wyraził zgodę, ale postanowił, że manifestacji towarzyszyć będzie Gwardia Narodowa. Miała ona gwarantować, że nie dojdzie do ekscesów. Cele manifestacji określono skromnie: skłonić króla, by przywrócił „ministrów patriotów”, których przepędził, i by zatwierdził „patriotyczne dekrety”, wobec których założył weto.

20 czerwca ogromny tłum – mówiono o 100 tys. manifestantów i 30 tys. gwardzistów – zgromadził się w ogrodzie tuileryjskim. Przedefilowano przez salę Legislatywy, odczytano posłom petycję. Potem nie napotykając oporu Gwardii uzbrojony – głównie w piki – lud zalał podwórze pałacu i wdarł się do siedziby króla. Znalaziono króla w sali na pierwszym piętrze; Ludwik ulokował się na ławie w niszy okiennej i został na kilka godzin zablokowany przez falujący, krzyczący i gestykulujący tłum. Oskarżano go, że zawsze zwodził lud, wołano: „Precz z veto”, „Sankcja dla dekretów”, „Przywrócić ministrów”. Król ujawnił olbrzymie zasoby swej pasywnej odwagi i zimnej krwi. Przyjął podany mu na pice *bonnet rouge*, czerwoną czapkę frygijską i przez trzy godziny to sankiulockie nakrycie głowy zdobiło czubek królewskiej fryzury; tłumaczył się potem Bertrandowi de Molleville, że po prostu zapomniał o nim; przyjąć zaś czapkę musiał, bo rozpruto by mu brzuch piką. Pił prosto z butelki wino „za zdrowie narodu”, z dużą przytomnością umysłu i flegmą replikował na okrzyki tłumy. Nie ustąpił ani o cal; żądaniom w sprawie ministrów i dekretów przeciwstawił swoje konstytucyjne prawa. Nie rozproszył nieufności ludu, lecz nie

prowokował go do gwałtu; bez arogancji i buty demonstrował stanowczość, prostotę, spokój. Wreszcie pojawiło się kilku posłów i mer Petion; zaczęli wzywać tłum do wycofania się z pałacu. Ludwik przytomnie powiedział, że kazał otworzyć apartamenty i pewnie lud zechce je obejrzeć. Manifestanci opuścili Tuilerie. Z pustymi rękami.

Precedens był fatalny: paryżanie przekonali się, jak łatwo można opanować Tuilerie. Na razie jednak ruch ludowy poniósł zupełne fiasko. Umiarkowana opinia wychwalała godną postawę króla, współczuła mu, oburzała się; Dupont de Nemours, dawny współpracownik Turgota, puścił w obieg adres potępiający wydarzenia z 20 czerwca – i wnet pokrył się on 20 tysiącami podpisów. Sam Ludwik, poprzednio apatyczny i małomówny, poczuł przypływ energii. 21 czerwca przyjął Petiona i zgromił go, zachował się nawet brutalnie. 24 czerwca dokonał przeglądu na Champs-Elysees oddziałów Gwardii Narodowej. Ułożono plan obrony Tuileriów, następny atak nie mógł już być bezkrywawy.

Wnet jednak prąd się odwrócił. Jakobińscy posłowie gwałtownie atakowali króla i ministrów; kampania ta zbiegła się w czasie z wiadomościami o wejściu Prus do wojny i nieudanej ofensywie w Belgii. Zastraszeni ministrowie 10 lipca podali się do dymisji po niecałym miesiącu urzędowania; król musiał pośpiesznie szukać nowych figurantów. 11 lipca Legislatywa uchwaliła, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, i wezwała obywateli do walki z wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym. Wbrew królewskiemu wetu do Paryża przybywali federaci z prowincji; ich nastroje były niezwykle bojowe i rychło znaleźli wspólny język z paryskim ludem i awangardą radykalnych klubów. Mnożyły się teraz głośnie żądania zawieszenia władzy królewskiej, detronizacji Ludwika, a nawet likwidacji monarchii i utworzenia demokratycznej republiki wspartej na zasadzie powszechności praw politycznych. Gdy podczas święta 14 lipca Ludwik XVI wchodził na wielki Ołtarz Ojczyzny, zbudowany na uroczystość Federacji z 1790 r. wyglądał, zdaniem świadków obchodu, jak skazaniec wstępujący na ołtarz ofiarny.

Czekając na zwycięstwo Niemców, ograniczał się do takich patriotycznych gestów. Odrzucił szansę porozumienia z wpływową grupą jakobińską, która nawiązała z nim poufne kontakty za pośrednictwem dworskiego malarza-portrecisty Boze'a. Odmawiał, gdy mu proponowano ucieczkę z Paryża. La Fayette, który w tych gorących tygodniach bardzo się miotał i bezskutecznie chciał stanąć na czele krucjaty przeciw „wywrotowcom” jakobinom, oferował królowi solidną pomoc wojska w ucieczce do Compiègne. Pani de Stael proponowała ucieczkę do Dieppe: w okolicy miała zamek, w którym król mógłby się schronić. Malouet miał plan ucieczki do Rouen i Hawru... Wszystko na nic; Ludwik rzekł podobno żonie: „Zobaczymy, nic mnie jeszcze nie zmusza do podejmowania takiego ryzyka... Afera Varennes jest nauczka”. Sądził, że nim się stanie arbitrem losów narodu i negocjatorem ze zwyciężkim wrogiem, kupi bezpieczeństwo sobie i swej rodzinie przekupstwem. Próby korumpowania działaczy klubowych Dwór podejmował ze wzmożonym zapałem. Inną gwarancją bezpieczeństwa stać się miał groźny manifest Niemców; król i królowa domagali się go od początku wojny. Miałby on uprzedzać, że

Austriacy i Prusacy rokować będą tylko z królem, uwolnionym i przywróconym do pełnej władzy, a także składać na władze rewolucyjne i na Paryż odpowiedzialność za bezpieczeństwo królewskiej rodziny.

Manifest taki, zredagowany przez emigranta Limona i Fersena, podpisany zaś 25 lipca przez pruskiego generalissimusa księcia Brunświckiego, odpowiadał życzeniom pary królewskiej co do treści; w tonie był jednak nie ostrzegawczy, lecz butny, bezczelny, agresywny. Zawierał pogrożki tak monstrualne, że aż niewykonalne. Oburzeni Francuzi dojrzeli w nim jawny dowód aliansu króla z wrogami kraju. Do tej spółki dołączali jeszcze rojalistów; reakcyjne gazety paryskie chwaliły manifest Brunświka, mówiły o zemście, żądały skruchy, zapewniały nawet, że Niemcy każą patriotom odbudować Bastylię!

W początku sierpnia 1792 r. Tuilerie uznano za teren zapowietrzony zdradą, za „terytorium austriackie”. Bojkot tuileryjskiego ogrodu utkwiał w pamięci wielu ludzi. Ruault pisał: „Park tuileryjski jest zupełną pustynią. Lud sam sobie zabronił wstępu do niego zwyczajną wstążką... Zdawać by się mogło, że w pałacu jest zaraza. Nikt nie chce doń się zbliżyć... Ci, którzy spacerują po tarasie feuillantów, mówią: jesteśmy tu na ziemi Wolności, a tam jest Koblencja. Pustka i milczenie panujące w ogrodzie, po którym biegają tylko nieliczne psy, muszą budzić przerażenie pana pałacu”. Młoda szwaczka Maria-Wiktoria Monnard pisała w swym pamiętniku: „W ogrodzie nie było ani żywej duszy. Aby skłonić lud do omijania przestrzeni, w której była zaraza, wróg Wolności, ogrodzono ją wstążką. Czy ktoś uwierzy? Tę wąską wstążkę respektowano przez pięć dni”. Madame Campan pisała, że gdy jakiś nieostrożny młodzian wkroczył na teren zakazany, z tarasu feuillantów zaraz się rozległy wściekłe okrzyki i groźby, że pójdzie na latarnię. „Natychmiast zdjął on buty, wyciągnął chustkę i otarł obuwie z piasku. Zaczęto krzyczeć: Brawo, niech żyje dobry obywatel!”

Wśród patriotów ścierały się dwie koncepcje: obalenia króla w drodze uchwały parlamentu lub siłą zbrojnego powstania. Ale Legislatywa wahała się, ujawniała bezradność, zacinała się w żalostnej inercji. Zwolennicy insurrekcji brali górę; powstanie przygotowywano niemal jawnie, na oczach ludności Paryża i władz! O mało nie doszło do eksplozji 27 lipca, drugi raz – 5 sierpnia. Wreszcie w nocy z 9 na 10 sierpnia maszyna insurekcyjna ruszyła, powoli i nie bez zgrzytów.

Kłeska króla wcale nie była przesądzona z góry. Tuilerii strzegło około tysiąca Szwajcarów, lojalnych i świetnie wyszkolonych; drugie tyle żandarmów, również sprawnych, choć mniej może pewnych; kilka setek szlachty, głównie z rozwiązanej w maju straży konstytucyjnej króla. Po drugiej stronie było około dwu tysięcy – zaledwie! – bardzo bojowych federatów z prowincji. Wszystko zależało od paryskiej Gwardii Narodowej, dobrze uzbrojonej. Insurrekcja mogła liczyć na prosty lud, odsunięty od służby w Gwardii i uzbrojony w piki, ten sam, który wdarł się do Tuilerii 20 czerwca. Ale w starciu ze Szwajcarami i żandarmami piki nie miały wielkich szans.

A paryska Gwardia Narodowa była bardzo podzielona. Wielu gwardzistów w ogóle nie chciało zajmować stanowiska w konflikcie.

Bataliony zamożnych dzielnic – między innymi sąsiadujących z Tuilieriami – były zachowawcze i rojalistyczne, ale i tu niektóre kompanie (zwłaszcza ważne kompanie kanonierów z działkami) miały usposobienie „wywrotowe”. Bataliony dzielnic ludowych bratały się z federatami i bardzo pragnęły obalić króla z jego „komitetem austriackim”. Jednakże istniały w każdym batalionie kompanie elitarne (grenadierów, strzelców konnych), burżuazyjne i konserwatywne. Stawka konfliktu była niepewna.

Ku wielkiemu zawadowi Tuilieriów do obrony „konstytucji i króla” udało się ściągnąć nie więcej niż 2500 gwardzistów. Liczne kompanie elitarne błąkały się po mieście; jedną z nich spotkał rankiem 10 sierpnia hrabia Teodor de Lameth i spytał, co robi. „O Boże, nie mamy pojęcia, proszę pana. Z pewnością opowiemy się po stronie silniejszych!”. Nastrój gwardzistów zebranych pod Tuilieriami nie był lepszy. To właśnie gwardziści przepuścili przez mosty na Sekwanie oddziały powstańców z lewego brzegu rzeki; stanęły one na placu Karuzeli, po wschodniej stronie pałacu tuileryjskiego. Było tych insurgentów niezbyt wielu. Powstańcy z ludnych, plebejskich dzielnic prawego brzegu spóźniali się. Nadwąliło to ducha na placu Karuzeli i poprawiło nastroje w pałacu tuileryjskim.

Dla gospodarzy pałacu była to biała noc, jednakże Ludwik nie oparł się senności i przespał trochę w fotelu. Król nie zdecydował się na wydanie rozkazu strzelania w momencie, gdy przewaga była po stronie obleganych. Ograniczył się do przeglądu lojalnych oddziałów Gwardii. Potargany, błądy wskutek zmęczenia, w wymiętym po drzemce fraku – nie był żywym obrazem pewności siebie, determinacji i woli władzy. Na podwórzu pałacowym Gwardia witała go przychylnie; dalej, w ogrodzie tuileryjskim, było już gorzej, padły niechętnie okrzyki i obelgi. Wkrótce lojalne oddziały gwardzistów zaczęły topnieć. Więcej: nawet niektórzy żandarmi fraternizowali się z insurgentami!

Maria Antonina i Madame Elisabeth opowiadały się za próbą sił; ministrowie byli niezdecydowani. Mera Petiona i komendanta Gwardii Mandata nie było w pałacu; Petion znalazł się w Ratuszu, sztabie insurekcji, Mandat również został tam wezwany, aresztowany i zastrzelony w drodze do więzienia. Aktywną rolę odegrał w Tuileriach dygnitarz władz departamentalnych Paryża, Roederer, później współpracownik Bonapartego i hrabia Cesarstwa. Straszyl on rodzinę królewską: siły obrony są nikłe, ich nastrój chwiejny, ogromne tłumy z przedmieść już są w drodze pod pałac... Radził, by król z rodziną schronił się w pobliskiej sali Legislatywy, wśród posłów, którzy obradowali od godziny 23 i gotowi byli przyjąć monarchę. Ludwik namyślał się długo; około godziny 8 zgodził się opuścić pałac. W intencji Roederera było ogłoszenie, że króla w Tuileriach już nie ma; to by pozbawiło sensu szturmowanie pałacu. Ale wiadomość o przejściu króla do sali parlamentu nie dotarła do powstańców, a Ludwik nie dał obrońcom rozkazu zrezygnowania z walki. Zapewne liczył jeszcze na sukces militarny: na placu Karuzeli nie było przecież wielkiego tłumu, a Szwajcarzy to świetni żołnierze. Zadbał tylko o los szlachty zgromadzonej w pałacu: kazał się jej wycofać. Aż do końca chciał być monarchą feudalnym, protektorem arystokracji.

Wśród zamieszania po wyjściu króla insurgenci sforsowali bramę na

wschodnie podwórze pałacu. Sądźili, że załoga się poddaje, zaczęli próbę fraternizacji. W odpowiedzi Szwajcarzy dali morderczą salwę z okien. Powstała panika, Szwajcarzy ruszyli w pościg za cofającymi się powstańcami. Ale właśnie wtedy, około godziny 9, pojawiła się ogromna masa gwardzistów z dzielnic prawego brzegu miasta, wzmocniona tłumem sankiulotów z pikami. Sytuacja się natychmiast odwróciła.

Dopiero teraz król posłał Szwajcarom rozkaz na piśmie, by złożyli broń i wrócili do koszar. Za późno: pałac został wzięty szturmem, po walce wręcz. Około 600 Szwajcarów zmasakrowano.

Tymczasem w Legislatywie przewodniczący obradom jakobin Vergniaud zapewnił króla, dość dwuznacznie, że posłowie gotowi są umrzeć w obronie „praw ludu i konstytucyjnych władz”. Konstytucja zabraniała Legislatywie deliberować w obecności króla, więc rodzinę królewską umieszczono w ciasnej, zakratowanej łoży stenografa. Dwa razy posłowie ulegali panice; później obradowali pod presją zwycięskiego miasta. Nie ustąpili jednak żądaniom powstańców, by natychmiast zdetronizować Ludwika. Uchwalono, że zostaje on zawieszony; cała władza wykonawcza przeszła w ręce nowych, jakobińskich ministrów. A o losach monarchii i przyszłym ustroju zadecydować miała nowa Konstytuanta pod nazwą Konwencji, wybrana w powszechnym głosowaniu. Na razie rodzina królewska pozostać miała pod opieką Legislatywy; przygotowano dla niej trzy cele w dawnym klasztorze feuillantów, tuż obok sali obrad, gdzie były ulokowane biura parlamentu.

Zmaltretowany upałem i przeżyciami dnia Ludwik zachował zrezygnowany spokój i nawet dobry apetyt. Co do przyszłości nie robił sobie wielkich złudzeń: uznał, że jego wyrok jest tylko odroczone. Miał rację.





VII. OSTATNI Z TYRANÓW



TEMPLE

Pierwszą noc w klasztorze feuillantów spędzało wraz z królewską rodziną kilku wiernych arystokratów. Następnego dnia, gdy kazano im odejść, ofiarowali Ludwikowi wszystkie pieniądze, które przy sobie mieli. „Zachowajcie, panowie, swe portfele – odrzekł. – Będą wam bardziej potrzebne niż nam, bo żyć będziecie dłużej, mam tę nadzieję”.

Tę pesymistyczną prognozę opierał zapewne na doświadczeniu z posiedzenia Legislatywy, gdy w dusznej łoży stenografa wysłuchiwał oskarżeń i obelg pod swoim adresem, wygłaszanych przez delegacje paryżan. Ale ekscytacja represyjna ludu nie jest trwała, nastroje rewolucyjnej opinii są labilne. Gdyby powstańcy znaleźli parę królewską w Tuileryach, nie uszłaby ona z życiem. Nieco później było już inaczej. Większość adresów i petycji wpływających do Legislatywy i Konwencji traktowała króla z oburzeniem lub pogardą, lecz nie żądała jego głowy.

W Paryżu po 10 sierpnia zarysowały się elementy dwuwładzy. Z jednej strony – Legislatywa i powołani przez nią ministrowie, z drugiej – wyniesiona na fali rewolucji ludowej Komuna powstańcza, władza Paryża, ale z ambicjami wpływania na wielkie decyzje polityczne. Jednym z pierwszych sporów między tymi ośrodkami władzy była najbliższa przyszłość króla. Brissot pisał, że posłowie i ministrowie – w tym nowy minister sprawiedliwości, Danton – proponowali ulokować króla w jednym z pałaców niezbyt odległych od Legislatywy: w ministerstwie sprawiedliwości na placu Vendôme, w pałacu rodziny de Noailles, w Luksemburgu. Komuna chciała mieć rodzinę królewską blisko swego Ratusza, w samym środku ludowej dzielnicy Saint-Martin, w solidnym, ale ponurym dawnym klasztorze templariuszy. Zdanie Komuny zwyciężyło, 13 sierpnia około godz. 19 rodzina królewska przewieziona została do Temple. „Na środku placu Vendôme – pisał kamerdyner króla François Hue – zatrzymano na jakiś czas królewski powóz: chciano, by się przyjrzał do woli konnemu posągowi Ludwika Wielkiego, strąconemu z piedestału, rozbitemu przez motłoch i deptanemu nogami”.

Królowi, jego żonie, siostrze i dzieciom towarzyszyła do Temple mała, dziewięcioosobowa świta: panie de Lamballe i de Tourzel, córka pani Tourzel, dwóch kamerdynerów, w tym Hue, cztery panny służące. Po sześciu dniach całą świtę usunięto z Temple (Hue wrócił jeszcze potem na parę dni). Zgodzono się jednak, w końcu sierpnia, by rodzinie królewskiej usługiwał kamerdyner delfina Clery; do noszenia jedzenia i zakupów żywności zatrudnieni zostali były kelner króla Turgy i dwaj jego koledzy.

Do cięższych prac Komuna wyznaczyła jeszcze starsze małżeństwo Tisonów.

Poza tym w Temple pełno było strażników: kluczników, gwardzistów narodowych, komisarzy Komuny. Komisarze, w liczbie ośmiu, zmieniali się nieustannie: każdy przychodził na 48 godzin, codziennie wymieniano czterech. Świadczenie wydarzeń – córka króla, Madame Royale, Hue, Clery – chętnie opisywali potem różne udręki uwięzionych. „Mój ojciec nie był już traktowany jak monarcha: nie mówiono doń ani Sire, ani Sa Majeste, lecz Monsieur albo Louis. Komisarze municypalni zawsze siedzieli w jego pokoju i trzymali kapelusze na głowie. Odebrali ojcu szpadę, którą jeszcze miał, i przeszukiwali mu kieszenie”. Zdarzały się wobec więźniów drobne dokuczliwości, grubiaństwa, nawet obelgi. Clery pisał, że na murach pojawiały się rysunki gilotyny z napisem „Ludwik pluje do kosza” lub szubienicy („Ludwik bierze kąpiel powietrzną”). Klucznik Rocher i komisarz Komuny Mathieu grozili więźniom, że jeśli przyjdą Niemcy, to rodzina królewska zginie w pierwszej kolejności... Jednakże nieraz grubiaństwa komisarzy i gwardzistów były wynikiem zwykłego zakłopotania sytuacją lub obawy, by nie wydać się „miękkim” w oczach kolegów. Wiadomo także, iż strażnicy z Temple mający konszachty z rojalistami – byli i tacy – afiszowali zachowanie szczególnie brutalne. Wreszcie Madame Royale i Clery podają niemało przykładów sympatii i współczucia dla uwięzionych ze strony gwardzistów, a nawet członków Komuny.

Szczególnością uciążliwością był brak intymności, nieustająca obserwacja komisarzy. Nie na tyle jednak ścisła, by więźniowie nie mogli porozumiewać się ukradkiem za plecami dozorców. W ten sposób przekazywano sobie wiadomości o wydarzeniach. Żona Clery’ego przekupiła gazeciarza, który co dzień o siódmej wieczorem wykrzykiwał w pobliżu streszczenie ostatnich wiadomości; wysłuchiwał tego Clery, mający swobodę poruszania się po budynku. Madame Clery przychodziła zresztą często do męża. Gdy od końca września Francuzi zaczęli odnosić zwycięstwa na froncie, sami komisarze dostarczali czasem gazety więźniom Temple, by mogli sobie poczytać o sukcesach Republiki. Złośliwie zostawiano im też egzemplarze gazet ze szczególnie agresywnymi atakami na króla. W ten sposób, jak pisze Clery, „monarcha przeczytał raz w jednej z gazet o żądaniu jakiegoś kanoniera domagającego się głowy tyrana Ludwika XVI, by mógł naładować nią swe działo i posłać ją wrogom”. Cały system kontaktów ze światem zewnętrznym powstał dzięki bystremu kelnerowi Turgy’emu. Zmyślny młody człowiek wychodził ciągle po zakupy żywności i służył za listonosza oraz posłańca. Stanowczo kontrola Komuny była daleka od doskonałości: przez jej sieci przeciekały informacje i listy. Gdy w październiku więźniom kazano oddać przybory do pisania, królowa i jej córka z łatwością ukryły swoje ołówki.

Gdy wieczorem 13 sierpnia Ludwik przybył do Temple, sądził, że zamieszka w pałacu przeora templariuszy. Mylił się: Komuna przeznaczała mu solidną, gotycką wieżę. Okazało się, że nie nadaje się ona do zamieszkania, więc na czas adaptacji ulokowano rodzinę królewską w tak zwanej małej wieży, z której wyrzucono archiwistę zakonu templariuszy,

pana Berthelemy. Było to wygodne mieszkanie ze wspaniałą biblioteką i jadalnią na pierwszym piętrze. Drugie zajęła królowa z dziećmi i Madame Elisabeth; na trzecim byli król i Clery.

Hue pisał, że od pierwszego dnia w Temple Ludwik ustalił regulamin dnia i trzymał się go. A oto relacja córki króla: „Spędzaliśmy dzień razem. Ojciec uczył mego brata geografii, matka – historii; kazała też mu uczyć się (na pamięć) wierszy. Ciotka uczyła go rachunków. Ojciec na szczęście znalazł bibliotekę, która go zajmowała; matka pracowała nad haftami ... Rano na śniadanie szliśmy do ojca, następnie schodziliśmy do matki i tam mój ojciec spędzał z nami cały dzień. Ze względu na zdrowie mego brata codziennie chodziliśmy na spacer do ogrodu...” „Życie codzienne jakoś się regulowało. „Rodzina królewska przybyła do Temple absolutnie pozbawiona wszystkiego” – pisał Hue. Ale już we wrześniu była jako-tako urządzona: rachunek wydatków, które w tym miesiącu zrobił Clery, przekracza 14 tys. liwrow. Są to wydatki na pranie bielizny, reperację zegarka, kupno papieru, „dwóch wielkich nocników z roueńskiego fajansu”, dziewięciu tomów *Opowieści tysiąca i jednej nocy*, romansu *Ewelina i Cecylia* – i tak dalej.

Tymczasem adaptacja wielkiej wieży posuwała się naprzód: wyburzono przylegające do niej rudery, otoczono dodatkowym murem, wyposażono wnętrza meblami z pałacu przeora, wyłożono tapetami. 29 września król został przeniesiony na drugie piętro tej wieży, podzielone przepierzeniami na cztery pokoje. Pozwolono mu jednak jeść posiłki razem z rodziną. Wreszcie 25 października reszta więźniów przeprowadziła się także do wielkiej wieży, na trzecie piętro. Odtąd też delfin spał razem z ojcem, a nie jak dotąd z matką.

Zacytujmy znów relację Madame Royale: „Ojciec wstawał o godzinie 7, do 8 się modlił, następnie do 9 ubierał się wraz z moim bratem i przychodzili do mojej matki na śniadanie. Po śniadaniu ojciec schodził znów z bratem i dawał mu lekcje do godziny 11. Później brat bawił się do południa i wtedy wszyscy szliśmy na spacer bez względu na pogodę, bo gwardziści, którzy się o tej godzinie zmieniali, chcieli widzieć ojca i upewnić się, że jest w Temple. Spacer trwał aż do godziny 14, gdy jedliśmy obiad. Po obiedzie ojciec i matka grali w tryk-traka albo pikietę. O 16 matka wracała na górę z bratem, bo ojciec zazwyczaj wtedy spał. Brat schodził o 18, ojciec pozwalał mu się uczyć i bawić się aż do kolacji. O godzinie 21, po kolacji, matka szybko rozbierała brata i kładła do łóżka. Następnie szliśmy na górę, a ojciec kładł się dopiero o godzinie 23”. Córka króla wspomina o robótkach ręcznych matki, o modłach i postach ciotki; dodaje, że i król pościł. Religia zajmowała teraz bardzo ważne miejsce w życiu Ludwika. Odrzucił ofertę odprawiania mszy przez zaprzysiężonego księdza, zażądał natomiast brewiarza.

A więc tryb życia bardzo monotony, urozmaicony głównie oglądaniem wciąż nowych twarzy członków Komuny i polowaniem na wiadomości ze świata. Niekiedy jednak zdarzały się sceny gwałtów. W sierpniu i początku września, gdy z frontu przychodziły złe wiadomości, komisarze straszili króla, raz nawet ulegli panice, gdy jakiś uliczny patrol narobił hałasu („Jeśli przyjdą, zabiję cię!” – wołał klucznik Rocher do Ludwika).

Najgorszy był dzień 3 września, gdy w Paryżu już drugi dzień masakrowano więźniów. Zabito wówczas panią de Lamballe; tłum z jej głową na pice oblegał Temple chcąc pokazać makabryczne trofeum Marii Antoninie, a jeśli się da, to dostać się do środka królewskiego więzienia. Komisarz d'Anjou zakrył szybko okno i oszczędził więźniom tego widoku; komisarz Daujon zręcznie odwiódł tłum od chęci szturmowania Temple. Nie udało się jednak ukryć przed więźniami przyczyn całego tego tumultu; królowa ciężko to odchorowała.

Inne wydarzenia – to rzadkie wizyty posłów Konwencji pytających Ludwika, czy mu czegoś nie potrzeba. Król mógł przypuszczać, że nastąpiła jakaś stabilizacja jego położenia; 21 września zniesiono we Francji monarchię, Ludwik XVI był już tylko Ludwikiem Kapetem. W październiku poseł Konwencji Manuel radził Clery'emu, by się zastanowił nad sensem pozostawania w Temple, gdyż eks-król może być więziony dłuższy czas.

Na szczęście biblioteka w Temple, bardzo zasobna, mogła starczyć na długo; obliczono, że przez pięć miesięcy Ludwik przeczytał z górą 250 woluminów! Clery podaje, że lubił zwłaszcza książki o podróżach, dzieła Monteskiusza, *Historię Anglii* Hume'a, prace naturalistów, Buffona i Pluche'a, francuskie utwory dramatyczne, klasyków łacińskich. Czytał po łacinie *Naśladowanie Chrystusa*, po włosku – Tassa.

Deliberacje komisarzy Komuny w Temple w październiku stały się mniej nerwowe. Rozważano różne prozaiczne kwestie więziennej codzienności. Oto król skarży się na „fluksję zębów” i komisarze debatuje długo, czy wezwać dentystę, skoro go nie boli: może to pogorszy tylko sprawę? Zaufanie do dentystów nie było widać wielkie. Ludwik jest „zakłopotany długością swojej brody”, nie chce jednak, by go golono, gdyż ma do tego obrzydzenie. Toczą się więc spory o to, czy można mu pozwolić na ogolenie się brzytwą „na oczach czterech komisarzy”, którym też brzytwę zaraz by musiał oddać... Taka codzienna krzątanina w cieniu gilotyny. Czy jednak ów cień był wówczas stale obecny w świadomości więźnia? Z niektórych jego wypowiedzi można wysnuć wniosek, że spodziewał się długiej niewoli i adaptował się do sytuacji.



PROCES

W pierwszych tygodniach po 10 sierpnia tylko mała grupa radykalnych aktywistów klubowych domagała się głowy Ludwika; w Konwencji, wybranej we wrześniu, układ sił politycznych był taki, że wniosek o stracenie eks-króla nie miałby żadnych szans. Lawinę ruszył kamyk: oto w dniu 1 października na posiedzeniu Konwencji ujawniono, że w Ratuszu jest paka kompromitujących króla papierów, znalezionych w Tuileriach. Było ich wielkie mnóstwo, więc 24-osobowa komisja Konwencji pracowała nad nimi z górą miesiąc. Dopiero 6 listopada przedstawiła swój raport: chaotyczny, napsuszony, bez analizy politycznej ani prawnej, konkludujący wszakże, iż „Ludwik Kapet” powinien być ukarany. Następnego dnia komisja prawna Konwencji zreferowała swe stanowisko: były król może być sądzony, sądzić go powinna sama Konwencja. Zaczęła się teraz

dyskusja: w ciągu następnych dni jedni posłowie byli przeciwni sądowi nad Ludwikiem, inni popierali tę propozycję, jeszcze inni – jak młody jakobin Saint-Just – uznali, że Ludwik to nie jakiś przestępny obywatel, lecz wróg narodu, bo każda monarchia to zbrodnicza uzurpacja. Wrogom nie robi się procesów sądowych, wrogów się po prostu zabija. Także inni jakobini – Jean Bon, Robespierre – uważali, że śmierć Ludwika będzie po prostu wykonaniem wyroku, który wydał nań sam lud w dniu 10 sierpnia.

Dyskusja toczyła się dość powoli, gdy nagle, 20 listopada, opinię poruszyło zadenuncjowanie przez ślusarza Gamaina „żelaznej szafy”, to jest skrytki w murze tuileryjskiego pałacu, którą polecił wykonać król. Znalaziono w niej znowu wielką górę papierów; miała je zbadać nowa komisja złożona z dwunastu posłów Konwencji. 3 grudnia po burzliwej debacie Konwencja uchwaliła, że Ludwik będzie sądzony i właśnie przez nią; 6 grudnia do komisji dwunastu dołączono jeszcze 9 posłów, którzy już przedtem zajmowali się sprawą króla – i owej „komisji dwudziestu jeden” polecono przygotować akt oskarżenia. W błyskawicznym tempie: do dnia 10 grudnia!

Dzisiaj, ze źródłami w rękę, łatwo byłoby napisać oskarżenie dużo mocniejsze, wręcz miażdżące. Rzecz w tym, że wszystkie dokumenty z Tuileries, nie wyłączając papierów, z „żelaznej szafy”, nie przynosiły bezpośrednich dowodów zdrady stanu, a więc prowokowania obcej interwencji zbrojnej i kontaktów pary królewskiej z wrogami kraju. Znalaziono jednak dość dowodów podwójnej gry króla: oświadczeń, że swą zgodę na reformy ustroju uważa za wymuszoną, że jego celem jest przywrócenie dawnej władzy króla i przywilejów stanowych. Znalaziono liczne dowody kontaktów Dworu z emigrantami oraz jego akcji korupcyjnej w środowisku rewolucjonistów. Zrujnowało to wiele reputacji: m.in. hrabiego de Mirabeau, zmarłego przed półtora roku.

11 grudnia o godzinie 13 przybył do Temple niedawno wybrany mer Paryża, lekarz Chambon. Razem z nim król pojechał do Konwencji na przesłuchanie. Odczytano długi akt oskarżenia, a następnie prezydujący obradom poseł Barere rekapitulował zarzuty w formie pytań. W pełnej napięcia ciszy Ludwik odpowiadał zrećźnie, krótko, często jednak kłamliwie. Oskarżeniu, że w czerwcu 1789 r. narzucał swą wolę Zgromadzeniu Narodowemu, przeciwstawił tezę, że żadne prawo nie zabraniało mu takich działań. Na zarzut, że w 1789 r. posyłał wojsko przeciw Paryżowi, replikował, iż miał po temu prawo, nie zamierzał jednak rozlewać krwi. Inne zarzuty dotyczące czasów dawniejszych parował twierdzeniem, że było to przed uchwaleniem konstytucji (jej ogłoszenie połączone było z generalną amnestią); chętnie też powoływał się na brak pamięci.

Co się zaś tyczy oskarżeń o sabotowanie obrony narodowej i walki z kontrewolucją przez zakładanie weta, o intrygi z wrogami, o przygotowanie krwawej konfrontacji z ludem w dniu 10 sierpnia – odpowiedzi były trojaki: zaprzeczenie, powoływanie się na konstytucyjne prawa króla lub zrzucanie odpowiedzialności na ministrów. Miał przecież prawo zakładać weto; różne problemy stosunków Francji z obcymi mocarstwami to kompetencja ministrów spraw zagranicznych; nie dawał

rozkazu strzelania w dniu 10 sierpnia; nic nie wie o akcji korupcyjnej Dworu; zaprzeczył nawet, by cokolwiek wiedział o istnieniu „żelaznej szafy”! Fatalne wrażenie wywarło zakwestionowanie autentyczności okazywanych mu dokumentów. Na koniec poprosił o udostępnienie mu aktu oskarżenia wraz z dowodami oraz o przyznanie mu prawa do wyboru adwokatów. Trudne funkcje jego obrońców przyjęli sławni prawnicy, Tronchet i de Seze oraz stary Malesherbes, ongiś dwukrotnie minister Ludwika XVI.

W istocie jednak obrońców Ludwika było znacznie więcej. Rojaliści już w październiku robili gorączkowe starania, by jakoś wyciągnąć króla z więzienia. Hrabia Teodor de Lameth pozyskał dla tej akcji ratowniczej Dantona z grupą jego przyjaciół. Ale w partii Dantona, u górali, a także w klubie jakobińskim dominowały nastroje bardzo wrogie eks-królowi. Przy ratowaniu króla Danton chciał działać w sojuszu z partią umiarkowanych, żyrondistami; personalne animozje alians taki uniemożliwiły. Dantoniści próbowali dyskretnie mitygować wrogie Ludwikowi usposobienie paryskiego ludu. Rzucili zręczne hasło: „Naród ratuje się, ale się nie mści”. Nic z tego: działacze ludowi, radykalne kluby, zgromadzenia dzielnicowe domagały się od Konwencji szybkiego osądzenia króla i wyroku śmierci. Presja rosła zwłaszcza od początku listopada.

Tak więc umiarkowana większość Konwencji (żyrondyści i liczne a nie-zdecydowane centrum) znalazła się w trudnym położeniu. Przyjęła taktykę podwójnej gry: wiele deklamowano o „zbrodniach Kapeta”, ale w sprawie sądu i wyroku grano na zwłokę. Rojaliści liczyli natomiast na pomoc rządów neutralnych, Anglii, a przede wszystkim Hiszpanii. Premier brytyjski Pitt odmówił interwencji w obronie Ludwika XVI. Madryt bezskutecznie oferował Francji neutralność w wojnie w zamian za życie króla. Zawiodły też próby przekupywania posłów Konwencji, które na wielką skalę podjął hiszpański charge d'affaires w Paryżu, Ocariz. Miał do dyspozycji dwa miliony liwrów, ale działał wyjątkowo niezgrabnie, ze słabą znajomością terenu.

Tymczasem w Temple Ludwik odbywał co dzień po południu długie konferencje z adwokatami. Miał dzięki nim najnowsze wiadomości, przynosili mu też gazety. Był jednak teraz odseparowany od rodziny; delfin został przeniesiony na trzecie piętro wieży. Pozwolono mu się widywać z dziećmi, ale nie chciał tego: oświadczył, że „wielka sprawa, którą się zajmuje, nie pozwala mu troszczyć się o syna, a jego córka nie powinna opuszczać matki”. Malesherbesowi powiedział bez złudzeń: „Jestem pewny, że każą mnie stracić; mają po temu i władzę, i wolę. To nieważne. Zajmijmy się moim procesem tak, jak gdybym miał go wygrać, i rzeczywiście go wygram, bo pamięć, którą pozostawię, będzie bez zmyy”. Obrońcy mówili Ludwikowi o szansach innego wyroku – deportacji; przez parę dni rozważał tę możliwość, ale lektura gazet przekonała go, że nie powinien robić sobie nadziei. Pracował jednak z adwokatami od 14 do 25 grudnia po cztery godziny dziennie, z przytomnością umysłu i spokojem. Gdy de Seze odczytał mu swą mowę obrończą, rzekł o zbyt patetycznych fragmentach: „Trzeba to usunąć, nie chcę ich wzruszać”. Madame Elisabeth dała mu adres swego spowiednika, „opornego” księdza

Edgewortha de Firmont, syna irlandzkiego pastora nawróconego na katolicyzm. Zwrócił się do niego o religijną posługę poprzez Malesherbesa: „Oto szczególne zlecenie dla filozofa (tj. ateisty): bo wiem, że pan nim jest!” Wykonał ogromną robotę: przeczytał i parafował cały stos dokumentów, które były w posiadaniu „komisji dwudziestu jeden”; otrzymał ich kopie. Zrezygnował ze spacerów twierdząc, że bez udziału rodziny spacer nie jest dlań żadną przyjemnością.

Na 26 grudnia wyznaczono termin jego obrony w Konwencji. Bał się, że może już nie wrócić żywy z tego posiedzenia, więc 25 grudnia sporządził testament. Dość długi tekst, napisany z godnością. Mało w nim polityki, dużo uczuć religijnych i rodzinnych. Prosił o wybaczenie, jeśli kogoś obraził, przebaczał wrogom, którym zresztą „nie dał żadnego powodu do wrogości”. Zalecał synowi, „gdyby miał nieszczęście zostać królem”, aby myślał tylko o szczęściu „współobywateli” i aby zapomniał o całej nienawiści i urazie... Wyrażał wdzięczność tym, którzy byli wobec niego lojalni, a w szczególności wiernej służbie z Temple i trzem obrońcom. „Kończę oświadczając przed Bogiem i gotów przed nim stanąć, że nie wyrzucam sobie żadnej z tych zbrodni, które mi zarzucono”; bez wątplenia pisał szczerze to ostatnie zdanie. Nie uważał się za winnego ani zdrady interesów narodowych, ani nawet dwulicowości politycznej. Bronił przecież, tak jak umiał, wartości, które mu wpoły monarchiczna tradycja, wychowanie, środowisko: władzy króla z Bożej łaski, pozycji kościoła, przywilejów szlachty.

26 grudnia o godzinie 9 Ludwik stanął po raz drugi przed Konwencją. Wielkie przemówienie obrończe wygłosił de Seze, najmłodszy z obrońców; mowa była precyzyjna, elegancka; w żadnym wypadku nie można jej uznać za porywającą i dostosowaną do charakteru audytorium. De Seze rozwiódł się nad wątpliwą legalnością całej tej sądowej procedury; kwestionował odpowiedzialność Ludwika za fakty podane w akcie oskarżenia; zakończył piękną retorycznie pochwałą cnót monarchy i jego reformatorskiego dorobku. Wywołał protest sali słowami: „Lud pragnął wolności, to on [sc. król] dał mu ją”. W sumie nie był przekonujący.

Ludwik złożył jeszcze krótkie oświadczenie. Stwierdził, że sumienie nic mu nie wyrzuca: zaprotestował mocno przeciw tezie aktu oskarżenia, że pragnął rozlewu krwi swego ludu. Przeciwnie : aby oszczędzić krwi, nie bał się narażać własnej osoby! I to oświadczenie nie może dziwić; przecież otoczenie króla ciągle mu zarzucało, że jego obawa przed rozlewem krwi jest przyczyną klęsk i nieszczęść. W istocie król nie chciał brać na siebie rozkazu strzelania, gdy dramat miał się rozegrać na jego oczach: tak było 5 października 1789 r. w Wersalu, 21 czerwca 1791 r. w Varennes (oddział żołnierzy generała de Bouille zjawiał się tuż po zatrzymaniu króla i dowódca proponował szarżę), tak też było 10 sierpnia pod Tuilierami. Nie budziło wszakże repulsji Ludwika rozlewanie krwi przez innych i gdzie indziej: przez La Fayette’a na Polu Marcowym, przez Bouillego w Nancy, przez Niemców na froncie.

Gdy 26 grudnia o godzinie 17 król wrócił do Temple, jego proces miał się odtąd toczyć już bez jego udziału. Nie chciał prosić o zgodę na widzenie z rodziną; sądził, że wyrok zapadnie za kilka dni i lepiej na to

poczekać z prośbą o widzenie. Ale los jego ważył się przez całe trzy tygodnie. Natychmiast po wyjściu Ludwika w Konwencji rozpalila się namiętna dyskusja: przeciwnicy sądu nad królem usiłowali podważyć dekret z 3 grudnia, gdy zaś to się nie udało – grali na zwłokę. Starali się skłonić Konwencję, by ostateczną decyzję o losie Ludwika powierzyła referendum ludowemu. Motywacje tych posłów były różne: niechęć do „rewolucji z 10 sierpnia” i jej następstw, obawy przed rzucaniem wyzwania monarchicznej Europie, niepewność, jak się zachowa po skazaniu króla Francja prowincjonalna, burżuazyjna i chłopska. Z drugiej strony zwolennicy sądu i kary śmierci pragnęli nie tylko ukarania króla za zdradę, lecz także ratyfikowania dnia 10 sierpnia i jego konsekwencji, utrwalenia Republiki, osiągnięcia „point of no return” rewolucji.

Te dwie przeciwstawne tendencje nie wystąpiły jedynie w sali Konwencji, miały swe przedłużenia w opinii kraju. A więc po jednej stronie uchwały i adresy potępiające sąd nad królem, broszury wykazujące nielegalność postępowania (przejmowano tu argument de Seze’a: wbrew wszelkim zasadom Konwencja jest oskarżycielem, ławą przysięgłych i kompletem sędziowskim jednocześnie). Żądano więc referendum ludowego w sprawie Ludwika, a co najmniej wstrzymania się od zastosowania kary śmierci. W Rouen 11 stycznia zbieranie podpisów pod petycją w obronie króla przekształciło się w rojalistyczne zamieszki; w wielu innych miejscowościach zdarzały się podobne, choć mniej groźne tumulty. Ale z drugiej strony – uchwały klubów i zgromadzeń dzielnicowych Paryża, podobne uchwały z prowincji, zjadliwe pamflety przeciw królowi, czasem nawet groźby nowej insurekcji lub samosądu wywierały zmasowany nacisk na Konwencję, by nie zwlekała z ukaraniem „Ludwika Ostatniego”.

7 stycznia Konwencja przerwała debaty w sprawie króla; umiarkowani wymusili tygodniową zwłokę w procesie. 14 stycznia ustalono listę pytań. W jawnym i motywowanym indywidualnie głosowaniu posłowie mieli odpowiedzieć na trzy pytania: czy Ludwik jest winny; czy wyrok Konwencji, jaki by nie był, będzie poddany zatwierdzeniu przez lud; na jaką karę Ludwik zasłużył. Pierwsze głosowanie odbyło się 15 stycznia; posłowie wchodzili kolejno na trybunę, odpowiadali tak lub nie i zazwyczaj krótko motywowali swe stanowisko. 691 posłów orzekło, że Ludwik jest winny, 27 wstrzymało się od opinii, nikt nie głosował za uwolnieniem Ludwika od winy. Wynik dla eks-króla miążdzący.

Natychmiast przystąpiono do głosowania nad sprawą referendum ludowego. Za odwołaniem się do ludu – 287 głosów, przeciw – 424, głosów wstrzymujących się – 12. To z kolei ciężka porażka dla tych liderów Żyromdy, którzy cały swój autorytet rzucili na szalę, by osiągnąć decyzję o referendum ludowym.

Trzecie głosowanie, nad wymiarem kary, zaczęło się 16 stycznia. Trwało bardzo długo, zakończyło się dopiero 17 stycznia nad ranem. Głosowało 721 posłów, większość wynosiła 361 głosów. Za karą śmierci padło 366 głosów; 34 posłów opowiedziało się za karą śmierci z zastrzeżeniami co do czasu egzekucji: niektórzy żądali osobnej dyskusji w tej sprawie, inni domagali się zawieszenia wykonania kary. 321 głosów padło za karą

wygnania po zawarciu pokoju (do tego czasu Ludwik miał być więziony) lub za karą więzienia. O wyniku głosowania zawiadomiono natychmiast obrońców króla. De Seze odczytał list, przygotowany wcześniej i podpisany przez Ludwika: apelację do narodu. Odrzucono ją.

18 stycznia było jeszcze trochę zamieszania: grupa posłów twierdziła, że źle zinterpretowano ich opinie. Po zweryfikowaniu wyników uznano, że ostatecznie za wygnaniem lub więzieniem opowiedziało się 288 posłów, 46 – za karą śmierci z zawieszeniem egzekucji, 387 za karą śmierci bez żadnych warunków. Ostatnią próbę uratowania króla podjęto 19 stycznia: odbyło się czwarte głosowanie, nad wnioskiem o zawieszenie egzekucji. Głosowało 690 posłów, za zawieszeniem opowiedziało się 310, przeciw – 380. Przyjęto więc dekret nakazujący rządowi, by w ciągu dnia 20 stycznia notyfikował wyrok skazanemu i zadbał o jego wykonanie nie później niż w dwadzieścia cztery godziny po tej oficjalnej notyfikacji.



KRÓLOBÓJSTWO

„Sire, przegłosowali śmierć” – powiedział bardzo wzruszony Malesherbes, który przybiegł do Temple prosto z Konwencji, w czwartek 17 stycznia o godzinie 9 rano. Ludwik zachował się spokojnie i godnie. Rzekł, że się właśnie zastanawiał nad swym panowaniem: czy zasłużył na „najłżejszy choćby zarzut” swych poddanych. Stwierdził, że zawsze chciał jedynie ich dobra. „Śmierć mnie nie przeraża, mam ogromne zaufanie do Bożego miłosierdzia”. Zażądał od Clery’ego, by mu przyniósł z biblioteki *Historię Anglii* Hume’a, i czytał uważnie opis śmierci Karola I. Clery mówił o nadziei na zawieszenie egzekucji, o różnych plotkach, które krążyły: generał Dumouriez jest w Paryżu i stara się ocalić króla z poparciem swej armii; obcy agenci dyplomatyczni mają interweniować w Konwencji; mówi się o ludowej rewolcie, która wyzwoli króla... Ale Ludwik nie chciał już pocieszeń; co do spisku czy rewolty, które miałyby go uwolnić, kilka razy powtarzał stanowczo, że ich sobie nie życzy: byłyby tylko nowe ofiary. Wyraził natomiast żal, że księżę Orleanu – teraz już obywatel Filip Egalite – jako poseł Konwencji oddał swój głos za wyrokiem śmierci. Skarżył się też na zaostrzony nadzór: komisarze Komuny obserwowali go teraz bez przerwy, w dzień i w nocy.

Urzędowa notyfikacja wyroku nastąpiła w niedzielę, 20 stycznia o godzinie 14. Dekrety Konwencji przywiozła delegacja władz z ministrem sprawiedliwości Garatem, merem Chambonem, komendantem Gwardii Narodowej Santerrem i innymi funkcjonariuszami. Odczytał dekrety sekretarz rządu Grouvelle. Ludwik wręczył Garatowi notę: domagał się od Konwencji trzydniowej zwłoki na przygotowanie się do śmierci, swobodnego kontaktu z wybranym przez siebie księdzem i z rodziną, zniesienia nieustannego nadzoru. Odpowiedź przyszła o godzinie 18: zgoda na kontakt z księdzem i rodziną, odmowa w sprawie odroczenia egzekucji.

Razem z Garatem, przywożącym tę odpowiedź Konwencji, przybył do Temple ksiądz Edgeworth de Firmont. Król zamknął się z nim do godziny 20. Później zeszła doń rodzina, której nie widział od 11 grudnia.

Rozmawiał z nią bez świadków; komisarze obserwowali więźniów przez szybę w przepierzeniu. Ksiądz król schował w małym gabinecie, bo się bał wrażenia, jakie widok spowiednika wywrze na jego bliskich. Z relacji Madame Royale wiadomo, że opowiedział dokładnie przebieg swego procesu, udzielał ostatnich wskazań delfinowi (kazał mu „wybaczyć tym, którzy posłali go na śmierć”), pobłogosławił dzieci. Odmówił, gdy żona proponowała, że spędzą z nim całą tę ostatnią noc, dał do zrozumienia, że potrzebuje spokoju. Zgodził się na spotkanie rano, o godzinie siódmej, ale za radą spowiednika nie dotrzymał obietnicy: uznał, że dla wszystkich byłoby to zbyt bolesne. Pożegnał rodzinę kwadrans po dziesiątej wieczorem, zjadł z apetytem kolację i zamknął się ze spowiednikiem. Zasnął po północy i spał doskonale do piątej rano; kazał Clery’emu, by go obudził o tej godzinie.

Ksiądz Edgeworth de Firmont, bardzo strapiiony tym, że zjawił się w Temple bez sutanny, skłonił komisarzy Komuny do sprowadzenia z pobliskiego kościoła kapucynów wszystkiego, co potrzebne było do odprawienia mszy. Odprawił ją o szóstej rano, Ludwik przyjął komunię. Powiedział Firmontowi: „Mój Boże, jaki jestem szczęśliwy, że zachowałem moje zasady [religijne]. Bez nich co by teraz ze mną było?”

O godzinie 9 przyszedł Santerre z grupą funkcjonariuszy i dziesiątką gwardzistów: gdy król ujrzał, że wszyscy mają nakryte głowy, natychmiast zazaądał swego kapelusza. Chciał wręczyć swój testament delegatowi Komuny, sławnemu potem „wściekłemu” księdzu Roux. Chwalił się on później swą brutalną odpowiedzią: „Nie jestem tu, by wykonywać twoje polecenia, lecz by cię doprowadzić na szafot”. Testament wziął inny funkcjonariusz. Ludwik prosił o oddanie dokumentu jego żonie.

W zakrytym powozie umieszczono króla wraz ze spowiednikiem i dwoma oficerami, gwardzistą narodowym i żandarmem. Król czytał psalmy z brewiarza księdza Firmonta. Powóz otaczała bardzo silna eskorta; na drodze przejazdu stał gęsty szpaler gwardzistów z karabinami i pikami. Na bulwarze Bonne Nouvelle małe zamieszanie: z lekkiego wzniesienia nad bulwarem słynny potem konspirator, baron de Batz z garstką przyjaciół usiłował zagrzać tłum do ratowania króla. Poniósł kompletne fiasko, ale zdołał umknąć.

Droga na plac Rewolucji – dzisiejszy plac de la Concorde – trwała ponad godzinę. Szafot stał blisko postumentu obalonego pomnika Ludwika XV, wokół gilotyny spora pusta przestrzeń i czworobok gwardzistów. Dalej morze ludzi. A oto opis egzekucji ze 185 numeru gazety „Les Revolutions de Paris”: „Po przybyciu na plac Rewolucji... [Ludwik] wysiadł z powozu. Natychmiast został przekazany w ręce kata; sam zdjął frak i krawat, został w zwykłej kamizelce z miękkiej białej wełny. Nie chciał, by mu podcinano włosy, a przede wszystkim by go wiązano; kilka słów wypowiedzianych przez spowiednika wnet go przekonało. Wszedł na szafot, postąpił ku lewemu brzegowi, z twarzą mocno zaczerwienioną spoglądał przez kilka chwil na całe otoczenie i zapytał, czy dobosze nie przestaną bić w bębny. Chciał się wychylić i przemówić, wiele głosów wykrzyknęło do egzekutorów – było ich czterech – by wykonali swoje zadanie. Niemniej, gdy zaczęto go przywiązywać, powiedział wyraźnie te słowa: Umieram niewinnie, przeba-

czam mym wrogom, pragnę, by moja krew przyniosła pożytek Francuzom i uśmierzyła gniew Boga”. Relacja księdza Firmonta w zasadzie pokrywa się z opisem dziennikarza. Ujawnia ona, że gdy król protestował przeciw wzięciu mu rąk, spowiednik rzekł mu: „Sire, w tej nowej zniewadze dostrzegam tylko ostatni rys podobieństwa między Waszą Królewską Mością i Bogiem, który będzie Jej nagrodą”. Ludwik miał odrzec, znów z aluzją do Chrystusa na górze Oliwnej, że wypije ów kielich aż do dna. Zadziwiające, ale chyba prawdziwe: uznał, iż jego niewinna ofiara za grzechy Francuzów, podobna do męki Chrystusa, może odkupić jego naród, uśmierzyć gniew Boga! W tej wersji jego ostatnich słów, którą dał Firmont, jest zresztą aluzja do zbiorowej odpowiedzialności Francuzów: „Umieram niewinny wszystkich zbrodni, które mi zarzucano. Wybaczam sprawcom mej śmierci i proszę Boga, by krew, którą rozlejecie, nie spadła nigdy na Francję”. Głowę króla kat Sanson okazał ludowi. Był poniedziałek, 21 stycznia 1793 r., urzędowy protokół podaje godzinę: 10.22.

Zwłoki przewieziono na ulicę Anjou-Saint-Honore, gdzie był cmentarz parafii Madeleine. Akt pogrzebu, podpisany przez dwóch funkcjonariuszy władz paryskich oraz proboszcza i dwóch wikariuszy tej parafii, stwierdzał, że oddział pieszych żandarmów złożył na cmentarzu „trupa Ludwika Kapeta, który, jak stwierdziliśmy, miał wszystkie członki w całości, ale głowa była oddzielona od tułowia. Zauważyliśmy, że włosy z tyłu głowy zostały ostrzyżone i że trup był bez krawata, fraka i trzewików. Poza tym ubrany był w koszulę, pikowany kaftan w kształcie kamizelki, spodnie z szarego sukna i parę pończoch z szarego jedwabiu. Tak ubrany został złożony do trumny, którą spuszczone do fosy i natychmiast przykryto”.

Dopiero 18 marca 1793 r. urzędnik stanu cywilnego Le Grand wypełnił formularz aktu zgonu: „Ludwik Kapet, zawód: ostatni król Francuzów, wiek: 39 lat, urodzony w Wersalu, parafia Notre-Dame, zamieszkały: w Paryżu, wieża Temple, mąż Marii Antoniny Austriackiej”. Jest jeszcze protokół Komuny Paryskiej z 30 września 1793 r. o spaleniu zabranej z Temple garderoby Ludwika Kapeta na placu przed Ratuszem.

Przesadne się okazały nadzwyczajne środki ostrożności podjęte w dniu 21 stycznia, później uznanym za jedną z wielkich dat Rewolucji. Sławny pisarz Sebastian Mercier stwierdzał, że opowieści o „osłupieniu” Paryża były kłamliwe, że ludzie wracali z egzekucji jak ze święta, trzymając się pod ręce, śmiejąc się, przyjaźnie rozmawiając. Oczywiście w środowiskach zachowawczych i rojalistycznych wrażenie było wielkie. Agenci policyjni donosili, że w 1794 r., w najgorszym okresie terroru, sprzedaje się w Paryżu potajemnie relikwie po „królu męczenniku”: ścinki ubrania, włosy... Opinia rojalistów nie była wszelako jednolita, ujawniała nieraz obojętność, a nawet wrogość do Ludwika XVI jako winowajcy klęski ancien regime'u. Hrabia Fersen notował z oburzeniem, że spotkał w Maestricht wielu francuskich emigrantów, którzy całkiem spokojnie przyjęli wieść o egzekucji króla; niektórzy jeszcze tego samego dnia poszli do teatru lub na koncert!

Maria Antonina – „wdowa Kapet” – tylko o dziewięć miesięcy przeżyła męża. Niektórzy politycy jakobińscy (m.in. Danton) sądzili, że jest ona cennym zakładnikiem rewolucji i atutem w ewentualnych rokowaniach pokojowych z Austriakami. Ale w lipcu 1793 r. Danton usunięty został z

rządu, rewolucja szybko się radykalizowała. Już 2 sierpnia eks-królowa przeniesiona została z Temple do więzienia Conciergerie i podjęto przygotowania do jej procesu. Zaczął się on przed Trybunałem Rewolucyjnym 14 października. Na rozprawie królowa zachowała się godnie i powściągliwie. Sędziowie przysięgli uznali, że jest winna zdrady kraju w zмовie z obcymi mocarstwami i podżegania do wojny domowej; nie popełnili omyłki sądowej. W południe dnia 16 października 1793 r. przy bardzo pięknej pogodzie i w obecności olbrzymich tłumów Maria Antonina została ścięta na placu Rewolucji. Pochowano ją, podobnie jak Ludwika XVI, na cmentarzu parafii Madeleine.

Trzecią ofiarą z wieży Temple była Madame Elisabeth, stracona po krótkim procesie 10 maja 1794 r. Jej sekretne kontakty z kontrrewolucyjną emigracją nie były już wtedy tajemnicą. W Temple pozostały tylko dzieci króla, odseparowane od siebie: eks-delfin i Madame Royale.

Fantazjowano potem długo – jeszcze do naszych dni – na temat „tajemnicy delfina”. Krążyły plotki o przemyceniu małego Ludwika Karola z Temple w koszu z bielizną, o zastąpieniu go w więzieniu przez innego chłopca, umierającego na gruźlicę. Gdy w 1814 r. Bourbonowie powrócili do Francji, zaczęli się też pojawiać fałszywi delfinowie. Najwięcej zamętu wywołał pruski poddany, zegarmistrz Karl Wilhelm Naundorff, który zresztą przybył do Paryża bardzo późno, dopiero w maju 1833 r. Zdołał przekonać o swym królewskim pochodzeniu kilku bardzo już sędziwych ludzi z dawnego dworu Ludwika XVI. Wygnany z Francji przez rząd Ludwika Filipa, schronił się ostatecznie w Holandii i tam zmarł w 1845 r. Akt zgonu wypisano, za zgodą rządu holenderskiego, na imię Ludwika XVII, króla Francji i Nawarry; także imię wyryto na grobie Naundorffa w mieście Delft.

W istocie poważni badacze problemu od dawna nie mieli wątpliwości, że chłopiec, który 8 czerwca 1795 r. zmarł w Temple, był wyniszczonym przez gruźlicę delfinem Francji. Pochowano go na cmentarzu przy kościele Św. Małgorzaty, na rue Saint-Bernard. Po powrocie Bourbonów świadkowie pogrzebu wskazywali bardzo różne miejsca pochówku „Ludwika XVII”, toteż władza zrezygnowała z jego ekshumacji. Dwukrotne poszukiwania w miejscu uznanym za najbardziej prawdopodobne, w latach 1846 i 1894, nie pozwoliły na identyfikację szczątków delfina, co podsycalo rojenia amatorów sensacji.

Spośród więźniów Temple ocalała jedynie córka króla. Na podstawie umowy Dyrektoriatu z rządem wiedeńskim wymieniono ją w Szwajcarii za grupę więzionych przez Austriaków francuskich rewolucjonistów. Wiedeń pragnął ją wydać za Habsburga, arcyksięcia Karola; uległa jednak woli stryja, hrabiego Prowansji, i wyszła za stryjecznego brata, księcia Angouleme, syna hrabiego Artois. Z punktu widzenia interesów dynastii małżeństwo to było katastrofą z powodu impotencji księcia Angouleme, niepozornego, brzydkiego i powszechnie, a chyba przesadnie uważanego za głupca. „Sierota z Temple” powróciła do ojczyzny w 1814 r. razem z mężem i stryjami. Rozczarowała paryżan: nieładna, dość otyła, nosiła bez wdzięku niezgrabne angielskie stroje i ujawniała mierne przymioty umysłu oraz oschły charakter.

Gdy w 1824 r. jej teść wstąpił na tron jako Karol X, córka Ludwika XVI została delfiną Francji. Sukcesyjne szanse jej męża zrujnowała wszakże rewolucja lipcowa. Habsburgowie ulokowali wygnanych Bourbonów w pustym wówczas i ponurym zamku hradczańskim w Pradze. Księżna Angouleme pochowała w r. 1835 teścia, w 1844 r. zaś męża. Jako milczący świadek śledziła z obczyzny wydarzenia we Francji: burzliwe losy monarchii Ludwika Filipa, jej upadek w rewolucji 1848 r., odrodzenie Republiki, początki kariery Ludwika Napoleona Bonaparte. Zmarła w 1851 r., prawie sześćdziesiąt lat po obaleniu tronu jej ojca. Do końca życia zachowała niewzruszony kult jego osoby.

Jej rodziców nie pozostawiono w spokoju na cmentarzu Madeleine. Niejaki pan Descloseaux, który miał dom obok tego cmentarza, zaobserwował ponoć dokładnie miejsca, w których chowano króla i królową. Po zamknięciu cmentarza kupił ów teren, który mu służył jako ogród! Po powrocie Bourbonów zapewniał, że nabył pocmentarną parcelę, „by osobiście czuwać nad cennymi szczątkami”.

Z rozkazu króla Ludwika XVIII 18 stycznia 1815 r. zebrało się tu grono dygnitarzy z kanclerzem hrabią de Dambray, ministrem dworu hrabią de Blacas, biskupem de La Fare. Był i lekarz króla, pan Distel. Robotnicy zaczęli kopać w miejscu wskazanym jako grób królowej. Pod grubą pokrywą wapna znaleziono szczątki drewnianej trumny z dużą liczbą kości i czaszką; wśród resztek ubrania były „dwie elastyczne podwiązki dość dobrze zachowane”. Uznano więc, że są to szczątki Marii Antoniny. Ale w miejscu pochówku króla nie znaleziono niczego. Zapadła noc, przerwano więc prace i wznowiono je nazajutrz. Kopiąc głębiej natrafiono na resztki trumny i trochę kości oraz czaszkę w masie ziemi zmieszanej z wapnem. Nie dało to pewności sukcesu, szukano więc dalej „innego grobu króla”. Bez skutku. Zadowolono się więc owym znaleziskiem, które od początku budziło uzasadnione wątpliwości współczesnych.

W niedzielę 22 stycznia 1815 r. rano hrabia Artois położył kamień węgielny pod „kaplicę ekspiacyjną” z ołtarzem dokładnie w tym miejscu, w którym znaleziono królewskie szczątki. Kaplica, budowla nieco dziwaczna, w stylu *campo santo*, wznosi się dzisiaj na melancholijnym skwerze Ludwika XVI, małym skrawku zieleni tuż obok hałaśliwego bulwaru Haussmanna.

Ołowiane trumny pary królewskiej tegoż dnia 22 stycznia przewieziono z niebywałą pompą do starego nekropolu Kapetyngów, bazyliki w Saint-Denis. Tak jak przed 22 laty, na trasie przejazdu zmasowana była paryska Gwardia Narodowa. Ekspiacja za „zbrodnie rewolucji” nie przekreślała wcale urzędów, przez tę rewolucję powołanych do życia.

* * *

Katastrofa Ludwika XVI nie była nieuchronna. Spowodowała ją uparta a nieudolna obrona wartości, których w tym czasie wielkiej społecznej transformacji nie można było ocalić. W czerwcu 1789 r. król rzekł diukowi de Montmorency-Luxembourg, że nigdy nie porzuci swojej szlachty ani swej władzy. Otóż ani wtedy, ani nawet wcześniej nie było można bronić tych dwóch wartości jednocześnie. Można było jedynie szukać wyboru między różnymi wariantami reformizmu, osłabiającego bądź przywileje stanowe,

bądź absolutyzm władzy, bądź wreszcie i jedno, i drugie. Ludwik XVI miał przynajmniej cztery szanse, których wyzyskanie byłoby w stanie zmienić bieg społecznych przemian, nieuchronnych, ale mogących się dopełnić na różne sposoby. Turgot symbolizuje łagodną likwidację i absolutyzmu, i przywilejów stanowych. Necker – to projekt oświeconego absolutyzmu stopniowo likwidującego stare przywileje, szukającego nowych stanów społecznej równowagi. Liberalizm szlachecki lat 1787-1788 to próba ratowania tradycyjnych przywilejów przy jednoczesnym liberalizowaniu systemu politycznego, a więc likwidowaniu absolutyzmu. Jeszcze w roku 1789 istniała szansa uratowania tronu i życia Ludwika XVI: należało jednak dokonać arcyśmiałego manewru, zrezygnować natychmiast i nieodwołalnie tak z obrony przywilejów, jak i z absolutyzmu. Zapewne rozwiązania drugie i trzecie stałyby się rychło punktem wyjścia do dalszej ewolucji. Absolutyzm oświecony mógł być narzędziem głębokich przemian, ale nie ich ostatecznym celem; arystokratyczna obrona przywilejów w warunkach politycznej liberalizacji nie miałyby szans na długą metę. Bieg dalszej ewolucji mógłby jednak być nader łagodny.

Historia Ludwika XVI poucza, jak wielką rolę w systemie rządów autorytatywnych podminowanych kryzysem grają talenty elity rządzącej i przede wszystkim samego władcy, ich dojrzałość, wyobraźnia, umiejętność podejmowania decyzji z jednoczesnym przewidywaniem, co będzie w trzecim i czwartym ruchu. „Ludzie dziwią się niekiedy, że historycy tak bardzo się rozwodzą nad niektórymi jednostkami zajmującymi ważne miejsca i zapominają o ogromnej masie pozostałych. Rzut oka na wpływ tych jednostek w całości życia narodu usprawiedliwia historyka”. Tak pisał ksiądz Veri na kilkanaście lat przed rewolucją. Oczywiście wielkie społeczne transformacje mają przyczyny głębokie, niezależne od „ważnych jednostek”. Gdy zaś „ważne jednostki” nie potrafią zrozumieć tych procesów, na scenę występuje nieuchronnie „ogromna masa pozostałych”.

Hrabia d’Allonville twierdził, że jedyną winą Ludwika XVI było to, iż został on królem. Wyniósł go wadliwy, anachroniczny system rządzenia, którego nie potrafił zreformować; zmiążdżył go zaś żywioł wydarzeń, których znaczenia nie pojął i do których nie umiał znaleźć politycznego klucza. A przecież miał szansę wpłynąć na ich bieg.

Wolno współczuć losowi tego przeciętnego człowieka, dobrego ojca rodziny, władcy pozbawionego demonicznych wad i wybitnych zalet. Prawa sukcesji dynastycznej odebrały mu szansę powodzenia na miarę jego możliwości. Mógł być przecie bardzo dobrym kartografem, zegarmistrzem albo ślusarzem.



KONIEC

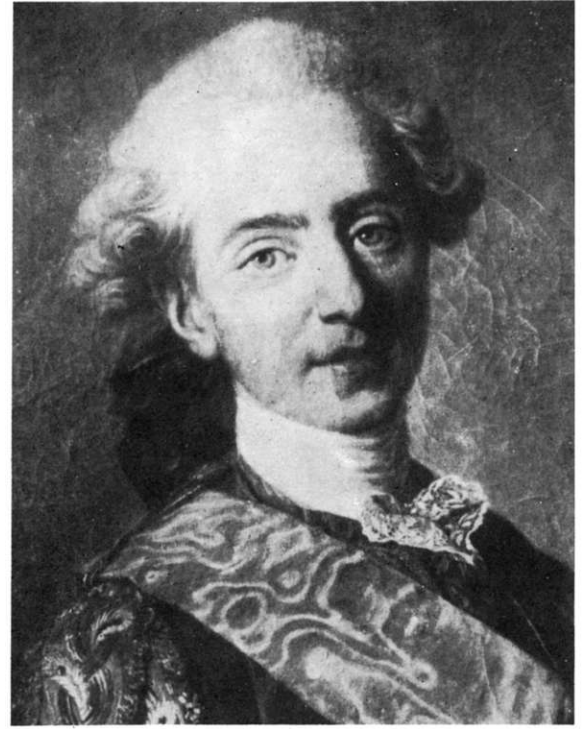
Księgozbiór DiGG



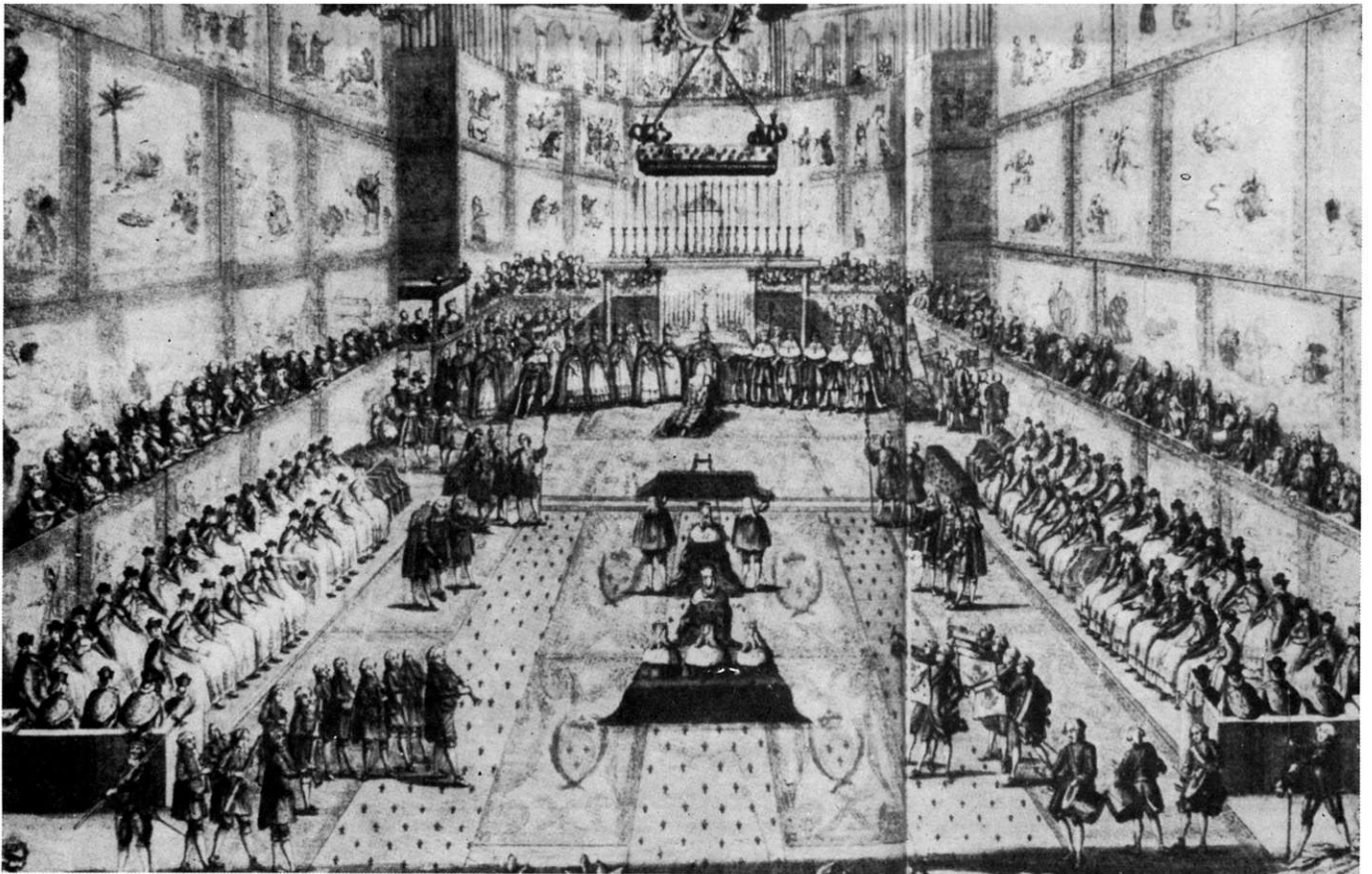
2010



Księżę Berry jako amorek, 1766 r. Rzeźba G. Coustou



Delfin w 1763 r. Miniatura de Halla



Koronacja Ludwika XVI w Reims



Ludwik XVI w 1783 r.



Maria Antonina w wieku 19 lat, w stroju do konnej jazdy
Mal. J. Krautziger



Księżna de Lamballe, Portret pędzla Rioulta



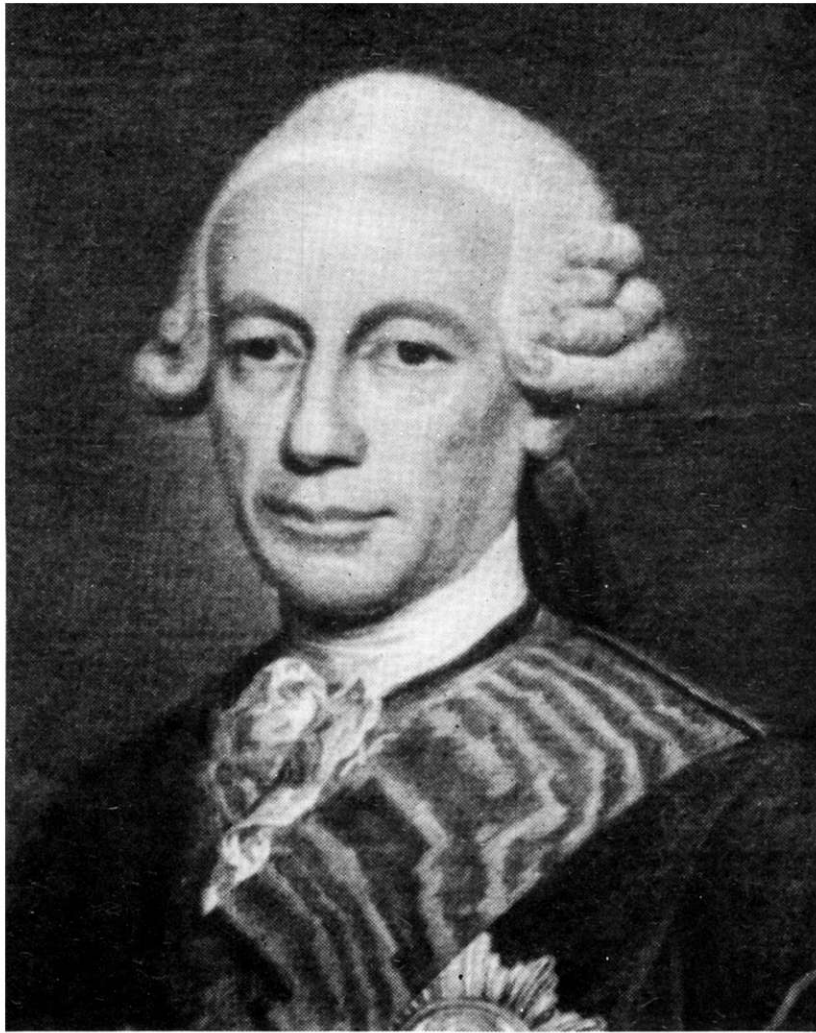
Madame Adélaïde, ciotka Ludwika XVI. Mal. E. Vigée-Lebrun



Pani de Polignac. Portret pędzla E. Vigée-Lebrun



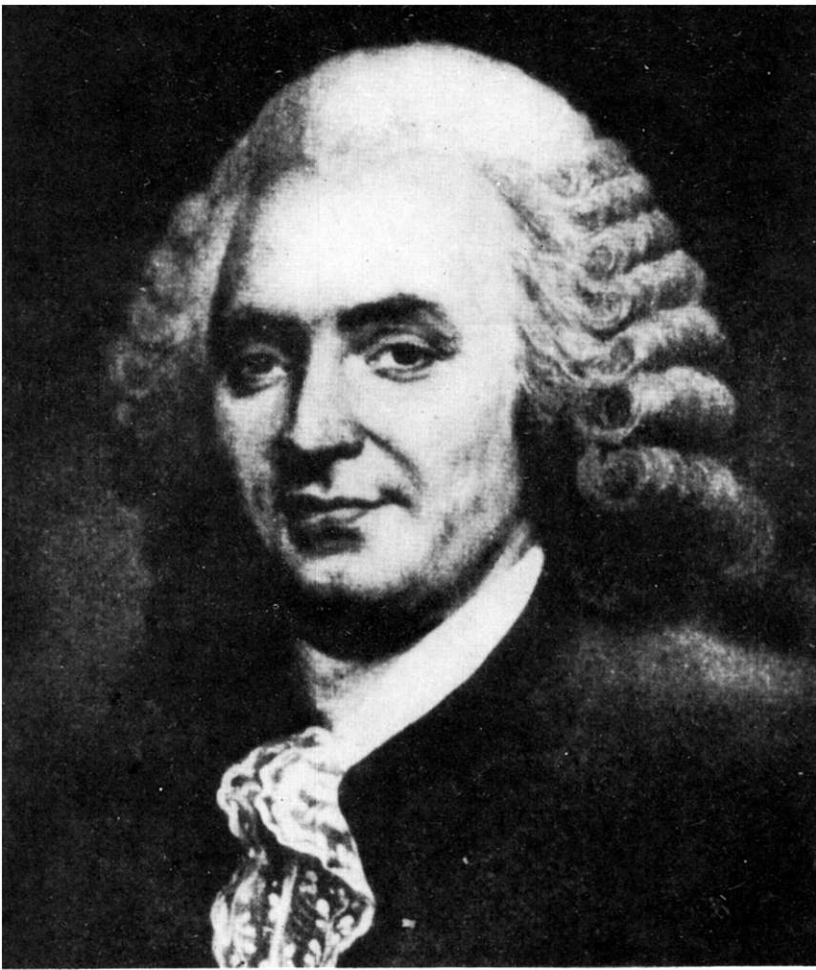
De Brienne. Grawiura



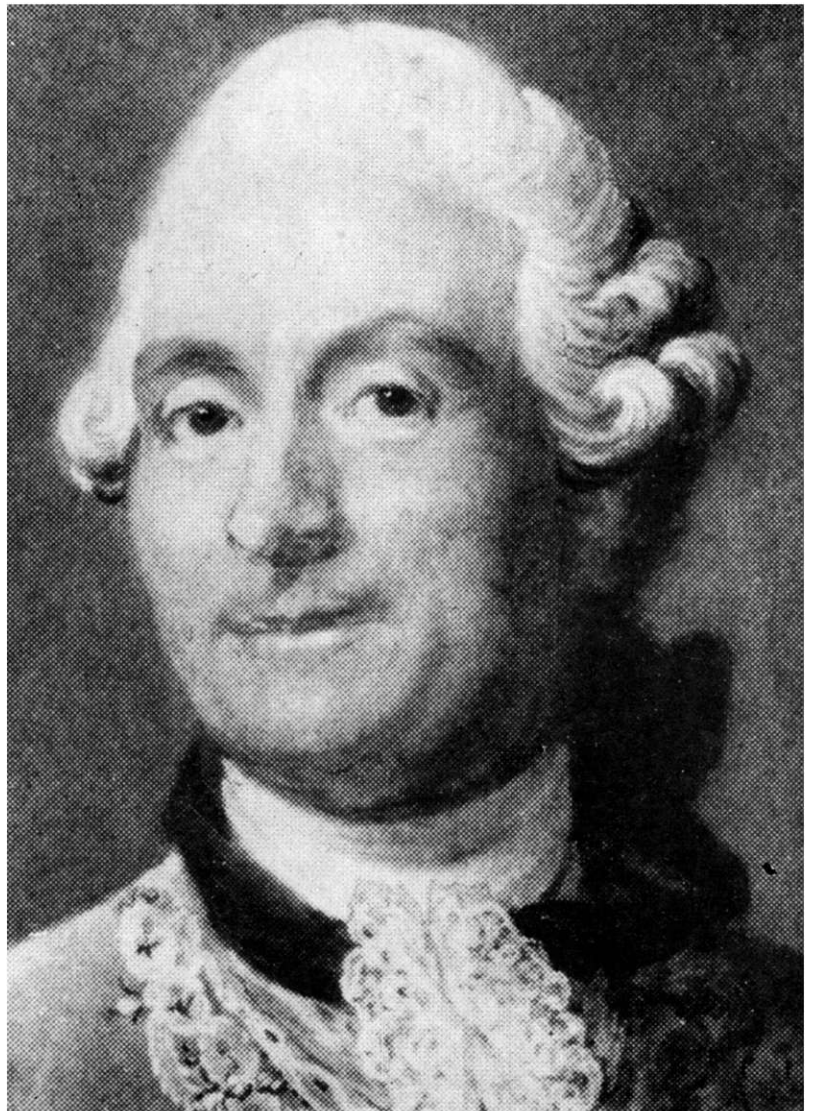
Hr. de Saint-Germain, minister wojny. Mal. E. Faure



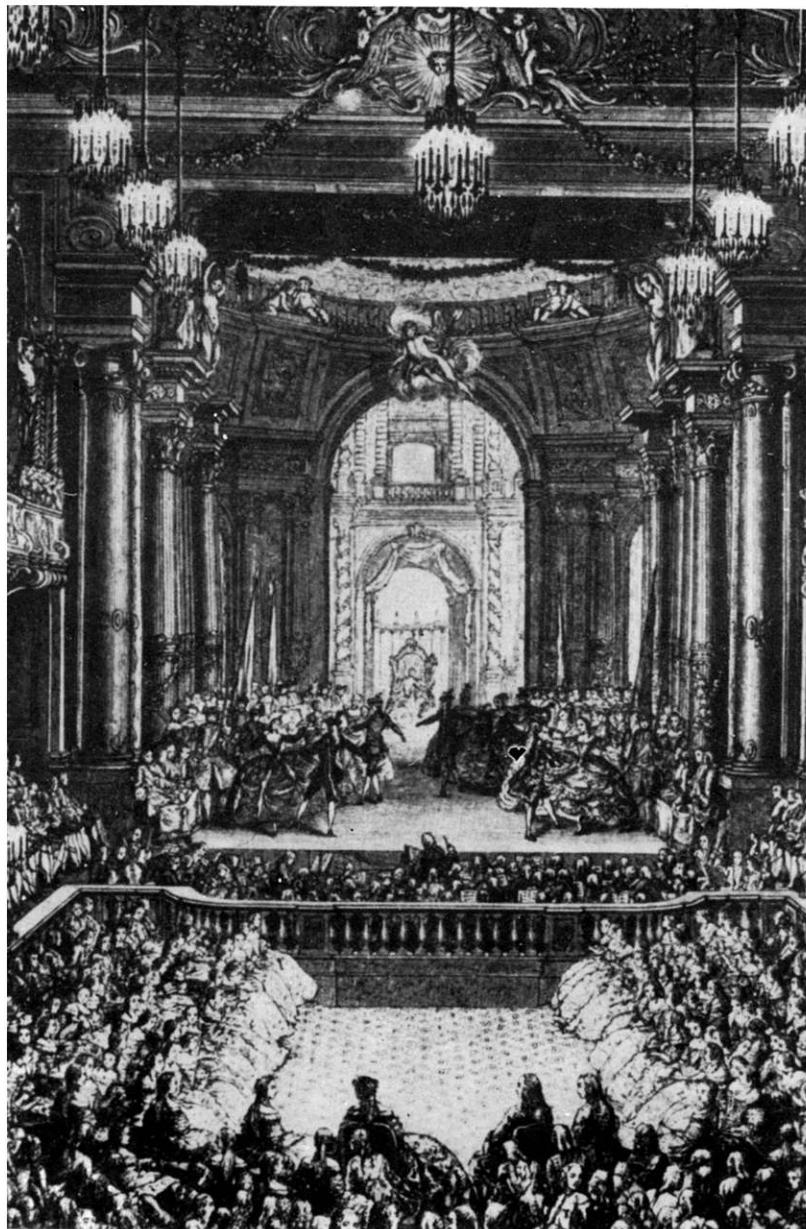
Jacques Necker. Grawiura De Duplessis'a



A.R.J. Turgot. Mal. de Ducreaux



Hr. Vergennes. Mal. Lindenberg



Przedstawienie sztuki *Princesse de Navarre* w Wersalu. Grawiura Cochina syna



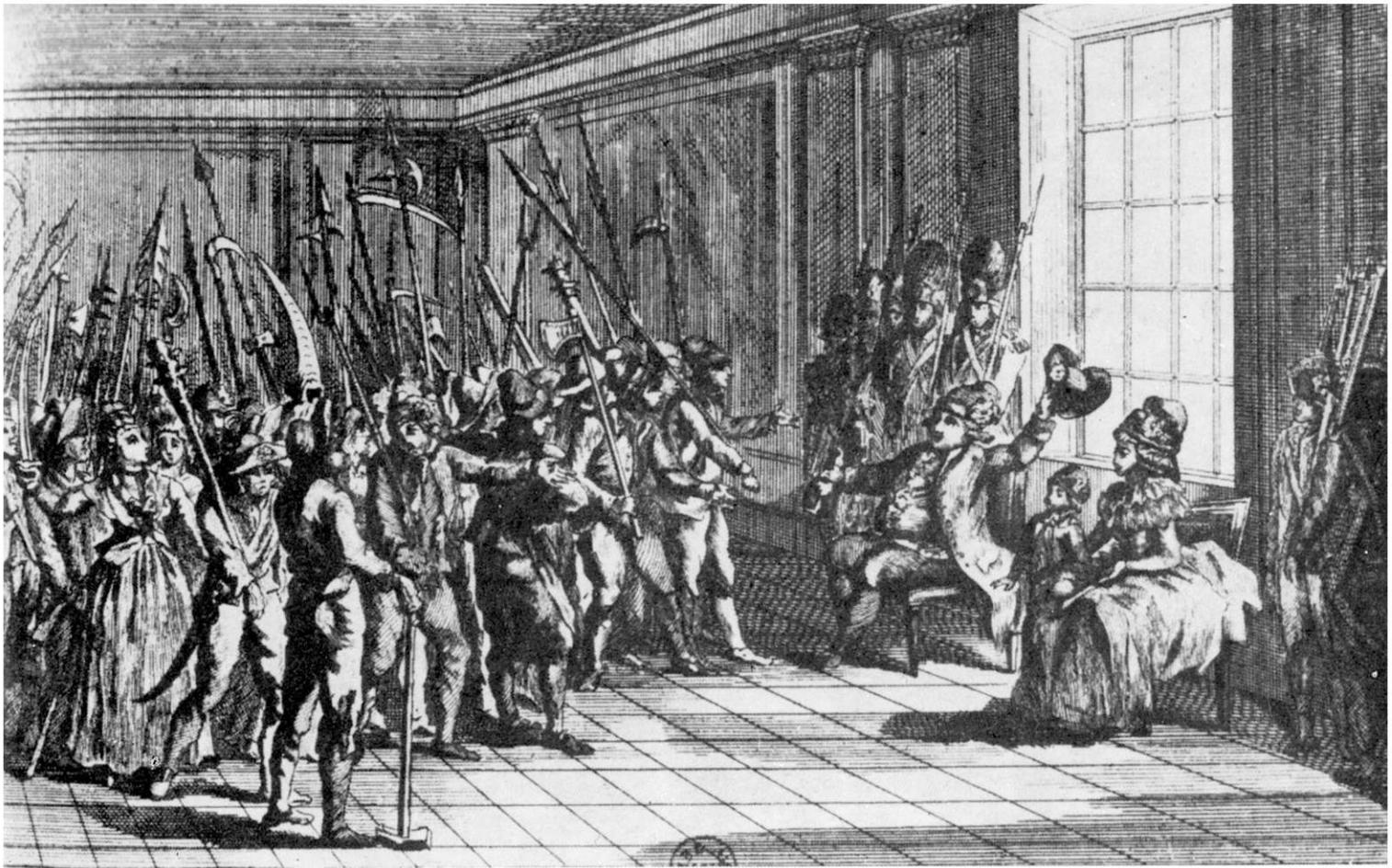
Hr. Axel Fersen. Portret pędzla Pascha



Maria Teresa Karolina, Madame Royale



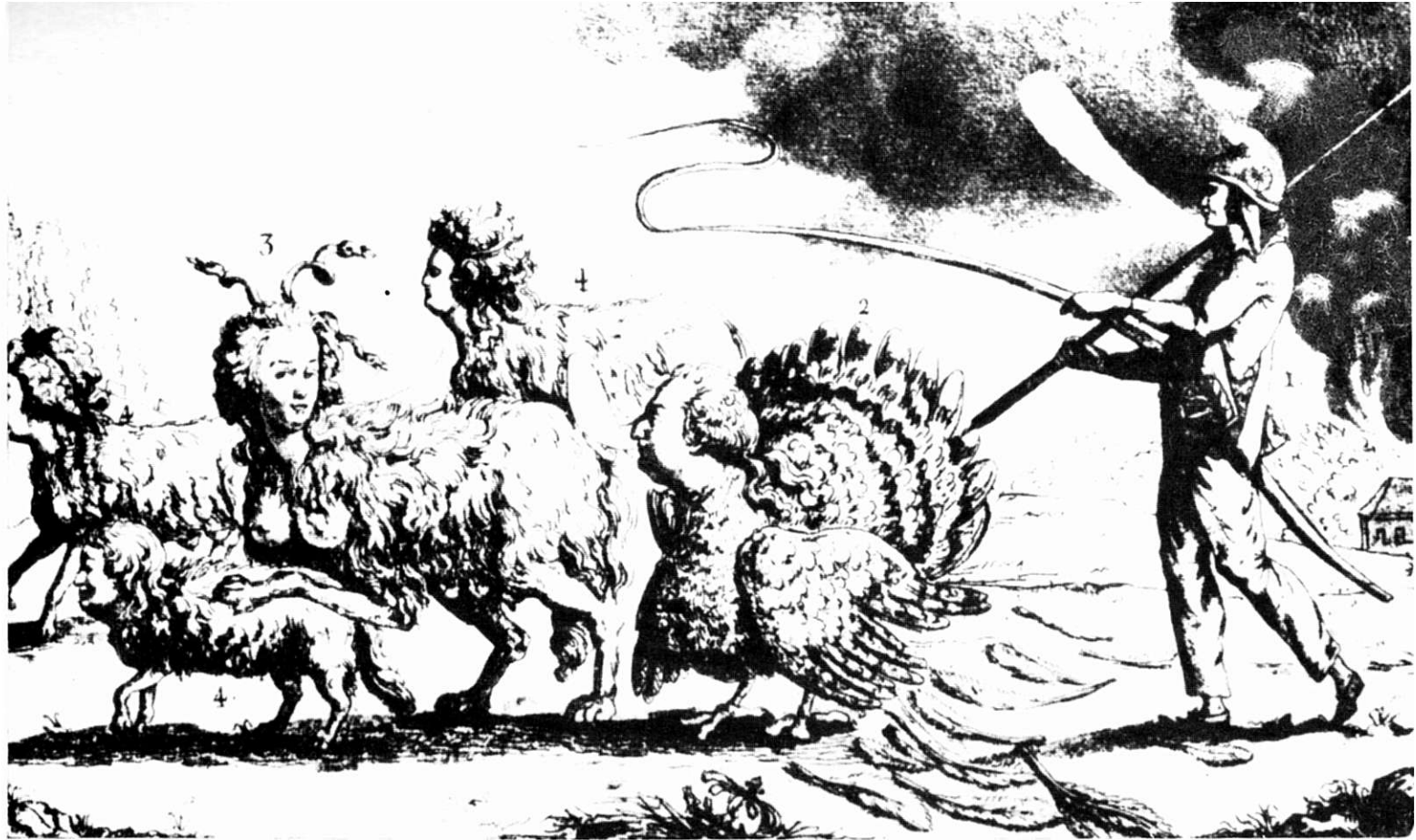
Delfin Ludwik-Karol, rys. anonimowy



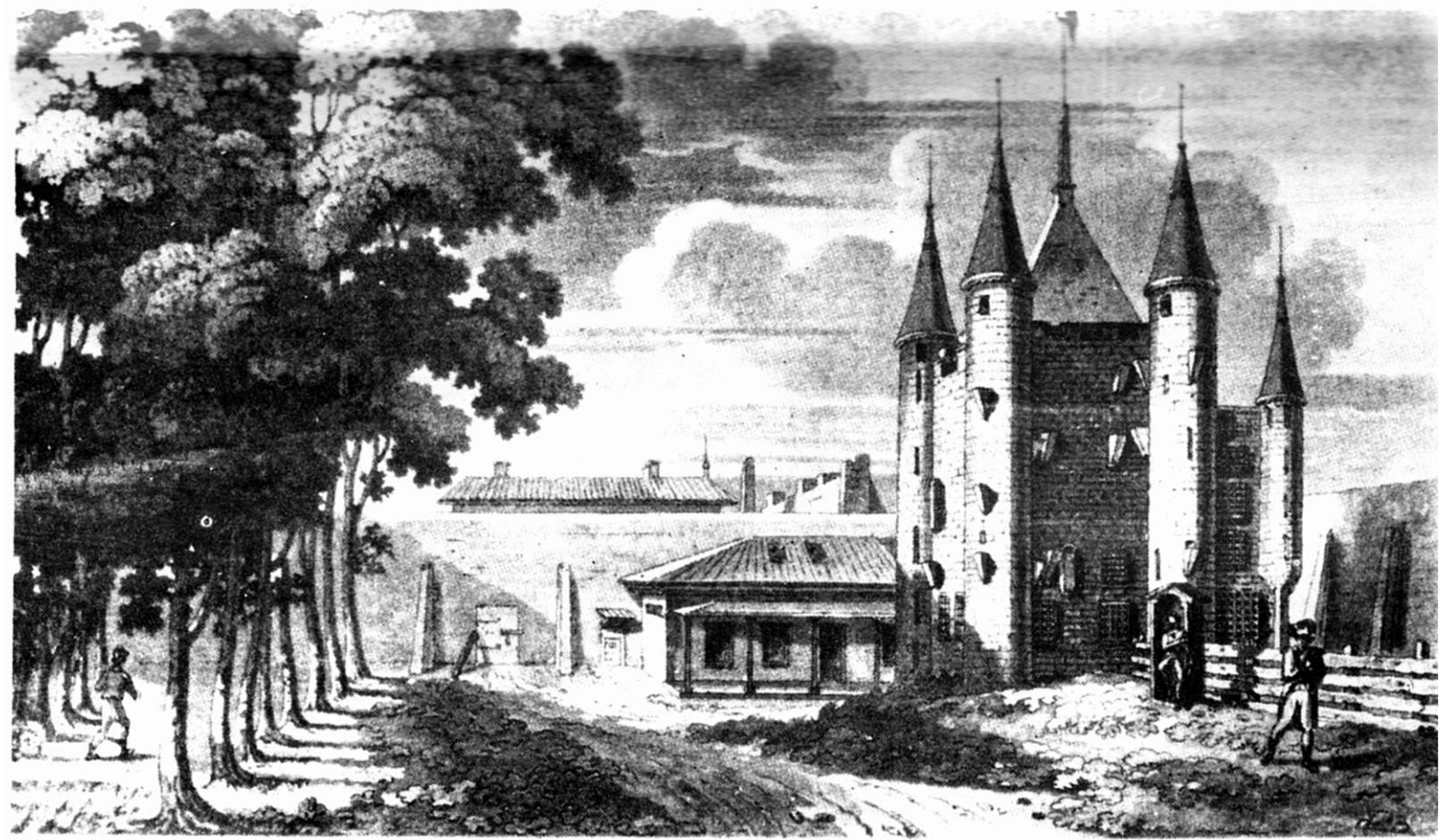
Rodzina królewska oblężona przez tłum w pałacu



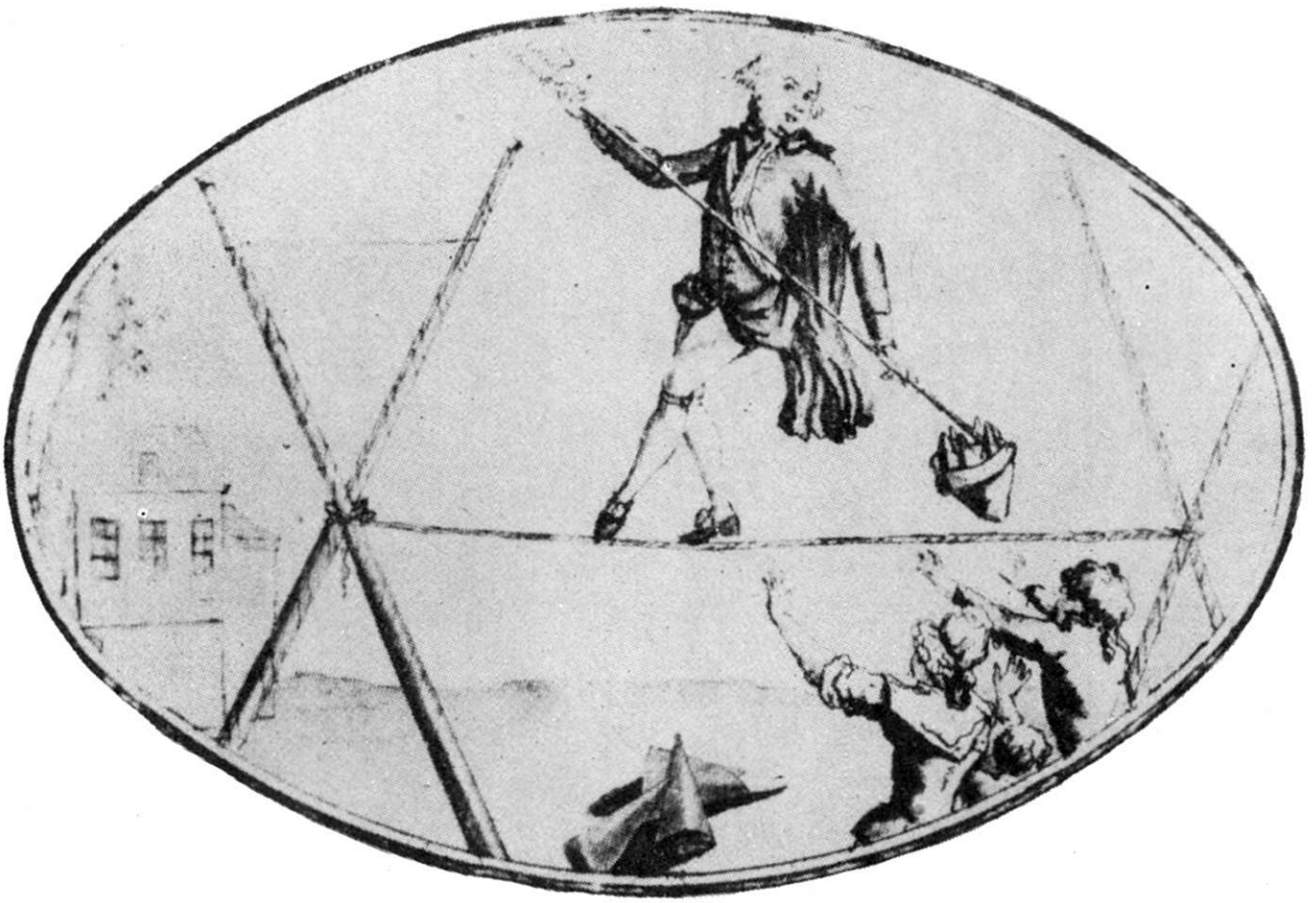
Ludwik XVI przy pracach ziemnych przed świętem Federacji



Rodzina królewska przepędzana do Temple



Wieża Temple w 1796 r.



Karykatura
Ludwika XVI
jako
linoskoczka.
Grawiura
antyjakobińska



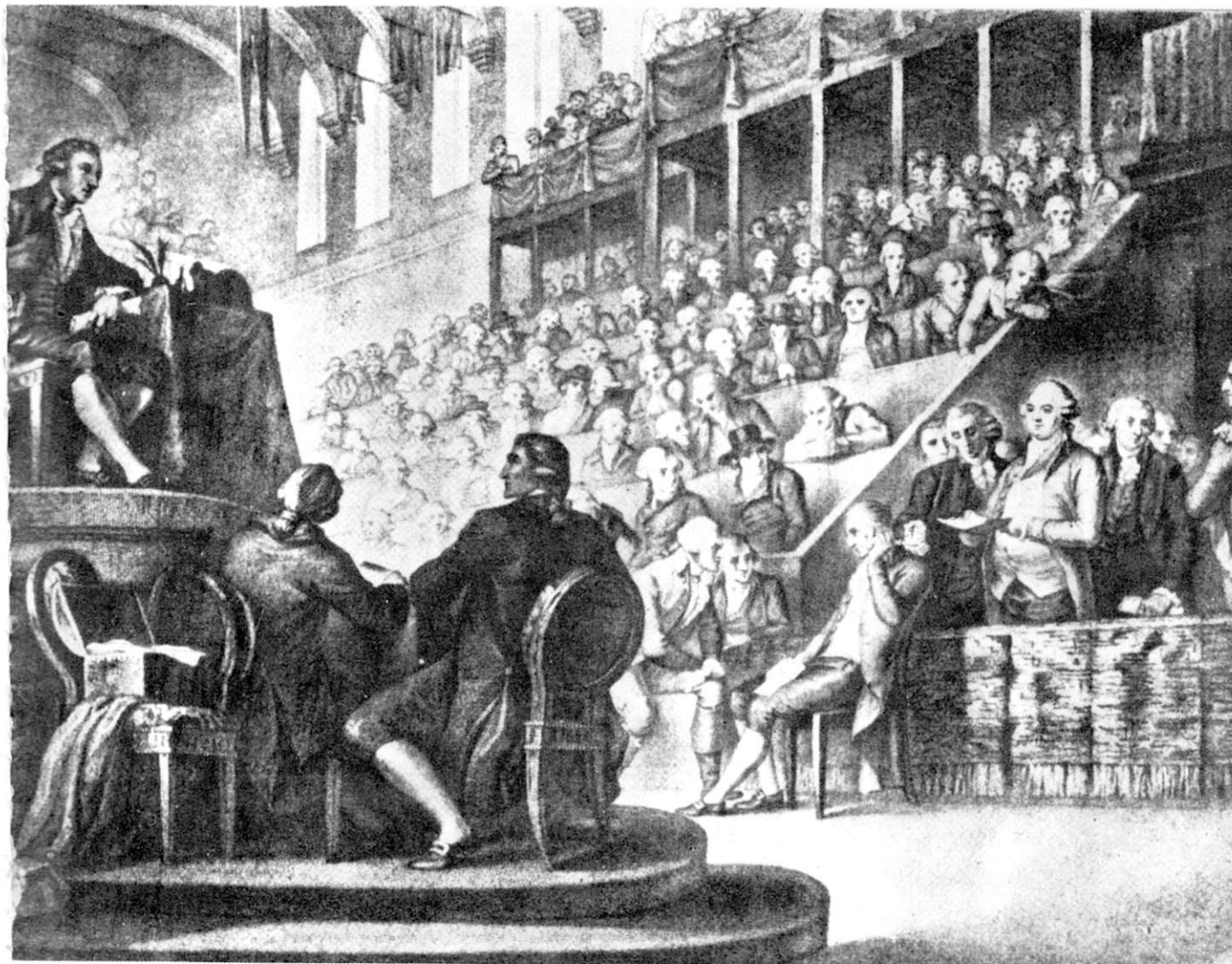
Karykatura
Ludwika XVI



Madame Elisabeth, siostra króla, w Temple



Ludwik XVI egzaminuje syna z „praw człowieka”. Grawiura propagandowa



Proces Ludwika XVI. Mal. Pelegriani



Rodzina królewska w łożu stenografa w Legiŝatywie dnia 10 VIII 1792